

Q. 27

454

P. 2790

140

19 2521

KSIEGA ŚWIATA

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZEBUDOWANYCH, HISTORII LUDZIEJ I NARODÓW

ZYWOŹY ZNAKOMITYCH LUDZI

WYDROŻENIACH I WYBITNYCH OSOBNOŚCIACH WŁASNOŚCI

PIKTYCJI I WYNALEZKI

WAZNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE

WYDZIAŁY: Istorja, Geografia, Statystyka, Przemysł

WYDZIAŁY: Istorja, Geografia, Statystyka, Przemysł, Handlowe, Rolnicze, Przemysłowe

KSIEGA ŚWIATA.

WARSZAWA

WYDAWCA: S. H. MERZBACHA

1881

(Rok 8)

KSIEGA ŚWIATA



WIADOMOŚCI
Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW
ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SLYNNIEJSZYCH,

ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

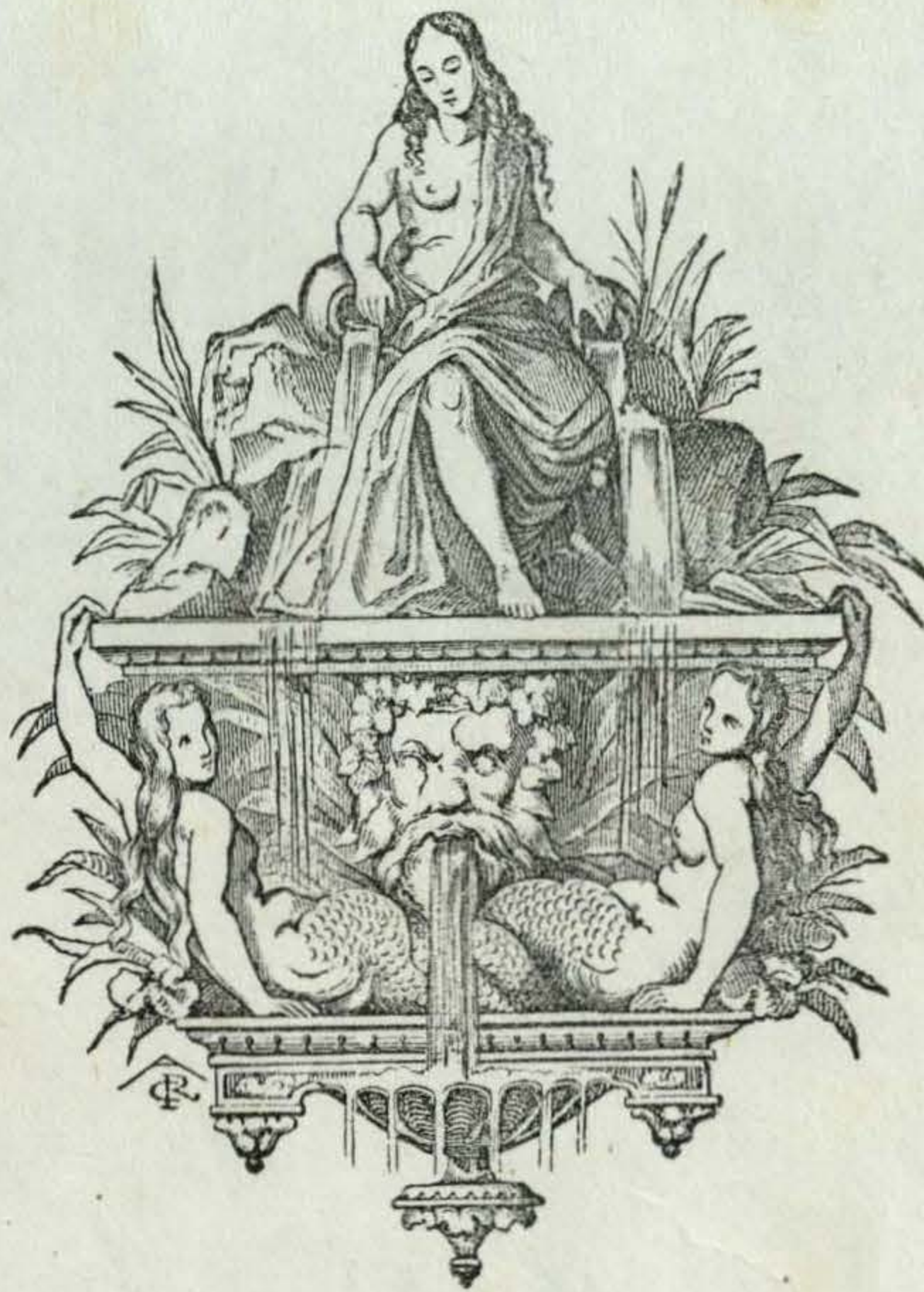
WAZNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzyskie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI, LITOGRAFIAМИ CZARNEMI I KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZEŚĆ PIERWSZA.

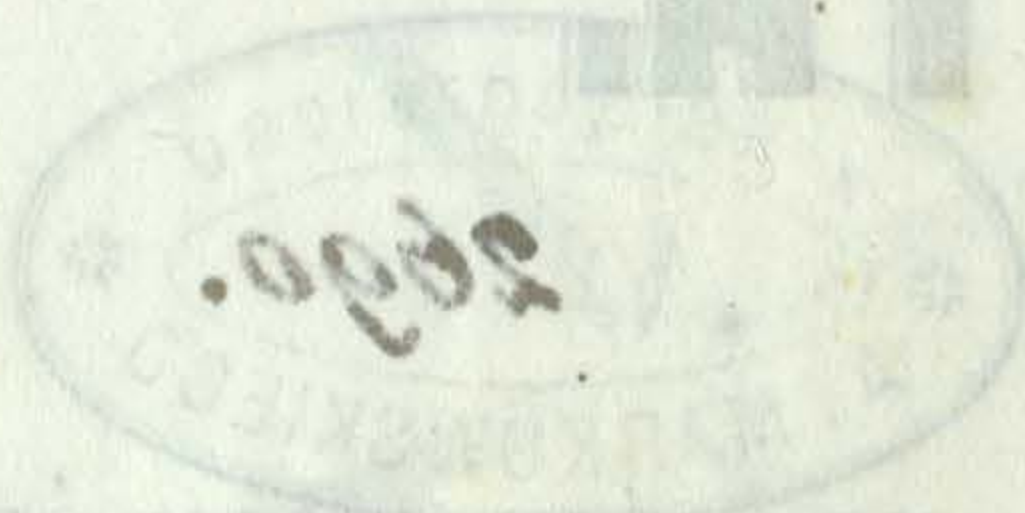


WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA.

1859.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Nr. P. 2790



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

9701 w Warszawie dnia 10 (22) Czerwca 1859 r.

Starszy Cenzor, Assesor Kollegialny, T. HERTZ.

w Drukarni J. Jaworskiego.

L. 140/52.

WARSZAWA.

AKADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA

1859.



Lit. H. Aschenbrenner.

w. Lit. A. Pecy & C^o w. Warsz. 482.

J. Kraszewski

KSIĘGA ŚWIATA.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Do najobfitszych, najwszechstronniejszych i najbardziej czytanych, a zatem najpopularniejszych pisarzy społecznych polskich bezsprzecznie należy Józef Ignacy Kraszewski. Dając więc tutaj czytelnikom *Księgi Świata* jego wizerunek, kilka słów o życiu i zawodzie literackim znamienitego autora dodać obowiązani jesteśmy.

Opis dzieciństwa i szczegóły młodości wyciągamy z autobiografii umieszczonej w tomie I jego *Obrazów z życia i podróży*, wydanych w Wilnie 1842 roku.

„W Romanowie (na Podlasiu), są słowa Kraszewskiego, wychowałem się, wzrosłem, tak wesoły, tak pieszczony, tak kochany (choć zapewne nie od wszystkich), jak gdyby po wyjściu z tamtąd samemu szczęście na świecie oczekiwać miało. Przygotowany do życia przez prababkę i babkę (Annę Malską). sposobiłem się do niego jak na ucztę wesołą.

„O! wesołym wstępem do życia był mi Romanów: był to brzeg gorzkiej czary, którą Bóg słodyczą zaprawił, abym długo wspominał, długo płakał lat moich dziecięcych. I wspominam, téż i płaczę, z bolesnym serca ściśnieniem, płaczę po tej niepowrotnej przeszłości, którą tak mam w sercu i pamięci, jakbym się z nią wczoraj dopiero rozstał. Ileż to razy w usta moich bohaterów powieści kładłem żal lat dziecięcych, który z mego serca płynął: sądziłem, przypisując go innym, że każdy, każdy musi żałować młodości, ile razy ją przypomni, bo jej nic nie zastąpi, bo tak okropnie, tak na wieki dla nas umarła!

„Lata pobytu mego w Romanowie ¹⁾ były bardzo szczęśliwemi. Dnie mizajmowała nauka, wcale nie cięż-

ka, wesołe zabawy, przechadzki po romanowskim ogrodzie, przechadzki w ciągu których poglądając po starych drzewach, po cienistych zakątach, uczyłem się marzyć i domyślać mglistej jakiejś przeszłości, zdając się ją tylko przypominać sobie.

„Już ciebie niema, droga moja przybrana matko! ¹⁾ na której kolanach nauczyłem się czytać, myśleć i modlić się! Już ciebie niema, aniele święty, a Romanów opustoszał!....

„Ale dawniej, dawniej, mimo kłopotów życia, mimo nierzadkich zmartwień, Romanów żył, Romanów był tak wesoły, tak miły! Pamiętam jeszcze dziadka naszego, chodzącego w bajowej czujce koło gospodarstwa i ogrodu; pamiętam prababkę, którą wówczas *białą babunią* zwałem.... Pamiętam, o! pamiętam wszystko, i naukę czytania na kalendarzu, i wieczorne zabawy, i cacka dziecinne, i wszystkie nauki twoje, biedna prababko!....

„Bóg twoje cnoty zapłacił długim choć bolesnym życiem. Weszłaś teraz świętą do nieba, przecierpiawszy na ziemi co tylko najdotkliwszego dla serca matki być może, przepłakawszy nad mogiłami dzieci. I gdybyż tylko nad mogiłami! Jeszcze kiedy to piśzę, głowę tracę i pamięć. Wspomnień tych początku mego życia zgromadzić nie mogę, tak mnie żal ogarnął!

„I nigdy, nigdy nie wróci ta przeszłość, nigdy nie wrócą ci ludzie, tamte czasy, nigdzie już nie znajdę

¹⁾ Mówi tu o prababce Nowomiejskiej. Kiedy to autor pisał, żyła wtedy jeszcze matka jego matki, ś. p. Anna z Nowomiejskich Malska, która parę lat temu przeniosła się do wieczności, w jednym prawie tygodniu z wnuczką swoją, Anną z Kraszewskich Łoniewską.

¹⁾ Dziś Romanów należy do rodziców Kraszewskiego, którzy tam z najmłodszym synem, Kajetanem, mieszkają.

Romanowa, nigdzie! Bóg łaskaw, ja mam znowu drugi Romanów, ale i pierwszego mi żal, i po pierwszym płacze!....

„Od dzieciństwa nie wiem jaki szal wrzał w mojej głowie; nie uwierzycie mi gdy powiem, że wprzód pisać zaczął, nim pisać umiałem; ale to pewna, że drukowanymi literami składał już powieści i wiersze. Przyszłość moja objawiała się wyraziście; lecz prócz dobrych babek, reszta rodziny nielitościwie szydziła z tych moich wysiłków. Równie mnie wówczas zajmował rysunek, którego też sama i dziś pozostała namiętność. Tu już w Romanowie, dzieckiem jeszcze, marzyłem naprzemiany o nauce, o sławie, o sztuce; miałem już jakieś przeczucia wszystkiego, przeczucie powołania. Nietyle jednak zajmowała mnie nauka sama, która mi się przyznam dość nudna wydawała; nie byłem bardzo pilny, nie miałem pamięci do słów i formuł, ale po lekcjach kradłem książki, aby je czytać.

„Pamiętam dobrze, jak jeszcze małym chłopięciem drżałem ze strachu, czytając romans pani Radcliffe na ganku ogrodowym, gdzie żywej duszy nie było i smutno tylko jodły szumiały. Byłem tak w końcu przejęty, że musiał uciec do pokojów. Trzeba przyznać, że gdy wszyscy w domu, drogie babki, dziad, wuj, ¹⁾ ciotki, wszystko czytało i mówiło o literaturze, wpływając to musiało niemało na zachęcenie mnie do niej. Pewna jednak, że jak siebie zapamiętać mogę, zawsze z tą wrzącą ciekawością do książek i nauki byłem. Nie miałem w początku innych nauczycieli nad drogie moje babki, aż do lat w których do szkół mnie oddano.

„Przejście to było ciężkie, okropne z pod macierzyńskich skrzydeł i pieszczot, pod dozór zimnych ludzi, których nie obchodziłem.

„Lecz wróćmy jeszcze do tego Romanowa, który dziś jest pustką i ruiną dla mojego serca. Pieszczonem dzieckiem biegałem tam wesół, tak przywykły do szczęścia, że bardzo długo nie pojmowałem śmierci, a kiedy mnie o niej mówiono, najmocniej w nią nie wierzyłem. Ileż to razy od tego czasu każdy grób zamykający się z moimi drogiemi przekonał mnie iż w śmierć wierzyć potrzeba.

„Późniejsze lata życia już się zatarły w pamięci; nie wiem dlaczego te pierwsze tak żywo jeszcze przytomne, jakbym wczoraj dopiero z nimi się rozbratał? Każdy szum drzew przypomina mi romanowskie jodły, każdy klekocący bocian, tamtejszych bocianów.

¹⁾ Wuj autora, Wiktor Malski, umarł za granicą przed laty kilka. Życiorys jego mieści się w *Bibliotece Warszawskiej*.

I myślę patrząc na lecącego: może on rodem z tamąd! Każda olcha przywodzi mi na myśl stare nad kanałami rosnące. Mój Boże, wszystko minęło, wszystko minęło!.... Ludzie poszli do niebios, czas mignął się i nie wróci, jam postarzał! A owe chwile młodości, to tylko marzenie dzisiaj, które im dalej odemnie, tym więcej jaśnieje na tle przeszłości.”

„Jak pisać o Romanowie, o tych latach? Nie wiem i więcej nie będę. Są rzeczy, których człowiek nie śmie rzucać w oczy światu obojętnemu, bo szyderstwa się lęka, bo gdyby jego skarbów nie oceniono, okrutnie cierpiałby na tym. Dość, dość tych słów kilku wspomnienia drogich osób, łez które na papier upadły. Miałem napisać wiele, ale nadto czuję straty, abym potrafił na nie narzekać i słów do elegii dobiierać.”

Od roku 1825 do 1827 uczył się Kraszewski w szkole obwodowej białskiej i tak o tym okresie czasu pisze:

„Ach! w tej to Białej przebyłem ja najlepsze z moich lat dziecinnych; w niej się moja dusza otworzyła na świat; tu poczułem raz pierwszy chętkę do pisania i raz pierwszy wziąłem pióro do ręki. Widzicie dlaczego tak kocham Białą i szanuję jej wspomnienie. Wy, którym, moje nieustanne pisanie może się już nieraz sprzykrzyło (choć go nie czytacie), niewiele zapewne będziecie wdzięczni miasteczku; ale ja je kocham, ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czułe do pierwszej kochanki (bodaj to była służąca jego matki): tak ja do tego miejsca, w którym poznałem raz pierwszy rozkosz wylania duszy na papier, czuję dotąd coś nakształt tego przywiązania. Plebania białska pod względem powierzchowności była oryginałem mojej plebanii w „*Panu Walerym*”; patrząc na nią ukradkiem z okien sali szkolnej, opisywałem ją na okładkach seksternu geografii. Cały „*Wielki świat małego miasteczka*,” osnuty już później daleko, w kilka lat, ale na tle wspomnień o Białej.

„Pięknie jeszcze za moich czasów świecił w Białej zamek niegdyś obronny, otoczony wałem, na którym rosły stare lipy, naszych przechadzek wieczornych i śpiewów wesołych świadki i słuchacze!... Cieniste stare lipy wałów! ileżście to scen widziały dziecinnego życia! ileśmy to pod waszemi gałęziami bajek sobie napletli, patrząc w te fossy, w których gdzieniegdzie stęchła i zielona woda odzywała się do nas głosem tysięcy żab, ostatnich dziedziców zamkowej okolicy, najdłużej panujących!....

„Czemuż nie mogę znaleźć książeczki, w której dzieckiem jeszcze, trawiony gorączką literatury i sztuki

ki, opisałem po dziecinnemu stare bialskie zamczysko: byłaby to dla mnie miła pamiątka.

„Mieszkałem u rektora Prejssa ¹⁾ niedaleko zamku, naprzeciw farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym akademią (była to dawniej kolonia naukowa). Naprzeciw okien stał murowany słup, dawniej granica Litwy i Polski. W tym to domu, na strychu, pierwszy raz rozmiłowałem się w starych książkach, i jakimże wypadkiem tam będących?!

„Uczeni owego czasu professorowie (wyjmuję z ich liczby A. Bartoszewicza, który pewnie o tém nie wiedział), otrzymawszy dla biblioteki dar wielu książek starych, wybrali nowsze i lepiej oprawne, a resztę kazali wyrzucić na strych. Chodziłem tam postrzegłszy to; — i jakem się bawił, przeglądając stare hołsztychy, usiłując zrozumieć co tam było napisano, w niepojętych jeszcze dla mnie językach! Już wówczas jakiś węzeł sympatyj łączył mnie z księgami; czułem na ich widok to, co czuje młodzieniec, gdy ujrzy przeznaczoną mu oddawna kochankę. Zdawało mi się że gdzieś widział to wszystko, że znał, przypominał sobie; zdało mi się że gdzieś, kiedyś te książki czytałem, że nie były mi obce, że nie były dla mnie nowe; czułem że nie pierwszą już kocham je miłością. Goethe byłby powiedział z Leibnitzem, że duchowa moja monada, szlachetniejsza część mnie, wyszła świeżo z jakiegoś bibliofila; mnie się to zdaje i zdało prostém tylko przecuciem przyszłości, które brało na się powstać wspomnienia.

„Mieszkałem u rektora, w stariej owiej akademii, o której wspomniałem. Dzień nasz schodził na nauce, zabawkach w ogrodzie, trzpiotaniu się, a wreszcie ukradkowych czytaniach książek już pożyczanych, już to tysiącami sposoby łapanych na drodze. W rekreacye chodziliśmy na spacer na wały zamkowe, do ogrodu akademickiego, do Pohulanki na warszawskiej drodze; rysowaliśmy lub tysiące czynili doświadczeń fizyczno-chemicznych, do których Gabryelek dopomagał nam, dostarczając potrzebnych ingrediencyj. Chemia Śniadeckiego służyła za przewodnika. Nieraz Bóg wie jakiego stuku i zapachu narobiliśmy, naśladowując Wezuwiusz w garnuszczyku. A co tam były za ciekawe eksperyencye z fizyki księdza Nolleta, z machiną elektryczną i elektroforem własnej naszej fabryki, ileśmy luster napsuli do natarcia poduszek, ile

¹⁾ Ś. p. rektor Prejss zostawił w Warszawie syna Aleksandra, naczelnika w Towarzystwie Kredytowém i naczelnika rachuby w Towarzystwie Dobroczyńności, który był kolegą szkolnym i przyjacielem jest do dziś dnia Kraszewskiego.

opiłków żelaznych i laku! Jeszcze dziś pomnę naszą radość, gdy udało się nam zrobić *arbor Dianae*, choć chemią tylko z książkiśmy znali. Tak to nas wszystko bawiło, zajmowało, cieszyło!

„Zapytacie mnie dlaczego to wszystko spisuję? Darujcie mi, rozgadałem się niechcący; człowiek gdy zacznie o młodości swjej latach mówić, to mu słowa i łzy płyną długo, długo, że je powstrzymać trudno.

„Skończywszy wszystkie klasy w szkole bialskiej, z poczetą powieścią, z pełną teką bajek, głową roztrzepaną, marzeniami rozbitą, z żądzą widzenia i nauki jechałem do Lublina. Ale jakaż wówczas była we mnie ta żądza nauki? Połknąć ją chciałem bez pracy; ciężkie nabywanie wiadomości nie podobało mi się; rwałem się do książek, do pisania, czekałem, że tak powiem, aby mi nauka sama przyszła. Małom umiał, przeczuwałem wiele.

„Droga babka odwoziła mnie do Lublina; nigdy nie zapomnę mojego wstydu. Zbliżaliśmy się do miasta: wieże kościołów już się z za wzgórzów ukazywały, biło mi serce mocno; nowe miejsce, nowi ludzie, nowi towarzysze mnie czekali.

— „Powiedz mnie, Józefie, odezwała się babka, pamiętasz ty co się w tém miejscu stało ważnego, pamiętnego?

Niestety! napróżno szukałem w głowie, czerwieniłem się, bełkotałem: unii lubelskiej przypomnieć sobie nie mogłem. Podpomogła mi babka i zawstydzonemu zaleciła, uczyć się lepiej historii. Kto wie, czy to drobne zdarzenie nie wpłynęło na zamiłowanie jej późniejsze, bo pamiętam że już w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytalem jakie mogłem książki historyczne.

„Lublin po Biały wydał mi się ogromny, wspaniały, ale pusty, zimny, bo w nim nie było jednej twarzy znajomej, jednego przyjaciela; a choć młodzieńcze przyjaźnie łatwo się zawiązują, początki poznania się są w pewien sposób przykre. Trzeba przejść nowicyat szyderstwa, wytrzymać próby, nim cię przyjmą towarzysze. Stałem u profesora Ostrowskiego ¹⁾, na bięde profesora matematyki, do której nigdy wielkiego nie miałem nabożeństwa. Cóż jednak robić, gdy gwałtem wciskają ci ją do głowy? Musiałem co dzień rozwiązywać zadania profesora, mozolić się nad algebrą i geometryą, choć mi one nic nie mówiły, i obiecywałem sobie porzucić je, jak tylko mi wolno będzie po-

¹⁾ Franciszek Ostrowski, magister filozofii, nauczyciel niegdys w Lublinie, wytłoczył w 1821 roku rozprawę pod tytułem: „Widok historyczny stanu nauk matematycznych w XVI wieku.“

kłonić się im i pożegnać. Tymczasem książki, których łatwiej można było dostać, pocieszały po suchych zadaniach. Książki te, bez żadnego wyboru chwytane, rozprzegające wyobraźnię, zapalające ją, często szkodliwe, tyle tylko na mnie wpływały, żem coraz jaśniej widział iż pisać muszę. Pisałem więc bez odczucia, gryzmołując, a niebardzo pilnie się ucząc. Z niepojętą też ciekawością biegałem po starym Lublinie. Pamiętam jak na farnym kościele zewnątrz znajdujący się dawny, wpół zatarty zrysowałem napis. Była to pierwsza antykwaryuszowska próbka; a professor, znalazłszy ją, jakkolwiek matematyk, nie wziął mi jęj za grzech wcale.

„W ogólności rok jeden przebyty w Lublinie nie zostawił mi wspomnień miłych, a jego zakończenie tragiczne odmówieniem mi nagrody, do której zdawało mi się żem miał prawo, do reszty mnie zraziło. Wśród czytania imion uczniów wybranych, rzuciłem książkami i seksternami o podłogę i oddaliłem się z sali. Ale dziś widzę, że słusznie bardzo zaprzeczono mi naówczas nagrody: jako uczeń nigdy się nie mógł odznaczyć. Więcej może naówczas umiałem od innych towarzyszy, bo w ciągu tego roku skorzystałem sam przez się czytaniem książek; ale gdzie było potrzeba nauczyć się czegoś na pamięć, wypowiedzieć *pensum* słowo w słowo, nigdy się nie mógł odznaczyć. Pamięć moja, skrzętnie chowając nazwiska i daty, pojedyncze fakty, wypadki, nie mogła się nakłonić do przyjęcia jednej seciny wierszy, półkartki prozy. Nieszczęściem wówczas w Lublinie, jak i po innych szkołach dotąd robią nauczyciele, zasadzano wszystko na dosłownym wyuczeniu, które do niczego nie prowadzi i jedną tylko pamięć chyba egzer cytować może. Ztąd, najłatwiej mogąc napisać zadanie, dość mając językowej wprawy, nigdy nie uchodziłem za dobrego ucznia, bo żadnej lekcji słowo w słowo nauczyć się nie potrafiłem. Dziś, gdy to piszę, z swoich nawet własnych robót dziesięciu wierszy powtórzyć nie umiem na pamięć.”

Z Lublina przeniósł się Kraszewski do gimnazjum grodzieńskiego we Swisłoczy, którą tak opisuje w témże dziełku:

„Spokojne życie Swisłoczy, gdzie trzeba się było koniecznie zająć nauką, choćby dlatego że czém inném nie było, i mnie i wielu innych zapewne zmusiło do oddania się namiętnego książkom, pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle, jak tylko nie ma nic coby oderwać mogło, coby nęciło jakim powabem, rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek

do życia zajęcia, któreby siły nasze wyczerpywało. Dlatego miasteczka takie jak Swisłocz, podobniejsze wsi niż miasteczku, ustronne, spokojne, najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się potrzeba koniecznie, lub z nudy umrzeć: i młodzi też się uczą.

„W większych miastach umysł się zapala widokiem żywego, działającego świata, życia: tu wszyscy otaczający oddychają nauką i przypomina ją tylko wszystko, a nic nie odrywa. To pewna, żem się ja więcej nauczył w czasie krótkiego pobytu w Swisłoczy, niż przeszłych lat po innych szkołach. Zaraz w początkach musiałem języka rosyjskiego, którego wcale nie umiałem, uczyć się skwapliwie, aby mi nie był przeszkodą do wyższej klasy. Wprędce obeznałem się z nim, i pierwszym tego dowodem było tłumaczenie Karamzina o szczęściu, które mi otworzyło wstęp do klass i zjednało względy profesora.

„Następnie wziąłem się szczerze do innych języków, mianowicie łacińskiego i greckiego. Nigdy was nie zapomnę paradoxa Cyceronowe, na których sił moich próbowałem! I tych nocy bezsennych, spędzonych z Adamem u jednego stolika, nad tłumaczeniem w togi poubieranych frazesów Tulliuszowych! I téj mianowicie nocy ostatniej, nocy majowej, którąśmy heroicznie przesiedzieli oba z książką w ręku, choć oczy nam się kleiły; a po ukończeniu bieглиśmy się kąpać w rzęce! Nigdy Cyceronowe paradoxa tak zimne nam się nie wydały, jak woda rzęczki przed wschodem słońca, z której dzwoniąc zębami wyskoczyliśmy, wracając do zimnej kąpieli z łaciny. I nie myślcie że tłumaczenie to, nad którym nocie nam schodziły, było zadaniem szkolnym i że nie samiśmy go sobie zadali.

„Pomnisz ty to jeszcze, Adamie?”

„Ja wszystko pamiętam, jednej zdaje się chwili nie straciłem z téj przeszłości, którą miło mi wspomnieć dziś jeszcze. Pamiętam i ciebie, uczony, łagodny profesorze Walicki ¹⁾, któryś mię na drogę filologiczną nad językiem pracy, zastanowienia wprowadził, któryś podał myśl téj historii języka polskiego, leżącej podziśdzień w tece, czekając rozpalonego kominka. Pamiętam zdrowe twoje rady, serdeczne przywiązanie do mowy, której czystości bronileś, którąś chciał nieskazaną wlać w usta uczniom twoim. I twe uszanowanie dla Kopczyńskiego, i twój wstręt do wyrazu *przedsta-*

¹⁾ Leopold Walicki, dziś wysłużony już professor-emeryt, był nauczycielem szkół w Międzybożu (na Podolu), w Łukowie i Warszawie na Lesznie. Jako wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, był uczniem słynnego filologa Grodka, razem ze swym bratem rodzonym Alfonsem, zgasłym świeżo w Charkowie 1858 roku.

wiam, barbarzyńskiego, naturze języka wbrew przeciwnego.

„Trzebaby też być niewdzięcznym, żeby takich rzeczy nie pamiętać.

„Zaczęte w Białym jeszcze powieści, porzuciłem już, porzuciłem poezję; wziąłem się do języków, a w szczególności języka swojego.

„Zaszczepiona chęć zgłębienia jego zasad, natury, przeszłości, pozostała na długo w umyśle. Pod wpływem to nauczyciela Walickiego, którego już nie miałem w Wilnie, począłem zbierać materiały do dziejów języka, chronologiczne wypisy z dzieł, wreszcie układać *Glossarium*. To ostatnie dzieło, którego bez wątpienia nigdy nie dokonam, mogłoby być użytecznym. W niem miały się zawrzeć wyrazy wyszłe zupełnie z użycia, z objaśnieniem kiedy były używane, w jakim znaczeniu, i kiedy były zarzucone; wyrazy, które zmieniły znaczenie na inne, jakich jest bardzo wiele, i t. p. Wyciągi z Lindego stały się podstawą *Glossarium*, ale przybyło do nich z czytania mnóstwo wyrazów, wiele znaczeń.

„Teraz tym stosem papierów podpale kiedy na kominku. Kończyć już podobno nie pora; a potem, zdałoby się to jeszcze dziś, kiedy z tego nieszczęśliwego języka takie dziwy wyprawiają? gdy archaizmy tworzą i domyślają się ich, nie uczą? gdy z jednej strony neologizmy okropne, z drugiej makaronizmy straszliwe zalewają i topią ostatnie szczątki starodawniej mowy?

„Ale powróćmy do Swisłoczy.

„W tém cichém i spokojném miasteczku, pomimo kilku nieprzyjemnych wspomnień, przebytych lat dwa wpłynęły zapewne ma moją przyszłość. Więcej tu pracowałem niż kiedykolwiek, ale zmieniłem kierunek. W Białym bawiliśmy się więcej niż uczyli, fizyką i chemią. W Lublinie męczyłem się matematyką. W Swisłoczy wziąłem się właściwie do języka i literatury. Tu czytałem Górnickiego, Reja, Kochanowskiego, świeżo wydanych w Warszawie w małej, taniiej edycji. Prócz tego jakie mi wpadły pod rękę książki, jakich od Walickiego dostać mogłem i z niewielkiej półki pana Hołówki zarwałem, czytałem wszystkie. Trzy czy cztery razy Molière wpadł mi w ręce; zawszem się nim jako nową znajomością cieszył. Nie kończyłem już powieści moich, bo pisałem obszerną rozprawę o przysłowiach; zbierałem wypisy z autorów szesnastego wieku; prócz tego ślecziałem nad łaciną, uczyłem się słowiańskiego i ruskiego języka. Wypadło zdjąć plan szkolnego gmachu, i to mnie, jako lepiej rysującemu, polecono. O ile sobie przypominieć mogę, niebardzo mi się uda-

ła architektura, chociaż ją nauczyciele z zadowoleniem przyjęli. Obok tych zatrudnień szły jeszcze lekcje muzyki, ale powolnie nudnie, a podobno bezkorzystnie. Nie mając w domu fortepianu, czegoż się można było nauczyć z dwóch czy trzech w tygodniu lekcyj?

„Tak w mgnieniu oka te dwa lata przebiegły, przeleciały. Ze starych szkolnych przyjaźni nie pozostała mi żadna. Towarzysze rozbiegli się po białym świecie, każdy w swoją stronę, pędząc za szczęściem, za niedolą. Jednego tylko z moich nauczycieli, Walickiego, widziałem potem raz jeszcze.

„Ze wspomnień wypadkowych nie przychodzą mi na pamięć inne, nad pogrzeb rektora, na którym miałem mowę, wśród paroksyzmu febry, zapewne z wielkim bólem uczuciem wyrzeczoną, bo głowa pękała i gorączka mię właśnie trzymała w swoich objęciach. Dwie nagrody i patent (jak w królestwie polskim nazywano świadectwo *maturitatis*) otrzymałem. Teraz miałem jechać do uniwersytetu. Zdawało mi się że był poważnym człowiekiem. Ręka napierała się do pióra, które mi później tyłu wytrącić chciało i teraz jeszcze usiłuje. Głowa paliła się nadziejami przyszłości, nigdy się nie mającemi ziścić! Wyjeżdżałem ze Swisłoczy modląc się do tych aniołów stróżów¹⁾, którzy mnie prowadzić mieli po świecie!

„Straszna burza z piorunami napadła mnie na wyjeździe do Wilna. Byłaż-to przepowiednia burzy, w której tyle szwankować miałem i cierpieć tyle? Nie wiem. O Wilnie *kiedyś* później wam powiem.”

Na tém w *Obrazach z życia i podróży* kończy wieści o sobie Kraszewski, zostawując dopowiedzenie reszty żywota swego innym.

Tyle pożyteczne tak znakomitego pisarza zajęcia, których najprawdziwszém określeniem jest dewiza położona przez Kraszewskiego na kilku książkach i artykułach jego: „*Nulla dies sine linea*,” wymagają wejrzenia w szczegóły codziennego niemalżycia, bo to życie, należy do nas wszystkich, bo to życie dobrowolnie sam autor oddał na usługę kraju i spółziomków. Jeślibyśmy się więc i rozszerzyli nieco nad mniej ważnemi rzeczami, raczą nam wybaczyć łaskawi czytelnicy tego pisma, gdyż uważaliśmy że każda nawet małość o tak wziętym i ukochanym pisarzu jest własnością ogółu, zająć może i powinna każdego

¹⁾ Wjeżdża się do Swisłoczy ulicą, zaczynającą się od kościoła *Aniołów stróżów*: to też autor młody czyni tu zwrot alluzyjny do tych patronów młodzieży.

myślącego człowieka, choćby dla tego samego, iż wykazuje drogi jakie przebiegał autor ulubiony, że wykazuje tamy lub bodźce jakie w wędrówce życia i zawodzie obranym napotykał Kraszewski.

Nim wrócimy do Wilna, o którym dotąd, mimo zapowiedzenia przedszesnastoletniego, nie dał nam autor opowieści siebie dotyczącej, nawiasowo tylko przytoczymy tutaj zdanie jego własne, jakie o swoich najpierwszych wyrzekł utworach w *Wędrówkach literackich, fantastycznych i historycznych*, w artykule p. t. *O różnych rzeczach*, pisany w roku 1834 czy też 1835, z dewizą: „Video meliora, proboque, deteriora sequor.”

„Byłem bardzo młody i nadto młody, kiedym zaczął pisać. Wyobraziłem sobie dziecinnie, że dość jest chcieć, ażeby zrobić dobrze, wyobraziłem sobie że przeżyłem świat i ludzi, bo znać ich nie mogłem. Pisałem więc. Z początku mi odradzano, potem śmiać się zaczęto.

„I wistocie było czego.

„*Pan Walery*, którego drukowałem pod obcym nazwiskiem śmiesznym (które mi Bóg wie wiele przykrości narobiło), pan Walery jest nieforemną rapsodyą, w której chciałem gwałtem mieć dowcip, a wistocie napakowałem tylko frazesów.

„Potem nastąpił (zawsze przez Pasternaka, nie przezemnie pisany) *Wielki świat małego miasteczka*, piśmanko trochę zgrabniejsze pod względem układu, bez myśli jednakże, z najgłupszym jak być może rozwiązaniem, w którym imaginacja wyraźnie jest torturowana, żeby coś urodzić, i rodzi tylko słabe bardzo kopie.

„Nie dziwno mi wcale, że znaleźli się tacy, którzy chwalili tę książeczkę w jakiejś gazecie; interes księgarza wymagał tego.

„Potem już niby mocniejszy, śmielszy, odważyłem się na *Kościół Święto-Michalski*, w wielu miejscach fałszywy co do badań historycznych o Wilnie, lepszy co do wykonania, ale równie bez planu zupełnego, jak poprzednie próby.

„Po *Kościelu* spadłem na drugi, daleko gorszy obraz historyczny, nudny i źle pisany, a pisany daleko wprzód od kościoła, chociaż drukowany później. Będę sobie miał długo do wyrzucenia, że go drukowałem: na co się to zdało, kiedy nie zabawne i nie nauczające. (Jest to *Ostatni rok panowania Zygmunta III*).

„*Pan Karol* wystąpił po tym wszystkiem. Ułożyłem go, napisałem, przepisałem we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miałem zatrudnienia. Tak mało wypracowany, chociaż więcej ma ciągu i myśli, chociaż

żywiiej interesuje, choć będzie się wielu osobom zdawał wcale oryginalnym, plan jego jednak tak jest już stary, jak wszystkie Don Juany. A przytém wyrzucono mi nadto gruby, często nieprzystojny sposób obrabiania rzeczy, któreby się grzeczniej i przystojniej powiedzieć dały. Nie przyjmuję tego zarzutu co do rozmów, bo te dla naturalności musiały być w całej swojej naiwności wypisane, ale co do opisów. Zresztą charakterystyki są przesadzone i nie nowe.

„*Cztery wesela*, jakkolwiek nie wypracowane, lepsze są pewno od wszystkiego co je poprzedziło, przynajmniej w moich oczach. I nie jest to uprzedzenie autorskie; wszak mówię com zrobił złego. Zresztą daję moje zdanie, nie jako dobre, ale jako moje ¹⁾. W czterech weselach mniej jest przesady, dosyć ciągu i wiele życia. Nie bez tego jednak, żeby i w nich wiele do krytyki i śmiechu nie było. A najprzód, co znaczy zemsta pana Hilarego, jego obejście się z pierwszą i drugą żoną? Potem Adolf, nie jestże zanadto głupi i słaby? a Julia nadto niecotliwa? pan Aleksy nie jestże karykaturą?

„*Improwizacje*, pisane bez poprawek do druku (tak jak ta książka), tém są złe, że są niepoprawione, potem że ton panujący w nich, jak w panu Karolu, słusznie wielu osobom zanadto grubym się zdaje. Artykuł o osłach jest nic nieznaczący, o diabłach niekompletny, o gryczanej kaszy bez sensu. Niepotrzebna jest fantazyja niedokończona ostatniego artykułu o pannie chorążance.

— „Ach! zawołają czytelnicy, czemużes sobie tych uwag przed drukowaniem nie zrobił? Czemuś nie poprawił, nie wygładził, nie okrzesał?

— „O! moi mili panowie, gdyby to warto było tyle pracy, pewnoby jęj nie odmówił. Dawniej strojono pieczyste w pióra ptaszków i kwiatki, dziś go nie stroją, a i dawniej i dziś dobre pieczyste jedzą, a złego nie chcą, chyba głodni.”

W tychże samych „*Wędrówkach*,” w innym rozdziale, zatytułowanym: „*Nasza gawędka o szarej godzinie*” daje obrazek pewnych chwil życia swego w Wilnie, tak go szkicując:

„Kiedym był w mieście..... zostawaliśmy wieczorem, po niemiecku, z fajkami, bez chustek, bez przymusu, bez próżnych etykietalnych dla siebie względów; zostawaliśmy improwizować komedye, śmiać się z ludzi i z siebie, bzdurzyć o fraszkach, gawędzić o wielkich, niepojętych rzeczach.

¹⁾ Montaigne.

„Przyznać trzeba że marzenia Hofmanna w sławnej jego kawiarni przy fajce, przy wazie ponczu, nie były pewnie słodsze wielkiemu marzycielowi niemieckiemu, jak nam te wieczory, przy fajce także, przy fortepianie, przy porterze, czasem i przy tém świetle czerwonym piecyka, które powinno być jedynym światłem każdego fantastycznego obrazu.

„O słodkie godziny zapomnienia całego świata! Cóż mnie wówczas obchodziły śmiechy, które ktoś robił sobie zemnie daleko, krytyka płowa najętego dziennikarza, plotki głupie próżniaków, drwiące spojrzenia najemników księgarskich? Co mnie obchodziły wszystkie świata sprawy, kiedym uniesiony w inny kraj daleko, marzył, mówił, myślał tak, jakby nie było ani wczoraj, ani jutra, ani ludzi, ani świata!

„Na stole miałem książkę, w ręku miałem jedyną, nieodstępną przyjaciółkę—fajkę; w około byli ludzie, którzy choćby potem poszli szydzić ze mnie, w tej chwili rozumieli mnie i myśleli na wspólnie ze mną! Na cóż mi była reszta?

„Nic nie ma podobnego wdzięku do przyjacielskiej, poufałej rozmowy serc i dusz. Wówczas ludzie nikną, względy potworzone dla głupców przez głupców ustają, wszystko się ścięra, łączy, zlewa, i myśli związane w jeden wieniec ulatują wysoko, wyżej niżby same pójść mogły.

„O, młody wieku! to są twoje najdroższe rozkosze, to zapomnienie i zaparcie się siebie i jutra; to spoufalanie się, którego niedowierzający starcy znać nie mogą, bo się boją wszystkiego, bo wszystko ich zdradziło, bo przeżyli złudzenia swoje!”

Kończy ten ustęp autor pożegnaniem kolegów ojedenaściej w nocy:

— „I cóż tam robić będziesz? rzekł jeden z gości.

— „Naturalnie spać—tego wam wszystkim życzę.

— „A ja siadam dopiero do roboty, odpowiedziałem; to mój zwyczaj. W dzień nic robić nie mogę, w nocy jestem sam; wszędzie cicho, wszystko śpi. Jest jakaś rozkosz tajemna w takiej pracy, a żaden z was pewnie wyobrazić sobie nie może skutku jaki na mnie sprawuje odgłos dzwonka bernardyńskiego, dającego mi znak snu o czwartej.

— „Nigdy tym sposobem zdrów nie będziesz—rzekł uczeń medycyny—sen najzdrowszy przed północą.

— „Słyszę to oddawna—a jednak...”

A jednak, (skończmy za autora) dwadzieścia kilka lat upłynęło od owego czasu jak to pisał Kraszewski, wszakże trybu życia swego pono całkowicie nie zmienił. Dziś pan domu, a więc zarządca niby i czasu

swego, mimo to każdą chwilę tak ma w dzień zajęta; że mu zaledwie tylko późna pora do pracy piśmienniczej zostaje. Wśród zwykłego zajęcia od samego rana, po przeczytaniu gazet i pism czasowych, po naszkicowaniu rysunków w stambuchu lub obrazków na płótnie, po załatwieniu interesów gospodarskich większych, po odpisaniu na tysiączne korespondencye, po zadośćuczynieniu interesom rządowym i prywatnym formom światowym, po strawieniu kilku godzin z odwiedzającymi go lub odwiedzanymi przezeń osobami, tak mało pozostaje swobody umysłowi i odpoczynku zwątlonemu organizmowi materyalnemu, że jedne tylko cienie nocy mogą mu posłużyć na pisanie rzeczy poważniejszych lub czysto literackich.

Ale odsunęliśmy się od chronologicznego porządku rzeczy, przeskakując z błogich czasów akademickich, które zawsze sam Kraszewski z taką werwą opisuje, wprost na czterdziesty siódmy rok żywota pełnego zasług męża.

Nie godzi się nam odkrywać zupełnie zasłony otaczającej prywatne życie człowieka, chociaż takich ludzi jak Kraszewski domowe na wet chwile do ogółu należą. Ponieważ jednak przenieśliśmy się z autorem tytuł wzniosłych obrazów do Wilna, przeto nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj, że on w dwóch swoich utworach nie na gorącym kutych kowadle, lecz nieco później, a więc w zimniejszych poniekąd formach odlanych, to jest w „*Powieści bez tytułu*” i w „*Pamiętnikach nieznanego*” odszkicował niejednokrotnie siebie i odmalował dość plastycznie stosunki swe wileńskie lat młodszych z wielą osobami. Późniejszy jego biograf śledzić będzie te pisma z wielką uwagą, i rozwiązywać zechce niejedną zagadkę w węzle gordyjskim przez autora umiejętnie i naumyślnie poplątanym. Ale tych, którzyby chcieli się nazwać odgadywaczami tej prawdziwej szarady przeszłości, i którzyby może tylko sami, po pisarzu, domacać się prawdy mogli, tych może już wtedy na tej ziemi nie będzie! Mówmy więc tymczasem wszyscy choć to, o czém wiemy.

Przybył do uniwersytetu wileńskiego Kraszewski za rektorstwa Pelikana, a kuratorstwa nieżyjącego już dziś hrabiego Nowosilcowa. Było to w r. szkolnym 18²⁹/₃₀. Około ośmnastu lat zaledwie liczący, przyszedł pisarz-poeta zamyślał o utworzeniu pewnego stowarzyszenia literackiego młodzieży. Nie udało się to. Kraszewski przebył do 19 marca 1832 roku w gmachach niegdyś jezuickich świętego Ignacego. Opuściwszy te mury, zajął się natychmiast przejrzaniem archiwów miejskich, do których mu wstęp otworzył generał-gu-

bernator księżę Dołgoruki. Wdzięczny autor historią Wilna jemu za to poświęcił.

W tymże czasie zawakowała posada lektora języka polskiego przy uniwersytecie śgo Włodzimirza w Kijowie świeżo utworzonym. Konkurowali o to miejsce znamienici pisarze, między którymi byli D. S., T. K. i t. p.

Kraszewski napisał także rozprawę konkursową o języku polskim, którą rada uniwersytetu uznała za odpowiednią i na lektora do uniwersytetu go przeznaczyła 18³⁴/₃₅ roku. Autor jednak nie mógł przyjąć tej posady, bo zaszła wtedy ważna zmiana w życiu poety. Kraszewski, będąc na Wołyniu przy jednej z większych bibliotek prywatnych, poznał w tamtych stronach synowicę prymasa Woronicza, pokochał się... i ożenił.

Odtąd poeta-literat, przebywający dotychczas kolejno w Dołhem, Omelnie, Horodcu, osiada już stale, jak drugi Feliński, na Wołyniu we wsi Grodku, o 14 wiorst wiorst od Łucka, i zostaje gospodarzem-rolnikiem. Czytaliśmy w Tygodniku Petersburskim około roku 1838, (jeśli nas pamięć nie myli) wiersh jego pisany do przyjaciela Józefa Krzeczковского, w którym poetycznie unosi się nad tą chwilą, kiedy pierwsze ziarno rzuca do ziemi ojczystej. Aleć ziarna nauki rzucane przezeń w pismach, więcej niezawodnie wtedy były warte od wszystkich bogactw rolnych.

Bóg daje każdemu człowiekowi inne powołanie. Gospodarz z książki, według dawnego przemówiska, niewiele znaczy u praktykantów. I nawzajem, gdyby najzawołańszy gospodarz usiadł do utworzenia książki, niezawsze mu się wszystko składnie kleić będzie, chyba że, jak drugi Chłapowski, pisać zechce o roli.

Tak też się stało i z Kraszewskim. Kilkakrotnie chciał skruszyć pióro i przedzierzgnąć się w ekonoma, lecz go wewnętrzne wstrzymywało powołanie, i poczucie wyższych obowiązków co innego mu wskazywało. Wolał więc dobrego przyjąć ekonoma, czy też rządzcę, a sam być po dawnemu pisarzem.

Sprzedawszy Gródko, nabył inną wioskę na Wołyniu, Hubin. Do Hubina przybyły potem Kisiele, duży i piękny majątek.

Siedziałby we *wsi spokojnej i wesolej* biograf Kochanowskiego ¹⁾, gdyby dorastające dzieci nie potrzebowały coraz wyższych nauk. Tą potrzebą wiedziony, troskliwy ojciec począł się starać o przeniesienie do jakiegoś większego miasta.

Na pierwszym planie były Warszawa lub Kraków.

¹⁾ Patrz *Studia literackie* (1842), *Orełdownik naukowy*, oraz *Nowe Studia literackie* T. II od str. 7 do 114.

Tak się przygodnie złożyły wypadki, że właśnie w owym czasie opuszczał katedrę historii literatury powszechnej Michał Wiszniewski. Minister oświecenia w Wiedniu skłonny już był wezwać Kraszewskiego do zajęcia krzesła w stariej uczelni jagiellońskiej, ale i tu stanęły na zawadzie w części przedziały graniczne, w części zdecydowanie się Kraszewskiego na punkt oparcia w Żytomierzu, jako mieście gubernialnym tej prowincyi, gdzie miał swe posiadłości ziemskie. Tu więc, w domu własnym przy ulicy małej berdyczowskiej, zgromadził owe przepyszne zbiorry rycin (których liczy do 30,000 sztuk), starożytności, ksiąg i malowideł, tu osiadł, i tu, jak dawniej, nie przestaje obdarzać powszechności czytającej swemi utworami.

Ale czynność Kraszewskiego w stolicy Wołynia nie ograniczyła się tylko na samej literaturze. Został tu wybrany jednogłównością szlachty na kuratora honorowego gimnazjum żytomierskiego, w którym miał dwóch swoich synów, ¹⁾ i dzielnie się przyłożył do podniesienia sceny polskiej w pięknym teatrzyku nowym, wymurowanym 1855 roku.

W zeszłym (1858) roku po raz pierwszy puścił się w kilkomiesięczną podróż zagraniczną; zwidził Niemcy, Włochy, Francją, i przez Warszawę, której przyrzekł zostawić czterotomowy opis drogi przebytej, wrócił do zacisza żytomierskiego.

W roku 1843 bawił przez kilka miesięcy w kąpielach czarnego morza, i wtedy został członkiem czynnym Towarzystwa historii i starożytności w Odessie.

Zresztą Kraszewski jest domorosłym i obywatelem i pisarzem. Najlepiej zna ukochaną przez się Litwę, w której najpoetyczniejszą, najmłodszą część żywota spędził. Po niej wszedł w bliższe stosunki z Wołynia mieszkańcami. Po zaniemeńskich i zabużańskich stronach, idzie dopiero w jego studyach i bliższym zapoznaniu się królestwo polskie. W Krakowie był dopiero po raz pierwszy w roku zeszłym. Poznańskiego, Czerwonój i Białój Rusi nie zna wcale. Nie wiemy dlaczego w ostatniej wędrówce swojej Lwów opuścił. Powinien był tam zajrzeć koniecznie, choćby na chwilę, jak do starego Krakusa grodu.

Przebiegliśmy tutaj w krótkości szczegóły pożytecznego, poza literackiego zawodu Kraszewskiego, który, jako ściśle połączony z jego zajęciami piśmienniczymi, staraliśmy się jaknajbezsronniej i najtreściwiej tu określić.

¹⁾ Gdy to piszemy, syn jeden już od pół roku jest studentem w uniwersytecie kijowskim.

Co do utworów zaś jego wyobraźni, co do badań jego dziejowych i zajęć artystycznych, gdybyśmy chcieli całkowitą a szczerą wypowiedzieć prawdę, musielibyśmy sporą napisać książeczkę. Śledzenie rozwoju umysłowego tak okwitego autora potrzebuje przydłuższych szczegółów. Rozbierać wszystkie pisma krytycznie, lub chociaż tylko treść podawać tego co Kraszewski wypracował w zakresie historii, powieści, dramaturgii, estetyki, filozofii, poezji, krytyki, humorystyki, archeologii, sztuk pięknych, grammatyki, podrózpisarstwa, redakcyi tak Athenaeum, jak różnych pamiętników, oraz ocenić go jako rysownika, malarza, muzyka, urzędnika, zawiadowcę teatru, ani nasze siły, ani tu miejsce, ani czas po temu.

Wiele powieści Kraszewskiego mamy tłumaczonych na obce języki, a mianowicie Aleksander Przeździecki przełożył na język francuzki *Poeta i świat* (pod imieniem Noirville'a, od majątku *Czarny Ostrów*); na niemiecki przez Fritza we Wrocławiu kilka powieści; na język rossyjski, *Całe życie biédna* przez Polewoja w Petersburgu; parę powiastek przez Afanasiewa w Kijowie, oraz w bieżących dziennikach moskiewskich i petersburskich.

Skimborowicz w Przeglądzie naukowym z roku 1843 podaje datę urodzenia Kraszewskiego, nie wiemy o ile pewną. ¹⁾ Podług niego, autor nasz urodził się w Warszawie 26 lipca 1812 roku z Jana i Zofii z Malskich Kraszewskich.

Od czasów szkolnych, jak to już sam nam wyznał szanowny autor, pisał ciągle Kraszewski. Zobaczmyż ile napisał. Nie miał on pomocników, jak Dumasy i Walter Scotty, a jednak wydał ogromną ilość najróżnorodniejszych utworów.

	Tomy
Pan Walery, powieść z XIX wieku. Wilno, 1831 w 18-ce.	1.
Wielki świat małego miasteczka, powiastka. Wilno, 1832 w 16-ce	2.
Pan Karol, powieść fantastyczna. Wilno 1833 w 18-ce (wydanie 2 w Szkicach obyczajowych i fantastycznych 1840).	2.
Kościół Święto-Michalski w Wilnie, obraz historyczny z pierwszej połowy XVII w. 1833 w 12ce	2.
Ostatni rok panowania Zygmunta III. Wilno, 1833 w 12-ce	2.
Dom biały, romans Kocka z francuz. Wilno, 1833	5.

¹⁾ Możemy zaręczyć autora artykułu, że daty p. Skimborowicza są pewne, gdyż je sprawdzaliśmy w aktach kościoła Ś-go Krzyża, gdzie p. Kraszewski był chrzczony. (Przyp. redak.).

	Tomy
Cztery wesela, szkic fantastyczny. Wilno 1834 w 8-ce; drugie wydanie <i>tamże</i> , z dodatkiem improwizacyi fantastycznej: „Było nas dwoje” (z trzema rycinami).	2.
Improwizacye dla moich przyjaciół, książeczka do zapalania fajek. Wilno 1834 (z poświęceniem Józiovi od Józia). Wydanie 2 poprawne 1844 roku <i>tamże</i>	1.
Majster Bartłomiej, powieść fantastyczna. Wilno, 1837 w 16-ce	1.
Dwa a dwa cztery, czyli piekarz i jego rodzina. Wilno, 1837 w 16-ce	1.
Wędrowki literackie, fantastyczne i historyczne (pisane w r. 1835). Wilno, t. I roku 1838, t. II 1839, t. III 1840 w 8-ce.	3.
Poezye (z wizerunkiem litografowanym autora). Wilno, 1838 w 18-ce. Wydanie drugie w Warszawie (znacznie powiększone) 1843	2.
Wilno od początków jego do roku 1750. Pierwszy tom wyszedł 1838 r. w drukarni Blumowicza. Powtórne wydanie tegoż tomu w roku 1840, razem z następnymi 1841 i 1842 z 19 rycinami, stronic XXIV i 477; 528, 383 i 402	4.
Całe życie biédna, powieść. Wilno, 1840 r. Drugie wydanie <i>tamże</i> w szkicach obyczajowych i historycznych 1841	1.
Świat i Poeta, powieść. Poznań 1839 w I tomie. Wydanie drugie Wilno, 1841 w 8-ce.	2.
Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy. Wilno, 1840 w 8-ce	2.
Mistrz Twardowski, powieść z podań gminnych. Wilno, 1840	2.
Historya o bladój dziewczynie z pod Ostrój Bramy. Wilno, 1841 w 8-ce	1.
Stańczykowa Kronika od roku 1593 do 1598. Wilno, 1841 w 8-ce.	1.
Ostatnia z książąt słuckich. Kronika z czasów Zygmunta III (z 3-ma rysunkami Kraszewskiego). Wilno, 1841 w 8-ce	3.
Szatan i Kobiéta, fantazyja dramatyczna. Wilno, 1841	1.
Studia literackie. Wilno, 1842	1.
Obrazy z życia i podróży. Wilno, 1843 (z 3-ma rycinami robionemi przez autora)	2.
Latarnia Czarnoksiężka, obrazy naszych czasów. Warszawa, oddział I 1843, oddział II 1844 r.	8.
Tęczyński, dramat historyczny prozą w 5 aktach. Wilno 1844 (właściwie 1843)	1.

<i>Tomy</i>	<i>Tomy</i>		
Ulana, powieść poleska 1843 Wilno. 2 Wyda- nie u Wolfa w Petersburgu 1855.	1.	w części drukowana w Tygodniku Petersburg- skim) 1853, Petersburg.	1.
Powieść składana (z John'em of Dycalp'em). Wilno, 1843	1.	Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów, 1850	1.
Nowe Studya literackie. Warszawa 1843 w 8-ce	2.	Budnik, obrazek (drukowany w Bibliotece War- szawskiej 1848 i oddruk z tegoż pisma). Wilno,	1.
Powiastki i obrazki historyczne. Wilno, w 8-ce	1.	1850	1.
Pomniki do historyi obyczajów w Polsce w XVI i XVII wieku, zebrane z rzadkich druków. War- szawa 1843	1.	Nowe Pamiętniki Lamartine'a (z francuzkiego). Wilno, 1851.	1.
Akta babińskie, pismo nie peryodyczne i nie- zbiorowe. Wilno 1843 i 1844 w 12-ce	2.	Ładowa Pieczara, obrazek wiejski. Wilno, 1852	1.
Witoloraua, pieśń z podań Litwy. Wilno, 1842. Nakład autora	1.	Ostatni z Siekierzyńskich, historia szlachecka. Petersburg, 1852 w 12-ce	1.
Anafielas, 3 pieśni z podań Litwy. Witolorau- da przerobiona i powiększona z 50 drzeworyta- mi Smokowskiego i muzyką. Wydanie II Wilno 1846. Mindows 1843, tamże. Witoldowe boje z ry- ciną. Wilno 1845 w 8-ce większej	3.	Komedyanci, powieść we czterech tomikach, z których dwa pierwsze wyszły w Petersburgu 1851, dwa drugie w Warszawie	4.
Maleparta, powieść historyczna z XVIII wie- ku. Lipsk 1844, w 12-ce.	4.	Stary sługa, powieść, Warszawa, 1852	2.
Pod włoskiem niebem, fantazyja. Lipsk 1845.	1.	Złote jabłko, powieść. Warszawa, 1853.	4.
Pamiętniki nieznanego. Warszawa 1846. Wydanie drugie powiększone, Wilno, 1854.	2.	Interesa familijne (drukowane w Gazecie Warszawskiej). Petersburg, 1853	4.
Czasy Zygmuntofskie, powieść z 1574 roku. Warszawa 1846	4.	Diabeł, (powieść drukowana w Gazecie War- szawskiej), drugie wydanie Wilno 1856, cztery tomy w dwóch	2.
Litwa, starożytne jej dzieje, ustawy, język, wia- ra, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania. War- szawa 1847	1.	Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego (w Ga- zecie Warszawskiej) i oddzielnie w Wilnie 1857	4.
Litwa za Witolda, opowiadanie historyczne (wyjątek z Athenaeum 1849) Wilno.	1.	Chata za wsią, powieść (drukowana w Biblio- tece Warszawskiej). Drugie wydanie Warsza- wa 1855	3.
Złota legenda artystów (z angielskiego). Wil- no 1848 (było i w Athenaeum)	1.	Dwa światy, powieść (drukowana w Gazecie Warszawskiej). Wilno 1856, cztery tomy w dwóch	2.
Wspomnienie Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Wilno, 1845 i 1846	3.	Metamorfozy, powieść, (drukowana w Gazecie Warszawskiej) 1858.	4.
Sfinks, powieść. Warszawa 1847	4.	Powieść bez tytułu, (drukowana w Gazecie Warszawskiej). Wilno 1856, cztery tomy w dwóch	2.
System Trentowskiego treścią i rozbiorem ana- lityki logicznej okazany. Lipsk 1847	1.	Dwie komedyjki. Wilno, 1856	1.
Ostrożnie z ogniem, powieść. Lwów 1849	1.	Ikonotheka, zbiór notat o sztuce i artystach w Polsce. Wilno 1858, (przy Tece Wileńskiej wychodzi jako dodatek)	2.
Million posagu, powieść. Warszawa 1847	2.	Hymny boleści. Paryż 1858, w 8-ce większej	1.
Pan i szewc, powieść (wyjęta z Athenaeum 1849) Wilno 1850. Wydanie drugie u Wolfa w Pe- tersburgu 1853	1.	Żaki krakowskie	1.
Ostap Bondarczuk, powieść. Wilno, 1847. Wy- danie drugie z Jaryną 1853, tamże	1.	O sztuce u Słowian, (z wielą rycinami). Ręko- pis z roku 1848 znajduje się u Bolesława Pod- czaszyńskiego, który go miał drukować w Pa- miętniku sztuk pięknych	1.
Jaryna, część druga Ostapa Bondarczuka. Wil- no 1850. Wydanie drugie z Ostapem razem 1853, tamże.	1.	Pan Hrabia, komedia w rękopisie	1.
Kordecki, powieść historyczna. Wilno 1852	2.	Pamiętniki Józefa Drzewieckiego, z przyda- niem wiadomości o życiu autora (drukowane w Athenaeum) i oddzielnie 1851. Wydanie no- we powiększone, Wilno 1858, z 3-ma portretami	1.
Dziwadła, powieść współczesna. (Najprzód		Boża Czeladka, opowiadanie w 3-ch częściach	

(drukowane wprzód w Gazecie Warszawskiej).
Wilno, 1857 3.

Starościna belzka (Gertruda z Komorowskich Potocka) opowiadanie historyczne 1770—1774 (drukowane w Gazecie Codziennéj) i oddzielnie Warszawa, 1857 2.

Trapezologion, (drukowane w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych) i oddzielnie, Warszawa 1855. 1.

Podróż Króla Stanisława Augusta do Kaniowa (drukowana w Gazecie Warszawskiej 1858) . . . 2.

Mogiły i Abrakadabra, dwa fragmenta, oraz diariusz podróży z Warszawy do Petersburga, (Kazmirza Konstantego Platerra). Warszawa, 1859 1.

Podróż do miasteczka, powieść (drukowana wprzód w Gazecie Codziennéj) z dodatkiem kilku pomniejszych. Warszawa, 1858 1.

Okruszyny, w Mohilowie nad Dnieprem 1856. 3.

Gawędy i rozbiory, (oddruk z Dziennika literackiego). Lwów, 1857. 1.

Podróż do Włoch (przygotowana do druku) . . . 4.

Ostatni człowiek, (powieść nieskończona) . . . 2.

Dodaćby tu jeszcze wypadało redagowane przezeń Athenaeum, którego pierwsze lata zappełniał po większej części artykułami własnymi, poniekąd oryginalnymi, a w większej części tłumaczeniami z innych dzienników. Athenaeum liczyło dwa szeregi, z których pierwszy miał sześciotomowych oddziałów 6, a drugi 4; razem więc wyszło tego pisma tomów. 60.

Ogólna więc dotąd liczba prac Kraszewskiego mogłaby się liczyć około dwóchset dwudziestu dwóch tomów. Tém bardziej ta liczba za prawdopodobną, ba nawet za najrzeczywistszą mogłaby się uważać, gdybyśmy w to wliczyli rozproszone po pismach czasowych i pisemkach artykuły. Kraszewski bowiem był współpracownikiem, czy też korespondentem, nie tylko dzienników poważniejszych, ale nawet i noworoczników. Przytaczamy tu na dowód poczet pism, w których mieściły się artykuły jego:

1. Noworocznik litewski Hippolita Klimaszewskiego, 1830 Wilno.
2. Znicz 1833, Wilno. Noworocznik.
3. Znicz 1834. Wilno, noworocznik.
4. Biruta, noworocznik 1835, Wilno.

- Tomy*
5. Bojan, pisemko zbiorowe Adama Pieńkiewicza. Wilno 1837.
 6. Biruta, noworocznik wileński na rok 1838, redakcyi Józefa Krzeczковского, podobnie jak i trzy poprzednie noworoczniki.
 7. Linksmine, noworocznik litewski K. A. Ludwika Jucewicza. Wilno 1839.
 8. Noworocznik księdza A. Krasieńskiego, wydawany w Petersburgu.
 9. Niezapominajki Karola Korwela, wydawane w Warszawie.
 10. Gazeta Poranna, 1839, 1840 i 1841.
 11. Piśmiennictwo krajowe wydawane przez Hippolita Skimborowicza w Warszawie.
 12. Przegląd naukowy Dembowskiego i Skimborowicza. Warszawa 1842.
 13. Pielgrzym Eleonory Ziemięckiej.
 14. Biblioteka Warszawska.
 15. Tygodnik Petersburgski.
 16. Bałamut Petersburgski.
 17. Gazeta powszechna w Warszawie 1842.
 18. Gazeta Warszawska.
 19. Gazeta Codzienna.
 20. Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych.
 21. Orędownik naukowy.
 22. Dziennik literacki.
 23. Rocznik literacki R. Podbereskiego.
 24. Athenaeum.
 25. Wizerunki i roztrząsania naukowe.
 26. Teka Wileńska.

Zebrane artykuły z tych efemeryd i poważniejszych dzienników (jakkolwiek w niejakiéj części weszły już w skład innych tomów pism Kraszewskiego), jednakże niektóre z nich, bądź wartości czasowej tylko, bądź i ważniejsze, mogłyby jeszcze niezawodnie kilka stanowić tomów.

Dodajmy wreszcie że Kraszewski jest w sile wieku i życia, a więc może nas jeszcze większą pism ilością obdarować. Oto na przykład w téj chwili dowiadujemy się, że pracuje nad dziejami najpiękniejszej u nas epoki, Zygmunta Augusta. Daj mu Boże najdłuższego żywota i zapału do nieustawiania w gorliwych dla dobra literatury i kraju zajęciach.

C. Z. K.

UPADEK KONSTANTYNOPOLA

(w 1453 roku).

Mało jest wypadków w dziejach Europy, któreby, pod względem historycznej ważności mogły się równać z pamiętnym obleżeniem przez Turków największego miasta południowej jej części. Podobnie jak nieraz odzywają się z całą świeżością w naszej pamięci zdarzenia lat dziecinnych, chociaż je oddawna za zatarte uważaliśmy, tak obecnie zaprzątienia polityczne epoki obudzają w nas zajęcie, które silnie się wiąże z jednym z wypadków ubiegłych stuleci.

Historia obleżenia Konstantynopola ma nawet dzisiaj znakomitą wartość praktyczną. Wiemy iż losy Wschodu dopełniają się; jakkolwiek więc ciemnym może być jeszcze jego koniec, jakkolwiek niewiele znaczącymi są badania historyczne, gdy idzie o uchylene zasłony przyszłości, jakkolwiek wreszcie mało dostarczyć one zdołają domysłów o tém co się stanie, podadzą nam jednak dosyć uzasadnionych wniosków o tém co się stać nie może.

Zawikłania, w które państwo ottomańskie ostatecznie wpadło, dostarczyły nam wiele wiadomości dotyczących się tego kraju i jego mieszkańców; z niem razem przeżyliśmy część jego udręczeń, przetrwaliliśmy i czuli, jak ciężar na własnych barkach, wszystkie trudności jakie przeciwiały się dalszemu istnieniu tego mocarstwa, i nakoniec przewidzieliśmy, albo przynajmniej zdawało nam się żeśmy przeculi, zbliżające się kroki przeznaczonego dlań losu.

W tak stanowczych chwilach badanie przeszłości szczególniejsze obudza zajęcie. Jakże odmiennymi oczami, w czasie groźnej katastrofy, czytaliśmy stare weneckich posłów relacje o Osmanach! Jakże głęboko pojmowaliśmy spostrzeżenia w tym przedmiocie znakomitych mężów stanu XVIgo wieku! Każdy zbiór wypadków będących w związku z nieodgadnionym problematem ma dla nas powab nowości, który posiada także w najwyższym stopniu zdobycie Konstantynopola, bo z niem rozpoczyna się kwestya wscho-

dnia. Wprawdzie dawno już przed upadkiem tego miasta stali Osmanowie na europejskim gruncie i byli potężnym narodem, wprawdzie Polska i Węgry odegrały już wtedy swoją rolę, służąc za tarczę przeciw islamizmowi. Pewną jest jednak rzeczą, że dopiero upadek Konstantynopola podniósł Portę do rzędu pierwszych wojennych mocarstw Europy, że tym sposobem zyskała ona klucz do ciąsin morskich i że morze Czarne, równie jak morze Śródziemne wtedy dopiero od niej zagrożonemi zostały.

Po zdobyciu Konstantynopola upadły miasta średniowieczne i znikła świetność pobrzeży Śródziemnego morza. Nie odkrycie nowej części świata na zachodzie i nowej drogi morskiej ku wschodowi przyczyniło się do zagłady kwitnącego stanu Włoch. Portugalia, Hiszpania, Holandia i Brytania mogły być jedna po drugiej występować na scenę, bez konieczności aby Genua zstąpiła do grobu, pociągając za sobą starzejącą się Wenecją. Tylko postępy Osmanów i zniszczenie przez nich kwitnących miast czarnomorskich, Azji Mniejszej, Syrii i Egiptu, mogły spowodować podobne rezultaty.

W jaki sposób odbył się krwawy dramat 1453 roku, dowiedzieć się możemy dokładnie z nowego dzieła A. D. Mordtmann'a ¹⁾, który bogatsze jak J. v. Hammer miał pod ręką źródła, nietylko bowiem mógł korzystać z nieznanego dotąd dziennika naocznego świadka, Wenecyanina Nicolo Barbaro (Wiedeń 1856) i z dwóch prac historycznych tureckich dziejopisów, które w latach 1848 i 1855 pojawiły się, ale nadto dziesięcioletni pobyt w Konstantynopolu i dokładne poznanie topografii obleganego miasta wielką było mu pomocą.

Po wstąpieniu na tron Mahometa II w lutym 1451, ostatni cesarz wschodni, Konstanty Paleolog Drago-

¹⁾ Obleżenie i zdobycie Konstantynopola przez Turków. Stuttgart i Augsburg 1858.

sos, mógł przez dwa lata przygotowywać się na spotkanie nadchodzącej burzy. Prócz tego co murami miasta opasaném było, nie już więcej wtedy do wschodniego cesarza nie należało. Tak zwany Złoty Róg, głęboko w ląd zachodząca odnoga morska, dzielił Europejski brzeg na dwa półwyspy; na jednym z nich, to jest południowym, leżała cesarska stolica. Przedmieście Pera jeszcze wtedy nie istniało, na samym zaś krańcu drugiego europejskiego półwyspu leżała Galata, faktorya Genuńczyków, samoistna niejako rzeczpospolita, która niezawsze słuchała rozkazów metropolii. Cesarz udawał się z prośbą o pomoc przeciw napastnikom do ówczesnych morskich mocarstw; ale tylko Wenecya i Genua, jedyne europejskie państwa, które szły za popędem wyższych natchnień, przysłały uciśnionym Grekom kilka wojennych okrętów.

Mahomet II rozpoczął tymczasem w 1452 r. budowę twierdzy powyżej Konstantynopola. Pomiedzy tureckimi robotnikami i greckim chłopstwem wszczęły się wkrótce zatargi i krwawe bójki, w skutku których bramy miasta zamknięto, a Mahomet wypowiedział prawdziwie po turecku wojnę, rozkazem ścięcia cesarskich posłów (w czerwcu 1452). Do czego służyć miała budująca się warownia, wkrótce się okazało. Dano jej 400 ludzi załogi i uzbrojono w 600 funtowe działa. Jeszcze do téj pory widzieć można leżące pod tym zamkiem (Rumili Hissari) marmurowe kule, mające ośm piędzi obwodu i przeszło pięćset funtów wagi.

10 listopada 1452 r. przepływały pod warownią, wracając z Kaffy, „krymskiego Stambułu,” dwie dobrze ładowne weneckie galery i powitane zostały kulami. Przebiegli Wenecyanie dali znak że chcą się poddać; Turcy zawiesili ogień. Ale gdy tylko galery zostały przez prąd poza odległość strzału uniesione, rozpuściły wszystkie żagle i umknęły. Później jednak wenecki jeden okręt, dosięgnięty strzałami twierdzy, poddać się musiał. Przy téj zaczepce czynnem było działo, które nieszczęsnej sławy węgierski ludwisarz Orban dla sułtana odlał.

Przy końcu już roku nadeszły floty państw zachodnich. Nawet Papież Mikołaj V przysłał 50 ludzi, pod warunkiem aby miasto uznało go za głowę kościoła. 12 Grudnia 1452 r. obchodzono uroczyscie w kościele Śtėj Zofii Henotikon, czyli połączenie kościoła wschodniego z zachodnim, do którego jednak tylko cesarz i kilku dworzan przystąpiło; reszta zaś mieszkańców, z różnych złożona stanów, była przeciwną połączeniu. „Raczej wolimy — mówili, — widzieć turbany w mieście, jak jeść niekwaszony chleb z łacin-

nikami.’ W lutym 1453 r. zrobiono przegląd sił przeznaczonych do obrony Konstantynopola, i okazało się że oprócz 4973 Greków, licząc w to i uzbrojonych mnichów, było do rozporządzenia 2000 zdolnych do broni cudzoziemców, po większej części Genuńczyków i Wenecyan, oraz mała liczba Rzymian, Hiszpanów i kilku Turków. Siły te wspierane były na morzu przez 26 okrętów, w liczbie których było 5 genueńskich, 8 weneckich, 1 ankoński, 1 hiszpański, 1 francuzki i 10 cesarskich. Osada weneckich okrętów użytą została przedewszystkiém do wzmocnienia północnej części murów, opasujących trójkątem Konstantynopol, przez wykopanie fossy, którą dotąd widzieć można.

2go kwietnia port został zamknięty łańcuchem z okrągłych drewnianych klocków, żelaznemi powiazanych ogniwami. Łańcuch ten ciągnął się od końca Złotego rogu do Galaty. Genueńczycy znajdujący się w tém mieście, albo raczej przedmieściu Konstantynopola, bardzo się skompromitowali tém, iż na to obwarowanie obojętnie patrzyli. Wyobrazili oni sobie, iż mogą w zbliżającej się walce pozostać neutralnymi i że w skutek tego Turcy ich oszczędzą. Donosili więc sułtanowi o wszystkich zamiarach obleżonych, których los mimo to wkrótce podzielić musieli.

Od lutego groźne wrogów zastępy zaczęły się posuwać od Adryanopola aż do Bizancyum. Działo Orbana postępowało naprzód, wyrzucając, na odległość włoskiej mili ze swego potwornego łona kamienne, na sążeń głęboko w ziemię wrzynające się kule żelazne, mające 11 piędzi obwodu i 1600 funtów wagi. Armata ta ważyła 300 centnarów, ciągnęło ją 50 wołów i potrzebowała dwóch miesięcy dla przebycia cztero-dniowej drogi.

Liczbę lądowych sił Mahometa podają od 80 do 400 tysięcy; autor jednak sądzi, że podana przez Barbara ilość (160,000 ludzi) jest najwiarogodniejszą. Siły morskie składały się z 400 okrętów, pomiedzy którymi tylko 18 statków o wysokiej burcie (Trirèmes, galery o trzech rzędach wiosel); największy zaś z tych statków miał tylko 300 beczek objemu. W każdym jednak razie eskadra ta wyda nam się dosyć znaczną, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że Turcy pierwszy raz jako mocarstwo morskie występowała.

6go kwietnia w piątek cofnęli się oblegający o włoską milę od miasta i cały atak zwrócili na część murów kostantynopolitańskiego trójkąta od strony lądu, bo strona morska tak była obronna, że na każdej baszcie postawiono tylko jednego procownika i jednego łuczniaka, wewnętrzny zaś port zamknięty był łańcu-

chem i zasłonięty flotą. 11 kwietnia baterie tureckie nabito. Wielkie działo mogło tylko 7 razy na dzień być nabijanem, a pomimo to wkrótce pękło, przyczem ludwisarz Orban został w kawałki rozszarpanym. Mahomet postarał się zaraz o odlanie drugiego podobnego, które dłużej wytrzymało i straszne zrzędzowało szkody. 18 kwietnia pierwszy atak Turków był odparty. We dwa dni potem zbliżyły się cztery europejskie okręty z zapasami żywności do miasta. Turecka flota starała się zastąpić im drogę, i w skutku tego zawiązała się w oczach obu stron krwawa walka morska. Trzy godziny opierały się genueńskie i greckie okręty mnóstwu nieprzyjacielskich statków i w końcu silnym ogniem zmusiły je do tego, że ze wstydem napańniętym drogę do portu otworzyły. Na widok ten Mahomet wpadł w taką wściekłość, iż z całą swoją świtą rzucił się konno w morze.

Ponieważ turecka flota, która dotąd pod Beszikaszem na Bosforze stała, mało tam sułtanowi mogła być użyteczną, przeprowadzono ją więc w ciągu jednej nocy, po pokładzie z tarcie na walcach, przez międzymorze, gdzie teraz leży Pera, poza Galatę do Złotego Rogu. Stała więc teraz za łańcuchem port opasującym. 23 kwietnia z rana postanowili obleżeni napaść na nieprzyjacielską flotę, napad ten jednak nie powiódł się, z powodu że Genueńczycy z Galaty o takowym Turków ostrzegli. W ogóle turecka flota w obleżeniu wielkiego udziału nie miała, główne bowiem działanie obrócone było na część miasta od strony lądu i walka przez piechotę zdecydowaną została; mimo to jednak flota ta rozdawiała siły chrześcian, których marynarkę w Złotym Rogu ciągle pod bronią trzymała. 12 maja powtórny szturm 50,000 Turków był także pomyślnie odparty. W czasie tego szturm Turcy wzięli się do min; pokazuje się jednak że używali ich tylko dla robienia podkopów pod murami i otwarcia tym sposobem drogi do miasta, bo jak wiadomo, pierwsza mina prochowa wysadzona została dopiero w 30 lat po zdobyciu Konstantynopola. Przekonawszy się że nie są dostatecznie wydoskonalonemi w tej gałęzi sztuki wojennej, Turcy wkrótce jej zupełnie zaniechali. 18 maja przeraził obleżonych widok drewniany bastionu, który w ciągu jednej nocy naprzeciwko bramy Charsiasa tak wysoko nad poziom wzniesiony został, że strzały rzucane być mogły na wierzch murów. Wieża jednej z bram miasta została przez ten bastion uszkodzoną, ale następnej nocy udało się chrześcianom w czasie zrobionej wycieczki takowy podpalić. 19 maja za to Turcy z tysiąca powiązanych powrozami beczek zbudowali przez Złoty Róg

most, 500 łokci długi i 5 szeroki, po którym, gdy na beczkach położono pokład z belek i tarcie, nawet armaty przechodzić mogły. Zaćmienie księżyca, które 22 maja było widzialne, obudziło wielki pomiedy zabobonnymi Grekami popłoch, przypomniało im bowiem dawne prorocтва o upadku ich miasta.

Mahomet kazał w swoim obozie ogłosić, że dzień 29 maja przeznaczony jest na ogólny szturm, i że miasto oddane będzie żołnierzom na trzydniowy rabunek. Wiadomość ta obudziła taką radość pomiędzy Turkami, że uilluminowali obóz, tak iż nadmorskie światła aż w azyatyckim Skutari były widzialne. Turecka jednak rada wojenna nie była zupełnie spokojną, bo lada dzień obawiano się napadu Węgrów, albo zjawienia się weneckiej floty. Za odstąpieniem od obleżenia obstawał Wezyr Halil pasza, który będąc przez cesarza przekupionym, o kilku już wojennych planach sułtana tajemnie Greków zawiadomił. Mahomet oddawna miał względem niego złe zamiary; głowa więc ministra nie warta już była szeląga, kiedy jednej nocy kazał go sułtan z łóżka ściągnąć i do siebie przyprowadzić, ażeby się z nim porachować. Przebiegły jednak niewolnik umiał się zręcznie ze szponów tygrysa wykręcić i aż do końca wojny wspierał potajemnie sprawę Greków, od których był płatnym. Tą razą wszakże przegłosowano go na radzie i szturm na oznaczony dzień przygotowany.

Pomiedzy obleżonymi odznaczał się, obok cesarza, jako bohater Genueńczyk Giustiniani, który z największym poświęceniem się kierował obroną. Nie zbywało także i w tej stanowczej chwili na nikczemnych, bo chociaż nieprzyjaciel w 2000 ludzi już pod mury podstąpił, wybuchła dawna niechęć pomiedzy Łacinnikami a Grekami, i znów pomiedzy Genueńczykami i Wenecyanami a Bizantyjczykami. Autor jednak sądzi, że niezgody te nigdy nie były powodem do zdrad, a conajwięcej tylko chwilowo tawały obronę. Wieczorem przed szturmem udał się cesarz ze swoim dworem do kościoła Śtėj Zofii i przyjął Najświętszy Sakrament.

O 2giej godzinie rano (29 maja) szturm się rozpoczął. Pierwszy atak został szczęśliwie odparty. Reparowane jednak mury niedługo zdołały wytrzymać pocisków wielkiej armaty. Oddział z 30,000 Turków złożony, który następnie do 70,000 urósł, postępował ku walącym się ścianom, a szturmujący taką chęcią zdobyczy ożywieni byli, że jedni drugich na barkach podsadzali, dla dostania się na mury. Przez chwilę ważyło się zwycięztwo. Cesarz zachęcał swoich do wytrwania, bo widział że nieprzyjacielskie woj-

sko zaczęło się męczyć. Ale właśnie w tej chwili Jan Giustiniani został raniony strzałą w rękę, i chociaż go cesarz zaklinał aby pozostał, udał się do Galaty, dla opatrzenia rany, i pozostał tam aż do czasu zdobycia miasta przez Turków. Jakkolwiek później udało mu się ztamtąd umknąć, umarł jednak wkrótce w Chios ze zgrzyoty. Jego oddalenie się osłabiło ducha w żołnierzach i zdecydowało los miasta. Olbrzymiej siły janczar Hassan z Ulubad (Lopadium) pierwszy, wdrapał się na mury; pięćdziesięciu jego towarzyszy którzy przecisnęli się przez przypadkiem otwartą bramę. „Drewnianej obręczy” i dostali się na mury, pośpieszyło go wesprzeć. Za nimi po drabinach silniejsi z oblegających dostali się także na wierzchołek murów. Mieszkańcy miasta, dowiedziawszy się o wtargnięciu Turków, uciekali w stronę portu, aby na okrętach szukać ocalenia; straż jednak portowej bramy wrzuciła klucze od takowej do morza, aby tłum powstrzymać, dzieliła bowiem z wielką tę przesadną nadzieję, że w najkrytyczniejszej chwili anioł z nieba zstąpi, wypędzi Turków z miasta i zmusi ich do powrotu do Persyi. Tymczasem cesarz Konstantyn został przez jednego Turka, który go nie znał, zabity, a po jego trupie szturmujący weszli do miasta.

Okręty weneckie zdołały szczęśliwie umknąć, przepiłowawszy łańcuch zamykający port, tylko więc 15 niezdatnych do żeglugi statków wpadło w ręce nieprzyjaciół. Żądza krwi Turków wkrótce uspokoiła się, przez chciwość bowiem woleli brać do niewoli jak zabijać. 60,000 niewolnika i 300,000 dukatów były plonem rabunku żołnierzy, i długo potem utrzymywała się przypowieść o bogatych ludziach, że musieli być przy zdobyciu Konstantynopola.

Świątokradzkie sceny w kościele Śtej Zofii dostatecznie są znane. Mahomet sam skoczył na ołtarz i odmówił tam swoją modlitwę, przez co sławny katolicki przybytek stał się zdobyczą islamizmu. Kiedy sułtan przez miasto przeciągał i mimo cesarskiego przechodził pałacu, wpadły mu na myśl te słowa perskiego poety:

„Pająk pełni obowiązki odźwiernego w cesarskim

przedsionku, a sowa nuci hymn wojenny w Afrasyaba pałacu.”

Dotąd jeszcze stoją, dodaje autor, cesarskie przysionki, zamieszkałe przez pająki, sowy i znaczną liczbę Żydów, prowadzących za małe wynagrodzenie cudzoziemca na gzyms pałacu, z którego wspaniały widok wynagradza za odrażające żebractwo, zamorusane dzieci i skrzeczące kobiety wszędzie tu napotykanne.

Dziś z równą prawdą dają się wyżej przywiedzione wiersze zastosować do seraju tureckiego sułtana, na krańcu Konstantynopola. Stara turecczyzna, która 400 lat w Bizancyum panowała, upadła, a o miejscach które były świadkami tak rzadkiego i tak wzruszającego dramatu można teraz powiedzieć:

„Pająk pełni obowiązki odźwiernego i t. d.

W końcu rozbiera autor podania odnoszące się do oblężenia Konstantynopola, pomiędzy którymi dosyć interesującą jest próba tureckiej literatury salonowej, która, stosownie do gustu literackiej publiczności ułożona, opisuje oblężenie wschodnim stylem, z wprowadzeniem doń piekielnych strachów i niebieskich duchów. Z powieści tej dobrą brać można miarę, jak grube są przesady Turków, kiedy takie dziecinne bajki mogą u nich zastępować historią. Ważnym także epizodem oblężenia, zdaniem nowożytnych dziejopisów, miało być odszukanie grobu chorążego proroka Mahometa, Ebu Ejub Ansari, pochowanego, według podania, w gaju pod Egri Kapu ¹⁾. Mahomet II, widząc upadające męstwo swoich żołnierzy, miał właśnie ożywić je pobożnym kłamstwem, ogłosiwszy że polecił derwiszowi Ak-Szemseddin grób ten odszukać, przez co fanatyzm żołnierzy żywym wybuchnął płomieniem. Bajeczka ta jest bardzo świeżego wynalazku, bo nietylko nie wspomina o niej żaden ze współczesnych, lecz nawet pomija ją milczeniem bezimienny ów podrabiacz historycznych dokumentów, który sfałszował korespondencją dotyczącą upadku Konstantynopola, pomiędzy Mahometem a szeryfem Mekki.

¹⁾ Przystań przy północnym wierzchołku konstantynopolitańskiego trójkąta.

CZERWIE.

Kiedy naturaliści znajdują zwierzę, które budową znacznie różni się od wszystkich znanych, i kiedy cechy jemu właściwe równie są ważne, jak te które różnią między sobą zbliżone sąsiednie rodzaje, to mogą śmiało sądzić że znaleźli nową istotę i prawnie wpisać ją w swe katalogi pod osobnym imieniem, jako członka ustanowionego poprzednio rodzaju albo przedstawiciela nowego, jeżeli tylko zauważane charakterystyki organizmu są dostatecznie ważne.

Lecz postępując tym sposobem, wpadamy niekiedy w znaczne błędy. W rzeczy samej często się zdarza że zwierzę rodząc się nie posiada téj budowy, jaka jest mu właściwą w zupełnym dojrzeniu, i jeżeli analogia nie naprowadza na myśl bytności przemian, to bardzo łatwo można niewiedzieć o istnieniu gąsienicy a zarazem i dojrzałego zwierzęcia i zaliczyć do dwóch odmiennych gatunków osobniki, które różnią się tylko wiekiem i rozwinięciem.

Ażeby dojść błędu tego rodzaju, nieodzownym jest badanie rozwijania się zwierzęcia, od jego wyjścia z jaja, aż do czasu kiedy posiadzie władzę rozmnażania się, co wszystko dla rodzajów żyjących w morzach głębokich jest niezmiernie trudne i było czynionym w bardzo niewielu przypadkach.

Ale nie zważając na trudności, lecz wytrwale postępując tą drogą, zdołano już na niej osiągnąć wiele ważnych wypadków. Tym sposobem postępy nauki, zmuszając codziennie wpisywać do inwentarza zoologii nowe imiona, każą także i wymazywać z nich jeden rodzaj błędnie ustanowiony.

Gromada czerwi czyli krabów albo raków dała powód do licznych przemian tego rodzaju, a błędy poprawione były niemożliwe do uniknięcia, z przyczyny trudności jakie spotykała większa część zoologów przy poszukiwaniach nad rozwojem tych zwierząt.

Przytoczymy kilka uderzających i ciekawych przykładów.

Kiedy Boscee znalazł na pełnym morzu maleńkie rakowate stworzenie, z którego złożył rodzaj nazwany *Zoe*, to w żaden sposób nie mógł podejrzewać nawet, że kraby żyjące na brzegach podlegają przemianom na podobieństwo metamorfozy kijanki przecho-

dzącej w żabę, i że maleńkie znalezione zwierzątko jest gąsienicą jednego z tych wielkich, dziesięcionogich krabów.

Dopiero kiedy naturalista Tompson, przebywając na wybrzeżu Irlandyi, powziął szczęśliwą myśl hodowania z nasienia kilku młodych zwierzątek tego rodzaju, i kiedy w tym celu w oddzielnych naczyniach napełnionych wodą morską wyprowadzał te stworzonka z jaj złożonych przez krabów, wtedy dopiero doszedł że rodzaj *Zoe*, ustanowiony przez Boscee, nie składa osobnego, rzeczywistego rodzaju, a jest tylko zmienionym stanem, jak gąsienica niektórych naszych krabów. Tompson dowiódł następnie że *wąsonogie* nie są miękkimi stworzeniami, jak sądził Cuvier, lecz rzeczywistymi czerwiami, które w młodości nie przedstawiają nic anormalnego, lecz których niepodobna poznać po ukończonych przemianach. Nordman doszedł do podobnych wypadków pod względem niektórych pasożytnych raków.

W ostatnich czasach Costa i jego preparator, obserwując wydobywanie się z jaj młodych langustów, dowiedli że raki te również podlegają przemianom i że przy opuszczaniu jaj nie różnią się od zwierząt opisanych przez Leach'a pod nazwiskiem *phyllosoma*. Tym sposobem rodzaj ten, złożony z licznych gatunków, które poprzednio uważane były w indyjskich morzach, powinien być z tabell wymazany. W samej rzeczy langusty po wyjściu z jaj przedstawiają wszystkie cechy rodzaju *phyllosoma*. Że te ostatnie stworzenia są tylko gąsienicami rakowatych, najlepiej pokazuje ta okoliczność, że tak u nich jako i u gąsienic langustów nie dostaje organów rozradzania się, które jednakże rozwijają się w następstwie.

Według Milne-Edwardsa, rodzaje ustanowione przez Leach'a: *Megalops Alime* i *Erichte*, a także rodzaj *Cuma*, kreowany przez niego samego, równie są tylko zapewne gąsienicami różnych dziesięcionogich czerwi, których przemiany dotychczas nie zostały zbadane.

Hesse, naturalista zamieszkujący w Brescie, doszedł do podobnych wypadków, mianowicie pod względem maleńkich rakowatych, z odgałęzienia równono-



gich, znalezionych przez Montagne'a w początku naszego stulecia i ugrupowanych przez Leach'a w dwa osobne rodzaje: *Praniza* i *Anceus*. Dotychczas żaden naturalista nie miał sposobności badać na nowo żywych egzemplarzy tych rodzajów, zebranych w wielkiej liczbie okazów, tak iż nawet zewnętrzna ich budowa nader niedokładnie była znana.

Hesse korzystał z okoliczności które mu przypadkowo posłużyły. Znalazłszy na płetwach trigli i innych ryb parę okazów *Praniza*, hodował te zwierzątka żywe w morskiej wodzie i tym sposobem był świadkiem przemian, jakim podlegają. W samej rzeczy w przeciągu kilku dni upewnił się, że rodzaj *Praniza* przechodzi w *Anceus*.

W drugim szeregu doświadczeń Hesse'go, czynionych nad rozwojem jaj składanych przez *Anceus*, pokazało się że wychodzą z nich stworzonka rodzaju *Praniza*.

Tym sposobem zupełnie dowiedziono tożsamości jednych i drugich: pierwsze są drugimi w stanie gąsienicy, jak kijanka np. względem żaby, lub gąsienica względem jedwabnika. Tymczasem oba te stany jednego zwierzęcia, lubo były zamieszczone w jednej klasie, przedstawiają jednak kształty tak różne, że uczony zoolog ugrupował je w dwie osobne rodziny; odkrycia Hesse'go zupełnie zmieniają to pojęcie.

Piękne są także spostrzeżenia jego nad niektórymi rakami pasożytnymi. Między innymi w liczbie czasowych organów, które istnieją u młodych zwierząt, a giną u dorosłych, zauważano kanalik nitkowaty, który łączy w pewnych rodzajach zarodki z ich materyą żywiczną. Miły jest widok jak te zarodniki, mianowicie w rodzajach *Caligus* i *Trebia*, pływają bystro i dążą po falach za poruszeniami pęcherza pokarmowego, jakby mała łódka przyczepiona do wielkiego okrętu. Związek między nimi przerywa się, gdy tylko młode nabiorą możności karmienia się. Autor sądzi że następuje to przy drugim albo trzecim zrzuceniu skóry.

O zewnętrznej i wewnętrznej organizacyi krabów mieliśmy już sposobność mówić dwa lata temu, w artykule pod podobnym tytułem zamieszczonym w *Księdze Świata*.

Do gromady krabów albo dziesięcionogich należą raki i wszystkie inne czerwie, u których skrzela są wewnętrzne, a nogi w liczbie par pięciu. Głowa i tułów tych zwierząt zlane są w jedną masę, którą okrywa wielka skorupa; ten grzbietowy puklerz przedłuża

się mniej więcej za czoło, spada po obu boki aż do podstawy nóg i rozciąga się w tył aż do początku odwłoka. Ztąd wynika że nie znać na zewnętrznej części ciała żadnych dzieleń pierścieniowatych, ale od spodu w większej części, chociaż pospajane z sobą, dają się jeszcze widzieć, bo w punktach połączenia rozgraniczone są liniami szwów mniej więcej wyraźnych.

Oczy leżą zawsze na wierzchołku pary przysadek ruchomych, z pierwszego działu głowy początek biorących. Narzędzia miejscowości są również bardzo rozwinięte; wiele czerwiów z nadzwyczajną szybkością biega, a inne z większą jeszcze szybkością pływają. U dziesięcionogich czerwiów, najlepiej ukształconych do pływania, ciało jest podługne, a ogon kończy się mniej więcej szeroką płetwą poprzeczną, jak to widzimy u gatunku *Homarus vulgaris*, przedstawionego na niższej figurze dołączonej tablicy.

Wiele krabów okazuje wysoki przemysł. Mówią że niektóre okrywają sobie grzbiet, który jest miękki, gatunkiem gąbki lub innego płodu morskiego, dla zasłonięcia się od razów. Są inne kraby, które szukają muszli jednoskorupnej lub spiralnej jakiego ślimaka morskiego, albo kamienną rurki wielkiego robaka mrówki, i bądź że pożerają biednego ślimaka zanim izdebkę jego opanują, bądź że znajdują ją próżną, sadowiają się w niej bardzo wygodnie. Takimi są *pagury*, których jeden gatunek, *Pagurus striatus*, przedstawiony jest na wyższej figurze obocznej tablicy. Przechadzając się z tak skradzioną chatką, kryją się do niej za najmniejszym niebezpieczeństwem. Gdy podrosną, rugują inne większe ślimaki, ażeby izdebkę ich opanować bez ceremonii, prawem równości i mocniejszego, prawem najdawniejszym i zupełnie uznanym pomiędzy wszystkimi bez wyjątku zwierzętami kuli ziemskiej.

Zrobimy tu jedną jeszcze uwagę, a mianowicie co do płodności czerwi, która jest prawdziwie zastanawiającą. Ociąg znosi około 4000 jaj, ślimoraczek 6800, *Homarus*, o którym powyżej mówiliśmy, 2000, a w niektórych krabach znaleziono ich przeszło 21,000.

Lecz ryby przez prawo odwetu chciwe są bardzo na te małe zwierzęta; śledzie, chociaż dosyć słabo w zęby opatrzone, żyją samymi prawie czerwiami z rodzaju ślimoraczek, i jeśli niezliczone pierwsze gromady corocznie przybywają na nasze brzegi, gdzie czeka na nie połów, dzieje się to dlatego, że w naszych morzach pełno jest czerwiów, które są najobfitszą manną dla mających się narodzić młodych śledziów.

W.

PANI CAMPI (MIKLASIEWICZÓWNA).

PRZEZ

MAURYCEGO KARASOWSKIEGO.

I.

Dziwne jakieś przeznaczenie ciąży nad naszymi artystami w ogólności; rzadko który, wzbiwszy się do wysokiego stanowiska i znaczenia w sztuce, obiera kraj swój rodzinny za stałe dla siebie schronienie, za miejsce do dalszego talentu uprawy. Więc też wpływ ich w ojczyźnie jest nic nieznaczący prawie, przelotny, a sztuka narodowa, pozbawiona swych najdzielniejszych kapłanów, za pomocą małej liczby tych co na miejscu losy jój podzielają i jak mogą dla jój dobra pracują, oporem i jakby żółwim krokiem naprzód postępuje, jeżeli nie cofa się w tył czasami.

Któż wątpić może, iż zacząwszy od Duranowskiego, Lipińskiego, aż do Orłowskich, Sowińskich, Kątskich, Wieniawskich, aż do Leśniewskiej, nawet Płodowskiej i Winenówny, że nie wspominać już wielu innych, również zaszczytne poza granicami kraju naszego w rzędzie niepospolitych artystów zajmujących stanowisko; któż, powtarzam, wątpić może, iż wpływ ich dobroczynny na naszą sztukę po większej części jest stracony? Czyż gdyby oni pomiędzy nami osiedli i niwę krajowej muzyki uprawiali, nie bylibyśmy już na równi z innemi narodami pod względem muzycznego ukształcenia? Czyż uczciwe i szlachetne usiłowania Elsnera, Kurpińskiego, Dobrzyńskiego, Moniuszki i wielu innych, połączone w systematyczną całość ze wszystkimi gałęziami muzyki, na pozór niezależnemi pomiędzy sobą, a istotnie ściśle jednoczącemi się w ogólnym jój postępie, większych tysiąckrotnie nie przyniosłyby dotąd owoców? Ale to już takie nasze przeznaczenie: brak poparcia i pomocy ze strony możniejszych; ich zupełna obojętność dla miejscowej sztuki a zatem i jój uprawiaczów, jest głównym tego powodem. Ogół zaś publiczności, lubo pragnie gorąco pomódz swoim, lubo szczyć się tryumfami i znaczeniem pomiędzy obcemi naszych wielkich artystów, nie jednakże stanowczego, dla braku środków, uczynić nie może, a zbieg

nieprzyjaznych okoliczności i tę nawet odrobinę dobrych chęci w niwecz często rozprasza.

Tak jest teraz, tak było dawniej nawet. Dostyc rzucić okiem w przeszłość artystyczną naszego kraju, a łatwo się o tém przekonać.

Od czasu pierwszych usiłowań wprowadzenia u nas sztuki muzycznej na scenę teatralną, czyli od wystawienia *Nędzy uszczęśliwionej* Kamińskiego w 1778 r., widzimy mnóstwo talentów marniejących z powodu braku stanowczej i dzielnej opieki. Chwilowe powodzenia narodowego teatru, a więc i artystów zupełnie mu się poświęcających, jak błędne ogniki raz mocniejszym lub słabszym światłem mignęły, to znów gasły i znikały z oczów co chwila. Artyści, przykuci okolicznościami do miejsca, jak mogli tak za przykładem niezmordowanego i niczem ustraszyc się nie dającego przewodnika, Wojciecha Bogusławskiego, walczyli z nieprzyjaznym losem, tułając się ciągle z miejsca na miejsce. Inni, niezależniejsi, nie widząc w przyszłości żadnej dla siebie pomyslniej nadziei, opuszczali kraj, u obcych znajdując pełne życzliwości przyjęcie. Pośród wielu innemi, co od lat kilkudziesięciu w cudzych krajach szukali środka egzystencji, niosąc swój talent obcym na usługę, odznaczała się chlubnie pani Campi.

Dzisiaj niejednen gotów zapytać, czém była pani Campi — co uczyniła, — jakie były jój zasługi? wyznając w szczerości ducha, iż imię to po raz pierwszy dopiero słyszy. I nie dziwiłbym się wcale; wieleż to istotnych zasług poszło w niepamięć, lub zaledwie cośkolwiek niektórzy więcej fachowi ludzie o nich wiedzą, chociaż trzydzieści lat może jeszcze nie upłynęło. Jakżeż tu wymagać by dokładnie wiedziano o tém, co się w zeszłym wieku naprzykład działo, i to jeszcze na niwie sztuki muzycznej! Jakżeż wymagać od naszych szanownych amatorów, by zajmowali swój czas czytaniem o muzyce, i to jeszcze muzyce krajowej? Oni aż nadto

robią dla niej poświęcenia, gdy jęj się jakotako uczyć raczą, a zachwyciwszy odrobinę, daléjże do salonów, popisywać się na wszystkie strony! Zresztą zkąd tu brać polskich książek prawiących o rzeczach dawnych muzycznych? (w tém może mają słusność). Nakoniec, co tam jest do rozprawiania o polskiej operze? wszak *Halka* to dopiéro piérwsza opera narodowa!... Tak wielu mniema dotychczas. A artyści, czy wiele wiécej wiedzą w tym względzie od amatorów? Nawet nasi historycy i uczeni badacze dziejów, nie chcą wcale zajmować się losami teatru i muzyki naszéj, uważając to niegodném swéj troskliwéj baczości, jak gdyby historia teatru narodowego nie była zarazem historią ludu! Mniejsza oto: kto kocha muzykę, kto nie jest obojętnym na jęj losy, kogo dzieje sztuki naszéj miejscowéj obchodzą, albo dla kogo wiadomość o życiu i czynach znakomitych artystów a rodaków naszych nie jest obojętną, ten zapewne przeczyta nie bez pewnego zajęcia te kilka słów poświęconych pamięci jednéj z największych w swéj epoce śpiewaczek, a która jednakże urodziła się na naszéj ziemi.

II.

W latach 1788 i 1789 teatr narodowy zostawał pod zarządem Ryxa starosty piaseczyńskiego ¹⁾. Lecz nieudolność, a nawet brak dobrej chęci ze strony tego przedsiębiorcy, były powodem że z dniem każdym chylił się do upadku. Dziwna jakaś opieszałość i zaniedbanie panowało w stołecznym teatrze. Żadnéj nowéj opery nie przedstawiano, ograniczając się tylko na powtarzaniu dawniejszych; przez co publiczność, znudzona jednostajnością sztuk ubogich w wystawę, przestała uczęszczać do teatru. Wtedy to zjawiła się w Warszawie panna Antonina Miklasiewiczówna, rodem z Lublina, a wystąpieniami swemi jako śpiewaczka koncertowa zwróciła na siebie uwagę mieszkańców stołecznego grodu. Gdy 5 kwietnia 1789 roku teatr polski zupełnie zamknięto, aktorowie rozbiegli się do Krakowa, gdzie starosta kluszewski utworzył antrepryzę; inni pospieszyli do Wilna, pod czynny i energiczny zarząd Bogusławskiego, który, chociaż z małemi siłami, starał się przecieź publiczność wileńską zabawiać, to wyborném odgrywaniem komedyi, to narreszcie operą, która jako nowość i jako rzecz wielce przyjemna, bardzo od tamtejszych mieszkańców lubioną była.

¹⁾ Obacz Bibliotekę Warszawską za miesiąc grudzień 1857 roku: *Studia nad muzyką dramatyczną czyli operą*, przez M. K.

Książę Sapieha, marszałek trybunału, pożyczając Bogusławskiemu swojéj nadwornéj orkiestry, zachęcał wszystkich do bywania w teatrze. W Warszawie zaś zostali tylko: Kaczkowski, śpiewak obdarzony pięknym głosem tenorowym, panna Sitańska, utalentowana i miała bardzo artystka, i panna Miklasiewiczówna.

W niekorzystną porę dla teatru przybywszy do stolicy, panna Miklasiewiczówna nie mogła się zdecydować do przyjęcia udziału w operze; występowała więc w koncertach, a nadzwyczajna piękność jęj sopranowego głosu, obdarzonego niezmierną skalą, tudzież niesłychaną giętkością i łatwością do wokalizowania najtrudniejszych nawet passażów, zdumiewała i porywała słuchaczy. Skoro teatr 5 kwietnia zamknięto, pozostał tylko balet; wezwawszy więc do pomocy pannę Sitańską i Kaczkowskiego, obok baletu urządziła kilka koncertów, na które publiczność ochoczo uczęszczała. Nie widząc by los teatru narodowego mógł się polepszyć, a czując w sobie zapał i chęć poświęcenia się zawodowi artystycznemu, czy skutkiem namowy innych, czy z własnego popędu, panna Miklasiewiczówna opuściła wkrótce Warszawę, udawszy się za granicę.

Praga czeska uchodziła wtenczas za najmuzykalniejsze miasto na świecie; Mozart, najlepiej zrozumiany i pojmovany w Pradze, największe swoje arcydzieło, *Don Juana*, dla mieszkańców tego miasta napisał. Wyborna truppa śpiewaków włoskich, będąca pod kierunkiem niejakiego Guardacori, występująca przez lat kilka jednę część roku w Lipsku, drugą w Pradze, wielce się przyczyniała do pomyślnego przedstawiania téj nieśmiertelnéj opery, dyrygowanéj w początkach przez samego jęj kompozytora. Otóż nasza młoda śpiewaczka, przybywszy do Pragi i dawszy się poznać dyrektorowi owéj truppy, p. Guardacori, przyjętą zaraz była do jęj składu i tamże wkrótce poszła za mąż za jednego z artystów, pana Campi. Odtąd więc tém imieniem nazywać ją będziemy.

III.

Fetis w swojéj biografii muzyków, a za nim Sowiński w dziele: *les Musiciens Polonais* utrzymują, jakoby rolę Donny Anny Mozart dla pani Campi umyślnie napisał; błąd ten inni za niemi powtarzają, jednakże tak nie jest.

Don Juan wystawiony był po raz piérwszy 4go października 1787 roku, gdy tymczasem panna Miklasiewiczówna, jak to już wyżej powiedziano, przybyła z Lublina do Warszawy pomiędzy 1788 a 1789 rokiem, i w koncertach publicznych poczęła występować.

wać. Przypuściwszy zatem iż w ciągu nawet roku ostatniego kraj opuściła i weszła do trupy Guardacori'ego, mamy różnicy dwa lata, więc w żadnym razie Mozart Donny Anny pisać dla niej nie mógł.

Owszem, wiadomo iż rolę tę ułożył dla Teressy Saporeti, tak jak rolę Zerliny dla Bondini, Ottavia dla tenora Baglioni, a Don Juana dla Bassi. Może być atoli iż pani Campi pierwsza dopiero pokazała co można zrobić z tej pięknej roli, a zyskawszy nią sławę w całym świecie muzycznym, wprowadziła tym sposobem w błąd wielu poważnych pisarzy.

Przez długi dosyć czas pani Campi wziętością swoją podtrzymywała stan pomyślny interesów trupy całej. Gdy dyrektor Guardacori, skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, narażonym został na wielkie straty, ona jedna, nie chcąc go opuścić, pracowała bezinteresownie prawie, by tylko wyrwać go z nieuchronnego rozbicia, za co później czarną niewdzięcznością Włoch jej się odplacił. Opuściła więc w końcu Guardacori'ego, i w 1801 roku udawszy się do Wiednia, wstąpiła do teatru Schikanedra. Wiedeńczycy przyjęli ją z uniesieniem; każde jej wystąpienie w stolicy państwa austriackiego, gdzie tradycja dobrej muzyki, szczególnie włoskiej, ze czcią się przechowywała, gdzie Salieri mianowicie, jeden z najwięcej utalentowanych kompozytorów półwyspu, wpływem swoim na smak publiczności zbawienne skutki wywierał, okrywano grzmotami oklasków. Wziętość jej i sława z dniem każdym wzrastała; to też i zaszczytów nie brakło jej wcale. W roku 1818 otrzymała tytuł pierwszej cesarskiego teatru śpiewaczki, a w dwa lata później, to jest 1820, nadano jej godność nadwornej śpiewaczki pokojowej.

Zawód pani Campi policzyć można do wyjątkowych; po trzydziestu przeszło latach występowania na scenie, nie tylko że głos jej nie uległ żadnemu uszkodzeniu, że nic nie stracił z piękności i siły, ale owszem talent jej pod względem dramatycznym niesłychanie się wzmógł i udoskonalił. Za dowód służyć może nadzwyczajne powodzenie jakiego doznała w jesieni 1818 r., podczas podróży artystycznej jaką po Niemczech przedsięwzięła. W Lipsku naprzykład, gdzie ją przed dwudziestą laty słyszano, publiczność zdumiewała się nad świeżością i energią jej głosu. Wykształcenie muzyczne sama sobie głównie winną była. Urodzona w kraju gdzie muzyka, mianowicie dramatyczna, zaledwie ze stanu dzieciństwa wydobywać się zdawała, nie mogła znaleźć nauczycieli, którzyby systematycznymi studjami organ jej rozwijać i kształcić zdołali. Później, gdy się udała za granicę, po krótkim nie-

zmiernie przygotowaniu, zaraz na scenę wystąpiła; lecz co jej brakło ze strony teoretycznej, wrodzona zdolność wynagradzała. Z powodu niezmierniej giętkości jej głosu, nikt tyle jak ona nie miał łatwości do wykonania ówczesnych w modzie będących kompozycji, a szczególnie Rossiniego. Dzieła tego mistrza tak przypadły do natury talentu pani Campi, tak się ona w nich rozkochała, tak się do nich przyzwyczaiła, że nawet gdy wypadało jej śpiewać utwory Mozarta naprzykład, ozdabiała gęsto takowe fioriturami i pasażami, które prawdziwi wielbiciele tego genialnego kompozytora za niestosowne i niewłaściwe uważali.

W roku 1819 pani Campi zwidziła Drezno, Frankfurt, Stutgard, Monachium, doznawszy w każdym z tych miast jak najświetniejszego powodzenia. W roku zaś 1820 zatęskniwszy do kraju w którym pierwsze swe kroki artystyczne stawiała, do rodziny i przyjaciół dzieciństwa swego, postanowiła w całym blasku sławy stanąć przed rodakami, wytłumaczyć się i usprawiedliwić niejako przed nimi z czasu w dali od nich na polu sztuki spędzonego. Wiedeńska gazeta muzyczna w numerze 59 z dnia 22 lipca 1820 roku tak z tego powodu pisała:

„Pani Campi, w czasie terażniejszych feryj, odbędzie podróż do stolic swojej ojczyzny, to jest do Krakowa, Warszawy i Lwowa, gdzie da się słyszeć ze swoim talentem. Od wielu już lat przyzwyczailiśmy się znakomitą tę artystkę nazywać *naszą* śpiewaczką. Ile dla nas uczyniła, ile rzadkich i przyjemnych słodyczy za każdym wystąpieniem dała nam uczuć swym głosem, to wiecznie przypominać się będzie naszej wdzięcznej pamięci. Jakże mocno stwierdza ona tę dawną prawdę, iż taki jedynie talent trwałą sobie chwałę zapewnia, który udoskonalił się przez wszystkie stopnie sztuki; że skromna zasługa trwalszą jest niż blask przemijającego meteoru, który nieoparty na gruntownej zasadzie, rzadko dobrą i trwałą próbę w muzyce wytrzyma. Chociaż nienatchnieni duchem proroczym, jesteśmy naprzód przekonani, że nowa terażniejsza jej podróż, tak jak poprzednie, nie może jak tylko powiększyć jeszcze uznaną zdawna jej sławę.”

IV.

Tak pochlebne pomiędzy obcymi rodaczki naszej ocenie, wzbudziło w Warszawie dla pani Campi niesłychane zajęcie, ciekawość i współczucie. Sądzę iż najlepiej będzie o jej wystąpieniach przytoczyć sprawozdania *Tygodnika muzycznego*, jaki wówczas wychodził pod redakcją dyrektora opery narodowej, peł-

nego zasług na niwie muzyki Karola Kurpińskiego, i oto co pisał on dnia 30 sierpnia 1820 r. o koncertach téj śpiewaczki:

„Widzieliśmy w wyjątku z gazety muzycznej wie-deńskiej o pani Campi, że Niemcy przyznając jój Pol-skę za ojczyznę, przyswoili ją sobie dla jój rzadkiego talentu.

„Nie będę tu rozbierał obszernego i wytrawionego talentu pani Campi; jój reputacya już jest chlubnie ustaloną w rozmaitych pismach zagranicznych. Po-wiem tylko w ogólności, że głos jój świeży, łatwość w przechodach, nie przygotowane lecz natchnione ozdoby, a nadewszystko czucie połączone z skromno-scią, wzruszają najzimniejszego. Pierwsza jój arya śpiewana po polsku, w której powitała swoją ojczyznę, łązy słuchającym wycisnęła. Powszechnie okrzyki pu-bliczności świadczą ile na nią uczyniła wrażenia. Wielka arya pana Gyrowetz, śpiewana przez nią po włosku, wszystkich w zdumienie wprawiła, co stwier-dziły powszechnie i powtarzane oklaski. Mniemamy że dziś na drugim jój koncercie publiczność znajdzie porę poznać dokładniej wielki jój talent.”

Otóż nieszczęście chciało, że właśnie dnia tego pani Campi dostała chrypki; nie chcąc zaś odwoływać kon-certu, śpiewała jak mogła kawatinę Bianchiego, Ca-rary, arya ze skrzypcami Mayera i polonez Paera. Entuzjazm dla śpiewaczki pomimo tego był ogro-mny, i nie można się temu dziwić. Pani Campi by-a pierwszą europejskiej sławy artystką, która oprócz włoskiego, rodzinnym językiem do współziomków prze-mawiała. Myśmy dzisiaj zepsuci pod tym względem, bo słyszeliśmy nieraz jak podobne artystki obce ro-dem (naprzykład pani Viardot Garcia i inne), nie wa-hały się polskim językiem do polskich słuchaczy przemawiać.

Posłuchajmy co Kurpiński pisał o trzecim koncer-cie pani Campi, dnia 13 września tegoż roku.

„Jak na słotny dzień, publiczność była dosyć liczną, a pani Campi przy czystym głosie. W powtórzonej tego wieczora arii *O luba pamięci*, wzbudziła w słu-chaczach pierwotne wrażenie. W arii z klarnetem za-dziwiła obszernością głosu i łatwością w przeplotach. Kawatina Rossiniego świeżością kompozycyi, piękném instrumentowaniem, a nadewszystko wdzięcznym śpie-wem, wszystkim trafiła do smaku. W waryacyach na śpiew Benjamina z opery *Józef w Egipcie* (Mehula za-pewne), pokonała szczęśliwie zadziwiająca trudności. Znawcy dostrzegli, że kompozycya tych waryacyj nie jest bardzo na korzyść głosu. Jabym chciał jeszcze dodać (lecz to nie ubliża w niczém talentowi pani Cam-

pi), że jestem przeciw wszystkim waryacyom do śpie-wania; ta moda nigdy nie odpowie prawdziwemu za-miarowi śpiewu.”

Lecz wystąpienia koncertowe, których dała cztery, jakkolwiek świetne i ciekawe dla Warszawian, prze-cież nie były w stanie wykazać najistotniejszej zalety śpiewu pani Campi, to jest śpiewu dramatycznego, po-siłkowanego akcją sceniczną. Publiczność pragnęła widzieć ją w żywiole właściwszym jój talentowi — na scenie. Ona sama widać czuła aż nadto dobrze iż na-leży jój to uczynić, gdyż sława jój u obcych wzrosła właśnie na deskach teatralnych; jako śpiewaczka sce-niczna postanowiła, wybierając się znów do obcych, pożegnać rodaków i środkami plastycznymi sztuki dra-matycznej wryć się w ich serca i pamięć na zawsze. Oto co mówi w tym względzie *Tygodnik Muzyczny* w Nr 21, z dnia 20 września 1820 roku.

„Pani Campi w roli Amenaidy w operze *Tankred* Rossiniego, przedstawionej w języku polskim dnia 16 września t. r.

„Pani Campi uprzyjemniła nam cztery wieczory swo-jemi koncertami. Ale w operze, jako śpiewająca aktor-ka, na długo zostawiła po sobie najprzyjemniejsze wra-żenia. Co za czucie! co za wyraz! jaka prawda! jaka zgodność z ogółem! O kompozytorowie krajów mu-zykalnych, tworzyć dzieła dla podobnych śpiewaczek, jakże wam miło być musi! Wy ich, a one waszą roz-przestrzeniacie sławę. Bez téj wzajemności sztu-ka nie wzrośnie. Gdy jedno chce przewyższyć, dru-gie bywa skrzywdzone. Tak się dzieje we wszystkiém... Nie będę tu rozbierał każdego szczegółu; powiem tylko że tego wieczora duch zgody wstąpił we wszyst-kich. Aktorowie i orkiestra byli jedną osobą, a osta-tnia arya Amenaidy z chórem powszechnie sprawiła uniesienie. Tegoż dnia pani Campi miała szczęście otrzymać w podarunku od Najjaśniejszego cesarza i króla, Aleksandra Igo, kosztowny fermoar brylan-towy.

„Z żalem przychodzi nam donieść, że pani Campi opuści wkrótce naszą stolicę.”

V.

Jakoż istotnie opuściła Warszawę, udając się do Wiednia, wprzód jednakże zwidziła Berlin i Pragę, gdzie występując w tych miastach kilkakrotnie na sce-nie, doznawała zawsze najchlubiejszego przyjęcia.

W roku 1822 widzimy panią Campi znowu w Mo-nachium, gdzie spodziewała się nowych dla siebie try-umfów, lecz zapadłszy nagle na okropną gorączkę, zmarła tamże dnia 30 września 1822 roku.

Rozległość głosu pani Campi była nadzwyczajną, bo od niskiego G. dochodziła do F. nad trzecią dodatkową górną, czyli trzy oktawy prawie. Śpiew jej odznaczał się łatwością wokalizowania, tudzież niezwykłą precyzją i czystością intonacji. Często bardzo porównywano tę śpiewaczkę z panią Catalani, a nawet byli tacy co naszej rodaczce oddawali palmę pierwszeństwa, ponieważ znajdowano iż głos jej był lepiej

zakonserwowany, tryll dokładniejszy, więc lepszy, i pod względem muzycznym więcej od tamtej posiadała gruntownych wiadomości i ukształcenia. Jedyny zarzut jaki pani Campi czyniono był ten, iż śpiew swój zbyt obciążała fioriturami, przez co niektóre melodye traciły niekiedy na prostocie i właściwym sobie charakterze.

JAN HERBURT

KASZTELAN SANOCKI I DOBROMIL W XVII WIEKU.

Rzeczpospolita polska od końca wieku XV przedstawia nam ciągłe walki przemożnych w kraju rodzin, o pierwszeństwo w trząsaniu sprawami publicznymi. Od czasu rządów Albrechta i Aleksandra, widzimy kolejną zmianę wyniesienia się i upadki licznych rodzin, z których jedne były u celu swych dążeń, drugie tylko na zachceniach i próżnych częstokroć pokusach poprzestawać musiały. Łascy, Górkowie, Kmita ze swymi przyjaciółmi, Mniszechowie, Zamojscy, byli na ostatnich szczeblach tej drabiny, na którą wielu się pięło i wielu z niej spadało. Nagłe wyniesienie się Jana Zamojskiego do przewodniczenia w sprawach rzeczypospolitej, wywołało w niektórych rodzinach niepohamowaną zazdrość, a w niektórych chęć pokuszenia się o podobne przewodnictwo. Do tych ostatnich należała w początkach XVI wieku rodzina Herburtów.

Połączona związkami krwi lub małżeństw z najzamożniejszymi w kraju rodzinami, a nawet z owym świecznikiem epoki, Janem Zamojskim, odznaczająca się zamiłowaniem nauk i świadomością rzeczy krajowych, sądziła się w prawie owładnięcia tej magicznej laseczki, za której poruszeniem obracały się sprawy obszernego, zamożnego kraju. Historia wielce zyskała na szczegółowym obrobieniu dziejów tej znakomitej rodziny, z pośrodku której wyrasta postać Jana Szczęsnego Herburtów, chorążego lwowskiego i kasztelana kamienieckiego, postać, przyznać należy, nadzwyczaj interesująca, a dotąd należycie nie znana. Ów groźny przeciwnik diabła Stadnickiego, ów czynny uczestnik rokoszu Zebrzydowskiego, ów więzień w Krakowie, ów pretendent do Siedmiogrodu, ów zawzięty nieprzyjaciół jezuitów, a wreszcie dobry jak na

owe czasy poeta, godzin pióra któreby cały a burzliwy żywot jego w należytem świetle oczom naszym przedstawiło. My nie sięgamy tak wysoko, praca to za ciężka na nasze ramiona; chcemy tylko przedstawić pokrótce zasługi ojca jego, nie tak wprawdzie głośne, ale kto wie czy nie pożyteczniejsze dla kraju, chcemy pobieżnym opisaniem głównego siedliska rodziny Herburtów pobudzić pracujących nad naszą historią do skreślenia obrazu o obszerniejszych ramach. ¹⁾

Jan Herburt kasztelan sanocki, starosta przemyski i mościcki, a poprzednio podkomorzy przemyski, był synem Mikołaja, wojskiego kamienieckiego. Herburtowie nie musieli być w łaskach u Niesieckiego, bo bardzo krótko o nich wspomina, nie zastanawiając się wcale nad szczegółami nie tylko prywatnego ale i publicznego ich życia. Znakomite podówczas w kraju zajmował stanowisko Jan Tomasz Korczak Drohojowski, starosta przemyski. Zygmunt August wielce go poważał dla jego obszernych wiadomości i przy dworze swoim rad widział. Z siostrą tego Drohojowskiego, Katarzyną, ożenił się Jan Herburt i szwagier wprowadził go w zawód publiczny.

Coraz więcej czuć się dawała potrzeba przełożenia zbioru praw na język polski i dokładnego ich uporządkowania. Ogół czuł tę potrzebę, a pracujących około zebrania praw w jedną porządną całość posądział zawsze o jakieś złe chęci. Wiadomo bardzo dobrze jak wiele przykrości doświadczył Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński i prymas królestwa, za swój

¹⁾ Szczegóły w tym artykule przytoczone czerpaliśmy z następujących dzieł: Niesiecki, herbarz; Czacki, O prawach litewskich i polskich; Bentkowski, Historia lit. pol.; Pamiętniki sandomierskie r. 1830.

statut polski, a jednak był to pierwszy porządny zbiór, który za podstawę wszystkim innym posłużył. Jakób Przyłuski, pisarz ziemi przemyskiej, pokusił się także o zaszczyt który ciernistemi kolcami dojął Łaskiego. Dziewięć lat pracował nad swém dziełem, i doczekał się tego, że większą część wydanych egzemplarzy przed kościołem spalono. Ex-ksiądz i różnowierca pisał w duchu swego przekonania, i niedość na tém, poważył się jeszcze dodawać swoje komentarze i objaśnienia, które dały tylko powód do sporów. Powtarzamy więc że niezmiernie czuć się dawała potrzeba dokładnej w tym przedmiocie pracy, i konstytucya z r. 1562 ustanowiła delegacyą do zebrania, uporządkowania i przełożenia na język polski statutów. Kilkomiesięczna praca wyznaczonych przez konstytucyą delegatów nie odniosła żadnego skutku, bo możni panowie, którym wiele na tém zależało aby drobniejszą szlachtę i mieszczan w niewiadomości praw utrzymać, starali się udaremnić wszelkie usiłowania, niezbyt widać gorliwych w dopełnieniu obowiązków kommissarzy. Wtedy otwarło się wyborne pole zyskania sobie popularności w narodzie, który chciał aby statut ogółowi był przystępniejszy, a czuł że interes magnatów największą do tego był przeszkodą. Zrozumiał to dobrze Jan Herburt, wówczas głowa rodziny, dziedzic owego sławnego później Dobromila, i z zapalem chwycił się tej sposobności, która mogła go wynieść nad innych i doprowadzić z czasem do owej wielkości, o której Herburtowie marzyli. Ogłosił więc że sam zajmie się zebraniem, ułożeniem i przetłumaczeniem statutów, i zapewniwszy sobie stosowną pomoc, zajął się przyprowadzeniem do skutku swych zamiarów. Potrzeba było żelaznej wytrwałości w postanowieniu, aby nie zrazić się trudnościami zewsząd spotykanemi.

Prawie wszyscy magnaci ówczesni odsunęli się od Herburtów, szydząc z jego zamiaru lub okazując jawną niechęć, a natomiast Dobromil zapełnił się drobniejszą szlachtą, spieszącą złożyć hołd człowiekowi, który potrafił się wynieść nad swoje położenie.

Pod naciskiem jednej, a z poparciem drugiej partyi, spieszył Herburt z wykończeniem swój pracy, tak dalece że niespełna w sześć miesięcy zbiór był przygotowany, i autor zwołał zjazd szlachty, w celu podania uwag nad przygotowanym dziełem. Obszerne dobromilskie włości nie wystarczały na żywienie zebranej szlachty; w dwóch dniach zjedzono wszelkie zapasy, wysączono wszystkie beczki wina i miodu, obnosząc na rękach, wśród ciągłych wiwatów, autora statutu. Czy robiono jakie uwagi nad statutem, czy Her-

burt z nich korzystał, nie jest nam wiadomo; dość że pierwszy zbiór, porządkiem abecadła ułożony, wyszedł w Krakowie u Łazarza Andrzejowczyka r. 1563. Za tém pierwszym wydaniem pospieszyły następne, dokonane w latach 1567—1570 w Krakowie, r. 1597 w Zamościu, w latach 1620 i 1693 w Gdańsku, r. 1693 w Warszawie i r. 1756 w Lublinie.

Pierwsze wydania statutu były w języku łacińskim, a tłumaczenie na język polski, z polecenia Zygmunta Augusta dopełnione, wyszło dopiero w Krakowie r. 1570. Sejm wyznaczył kommissyą do rewizji wydanego zbioru praw, ale niechęć możnych nie dopuściła aby otrzymał sankcyą; rewizya nie przysłała do skutku, a zatém i dzieło samo nie nabyło potrzebnej powagi. Pomimo tego jednak do czasu wydania *Voluminum legum* było w powszechnym użyciu. Herburt zrobił swoje, a że praca jego nie była należycie ocenioną i przyjętą, nie jego w tém wina. Powiedzieliśmy już że ci wszyscy co starali się o uporządkowanie lub wyświechtanie znaczenia praw, nosili koronę cierniową. Nosił ją i Herburt długi czas, a nie był ostatnim którego niechęć i zawiść za gorliwe słuźenie dobru publicznemu dotykały. Wszak i Andrzej Zamojski, kanclerz wielki koronny, przez sejm reprezentujący cały naród, miał poleczone ułożenie praw zgodnych z potrzebą narodu i duchem cywilizacyi. Znakomity mąż pojął ważność powierzonych sobie pracy, przybrał do pomocy ludzi odznaczających się najlepszymi dążnościami, pracował z nimi dnie i noce i przyniósł narodowi *księgę praw* wyższą nad wiek, stawiającą go odrazu w rzędzie państw ucywilizowanych. Lecz naród, a raczej możni jego przedstawiciele, w trwodze o własne przywileje i dochody, rzekli mu: Schowaj sobie tę księgę, my wolimy nasz dawny bezład; nam tak dobrze trzymać lud wiejski w więzach poddaństwa, mieszczan w oddaleniu od swobód. Nasze korzyści, to najlepsza księga naszych praw.

Andrzej Zamojski bolał nad zaślepionym narodem, potem przeniósł się w skromne wiejskie zacisze, zostawiając potomności sąd o dziele, co stanowi najwznioślejszy jego pomnik. Z niém stanie on kiedyś na kartach historyi obok wielkiego Jana Zamojskiego i powie: Chciałem ciemnym otworzyć oczy, ale łaska Boża nie była przy nich.

Herburt cieszył się przynajmniej popularnością pomiędzy drobną szlachtą; Zamojski nie miał i tej pociechy, bo nawet zagonowy szlachcic, orzący sam własną skibę, oburzał się na myśl, że chłopka bez obrazy prawa może zostać jego synową.

Popularność ta jednak nie wyszła na dobre Her-

burtom. Jan, człowiek spokojny, przyjmował oznaki braterskiej czci z sercem pełnym wdzięczności i nie używał wpływu swego na dogadzanie ambicyi lub prywacie; ale syn jego, młodzieniec butny, z wyobraźnią gorącą i niespokojną, widząc tłumy szlachty oblegające Dobromil, czekające skinienia Herburtów, wzrósł w dumę i powiedział sobie: Ja mam na zawołanie tysiące szabel, jam pan; któż ośmieli się ze mną mierzyć? Czy na dobre wyszło mu to zaufanie w swęj mocy, nie nasza rzecz roztrząsać; zawsze jednak gdy-

nianie, że jak rodzina książąt Ostrogskich zamożną była w bogactwa, tak Herburtów w rozum.

Niesiecki powiada że Jan Herburt żył jeszcze roku 1576, nie przytacza jednak daty jego zgonu. To pewna, że nie dożył owych sławnych nieporozumień familjnych, skutkiem których szwagier, jego Drohojowski, starzec 70letni, napadnięty we własnem mieszkaniu, w ucieczce na cmentarzu kopią w piersi ugodzony zginął. Obydwaj z bratem przyrodnim Walentym, biskupem przemyskim, pochowani są w koście-



Jan Herburt.

by nie ta popularność Herburtów, nabyta uczciwą zasługą, ani krwawe zajścia ze Stadnickimi nie przyszyłyby do takich rozmiarów, ani rokosz Zebrzydowski nie mógłby być urosć w taką siłę.

Oprócz statutu, Jan Herburt wydał jeszcze w Bazylei r. 1574 *Cronica sive Poloniae compendiosam descriptionem*. Doprowadził on ją do panowania Zygmunta I, a nawet i z jego czasów o niektórych rzeczach ważniejszych wspomina. Praca ta zjednała Herburtowi imię uczonego i utrwaliła ogólne przeko-

le parafialnym w Fulsztynie, gdzie na nagrobku Jana wyczytać jeszcze można taki napis:

*W poselstwiech w cudzych stronach—Pospolitęj rzeczy
Służył—thesz do Franczyei jeżdżąc dla iei pieczy
Y do Szweczyei thesz—i piorem iei służył
Pisząc —wiele pracy użył.*

*Sława i dla cznoth jego—czini nieśmiertelnim,
W niebie dożywoczyie thym żyje skazitelnim.
Potomkom obraz twarzi tu s kształtem zostawił.
W pismach i w swych posługach cznoth wzorem był.*

Rodzina Herburtów, poprzednio osiedlona w Szląsku, przenosząc się około roku 1380 na Ruś, na pamiątkę dawniej swój szląskiej posiadłości nazwiskiem Felsztyn, założyła zamek i miasteczko i nazwała je Fulsztynem. Później, gdy rozrodzeni Herburtowie przenosili się w inne siedziby, Stanisław Herburt kasztelan lwowski, syn Jana (Swiercza) uzyskał w roku 1556 przywilej Zygmunta Augusta, pozwalający mu przeistoczyć wieś Dobromil na miasto. Ten Stanisław miał córkę za Janem Sieniawskim wojewodą ruskim i syna Piotra wojewodę podolskiego; pomimo to jednakże, skutkiem zapewne jakichś układów familijnych, Jan Herburt kasztelan sanocki, zbieracz praw polskich, stał się właścicielem Dobromila, gdyż niezawodną jest rzeczą że szlachta zjeżdżająca się dla podania swych uwag nad statutem przyjmowaną była w Dobromilu.

Zamek dobromilski znany był jeszcze przed przywilejem Zygmunta Augusta zamieniającym Dobromil na miasteczko, ale zbudowany na skałach w miejscu dzikim i ponurym, był zaniedbany i opuszczony. Podanie niesie że Jan Herburt, zostawszy właścicielem Dobromila, polubił niezmiernie ów ponury zamek i postanowił przyprowadzić go do najświetniejszego stanu. Gdy raz porankiem wyszedł pomiędzy skały układać plany przeistoczenia zamku, spostrzegł na jednej ze skał siwego starca, przypatrującego się wschodzącemu słońcu. Herburt zbliżył się do niego i pozdrowił uprzejmie. Starzec przeżegnał go krzyżem świętym i rzekł:

— Janie, widzisz wschodzące słońce? Patrz i słuchaj! I wasze słońce zejdzie, i wy jak siwe orły ugnieździecie się na tych skałach, i wy jak oni wzniesiecie się pod niebiosa. Orły w orłów się zamieniają i świetnieć będziecie dopóty, dopóki orzeł na swoje plemię zbrodniczej nie podniesie ręki. Janie! patrz i słuchaj!

Zdumiony Herburt chciał ująć starca za rękę, chciał go poprowadzić za sobą w głąb zamku, ale gdy się obejrzał za siebie, już starca nie było, tylko echo w skałach powtarzało: Janie! patrz i słuchaj!

Z podania tego urosła legenda o Herburtach przemieniających się w orły, i do do dziś dnia lud powtarza, że dopóty rodzina Herburtów istniała, dopóki jeden z nich nie zastrzelił orła gnieźdzącego się na skałach. My inaczej rzecz tę rozumiemy. Nie można zaprzeczyć że twórca statutu był człowiekiem przewidującym i marzącym o wyniesieniu swój rodziny. Wszystko co robił dla zjednania sobie popularności w narodzie, dowodnie nas o tym przekonywa. Obranie na siedzibę zamku, którego samo położenie wśród skał

czynił go niedostępnym wszelkim napaściom, było także odpowiednie tym zamiarom. Jako człowiek głębokiego rozumu, przewidywał że tylko podniesienie ręki na własny kraj może stracić jego rodzinę z przygotowanego piedestału; i któż więc zareczy, że pod postacią cudownej legendy nie chciał zostawić potomkom swoim upomnienia, aby się strzegli tego, co on za niechybny upadek poczytywał, i co, niestety, na własnym jego synu sprawdziło się?

Odbieramy wprawdzie legendzie najpoetyczniejszą jej część, *cudowność*, ale zyskuje na tym prawda historyczna i twórca statutu w wyraźniejszym jeszcze stawia się nam świetle.

Starowolski, uwodząc się podobieństwem imion, tak pomieszał Herburtów, że teraz dociec trudno co rzeczywiście któremu przypisać należy. Gdyby Niesiecki był łaskawszym na tę rodzinę, dałoby się jeszcze dojść wątku; ale cóż kiedy on o Janie Szczęsnym Herburtcie, synu Jana kasztelana sanockiego, najgłośniejszym na owe czasy awanturniku, tyle miał do powiedzenia, że w Mościcach wydzielił łan pola ojcom dominikanom. Niema żadnej wątpliwości że za czasów rokoszu Zebrzydowskiego Dobromil był w posiadaniu Jana Szczęsnego Herburtta, dowodem tego są malowania zamkowe, które poniżej opiszemy; ale jakże znów z tym pogodzić wiadomość zawartą w Siarczyńskim (Obraz wieku Zygmunta III), że Szczęsny Herburt, syn Mikołaja chorążego lwowskiego, a sam nie posiadający żadnych tytułów, założył w Dobromilu drukarnię, sprowadził do niej Jana Szeligę i wytłoczył w niej w r. 1612 po raz pierwszy kronikę Wincentego Kadłubka, a dalej Długosza i roczniki Orzechowskiego? Pomimo wszelkie a trochę naciągane dowody, nie jesteśmy za zdaniem Siarczyńskiego. Wiadomo bardzo dobrze że Jan Szczęsny Herburt posiadał wysokie wykształcenie umysłowe, pisał dobre wiersze, wydał w Krakowie r. 1569 (przed założeniem drukarni w Dobromilu) *Locorum de fide polonorum* i zostawił rękopis pod tytułem *Praktyka Rakuska*; dlaczegóż miałby być inny Szczęsny Herburt uczony, zakładający w cudzej włości drukarnię? Głównie opieramy się na tym, że niepodobna aby członek rodziny Herburtów, i do tego jeszcze uczony, nie posiadał jakiego urzędu (a podług Siarczyńskiego nie miał żadnego), i że znów ten sam Siarczyński utrzymuje, iż syn Jana Szczęsnego Herburtta wydał w roku 1613 *Naukę Dobromilską* i drukował ją w Dobromilu.

Którykolwiekby jednak z Herburtów założył drukarnię i sprowadził do niej Jana Szeligę, którykol-

wiek wytłoczył tak pożyteczne dla kraju dzieła jak kroniki Kadłubka, Długosza i Orzechowskiego, zawsze on wystawił trwałe pomniki Dobromilowi i jego dziedzicom.

Zamek dobromilski, przerobiony przez Jana kasztelana sanockiego, stał się siedliskiem syna jego, który ożeniony z Elżbietą, a podług Siarczyńskiego z Zofią księżniczką Zasławską, przyczynił się niemało do jego świetności.

Przytoczymy tu opis malowań wewnętrznych tego zamku, które dadzą wyobrażenie nie tylko o zamowności jego panów, lecz także o ich sposobie myślenia.

Rękopis drukowany w Pamiętniku Sandomierskim tak te malowania opisuje:

Najprzód nade drzwiami wymalowane są cztery wieże tuż obok siebie; ale każda innego koloru. Pierwsza *czzerwona* i napis nad nią: *Kościół pracy*. Na oknach tej wieży wymalowane są z jednej strony rozmaite ryszunki wojenne, a z drugiej 16 ksiąg z następującymi nazwiskami: *Piasko (?)*, *Anonimus*, *Kadłubek*, *Długosz*, *Miechowita*, *Aeneas Sylvius*, *Picolomineus*, *Lodovicus*, *Decius*, *Martinus Cromerus*, *Michael Baris*, *Philippus Calimachus*, *Łaski*, *Gregorius*, *Jakub Pryluscius*, *Metryka Przywileje koronne*, *Pakta*.

Druga wieża *biała*, napis nad nią: *Kościół cnoty*, a na oknach napisy: *Sejmiki*, *Sejmy*, *Rokosze*, *Zjazdy*, *Legacye*, *Wojny*, *Granice*, *Pospolite ruszenia*, *Przyjacielskie potrzeby*, *Roki*, *Jednania*, *Konwokacye*, *Trybunały*.

Trzecia wieża *niebieska*, napis nad nią *Kościół sławy*, a na oknach napisy: *Szlachcic* cnotliwy, *godny*, *mądry*, *pobożny*, *sprawiedliwy*. *Boże go błogostaw!* *Mężny*, *przedni*, *sprawny*, *miłośnik ojczyzny*, *sławny*.

Czwarta wieża *szara*, napis nad nią *Kościół zazdrości*, a na oknach malowane różne gadziny, obrócone pyskami ku kościołowi sławy, z których każda woła na tych co zaszczytnie służą krajowi, jedna: *Prywata*, druga *Niespokojność*, trzecia *Buntownik*, czwarta *Factiosus*, a na ostatku żaba skrzeczy *Rokoszanin!*

Po lewej stronie tych wież albo kościołów wymalowani są z herbami swemi ci wszyscy, którzy przez te kościoły przeszli, począwszy odr. 700 do r. 1600¹⁾. Po lewej wymalowani są ci którzy do tych kościołów idą, a mianowicie: pan wojewoda krakowski²⁾, pan

wojewoda rawski¹⁾, książe Radziwiłł²⁾, Herburt Stanisław, Branicki³⁾, Rozrażewski, Smogulecki, Morski, Taszycki, Zieleński, Kopyciński, Chocimirski, Porębski, młody Kazimirski i t. p. Każdy z nich jakby do potrzeby (boju) z mieczem dobytym. Za nimi idą troszkę opodal w tymże rzędzie pani wojewodzina krakowska⁴⁾ i pani Herburtowa, a z boku Cikowski podkomorzy krakowski, Porębski wojski krakowski, Herburt chorąży, Oraczowski pisarz krakowski, Zygmunt Niszczycki⁵⁾ i t. d.

Nad wszystkimi czterema wieżami takie wiersze:

Przez cnoty wrota,
Bądź gdzie mieszka cnota,
Tu jej sława wieczna,
Tu zazdrość bezecna.
Cnotliwego stopy,
Nie miną tej tropy

Wchodząc do izby po prawej ręce namalowany jest obelisk (baszta), zaostrzający się ku górze, a na nim napis:

Na wieczną sławę *prawobroniom*⁶⁾ samym, domowi i potomkom ich.

Obrońce prawdy,
Wam sława zawdy,
Wam i nagrody,
Wam i ozdoby,
I wasze domy,
Znakiem widomej
Cnoty, godności,
I pobożności.
Póki świat sływie,
Ta was nie minie!
Tu malowany,
Wam postawiony,
Słup ile złoty,
Dawniej roboty,
I marmurowy,
I porfirowy,

1) Zygmunt Grudziński, herbu Grzymała.

2) Janusz.

3) Miecznik koronny, starosta chęciński i lelowski.

4) Dorota z Herburtów Zebrzydowska.

5) Wszyscy wymienieni wyżej mężowie byli najczynniejszymi uczestnikami rokoshu Zebrzydowskiego. Janusz Radziwiłł podczas litewski, obrażony o odebranie mu starostw soleckiego i dudzińskiego i oddanie ich Chodkiewiczowi, na zjeździe w Lublinie obrany był marszałkiem. Rozrażewski, kasztelan poznański, rozgniewany o odmówienie sobie pozwolenia na założenie ordynacji krotoszyńskiej, jeden z najzawziętszych przeciwników królewskich. Taszycki, zapalony różnowierca, przyjaciel Szlichtynga, Schomana i Lubienieckiego. Niszczycki, głośny później przywódca Lisowczyków, wszystko to figury, którym tylko chwilowy zapal mógł naznaczyć tak ważne stanowiska.

6) Obrońcom prawa.

1) Musiała być znaczna liczba wymienionych osób, kiedy autor rękopisu ich nie zamieścił.

2) Mikołaj Zebrzydowski, główny przywódzca rokoshanów.

Zarazem stanie,
Gdzie zechcesz Panie!
A pióro godne,
W czasy pogodne,
Po świecie wszędzie
Wysławiać będzie
Te wasze cnoty,
I cne przymioty! ¹⁾.

Na przeciwległej ścianie jest obraz wielki i na nim namalowane są oba wojska, Jego Królewskiej Mości i rokoszanów, przeciw siebie stojące. Przed rokoszowem wojskiem jedzie na koniach jeden za drugim rzędem czterech rycerzy, każdy z dobytym mieczem. Osoby te same które naprzód idą do owych wymienionych kościołów. Pod wojskiem rokoszowem takie wiersze:

Tych bohaterów, którzy dla pańskiej swobody,
Chcieli widzieć—Gościu widzisz tu urody.
Twarze malarz wyraził, lecz znaczne przymioty,
Wiek przyszły wymaluje i wielkie ich cnoty ²⁾.

Na ścianie przeciwległej drzwiom są obrazy różne, a między oknami cesarza Rudolfa ³⁾ i króla Albrechta ⁴⁾. Sam jegomość ⁵⁾ wymalowany jest *ad vivum* na przykryciu stołu, a na tym samym obrazie namalowane są trzy słupy kamienne ⁶⁾, ręcznikami albo tuwalnią przewiązane, z napisem *prawdą i pracą!* ⁷⁾. Nad oknami herby dwa samego jegomości, a dwa jejmości; pod herbami wiersze:

Przyjdą te lata,
Na koniec świata,
Że staną wręby,
Za smocze zęby.
Ostrogskich cny domie ⁸⁾,
W sławnej tej Koronie ⁹⁾,
W twym zacnym domu,
Nie dasz wprzód nikomu.

¹⁾ Potrzeba było jaknajwięcej zgromadzać stronników, nie szczędzono więc kadzideł.

²⁾ Zawiodły nadzieje, wiek przyszły nie przyznał zasług tym co krew bratnią na polach Guzowa przeleli.

³⁾ Podanie rodzinne niesie, że jeden z Herburtów w bitwie dotarł aż do samego cesarza Rudolfa Habsburga i konia pod nim ubił, ale pojmany i jako więzień stawiony, od tegoż samego Rudolfa życie miał darowane.

⁴⁾ Wiadomo że król Albrecht najwięcej nadał przywilejów szlachcie, z ujmą innych stanów.

⁵⁾ Rozumić się Herburt, ale który? zapewne Jan Szczęsny.

⁶⁾ Bez wątpienia trzy gałęzie Herburtów.

⁷⁾ Drukarnia dobromilska używała tego godła,

⁸⁾ Żona Jana Szczęsnego Herburtu była córką Janusza księcia Zasławskiego i Aleksandry Sanguszkówny, a że Zasławscy używali tego samego herbu co i Ostrogscy, więc i tu дума kazała wymienić Ostrogskich.

⁹⁾ Koronie polskiej.

Pawężo ¹⁾ wieczna,
Pawężo wdzięczna,
Tu miejsce twoje,
Tu cnoty zdroje.
Sanguszków ²⁾ rodzie,
Radość w swobodzie,
Czasu kłopotu,
Podobienesz złotu!

Po lewej stronie są także herby Mozyrskiego i Miaskowskiego, z tym napisem:

Tu w szóstym rzędzie
Pamiętka będzie
Dwóch cnych młodzieńców,
Jak złotych wieńców.

Po prawej stronie w bok trzy słupy przewiązane, z tym wierszem:

Prawda i praca,
Ta nie utracą,
I nie omyli
W najgorszej chwili.

Na trzeciej ścianie wymalowani są między oknami nieboszczyk wojewoda kijowski ³⁾, pan starosta przemyski z panią ⁴⁾, a nad oknami obraz jako Imci pana hetmana pojmano. ⁵⁾

Niech inna ściana,
Pysnie odziana
Będzie—a moja
Z wolności zbroja,
Niesie naukę
Na lepszą sztukę.

W tym samym rzędzie naprzeciwko namalowany jest wieniec, a w nim kółek pięć. W pierwszym kółku napisano: *Wasył Szujski*, w drugim *Zebrzydowski*, w trzecim *Perosło* (?), w czwartym *Spinoza*, a w piątym wiersze:

Ozdoby świata!
W te nasze lata
Czczę was czém mogę.
Gdy się wspomogę,

¹⁾ Herb Herburtów, zwany inaczéj *pawęża* (Niesiecki).

²⁾ Powiedzieliśmy wyżej że matka pani Herburtowej była Sanguszkówna.

³⁾ Konstanty książę Ostrogski, pan wielki, który za marszałka trzymał jednego z wojewodów.

⁴⁾ Jan Herburt i Katarzyna z Drohojowskich, rodzice Szczęsnego.

⁵⁾ Po niefortunnej bitwie rokoszanów pod Janowem, Herburt ze swoim oddziałem obrócił się przeciw nienawistnym sobie Stadnickim. Najprzód ujął i uwięził Stanisława Stadnickiego, później sam od nich pod Przemyślem ujęty został. Nie można więc wnosić inaczéj, jak tylko że tu o tém pojmaniu mowa; a że Herburt miał własny oddział żołnierzy, więc go zawsze z tego tytułu hetmanem mianowano.

Napiszę potém
Imiona złotem. ¹⁾

Daléj w tymże samym rzędzie wymalowano trzech królów polskich: Bolesława Chrobrego, Kaźmirza Sprawiedliwego i Kaźmirza Wielkiego, z takim napisem:

Z dawnéj pamięci,
Dwóch i czterdziéci
Rzeczpospolita ²⁾
Królów swych czyta.
Z jakiej przyczyny,
I z jakiej winy
Trzech niesie ściana,
Tu pytaj Pana. ³⁾

Naprzeciw królów polskich wymalowano trzech cesarzów rzymskich: Juliana filozofa, Karola Wgo i Karola V, z napisem:

Gościu, powiedz co się stało,
Że tak dobrych królów mało?
Rzym na sto ośmnaście patrzy,
Dobrych, mądrych tu tylko trzy. ⁴⁾

Daléj wymalowane jest miasto na morzu, z podpisem *Wenecya*, pod obrazem taki napis:

Ja to Polska starodawna,
Wielką cnotą zawsze sławna,
Na weneckie państwa śliczne
Patrzę i grody rozliczne.
To mi nie dziw—lecz mi trzeba
Rządu którym dotknę nieba.
Nim obroniłabym Koronę,
Byle całą w każdą stronę. ⁵⁾

Na ostatku w kącie wymalowane są w trzy rzędy dziewięć osób, z których jednym jaszczurki z ust idąc, drugim do uszu léżą, a jednemu w drugim rzędzie do gęby i do uszu. Między niemi taki napis:

Bezecni naturalistowie, ⁶⁾
Ten plac o was światu powieć.

¹⁾ Jak szumnie porównany Zebrzydowski z Szujskim i Spinozą!
²⁾ I wówczas już wnoszono że Polska od wieków była rplitą, jak teraz utrzymuje w dziele swém Moraczewski.

³⁾ Pana zamku, Herburta. Nader ciekawą charakterystyką czasów i osób jest powyższy szczegół. Jawnie okazuje się jakie żywioły przemagały w sądach ludzi kierujących owemi malowaniami.

⁴⁾ Zdania tego nie wyrzekliby się i najzapaleńsi filozofowie z końca XVIII wieku.

⁵⁾ Wyrazy: lecz mi trzeba rządu którym dotknę nieba, godne złotych liter; lecz cóż kiedy ci sami co je tworzyli, nie myśleli niestety o owym tak szczytnie pojętym rządzie. Nie idziemy za zdaniem tych którzy utrzymują, że Zebrzydowski podniósł broń dla utrwalenia porządku w Polsce. Zbyt wiele miał dumy i osobistych niechęci, aby mu można przyznać podobne zamiary.

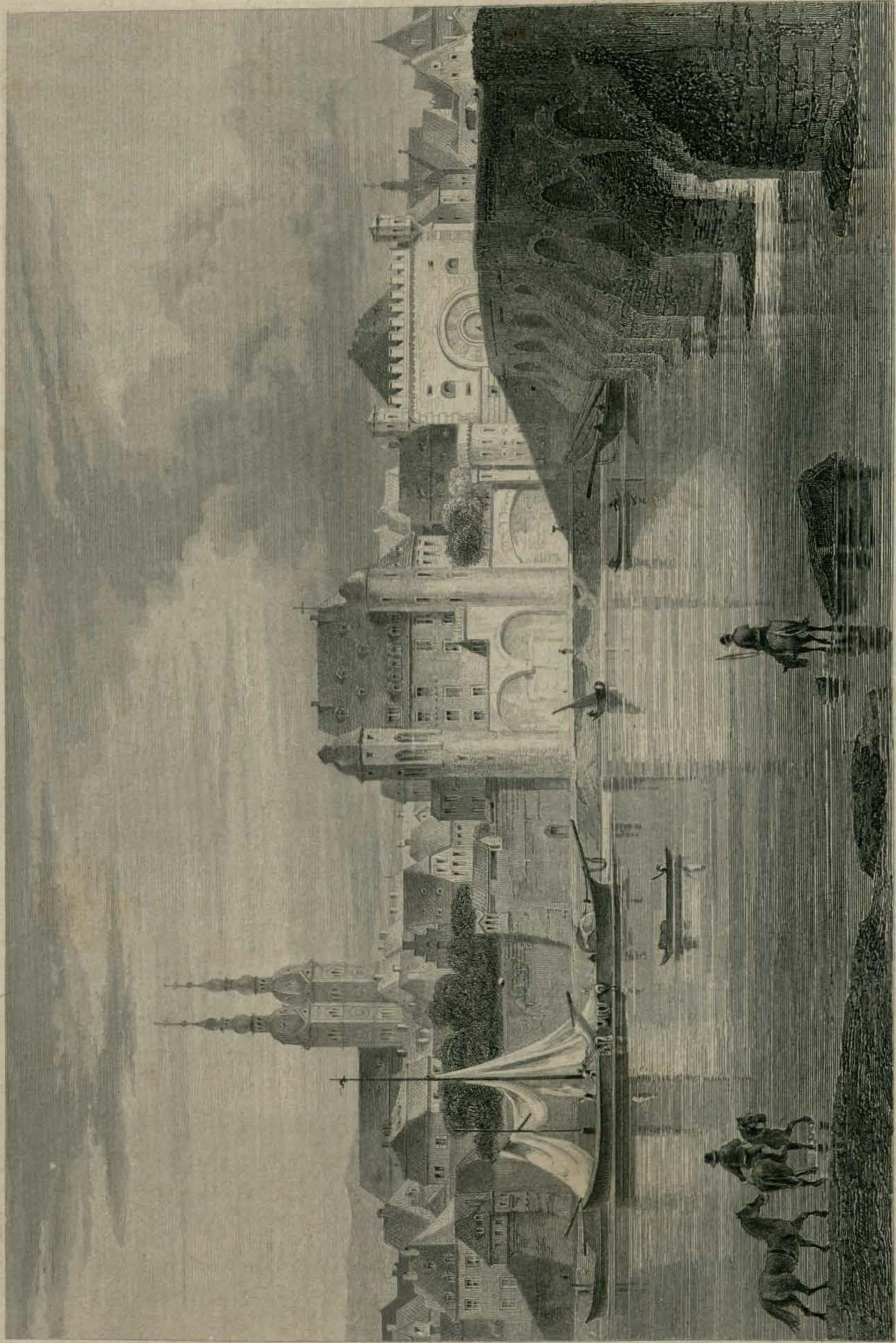
⁶⁾ Związkowi zwali naturalistami tych wszystkich, którzy się trzymali partyi królewskiej.

Jak sowy i niedoperze,
Každy w sieci chytrze gmerze.
W Sparcie, wam powróż zapłata,
U nas, sławy wieczna strata!

Na tém kończy się opis malowań; widoczna więc że tylko przedsiemek i jedna sala w podobny sposób były odmalowane. Pamiętnik Sandomierski, dziś prawie do rzadkości bibliograficznych należący, ważną przysługę wyświadczył historii wydrukowaniem rzonego rękopisu. I malowidła i napisy wyjaśniają nam wiele ciekawych szczegółów z epoki w której, jak niektórzy utrzymują, ważyły się losy porządku lub bezładu w Polsce. Być może że Zebrzydowski i inni przewodnicy związku rozszerzaniem różnych wieści zjednali sobie stronników; nie przypuszczamy jednak aby człowiek który powiedział: *Ja ustąpię z kamienicy, lecz król ustąpi z królestwa,* mógł szczerze myśleć o czémś więcej, jak o prywacie. *Vox populi* najlepiej sądzi czyny podobnych ludzi, a owe odezwanie się jakiegoś pachotka słowami Judasza w chwili gdy Zebrzydowski przepraszał króla: *Ave Rabbi*, wybornie maluje charakter Zebrzydowskiego.

Chociaż rękopis rzeczony nie podał nam daty owych malowań, śmiało jednak utrzymujemy że one po bitwie guzowskiej były wykonane. Bitwa pod Guzowem nastąpiła dnia 6 lipca 1607 r., wojewoda kijowski umarł r. 1608, a w napisie pod jego obrazem zwany jest nieboszczykiem. I nie mogło być inaczej; w czasie trwającego rokoshu nie było czasu zajmować się podobnemi rzeczami, ale gdy zamiary nie powiodły się, gdy związek upadł, potrzeba było w podobny sposób podeprzeć jego sławę, zrównoważyć opinią publiczną.

Bądź co bądź, przepowiednia tajemniczego pielgrzyma, a raczej słowa mądrego Jana Herburta, spełniły się. Syn jego, obdarzony od natury wielkimi przymiotami, ukształcony nad wiek, mężny, dzielny, odważny, po ojcu i po żonie dziedzic obszernych włości, podniósł rękę na własne gniazdo i z olbrzyma na jeden raz stał się karłem, a z rycerza prostym łupieżcą. Nie dźwignął się on już więcej, a z nim ród Herburtów, który w pół wieku po tych zdarzeniach wygasł zupełnie. Lud utrzymuje że ostatni z tego rodu zabił orła gnieźdzącego się na skale, i w téj zaraz chwili jedyny syn jego, ostatnia latorośl bujnego niegdysz szczepu, nagle umarł. Lud tak sobie tłumaczy legendę. Zamek dobromilski, po owéj świetności, podzielił także losy upadającej rodziny. Kilkakrotnie jednak stawił czoło oblegającym go Kozakom za Chmiel-



Stadtel v. M. Kurz

Gen. v. L. Lange

Koblencya od strony Mozeli.

nickiego, a później Szwedom, i oparł się licznym szturmom; nie mógł jednakże oprzeć się sile czasu, który głowy najhardziej olbrzymów do stóp swych ugina. Co się z nim dzieje, nie wiemy, ale jeżeli jeszcze do dziś dnia wznosi poszczerbione czoło,

to można być pewnym że za lat kilka lub kilkanaście, z postępem *przemysłowych idei*, jaki potomek Leliwów lub Toporów przerobi go na gorzelnię, albo co najwyżej na cukrownię.

Antoni Wieniariski.

KOBLENCYA.

Starożytne to miasto otrzymało miano swe od położenia przy spływie dwóch rzek, Mozeli i Renu. Rzymianie z tego powodu nazywali je *Confluentes*, z czego w następstwie wieków urobiło się niemieckie *Co-blentz*. Należało ono kolejno do Lotaryngii, Francji i Niemiec, a w wieku XI cesarz Henryk II nadał je arcybiskupom Trewiru, którzy opasali je murami. W późniejszych czasach bywało nieraz widownią krwawych zapasów, oblegane przez Szwedów, Francuzów i wojska cesarskie.

Dzisiejsza Koblencya, w połączeniu z położoną na przeciwnym (prawym) brzegu Renu twierdzą Ehrenbreitstein, liczy około 30,000 mieszkańców, jest miejscem obronnym pierwszego rzędu, stolicą najbogatszej prowincji pruskiej tegoż nazwiska i jednym z punktów środkowych handlu całego związku celnego. Miasto, zabudowane w ogólności bardzo starannie, posiada mnóstwo gmachów godnych uwagi ze względu na architekturę lub przywiązane do nich wspomnienia historyczne, z których kilka tu wymieniamy.

W widłach utworzonych ze zbiegu Renu i Mozeli leży kościół zwany Castor, budowla starożytna, szanowna swą dawnością, którą niepojętym wybrykiem w ostatnich latach pomalowano na czerwono. W tej to świątyni w IX stuleciu zebrali się trzej synowie Ludwika Łagodnego, dla podziału dziedzictwa Karola Wielkiego. Tu święty Bernard wzywał do krucjaty, tu wreszcie kilka odbyło się koncyliów. Naprost kościoła znajduje się dość niepozorny wodotrysk, godny jednak uwagi z powodu dwóch następujących napisów:

Rok MDCCCXII

Pamiętny kampanią przeciw Rosyjanom,
Pod profektoratem Juliusza Dozan.

Widziałem i zatwierdziłem.

Kommandant rosyjski miasta Koblencyi,

Generał Saint-Priest.

Dnia 1 stycznia 1814.

Przyznać należy iż generał Saint-Priest dowcipnie zażartować umiał z próżności swych poprzedników.

Kościół św. Florentyna, w którym Francuzi założyli kiedyś magazyn furazu, jest także gmachem bardzo starożytnym, w stylu bizantyjskim; zasługują w nim na wspomnienie ambona, chrzcielnice z dębami rzeźbami i piękne malowania na szkle. Kościół Najświętszej Panny Maryi, położony w wyższej części miasta, godnym jest uwagi tylko z powodu wysokości swych wież.

Obok mostu pontonowego przez Ren, wznosi się tak zwana *Burg*, dawny pałac arcybiskupi. Niegdyś siedziba arcybiskupów trewirskich, hrabiów Prowancji i Artois, później przez Francuzów zamieniony na koszary, służy on dziś za mieszkanie księciu pruskiemu, bratu króla panującego. Zamek nowy, zbudowany w końcu zeszłego stulecia, wydłuża równolegle do rzeki wspaniałą swą fasadę, ozdobioną kolumnami porządku jońskiego.

Koblencya, zacieśniona między Renem i Mozelą, w prześlicznym położeniu, pomimo ładnych swych domów malowanych na niebiesko i różowo, ma jednak pozór dość smutny. Jest to przedewszystkiem miasto garnizonowe, w którym Prusacy zbyt liczną utrzymują załogę, nadając mu tym sposobem charakter przeważnie wojowniczy.

Twierdza Ehrenbreitstein leży, jak wspomnieliśmy, na brzegu prawym czyli niemieckim Renu (bo w Koblencyi mówią jeszcze: brzeg francuzki, brzeg niemiecki). Wznosi się ona na skale granitowej, mającej 365 stóp wysokości. Ze szczytu jej Francuzi w roku

1794 bombardowali Koblencją, będącą wtedy punktem zbornym emigrantów i ogniskiem anti-francuzkiej koalicji. Prusacy na fortyfikację tej warowni wydali przeszło 15 milionów talarów. Magazyny jej mogą wyżywić 10,000 ludzi przez lat dziesięć, a 400 dział ciężkiego kalibru broni zewsząd przystępu. Znajdowała się tu niegdyś słynna armata, odlana w Frankfurcie r. 1528, mogąca wyrzucać na odległość dwóch mil kule 160 funtowe, którą Francuzi r. 1799 przenieśli do Metz.

Z wysokości Ehrenbreitstein widok jest zachwycający. Pokryte zielenią wyspy Niederwerth i Graswerth; mosty przez Ren i Mozelę; dalej Koblencja rozsiadła między dwiema rzekami, mieniąca się w barwach różowych, białych i niebieskich; za rzekami obszerna równina, zasiana malowniczo porozrzucanymi wioskami; na krańcu wreszcie widokregu, od północy, pasmo gór Maifel i Eifel.—Ileż to bitew stoczono, ile krwi przelano na tej rozległej przestrzeni, począwszy od Cezara aż do Hoche'a!

Przy trakcie prowadzącym do Kolonii wznosi się pomnik francuzkiego generała Marceau, który poległ nieopodal Koblencji pod Altenkirchen r. 1796, zasłaniając odwrót generała Jourdan. Jest to piramida kamienna, 40 stóp wysoka, spoczywająca na kopcu. Na bokach jej wyryto napisy następujące:

„Armia Sambre-et-Meuse, po odwrocie swym z Frankonii, opuszczała rzekę Lahn; Marceau dowodził prawym jej skrzydłem, mając sobie poleconym zasłaniać dywizje przeciągające pod Altenkirchen. Trzeciego dnia defilady, wychodząc z lasku Hochsbach, został śmiertelnie raniony kulą karabinową. Przeniesiono go do Altenkirchen, gdzie z przyczyny wielkiego osłabienia chorego, potrzeba było zostawić go wspaniałomyślności nieprzyjaciół. Umarł w objęciach kilku Francuzów i generałów austriackich, w dwudziestym szóstym roku życia.”

„Sława dzielnemu Marceau! woła lord Byron w Child-Haroldzie, krótkim lecz świetnym było młode jego życie. Opłakiwały go dwie armie, ta którą dowodził, i ta którą zwalczał. Przechodniu, pomódł się na grobowcu bohatera za spokój jego duszy!.... Był to zapaśnik wolności, lecz jeden z tych niewielu, co walcząc za nią, nie przekraczali nigdy prawa słusznego odwetu. Zachował nieskalaną czystość swęj duszy, a ci co go przeżyli, głęboko uczuli jego stratę.”

Już to w ogólności przyznać należy Niemcom, że uszanować umieją popioły nieprzyjaciół. O kilka mil od Konstancyi, na trakcie z Moguncyi do Bingen, znajduje się drugi pomnik Francuza, walecznego generała Hoche, zmarłego w Weissenthurm r. 1797, o którym pisze Thiers w swojej historii rewolucji francuzkiej:

„Hoche umierając miał lat dwadzieścia i dziewięć. Był to wychowaniec stariej gwardii francuzkiej, łączący z energicznym charakterem, niepospolitą inteligencją, wielką przenikliwość, dokładną znajomość wypadków politycznych i wreszcie wszechwładną dźwignią zapału. Namietności jego były wrzące i stały się może główną przyczyną jego śmierci. Szczególna okoliczność powiększała jeszcze zajęcie jakie budziły wszystkie te przymioty: zawsze szczęśliwie rozpoczęte działania przerywały mu wypadki nieprzewidziane. Zwyciężywszy pod Weissenburg, i mając przed sobą zawód najświetniejszy, wtrącony nagle został do więzienia. Wszedłszy z niego, trawił siły swe w Wandei, gdzie odegrał najpiękniejszą rolę polityczną; lecz w chwili gdy wykonać miał wielkie przedsięwzięcie przeciw Irlandyi, burza i nieporozumienia znów go wstrzymały. Przeniesiony do armii Sambre-et-Meuse i odniósłszy z nią chlubne zwycięstwo, ujrzał się powstrzymanym w pochodzie przedugodnemi układami w Leoben. Gdy wreszcie stanął na czele armii działającej w Niemczech i w ówczesnym stanie Europy przyszłość jego zdawała się ogromną, śmierć niespodziana przerwała jego zawód w ciągu czterdziestu ósmiu godzin. Lecz jeśli zostawione po sobie wspomnienie wynagrodzić zdoła śmierć zawczesną, Hoche tę nagrodę otrzymał najsowociej. Zwycięstwa, wszechstronność talentów, zacność bez zmazy, przekonanie wszystkich republikanów że on tylko jeden byłby stanął naprzeciw zwycięzcy z pod Rivoli i piramid, że ambicya jego nie wyszłaby z granic republikanizmu i byłaby się stała niezwalczoną zaporą przeciw ambicyi większej, sięgającej po berło; słowem znakomite czyny, szlachetne przypuszczenia i dwadzieścia dziewięć lat wieku, oto osnowa pamięci młodego bohatera. Zaprawdę, pomnik to dosyć wspaniały. Nie żałujmy go zresztą że umarł zawczasie; lepiej podobno dla sławy ludzi jak Hoche, Kleber i Desaix, że nie zostali marszałkami. Umarli przynajmniej wolnymi obywatelami, i nie szukali, jak Moreau, schronienia w nieprzyjacielskich szeregach.”

FRYDERYKA BREMER.

Literatura szwedzka, jak w ogólności skandynawska, w nowszych dopiero czasach rozwinęła się szerzej i swobodniej. Najdawniejszymi jej objawami, sięgającymi XII i XIII stulecia, były tak zwane *Folkwizy*, poezye ludowe opiewające znakomite czyny bohaterów przeszłości, i nieco późniejsze *Riddarwizy* czyli pienia rycerskie, w których pojęcia średniowiecznego rycerstwa znajdujemy pomieszane z tradycjami chrześcijańskimi. Z nastaniem reformacji nowa dla piśmiennictwa szwedzkiego rozpoczęła się era. Wojna trzydziestoletnia, wprowadzając Szwedów w bezpośrednie z innymi narodami zetknięcie, wniosła do ich mowy mnóstwo żywiołów francuzkich, duńskich i niemieckich, i tym sposobem wyrobił się język *nowoszwedzki*, język dzisiejszej literatury, bogaty, dźwięczny i śpiewny, który tém jest pomiędzy narzeczami germańskimi, czém włoski pomiędzy romańskimi. Gustaw Adolf, sam znakomity mówca i poeta, w ciągu dwudziestoletniego panowania swego (1611—32), nie przestawał opiekować się naukami, uposażając hojną ręką istniejący od r. 1476 uniwersytet upsalski i zakładając nowe wszechnice w Abo i Dorpacie, do których później, pod Karolem XI, przybyła czwarta w Lund. Królowa Krystyna, Minerwa północy, jak z galanterią francuzką nazwał ją Menage, gromadziła naokoło swego tronu znakomitych uczonych z Niemiec, Hollandyi i Francyi. Pod rządami nakoniec nie szczęśliwego Gustawa III (1772—92) nastał wiek złoty literatury szwedzkiej. Znakomici poeci, dramatycy i estetycy, jak Gyllenberg, Rudbeck, Dalin, Kellgren, uprawiali niwę ojczystą, przygotowując tym sposobem najnowszą epokę piśmiennictwa szwedzkiego, która rozpoczyna się z wiekiem XIX. Walka klasyków z romantykami, w całej podówczas tocząca się Europie, długo i zacięcie wrzała i w Szwecyi; reprezentantami jej ze strony pierwszych byli członkowie akademii upsalskiej, ze strony drugich poeci Atterbom, Elgström, Hedborn i Dahlgren, prozaisci Palmblad, Schröder i Liwin, zakończyła się zaś, jak wszędzie, tryumfem romantyzmu. Do dwóch tych sprzecznych żywio-

łów przyłączył się wkrótce trzeci, czysto narodowy, popierany szczególnie przez Linga, Afzeliusa i Adlerbetha młodszego, twórców tak zwanego „Związku Gotów,” którego członkowie rozlubowali się wyłącznie w walkach i podaniach staro-skandynawskich. Tegner tylko, piewca słynnego poematu „Frithiofowa Saga”¹⁾, i niezaprzeczenie jeden z pierwszych wieszczów tegoczesnych, umiał połączyć z narodowością świętość obrazowania, wdzięk formy i dykcją pełną zwrotów jaskrawych i oryginalnych.

Z takich to walk i żywiołów wyrobiła się dzisiejsza literatura szwedzka, samoistna i bogata. Począwszy od XVII stulecia, spotykamy w niej nazwiska zasłużonego rozgłosu, a niekiedy i sławy europejskiej, jak: *z poetów*: Stiernhielm (ojciec poezyi szwedzkiej), Gyllenberg, Kellgren, Oxenstierna, Lidner, Bellman, Atterbom, Stagnelius, Beskow, Arwid Afzelius, Tegner, Almquist i Runeberg. *Z estetyków i krytyków*: Ehrensward, Hammarsköld, Brunius i Kellgren. *Z romanse i powieścio-pisarzów*: hrabia Sparre, Crusenstolpe, Kullberg, Almquist, Wetterbergh (znany pod pseudonimem wuja Adama), Engström, Snellman, Palmblad, pani Carlen, baronowa Knorring i panna Bremer. *Z historyków*: Puffendorf (biograf Karola Gustawa), Dalin, Norberg, Hallenberg, (którego dzieje Gustawa II Adolfa, opracowane podług źródeł archiwalnych, są arcy-dziełem w swym rodzaju), Geier, Fryxell i Strinholm. *Z filozofów*: Höjer i Biberg. *Z matematyków i badaczy przyrody*: Celsius, Polhem (zwany szwedzkim Archimedesem), Linneusz, Hasselquist, Sparrman, Adam i Jan bracia Afzelius, Berzelius, Fries, Nilson, Wahlenberg i Svanberg.

Kończąc ten krótki rzut oka na rozwój piśmiennictwa szwedzkiego, zwracamy jeszcze uwagę na tę okoliczność, że Szwecya od pierwszej połowy zeszłego

¹⁾ Tłumaczenie poematu tego na język polski wykonał p. Jagielski w Poznaniu. Znamy także drugie tłumaczenie w rękopiśmie, pióra jednego z młodych pisarzy warszawskich, p. Grajnera, które pod każdym względem stawiamy nierównie wyżej od szorstkiego przepolszczenia poznańskiego.

stulecia najwięcej (stosunkowo) wydała kobiet piszących z większym lub mniejszym talentem. Wymieniamy z nich: panie Brenner, Nordenflycht, Svardström (piszącą pod pseudonimem Eufrozyny), Lenn-

cenia uwagi Europy na nowszą literaturę szwedzką, udzielamy tu czytelnikom obszerniejszą wiadomość, załączając przytém wizerunek jój na drzewie wykonany.



Friedrika Brenner

gren, Berger, Carlen, baronową Knorring, nieznaną piszącą pod pseudonimem Wilhelminy, i pannę Fryderykę Bremer. O życiu i pracach tej ostatniej, której powieści najwięcej może przyczyniły się do zwró-

Fryderyka Bremer urodziła się r. 1801 w mieście Abo w Finlandyi, gdzie ojciec jój był posiadaczem hamerni. W czwartym roku życia przeniosła się z rodziną do Skanii, i odebrawszy w domu rodzicielskim

staranne wychowanie, przepędziła później lat kilka u przyjaciółki swój, hrabiny Sonnerhielm, w Norwegii. W wieku dojrzałym, nietylko z potrzeby, ile z wrodzonego zamiłowania, została nauczycielką w sztokholmskim instytucie panien, oddając się gorliwie wychowaniu swych uczennic, przyczem jednak znajdowała dosyć wolnego czasu na odbywanie podróży po kraju, Niemczech i Anglii. Na wyrobienie się jej talentu pisarskiego wpłynęła przeważnie znajomość literatur francuzkiej i angielskiej, a szczególnie niemieckiej, z której ulubionem jej czytaniem były dzieła Schillera. Wrażenia wieku dziecinnego i młodzieńczego zajmująco opisała panna Bremer w serdecznej swój spowiedzi, załączonój jako wstęp do „Sąsiadów,” jednój z najlepszych jej powieści. Posłuchajmy w tym względzie własnych słów autorki:

„Żądają odemnie iżbym opowiedziała swoje życie, koleje jakie przechodził rozwój intelligencji mojej: trudne to bardzo zadanie. Niepodobna mi dziś dotknąć mego świata wewnętrznego, jak tylko przez zewnętrzną jego stronę, a właśnie ten świat wewnętrzny zawiera główną treść moich dziejów.

„Kiedyś, gdy nie będę już na tej ziemi, duch mój powróci może na nią i opowie ludziom tajemnicę mych cierpień i radości. Tymczasem pozwalam czytelnikowi uchylić zasłony z życia najpospolitszego w zewnętrznych swych objawach i odkryć że urodziłam się roku 1801 nad brzegami Aury, albo że miałam rodzicami chrzestnemi kilku członków akademii w Abo. W czwartym roku życia opuściłam prowincję swą rodzinną (należącą jeszcze wtedy całkowicie do Szwecyi), i jedno tylko z tego czasu zachowałam wspomnienie. Wspomnieniem tém jest wyraz Jumala ¹⁾, wyraz potężny i wielki. Gdy lud finlandzki pogrążony był jeszcze w ciemnościach pogaństwa, wymawiał go z bojaźnią i miłością; i dziś wymawia go tak samo, tylko że uczucia jego uszlachetniła nauka ewangelii. Zdaje mi się nieraz że słyszę wyraz ten w huku grzmotów, w szumie fali, w powiewie wiatru orzeźwiającego.

„Jeżeli, czytelniku, przeniesiesz się ze mną do Szwecyi, gdzie ojciec mój kupił kawał ziemi, sprzedawszy zakłady swe w Finlandyi, nie będę cię nużyła szczegółowem opowiadaniem megowieku dziecinnego i młodzieńczego, z jego ubóstwem zewnętrznem, a bogactwem wewnętrznem; pokażę ci tylko mimochodem małe zajmujący obrazek rodziny, która w starój kolasie co jesień powraca ze wsi do stolicy, by znów na wio-

¹⁾ Finlandczycy poganie nadawali miano to głównemu swemu bóstwu. Zostawszy chrześcianami, tak samo nazywają Boga.

(Przyp. autorki).

sne przenieść się do letniej rezydencji swojej. W łonie tej rodziny młode dziewczęta grają sonaty, śpiewają piosnki, rysują kródką i rzucają w przyszłość pełne niecierpliwości spojrzenia, marząc o rzeczach cudownych. A nie chodziło w tych marzeniach o drobiazgi: przedmiotem moich na przykład bywały ni mniej ni więcej jak czyny i zapasy rycerskie.”

Daliej w słowach pełnych wdzięku i prostoty kręśli opis swego kółka rodzinnego i wpływu jaki na młodą jej wyobraźnię wywierało czytanie, przechodząc następnie do poetycznego obrazu życia rzeczywistego, w którym licznych doznała zawodów.

„Pragniesz-li rzucić teraz okiem na koło domowe tej rodziny? Ujrzysz ją zgromadzoną w jednym z wielkich pokojów letniego jej mieszkania, podczas wieczoru jesiennego. Ojciec czyta na głos, chłopcy figlują, a dziewczęta pracują i słuchają. Jedna z nich, bardziej uważna, zaledwie ukryć zdoła wrażenie jakie na niej czynią świetne meteory literatury niemieckiej. O! gdyby wzruszenie obudzone czytaniem mogło śmierć zadać, ona niezawodnie byłaby się spaliła żarem uwielbienia lub rozplynęła we łzach, słuchając Dziewicy Orleańskiej Schillera.

„Wkrótce, niestety, przyzwyczać się musiała do boleści prawdziwszej, do opłakiwania nie zmyśleń poetyckich, lecz wypadków rzeczywistych. Twarda walka z życiem powlekła zwolna kirem świetne sny jej młodości;—przedwczesna pomroka zaskoczyła w pół drogi młodą podróżniczkę;—chciała się cofnąć rozpaczliwem targnięciem, ale sił jej nie stało. Ciemność coraz się powiększała..... zapadła noc czarna. Mróz silniej ścisną członki,—ręce bezwładnie opadają. Podczas tej długiej nocy zimowej, podróżna słyszy głosy narzekania ze wschodu i zachodu, głos niemiej skargi umierającej przyrody, i krzyk rozpaczony pogrzebionej ludzkości; widzi życie z boleścią swą, miłością, nadzieją i modlitwą zagrzebane pod warstwami śniegu, pod grubemi lodu pokładami. Wszystko umiera, jedno tylko cierpienie trwać nie przestaje.

„Uważaliście zapewne iż we wszystkich głębiej pomyslaných mytologiach, a między niemi i w skandynewskiej, w początku wszech rzeczy toczy się walka sił sobie przeciwnych, gdy pierwiastek życia świetny i gorący zetknie się z zimnem i pomroką. Z zetknięcia tego światła i ciemności, ognia i łez, powstaje *bóstwo*. Coś podobnego, zdaje mi się, zachodzi w życiu każdego człowieka, w chwili gdy ono w poważniejszej zjawia mu się postaci; czegoś podobnego doznała i pisząca te wyrazy.”

W końcu autorka przedstawia myśli swe i uczucia

w wieku już dojrzałym i mówi o zamiarach swych na przyszłość.

„Długie lata od czasu tego upłynęły i ważnych w niej zmian dokonały. Oczy jój, długo przyćmione, błyszczą teraz ogniem natchnienia; zdaje się jakby po ciężkim zmartwychwstała letargu. Cóż w niej działo się takie przeistoczenie? Czyliż sprawdziły się sny jój młodości? czy została bohaterką? czy napałała się tryumfami piękności i sławy? Bynajmniej. Sny jój dzieciństwa pierzchnęły jak mary; młodość przeszła bezpowrotnie, a jednakże odmłodziła; bo dusza jój rozbudziła się z uspienia, bo ciemność nocy rozproszyło wszechmocne „Stań się światło!”

„Wiele potem drogich jój istot pochłonęły groby; niejedną jeszcze boleść przecierpiała, lecz serce jój jest spokojne, zwątpienie przeminęło na zawsze. Jak kwiaty najwonnejsze rozkwitają nieraz w nocy, tak i dusza człowieka w ciemności cierpień roztwiera się na przyjęcie światła wiekuistego.

„W ósmym roku życia zaczęłam pisać wiersze do księżycy; debiutem moim był wykrzyknik następujący:

O niebieski krążycielu,
Strapionych pocieszycielu!

„W tym wzniosłym stylu napisałam mnóstwo rzeczy, na których czytanie nie skazałabym nawet nieprzyjaciół, jeżeli ich posiadam. Tworzyłam je mimowolnie prawie, w gorączkowym niepokoju młodości, jak fale pędzone wiatrem kręślą kółka bez ładu na piasku nadbrzeżnym; pisałam aby pisać. Później dopiero przyszła mi myśl przyjęcia na siebie roli jaką w dzieciństwie naznaczyłam księżycowi; chwyciłam za pióro i napisałam dosyć książek, które przeczytać możecie, jeśli łaska. Znajdziecie je po księgarniach.

„Doszedłszy do kresu jesieni życia, nie porzuciłam dotąd łąk owych, lasów i gór, które otaczały wiek moją dziecinny. Długie nawyknięcie uczyniło je dla mnie jeszcze droższymi, znam teraz dokładniej zioła ich i kwiaty.

„Co do przyszłości, jedno tylko mam marzenie: ukończyć dzieła których plany istnieją w mej wyobraźni. Jeżeli ono się spełni, uważać się będę za mniej niegodną okazywaną mi życzliwości, a jeśli doznam powodzenia, zasługa w znacznej części spadnie na szlachetnych tych ludzi, co swym współczuciem dodali mi odwagi. Dziękuję im z całego serca.”

Hrabina Ida Hahn-Hahn w swój „Podróż po Szwecyi” opisuje szczegółowo niebardzo malownicze miejsce zamieszkania panny Bremer, pokój jój odznacza-

jący się klasztorną prostotą, „jój oczy pełne wyrazu, czoło pogodne i szerokie, rysy twarzy drobne lecz pełne wdzięku i dobroci.” Tłumaczy się biegle po angielsku, po francuzku i po niemiecku, nabywszy znajomości tych języków przez czytanie i podróże. Od dzieciństwa, jak mówi sama w przytoczonych wspomnieniach, pisywała wiersze szwedzkie i francuzkie, lecz dopiero mając lat dwadzieścia kilka wystąpiła z pierwszym swym dziełem „Obrazy z życia powszedniego,” (Stockholm, 1828), za które akademia paryzka r. 1831 przyznała autorce złoty medal.

Szybko teraz nastąpiły po sobie: „Córki prezesa” (1 tom); „Ognisko domowe” (2 tomy); „Kłótnia i zgoda” (1 tom), powieść odznaczająca się mistrzowskim skreśleniem malowniczych krajobrazów norweskich; „Sąsiedzi,” (2 tomy) najlepszy jój utwór pod względem charakterystyki i obrobienia; „Rodzina H.” (1 tom); „„Nina” (2 tomy); „Dziennik wspomnień” (2 tomy); „Życie rodzinne” (2 tomy); „Brzask ranny” (1 tom), gdzie autorka składa religijne swe wyznanie wiary. Zajmujące obrazy z podróży daje panna Bremer w „Życiu na północy” (1 tom) i w „Podróżach letnich” (2 tomy).

Roku 1849 panna Bremer sama jedna odbyła podróż do Ameryki. Listy jój pisane do siostry w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych i na wyspie Kuby (od paździer. 1849 do września 1851) wyszły pod tytułem: „Życie domowe w Nowym Świecie,” (Stockholm, 1853—54, 3 tomy). Przyjęta w Ameryce z najgorętszym współczuciem, autorka zanadto może oddała się przyjemności opisywania w tych listach najdrobniejszych szczegółów życia uprzejmych swych gospodarzów; w kreśleniu jednak obrazów kraju, instytucyj jego, tudzież obyczajów publicznych i prywatnych, umiała zachować prawdę, obok polotu poetycznego i rzewności uczucia. Powróciwszy do Szwecyi, zajmuje się urzeczywistnieniem swych widoków filantropijnych, będących dziś dla niej głównym celem życia. Ostatnimi jój pracami są: „Hertha” (3 tomy) i „Drobne powieści” (1 tom). Pisma jój tłumaczone są na wszystkie prawie języki europejskie. Po polsku p. Natanson w „Wyborze przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych” wydał następujące: „Sąsiedzi,” „Córki prezesa,” „Rodzina H.,” „Nina,” „Kłótnia i Zgoda,” „W Dalekarlii;” pod prassą zaś nakładem tegoż księgarza znajduje się „Ognisko domowe.”

Niezwykła płodność autorska panny Fryderyki Bremer stała się zapewne powodem, że dzieła jój późniejsze nie wyrównują pierwszym pod względem wartości, a przynajmniej równego nie obudziły zajęcia.



We wszystkich jednak przebijają cechujące ją w ogólności przymioty: czystość prawdziwie niewieścia, rozsądek praktyczny, swoboda przybierająca niekiedy lekki odcień humoru, wierne, niezwichnięte pojęcie życia i jego stosunków, głęboka znajomość serca ludzkiego i żywy, porywający nieraz dar obrazowania. Najwłaściwszym jej polem jest życie rodzinne i dom,

ze wszystkiem co do niego należy.³ Szkice jej w tym obrębie, lubo zwykle drobiazgowo, pociągają wdziękiem i jedyne są w swym rodzaju. W mniejszym nierównie stopniu posiada dar wynalazku powieściarskiego, chociaż „Sąsiedzi” i pod tym względem niemałą są wartości.

Ludwik Jerike.

ŁASZA ŻENETTA.

Jeżeli w rodzaju Łaszy (*Vivera*) gatunki szeregować zechcemy podług więcej lub mniej włosami porośniętych podszew, to naprzód położymy takie, które mają tę część ciała całkowicie siercią porośniętą, i tu należą: Łasza cyweta (*Vivera civetta*), Łasza zybety (*Vivera zibetha*), Łasza bengalska (*Vivera bengalensis*) i Łasza abisyńska (*Vivera abyssinica*). Dalej następują te, które mają na podszewkach smugę podłużną, nagą, i tu należą: Łasza fossana (*Vivera fossana*), Łasza Żenetta (*Vivera Genetta*), która nas głównie w niniejszym artykule zajmować będzie, tudzież Łasza pomarańczowa (*Vivera perdicator*), stojąca na samym krańcu tego ciekawego rodzaju.

Zoologowie nader wybitnie różnią się w zdaniu co do cech służących za zasadę powyższego uszeregowania gatunków. Fischer w dziele „Synopsis Mammalium” uważa czy torebka między odchodkiem a częściami płciowymi znajdująca się dzieli się na dwie części.

Żenetta w ogólnych cechach zachowuje charakter rodzajowy: zębów przednich w wierzchniej i górnej szczęce po sześć, w jednym rzędzie ustawionych; kły od przednich nierównie dłuższe, stożkowate; trzonowych po sześć z każdej strony, a z tej liczby fałszywych w górze trzy, a w dole cztery, silnych, stożkowatych; zęby mięsożerne wielkie, w górze trój a w dole dwukolczyste; sęczkowatych w górze dwa, w dole jeden wielki. Pysk nieco zastrzony, koniec jego wystający, tępy. U większej liczby gatunków źrenica podłużna, język szorstki, konchy uchowe okrągławe. Nogami palchoodne, pięcio-palcowe, z palcami wolnymi. Ogon długi, włosisty.

Ważną jest nadzwyczaj cechą tych drapieżnych zwierząt owa torebka gruczołkowata, umieszczona między częściami płciowymi i odchodkiem, mniej więcej wyraźna. W niej to wydziela się tłuszcz mocnej

woni piżmowej, mianowicie w gatunku Łasza zybety (*Vivera zibetha*), mieszkającym w Indjach wschodnich i na wyspach Sumatra, Borneo, Celebes i Amboinie. Tłuszcz ten, do lekarstw używany, drogo dawniej się płacił, dlatego też zybety utrzymywane były umyślnie po znacznych rozmiarów zakładach, którym niemałą przynosiły korzyść.

Jednym z najpiękniejszych gatunków w tym rodzaju jest Żenetta (*Vivera Genetta* v. *Vivera afra*), przedstawiona na obocznej tablicy.

Odzież jej siwa, z żółtą siercią pomieszana, koło pyska, oczu i przyczółka biała; warga górna, boki pyska, smugi szyjne nieregularnie poprzerywane; linia grzbietowa i pięć rzędów kropek po obu bokach czarne. Ogon od ciała krótszy, na końcu osiemiu czarnymi obrączkami otoczony. Torebki przyodchodkowe wyraźne. Długość całego zwierzęcia, od końca pyska aż do końca ogona, wynosi 28 do 29 cali, z czego na sam ogon przypada od 10 do 11 cali.

Żenetta zamieszkuje większą część Afryki i kraje południowe Europy, jak Włochy, Hiszpanię i południową Francję. Pożywienie jej składa się z małych zwierzątek, np. myszy, szczurów, ptaków, jaj ptasich, a nie gardzi także owocami i innymi zapasami żywności. Daje się dość łatwo obłaskawić, i wtedy, podobnie jak kot, tylko z większą sumiennością, pełni obowiązki czyściciela domu od wszelkiego rodzaju naprzykrzonych drobnych zwierzątek. Za dnia jest spokojną i śpiącą, a dopiero gdy noc ciemności swe rozpostrze, odzyskuje energią, i podobnie jak wszystkie zwierzęta drapieżne jej pokrewieństwa, wyprawia się na łowy.

Naturaliści w gatunku tym liczą kilkanaście odmian, przez niektórych za osobne gatunki uważanych. Tak np. pod nazwiskiem *Genetta pardina*, znana jest odmiana mieszkająca w Senegambii, o cętkach wyraź-

nych, pierścieniowatych; o cętkach bledszych, mniej-
szych, znajdująca się w Senegambii, zwana jest u sy-
stematyków *Vivera Senegalensis*; cętki liczne, kąto-
wate właściwe są egzemplarzom z Indyj wschodnich
(*Genetta maculata*), a w siwe pręgi, na szyi bardzo po-
przerywane, z ogonem obrączkowanym, na końcu si-
wym zdarzają się na przyładku Dobrej Nadziei (*Vivera*

felina). Najważniejszą wszakże odmianą, również na
przyładku Dobrej Nadziei spotykaną, jest popielato-
żółtawa, z pręgami czarnymi na grzbiecie, a na ciele
nieregularnie śniado kropkowana; koniec pyska i pla-
my pod oczyma białe, ogon czarno i biało obrączko-
wany. Schreber nadał jej nazwisko *Vivera tigrina*.

SPRAWOZDANIA POPULARNE

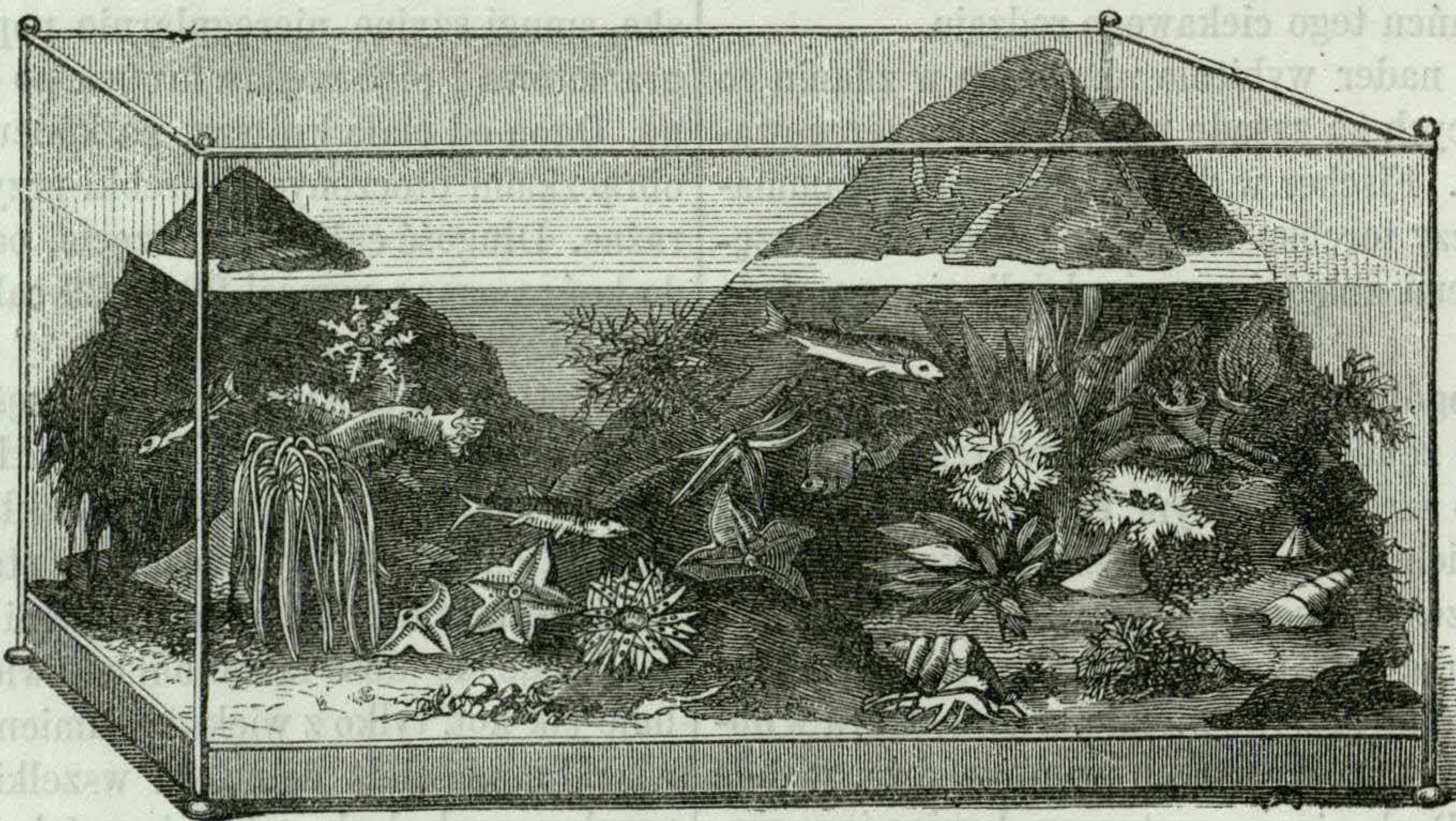
Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH I PRZEMYSŁU.

I.

Ocean na stole.—Woda morska.—Niedostateczność rozbiorów
chemicznych.—Fauna i flora morska.—Ruch roślin.—Zegar kwia-
towy Linneusza.—Czułki.—Aquarium słodkie.—Insecto-Viva-
rium.

W sprawozdaniu naszym, umieszczonem niedawno
w szpaltach tego pisma, wspominaliśmy o skarbach
przyrodzenia ukrytych na dnie morza. Ktokolwiek miał
spodobność bliżej się zapoznać z przyrodą podmorską,

Dla obznajmienia ich z temi cudami przyrodzenia,
w Anglii przyrządzają teraz oceany pokojowe, które
gustownie urządzone i zaopatrzone w najpiękniejsze
i najosobliwsze zwierzęta i rośliny morskie, stanowią
pożyteczną rozrywkę i ozdobę salonów, stokroć pię-
kniejszą i szlachetniejszą aniżeli kryształ i porcela-
na, któremi zwykle terazniejsze salony bywają u-
pstrzone. Ocean taki składa się z wielkiego naczynia
szklanego, złożonego z grubych tafli spojonych kitem



Aquarium morskie.

zachwyca się różnorożnością kształtów i kolorów jej mie-
szkańców oraz roślin i zwierzokrzewów, o których opi-
sy lub pojedynczo okazywane egzemplarze niedokła-
dne tylko dają wyobrażenie, i z téj to przyczyny wiel-
ka część nawet wykształconych ludzi o pięknościach
świata podmorskiego mylnie tworzy sobie pojęcie.

wodotrwałym, które napełnione wodą morską, zawiera
wsobie najprzód martwe cząstki skał, koralu i mu-
szli, stanowiące niejako dno morza, a następnie, o ile
miejsce dozwala, ryby, skorupiaki, mięczaki, zwierzę-
ta ziemnowodne i rośliny. Istoty te, znajdując się
w właściwym swoim żywiole, poruszają się i rosną, ży-

wiąc się to otaczającymi je roślinami, lub pożerając jedna drugą, zupełnie jak w niezmierzonej swój ojczyźnie.

Mebel tak piękny i zajmujący tyle znalazł zwolenników, że dom handlowy w Londynie, Alfred Lloyd, co-rocześnie kilkanaście tysięcy takowych przyrządza i po cenach od 20 do 1 funt. sterl. w najodleglejsze rozsyła je strony.

Rozumié się samo z siebie że wodę morską niekiedy odmieniać należy. Trudność otrzymania jęj na stałym lądzie starano się usunąć przez przygotowanie sztucznej wody morskiej, której skład chemiczny zupełnie był równy naturalnej; lecz chociaż najdokładniejsza analiza żadnej nie wykazywała różnicy, jednak zwierzęta morskie w takiej wodzie zdychały, co dowodzi niedostateczność nauki i nastrocza przekonanie, że człowiek w najprostszycy nawet rzeczach nie jest w stanie naśladować przyrody. Trudno powiedzieć czy woda morska zawiera w sobie części jeszcze przez chemię nie wykryte, czy też wymoczki znajdujące się w niej, inne jak w wodach słodkich, są konieczne dla utrzymania większych istot. Za ostatniem przypuszczeniem przemawia to, że próbowano przygotować wodę morską przez rozpuszczenie soli morskiej w wodzie przekroplonej. Otóż i w takiej wodzie zwierzęta morskie utrzymać się nie mogły; żyły wprawdzie nieco dłużej, ale widocznie niedziały i wkrótce zdychały. Nie jest to jednak przeszkodą do rozpowszechnienia tych, jak je nazwano *Akwariów*; przekonano się bowiem że wodę przez kilkanaście miesięcy można nieodmieniać, bez szkody dla żyjących w niej zwierząt, a przy ułatwionych obecnie komunikacyach dostarczenie jęj w potrzebnej ilości nie może być zbyt kosztownem.

Pomiędzy istotami umieszczonemi w takich akwariach do najosobliwszych liczą się nowo odkryte gatunki: *Edwardsia vestita* i *Actinia anguicomia*, o których trudno powiedzieć czy należą do działu zwierząt, czy też roślin. Utwierdzone na dnie morza za pomocą korzeni, kształtem zdają się zbliżać do rzędu roślin; ruchy jednak, jak się zdaje dowolne, stawiają je w rzędzie zwierząt. Ich liście cienkie jak włosy pływają w wodzie jak warkocz rozpuszczony; lecz za zbliżeniem się jakiegokolwiek żyjątka, rybki lub robaczka, zwijają się i skurczają, wciągając ofiarę do wnętrza pnia swego, gdzie, jak się zdaje, służy roślinie za pokarm. Inne gatunki znowu, pływając po powierzchni wody, wypuszczają z pnia swego trąbki, na których gdy owad usiądzie, takowe się zamykają i wciągają go wewnątrz

pnia, ukazując się dopiero na nowo, gdy roślina nowego potrzebuje pokarmu.

Nazwaliśmy je roślinami, gdyż niemal wszyscy zoophytologowie do rzędu takowych je policzają, zwłaszcza że w wielu innych roślinach także spostrzegamy poruszenia. Ruchy takie roślin napotykamy daleko częściej jak się na pierwszy rzut oka wydaje; nawet śmiało powiedzieć można, że każda roślina takowe wykonywa, tylko po większej części tak powoli, iż oko ludzkie dostrzedz ich nie może.

Najpospolitszym ruchem jest rośnięcie. Nie mówimy tu o przybywaniu i rozszerzaniu się pojedynczych części rośliny, ale o kierunku w jakim takowe się odbywa. Prawie każda roślina ma właściwy sobie sposób rośnięcia: u jednych gałęzie rozchodzą się w kierunku poziomym, u innych ile możności prostopadle idą w górę, u niektórych nakoniec spuszczają się na dół, i to nie w skutek ciężaru swego, lecz idąc za prawem przyrody, która im taki nadała kierunek. Zbadaniem tego prawa naturalisci oddawna się zajmują, a zrobione w nowszych czasach przez *Knigh-ta* i *Dutrocheta* spostrzeżenia tak są zajmujące, że takowe chociaż w treści czytelnikom naszym udziela-
lamy.

Główną przyczyną kierunku łodyg i liści, podług tych uczonych, jest światło i wpływ jego na rozszerzanie i ściąganie się tkaniny tworzącej korę. Wpływ światła na rośliny powszechnie jest znany i łatwo go dowieść można, stawiając roślinę w miejscu gdzie światło jednym tylko dochodzi otworem; wkrótce wtedy zobaczymy że roślina się ku téj stronie nachyla i do światła zbliżyć usiłuje. Mniej znaną jest okoliczność że tylko pewne części rośliny taki mają do światła pociąg, inne, jak np. dolna strona liści, wcale go znieść nie mogą. Wygiąwszy gałązkę jaką tak, iż liście dolną stroną obrócone są do góry, zobaczymy wkrótce że takowe na osadzie swęj się wykręcają i znów wierzchnią swą stronę zwracają ku światłu, jeżeli zaś tego dokonać nie mogą, więdną i usychają. Robiąc to samo doświadczenie w miejscu zupełnie ciemnym, wykręcanie takie niema miejsca, lecz następuje jak skoro się wkradnie promień światła, chociażby słaby, bo nawet światła świecznego. Zjawisko to tłumaczy się tém, że budowa powierzchni liści jest inną na stronie wierzchniej, a inną na dolnej, że funkcyje jednej są odmienne od drugiej. Powierzchnia dolna, zwykle chropowata, przedstawia tkaninę grubszą, dziurkowatą, przeznaczoną jak się zdaje do wzięwania i wyziewania pożywienia z atmosfery, i dlatego czuła na światło i ciepło ściągające jęj pory; wierzch-

nia zaś, zwykle gładka i połyskująca, służy tamtęj niejako za dach chroniący od kurzu i żaru słonecznego, który sama w najwyższym stopniu znieść jest w stanie.

Podobną różnicę, lubo mniej widoczną, spostrzegamy i w łodygach roślin, mianowicie pnących się; z tych niektóre, np. bluszcze, chwytają się szczelin najbliższej podpory, inne wiją się naokoło takowej, a gdy już nie wystarcza, rosną dalej, zachowując jednak kształt spiralny w łodydze. Wicie to pochodzi także z nierówności tkaniny stanowiącej korę łodygi; jedna strona, mając tkaninę grubszą jak druga, sprawia że się łodyga obraca około własnej swój osi. Obrót ten trwa jednak tylko póty, póki roślina nie znajduje podpory; skoro takową uchwyci, a mianowicie okrągłą, strona mniej wykształcona przylega do niej, tworząc stronę wewnętrzną, druga zaś, której tkanina jest bujniejszą, obraca się na zewnątrz, przez co roślina rosnąc dalej nabiera kierunek spiralny czyli grajcarowy. Jeżeli podpora nie jest zupełnie okrągłą, ale przedstawia kanty ostre, roślina nie idzie w ślad za niemi, lecz od takiego kantu zaczyna na nowo obrót około swój osi, póki się znów z podporą nie spotka; przeto przy podporach czworo lub trójgraniastych roślina odbywa ciągle przeskakowanie, połączone z obrotem naokoło osi, znajdując spoczynek tylko w miejscach w których z podporą się styka. Gdy takowa już nie wystarcza, obrót około osi na nowo się rozpoczyna; że jednak zwykle rośliny takie mają łodygi cienkie, a zatem ulegające pod ciężarem liści czyli zwieszające, wkrótce zbliżają się znów do podpory, i uchwyciwszy takową lub własny swój pień, dalej w powyższy sposób rosną. Wicie roślin u niektórych odbywa się od prawej ku lewej, u innych od lewej ku prawej stronie. Kierunek ten właściwy jest każdej roślinie i nie można go dowolnie odmienić; roślina którą się przymusza przyjąć inny, nędznieje i usycha. Przyczyna tej różności kierunków jest niewiadomą i musimy ją przypisać niezbadanym dotychczas prawom przyrodzenia.

Drugim ruchem, wspólnym prawie wszystkim roślinom, jest ruch części rodnych. U roślin skrytopłciowych części rodne, dla gołego oka wprawdzie niewidoczne, przez badaczy odkryte zostały, i przekonano się że się rozplądają przez rozrastanie odrywających się od głównej rośliny cząstek, (sporów) i że takowe odrywanie odbywa się za pomocą właściwego ruchu przez roślinę wykonywanego. Rośliny jawnopłciowe odbywają zapłodnienie przez zetknięcie słupków z pręcikami. Przy zetknięciu takim spostrzegamy ruch trojaki: albo pręciki nachylają się ku

słupkom i zetknawszy się z niemi powracają do dawniejszego położenia; albo słupki nachylają się ku pręcikom, np. u czarnuszki pospolitej, *Nigella sativa*; lub nakoniec, i to najrzadziej, pręciki i słupki wzajemnie się ku sobie nachylają. Zjawisko to napotykamy tylko w stronach ciepłych, mianowicie w niektórych gatunkach rodziny *Nyctagineae*, jako to: *mirabilis*, *longiflora* i *dychotoma*.

Trzecim ruchem jest sen, czyli zasypianie i budzenie się roślin. Objawia się przez zamykanie i otwieranie, lub też zwijanie i rozwijanie kwiatów a nawet liści niektórych roślin. I tu światło zdaje się być głównym czynnikiem, większa część bowiem roślin obdarzonych takim ruchem otwiera się ze wschodzącym słońcem, a zamyka o zachodzie; niektóre jednak postępują przeciwnie, np. królowa nocy (*Cactus grandiflorus*), która rozwija wspaniały swój kwiat wieczorem pomiędzy 9 i 10 godziną, więdnąc za pierwszym promieniem wschodzącego słońca. Rośliny takie, pielęgnowane w ciemności lub świetle sztucznym, tracą niejako swój czasomiar, to jest otwierają i zamykają się wprawdzie, ale nie w tych samych godzinach jak ich siostry wystawione na naturalne odmiany światła. I tak roślina otwarta, wystawiona na jasne światło świeczne, pozostaje dłużej otwartą; zamknięta zaś, trzymana w ciemności, otwiera się, ale także daleko później, tak iż przez sztuczne odmienianie światła można doprowadzić rośliny do zupełnie przeciwnego ruchu, to jest do zamykania się w dzień i otwierania w nocy. Jednak, jak poprzednio powiedzieliśmy, nie wszystkie rośliny snem obdarzone trzymają się wschodu lub zachodu słońca; jest wiele takich, które otwierają i zamykają się o pewnych godzinach, bez względu na światło, i to podało wielkiemu Linneuszowi myśl urządzenia zegaru kwiatowego, którego otwarte lub zamknięte kwiaty i liście wskazywały godziny. Zegar ten na pamiątkę jego dotychczas zachowują w domu w którym mieszkał w Stokholmie.

Czwartym nakoniec, najrzadszym, najosobliwszym i najmniej dotychczas zbadanym ruchem jest wykonywany (przy dotknięciu się ich) przez rośliny *czulkami* nazwane. Niektóre skurczają lub zamykają się za najlżejszym dotknięciem którejkolwiek części rośliny, jak np. *Mimosa pudica* czyli *Noli me tangere*; inne znów poruszają tylko niektóre swe części za dotknięciem pewnych miejsc, np. berberys, którego pręciki skurczają się za dotknięciem słupka. Celem tych ruchów u jednych zdaje się być chronienie od wpływów zewnętrznych, u innych zapłodnienie, u innych naresz-

cie chwytanie pokarmu, np. u *Mucholówki* (*Dionaea muscipula*), której liście z dwóch części złożone zamykają się skoro owad na nich siada i otwierają dopiero po śmierci jego. Do rzędu tych ostatnich zdają się należeć także wspomniane wyżej *Edwardsia vestita* i *Actinia anguicomia*, których ruchy tak są szybkie i silne, że przytknięta do nich pałeczka pochwyconą i z ręki wydartą została, i tylko z trudnością, nie bez uszkodzenia rośliny, mogła być wydobyta.

Zapusiwszy się w niewyczerpany temat o ruchach roślin, zapomnieliśmy zupełnie o właściwym przedmiocie naszego opowiadania, to jest o akwariach. Wróćmy więc do nich, zostawiając zastanawianie się nad tajemnicami roślinności osobnemu sprawozdaniu, na które bez wątpienia zasługują i które w zupełności poświęcimy fizjologii roślin.

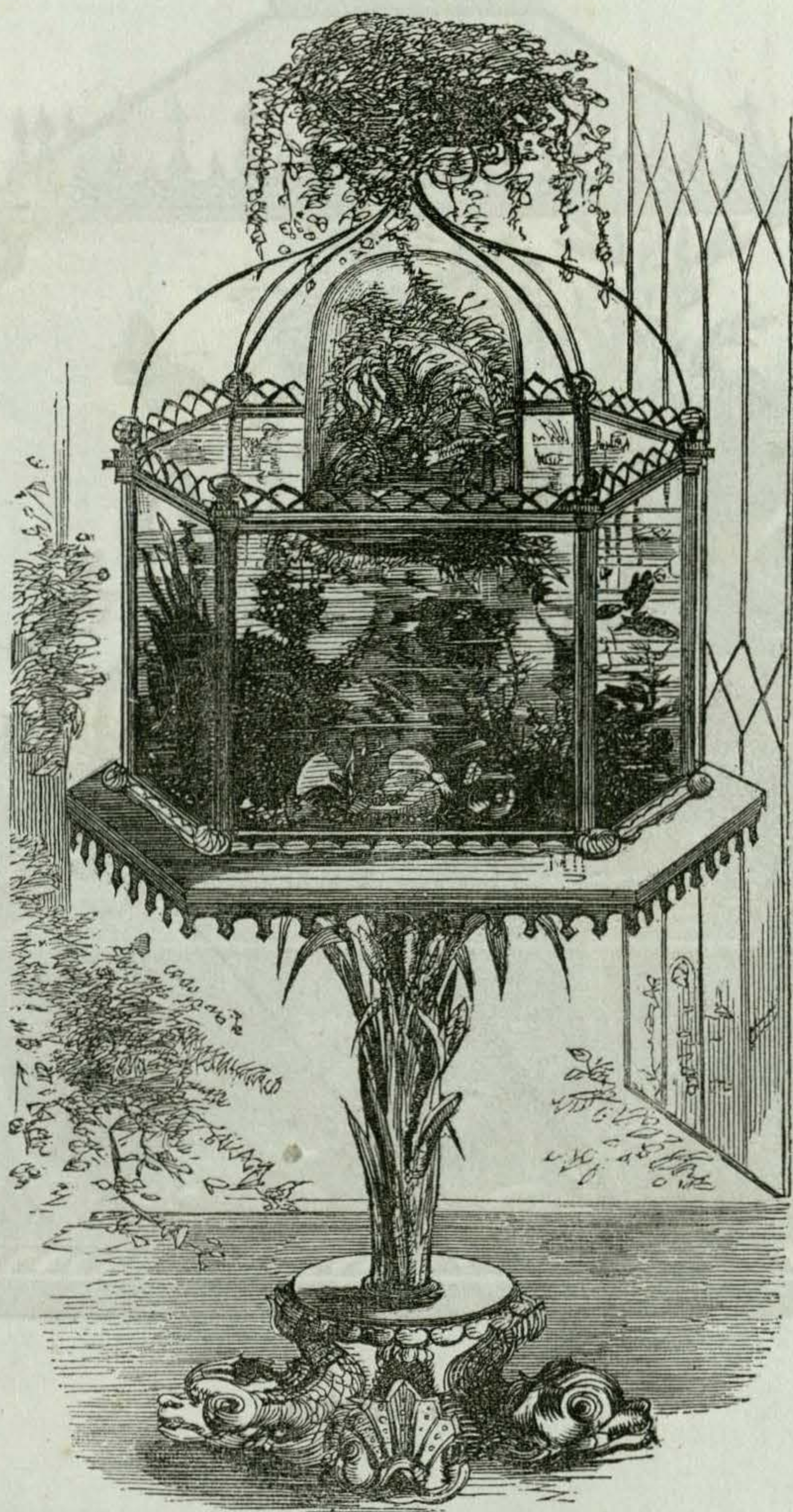
Akwaria morskie tak są piękne i pożyteczne, że każdy kogo stać na to powinien sobie takowe urządzać; ponieważ jednak liczba takich wybranych jest niezbyt wielka, a przecież i tacy których fundusze nie pozwalają na ten wydatek, pragną zapoznać się z przyrodą podwodną, zaprojektowano urządzenie akwariów słodkich, to jest naczyń szklanych napełnionych wodą rzeczną lub ze stawów, wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami, należącymi do wszystkich trzech królestw. Wprawdzie kształty ich nie są tak uderzające jak istot morskich, koralu niema wcale, a muszle, ślimaki i skorupiaki tak są skromne, że nie mogą iść w zawady z powinowatymi swymi, obywatelami Wielkiego

Oceanu. Jednak wiadomo że dla badacza każdy robaczek jest zajmujący, i zapewnić możemy iż człowiek myślący w skromnych ojczystych wodach tyle znajdzie zjawisk sobie obcych a prawdziwie cudownych, że z zadziwieniem i wstydem się zapyta, czy podobna że cuda takie pod okiem naszym ciągle się

odbywają, a większa część ludzi o nich nawet nie wie. Urządzenie takich akwariów jest nader proste, i kto takowe urządzać zamierza, znajdzie bliższą wiadomość w kalendarzu J. Jaworskiego na rok 1857, w którym pomieszczono obszerny opis akwariów słodkich tak pokojowych jako i ogrodowych, oraz roślin i zwierząt najstosowniej w nich hodować się dających.

Nie ograniczamy się jednak na tych prostych akwariach i podajemy czytelnikom naszym projekt nowego przyrządu, który piękność akwariów łączy ze sposobnością czynienia badań entomologicznych. Dołączona rycina daje nam obraz takiego *Insecto-Vivarium*. Rozmiary jego nie potrzebują być bardzo wielkie, lecz tylko tak obszerne, żeby owady i rośliny nie były zbyt mocno kępowane; głównym jednak warunkiem jest właściwa wentylacja i łatwość odmienia-

nia wody. Zaludnienie takiego przyrządu różnobarwnymi mieszkańcami nie jest trudnym, i młodzież nasza chętnie nam dostarczy potrzebnego kontyngensu jeńców schwytanych w czasie wypraw botaniczno-entomologicznych. Nagroda ich za to też nie mała, gdyż nietylko wchodzi w posiadanie egzemplarzy mogących później zdobić ich skrzynki oszklone,



Akwarium z wodą słodką.

ale mają sposobność obserwowania tak zajmujących stworzeń we wszystkich przemianach, obznajmiają się z tajemnicami przyrody, a młodociany ich umysł przejmują się wczesnie uwielbieniem i czcią dla Twórcy wszechświata.

Na jedne jeszcze zaletę takich Insecto-Vivariów zwracamy tu uwagę, to jest na wpływ moralny jaki wywierają. Człowiek jest panem ziemi; potęgą rozumu podbił on najsilniejsze, najdziksze zwierzęta i zwalcza równie lwa króla lasów, jak olbrzymiego wieloryba i ptaka nikiącego w obłokach. Wszystko co żyje jest jemu posłuszne i oddaje swe życie dla jego pożywienia i wygody; ale używając tej wyższości nadanej mu przez Twórcę, nie powinien stawać się ciemieźcą i nadużywać swej potęgi, zabijając lub męcząc zwierzęta tylko dla własnej przyjemności. Prawda że zbiory entomologiczne są potrzebne; lecz

jakże często młodzież, goniąc za motylem, zupełnie o tém zapomina, i schwyciwszy go, przebija szpilką tylko dlatego, żeby się nim polubować, a następnie, gdy przez nieuważne obchodzenie się uszkodzonym zostanie, porzucić, nie pomnąc na to, że każde, nawet

najmniejsze zwierzę, czuje zadane sobie męczarnie i że nie należy go bez potrzeby pozbawiać życia, do którego jest równie jak człowiek przywiązane i któregoby zacięcie broniło, gdyby miało siły po temu. Z tej przyczyny zbieranie owadów często w dzieciach przytępia li-

tość i współczucie jakie winni jesteśmy współstworzeniom naszym, i dziecko które dla swej zabawy wyrywa skrzydła drobnej muszce, gdy dorośnie będzie w stanie bez litości dręczyć zwierzęta większe a nawet ludzi, których los postawił w zawisłym od niego położeniu.

Dla rozkrzewienia zasad litości względem zwierząt i ubezpieczenia ich od męczarni na które często są wystawiane, za granicą, jak wiadomo, powstały osobne towarzystwa, których dążnością jest chronienie zwierząt od udręczeń, na które je nieczułość i surowość ludzka naraża.

Insecto-Vivaria założone są w duchu tej właśnie zasady, gdyż lubo krepują wolność zwierząt dla nauki i uciechy człowieka, nie pozbawiają ich jednak i tak krótkiego życia; w patrzącym zaś widoku tych stworzeń uwijających się, mnożących i żyjących jak na swobodzie, przyjemne budzi uczucie.

Aleksander Spiss.



Insecto-Vivarium.



Des. v. C. Wierzb

Sculpsit v. Joh. Poppel

Kościół farny S. Mikołaja
w Pradze Czeskiej.

KOŚCIÓŁ METROPOLITALNY Ś. WITA I KOŚCIÓŁ FARNY Ś. MIKOŁAJA W PRADZE CZESKIEJ.

I.

Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, później papież Pius II (1458—64), powiada w swojej historii czeskiej, że pod względem ilości i wspaniałości świątyń, żaden kraj w Europie równać się nie może z Czechami. Pochwała ta, wobec pysznych tumów Hiszpanii, Anglii, Niemiec i Włoch, wydać się musi przesadzoną; ale to pewna, że kościół metropolitalny w Pradze, gdyby był wykonany według planu pierwotnego, nie ustępowałby w niczem najsłynniejszym pomienionych krajów świątyniom.

Cesarz Karol IV, który budowę tę rozpoczął jeszcze w r. 1344, w miejscu gdzie stał dawniej kościół św. Wita, powierzył jej kierunek architektom Maciejowi z Arras i Piotrowi Arleri, lecz nie doczekał ukończenia dzieła. W późniejszym czasie dalszemu jego prowadzeniu stanęły na przeszkodzie okoliczności polityczne. Roku 1541 pożar zniszczył gmach do szczytów już wzniesiony, zostawiając gołe tylko mury; dzwony stopiły się, a jedna z wież runęła. Odbudowę kościoła, którego rozmiary miały być dwa razy większe od teraźniejszych, podejmowano kilkakrotnie. Za cesarza Leopolda I (1673) ukończono główne mury i wewnętrzne filary; nieustanne jednak wojny przerywały roboty, o których rozległości dziś jeszcze świadczą pozostałe rumowiska. W czasach najnowszych pomyślano znów o ostatecznym wykończeniu kościoła i wzięto się nawet czynnie do zrealizowania skreślonych ku temu planów; niewiadomo wszakże czy zupełnemu ich przeprowadzeniu nie stanie na zawadzie jedna z przeszkód najważniejszych, brak funduszków, podobnie jak od wieków, mimo składek wpływających z całych Niemiec, wstrzymuje ukończenie słynnej katedry kolońskiej.

W teraźniejszym stanie kościoła jedyną ozdobą jego frontu jest ogromne malowidło al fresco, wykonane r. 1729 przez Schora, a zrestaurowane r. 1771 przez Hagera. Wnętrze podzielone jest przez 15 łuków gotyckich na jedną nawę główną i dwie boczne,

otoczone dwunastą kaplicami. Światło pada przez 13 wysokich okien gotyckich, ozdobionych na szczytach rozetami i robotą rzeźbiarską. Z pięknych niegdyś malowań na szkłe w jednym tylko oknie pozostały ślady. Na galerii ciągnącej się pod oknami naokoło głównej nawy mieszczą się herby znakomitszej szlachty czeskiej, oraz kamienne popiersia osób historycznych z epoki Luxemburczyków.

Z pomiędzy licznych posągów, rzeźb i pomników zawartych w samym kościele, których bogactwo jest tak wielkie, że oko po dłuższym dopięro rozpatrzeniu się wysledzić w nich zdoła co godniejsze uwagi, zasługuje szczególnie na wspomnienie wspaniałe mauzoleum Rudolfa II z kararyjskiego marmuru, wystawione r. 1589 przez Aleksandra Kolina z Norymburgi, za cenę 32,000 dukatów. Spoczywają pod niemi zwłoki trzynastu osób panujących, a mianowicie: Karola IV i czterech jego żonek, Wacława IV, Władysława Pośmiertnego (Posthumus), Jerzego Podiebrada, Ferdynanda I i jego małżonki Anny, Maksymiliana II, Rudolfa II i arcyksiężniczki austriackiej Maryi Amelii. Drugim arcydziełem w nawie głównej jest obraz wielkiego ołtarza, którego część środkową (święty Łukasz malujący Maryję z Dzieciąciem) wykonał Gossart, boczne zaś (święty Jan na wyspie Patnos i męczeństwo świętego Wita) Michał de Malino.

Powiedzieliśmy już że nawy świątyni otoczone są dwunastą kaplicami, z których odznacza się przepychem kaplica św. Wacława, patrona Czech, założona r. 1347 przez cesarza Karola IV. Wewnętrzne przybytku tego ściany wyłożone są jaspisami, chryzoprazami i ametystami, fugi zaś powleczone złotem. Pomiędzy złożonemi tu relikwiami znajdują się zwłoki, pancerz i hełm św. Wacława. Według dawnego prawa czeskiego, skazani na śmierć, jeśli zdołali schronić się do tej kaplicy, bywali od kary uwalniani. Niegdyś odbywały się tu wybory niektórych królów czeskich, jak np. Ferdynanda I r. 1526; obecnie zaś

jeszcze przechowuje się w tej kaplicy część insygniów królewskich, a po koronacji nowy panujący pasuje w niej na rycerzy św. Wacława kilku dostojników krajowych.

Niemniej wspaniałą jest kaplica św. Jana Nepomucena, z marmurowym grobowcem drugiego arcybiskupa pragskiego, Jana Oczko. Tuż obok niej, w pobliżu wielkiego ołtarza, wznosi się pomnik mieszczący w sobie zwłoki św. Jana Nepomucena. Wyrobiony ze szczerzego srebra, waży przeszło 30 centnarów i otoczony jest postaciami aniołów i lampami z tegoż metalu. Ponad nim rozciąga się baldachin z czerwonej materii, bogato drapowany, którego same frenzleżółte kosztowały 15,000 talarów.

W kaplicy św. Zygmunta pokazują wielką podstawę świecznikową, mającą pochodzić ze świątyni Salomona w Jeruzalemie. Jest to trójkąt brązowy, spoczywający na głowach i łapach zwierzęcych, złożony z dziwnej płataniny figurek walczących z różnymi potworami, wszystko to roboty niekształtniej wprawdzie, lecz wyrazistej i dosadnej. W kilku jeszcze kaplicach mieszczą się znakomitej wartości obrazy, jak św. Józef umierający przez Maliną, chrzest Chrystusa przez Brandla, św. Filip przez Jahna i wiele innych.

Zewnętrzna postać kościoła metropolitalnego, pomimo wielu uchybień stylowych, imponujące sprawia wrażenie. Naokoło wyniosłej nawy sterczą w niezliczonej ilości wieżyczkowate iglice i piramidy, z zatkniętymi na szczytach krzyżami, połączone między sobą śmiało rzuconymi łukami, zdobnemi rzeźbą w przezrocze. Potężna wieża, mająca 314 stóp wysokości, dźwiga na swym wierzchołku lwa miedzianego trzymającego krzyż. Z dzwonów jej największy, zwany Zygmuntem, waży 227 centnarów. Z balkonu wieżowego widok jest przepyszny: pałac królewski, gmachy Hradszynu i reszta miasta leży jak na dłoni przed patrzącym, którego oko opiera się aż o góry widokrąg ograniczające. Zewnętrzna ściana kaplicy dzielącej tę wieżę od kościoła obejmuje szacowny zabytek sztuki średniowiecznej, wielki obraz mozaiko-

wy w stylu byzantyjskim, wykonany r. 1371 z rozkazu Karola IV, a odnowiony r. 1837 kosztem hrabiego Karola Chotek. Obraz ten przedstawia sąd ostateczny i obejmuje 21 sążni kwadr. powierzchni.

II.

Kościół św. Mikołaja, wyobrażony na załączonym tu stalorycie, należący dawniej do jezuitów, odznacza się na zewnątrz wspaniałą kopułą i w ogóle ogromem swych rozmiarów architektonicznych, wewnętrznym zaś przepychem przewyższa nawet kościół metropolitalny. Już r. 1283 biskup pragski Tobiasz zbudował w tym miejscu kościół w stylu gotyckim, pod wezwaniem św. Mikołaja. Roku 1628 jezuiti znieśli go ze szczerem i wystawili nowy zupełnie kościół w stylu włoskim, którego budowa ciągnęła się przez wiek cały. Wnętrze tej świątyni zdobią ściany i posadzka wyłożone marmurem, bogato przystrojone ołtarze, kolosalne posągi i malowidła al fresco. Nad wielkim ołtarzem wznosi się grubo złocona statua św. Mikołaja, dzieło rzeźbiarza Platzera. Malowania kopuły wykonał Balko, którego najlepszy obraz, śmierć św. Franciszka Ksawerego, znajduje się w jednym z bocznych ołtarzów. Inne obrazy znakomitej wartości są pensla Grakera, Hakera, jezuita Raab'a i Skrety. Zajmującym jest szczegół historyczny, że przed wybuchem zamieszek protestanckich kościół ten, jak świadczy inwentarz miejscowy, posiadał ołtarz poświęcony Janowi Husowi. Po zniesieniu zakonu jezuitów, kościół św. Mikołaja przemieniony został na farny. Przyległe kolegium jezuickie obrócono z razu na koszary; wkrótce jednak przebudowano je i przeznaczono na pomieszczenie kilku władz rządowych. Kościół św. Mikołaja z sąsiednimi domami tworzy dziś gromadę zabudowań, dzielącą rynek tej części miasta od tak zwanego placu włoskiego. W ubiegłych wiekach oba te place stanowiły jeden obszar, w którego środku wznosił się tylko założony przez Bolesława Srogiego, a zniesiony roku 1782, kościół św. Wacława.

EMIR ABDELKADER W WIEŻACH FRANCUZKICH.

(USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW TURYSTY-POLAKA).

Przyjechawszy do Amboise, wysiadłem do znanego wszystkim przejeżdżającym hotelu pod złotym lwem.

— Dla kogóż te prześliczne owoce, z takim smakiem i staraniem poukładane? spytałem miłej i młodej właścicielki złotego lwa, zastawszy ją w sali jadalnej, zatrudnioną ozdabianiem ogromnej srebrnej tacy najpyszniejszymi wetami.

— Dla kogo te wety?... Nieprawda, że piękne i wspaniałe? odpowiedź miła gosposia i doda z westchnieniem: Jakbym ja rada ich zadowolnić.... sprawić im chociaż najmniejszą przyjemność!... Ale na cóż ja więcej zdobyć się mogę, kiedy teraz ich bajram, podczas którego nie jedzą ani mięsa, ani nic gotowanego?

— O czém pani mówisz? o bajramie? o poście muzułmańskim?

— A tak jest; mówię o więźniach którzy siedzą w zamku. Biędni ludzie! Ubiegamy się o to wszelkimi sposobami, żeby im nieść pomoc i ulgę; ale cóż? kiedy mięsa i potraw gotowanych nie jedzą i kiedy wina nie piją.... A przytém czas taki brzydki, że wyjść nie można ani w pole, ani do ogrodu, ani im tóż wyprawiać serenad.... Gotowi pomyśleć, biędny emir i jego żony, że my o nich zapominamy, a my tylko o tém radzimy, jakby uprzyjemnić szlachetnym więźniom pobyt w tém mieście.

Otóż w ten sposób właścicielka złotego lwa ubolewała nad losem najzaciętszego nieprzyjaciela, jakiego Francya miała kiedykolwiek. Ta troskliwość o więźniów stanu, o ludzi obcych, zupełnie innego pochodzenia, przybyłych tu z tak daleka, o barbarzyńców wreszcie, którzy Francyi bardzo wiele złego zrobili, wyznam, że bardzo mnie zdziwiła; ale czy mi sprawiło radość, że Francuzki umieją tak łatwo wybaczać bitnemu nieprzyjacielowi łzy które on im wycisnął,

zabijając ich ojców, braci i synów?..... Ha! na to pytanie może później odpowiem.

*

— Czegóż pan tak zesmutniał? zapyta mnie gospodyni. Z taką się ciekawością wpatrujesz w tego starego szlifierza o szcudle, który z całym swym warstatem podróżuje od domu do domu, od miasta do miasta.

— I jak się zdaje na stare lata bardzo ciężko na kawałek chleba pracuje.. odpowiem.

— O to prawda! on tu zaprowadził w kraju ten rodzaj przemysłu; przedtém nie mieliśmy tu nigdzie koczujących szlifierzy. To widać tam w jego kraju szlifiérze wałęsają się z miejsca na miejsce.

— A widać że miał kiedyś lepsze czasy; widać to ze szlachetnego wyrazu jego bladój twarzy, z niedartej jeszcze sukni wojskowego kroju, z tych wstążek orderowych, które nosi na piersiach.

— Stary Stanisław kiedyś był oficerem, podobno nawet majorem; ale co było a nie jest, to się nie pisze w registr, a że się nie ukształcił na nic lepszego jak na szlifierza, to już jego wina. Wiedzie mu się tu Bogu dzięki jako tako, ale już pan major nie siadywa tam do stołu, gdzie dawniej siadywał jako podporucznik. Oho! już nie może wydać siedmdziesięciu franków miesięcznie na swój stół, ani nawet połowy. Teraz jada w podrzędnych garkuchniach.

— A gdybym majora zaprosił tu z sobą na obiad do *table d' hôte*?

— Toby stary szlifiérz nie przyjął zaprosin: jest on bardzo delikatny i umie zachować dystans na który sam się skazał, obierając sobie taki poziomy zawód. To jego wina, że nie umiał ani utrzymać swego majątku, ani sobie zabezpieczyć innego, szlachetniejszego

sposobu utrzymania... Ale u nas stary żołnierz, a stary dureń, to prawie jedno.

— I tak dla pani emir Abdelkader, bisurman i zacięty wróg Francyi, więcej ma uroku od majora, który jest katolikiem rzymskim i piersią swoją zasłaniał kiedyś ojczyznę pani?

— Ba! co pan chce? Arab teraz w modzie we Francyi, a moda jest samowładną panią. Do miłego widzenia się z panem, idę kazać zanieść wety Jego Wysokości emirowi Maskary, do jego rezydencji w zamku królów Francyi.

Otóż z taką samą łatwością Francuzi zapominają krzywd im zadanych, z jaką przepominają usług im wyświadczonych. Anglicy mają słusność: Francuzi są najwaleczniejszemi i najłżejszemi ludźmi na świecie; szlachetność ich, lecz i niewdzięczność, wynika z téj ich lekkości.

*

Trzeba przyznać, że pobyt Abdelkadera w Amboise stał się dla całego miasta, a głównie dla złotego lwa, źródłem znacznie zwiększonego dochodu. Od czasu przybycia do miasta afrykańskich więźniów, to jest od lat dwóch, obroty jego handlowe i zyski pomnożyły się w dwójnasób i Amboise przypomniało sobie dawne swój świetnej epoki czasy. Imię Abdelkadera, tak głośne w dziejach francuzkiego oręża w Afryce, jeszcze większego nabywało uroku o sześćdziesiąt mil od Paryża, na lewym brzegu Ligieru. Była to gratka nie lada dla turystów. I rzeczywiście można powiedzieć że ani jeden z tych Anglików, którzy regularnie co wiosna odwiedzają Francją, nie omieszkał zawitać do dumnego grodu, w którym niegdyś przebywali królowie Francyi, a teraz jęczał w złotych więzach ze swojemi żonami lew afrykański.

Dla turystów nastroczała się tu sposobność widzenia darmo bardzo ciekawej rzeczy, człowieka tak znanego z opowiadań, w których go porównywano do sławnego Tippto-Saiba. W rzeczy samej było tu dużo podobieństwa: Abdelkader, jakkolwiek na mniej obszernej widowni, bo nie w Azyi lecz na północnym tylko wybrzeżu Afryki, ale z równą wytrzymałością i siłą ducha, potrafił przez długi szereg lat mężny stawiać opór materyalnym siłom cywilizacji i wojennej sztuce jednego z pierwszorzędných mocarstw Europy.

Wszelako wesołe nadzieje panów turystów zostały w pewnej mierze zawiedzione. Więzień był niewidzialnym, a nawet wstęp do zamku został wzbronionym na czas długi. Dopiero od miesiąca otworzyły

się bramy więzienia, i to nie dla wszystkich. Ogólnie na to narzekano, krzywiono się, przeklinano zbyt dużą ostrożność francuzkiego rządu; ale przecież liczba ciekawych przybywających do Amboise codziennie się zwiększała.

Trzeba przyznać, że w ogóle ciekawość turysty, jakkolwiek jest nieznośną, upartą aż do znudzenia, ale z tém wszystkiem często na byle czém przestaje i lada rzeczą daje się zaspokoić. I tak, w Amboise kilka ogorzałych arabskich twarzy, ukazujących się niekiedy w oknach baszt zamkowych, zastępowały przybywającym widok sławnego Abdelkadera, którego przezorność francuzkiej polityki nie chciała pokazać ciekawej publiczności, zgromadzonej tak licznie w mieście.

Strój beduiński, mówiąc nawiasem, nie zrobił na mieszkańcach wielkiego wrażenia i nie widać było jego wpływu na modę. Ale w tém wszystkiem najwidoczniej było jakieś udawanie. Nawet przy stole jedna z dam, której z oczów można było od razu wyczytać, że najczarowniejszych lat parę swój młodości musiała przemarzyć o jakim *Malek-Adelu* lub *Saladynie*, utrzymywała najpoważniej w świecie, że strój beduiński nie ma w sobie nic szczególnie mogącego się podobać, że nie jest bynajmniej zalotnym (coquet), a wszystkie obecne kobiety zaczęły na wyścigi temu potakiwać.

W końcu dodawano, że bynajmniej się to nie powinno nikomu wydawać dziwném, iż wstęp do zamku dla oglądania Abdelkadera jest wzbronionym; że człowiek tak znakomity jak ex-emir możeby sobie nie życzył, aby mu się przypatrywano jak dzikiemu zwierzęciu pustyni, osadzonemu na teraz w klatce, i tysiące podobnych odwiecznych, powtarzających się przy każdej okoliczności, a bezzasadnych zdań, od których całkowicie nakoniec oderwawszy uwagę, zamysliłem się o śmiałym, poetycznym wodzu Arabów.

Byłem więc jeden z całego towarzystwa niepogodzony z rzeczywistością, nie uznający słusności powodów, jakie sobie wynajdywano dla usprawiedliwienia zakazu widzenia Abdelkadera. Obstawałem wciąż przy swoim, wciąż nie traciłem nadziei dostania się do zamku. Wprawdzie nadzieja ta nie była bardzo wyrozumowaną, nie opierała się na żadnych danych, ale... była to zawsze nadzieja. „Jestem przecież także cokolwiek Afrykaninem, mówiłem do siebie, bom porządny kawał czasu przebył w cesarstwie marokańskim i we francuzkich koloniach téj części świata, a nawet, opisując moje podróże po Afryce, nieraz wspominałem o walecznym emirze.”

— Niepodobna, powtarzałem, aby Abdelkader wzbronił do siebie przystępu człowiekowi, który chce być jego biografem.

Pod wpływem więc podobnych rozumowań udałem się do pana kapitana Boissonnet, dowódcy zamku Amboise, jednego z najdzielniejszych oficerów francuzko-afrykańskiego wojska, w którym ex-emir znalazł najszlachetniejszego przyjaciela, nie zaś stróża, pełniącego tylko ściśle włożone nań obowiązki nadzoru.

Pan Boissonnet oświadczył mi, iż Abdelkader bynajmniej nie wpłynął na to, że nie pozwalano go odwiedzać w zamku Amboise, że to był wyraźny rozkaz francuzkiego rządu, aby bez wyjątku nikogo nie przepuszczać do więźnia. Nadzwyczajna ta przezorność miała swe źródło, nie jak mylnie utrzymywali niektórzy amatorowie brukowych nowinek, w jakimś jakoby wykrytym spisku w Amboise, mającym na celu wypuszczenie na wolność Abdelkadera. Wykrytém nigdy nic podobnego nie zostało; obawiano się jedynie usiłowania podobnego kroku ze strony partyi albiońskiej. Wiadomo bowiem że Anglia w owym czasie była w najzaciętszej nieprzyjaźni z Francją, i że to był dla niej cios nad ciosami, to dobrowolne zdanie się na honor francuzkiego oręża najwaleczniejszego afrykańskiego dowódcy, który przez tyle lat potrafił mężnie opierać się olbrzymim wojennym środkom Francji.

Obawy te może były zbyteczne; zresztą nie moja jest rzeczą wdawać się w ich rozbiór. Dość że pan Boissonnet miał zlecenie nie wypuszczania nikogo do ex-emira i ściśle obowiązany był trzymać się takowego. Z właściwą jednak każdemu dobrze wychowanemu Francuzowi grzecznością, chciał mi wynagrodzić zawód jakiego doznałem, nie mogąc widzieć znakomitego więźnia: obiecał wprowadzić mnie do zamku i pokazać w nim wszystko co tylko jest godnego uwagi i na czém nie ciąży zakaz wzbraniający. Musiałem i na tém poprzestać.

Zwidzenie zamku w towarzystwie pana Boissonnet rzeczywiście wynagrodziło mi w części niemożność oglądania samego Abdelkadera. Grzeczny ten i wysoko ukształcony człowiek opowiedział mi tyle ciekawych szczegółów, że przy ich pomocy jestem w stanie udzielić czytelnikom poniższe wiadomości o Abdelkaderze i o innych więźniach powierzonych bacznemu lecz ojcowskiemu zarazem dozorowi zacnego pana Boissonnet.

Abdelkader miał wówczas lat czterdzieści cztery. Był więc w całej sile męskiego wieku, kiedy się sam

dobrowolnie oddał w ręce Francuzów, wstrzymawszy przez lat tyle gwałtowne ich parcie na Afrykę. Rzeczywiście działalność tego człowieka przeszła pod pewnym względem po za zakres możliwości i podobieństwa, i gdyby nie urzędowe doniesienia, przekonywające nas o jej istnieniu, możnaby ją śmiało uważać za wybryk rozmarzonej wyobraźni wschodniego jakiego poety.

Nie było nic łatwiejszego dla Abdelkadera, jak ratować się od niewoli ucieczką w jakibądź sposób. Z jednej strony miał on wolne przejście na południe do Sahary, a ztamtąd droga już otwarta; gdzieby zechciał mógł bezpiecznie wędrować, bez obawy pogoni ze strony francuzkiego rządu; z drugiej zaś mógł się schronić do Marokko. Lecz doświadczywszy dowoli niepokojów koczującego awanturniczego życia, wolał zakończyć swój świetny zawód w sposób niezwykły, wyróżniający go od ogółu. Chciał zakończyć, mówię, poetyczne swe wojenne życie przez czyn godny najszlachetniejszego rycerza z czasów Ludwika IX. A miał on w charakterze wiele cech rycerskiego ducha, zdaje się że w jego żyłach musiały płynąć resztki krwi alhambryjskich Arabów. Chciał on po bohatersku dokonać szlachetnego dzieła, rozpoczętego w tak świętym, jak dla niego, celu, przez dobrowolne oddanie się w ręce nieprzyjaciół, z zupełnym zaufaniem, z zupełną wiarą w ich honor.

Rozbierając psychologicznie takie postanowienie, znajdziemy w niem dużo wielkości i siły ducha, tej siły na jaką zawsze zdobyć się potrafi prawdziwie wzniosły i szlachetny umysł, choćby w najprzykrzejszych znajdował się okolicznościach.

Abdelkader miał to przekonanie, że Francja będzie mu prawdziwie wdzięczną za ten krok; i jakkolwiek śmiały wódz Arabów wziął się do niego cokolwiek późno, to bynajmniej nie zmniejsza jego rzeczywistej wartości, owszem, do wyższej jeszcze podnosi ją potęgę. Spodziewał się on przez to zjednać sobie ogół francuzkiej publiczności; bo opinia publiczna zawsze go obchodziła, zawsze był on o nią dbałym, i jak prawdziwy polityk, z głębi swych stepów, z pod koczowniczego namiotu, bez przestanku starał się o to, aby ją mieć sobie przychylną. Ale właśnie w owym czasie wydarzenia większej daleko wagi, zbliżanie się burz wewnętrznych i politycznych wstrząśnień, objawy niepokoju i przecucie zmian jakichś na przyszłość, oderwały uwagę Francuzów, wyłącznie dotychczas skierowaną na Afrykę, i zmusiły ich do zamknięcia się w sobie samych i we własnego kraju wypadkach. Wpłynęło to więc niemało na to, że

nadużyto cokolwiek jego zaufania, bo obawiano go się podwójnie: raz jako wodza Arabów, którego upór i waleczność kosztowały tyle krwi francuzkiej, drugi raz jako człowieka wyższych bez zaprzeczenia zdolności, który w razie wewnętrznych jakichś zaburzeń umiałby pewno korzystać z okoliczności.

Abdelkader wreszcie pierwszy naruszył ów sławny pokój i układ nad Tafną, naruszył go nawet bez żadnych ważnych powodów; chcąc więc utrzymać się na drodze ścisłej bezstronności, niepodobna bezwzględnie potępić Francją za to, że zamiast wolnego życia w którym z państw mahometańskiej Azji, wyznaczyła mu na miejsce pobytu grube mury zamku Pau.

Niedługo jednak Abdelkader gościł w tym zamku. Klimat okazał się dla więźnia szkodliwym, z przyczyny swój nadzwyczajnej, jak dla Afrykanina, ostrości. Przyszedł niebawem rozkaz przeniesienia go do Amboise. Tu przynajmniej, w jednym z najpiękniejszych punktów w całej Francji; pod względem klimatu więźniowie nie byli zmuszeni przyzwyczajać się do wszystkich wybryków naszego północnego nieba. Cała prowincja Touraine, niegórzysta, nawet prawie płaska, odznacza się jednostajnym, nadzwyczaj łagodnym stanem powietrza. I rzecz dziwna! Touraine już po raz drugi miała służyć za grób najświetniejszym nadziejom mahometańskiego oręza. Jedenaście wieków temu Karol Młot przy Tours wstrzymał zwycięzki pochód saraceńskich zastępów, pod dowództwem sławnego Abderrahmana. Obecnie chęć odtworzenia świetnej niegdyś arabskiej przeszłości, przyszła się wyrzec sama siebie, w osobie najdzielniejszego swego w nowszych wiekach przedstawiciela i zamknąć, jakby żywcem w grobie, w odwiecznych murach zamku Amboise.

Jakkolwiek pod względem higienicznym pobyt w Amboise był bardzo szczęśliwy dla więźniów, gdyż daleko mniej w nim chorowali aniżeli w Pau, wszelako często w bardzo przykry sposób dawał im się czuć brak tych palących promieni południowego ich słońca, pod wpływem których tak silnie bije serce i które ożywiają wszystko, nawet głązy pustyni.

Jedna z żon Abdelkadera (najmłodsza) umarła na suchoty. Straszna ta choroba nieznaną jest u Arabów; w Touraine zaś jest ona bardzo pospolitą, jak w ogóle w klimatach łagodnych, mglistych. Mówiono nawet że Abdelkader dotknięty był ciężką jakąś chorobą.

Były to jednak tylko plotki, przesadzone jak każde plotki; miał on jedynie nerwowy ból twarzy,

wprawdzie bardzo dotkliwy, ale żadnym niebezpieczeństwem życiu niezagrażający.

Pogodzenie się z obecnym losem dużo kosztowało Abdelkadera; długo mu się to nie mogło pomieścić w głowie, a bardziej w sercu, aby tak straszego doznał zawodu ze strony Francji. W końcu, poczytując za karę bożą tę zmianę wymarzonej wprzód spokojnej siedziby w świętej ziemi proroka, na więzienie stanu w warownym europejskim zamku, poddał się woli najwyższej i cierpliwie czekał dalszych jej wyroków. Tymczasem względne nadzwyczaj obchodzenie się z nim dowódcy więzienia, staranność ze strony rządu o zaspakajanie wszystkich jego i rodziny nietylko potrzeb, lecz najdrobniejszych nawet zachceń, — nie mogły również pozostać bez wpływu na złagodzenie jego usposobień.

Rzeczywiście wrócił dawny spokój na piękne jego, niepospolitego człowieka znamionujące oblicze. Na wszystkich swych towarzyszy wygnania, których liczba dochodziła do ośmdziesięciu wywięrał Abdelkader wpływ zadziwiający, wpływ wyłącznie właściwy wielkiemu człowiekowi, który go nigdy i nigdzie nie traci; i ręczę, że wszystko co go otaczało, nie szanowało go mniej na tém wygnaniu, aniżeli w dniach jego najświetniejszych, kiedy największą jaśniał potęgą i sławą. Był on tu zarazem ich księciem i najstarszym kapłanem. Zawsze osobiście znajdował się na wszystkich pobożnych zebraniach, które miewały miejsce dwa razy na tydzień, cytował wyjątki i zdania z koranu, który cały prawie umiał na pamięć, zresztą ciągle, bez ustanku pracował, pisał, czytał, rozmyślał.

W czasie pobytu swego w Amboise napisał dwa dzieła, których własnoręczne jego rękopisma oglądałem na własne oczy. Jedno z nich jest to jego autobiografia, czyli pamiętnik usprawiedliwiający całą jego działalność, widoki polityczne, w duchu których postępował i t. p. W całym tém dziele widać małe bardzo, a nawet niedbałe, obrobienie szczegółów; widać, że autor pisząc je, nie myślał zupełnie o formach zewnętrznych; wiedział że pamiętnik jego może jedynie służyć za bogate źródło do historii, i dlatego główną w nim zwracał uwagę na idee i zasady których się trzymał i które starał się przeprowadzić przez całe życie swoje. Drugiego dzieła sam tytuł pokazuje, że nie tracił nadziei wyjścia na wolność. Tytuł ten jest: „O wierności jaka panuje u muzułmanów w wypełnianiu danych przyrzeczeń przymierza lub innych.” Za pomocą téj pracy, niezmiernie sumiennie obrobionej, tak iż każde dowodzenie opiera się na wiarogodnych źródłach i cytacjach, i która

wyświeca nam znakomite, naukowe prawdziwie czytanie jój autora, Abdelkader chciał przekonać gabinet francuzki, że wypuszczenie go na wolność nie grozi państwu żadnym niebezpieczeństwem; że gdyby mu wrócono swobodę, którą mu obiecano w traktacie, i którą on przyjął, pewnieby jój nie nadużył, jako prawowierny muzułmanin, przysięgłszy nigdy już nie podnosić oręża przeciwko Francyi.

Ci jednak z wodzów afrykańskich, którzy dzielili z Abdelkaderem los jego wygnania, nie byli podobnie jak on pogodzeni z rzeczywistością. Kobiety zwłaszcza sarkały na wszystko bez ustanku, bez przerwy miały jakieś przedmioty ciągłego niezadowolenia. Wyjątek tylko z ogólnego tego prawidła stanowiała Zohra, matka emira, kobieta niezaprzeczenie wyższych zdolności, z mężkiem sercem pod słabą niewieścią formą, która, mimo bardzo już późny wiek, nie zgiąwszy się jednak, dźwigała trudne i ciężkie brzemie losu, ku schyłkowi już dni jój przez Opatrzność zesłane.

*

Matka sułtana i proroka czerpała w uczuciu wewnętrznej swój godności macierzyńskiej, iż wydała na świat takiego syna, potrzebne siły do zniesienia wygnania i więzów. Pocieszycielka wszystkich strapiionych, ubóstwiana od całej garstki Arabów dzielących los swego wodza, była ona zawsze pierwszą u łoża umierającego, otaczała go czułą swą opieką i staraniem, modliła się nad nim, a gdy śmierć swém lodowatém tchnieniem owionęła już konającego, otwierając mu wrota do innego życia, ona go żegnała jako najwyższa kapłanka i wspólna całej gromady matka.

Jój synowe, których liczba z pięciu zmniejszyła się do trzech, skutkiem śmierci dwóch najmłodszych, przeciwnie poddawały się smutkowi a nawet rozpacz, z powodu smutnego losu jaki spotkał całą upadłą dynastją. Bez ustanku przypominały one emirowi w jak haniebny sposób Francya nadużyła szlachetnej i dobrej jego wiary. W najbliższych i nieustających stosunkach wewnętrznego, rodzinnego życia, jakie łączyły Abdelkadera z jego żonami, w całego dnia rozmowach, ciągly zwrot do wspomnień, do minionej a tak świetnej przeszłości, ciągly z ich strony tęsknota często bardzo zakłócały owę słodką, melancholiczną spokojność umysłu Abdelkadera. Ale były to tylko błyskawice na pogodnym niebie jego myśli, a raczej były to tylko chmury przechodnie, bo silna moralna przyroda więźnia zwal-

czała te drobne zewnętrzne wpływy, te słabe kobiecych dusz wzruszenia i żale.

Kobiety jednak były daleko mniej w tém wszystkim godne litości aniżeli mężczyźni. Gwałtowna zmiana losu, upokorzenie, gorycz wygnania i więzów daleko więcej musiały się dać uczuć ostatnim. Kobiety tutaj zamieniły tylko klasztorne, że tak powiem, życie koczującego namiotu, na również klasztorny byt warownego zamku, i warunki ich wewnętrzного życia w Amboise mało się różniły od warunków tegoż życia w Maskarze lub Tagmecie. Nad brzegami Ligiery zarówno jak w Afryce, w więzieniu podobnie jak na wolności, pędziły one żywot w zamknięciu, i we wszystkich fazach ich życia, ujętego we wschodnie formy, nikt nigdy nie miał do nich przystępu, oprócz ich małżonka i pana. Każda rodzina tworzyła zamkniętą kastę; nawet Abdelkader i bracia jego nie widywali żadnej kobiety, oprócz własnych swoich żon i matki. Szwagrowi nie wolno było spojrzeć na swoje bratową. Pytam się teraz jakim sposobem można zaprowadzić towarzyskość na Wschodzie, nie naruszając podstaw rodzinnego życia mahometańskich jego mieszkańców?

Stanowisko kobiet w Amboise było zbyt małym, drobnym, powiem żadnym, ale mimo to nie było ono nigdy wyższém w dniach najświetniejszego powodzenia dynastji Abdelkadera i na łonie rodzinnego kraju, pod okiem rodzinnych, palących promieni afrykańskiego słońca. Zajęte one były jedynie dziećmi, stroiły je, perfumowały, nie zapominając, sądzę, o tych staraniach i względem własnej osoby. Nadto doglądały gospodarstwa i przyrządzania pokarmów do codziennego życia służących, które, jakkolwiek w samym środku Francji, były czysto arabskie. Narodowe *kusku*, codziennie przyrządzane rękami murzynek, stanowiło podstawę każdego stołu. Kawa i owoce w wielkiej objętości wchodziły w skład tych skromnych pokarmów. Palenie tytoniu było najsurowiej wzbronione wszystkim Arabom osady Amboise. Abdelkader sam nigdy do ust fajki nie bierze, nazywając palenie zupełnie niepotrzebnym zbytkiem, przeciwnym nawet zasadom religii, skoro nie przynosi żadnego pożytku zdrowiu, skoro nie ma żadnego higienicznego znaczenia. Zaledwie kilka ludzi ze służby pozwalało sobie pod największym sekretem używać fajki lub cygar.

Jakśmy już wyżej nadmienili, ośmdziesiąt osób wchodziło w skład służby téj upadłej dynastji. Liczba mogłaby się wydać za wielką, zważywszy że to był dwór więźnia; ale przypomnijmy sobie że

smala (dwór) Abdelkadera w Afryce liczył w sobie pięć czy sześć tysięcy ludzi, skład więc jego obecny był już jak można najbardziej ograniczony. Stanowiły go jedynie najpoufalsza służba ex-emira, jego braci i synowców, po większej części ojców już, a tém samém naczelników swój rodziny, i dwaj kalifowie Abdelkadera, którzy do końca chcieli pozostać mu wiernymi. Jeden z nich, Ben-Allal, następca i synowiec słynnego Sidi-Embarek, przezwanego zezowatym, który tak ważną odegrał rolę w afrykańskiej wojnie i został zabity czternaście lat temu w bitwie pod Ued-Mabach, wśród bardzo dramatycznych okoliczności; drugi zaś uczony, a zarazem fanatyk, Ben-Thami, ten sam, którego dziwny charakter wykazał się głównie w stanowisku z jakiego się zapatrywał na Francuzów po poddaniu się Abdelkadera. Nie wyjawiał się on względem tych ostatnich z żadną systematyczną nienawiścią; zdaje się nawet iż osobiście nie był im tak dalece nieprzyjaznym, lecz zamknawszy się wsferze jedynie, jak mówił, wyższej, boskiej prawdy i sprawiedliwości, odpowiadał zawsze tym co go chcieli przekonać o dobrej jakiej stronie Francuzów: „I owszem, nieskończeniemy sobie życzył być ich najszczerzym przyjacielem; ale znajdźcież mi choć jeden tekst, choć jedną głoskę, choćby wiersz jeden wreszcie w całej świętej księdze, któryby zezwalał na pokój z chrześcianami, a natychmiast pierwszy na traktatach będę podpisywać moje nazwisko.”

Do tego należy dodać służbę, nadzwyczaj mało liczną, jeżeli ją porównamy z tą armią feudalną niewolników i służalców najrozmaitszego rodzaju, która bez ustanku otaczała afrykański dwór ex-emira i która w ogóle znajduje się przy każdym wschodnim dworze. Nietylko zresztą panujący otaczają się tam tak liczną zgrają niewolników: każdy dygnitarz, każdy nawet *duandi* (szlachcic) trzyma tyle służących, ile mu tylko starczy na to środków. Taki więc był skład dworu upadłej dynastji w Amboise, tego drobnego sympatycznego dworu, stanowiącego niejako rodzinę tego Clermont afrykańskiego.

Pewnego razu niespodziana radość, prawdziwy (jak w takim położeniu) wypadek nadzwyczajny przerwał jednostajną ciszę i spokój osady i rozweselił na chwilę posępne oblicza jej członków. Jeden z synowców Abdelkadera, syn jego starszego brata, prześliczny młody człowiek, przezwany Saddok (szczyry) nie był w możności połączenia się z dworem Abdelkadera, w chwili gdy tenże oddawał się w ręce Francji. Zmuszonym był schronić się później do Marokko, gdzie z rozkazu monarchy tego kraju zaliczo-

ny został wraz z wielą współrodaków do oddzielnego korpusu utworzonego z algierskich emigrantów. Wydostawszy się ztamtąd, miał jedną tylko drogę przez którą mógł ująć prześladowań we własnym kraju i uniknąć zemsty marokańskiego dworu: była to droga ucieczki na południe. Po długim czasie tułactwa w różnych państwach środkowej Afryki, zdołał wreszcie biedny Saddok, pod przybraném nazwiskiem i przy pomocy pewnego francuzkiego kupca, dostać się na brzegi Śródziemnego morza, ztamtąd, wsiadłszy na francuzki okręt, przybył do Francji, a następnie do Amboise. Powrót jego tém bardziej uradował silnie jeszcze bijące serce ex-emira, że młody ten książę był już oddawna zaręczony z jego córką. Natychmiast więc odbyło się wesele, w czasie którego zatętniały serdeczną radością serca całej osady, serca biedne, skołatane i prawie już zwiędłe pod wpływem 'ylo-licznych a tak ciężkich doświadczeń losu.

Miałem przyjemność widzenia dwóch najmłodszych synów Abdelkadera, puszczających frygę na progu pięknej kaplicy Karola VIII.

Dzieci w ogóle nie są zdolne do nowych odkryć i wynalazków, mówił mi pewnego razu jeden bardzo rozsądny człowiek. Od pięćdziesięciu lat bywam na polach elizejskich i w ogrodzie Tuilleries, i widzę ciągle te same gry i powiem nieledwie te same dzieci. Tę samą myśl jaśniej jeszcze i otwarciej wyraża Cadet Roussel, gdy obrzucony kamieniami przez uliczników przedmieścia, woła rozgniewany: „Ho, znam ja te złośliwe dzieci! już od czterdziestu przeszło lat ciągle mnie prześladowają!” W każdym razie jest niezaprzeczoną rzeczą, że stałość w dzieciach bywa większą aniżeli w ludziach dorosłych, a zwłaszcza widzieć się to daje w grach i zabawach dziecinnych. Nic doskonalej nad to nie może zaprzeczyć wykrzyknikowi La Bruyère'a: „Już zostali ludźmi!” Szczególniej fryga, której początek ginie we mgle wieków, gra zarazem najkosmopolityczniejsza w świecie, trwa do dziś i zawsze jest modną. Widziałem ją nawet w Sidi-Okba, jednej z najodleglejszych oaz wielkiej afrykańskiej pustyni.

Przerywając swą zabawę, dwoje tych ładnych dzieciaczków, na wezwanie grzecznego mego przewodnika, zbliżyło się do mnie i podało mi ładne swe rączki. Następnie z pewnym bojaźliwym wahaniem starsze się do mnie ozwało: „Ech ha!, Si-Chadli?” (jak się masz Si-Chadli?). Było to nazwisko pewnego Araba, którego znałem w Algierze i w Paryżu, a który przeszłej zimy otrzymał pozwolenie widzenia się z Abdelkaderem. Nie mogąc się poszczycić zbyt wielką znajomością arabskiego narzecza, zrozumiałem je-

dnak przyjaźnie wyrzeczone wyrazy i odpowiedział ładnym chłopaczkom: „Melech” (dobrze).

Uderzyła mnie niezmiernie w młodych mych znajomych szlachetnie dumna ich postawa i pewien rodzaj godności rozlany na prześlicznych ich twarzach. Ubiór ich był wspaniały i nadzwyczaj ciepły. Podwójne burnusy białe, pod spodem fioletowe, zgrabnie zarzucone na udatne ramiona młodych książąt, majestatycznie się na nich drapowały. Starszy chłopczyk miał lat ośm, młodszy sześć. Piérwszy, jak powszechnie mówią, jest obrazem ex-emira, kiedy tenże był dzieckiem. Piękność jego jest rzeczywiście zadziwiająca. Cere ma nadzwyczajnej białości, prześliczny nos i ogromne oczy, rozumie się czarne i niezwyklego blasku. Na imię mu Muhammed; młodszy, Mahi-Eddin, jest mniej uposażony bogatemi darami południowej przyrody.

Skoro mi przyszło wymówić imię Si-Chadli, zatrzymam się nad nim przez chwilę. Człowiek ten przez jakiś czas pełnił obowiązki kadego przy biurze arabskim w Konstantynopolu, następnie długo bawił przy ex-emirze w Amboise, i pobyt ten jego sprawił nietylko serdeczną radość Abdelkaderowi, ale nawet można powiedzieć że wiele mu przyniósł korzyści. Abdelkader bowiem wpadł był w pewien rodzaj niemiej rozpacz. Nie wiedział nic o stanie w jakim się podówczas znajdowała Francya, i bolało go niezmiernie że zamiast przyobiecanej wolności, gabinet francuzki osadził go w warownym zamku. Si-Chadli zaś, przebywając długo w Paryżu, wyjaśnił ex-emirowi rzeczywiste położenie Francyi i przyczyny które skłaniają jój rząd do tymczasowego przytrzymywania go w Amboise. Uspokoił się nieco rozdrażniony umysł Abdelkadera, który odtąd cierpliwie postanowił już czekać chwili wyjścia na wolność. Chwila ta w istocie była bardzo blizką. Ex-emir miał szczególniejszą ochotę widzenia Paryża, i rzeczywiście widok tej stolicy daleko skuteczniej podziałał na niego od murów warownego więzienia, w tym względzie, iż go przekonał ostatecznie o niemożności walczenia z Francją.

Silnie przyparty do skał sterczących na lewym brzegu Ligiery, panujący nad całym miastem, zamek Amboise ze swemi olbrzymiemi trzema wieżami, któ-

rych szczyty zdają się niebieskiego dosięgać sklepu, wydaje się z zewnątrz nadzwyczaj warownym więzieniem. Wewnątrz jednak jest to raczej piękny i rozkoszny pałac, coś w rodzaju nowożytnego Kenilworth. Po przebyciu potężnego tunelu, wykutego w skale z rozkazu Filipa, oko wędrowca spotyka miły nadzwyczaj obraz, jaki tworzą z niezmierną starannością utrzymywane angielskie ogrody. Więzień w Amboise dosyć ma przestrzeni dla przechadzki, powietrza dla płuc i widoku dla najartystyczniejszego oka. Straże były bacznie porozstawiane w około zamku, lecz wewnątrz jego murów nie przenikał ani jeden francuzki mundur, ani jeden tam nie błyszczał bagnet, i jakkolwiek ex-emir musiał uważać zamek za więzienie po tych obszernych afrykańskich przestrzeniach, które przebiegały pod nim lotne jego rumaki, o wiele jednak los był dla niego łaskawszy, aniżeli dla wielkiego nowoczesnego geniusza, osadzonego pod koniec dni swoich na odludnej, samotnej wśród bezbrzeżnego oceanu skale, której imię dopiero od jego tam pobytu stało się głośnym.

Widziałem później Abdelkadera w Paryżu. Zarzuty był odwiedzinami, tak iż nie mógł ze wszystkich korzystać. Ja byłem z liczby wybranych i widziałem go we własnym jego mieszkaniu. Zrozumiałem od razu ów wpływ magnetyczny, jaki przez tak długi przeciąg czasu wywierał ten człowiek na całe plemię Arabów. Jest to najprzystojniejszy mężczyzna jakiego kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło. Ani trudy wojenne, ani wiek, ani upadek i wygnanie nie zdołały się wypisać na jego cudnie pięknej twarzy. Dziś już ma blizko lat pięćdziesiąt, nie wygląda jednak ani na czterdzieści. Broda jego jest czarna jak heban, cere ma białą, oko duże, słodkie, ciągle wilgotne, z powodu nieustającego ruchu i ognia. Ręce ma artystycznie wykończonęj piękności, małe, białe i starannie utrzymane.

Pewien jestem że gdyby Abdelkader piętnaście lat temu był w Paryżu i widział tak jak teraz potęgę Francyi, wyższy jego umysł byłby niewątpliwie odgadł niepodobieństwo nierównęj z nią walki; oszczędziłoby to krew wielu ludzi walecznych, i osada Algieru kwitłaby już oddawna, jak obecnie dopiero kwitnąć powoli zaczyna.

CHRZĄSZCZ SŁOŃ

MEGALOSOMA (SCARABAEUS) ELEPHAS.

Przedstawiony na dołączonej tu litografii gatunek chrząszcza, należy do największych jakie dotąd w tym rodzaju znamy, i jedynie tak zwany *Jelonek* i *Chrząszcz Herkules* zbliżają się nieco do niego. Pierwszy różni się od niego przedłużeniem wyrostków części zagłownej po obu stronach w kształcie jelenich rożków, drugi zaś ma pojedynczy róg na dół zagięty i pod spodem mały wyrostek ku górze skierowany; kiedy tymczasem chrząszcz słoń ma u głowy przedłużenie w górę nakszałt słoniowej trąby zagięte, a u części zagłownej czyli przedniego grzbietu dwa rożki proste, silne, przeszło pół cala długie. Samica niema ani tych rożków, ani trąby. Piękny ten gatunek pochwooskrzydłych owadów (Coleoptera) pierwszy raz opisany został w roku 1775 przez Fabriciusa w *Syst. Eleut.*

T. 1 str. 8, według dużego egzemplarza znajdującego się w angielskiem muzeum.

Dawniej chrząszcz ten należał do największych osobliwości i ozdób zbiorów entomologicznych, ale w nowszych czasach upowszechnił się i prawie każdy z większych zbiorów cieszy się jego posiadaniem, bo podróżnicy w Porto Cabello, Yucatan i Guatemali napotykają go bardzo często.

Chrząszcz ten, jak wszystkie inne tego licznego rodzaju owady, różnej bywa wielkości i niejednostajnego kształtu co do wyrostka głowy i grzbietu. Samica prócz tych ozdób, niema także gęstych włosów, które pokrywają puchem skrzydła, grzbiet i głowę samca.

Największe egzemplarze dochodzą do sześciu cali długości.

DOLINA SZKLAR.

Po szczytnych widokach Pieskowej-Skały, Grodziska i Ojcowa, potrzeba okolicy nader bogatej w piękności przyrody, aby zajęcie, aby podziw i uwielbienie wzbudzić mogła.

W wędrówce naszej po tej ziemi krakowskiej, na ileż to już patrzyliśmy skał, na ile czarownych skupień! Bodajby najwrażliwsi, jużbyśmy wyczerpali się z uwielbienia i podziwu. A jednakże dolina Szklar, ta piędź kamienistej ziemi, zaledwie znana naszym turystom z nazwiska, głębokie obudziła w nas zajęcie.

Wyznajem szczerze, tylko tradycyjna wieść o znajdowaniu się marmurów czarnych w dolinie szklarskiej, zachęcała nas do odbycia tej wycieczki. Lecz nie żałuję trudów, a jeżeli słowo nasze znaczy cósokolwiek w oczach czytelników, radzimy wszystkim zwidzają-

cym Ojców, aby nie opuszczali sposobności ujrzenia doliny Szklar, o dwie godziny drogi odległej.

Minąwszy kościół jermanowicki, drożyną snującą się po wybrzeżu wartkiej strugi, schodzimy w dolinę szklarską. Tu nagie kości olbrzymich skał, okryte gdzieniegdzie szarą rdzą wieków, wychylają się zrzadka szeregami, jak kurhany wśród pobojo-wiska; indziej okrągłe wzgórza, miękką pokryte murawą, a tam szczyty młodym dębczakiem zagajone, owdzie na wierzchołku zawieszona chałupa wiejska, malownicze przedstawiają widoki.

W jednym miejscu struga sącząca się środkiem doliny tworzy małą naturalną kaskadę, spadającą z wysokości stópdziesięciu. Gęste krzaki tej naszej wierzby smukłej i płacziwej stroją tu brzegi niewielkiej zatoki, jaką tworzy spadający strumień. Tych to



wierzb zwoje są przytułkiem rzadkiemu w kraju naszym ptaszkowi, zwanemu u ludu zieloną kokoszką, a u ornitologów *Pluszczem wodnym* (*Cinclus aquaticus*). Siedzi on ukryty pomiędzy korzeniami krzaków nadbrzeżnych, tak iż go oko najwprawniejszego myśliwca nie dojrzy. Ptak ten, inaczej jeszcze szpakiem wodnym zwany, z wierzchu jest czarniawo-brunatny, popielato popruszony; gardziel, przód szyi i piersi białe, brzuch ciemno-rudy, tęczą perłowo-białą, a dziób i nogi czarniawe.

Lubo nad wodami przemieszkuje, a gęste i zbite upierzenie wyraźnie do wodnych go zbliża, należy on jednak rzeczywiście do ptaków lądowych. Głos posiada dość przyjemny. Żeruje pod wodą na dnie strumieni, nie pływając lecz po nim chodząc, gdzie zbiera pożywienie, składające się z rozmaitych wodnych owadów, ikry rybięj i tym podobnych przedmiotów. Tak zanurzony, przebywać może przestrzenie oddwudziestu do trzydziestu kroków, nie doznając żadnego przemoczenia.

Pluszcz jest dość mnożny, a jednak rzadki—widocznie ma nieprzyjaciół w nurkach i szczurach wodnych, które miejsca przez tego ptaszka zajmowane lubią odwiedzać.

Tutaj to ponad brzegiem spotkaliśmy gatunek owadów siatkoskrzydłych, zwany *Calopteryx virgo*, który, jak malowniczo mówi prof. Waga, „swym ciemnym kolorem, skrzydełkami prawie czarnymi u samca, tak dziwnie nadaje się do ponuręj postawy lasów jodłowych i wielowiekowych murów na skale.”

Na ostatnim krańcu doliny szklarskiej, a zarazem na granicy królestwa polskiego, wśród ponurego lasu nad rzeczką, wskazano nam sławne łomy czarnego marmuru, który równie jak i marmur dębnicki, używanym był na grobowce istniejące do dziś dnia w wielu świątyniach krakowskich.

Kiedy łomy szklarskie otworzone zostały, nie umiemy w tej chwili powiedzieć, a nawet wiadomość ta nie na wieleby nam się przydała. Dziś obszerne, opuszczone rumowisko świadczy o silnym współdziałaniu ręki ludzkiej, która rozburzyła obszerną górę, wydarła bogate nagrobki z jej łona i zasłała tysiącem niekształtnych ułomków szeroki pas, pozostały po dawnych robotach. Zadumaliśmy się chwilę. Od wieków głucho spoczywał kamień w pierwotnych posadach:—człowiek pod uderzeniem żelaznej rószechki kazał mu się zbudzić, przyjął kształt milczącego sarkofagu, lub zbroicą okrytego rycerza, i ze zgłoskami pamiętnikowych napisów usnąć na nowo, pod wspólnym sklepieniem świątyni krakowskich.

Chwasty i trawa, korzystając z rodzajnego pyłu, jaki powstał przy łupaniu kamieni, owiły szeroko dawne pole prac ludzkich i odziedziczyły je samowładnie, wciskając się między ułamki i rozdrabniając je coraz więcej i więcej.

Marmur tutejszy należy do formacji sylurskiej, a przez Puscha nazwany został *wapieniem Krzeszowic*, najobszerniej bowiem rozwija się w dolinie ostatniego miejsca. Wapień ten, z powodu swego koloru, cech mineralogicznych, układu warstw, głębokości pokładów i związku z piaskowcem węglowym, dostatecznie się odróżnia od wapienia tworzącego skały Ojcowa i saméjże doliny Szklar, który, jakéśmy już nieraz wzmiankowali, należy do formacji juraskiej.

Marmur krzeszowicki bywa zwykle czarny, lubo kamieniarze odróżniają kilka odcieni, a mianowicie czarny i szaraczkowy. W szczelinach lub na wychodzie natrafia się brudno-biały, czerwono-pstry, żyłowy i t. p. Pod względem mineralogicznym znacznie się różni od innych gatunków wapienia, już złożeniem cząstek mechanicznym, już chemicznym składem. Zwykle przedstawia się w stanie zbitym, mało łupkim, z odłamem muszlowym, nieprzezroczystym. Co do składu, takowy niedokładnie jeszcze jest zbadanym. Z poszukiwań chemicznych Johna pokazuje się, że zawartością tego gatunku marmuru jest czarny tlenek węgla (Kohlenoxyd), mała ilość siarku wapna i siarku potasu¹⁾. Rzeczywiście, kamień ten przy rozbijaniu wydaje zauważalny zapach siarkowodoru, ściśle zaś zbadanie znacznej liczby okazów odkryło kryształki siarki i szpatu wapiennego, rozsiane w massie minerału.

Uważając geologicznie, marmur krzeszowicki zawarty jest na dość ograniczonej przestrzeni; pojawia się najprzód, idąc od zachodu, w końcu wsi Czerna, łącząc się zaś w dolinie z drugą odnogą, idzie około klasztoru w Czerny i dalej ku dołowi do Krzeszowic. Wychodząc z doliny krzeszowickiej ku wschodowi z tyłu wsi Czatkowice, wznosi i rozszerza się do wioski Dębnek, pokłada na pochyłość doliny Rudawy, ciągnie wzdłuż piaskowców węglowych i wypełnia całą paczałtowicką dolinę, od Dubic niemal do Radzewic.

W tém miejscu, natychmiast za Radwanowicami, ciąg wapienia krzeszowickiego wchodzi w granice powiatu olkuskiego, wylania się w okolicy Szklar i ginie pod wapieniem juraskim, pomienioną dolinę tworzącym.

Z przytoczonego powyżej ciągu widocznie się oka-

¹⁾ Pusch: Geognostische Beschreibung von Polen. T. I, str. 143.

zuje, że wapień krzeszowicki, (gdyż pozostawiamy pierwotnie mu przez Puscha nadane nazwisko), najprzód postępuje od południa ku północy, a skręciwszy się przy wysokim, skalistym brzegu w okolicach Przegini, bierze kierunek zachodni w jednej części, a w drugiej wschodni, i ta sięga do Szklar, z upadem 30 do 40° na W P W.

Skład geologiczny tej formacji, w urywku jaki wchodzi w zakres naszej wycieczki, jest dość prosty, gdyż warstwom właściwego wapienia krzeszowickiego towarzyszą tylko krańcowe pokłady drobnoziarnistego, łupkiego piaskowca węglowego, który wybornie uważać można w saméjże wsi Szklary, po lewej stronie rzeczulki środkiem doliny płynącej.

Na tak niewielkiej przestrzeni, granicami naszemi zawartej, nie widzimy tej różnobarwności marmurów, jaką spotyka się w Dębniku, Krzeszowicach i Filipowicach; wszelako, jak powiedzieliśmy, marmur tutaj odznacza się piękną, ciemną barwą, a łatwo przyjmując polor, z wielką korzyścią mógłby być wydobywanym i obrabianym, nawet w sztuki znacznych rozmiarów, jako to kolumny, pomniki i wiele innych przedmiotów, dla których marmur chęciński, z powodu swych jasnych kolorów, w bardzo wielu razach nie jest odpowiednim materiałem.

Ostatecznie, jak niesie miejscowych robotników podanie, na marmurołomy w Szklarach zwrócił swą uwagę najznakomitszy z tegoczesnych naszych przemysłowców, ś. p. Piotr Steinkeller; lecz zajęty ważniejszymi przedmiotami, porzucił pierwotną myśl wydobywania złąd marmurów. Kilka kolosalnych sztuk, z jego polecenia wydobytych i nawpół obrobionych, świadczą o tej chwilowej działalności. Nieme te głazy wkrótce ubrane zostaną w sukienkę podań; za lat kilkanaście ciekawy wędrowiec usłyszy może z ust przewodnika powieść o złym duchu, który tu sobie marmurowy pałac wybudować zamierzył i już zgromadził do tego materiały, tylko mu Michał archanioł w tém przedsięwzięciu przeszkodził. I na dowód tej powieści wskażą ci owe Steinkellerowskie próby. Czyż tak się nie dzieje? Ale przecież nie myślmy brać za złe ludowi, że zapominając o istotnych przyczynach, tworzy na swój ład owe cudne powieści, które z ka-

żdym granicznym kopcem, przydrożnym kamieniem, rozwalonym lamusem wiążą nas serdeczną nicią wspomnienia.

Do składu formacji wapienia krzeszowickiego policzyć jeszcze należy pokłady gliny plastycznej i konglomeratu, tak ważną grającego rolę w okolicach Miękiń, Filipowic i Krzeszowic.

Wapień krzeszowicki w ogóle ubogi jest w skamieniałości. Te które napotykamy w zbiorach, oznaczone jako pochodzące z marmuru dębnickiego, (Ammonity, Fungity, Milepority i Orthoceratity) nie należą do wapienia sylurskiego, ale do wierzchnich, nadkładowych warstw wapienia juraskiego.

Poszukiwania Puscha w tym względzie czynione okazały bytność następujących skamieniałości:

Madreporines hippurinus.

Znaczną ilość wielkich *madreporitów*, prawdopodobnie z rodzajów *Astrea*; te ostatnie i my zauważyliśmy w marmurze szklarskim.

Hippurites turbinatus.

Członki *enkrinitów* i *trochitów*, prawdopodobnie *Encrinites crassus.*

Tu doliczyć także należy kilka nieoznaczonych gatunków z rodzaju *Spirifer*, *Productus* i *Terebratula*. Tych ostatnich drobne odciski udało nam się w wapieniu szklarskim odszukać; drobność ich jednak i niedokładność nie pozwalała na ścisłe oznaczenie gatunku.

Na tych i tym podobnych geologicznych poszukiwaniach szybko nam czas upłynął. Purpurowe sno-py promieni zachodzącego słońca przypominały chwilę powrotu. Rozmarzeni, zadumani, opuszczaliśmy te miejsca. Tu kończyła się kilkonastodniowa wycieczka nasza wśród uroczych skał polskiej Szwajcaryi. Za rowem granicznym, ku starożytnemu Krakowowi, piętrzyły się jeszcze strome urwiska, ręką potężnej przyrody sypane; ale już nie dano nam było oglądać ich oczyma cielesnemi, i tylko duch wolny pobiegł, wyleciał na swych skrzydłach w czarowne okolice Dębnika, Miękiń, Krzeszowic, Bielan, i nakoniec spoczął na prastarzej skale Wawelu.

Adam Wiślicki.

WYNAŁAZEK MIKROSKOPU.

Ze wszystkich członków i organów ciała ludzkiego, jakkolwiek cudowną i dokładną jest ich budowa, żaden niezawodnie pod względem doskonałości równać się nie może z okiem; jestto przyrząd niezmiernie skomplikowanego, a jednak bardzo prostego mechanizmu, kwiat albo raczej owoc innych części organicznych naszego ciała. Oddawna też ludzie pod tym względem ocenić je umieli, chociaż nie znali jego urządzenia, ani głębokiego znaczenia jego części składowych. Otóż co głos powszechności uczynił mimowiednie, nauka w zupełności później potwierdziła, i żaden dziś człowiek myślący nie zdoła bez uwielbienia przypatrzeć się cudownej, pełnej prostoty, a jednakże tak odpowiedniej celowi budowie oka i jego obłon zewnętrznych. Podczas gdy zmysły smaku i dotknięcia to tylko rozróżnić potrafią, co się znajduje w bezpośredniej ich bliskości; podczas gdy słuch i powonienie, chociaż sięgają nierównie już dalej, zawsze przecież w szczupłych stosunkowo zamknięte są granicach,—oko swobodnie zatapia się w ogrom wszechświata i jednym spojrzeniem przebywa odległości, których wielkość istotną myśl tylko zmierzyć jest zdolną. Nieskończoność przestworów nieba, bezgraniczne pustkowie oceanu, obraz wrzącego życia rozległego miasta, zapełnionego ludźmi i gmachami, lasy, góry, rzeki i całe krajobrazy: wszystko to oko ludzkie przyjmuje w siebie jako wyobrażenie duchowe, rozpoznając zarysy dalekich tych przedmiotów z równą niemal dokładnością, jak rozpoznaje kształty i linie delikatne liścia, kwiatu lub owadu znajdującego się w bezpośredniej bliskości.

Jestto właśnie okoliczność, która w największe wprawia nas zdumienie. Leżącą przed nami książkę z łatwością moglibyśmy przeczytać, gdyby nawet drukowana była pismem trzy razy drobniejszym; możemy rozróżnić okiem najdelikatniejsze linie misternie wykonanego stalorytu: a témże samém okiem ogarniamy od razu rozległy krajobraz i w mglistém oddaleniu rozpoznajemy szczyty gór niebotycznych, śnieżyce Alp wiecznym pokryte lodem, ptaka szybującego w przestrzeni wysoko nad naszymi głowami, kształt

księżycy oddalonego od nas o mil 50 tysięcy i wreszcie owe skrzące punkciki nocnego horyzontu, których światło niepewne świadczy o istnieniu w niezmierniej odległości słońce niezliczonych. Ażeby tak sprzeczne z sobą działania uczynić możliwemi, oko nasze musiało być obdarzone cudowną zdolnością nasywania się czyli *akomodowania* (używając wyrazu technicznego) samo przez się dla wielkich i małych odległości. Jak luneta przedłuża się lub skraca wmiarę oddalenia przedmiotu, tak i w oku patrzącego odbywa się czynność podobna mimo jego wiedzy. Zdrowe oko jest najdoskonalszém narzędziem optycznym, jakiego człowiek w równej dokładności wystawić nie jest zdolny; nauka wszakże podała mu sposoby rozszerzenia za pomocą sztucznych środków naturalnego swego widokregu. Człowiek *uzbroił* swoje oko w oręż niekrwawy wprawdzie, lecz dzielny i donośny, wielkiego rozmiaru dla przedmiotów oddalonych, mniejszego dla blizkich, a w tej cudownej zbrojowni, będącej prawdziwym tryumfem ducha ludzkiego nad materią, jedném z najdoskonalszych narzędzi jest mikroskop, o którym obszerniej pomówić tu zamierzamy.

Zanim jednak przystąpimy do opisu szczegółów składu mikroskopu i historii jego wynalazku, poznajmy pojedyncze części i urządzenie naszego oka; z którym to narzędzie w blizkim zostaje powinowactwie.

Jeżeli wyjmemy z jamy oko trupa ludzkiego lub zwierzęcego, *np.* wołu, to ono przedstawi nam się w kształcie ciała prawie kulistego, zwanego *żrenicą*, którego za życia zwierzęcia widzieliśmy małą tylko cząstkę położoną między powiekami. Ciało to jest kulą wydrążoną, z przodu nieco wypuklejszą i napełnioną cieczą. Zewnętrzna jego powłoka składa się z dwóch błon, z których jedna biała, nieprzezroczysta i włóknista, zwana błoną *białą*, tworzy biało oka; druga nieprzejrzysta, podobna do cienkiej warstwy rogowej, otrzymała z tego powodu miano błony *rogowej*. Ostatnia zajmuje przednią stronę oka i zdaje się jakby oprawioną była w kolisty otwór *twardój*

blony ocznej, nadającej źrenicy spojność i kształt okrągły, a połączonej od tyłu, nieco kuśrodkowo, z nerwem widzenia. Powierzchnia zewnętrzna błony rogowej jest wypukłą, dosyć podobną do szkiełka zegarowego. Pod błoną twardą leży najprzód błona *naczyniowa*, równa jej rozmiarem i połączona także z nerwem widzenia. Ma ona z przodu podobnież otwór kolisty, u którego rozchodzi się w tak zwany *krąg promienisty*, służący do utworzenia *tęczy*. Tęcza, położona we wnętrzu oka tuż za błoną rogową, rozpiętą jest w poprzek i łączy się z błoną naczyniową. U ludzi bywa ona rozmaitej barwy: niebieska, piwna, siwa, zielonkawa lub mniej więcej czarna, z czego poszło jej nazwanie. W środku jej widzimy niewielkie kółko, zwane *pupillą* czyli otworem wzrokowym, przez który wejrzeć możemy do wnętrza oka, zafarbowanego u ludzi na czarno, z wyjątkiem albinosów i karłaków, u których bywa czerwone. Ważną także funkcją spełniają delikatne linijki otaczające pupillę, które nabrzmiewając gdy oko silnym uderzone jest światłem, pupillę zmniejszają, ażeby przeszkodzić zbyt czynnemu napływowi promieni; w ciemności zaś przeciwnie kurcząc się, znacznie ją rozszerzają, dla ułatwienia przystępu światła. Tylna strona tęczy i cała wewnętrzna powierzchnia błony naczyniowej pokryta jest tak zwanym *czarnym farbikiem* (pigmentem), gęstą, brunatno-czarną masą płynną, której przeznaczeniem jest łagodzić działanie światła i odbijać jego promienie. Miejsce pomiędzy błoną rogową i tęczową nazywa się *przednią komorą* oka i zostaje w połączeniu z *komorą tylną*; obie komory napełnione są cieczą wodnistą, doskonale przezroczystą i zupełnie bezbarwną. Pomiedzy komorami, zaraz za pupillą, znajduje się przezroczysta soczewka, tak zwana *soczewka kryształowa*, zawarta w błoniastej i także przezroczystej *torebce soczewkowej*. Tylna powierzchnia soczewki o wiele jest wypuklejszą od przedniej. Za soczewką mieści się galaretowata, przezroczysta, podobna do białka masa, tak zwane *ciasto szkliste*, otoczona cienutką błonką. Cała w ogólności ciecz oka, wyjąwszy od przodu, gdzie leży soczewka i tęcza, pokryta jest delikatną, białą obsłonką, noszącą miano *błony siatkowej* (retiny), która jest przedłużeniem nerwu widzenia i za pomocą tego ostatniego łączy się z mózgiem.

Jeżeli przy takim mechanizmie oka przedmiot jaki ma się stać dla nas widzialnym, to potrzeba żeby był oświetlonym i żeby promienie z niego padły na położoną w głębi oka błonę siatkową. Dla ułatwienia tej czynności, cała przestrzeń między błoną siatkową

i zewnętrzną rogową najzupełniej jest przezroczystą, i światło wchodzące przez pupillę może bez przeszkody przeniknąć do soczewki kryształowej. Te części przezroczyste oka służą nietylko ku swobodnemu przejściu światła, lecz głównym ich celem jest skierowanie promieni jego w taki sposób, ażeby skupiwszy się w jednym z punktów błony siatkowej, utworzyły tam wyraźny obraz przedmiotu. Obraz ten, z powodu krzyżowania się promieni w otworze wzrokowym, odbija się na błonie odwrotnie.

Dla otrzymania doskonałego obrazu na błonie siatkowej, czyli dla dokładnego widzenia, przedmiot nie powinien być ani zbyt drobnym, ani zbyt oddalonym. Pominąwszy że w wielkich odległościach masa powietrza, przez którą patrzeć musimy, czyni obraz mniej wyraźnym, to przedmioty zbyt małe albo zbyt oddalone tę wspólną jeszcze mają własność, że odbijają się na błonie siatkowej w kształtach bardzo drobnych; tym więc sposobem trudno nam poczuć szczegóły otrzymanego obrazu i widzimy go tylko w postaci małego punkciku, czułość bowiem błony siatkowej jest ograniczoną. Cała jej powierzchnia składa się z kończyn niezmiernie subtelných nici nerwowych; jeżeli przeto obraz padnie na jedną tylko grupę tych kończyn, ujrzymy, go tylko w części, a dopiero gdy kilka z nich jednocześnie zostanie wprawionych w działanie, utworzyć sobie zdołamy dokładne o rozpatrywanym przedmiocie wyobrażenie. Dlatego wszystkie pomocnicze narzędzia optyczne mają właśnie na celu rzucenie na błonę siatkową większego obrazu. Jakim zaś sposobem cel ten zostaje osiągniętym, zaraz zobaczymy.

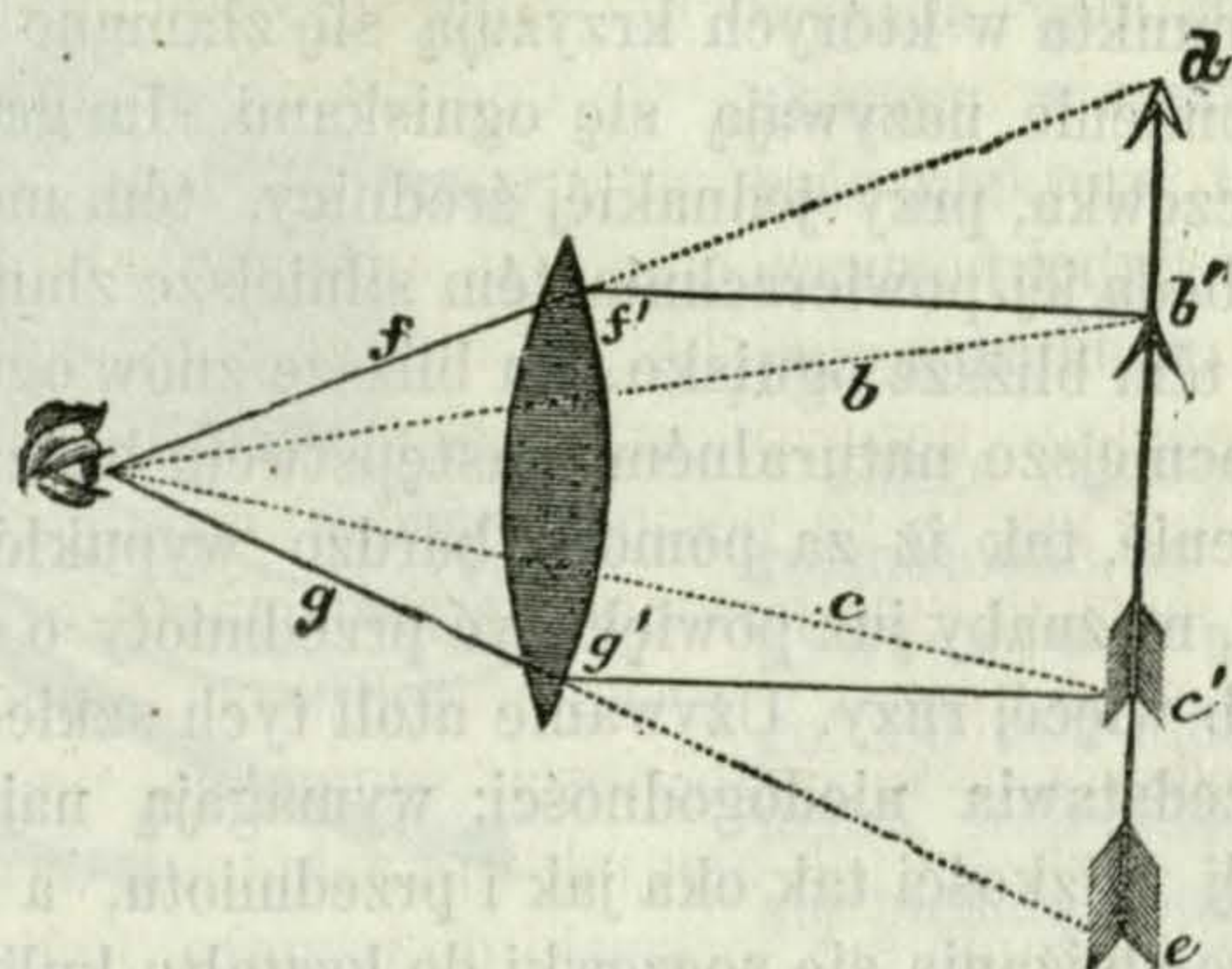
Czy zastanawiałeś się kiedy nad tem, czytelniku, dlaczego patrzącemu na długi rząd drzew albo domów najbliższy z tych przedmiotów wydaje się największym, dalsze zaś coraz drobniejszymi? Dzieje się to w sposób następujący. Najbliżej stojące drzewo oko nasze wymierza w całej jego wysokości i otrymuje przez to dokładny jego obraz; im wyższe drzewo, tem prostopadlejsza jest linia idąca od oka do jego wierzchołka i tem rozwartszym staje się kąt który ta linia tworzy z drugą, idącą od oka ku spodowi drzewa. Kąt ten nazywa się *kątem widzenia*. Przypuśćmy teraz że drzewo następujące, tej samej co pierwsze wysokości, stoi w takim oddaleniu, że oko nasze dla ujrzenia jego wierzchołka podnieść się potrzebuje tylko do połowy wysokości poprzedniej, czyli że linia poprowadzona od oka ku jego szczytowi przeryna mniej więcej w środku drzewo stojące na przodzie: wtedy kąt widzenia zmniejszy się podo-

bnież o połowę i zdawać się będzie jakby to drugie drzewo, postawione tuż obok pierwszego, sięgało tylko do jego środka, a więc jakby od niego dwa razy było mniejszém. Łatwo teraz pojąć że z rosnącą odległością, maląc musi kąt widzenia, a tém samym i pozorna wielkość przedmiotów, aż wreszcie ustaje zdolność wyraźnego rozpoznawania. Wychodzi tu na jedno, jak wspominaliśmy już wyżej, czy przedmiot sam z siebie jest zbyt drobny, czy też zmniejszenie się jego wynikało z oddalenia; w obu wypadkach jedynym środkiem zaradczym jest powiększenie kąta widzenia przez *sztuczne złamanie światła*.

Rzeczywiście działalność tak naturalnych jak sztucznych narzędzi widzenia polega głównie na łamaniu się światła. Promienie jego posiadają zdolność przenikania powietrza, wody i niektórych ciał stałych, zwanych z tego powodu przezroczystymi. W każdym ciele jednorodnym bieg promieni tworzy linią prostą; lecz skoro przejdą z ciała np. rzadszego do gęstszego lub naodwrot, wtedy kierunek linii natychmiast się zmienia, tworząc z pierwszą kąt mniej więcej znaczny. Jeżeli przejście z jednego ciała do drugiego nie odbywa się nagle, lecz stopniowo, jak np. gdy promienie słoneczne z rzadszych warstw powietrznicy przenikają do gęstszych, wtedy kierunek światła nie załamuje się, lecz zakrzywia powoli. Z tego to powodu widzimy wschodzące słońce, zanim ono wynurzy się rzeczywiście nad widokrąg, a zachodzące, gdy już zapadnie za skraj widokręgu; powietrzniacy bowiem załamuje i zwraca ku nam promienie, które przeszłyby wysoko ponad naszymi głowami, gdybyśmy żyli w próżni.

Na teorii łamania się światła i jego odbijania polega większa część sztucznych przyrządów i zjawisk naturalnych, jak np. że zanurzony w wodę kij wydaje się złamanym, że strumień przejrzysty zdaje się być nierównie płytszym niż jest rzeczywiście, że pieniądz położony na dnie naczynia wypływa pozornie w górę, skoro dolejemy wody i t. p. Jakkolwiek wszakże łamanie się światła jest zjawiskiem bardzo powszedniem, to przecież siła jego bywa rozmaita, w miarę natury i kształtu ciał łamiących. Dobra szyba w oknie pokazuje nam przedmioty znajdujące się zewnątrz takimi jak są rzeczywiście, jeśli wprost przez nią patrzymy; lecz skoro spojrzymy w kierunku ukośnym, załamanie się światła sprawia małoznaczne usunięcie się przedmiotów, bez powiększenia ich atoli lub zmniejszenia. Bieg promieni w tym razie przyrównaćby można do drogi człowieka idącego po jednej stronie ulicy, przechodzącego potem ukośnie na drugą i postę-

pującego nią dalej. Nierównie znaczniejszém jednak ujrzymy załamanie, jeśli powierzchnie ciała łamiącego, przez które światło z jednej strony wpada, a z drugiej wychodzi, stać będą względem siebie w kierunku nierównoległym, gdyż wtedy nastąpi wyraźne już skrzywienie. Widzimy to na pryzmacie, gdzie łamanie się promieni światła jest tak silne, że zostają nawet rozdzielone na kilka snopów różnokolorowych. Przecięciem pryzmatu jest trójkąt; jeżeli teraz wystawimy sobie dwa boki tego trójkąta nie proste, lecz zakrzywione, schodzące się nakształt łuku gotyckiego, otrzymamy przecięcie wypukłej soczewki, której rola w rozbieranym przez nas przedmiocie tyle jest ważną.



Powiększenie kąta widzenia za pomocą wypukłej soczewki.

Zamieszczony powyżej rysunek objaśni nam jakim sposobem odbywa się powiększanie przedmiotów i pozorne zbliżanie ich do naszego oka. Wyobraźmy sobie najprzód że oko, bez pośrednictwa soczewki, patrzy na mniejszą strzałkę $b'c$ w kierunku oznaczonym przez linie b, c , wtedy ciało to ujrzymy w wielkości jego naturalnej. Wsuńmy teraz soczewkę, a postać rzeczy zupełnie się zmieni; wprowadzie ze środkowej części strzałki padać jeszcze będzie snop promieni przez sam środek soczewki prosto na oko patrzącego, lecz promienie idące z punktów jej dalszych padną na skrajne części soczewki, aż do f' z jednej i g' z drugiej strony, doznają tam złamania odpowiedniego krzywiznie szkła i zostaną tak skierowane, że skrzyżują się wszystkie w pewnym punkcie po za soczewką. Jeżeli w tym punkcie, który nazywamy *ogniskiem*, umieszczone będzie oko, wtedy ujrzy ono strzałkę powiększoną, sięgającą pozornie od d aż do e ; odbierze bowiem wrażenie pod większym kątem widzenia, a nie mogąc rozróżnić że promienie są złamane, otrzyma obraz zupełnie taki sam, jak gdyby one wy-

chodzący wprost z punktów d e , czego znów naturalnym następstwem musi być pozorne powiększenie i zbliżenie przedmiotu. Gdybyśmy wyjęli soczewkę i w miejscu jej osadzili strzałkę, wrażenie byłoby podobne, gdyż wtedy zamiast kąta widzenia bc , powstałby kąt większy $f'g$.

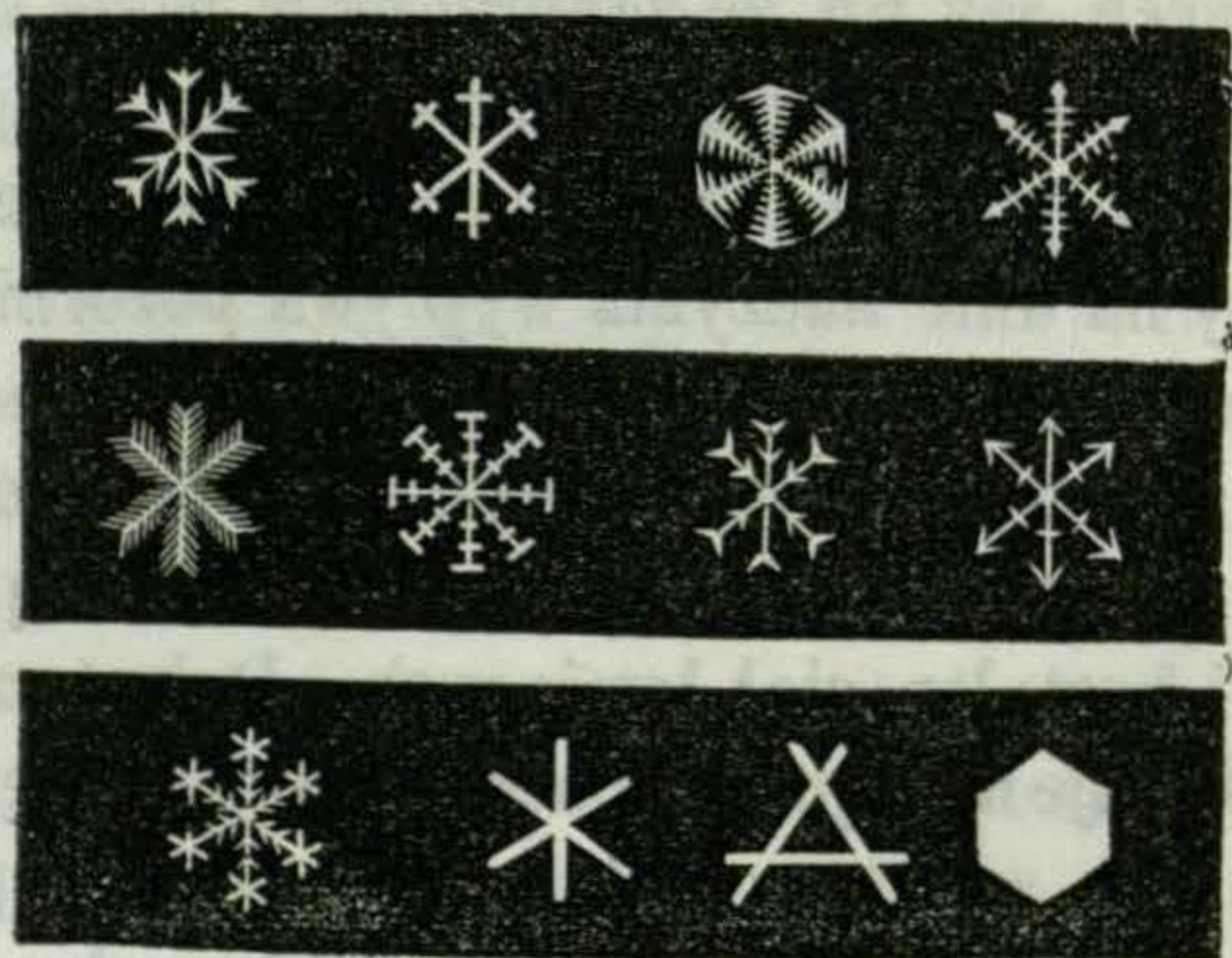
Przypuśćmy teraz że przez soczewkę padają nie promienie odbite, lecz wprost słoneczne. Droga tych ostatnich będzie zupełnie ta sama; ale ponieważ światło słoneczne połączone jest z ciepłem, przeto w punkcie skoncentrowania się jego powstałoby gorąco, które przy miernej już wielkości soczewek spowodowałoby mogło zapalenie. Dlatego wszystkie soczewki wypukłe są zarazem szklami palącymi, i z tej też przyczyny punkta w których krzyżują się złamane przez nie promienie nazywają się ogniskami. Im grubsza jest soczewka, przy jednakiem średnicy, tem mocniej zgięte będą jej powierzchnie, tem silniejsze złamanie, a więc tem bliższe ognisko. Im bliższe znów ognisko, tem mocniejsze naturalnym następstwem będzie powiększenie, tak iż za pomocą bardzo wypukłej soczewki, możnaby już powiększyć przedmioty o dwieście lub więcej razy. Używanie atoli tych szkieł liczne przedstawia niedogodności: wymagają najprzód wielkiej bliskości tak oka jak i przedmiotu, a nadto w miarę zbliżania się soczewki do kształtu kulistego, krąg wzrokowy, to jest widzialna część przedmiotu, staje się coraz mniejszym, niewyraźność zaś wynikająca z rozproszenia się barw promieni coraz większą.

Niedogodności te zdołano w znacznej części usunąć, a przynajmniej zmniejszyć, przez osadzenie według zasad naukowych kilku soczewek w jednym cylindrze. Przyrząd taki nazywa się mikroskopem i za pomocą niego powiększyć można przedmioty 2—3000 razy. Mikroskopy bywają rozmaitej budowy; we wszystkich jednak znajdują się trzy osadzone jedna nad drugą soczewki, z ogniskami różnej długości, z których najwyżej umieszczona nazywa się szkłem *ocznem*, najniższa zaś szkłem *przedmiotowem*, ponieważ zaraz pod nią znajduje się przedmiot oglądany. Wszystkie te soczewki wyrabiają się ze szkła białego, zwanego *krouglas*. Promienie światła, przechodząc przez dolną soczewkę, padają na szkło środkowe i tworzą za niem znacznie już powiększony, lecz z powodu ich krzyżowania się odwrotny obraz przedmiotu, który znów widziany przez szkło oczne, większe jeszcze dla patrzącego przybiera rozmiary. Siła powiększania mikroskopu zależy głównie od szkła górnego i dolnego, i jest iloczynem wypadłym z pomnożenia ich sił powiększających. Jeżeli np. szkło oczne powiększa 30, przedmiotowe zaś

20 razy, to połączone ich działanie powiększy przedmiot 600 razy.

Dawniejsze mikroskopy miały tę niedogodność, że z powodu znacznej wypukłości ich soczewek przedmioty pokazywały się w barwach tęczy, jak przez pryzmat. Prawdziwie więc użytecznym zrobiono to narzędzie dopiero przez wprowadzenie szkieł przedmiotowych *achromatycznych*, to znaczy pozbawionych własności ubarwiania. W tym celu tuż nad soczewką dolną umieszczono jedno jeszcze ciało szklane, tak zwany *flintglas*, czyli szkło zielone. Ciało to ze strony dolnej jest wklęsłe, tak iż soczewka konglasowa wypukłością swą dokładnie w nie wpada, z górnej zaś gładkie. Soczewki środkowa i wierzchnia robią się teraz także z jednej strony płaskie, z drugiej wypukłe, przekonano się bowiem że taki ich kształt zapewnia większą wyrazistość obrazu. Koniecznym jednak jest tu warunek, żeby powierzchnia wypukła zwróconą była ku dołowi.

Po wstępnych tych objaśnieniach przejdźmy do obejrzenia cudów jakie dobrze urządzone mikroskopy nam przedstawia. Jak starszy brat jego, teleskop, roztwiera przed nami świat nieskończonej wielkości, tak mikroskop obznajmia nas ze światem nieskończone małym. Mnóstwo rzeczy, które znaliśmy oddawna, nabierają pod nim pozorów zupełnie odmiennego; inne, których nie widzieliśmy wcale lub uważali za pyłki mało znaczące, dźwigają się z nicości przed zdumionym naszym wzrokiem. A wszędzie, wszędzie objawia się piękność, wykończoność i rozmaitość kształtów, godna najwyższego uwielbienia, zarówno w świecie organicznym, jak w nieorganicznym. Któżby np. z profanów odgadł, że zamieszczono



Kryształki śnieżne.

ne tu w rysunku figury są kryształkami zwykłego śniegu, które tak często widzimy kołyszące się w powietrzu lub spadające? Któż zdoła powiedzieć dla-

czego delikatne ich pręciki układają się coraz inaczej, a zawsze symetrycznie i w pięknym ugrupowaniu?— Czy pomyślał kto kiedy, schwyciwszy ręką motyla i widząc potem swe palce lekko ubarwione, czém jest ten pyłek delikatny, starty ze skrzydeł owadu? Otóż pod mikroskopem ujrzymy go w postaci piór różnobarwnych, w których wyraźnie odróżnić można chorągiewki i rurki. Piórka te ułożone są warstwami, zachodząc jedne na drugie nakształt dachówek, a liczba ich tak jest ogromna, że Lichtenberg na jednym calu kwadratowym naliczył 100,736.

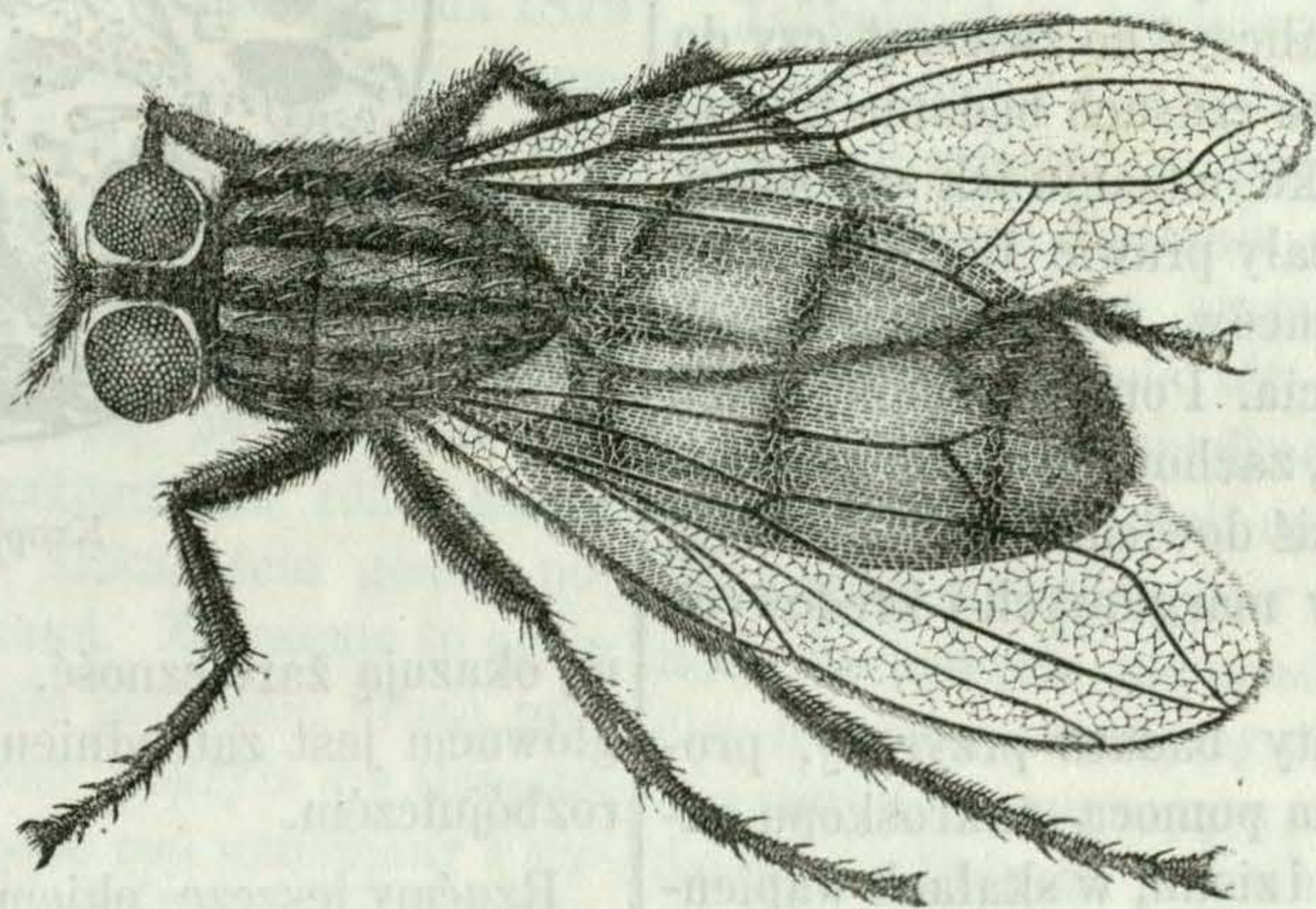
Jak wspaniale wygląda tu obok dobra nasza znajoma, mucha pokojowa, w miernym tylko powiększeniu! Jeżeli oko jój poddamy działaniu silniejszego mikroskopu, otrzymamy widok szczególny powierzchni okrągłej, zasianej tysiącami sześciobocznych wielokątów, jak to przedstawia, acz niedokładnie, załączony rysunek. Długo było rzeczą wątpliwą, czy oko tak urządzone służyć może do widzenia; lecz mikroskop i na to pytanie zadowolającą udzielił odpowiedź. Wielokąty te są szczytami zwróconych na wewnątrz rurek, z których każda zawiera w sobie nieskończenie drobną soczewkę wklęsłą. Każda więc z tych rurek jest oddzielnym okiem, jakkolwiek niedoskonałym, bo widzieć może tylko punkt znajdujący się na linii jego przedłużenia. Lecz czego nie dojrzy jedno oko, to zobaczy drugie, i tym sposobem mucha może mieć jakie takie wyobrażenie świata zewnętrznego, chociażby w kształcie mozaiki złożonej z samych kawałków.

Ktoby mniemał że dzieła ludzkie mogą być wykonane równie delikatnie i misternie jak oko muchy lub inne twory przyrodzone, ten niech położy pod mikroskopem np. najdokładniej wykończoną igłę angielską. Jakże ona wtedy wyda się grubo i niekształtnie obrobioną, jak jój powierzchnia będzie nierówną, a koniec, na pozór tak subtelny, o ile podobniejszym będzie do klina, jak do ostrza! Najstaranniej wyostrzona brzytwa wyglądać będzie jak piła ząbkowana, kunsztowna koronka brabancka jak bezładna płatanina lin okrętowych; podczas gdy tkanka pajęczka przed-

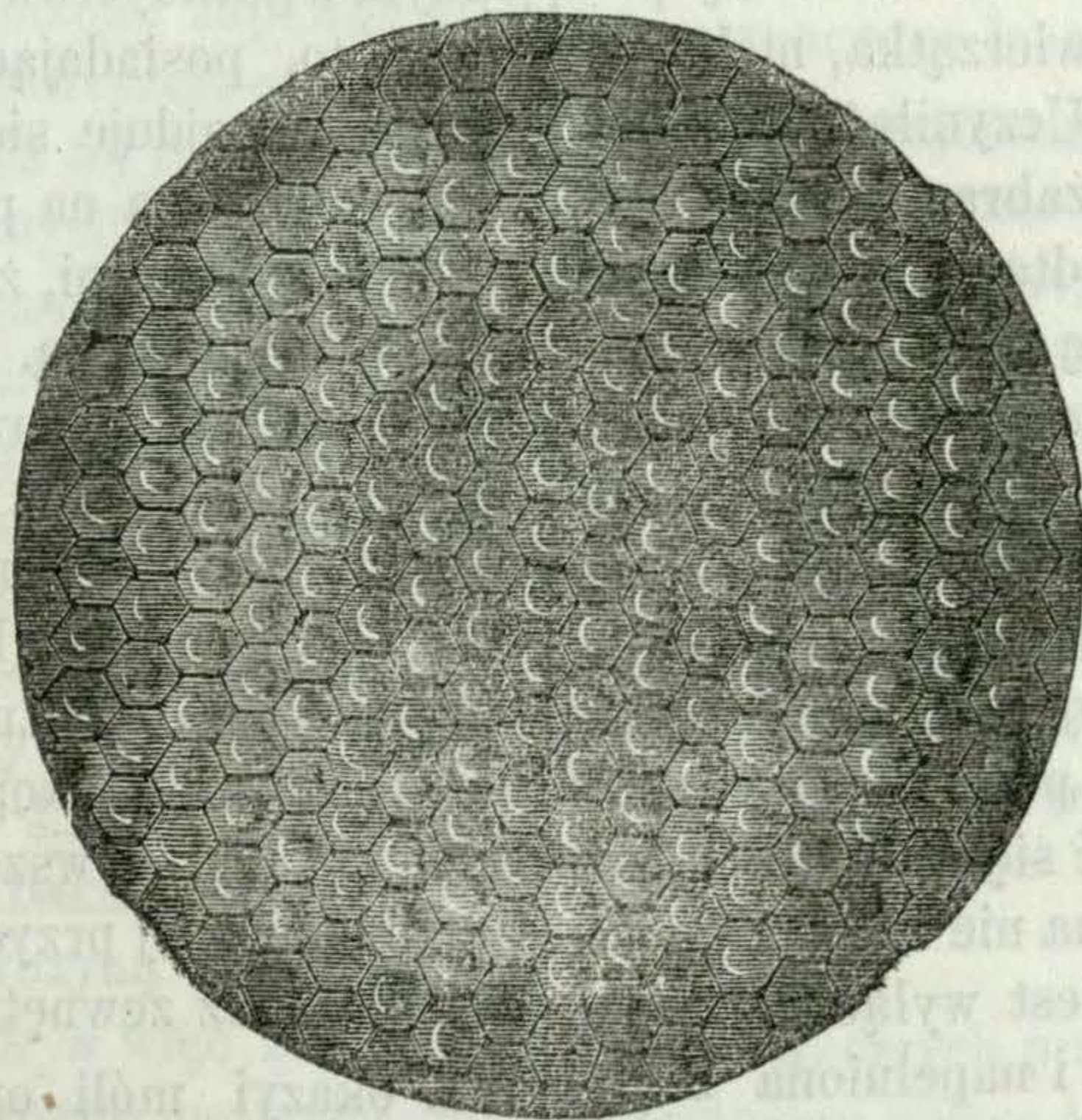
stawi się najdelikatniej osnutą i symetrycznie uporządkowaną. Lecz wypada nam z mikroskopem w rękę obejrzeć niektóre inne jeszcze płody świata przyrodzonego.

Jakże zajmujące i urozmaicone są twory królestwa roślinnego! Co oku nieuzbrojonego wstrętną wydaje się pleśnią, pod mikroskopem zamienia się w las nierównie składniejszy i bogatszy w kształty, jak nasze lasy iglaste lub liściowe. Też samą doskonałość form i urządzeń ujrzymy i w budowie roślin wyższego rzędu. Jakaż tu kunsztowność i delikatność komórek, tkanek, włókien i rozgałęzień naczyniowych, w liściach, łodygach i kwiatach! Lecz rozstać się nam potrzeba z królestwem roślinnym, bo mamy jeszcze przed sobą ważny i ogromny dział wymoczków.

Zwracamy się najprzód do świata zwierząt najdrobniejszych, do których badania mikroskop jedynym jest kluczem. Lecz gdzie jest kraniec świata roślinnego, a gdzie zaczyna się zwierzęcy? Na zapytanie



Mucha pokojowa.



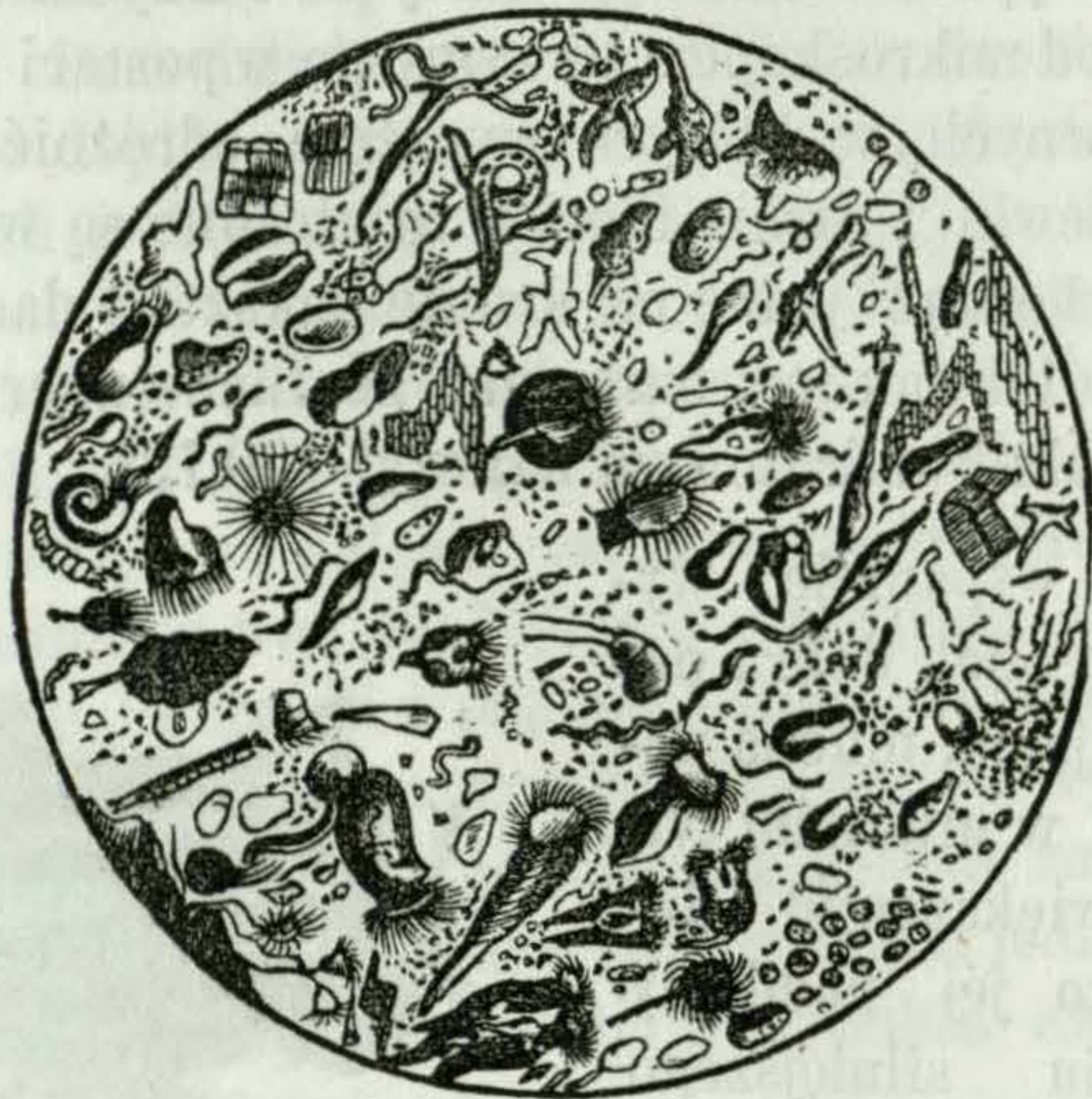
Oko muchy.

to w obrębie istot mikroskopijnych odpowiedź jest niełatwą. Oto np. mamy zagadkową gromadę *diatomeów*, żyjątek nieskończenie drobnych, które wtedy dopiero dostrzedz można gołym okiem, gdy ich się zbierze razem kilka millionów. Składają się one z powłok kamienistych, napełnionych gęstą cieczą, a bajecznie szybkie ich rozmnażanie się odbywa się w sposób bardzo prosty, gdyż wyrastają jedne z drugich. Żyją w wodzie lub ziemi wilgotnej, lecz trudno powiedzieć z czego się utrzymują, nie przedstawiają bowiem ani śladu organów służących do przyjmowania pokarmu i trawienia. Długo też toczył się spór między uczonymi, czy je zaliczyć do zwierząt, czy do roślin, i w nowszych dopiero czasach badania Ehrenberga przechyliły opinią ku uznaniu ich za rośliny. Ehrenberg dostrzegł, że cały prawie Berlin stoi na gruncie złożonym z diatomeów, które w warstwach wyższych okazują ślady życia. Ponieważ pancerz ich kamienny nie ulega gniciu, zachowują się przeto niekniętymi przez wieki, i dziś dowiedziona jest rzeczą, że większa część pokładów marglowych i kredowych składa się z tych żyjątek.

Gdy tenże sam znakomity badacz przyrody, profesor Ehrenberg, który za pomocą mikroskopu odkrył świat nowy w wodzie i ziemi, w skałach wapiennych i kredowych, w głazach i powietrzu, podczas podróży swój do Egiptu pokazał jakiemuś dostojnikowi tureckiemu, że w kropli wody umieszczonej pod mikroskopem liczne uwijają się zwierzątka, mahometanin zawołał z gwałtownością: „Uczyniłeś mnie bardzo nieszczęśliwym, bo religia zabrania nam pożywać żyjące istoty. Jeżeli więc odtąd nie będzie mi wolno pić wody, to czémże ugaszę pragnienie?” Znalazł się jednak sposób i na to, gdyż słynny badacz przekonał Turka, że za dolaniem do wody nieco rumu, wymoczki natychmiast martwe opadają na dno.

Nie należy wszakże mniemać że każda kropla wody zaludniona jest podobnemi żyjątkami. W wodzie przechowywanej po cysternach, pod skwarnym niebem Egiptu, mogą one znajdować się w obfitości; lecz nasza woda zdrojowa i studzienna nie zna tych gości niemiłych. Zbiorowiskiem ich jest wyłącznie woda stojąca, ogrzewana przez słońce i napełniona cząstkami organicznemi. Jeżeli kroplę takiej wody umieścimy pod mikroskopem, wtedy ujrzyć możemy coś podobnego jak na obocznym drzeworycie. Niewszystko atoli w tym roju uważać trzeba za zwierzęta; mnóstwo bowiem ciałek wąsatych, okrągłych i podłużnych, jakie widzimy na rycinie, jest pochodzenia roślinnego. Poddawszy tajemnicze te mieszkańce

wody znaczniejszemu jeszcze powiększeniu, ujrzymy je w kształtach najrozmaitszych i niezmiernie fantastycznych. Niektóre z nich opatrzone są w pazury i nogi chwytny, a wszystkie w ogólności nadzwyczaj-



Kropla wody.

ną okazują żarłoczność. Pochłanianie się wzajemne głównym jest zatrudnieniem w tym małym państwie rozbójniczym.

Rzućmy jeszcze okiem na niektóre gatunki móli czyli kleszczów. Najznajomszy z nich, mól serowy, dostrzegalny gołym nawet okiem, jest jak wiadomo jednym z paradyerów mikroskopu słonecznego. Zwierzętko to, posiadające w młodości sześć, w starości ośm nóg, znajduje się krociami w starym serze, który powoli stacza na proch, i zwolennicy tego specyaku mogą być pewni, że z każdym kąskiem tysiące takich móli połykają. Pokrewny serowemu jest tak zwany kleszcz świerzbowy, który wpija się w skórę ludzką, składając w niej swoje jaja. Sprawione przez to drażnienie wywołuje pryszcze i staje się powodem świerzby, której szybkie szerzenie się tłumaczy nam nadzwyczajna mnożność owych kleszczów. Przed wynalazkiem mikroskopu uprzykrzona ta choroba opierała się nieraz wszelkim środkom lekarskim; dziś, po zbadaniu jej przyczyny, usunąć ją można w kilku dniach przez zewnętrzne nacierania.

Z okazji móli opuściliśmy świat mikroskopijny wodny i przeszliśmy do zwierzątek istniejących po za jego obrębem. Powróćmy więc raz jeszcze do wymoczków, ażeby dowiedzieć się od czego poszła ich nazwa. Słynny Leuwenhoek odkrył pierwszy, że po nalaniu wody na pieprz tłuczony, w roztworze pokazywały się żyjątki. To samo doświadczenie powtórzono później na cząstkach roślinnych, mięsie, krwi i t. p.

a powstała z téj przyczyny nazwa wymoczków czyli zwierzątek nalewowych, przeszła później na wszystkie istoty mikroskopijne, chociaż niekoniecznie dostrzegane po nalaniu cieczy.

Nagle zjawianie się mniemanych plam krwawych na różnych potrawach, chlebie, hostyach i t. p., niejednokrotnie przedmiot zabobonnej trwogi, zostało również wyjaśnionem za pomocą mikroskopu. Przytoczymy tu jedno z podobnych zdarzeń słowami Ehrenberga. Na misce napełnionej polentą (gęstą papką z mąki kukurydzowej), którą w domu wieśniaka Pittarello w Legnano pod Padwą dnia 2 sierpnia 1819 roku schowano do stołu kuchennego, pokazały się nazajutrz czerwone plamy, podobne do kropel krwi. Wyrzucono zepsutą potrawę, lecz w parę dni podobne na innych spostrzeżono plamy. Sprowadzono księdza miejscowego, który domostwo poświęcił; ale bezskutecznie, bo złe coraz bardziej się powiększało. Nie pomogły posty, modlitwy i zażegnania: różne potrawy, a szczególnie chleb, w kilkanaście godzin powlekały się krwawymi znakami. Zdarzenie to ogromnego w całej okolicy narobiło popłochu; droga prowadząca z Padwy do Legnano pokryła się tłumami ciekawych, spieszących oglądać cud mniemany i wyprowadzających z niego najokropniejsze wróżby. Nieoświecona zgraja utrzymywała że to jest kara Boża na Pittarella, za przetrzymanie zboża w czasie drożyny r. 1817, z którego sporządzono zapewne mąkę do owych potraw i chlebów. Nareszcie władza policyjna wydelegowała dla zbadania téj rzeczy i złożenia raportu pana Sette, który domyślił się od razu że powodem zjawiska mogą być monady. Gdy jednak proboszcz parafii Legnano, zamiast zbijać zabobon, dawał mu owszem otuchę, pan Sette postanowił rozmnożyć owe żyjątka w mieszkaniu samego księdza. Po kilku próbach udało się to przewybornie, i tym sposobem zwalczono powszechne mniemanie, jakoby dom Pittarella naznaczony był palcem Bożym za jakąś zbrodnią niewiadomą. Roku 1848 Ehrenberg zbadał podobne zjawisko w Berlinie i przekonał się że monady będące jego przyczyną nie przenoszą średniej długości $\frac{1}{5000}$ linii, a więc że na zapelnienie jednego cala kwadratowego potrzeba ich 29,160,000,000. Monady poruszają się żywo za pomocą małej trąbki, lecz będąc prawie bezbarwne, w milionowem tylko skupieniu zafarbować mogą na czerwono.

Większe jeszcze cuda rozkrywa mikroskop w pokładach wapiennych i kredowych. Skały kredowe wyspy, Rugii na morzu bałtyckim zostały wyłącznie

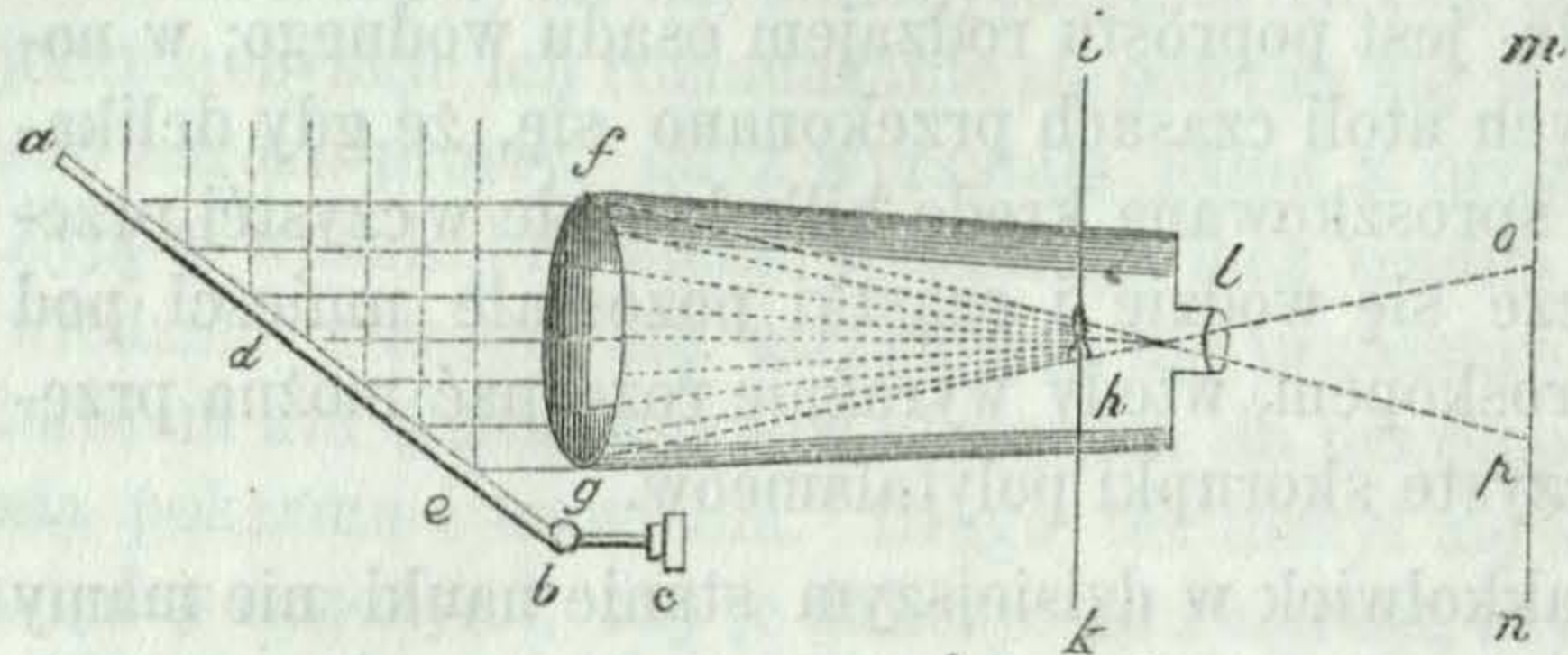
utworzone przez wymoczki *Polytalamee*, a potężne skały wapienne, rozciągające się w przestrzeni stu mil między rzekami Missouri i Oregon wzdłuż Nowej Kalifornii, składają się w większej połowie z nieskończone drobnych skorupiaków. Dawniej mniemano iż kreda jest poprostu rodzajem osadu wodnego; w nowszych atoli czasach przekonano się, że gdy delikatnie sproszkowaną kredę kilkakrotnie w czystej przepłucze się wodzie i cząstki pozostałe umieści pod mikroskopem, wtedy wyraźnie rozeznąć można przezroczyste skorupki polytalameów.

Jakkolwiek w dzisiejszym stanie nauki nie mamy powodu uważać i powietrza za miejsce pobytu niewidzialnych żyjątek, to przecież unoszące się w niem pyłki, poddane działaniu silnego mikroskopu, pokazują nam mnóstwo szczątków roślinnych i organicznych, a mianowicie téż ciała wymoczków, które w pojedynczych wypadkach mogą być nawet do życia przywrócone. Jeżeli np. po kilkotygodniowej suszy weźmiemy pod rozbiór pył nagromadzony po rynnach dachowych, nie spostrzeżemy w nim śladu życia; lecz skoro zwilżymy go wodą, to w kilka minut ujrzemy nabrzmiewające ciała, dotychczas niewidzialne, w których pod silnie powiększającym narzędziem rozróżnić można organy wewnętrzne, mięsaki, kanał odchodowy, oczy a nawet zęby. Co więcej, ciała te wkrótce zaczną się poruszać i wciągać wodę w przeznaczony ku temu pęcherz.

Jednym z najbardziej zadziwiających zjawisk na morzu jest fosforyczne jego światło w porze nocnej. Cała masa wody, nie tylko na powierzchni, lecz do znacznej nieraz głębokości, wygląda wtedy jak roztopione żelazo. Otóż mikroskop wyjaśnił że światło to, jeśli rozpściera się jedynie po powierzchni, jest skutkiem gnicia nieskończonej ilości żyjątek morskich; jeżeli zaś sięga głębiej, powodem jego są niewidzialne zwierzątka z rodzaju mięczaków, podobnież w niezliczonej mnogości rojące się w toniach oceanu.

Na tych samych prawach optycznych co mikroskopu zwyczajnego, polega także urządzenie mikroskopu *słonecznego* czyli *wodorodnego*, znanego niektórym z naszych czytelników z przedstawień dawanych w Warszawie przed laty około dziesięciu. Skład mikroskopów tych jest następujący. Na powierzchnię zwierciadła *a b* padają promienie słoneczne *d e*, i po nastawieniu zwierciadła w sposób właściwy za pomocą kolanek *b c*, zostają skierowane na soczewkę *f g*,

która je koncentruje. Narząd ten ma na celu wzmocnienie światła słonecznego, którego zwykła siła nie byłaby tu dostateczną, a raczej rzucenie większej masy promieni na przedmiot oświetlany. Ciało ba-



Urządzenie mikroskopu słonecznego.

dane *h* przytwierdza się na tabliczce czystego szkła i wstawia ile możności blisko ogniska soczewki, ale nie w samym ognisku, gdyż tam przez zbyt silne gorąco zostałoby zniszczonem. Jeżeli teraz z drugiej strony ogniska umieścimy mniejszą soczewkę *l*, to przez nią na tło białej ściany *mn* padnie obraz *op*, który przez oddalenie narządu od ściany może być dowolnie powiększonym. Że jednak przy podobnych obserwacjach niebo powinno być bez chmurki, co w naszych szerokościach nie zdarza się zbyt często, zastosowano więc do mikroskopu słonecznego wynalezioną przez Drummond'a światło sztuczne, którego siła jest tak wielka, że płomień świec woskowych cień przy niem rzuca. Światło to otrzymuje się za pomocą kawałka wapna, rozpalonego przez strumień gazu (jednej części kwasorodu i dwóch wodorodu).

Mikroskopy słoneczne tę szczególnie przedstwiają korzyść, że jednocześnie znacznej liczbie widzów dają sposobność obeznawania się z cudami przyrody; posługi wszakże dobrego mikroskopu ręcznego zastąpić, a tém bardziej przewyższyć, nigdy nie zdołają, zbyt silne bowiem powiększanie odbywa się ze szkodą wyrazistości obrazu. Z tego też powodu w odręcznych nawet badaniach najdogodniejsze są mikroskopy średnie. Zawsze atoli dobrze urządzony mikroskop słoneczny wiele przynieść może pożytku, przedstawiając najdrobniejsze przedmioty, jak mszyce, włosy, wymoczki i t. p., w postaci prawdziwie olbrzymiej. Szczególniej zasługują tu na uwagę kryształki różnych metali i roztworów solnych, które przed oczami widzów przybierają kształty zdumiewającej regularności i piękności.

Doprowadzenie mikroskopu do obecnego stanu doskonałości po większej części jest dziełem now-

szych czasów. Starożytni nie znali go i znać nie mogli, bo zbywało im na potrzebnych ku temu wiadomościach optycznych. Filozofowie greccy mniemali że samo oko jest źródłem światła, roztaczając promienie, któremi maca niejako przedmioty. Jednakże i starożytni posiadali niektóre narzędzia optyczne; wiadomo że używali zwierciadeł palących z polerowanego metalu, lawy i szkła, a mieć musieli i coś podobnego do lupy, niektóre bowiem zabytki rzeźby starogreckiej tak delikatnie są wykończone, że trudno przypuścić ażeby bez pomocy narzędzi powiększających zostały wyciosane. Znaną była już wtedy siła powiększająca i zapalna kul szklanych napełnionych wodą lub wyrobionych z kryształu górnego; ostatnie stanowiły nawet u Rzymian artykuł handlowy. Pliniusz wspomina także niewyraźnie o smaragdach szlifowanych dla zaostrenia wzroku; niewiadomo jednak czy były to rzeczywiście soczewki optyczne. Daleko później dopiero znajdujemy u Arabów powiększające odcinki kul, a więc niewątpliwe soczewki. Z tém wszystkiem długo jeszcze potraowało, zanim zdobyto się na wynalazek okularów, o których pierwszą wzmiankę napotykaemy w XIII stuleciu we Włoszech. Fabrykacja okularów w wiekach średnich była dość ważną gałęzią przemysłu, a jednak zaledwo po kilkuset latach wpadnięto na myśl osadzenia trzech szkieł w jednym cylindrze i otrzymania tym sposobem skutku nierównie silniejszego.

Wynalazek mikroskopu przypada w wieku XVII, lecz wynalazca nie jest z pewnością wiadomym: Holandia i Włochy spierają się dotąd o zaszczyt pierwszeństwa pod tym względem. Jedni wynalazek ten przypisują Zacharyaszowi Jansen z Middelburga, inni Hollendrowi Korneliuszowi Drebbel, inni jeszcze Włochowi Franciszkowi Fontana. Pierwsze wszakże mikroskopy były narzędziami bardzo niedokładnymi, w których szczególnie uniknąć nie umiano barw tęczy, nawet wtedy, gdy słynny fizyk i matematyk Euler złożył już teleskop achromatyczny. Dollond, lubo doskonale wyrabiał teleskopy, nie zdołał także nadać mikroskopom tej samej cechy wykończenia. Za naszych dopiero czasów usunięto wszystkie przeszkody i zaczęto sporządzać mikroskopy, które pod wszelkimi względami nie prawie nie zostawiają do życzenia. Najdoskonalsze dziś wyroby w tym rodzaju wychodzą z pracowni znakomitych artystów jak: Fraunhofer w Monachium, Plössl w Wiedniu, Oberhäuser i Chevalier w Paryżu, Pritchard w Anglii i Amici we Włoszech. Dobry mikroskop, oprócz osadzonej w rurze soczewki, powinien mieć kilka socze-

wiek zapasowych, dla stopniowania powiększeń; nadto szkło przedmiotowe powinno być odpowiedniej wielkości, a zwierciadełko do odbijania światła zupełnie czyste, najlepiej metalowe.

Użycie tego narzędzia wymaga pewnej wprawy, jeżeli, obok przyjemności, istotny przynieść ma pożytek. Potrzeba niejako uczyć się dopiero patrzeć przez mikroskop, bo widok jaki pod nim się przedstawia bywa nieraz tak nadzwyczajny, że początkujący radzić sobie z nim nie potrafi. Przygotowanie przedmiotów wielkiej także wymaga wprawy i zręczności. Wszystko to, w połączeniu z wysoką ceną dobrych instrumentów, stało się bez wątpienia powodem, że przepowiednia Newtona, który wyrzekł iż mikroskop kiedyś znajdować się będzie w ręku każdego ukształconego człowieka, dotychczas oczekuje ziszczenia. W najnowszych jednak czasach ważne na tej drodze poczyniono kroki, gdyż z jednej strony cena mikroskopów znacznie spada, a z drugiej znaczenie ich naukowe i ogromne usługi jakie wyświadczają w dzie-

żynie techniki i przemysłu w coraz liczniejszych kołach zjednywają sobie uznanie.

Mikroskop jest nietylko dzielną bronią zaczepną na polu zdobyczy naukowych, lecz zarazem skutecznym bardzo orężem odpornym. Szerzące się coraz więcej fałszerstwa w towarach i artykułach żywności mogą być odkryte, a w następstwie usunięte, tylko za pomocą tego narzędzia. Choroby zboża, kartofli i winogron, cholera i tym podobne klęski jedynie przez umiejętne użycie mikroskopu pokonać z czasem się dadzą. Wyżej jednak nad to wszystko stawiamy plon duchowy, jaki każdy myślący człowiek odnosić musi z badań tego rodzaju, które świat nieskończenie drobny przedstawiają mu równie cudownym i godnym najwyższego uwielbienia, jak uderzające jego zmysły samym swym ogromem bezgraniczne przestwory morza, nieba i wszechświata, z tysiącami słońc i planet odbywających w nim odwieczne swe obroty.

JAN STANISŁAW JABŁONOWSKI

WOJEWODA RUSKI I JEGO DZIEŁKO: „SKRUPUŁ BEZ SKRUPUŁU.”

Dziełko które pod tytułem: „Skrupuł bez skrupułu w Polsce” wydała świeżo w swoim zbiorze Biblioteka polska wychodząca w Krakowie, jest dziełkiem małym ale nadzwyczaj interesującym. Niewiele tam stronnic, ale wiele, bardzo wiele treści, która historykom badającym dzieje ostatnich lat bytu politycznego rplitej, a między niemi czasy saskie, dostarcza materiału znakomitej wartości. Warto tedy mówić o tej książeczce i o autorze. Autor, jak tysiące innych wojewodów i kasztelanów, byłby zniknął w tłumie i byłby może niedługo zapomniany, gdyby się nie przypomniał książeczką, w której scharakteryzował się i pokazał że miał serce wdzięczne dla ojczyzny.

Autorem tym był Jan Stanisław Jabłonowski, o którego życiu, ile że nikt się bliżej dotąd osobistością tą nie zajmował, damy kilka szczegółów; objaśni to i stanowisko autora, i cel dla którego pisał ów „skrupuł bez skrupułu.”

Pierwszym z Jabłonowskich który zaczął historią swojego domu, był Stanisław, hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, przyjaciel króla Jana i Maryi Kaźmiry. Hetman trzech miał synów. Jan Stanisław był z nich najstarszym; rodziła ich Maryanna Kazanowska, wojewodzianka braclawska, jedna z najpobożniejszych niewiast w Polsce, o której szeroko rozpisał się Niesiecki w swojej Koronie.

Młody Jabłonowski nauki pobierał u jezuitów najprzód we Lwowie, a potem w Pradze, dokąd udał się razem ze Stanisławem Rzewuskim, późniejszym także hetmanem. Woził potem od Jana III różne zlecenia do dworów europejskich, a najwięcej pracował z ministrami Ludwika XIV. Ztąd od najmłodszych lat pożywał miłość wielką dla Francji.

Polska nibyto była demokracją szlachecką, a przecież synowie nieletni wielkich domów lub senatorów, mających łaski na dworze, uprzedzali w godnościach

i wstarostwach biédniejszą, równie zacną, a daleko więcéj zasłużoną szlachtę. Prawo było wyraźne, a nawet stał zwyczaj narodowy po nad prawem, kiedyś bardzo silny; późniéj zaś, za ciągłym wzrostem niezrządu i rozkładu narodowego, zwyczaj i prawo poszły w zapomnienie, i Polska była dla panów co w niéj żyli, co ją darli na wszelki możebny sposób, bezbroną ofiarą zuchwałych zamysłów tych, co jéj konstytucyą psuli, co prywatę zawsze kładli nad interes ogólnego dobra, a częstokroć ojczyźnie grubą się jeszcze za to wszystko odpłacali niewdzięcznością. Hetman był jeszcze zacnym człowiekiem, a mimo to syn jego zaledwie miał lat 17, a już z wojewodzica ruskiego został chorążym w. kor. ¹⁾. Późniéj w lat kilka dwudziestotrzyletni został wojewodą wołyńskim. Nie ubliża się tutaj Jabłonowskiemu, ale czyż mogło być dobrze wrplitéj, skoro dzieci brały tak znakomite urzędy na mocy swego urodzenia i stosunków, kiedy starsi i dojrzałsi rozumem czekali lata całe i dosłużyć się nie mogli niczego na mocy swoich zasług? Bywały przykłady i młodych senatorów za dawniejszych czasów, ale w wyjątkowy sposób, za niezrządu zaś stało się to normą.

Na województwo nie przysięgł jeszcze młody Jabłonowski, kiedy król Jan umarł. Wiéć chciał przysięgać rplitéj na sejmie konwokacyjnym, ale posłowie nie dopuścili go do przysięgi, nie chcieli albowiem znośić prawa, na mocy którego senatorowie mieli na krzesło przysięgać przed królem; młodego zaś wojewody nie cierpieli, ²⁾ pewnie nie zaco innego, tylko za to, że na mocy urodzenia wziął wysokie krzesło. Oto widzimy skutek jaki płynie z tego kierunku sprawy publicznej. Gdyby senat był zbiorem osób znanych ojczyźnie ze zdolności i zasługi, ktoby się przeciwko niemu wystąpić odważył? A tutaj senatorowie osobistością swoją nie budzą wcale uszanowania, senat wyrabia się nazbiór osobistych przyjaciół pańskich, zaszczyconych mniej lub więcéj przychylnością królewską. Senat jest ważniejszym tylko zbiorem dworzan, nie zaś reprezentacją, nie siłą narodu. Ztąd w stanie rycerskim słuszna obawa, a z niéj chęć żeby uszczuplić powagę senatu. Tą razą przekomarzali się posłowie Jabłonowskiemu w tym a nie innym celu ³⁾. Syn, nowszego już pokroju, jak ojciec hetman, w tém bezkrólewiu chwycił się strony elektora saskiego. Hetman niechciał wprowadzić do Polski „germanizmu,” mówi Otwinowski,

lecz syn zachęcał ojca w tém, że się deklarował stać przy elektorze, „co potém fatalissime, dodaje tenże kronikarz, Pan Bóg oddał temu wojewodzie” ¹⁾. Syn wyprawił się daléj naprzeciw elektorowi do Szląska, pojechał w orszaku panów zapraszać go do korony. Z tego to czasu pochodzi jego „Oratio ad regem Poloniae Augustum II novissime electum, Cracoviae 1697.” Elektor, już wtedy król nowy, przeniósł go na województwo ruskie ²⁾.

Hetman koronny chciał zapobiedz rozruchowi na Litwie, wojewoda ruski miał téż samą myśl i czynnie krzątał się żeby Sapiehów pogodzić z Wiśniowieckimi ³⁾, a kiedy do wojny domowej już przychodziło, chciał hetman pomagać Sapiehom, nie zaś szlachcie, i wyprowadził wojska swoje w pole pod Krzemieniec. Wojskiem tém dowodził syn jego, wojewoda ruski. Stali tam kwarciani przez 12 tygodni, aż po żniwach wrócili na konsystencye. Hetman jednak posłał do Litwy kilkadziesiąt lekkich chorągwi ⁴⁾.

Drugiego kwietnia 1702 umarł hetman Jabłonowski; wojewoda ruski wziął po nim z łaski królewskiej starostwo czechryńskie ⁵⁾, ale mimo to pozostała o nim opinia u szlachty że Szwedom sprzyjał, do jakiego podejrzenia dały zapewne powód Jabłonowskich związki z Sapiehami. Kiedy król skupił do siebie szlachtę pod Gurczycami, Lipski wojewoda kaliski rozsiekany był. „Toż miało spotkać i Stanisława Jabłonowskiego i ledwie uszedł” ⁶⁾.

Że te obawy szlachty nie były płonne, skutek pokazał. Król niebył tak Jabłonowskiemu wdzięczny, jak tego chciał wojewoda, prześladował go. Wreszcie wietrząc za godnościami i znaczeniem, jak wszyscy, Jabłonowski sądził że lepiej będzie mu u Szwedów. Przyjął tedy gorliwie stronę Leszczyńskiego, nie sądzimy żeby z jakich szlachetniejszych pobudek, ale dla prostéj prywaty. Matka nowego króla, jeszcze wtedy żyjąca, (ojciec, podskarbi wielki koronny, już umarł) była rodzoną siostrą wojewody ruskiego, Leszczyński zatém jego siostrzeńcem. Podskarbi litew-

¹⁾ Otwinowski, wydanie Raczyńskiego, stron. 4.

²⁾ Przywilój na województwo ruskie szczególny jest, bo niema żadnej daty i miejsca wyrażonego, rok tylko jest na pieczęci. Oryginał przywileju przechowuje się w zbiorze jednego z zacnych obywateli kraju naszego, p. Władysława Górskiego, w powiecie mohilewskim na Podolu.

³⁾ Nielubowicz w Pamiętniku Warszawskim stron. 230.

⁴⁾ Otwinowski stron. 33, r. 1701.

⁵⁾ 10 maja 1702. Sigill. X. 15 stron. 192.

⁶⁾ Otwinowski stron. 41.

¹⁾ 10 maja 1687. Sigill. ks. 14. Mizler acta litteraria I. 20.

²⁾ Rogalski panowanie Jana III str. 424.

³⁾ Załuski epistolae.

ski Sapiaha radził Szwedowi spalić Wołyń, i to miało być powodem że panowie wołyńscy jeden za drugim do niego przechodzili, a Jabłonowski był najpiérwszy i z bratem swoim rodzonym, chorążym wielkim koronnym, oddał mu hołd w Łucku. ¹⁾

Nagle wielkie u dworu szwedzkiego zyskał wojewoda znaczenie, widocznie zasługiwać się musiał. Siostrzeńca zaś swojego był ulubionym faworytem, tak dalece że wkrótce rzeczywiście miał Jabłonowski tyle władzy i godności, ile sam zechciał. Król Stanisław postępował sobie zbyt samowładnie, rozdawał urzędy i starostwa po żywych; tak usunąwszy Szembeka, który w istocie serce i duszę Sasowi zaprzędał, kanclerstwo wielkie koronne dał po żywym księdzu Załuskim temu wujowi swemu. Na dworze takim jakim był wtedy stanisławowski, kanclerz znać wszystko. Pojmowało się to że król nowy musiał mieć swoich ministrów, ale ci ministrowie byli także urzędnikami rplitej, pozbawiać ich urzędu niewolno było bez sądu i wyroku. Jeżeli ministrowie trzymali się ślepo przeciwniej strony, to trzeba było zachować przynajmniej pozory; wezwani do urzędu, gdyby go przyjąć niechcieli, samiby się praw swoich zrzekli. Jeżeliby Załuski zrzekł się, wtedy szedł po nim Szembek na kanclerstwo, szedł Szczuka podkanclerzy litewski. O Szembeka niktby zresztą niedbał, ale Szczuka był to wielkiej mądrości i zacności człowiek, przeszedł do Szwedów więcej z powodów stanu, jak dla czego innego, znał doskonale co był wart August i nie od jednego szaleństwa odciągnął umysł tego awanturniczego króla. Sądził też Szczuka że go Leszczyński użyje, spodziewał się na pewno pieczęci wielkiej, ale i tą razą trzeci już urząd, jeżeli nie czwartym, brał Jabłonowski dla swoich stosunków z dworem, uprzedzając zacniejszych, ²⁾.

Po zmuszonej abdykacyi Augusta, przez chwilę tryumfowało stronnictwo szwedzkie. Piotr Wielki nawet gotów się był z nim pogodzić, chciał Narwę oddać, a za Petersburg Szwedów zapłacić; hetmanowa Sieniawska jeździła z tém od niego do nowego kanclerza a wuja króla Stanisława ³⁾. Byłyby się może ułożyły te rzeczy, gdyby nie pycha króla szwedzkiego, który o tém wszystkiém ani dał sobie wspomnieć.

Oczywiście niedługo trwały te ugody. Po bitwie puł-

tawskiej powrócił August do korony, a Jabłonowski do województwa ruskiego, z którego zleciał ksiązę Michał Wiśniowiecki. Jabłonowski nibyto pogodził się z losem, nibyto siostrzeńca odstąpił, a w istocie tchnął cały duchem szwedzkim, choćby dla upokorzenia Szembeka, który wziął po nim, wprawdzie dawniejszą swoją własną, pieczęć. Czekał tylko sposobności żeby mógł jawnie z pretensjami swemi wystąpić. Otóż kiedy Abtypasza wszedł do Wołoch, na proźbę Leszczyńskiego, Jabłonowski zjechał zaraz do Lublina i tam radził z pany, którym mógł poufać, o królu Augustie (1713). Bił ogromnie na miłostki pańskie, (a właśnie ze świeżą kochanką, podobno Denhoffową, żył król publicznie). Dowodził że trzeba się połączyć i działać wspólnymi siłami, Augusta odstąpić a bronić Stanisława. Wojewoda znosił się także z Benderem, bez którego wiedzy nie działały się i te zabiegi. August nie wiedział może o nich, ale przejął listy wojewody do przyjaciół, pisane z powodu owych miłostek, ściągnął zatem Jabłonowskiego do Warszawy, niby na jakieś narady, chcąc znaleźć koniecznie dowody złych usposobień ku sobie.

August nie przebierał w środkach, nic nie zważał na prawo, kiedy słuchał namiętności. Po wielu wstępnych krokach, kiedy nic wydobyć nie mógł z pisarza wojewody, kazał Jabłonowskiego uwięzić, zabrał mu papiery i dziennik, w którym był spis korespondencyj z Benderem. Gdy wojewoda nie zapierał się, bez śledztwa i sądu tegoż samego dnia odesłał go do Saksonii na więzienie do zamku w Königsteinie. Było to okropne nadużycie, było to zgwałcenie najświętszych praw wolności; to też król udawał, łagodząc szlachtę, że Jabłonowski chciał go wykraść i że miał już na ten cel sześć tysięcy ludzi przygotowanych. Pomydlił tak dobrze król oczy, że województwa niebardzo sarkały o wzięcie senatora, w przekonaniu że ulży się przez to rplitej ciężar wojny z Turcją ¹⁾. Otwinowski o tém wspominając mówi, że wojewodę wzięli Sasi z tego samego pokoju, w którym namówił swego ojca na stronę Augusta podczas elekcyi i w rocznicę tegoż dnia, którego, wyjechał przed laty na góry tarnowskie, żeby Sasa przywitać.

Gdyby to prawda była co na niego mówił król August, byłby wojewoda zginął najędzniej i od razu. Sas lubił nie ociągać się z zemstą. Wojewoda znowu ze swjej strony liczył na powagę swojej dostojności i na prawa narodowe i dlatego nie lękał się gwałtu.

¹⁾ Otwinowski stron. 105.

²⁾ Otwinowski stron. 133.

³⁾ Otwinowski stron. 123.

¹⁾ Otwinowski stron. 212.

Cztery lata przesiedział Jabłonowski w Konigsteynie, wreszcie traktatem króla z rplitą zawartym na sejmie niemym w roku 1717 wolność odzyskał.

W więzieniu, dumając nad swoim nieszczęśliwym losem, wojewoda oddał się wyłącznie literaturze, kierunek wziął prawie religijny, lubo pisał też i bajki, i może już wtenczas pamiętniki. Pisma religijne Jabłonowskiego zaraz na świat wychodziły, a są następujące:

1. Myśli i reflexye pewnego penitenta. Warszawa 1714, Jocher pod Nr 6242.

2. Nowa decenna do śgo Franciszka Xawerego. Poznań 1718, Kalisz 1719; i t. d. tamże pod Nr. 6878.

3. Modlitw 47 na post wielki i na dni jego. Częstochowa 1719, i t. d. tamże Nr 6879.

Przytaczamy te tytuły dlatego jedynie, że Bentkowski dzieł tych niezna, gdyż je cytuje tylko z Niesieckiego.

Kierunek ten religijny jednak dawniejszych sięgał czasów. „Zabawa Chrześcijańska” czyli żywot Jezusa Chrystusa wyszedł we Lwowie jeszcze w roku 1700. Później Jabłonowski nie zrywa wcale z tym kierunkiem, wszystkie pisma jego są katolickie, duchowne, nabożne. Możliwość powiedzieć że przypadkiem tylko w czém inném pióra dotykał. Tłumaczył traktat o niepokalaném poczęciu Najświętszej Panny z hiszpańskiego i francuzkiego ¹⁾, napisał traktacik o Opatrzności Bożej ²⁾, wydał historią Najświętszej Panny sokalskiej ³⁾, Telemaka przełożył i wydał w roku 1716 w Sandomierzu, te dwie ostatnie prace wierszem.

Jednocześnie, że taki kierunek był potrzebą jego serca, dowiódł tego innemi czynami. Ołtarz śgo Xawerego wystawił w kościele lwowskim jezuitów; Bernardynom we Fradze, dobrach swych, wystawił klasztor i kościół, a raczej dokonał tutaj fundacyi swego ojca, jak o tém mówi Niesiecki.

Że zaś w wydaniu dzieł religijnych nie samą tylko pobożność miał na celu, dowodzi tego forma jakiej najczęściej używał, to jest wiersz, którym źle władał, ale który zdradzał w Jabłonowskim pretensye już więcej literackie. Zresztą jest dość pamiętek po nim i w krasomówstwie. Przypomnimy tutaj tylko mowę jego jaką miał w imieniu Potockiego starosty halickiego, dziękując za Łaszczównę ⁴⁾ i drugą mowę jego

żałobną czyli kondolencyą, jak wtedy mówiono, na pogrzebie Stanisława Rzewuskiego hetmana: ¹⁾ „Tu leży mój od lat czterdziestu kilku w szkołach jezuickich kondycypuł, w cudzych krajach komperegrynant, w obozach, sejmikach, królewskich dworach nieodstępny i najwierniejszy kompan, nakoniec mój hetman, a hetman do każdej sprawy ustawicznie mnie wołający, dimidium animae meae et pars sine fine doloris” (1727).

Jabłonowski ten był panem na zagraniczną zupełnie stopę. Zepsucie bystro się u nas krzewiło. Synowie tego hetmana, który sam wyniósł się z tłumu szlachty na świecznik, już radzi się byli okrywać w tytuły, radzi byli brać pokost od cudzoziemskiej arystokracji. Wojewoda ruski jeszcze miał dosyć serca dla ojczyzny, jeszcze o dobru jej myślał, ale trzecie pokolenie, to jest synowie jego i synowcowie, już nie wspólnego z Polską nie mają oprócz nazwiska, mają już książęce tytuły, okrywają się w cudzoziemskie dostojności, każdy z nich jest kawalerem orderu śgo Huberta, a kilku nawet śgo Ducha, już bogi ich za granicą. Pycha rośnie dniami, Jabłonowscy ledwie wykazać mogą dziada swojego, a sami dziwią się królowi Poniatowskiemu że tron śmiał zasiąść.

Otóż wszelkie sympatyje wojewody były francuzkie, arystokratyczne. Przeszłością jeszcze tkwi w ziemi polskiej, a tęsknotą serdeczną już był gdzieindziej. Ożenił się z Francuzką, siostrzenicą rodzoną Maryi Kaźmiry, Joanną margrabianką de Bethune. Druga jej siostra była za Sapiehą, synem hetmana Jana Kaźmirza pobitego pod Olkinikami przez szlachtę, to tłumaczy sympatyą hetmana Jabłonowskiego i jego syna do Sapiehów. Żona ta piękna, pokrewna z domem panującym w Polsce, siostra cioteczna królewiczów Sobieskich, miała pretensye bardzo arystokratyczne, a pretensye te tak wielkiego były rozgłosu w Polsce, że nawet Niesiecki zapisał w Koronie swój wiadomość więcej niż śmieszna, w którą jednak wierzone, jako dom de Bethunów panował we Flandryi przed rokiem tysiącnym. Malować się kazała ta pani Jabłonowska z włosiem ciemnym w lokach, w płaszczu gronostajowym, na oznakę swojej książęcej dostojności z Flandryi. Pobożna, z mężem fundowała bernardynów we Fradze, wreszcie była wielką dobrodziejką karmelitów lwowskich, wybudowała im wieżę, zegar i sprzętem kościół opatrzyła. Przeżyła męża o lat kilkanaście, bo umarła dopiero 29 września 1744 r.

Miał z niej Jabłonowski trzech synów i trzy córki. Z synów Jan Kajetan był później wojewodą braclaw-

¹⁾ Swada Danejkowicza stron. 191.

¹⁾ W Brunsberdze 1722 wyszły.

²⁾ Drukowany we Lwowie 1729.

³⁾ Lwów 1724.

⁴⁾ 9 Lipca 1719.

skim, Stanisław Wincenty wojewodą rawskim, Dymitr umarł starostą kowelskim na Wołyniu. Z córek Eleonora była sakramentką we Lwowie, Katarzyna poszła za Maksymiliana Ossolińskiego, który był dukiem i parem Francyi, trzecia Maryanna niegdzieindziej miała znaleźć męża jak we Francyi. W r. 1725 w lipcu wysłał wojewoda starszą córkę swoją (nie wiemy którą z nich, ale pewnie Maryannę) do Paryża, dla assistencyi przyszłej królowej francuzkiej, to jest Maryi Leszczyńskiej; czytaliśmy o tém w gazetach pisanych. Cztery miesiące później donoszą też same gazety, że wojewodzianka ruska iniiit matrimonium z księciem de Bourbon (w listopadzie 1725). Z tém wszystkiém nie przyszło to małżeństwo do skutku, gdy dopiero w październiku 1730 Maryanna poszła za męża za księcia de Taillebourg ¹⁾. Inni nazywają tego męża de la Tremouille Chatellerant, który później był księciem de Talmont.

Jabłonowski, już na pół Francuz, postanowił wreszcie wystąpić jako nauczyciel narodu. Widział nierząd, ale nie wiemy czy przewidział zgubę, bo o tém ani wzmianki w książce. Poruszyło się sumienie, serce poczciwe żal ścisnął i napisał „Skrupuł bez skrupułu.”

Nie podawał tutaj żadnych środków do poprawy; jeżeli czasami natrąca na potrzebę jakiej reformy i podaje sposoby do tego, więcéj to robi z przypadku jak z rozmysłu. Cała rola jego w téj sprawie jest bierna. Widzi złe i chce żeby go nie było, nic więcéj. Widzi moc grzechów powszechnych jakie trapią naród i chce te grzechy wyrzucić narodowi na oczy. Chrystus je wyrzucał faryzeuszom, autor narodowi. Grzechy to najzwyczajniejsze, które za grzechy nie uważają się nawet, które popełniają się bez skrupułu, a przecieź są śmiertelne. Autor nie jest stronny, dotyka i wymienia nawet własne grzechy. Śmierć za pasem, autor zatém odbywa spowiedź powszechną z całego swego żywota przed czytelnikiem. Im ciało więcéj słabło, tém słabości duszy jaśniej pokazywać mu się zaczęły. Autor własném doświadczeniem doszedł do tego przekonania, że bezbożna jest polityka Wene-tów, którzy w sprawach narodu swego mówią: primo Venetia, postea Christiani, wprzód Wenecyanie, a potém chrześcianie.

Autor jednak mówi do Polski, do Polaków. Wié że bezkarnie o grzechach cudzych w Polsce mówić nie wolno. U nas się szlachta gniewała za najmniejszy fakt opuszczony, który parentele wyświecał nie jako należało. Paprocki zatrzał sobie życie przez swój

herbarz; spółczesny Jabłonowskiemu ksiądz Niesiecki umarł obłożony pozwami, za to że nie rozpisywał się o każdym domu, jak o domu Scypionów i Cezarów, bo drukował to jedynie co wiedział. Jakże tutaj odważyć się notować błędy Polaków? Magnat zabije lub zgubi wyrokiem trybunalskim, szlachta pokiereszuje, może także zabije. Autor z potrzeby robicnotę i przysłaniając się wzorem śgo Augustyna, nie wyjaśnia na tytule swego nazwiska. Oto są wymotywowane powody do całego tytułu dzieła, który jest następujący:

„Skrupuł bez skrupułu w Polsce, albo oświecenie z grzechów narodowi naszemu polskiemu zwyczajniejszych, a za grzechy nie mianych. Traktat po prostu grzechy roztrząsający, na rozdziały podzielony, przez pewnego Polaka temi grzechami grzesznego, ale żałującego, na poprawę swoją i ludzką podany.”

Autor dobrze robi że otacza się bezimiennością, był to jedyny sposób żeby prawdę w oczy gadać zaślepionemu narodowi. Dawać się poznać, byłaby to zuchwałość a bez celu. Osobę znaną przenicowanoby z białego na czarne, zmyślonoby powody jéj wystąpienia, przyznanoby jéj najszkaradniejsze pobudki, oskarżonoby ją za przeszłość i przyszłość. Dlatego autor skrętnie owszem zdaje się że osłania swoją bezimiennosc. Książeczka jego wyszła r. 1730 we Lwowie, to jest wtenczas, kiedy miał lat przeszło 60. Dlaczego tedy przyznaje się w pewném miejscu tylko do lat pięćdziesięciu ¹⁾, lubo w drugim mówi że już jest sexagenarius? ²⁾ Nareszcie, wydawszy już dziełko, pomiarkował się poniewczasie, że się naraził wiele w opinii. Niesiecki o tém wydaniu wspominając mówi: „Atoli tę książkę z pewnych racyj chciał zagubić,” to drugi dowód że zasłaniać się chciał najserdeczniej. Książka widać zrobiła swoje: wywołała zdania, oburzyła szlachtę, to na jéj mówi się pochwałą, podyktowała ją myśl zacna. Ale jak autor nie miał odwagi nazwać się jéj autorem, tak i teraz po sprawieniu wrzawy nie śmiał się przyznać do cnoty; był to człowiek widać słaby z charakteru i dlatego książkę swoją wykupował i niszczył, żeby wrażenie jakie wywarła zniweczyć, zabić. Dziwny nie półśrodek już, ale półśrodeczek. Satyra była za ciężką strawą narodowi, tak go przejęło zepsucie.

Bentkowski, powtarzając tę powieść Niesieckiego o zniszczeniu przez autora egzemplarzy, dziwi się. „Niewiem dla jakiej przyczyny, powiada, autor niszczył

¹⁾ Wydanie krakowskie, str. 15.

²⁾ Str. 24.

¹⁾ Kuryer polski, Nr. 45.

egzemplarze?"¹⁾ Odpowiedź na to prosta: ze strachu. Bentkowski mógł wiedzieć że sprawa była ważna, zdaje się że znał treść broszury, bo wspominał o tém w kilku wierszach. Mówi przecie że autor powstał „śmiało i ostro,” podaje sam że dwa wydania były broszury i obydwaj w jednym roku. Jedno wyszło bez oznaczenia miejsca (tak się bał autor żeby się nie wydało że to pisał), drugie we Lwowie u Ś. Trójcy.²⁾ Samo to podwójne wydanie w jednym roku dowodzi jak książeczkę rozrywano.

Dla charakterystyki autora to jeszcze dodamy, na zasadzie faktów wyciągniętych z książeczki. Gdybyśmy nie wiedzieli że był szczerze pobożnym, przekonaliśmy się o tém ze „Skrupułu.” Wszędzie pisze jak katolik, pokost świętobliwości znać w każdym niemal słówku. Sama już odwaga prawić w Polsce kazanie polityczne jest pewnego rodzaju poświęceniem się. Przymawia Lutrowi w jednym miejscu,³⁾ maluje nierzetelność dziedziców i dzierżawców, a powiada że nie czyni tego przez zemstę.⁴⁾ Przymawia to światły, nie wymyślać na ludzi chce, ale ich poprawić. Razi jednakże przy jego pobożności i świetle uwaga, że pan Bóg „jak w niebie tak i na ziemi hierarchias postanowił.”⁵⁾ Na ziemi przynajmniej powiada jakie są te hierarchie: „królów, panów, szlachty i chłopów,” ale w niebie jakie? Umysł światły, a wierzy w różnicę praw między ludźmi, narzeczcie umysł skrzywiony pojęciami cudzoziemskimi, bo wyraźnie odróżnia „panów od szlachty.” W Polsce, to najdziwniejsza teoria. Że w czasie domowych wojen za Szwedów siał fałszywe wieści dla pewnych celów, naśladować w tém innych, za to także żałuje po katolicku.⁶⁾ Wreszcie wyznaje że przez lat 40 siła urzędów w rplitej piastując, nigdy nie pomyślał być ani marszałkiem, ani deputatem „lubom mógł,”⁷⁾ bo przyjmując taki urząd, musiałby, w Polsce albo obrazić Boga niesprawiedliwością, albo sprawiedliwością ludzi. Katolik w całym tego wyrazu znaczeniu, wszystkie nawet najpotoczniejsze sprawy odnosił do duszy i zbawienia, i o to jedynie najwięcej się troszczył.

Po takim wstępie idźmy do książki. Autor roz-

¹⁾ T. I. str. 421.

²⁾ W pierwszym stronicie 74, a w drugim 98.

³⁾ Str. 47.

⁴⁾ Str. 47.

⁵⁾ Str. 29.

⁶⁾ Str. 9.

⁷⁾ Str. 35.

działami różne wady rodaków swoich przechodzi. Wady te na pozór są bardzo małe, nic nie znaczące, ale pod piórem autora, który na skutki ich patrzył, wyrastają do ogromnych rozmiarów. Zmyślano np. u nas nowiny, rozsiewano je między publicznością, chcąc dodać lub odjąć ducha, ustnie i na piśmie. Kłamstwo samo, a już grzechu dosyć; ale w Polsce więcej takie kłamstwo płaciło jak gdzieindziej. W Polsce dla fałszywych wieści za bezkrólewia po Sobieskim, za rewolucyi szwedzkiej, siła ludzi substancye i życie potraciło. Na to autorowi odpowiedzieć można: błąd to był pewnie, ale była to przyciem i rzecz ludzka. U nas, być może przez lekkomyślność narodową, kłamstwa takie większe miały zastosowanie, więcej złego narobiły; ale te kłamstwa są wszędzie na Bożym świecie. We Francyi téż mówiono za Ludwika XV, że mają rząd ograniczony piosenkami. Piosenki francuzkie, to nasze skrypta, na które się autor żali. Cytuje téż Jabłonowski przykład Augusta II po bitwie pułtawskiej. Elektor racyami obszernymi dowodził, że wraca na mocy praw swoich do Polski, chociaż ich uroczyste się zrzekł w Altransztadzie; kłamstwa tam było co niemiara, ale i to błąd oczywiście ludzki, nie polski.

Gniewa się dalej autor na paszkwile, i co rzecz jedna i ta sama, gniewa go naturalnie wada nicowania panów. I to zarzut zabawny; to było jest i będzie na całym świecie. Autor mówi, że gdyby z woźnic, hajduków i lokajów wywodzono processa biskupów i examen senatorów, dowiedziałyby się świat wiele.¹⁾ Zapewne, ale cóż w to poradzić, kiedy są usta do gadania, kiedy ludzie ludźmi, kiedy mają swoje namiętności i widzenia? To zarzut niepraktyczny wcale; ale praktyczniejsze to co autor następnie z tego wywodzi. W jedynéj Polsce jest równość, której w całej Europie niema, bo w Europie nawet stan rycerski dzieli się na różne klasy. W Polsce bracią są wszyscy, ale bracią tylko w prawie, chcąc zaś jeden drugiemu dorównać fortuną, urzędem, kolligacyami, oczywiście ubogi bogatszemu sprostać nie może i mści się zwykle za to na wszystkich panach językiem. Panowie tedy prezentami kupują szlachtę, żeby milczała. Autor za żywota swego nie znał żadnego dobrego pry-masa, hetmana, pieczętarza, podskarbiego. Oczywiście autor tutaj sądzi podług gawęd szlacheckich; gdyby się zaś jego spytano o zdanie, wyliczyłby całe zastępy nieskazitelnych ludzi. Szlachta podobno jednak miała po sobie słuszność; z latarnią Dyogensa szukać wtedy potrzeba było ludzi w Polsce. Tylko

¹⁾ Str. 12.

to zarzucić było można szlachcie, że ciskała kamieniami, podobno sama nie czysta. „Ledwo nie każdy u niej hetman oppressor, kanclerz wykrętacz, podskarbi złodziej, prymas szczęśliwy kiedy prostak,”¹⁾ mówi autor. Wyrażna tutaj obrona stanu pańskiego, który egzystował w marzeniach i sercu autora, ale mimo to zarzut fałszywy, obraza prawdy historycznej, bo na stronę gadanin szlacheckich znajdują się nietrudno dowody. Prawda że naród łatwo posądzał i posądza o zdradę swoich, ale tych posądzeń nie było kiedyś, przynajmniej nie było ich tyle za dawniejszych, szczęśliwszych czasów jagiellońskich. Prawda i to że dla gadań takich mogli cierpieć i niewinni ludzie, jakim np. mógł być wojewoda kaliski Lipski pod Górczycami, który Szwedów, według świadectwa Jabłonowskiego, gorzej biesa nienawidził.²⁾ Tutaj autor zdaleka i siebie broni przeciw poduszczeniom konfederacyi sandomińskiej.

Na królów też w Polsce krzyczano; doprawdy często było czemu. Tylko że tutaj jak i wszędzie wielką rolę grała prywata. Jak jest za co, krzycz panie pośle, jak niema za co, milcz i pomagaj królowi. Ale nie, u nas wielkim powodem do krzyczenia na królów są wakanse, są fakcyje cudzoziemskie, po prostu natura szlachecka.

Dotąd autor dotykał wad, dla których mógł się nie kryć z nazwiskiem; ale tu koniec właśnie rzeczom pospolitym, ogólnikowym; autor dochodzi teraz do spraw rzeczywiście ważnych, i obrazy jego, uwagi które rzuca, pełne są historycznego, wyższego dla nauki znaczenia. „Cała Polska, mówi, chce wexować podskarbach. Broni ich ledwie kilkunastu pensyonarzy skarbowych, a zresztą wszyscy na nich, jak na sówkę ptaszki.”³⁾ A tymczasem z jego relacyi pokazuje się, jak też było i w samej istocie, że skarb darli wszyscy podskarbiowie, urzędnicy, obcy panowie, szlachta, kupcy nie widzieli w tém żadnego grzechu. Skarb uważał się za własność wszystkich, to dobrze, był dla wszystkich, to więcej jak pewna, ale nie dla tego i owego w szczególności, tylko dla kraju, dla rplitój: otóż czego u nas nigdy zrozumieć nie mogła szlachta. Dziwna rzecz, podskarbiowie, choćby niechcieli brać, musieli, takie już było urządzenie grosza publicznego. Poczciwsi, widząc rzeczy jak były, rzucałi podskarbstwo, chociaż im dochód czyniło.⁴⁾ Nie

było tutaj nawet żadnego poczucia się do grzechu, powiadano powszechnie: „Ojczyzna matka, z nas to wszystko.”¹⁾

„Sejmiki, nic piękniejszego z jednej strony, powiada autor,²⁾ ale jak ozór Ezopowi wydawał się razem najlepszym i najgorszym pokarmem, tak i sejmiki mogą najlepsze, mogą być najgorsze dla rplitój. Cudzoziemcy tak je charakteryzowali: „Sejmiki są jak szkatuła szczerozłota, klejnotami drogo sadzona... ale otworzywszy je kluczem rozumu i przezorności, to nic w téj szkatule nie znajdziesz, tylko gady, węże i trucizny.”³⁾ Panowie dla sejmików płacą szlachtę, na sejmikach stawają handle: za taki a taki głos, daj mi to a to. Często pan upada, dlatego że pan, przez zawiść biędniejszej szlachty. Sejmiki gospodarskie najedne wziętki i szarpaniny wymyślone.⁴⁾ Rozbierają się na nich publiczne dochody, podatki czopowe, szeleżne. Była szlachta która w tém punkt honoru swój widziała, żeby raz złapawszy dzierżawę jakiego podatku, z ręki swojej już go nie wypuszczać; ztąd poszło w przysłowie czopowe przemysłskie, które przez upor dzierżawcy stawało się niby jego starostwem.⁵⁾ W Haliczu ktoś deputacyi odstąpił za ogiera, a potem chwalił się: „ten to jest ogier, co deputatów halickich robi.”⁶⁾ Polska nierządem stoi, ale obdarta ze skóry.⁷⁾ Rwanie sejmów jest haniebne, choćby zważyć tylko same straty materyalne z tego powodu.⁸⁾ Każdy poseł i senator według stanu wybrał się na sejm, miliony te nadarmo przepały. A trybunały, to morze zrad i oszukań. Zepsucie idzie, wzrastając od sejmików do sejmów, od sejmów do trybunałów. Spychanie z regestrów spraw praktykuje się co dzień, a co to za grzech? Toż dawanie krések popijanemu, toż samo przyjęcie deputacyi bez znajomości prawa. A ukrzywdzenia domów i dzieci przez dożywocia, przez jura communicativa wdów także o pomstę wołają do Boga.

Cały ten rozdział precudowny, pełen faktów, wygląda więcej na pełną prawdy i życia satyrę, jak na obrazek wzięty z narodowego życia, a tymczasem jest z życia. Przez wlewki z dożywocia upadły domy znaczne.⁹⁾ Wprawdzie rplitój

¹⁾ Str. 24.

²⁾ Str. 26.

³⁾ Str. 26—27.

⁴⁾ Str. 29.

⁵⁾ Str. 30.

⁶⁾ Str. 31.

⁷⁾ Str. 32.

⁸⁾ Str. 33.

⁹⁾ Str. 40.

¹⁾ Str. 15.

²⁾ Str. 17.

³⁾ Str. 21.

⁴⁾ Str. 25.

wszystko jedno czy ten, czy drugi bogaty. Otóż niesprawiedliwością, złym prawem, a raczej złym zwyczajem, kosztem dawnych właścicieli, podnieśli się nowi bez zasługi.

Ekonomika dóbr prywatnych także niegodziwa. Za granicą jest czwarty, najwyżej szósty procent w użyciu, u nas dziesiąty. Dzierżawcy drą dobra właścicieli jeszcze więcej, bo dziesiąty grosz wezmą gotówką, okrom mieszkania, drzewa i życia. Porękawicze nowém jest zdzierstwem, ¹⁾ toż samo procent wzięty z góry ²⁾. Czém się zasłaniają ludzie po zdzierstwach? „Nie ja to wymyślił, powiadają ³⁾ nie ja jeden to czynię.” Dziedzice niektórzy są nierzetelni, więc ich wszystkich łupić; aleć to będzie zasada Lutra, który pokasował klasztory dlatego, że niektórzy opaci źle żyli.

Żołnierskie grzechy są też straszne, próżniactwo tam wielkie, leżą wszyscy. ⁴⁾ Porucznicy są jak prowincyały, sprzedają chorągwie. Daremniejszego kosztu i niepotrzebniejszej służby w Europie nie znajdzie, a wszyscy biorą pensją za nic, powtarzając kiedy się ich strofuje: „Nie ja jeden biorę.” Porucznik drze rplitę; rotmistrz, który cieszy się tytułem, bierze i pensją rotmistrza z kassy, i osobną kapitulacją jeszcze ma od niego, o co nawet i sprawy są po trybunałach, gdy porucznik prawem swojej niby krzywdy dochodzi. Porucznicy biorą rotmistrzostwa i sprzedając je paniętom, mają się z tego dobrze, bo tracą godność, nie zaś władzę; gdy zaś rotmistrz wcale się nie pokazuje w chorągwi, po trzy biorą kapitulacje. Śmieją się wszędzie z tego za granicą i t. d.”

Na wyliczaniu tych wad kończy autor, ale trzeba czytać jego książeczkę, nie zaś sprawozdanie o niej, bo treść którąśmy tutaj podali więcej ogólna jest, a sam wywód autora stanowi wartość jego książeczki. Wywód zaś tak jest ścisły, że słowa tam prawie z niego opuścić nie można; całość dopiero stanowi obraz, który dla dziejów cywilizacji narodu pełną garścią farb dostarczy, autor albowiem umie malować, umie zastanawiać się i patrzeć, a czytelnika przeraża wstępem ku temu złemu, na jakie wskazywał w rplitęj.

Wytykając błędy, nie podaje przecież na nie środka; chciałby widać wywołać skruchę w narodzie, ale nie każdemu się wznieść do skruchy. Autor też jest kaznodzieją, satyrykiem, ale nie reformatorem. Wali, ale nie buduje.

¹⁾ Str. 42.

²⁾ Str. 44.

³⁾ Str. 45.

⁴⁾ Str. 49.

Są tu wprawdzie rady które podaje, ale te rady pomknęły mu się tylko pod pióro; nie płyną z dobrze i całkowicie obmyślonemu planu reformy. Złe które autora uderzało szczególnie, na którego wspomnienie serce mu się krwią oblało, często to złe, lekarstwo mu podsunęło zniecka, nie na zabicie całej choroby, ale na usunięcie tych i owych symptomatów rozkładu.

Podskarbiowie nie mają pensyi, ale likwidują sobie koszta, któreby im pensją w dziesięciokroć może przeniosły; np. 60—70,000 brali „na kałamarz.” ¹⁾ Podskarbiemu Leszczyńskiemu urząd ten do 500,000 dochodu rocznego przynosił ²⁾. Nie lepiejby pensją było wyznaczyć? Otóż autor był za pensją podskarbiów, to jedna jego reforma. O innych pensjach nie prawie nie wspomniał, tylko o podskarbach pamiętał, ale jedno płynęło z drugiego. Raz za zasadę przyjąwszy pensją, trzeba było naznaczyć je hetmanom, kanclerzom i t. d., a za to odebrać im wszelkie likwidacje kosztów i zaprowadzić ład jakiś do różnych machin rządowych.

Radził dalej autor, żeby podskarbim zakazano dawania wszelkich libertacyj, żeby znieść rachunki i kwity na sejmach, a zamiast tego postanowić żeby podskarbiowie posyłali co dwa lata rachunki dochodów i wydatków na sejmiki, szlachta zaś, wejrząwszy w nie, miała pisać w instrukcyach posłom, że ten a ten wydatek podskarbi niesłusznie położył, że wziął więcej jak potrzeba; posłowie zaś na sejmie, przewiodłszy konstytucyą stosowną przeciwko podskarbiemu, mieli natychmiast zyskać egzekucyą wyroku. Byłby to rzeczywiście rygor na podskarbach, którzy zostając pod zagrożeniem, okupowaćby się nie mogli tak na sejmikach jak na sejmach, bo na sejmach to rzeczywiście kupowali sobie pokwitowanie zarządu skarbu publicznego. Zabawna anegdota jest o Bogusławie Leszczyńskim, który starając się o taki kwit, jednego tylko przeciw sobie miał posła na sejmie. Więc podskarbi, trzymając w ręku registr kupionych przez siebie posłów, zawołał z niecierpliwością: „A który to tam taki, com mu nie nie dał?” ³⁾ Nie odezwał się na to nizeczemny poseł, bo był także poprzednio zapłacony.

Innych myśli względem reformy rplitęj autor wcale nie rzuca. Skarb i zła jego administracya najczęściej leżała mu na sercu. Nie korzystał widać jak inni ze skarbu, bo powiada że „dobrém sumieniem mógł-

¹⁾ Str. 23.

²⁾ Str. 25.

³⁾ Str. 21.

by odkrywać sekretne ze skarbem dochody," a le mu na to nie pozwolił skrupuł przyjaźni ku podskarbiemu. ¹⁾ Ksiądz Kałuski, którego tutaj Jabłonowski przywodzi, jakaś figura popularna w swoim czasie, kiedy się tylko jój nazwisko podaje, ksiądz Kałuski bliżej nam nieznan, zwał takie dochody „paluszkowaniem.” ²⁾ Podskarbiem był wtenczas zięć autora, Ossoliński, ten sam co umarł dukiem i parem Francyi na wygnaniu; nie chciał więc teść kompromitować pocziwego zięcia, za którego zarządu wejrzał bliżej w sprawy skarbowe. Oprócz Ossolińskiego, miał Jabłonowski podania od Leszczyńskich, przez szwagra swego Rafała, co to był ojcem króla, także podskarbiego, który mu rozpowiadał wiele szczegółów o Bogusławie Leszczyńskim, jednym z przodków swoich i także podskarbiem.

Co wielkiego interesu całej tój książeczce przydaje, to anegdotki których w niej pełno; wszystkie są doskonale na miejscu, objaśniając i sprawy rplitój, i jój rząd, rzucając światło na ludzi. Przypomina się zaraz Witwicki i Rzewuski, którzy napisali że w narodzie naszym pełno było poetów, co to improwizowali nic nie pisząc. Jabłonowski także improwizuje ale prawdy; na każde twierdzenie swoje, na każde niemal zapotrzebowanie, ma anegdotkę stosowną, ma ciekawe szczegóły historyczne i sypie, jakby z pełnego rękawa, mnóstwo rysów charakterystycznych z przeszłości.

To dowodzi że pamięć jego obszerną była skarbnicą. Żal się robi kiedy się czyta jego „skrupuł,” że pamiętników nie pisał; rzeczywiście byłby z niego wieszcz przeszłości, otworzyłby ją pełnem interesu rozpowiadaniem i obrazowaniem czasów.

Prawie wstrzymać się nie można, żeby mówiąc o jego książce, jednej i drugiej anegdotki z niej nie przytoczyć; ale oczywiście okaże się z nich odwrotna strona medalu, nie ta którą malował Rzewuski w powieściach, a Pol w gawędach szlacheckich. Ci dwaj poetyzują przeszłość i ukazują piękne jój strony, ale spuszczać prawdę z widoku, nie malują rzeczywistości. Rzeczywistość, z wszelkiej ułudy odarta, pokazuje się zupełnie inną w pamiętnikach i źródłach społecznych, takich jakim jest np. „Skrupuł” Jabłonowskiego. Razi, tak jest często okropna, zepsucie rplitój ostatnich granic dochodzi.

„Książę Janusz Radziwiłł, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, opowiada Jabłonowski, starał

się o jakąś konstytucyą in favorem sui, na którą żadną miarą poseł litewski pozwolić nie chciał, ani przyjąć proźby. Uprzykrzyło się to łępskiemu owemu hetmanowi; posyła w senacie susurronem do kontradycenta, że mu sto kijów każe dać, choćby miał zgiąć. A kontradycent zaraz rzekł w głos: „Victus rationibus księcia jegomości, pozwalam.” ¹⁾

Bogusław Leszczyński chciał złożyć podskarbstwo, a wziąć pieczęć. Przez ostatek sumienia, zwierzył się tego Jerzemu Lubomirskiemu, a ten: „Czy szalejesz bracie? tyle intraty w skarbie mając, na urząd pełen pracy, a żadnej pewnej nie mający intraty idziesz?” Leszczyński na to: „Boję się żeby mnie dawne prorocstwo nie potkało: ex male acquisitis non gaudebit tertius haeres. ²⁾ Rada Lubomirskiego potępiła go, a gdy autor w inném miejscu przyznaje że marszałek ów, niby obrońca wolności, prowadził wojnę domową pieniędzmi i ludźmi cesarskimi, ³⁾ widzimy że przybywają dwa silne i straszne dowody przeciw Lubomirskiemu, który był narzędziem widoków cesarza i pod tym względem spisał się najhaniebniej. Jest także trzecie świadectwo, świeżo wydane w zbiorze dyplomatów kommissyi archeologicznej wileńskiej: mówimy tutaj o relacji poselstwa na Ukrainę, jak była zdana królowi w roku 1665.

Za czasów tego Lubomirskiego rozpowiadano szlachcie, żeby ją poburzyć, jako król miał mówić kiedyś w przystępie gniewu: „Wolałbym psa widzieć w pokoju, niż szlachcica polskiego.” Ale Kącki zapewniał autora, że król tak się wyraził nie o szlachcie w ogóle, ale o Wejerze, chłopcu cudownie złośliwym i swawolnym, który służył u niego za pazia. Zła wiara z tego korzystała i na niewinnego, w tém przynajmniej, króla rozpletła potwarze.

Pyszne są powiastki o kłopotach jakie mieli Jan Kaźmirz i Sobieski ze szlachtą. Krzyczeli Cyceronowie nasi na królów ze zwyczaju, aby krzyczeć, nie dla rzeczywistej potrzeby, ale że tak powiemy, dla odświeżenia krwi. Jan Kaźmirz między powodami do abdykacyi kładł i to, że go jeden poseł ciągle wexuje, a nigdy wziąć od niego nic nie chce. ⁴⁾ Ale złote to jeszcze były czasy, zaprawdę, w porównaniu z czasami Sobieskiego i Sasów. Sobieski pytał się raz autora, czemu senator jeden, zawsze francuzki, przyjął nagle stronę cesarską, a gdy autor coś na to odpowiedział, król rzecze: „Nie to mospanie, ale wkorzeniona kontra-

¹⁾ Str. 22.

²⁾ Str. 22—30.

¹⁾ Str. 27.

²⁾ Str. 25.

³⁾ Str. 18.

⁴⁾ Str. 19.

dykcyą jego do mnie: niech król Jan zostanie Żydem, to on chrześcianinem.”¹⁾ Za'inną razą pan jakiś w niebogłosy wrzeszczał w sejmie na króla za sławny traktat grzymułtowski. Tymczasem król nie mógł zrobić inaczej, jak mówi Jabłonowski, i ustąpił na wieki Ukrainy. Otóż pewny siebie król, przerwał mowę senatorowi co go wexował i rzekł publicznie do niego: „Mospace, nie to waszmość mów; wiesz waszmość dobrze że temu sojuszowi był przeciwny i nie nie winienem. Ale waszmość mów że winien w tém, że waszmości tego wakansu nie dał.”

Jana III chwali autor za to, że nigdy nie rozdawał kupionej królewskiej kiedy wakowała, tylko krewnym albo dzieciom tego co kupił.²⁾ O Tyszkiewicz krajczym litewskim, który posła francuzkiego markiza de Vitri najechał w Warszawie, autor opowiada że to robił „chcąc się królestwu przysłużyć, a mało jednak nie przyszło do wojny z tego powodu między Francją i rplitą.”³⁾ Otóż nierząd Polski. Szlachta, kiedy królowi szkodzić chciała, sobie szkodziła, kiedy pomódz królowi, szkodziła rplitéj. Król Jan zagnanego Matczyńskiego (nie Mączyńskiego, jak wydrukowano błędnie w Bibliotece polskiej) przymusił, że z wojewody bełzkiego poszedł na podskarbstwo; ale po dwóch latach żadną miarą nie chciał Matczyński trzymać tego ministerstwa. Kiedy mu kwit dawano na sejmie, że się to niby wyrachował z dochodów i wydatków rplitéj, już wtenczas expodskarbirzekł: „Dziękuję za kwit, ale ten niesprawiedliwy, bom ukradł 200,000, które wracam.”⁴⁾

Ważne jest świadectwo autora, pochodzące z pierwszej oczywiście ręki, że dom Sobieskich upadł na elekcyi w roku 1697 dla bajek które rozsiewano, jakoby królowa związek Baranowskiego pobudziła, gdy owszem hetmanowi Jabłonowskiemu dała 50,000,000 talarów bitych za jego rozwiązanie, że dalej sprowadziła czambuł tatarski w bezkrólewiu, a ów czambuł spalił dwa główne jej starostwa.⁵⁾

O swoim ojcu to jeszcze zanotował autor:

„Służba wojenna (mawiał hetman Jabłonowski) in rigore powinności i dyscypliny od szlachcica odprawowana, równa się najostrzejszemu zakonowi w kościele bożym albo i przewyższa, to jest (mówił on) żeby nie z potrzeby, nie mając żyć czém inném, nie z próżności chwały świeckiej i brawady, ale z miłości

Pana Boga, na obronę wiary świętej, ojczyzny, zaciągnął się towarzysz; żeby do najmniejszego punktu ustawnie pilnując chorągwi, wszystkie bez mrużenia odbywał żołnierskie powinności, w marszach nie szarpał, wszędzie w posłuszeństwie oficerowi ochoczym, w czystości i trzeźwości, w cnotach chrześciańskich i nabożeństwie żył. Taki i tą intencją uzbrojony w duchu i na ciele żołnierz, do tego na rany i na śmierć gotowy, pytam się, jeśli kapucyna nie zrówna? Jako to jest według duchownego i świeckiego prawa prawda, tak quis est hic, kto jest taki, niech się w całym wojsku znajdzie i popisz.”¹⁾

Sprawę Fleminga o komendę wojsk cudzoziemskich także objaśnia autor. Był Fleming wodzem niepodległym hetmanowi Sieniawskiemu, co i hetmana i szlachtę srodze gniewało. Komenda ta jego nic nie szkodziła, ale że postronni monarchowie nienawidzili Fleminga, ztąd przeciwko niemu szlachtę stroili. Senatorowie i posłowie tedy pieniądze brali od dworów i rwali sejmy, króla wexując o rzecz bez wartości, dla usłużenia komu innemu.²⁾

Autor ujmuje się za kardynałem Radziejowskim, że cierpiał wiele.³⁾

Anegdotka trybunalska o marszałku Radomickim powtórzyć się nie da we wszystkich szczegółach, ale dostarcza rysu do charakterystyki zepsucia i nیکczemności, w jakie popadły te najwyższe sądy rplitéj. Jędrzej Radomicki, wojewoda kaliski a później poznański, był marszałkiem trybunału w roku 1709. Drugi, Jan Radomicki, ale już wojewoda inowrocławski, był marszałkiem w roku 1727. Anegdota zapewne do pierwszego z nich odnosi się, bo autor mówi o wojewodzie poznańskim. Miło jest zacytować ten piękny przykład cnoty, jaki Jabłonowski przechował dla potomności w swoim „skrupule.”

Niewiele autor podaje lekarstw na złe które widzi; złe tylko ogłasza i pragnie żeby się niem wszyscy brzydili, żeby je poprawili. Nie chce np. żeby znieść tak nazwane prawa zlewkowe (jura communicativa), na mocy których starostwa uwieczniały się w rodzinach ze szkodą kraju. Jak widzieliśmy, chwalił za to Jana III, że starostwa dziedzicznemi robił; owszem autor gorąco się upomina za tém prawem zwyczajowém, tak dogodném dla ówczesnej magnateryi polskiej. Ciekawa jest uwaga jego, że jest z półtora milliona intraty w starostwach „co je wdowy trzymają.”⁴⁾

¹⁾ Str. 19.

²⁾ Str. 39.

³⁾ Str. 19.

⁴⁾ Str. 23.

⁵⁾ Str. 17.

¹⁾ Str. 48.

²⁾ Str. 18.

³⁾ Str. 15.

⁴⁾ Str. 40.

Tylko wdowy! Cóż za szkoda ogromna grosza publicznego! Autor jest owszem ciągle panem takim, jakich stosunki rplitej wyrobiły. Liberum veto pojmuje po staropolsku, nie tak jak pojmują je ci, którzy dzisiaj rzeczy nie wiedząc, krzyczą na instytucyą. Instytucyi nikt nie broni, ale też nikt jój dziś nie rozumie, choć głośno o niej rozprawiają. Za czasów lepszych liberum veto było, a sejmy dochodziły, bo też więcej daleko było cnoty, więcej miłości do prawa. Liberum veto sejmów nie rwało, ale nadużycie prawa, i ztąd autor ostro przeciw rwaniu sejmów powstaje. Liberum veto znaczyło głos wolny. Król Leszczyński, o którego dziełku także kiedyś wspomnimy, nieinaczéj widzi liberum veto. Prawo to dało się w oczach starych Polaków, znających lepiej jak my konstytucyą własną, pogodzić z wolnością i porządkiem. Wśród nierządu powszechnego autor pokazuje na fakt, który bardzo mówi za szlachtą. Zna pewne województwo, w którym żadnego urzędnika nie mieli z tych co się arędami zastawami bawią. „Wszystko, mówi, przychodzi, a dziezice po kilkaset lat trwają” ¹⁾. Szkoda że autor nie wskazał nam imiennie tego województwa, jak wskazał na Radomickiego „pro gloria facti.” Żartując wreszcie z tych, co hierarchią Boską na ziemi obalić chcą, przytacza dla dobitności anegdotę o kozakach. Ci chcieli raz bić pułkownika swego, a jeden uważniejszy pytał: „Za szczo se buntujete?” Odpowiedzieli: „Jak se na neho ne buntowaty, koły majet lisiuju szubu.”

Ale autor jednakże mimo to podał kilka lekarstw. Widzieliśmy że podskarbin chciał pensyą wyznaczyć, chciał w wojsku skasować zwyczaj że o kapitulacye pozywali młodszy starszych, kopgielidy usunąć i t. d. ²⁾ Na wojsko cudzoziemskiego zaciągu narzeka, ³⁾ a kończy tém, że tak jak jest dzisiaj, lepiej być żołnierzem jak oratorem. ⁴⁾ Widać we wszystkiém szkołę Leszczyńskiego. Autor był wujem króla, ale w sprawie reformy w kraju jego uczniem. Mistrz dopiéro zdobył się na pomysły stanowczéj reformy, które uczeń zaprowadził. Reforma jednakże z pnia narodowego wyrastała i miała wszystkie główne zasady rządu pozostawić nietknięte.

Jan Stanisław Jabłonowski nie doczekał się drugiejelekcji króla Leszczyńskiego, umarł 28 kwietnia 1731 we Lwowie. ⁵⁾ Egzekwie żałobne odbyły się za niego

¹⁾ Str. 47.

²⁾ Str. 54.

³⁾ Str. 49.

⁴⁾ Str. 52.

⁵⁾ Kuryer Polski Nr. 72.

w Podkaminiecu 12 lutego 1732, „sprawione przez Jmć p. wojewodzinę ruską i Jmci p. starostę świeckiego, żalosego syna, inwentowane i akkommodowane od Jmci ks. Chmielewskiego, plebana podkaminieckiego i firlejowskiego, które liczna assystencya tak Jmciów księży jako i gości przyozdobiła i tych Jmć p. starosta świecki u siebie wszystkich lautissime częstował. Najprzód tedy, oprócz illuminacyi pięknie akkomodowanéj, w kościele było teatrum nizkie, kirem pokryte, na którym miasto gradusów stały dwie osoby, famy i nieśmiertelności, na swoich ramionach niosące gradus subtelný, a w ręku kartelusze z temi słowy: Sepulchrum ejus est apud nos. Actor. W sławie i nieśmiertelności pogrzeb tego Jmci. A na tym gradusie stała podkowa i kosa herbowne, dopiéro na nich polegająca trunna, na której miasto krucyfixa w głowach, stał krzyż herbowny, i tak się cały herb Prus trzeci reprezentował. W głowach trunny był portret śp. Jmci p. wdy, ad vivum na papierze tuszowany, przez umbrę się od światła wewnątrz urny będącego pokazujący. Na prawéj stronie, na témże teatrum, stała na postumencie Polska z koronnym i litewskim herbem, insignia swoje koronne i berło piastująca; a z tyłu jój śmierć jabłko złote, niby Jabłonowskiego, wielkiego senatora wydiera, z inskrypcyą na postumencie położoną i wierszem następującym tłumaczoną: Regnum meum non est. Joan. 18. Signa nostra non vidimus. Psalm. 73.

Jestem korona Polska, ale ukrzywdzona,
W mych honorach, skarbach, wielce umniejszona.
Mam koronę i berło, a znaku trzeciego,
Jabłka nie mam. Widzę, nieszczęsna, złotego,
Którém miała dopiéro, w panu z Jabłonowa,
Cnym wojewodzie ruskim, śmierć mi go zła chowa.

Po lewéj stronie, także na teatrum wspomnioném, na postumencie, stał herb województwa ruskiego: lew trzy góry trzymający, któremu także z tyłu śmierć koronę z głowy, to jest wojewodę zrywa, z inskrypcyą na postumencie:

Cecidit corona capitis nostri. Thren 5.

Jestem ja lew herbowny Russyi czerwonej,
Pełen smutku ciężkiego, miny potrwożonej.
Cięższe mi żale moje, niżeli trzy góry,
Które to bez przestanku noszą me pazury.
Że w wojewodzie spada z głowy méj korona,
Gdy tego śmierć bierze z senatu Katona.

W górze zaś nad trumną była jabłoń malowana, do imienia Jabłonowskich alludująca, z wielkiém jabłkiem

które śmierć, pod drzewem stojąca, kosą swoją strąca, z inskrypcją: *Fructus ejus dulcis gutturi meo. Cant. 2.* Lecz umartwiona śmierć w swoim appetycie, bo Chrystus z obłoka wyglądający, każe sobie przynieść: *Stipate me malis. Cant. 2.* Geniusz tedy, z rozkazu Boskiego, odbiera to jabłko od śmierci, mówiąc jój: *Non dabit tibi fructus suos. Gen. 4.*

Na froncie katafalku, nisko, było symbolum, reprezentujące affekt wielki i żal nieutulony Jmci pani wojewodziny ruskiej, po stracie kochanego męża. Była tedy trumna malowana, stojąca na sercu, z tą dewizą: *Sic tumulatur amor. Miłość kochanego grzebie w sercu u siebie.*

Przytém na jednej stronie kościoła, na filarze, było symbolum, okręt z masztem złamanym, z takowém dilemma: *Male sine malo. Consequens* explikowało elogium. *Sta dolor in portu, qui soles in lachrymis, et Reipublicae Polonae navim conspice, considera, quam male illi sine malo, id est sine Joanne Jabłonowski, palatino generali terrarum Russiae.—Quem dum Lachesis invida de medio mortalium et senatus tollit, in medio naufragii Reipublicae relinquit navim, procellis haec hostium obrui male, verum profundo absorberi sperat aut metuit. Quae omnia, hoc superstite, minime sensit aut timuit, togam ejus senatoriam pro velis, avitam crucem adhibens pro anchora. Huic tamen navi tanto nauclero et malo destitutae, non male viator ominare, sed precare optime illi, qui illam citra periculum gubernavit in portu aeterno tranquillam stationem.*

Stój żalu w porcie, gdy masz zwyczaj być we łzach, i na okręt rplitój polskiej spojrzij i uważ jak źle mu bez masztu, to jest bez Jana Jabłonowskiego, wojewody generała ziem ruskich. Którego gdy zazdrosna Lachesis z grona ludzi i senatu zabrała, w pośrodku burzy zostawia okręt rplitój, który spodziewa się i obawia być wystawionym na burze nieprzyjaciół, a nawet zatonać w głębokościach. Czego wszystkiego za jego życia nie obawiał się, ani o tém myślał, mając toż jego senatorską jako żagle, krzyż ojczysty za kotwicę. Temu jednak okrętowi, takiego sternika i masztu pozbawionemu, nie wróż źle podróżnikowi, ale życz najlepiej temu, który rządził okrętem wbrew niebezpieczeństwu, spokojnego stanowiska w porcie wiecznym.

Na drugiej stronie kościoła, na filarze, było symbolum pałac, za jedną kolumną poruszoną upadający, z inskrypcją: *Traxit convulsa ruinam, co było impetem do tego elogium:*

Specta viator, uno ruente, non unam ruinam. Unus cecidit, Joannes Jabłonowski, palatinus Rus-

siae, sed per quem multi stabant, patria, domus tot et tantae familiae. Quot et quos sanguinis nexu sibi conjunxit, tot hodie traxit ad ruinam. Tres regnorum soles visi occidisse, dum vident hoc suum cecidisse columen. Domus principum, senatus universus se commoveri existimant, dum huic sepulchrum eruitur ac erigitur, dum ille sepulchrali involvitur fascia, qui heri juste, gloriose, prudenter palatinos gestavit fasces. Joannis ille III, Augusti II, invictissimorum regum Poloniae creatura fuit, nunc ad supremum migravit creatorem. Sub utroque rege, utramque expertus fortunam, nunc iniquissimam, dum gloriose stando, tandem cecidit. Vel in modico tamen cinere, magnus genere et genio senator, cui tu viator in beatorum sedibus aeternam precare sessionem.

Patrz podróżniku, kiedy jeden runął, niejedna to ruina. Jeden upadł, Jan Jabłonowski wojewoda ruski, ale przez niego wielu stało, ojczyzna, dom, tyle i tak wielkich familij. Ilu związkiem krwi z sobą połączył, tylu dzisiaj pociągnął z sobą do ruiny. Zdaje się że trzy słońca królestw upadły, gdy widzą jak ta ich upadła kolumna. Domy monarchów, senat cały wzruszone są, kiedy jemu grób się buduje i wznosi, gdy ten w grobowe wmięszany nałęczce, który wczoraj sprawiedliwie, sławnie, roztropnie wojewodzińskie podnosił nałęczce. Był on Jana III i Augusta II, niezwyęzonych królów polskich, stworzeniem, teraz zaś do najwyższego powędrował Stwórcy. Pod dzielnym jednym i drugim królem, jednych i drugich doznawał losów, dzisiaj doznaje najgorszego, gdy stojąc sławnie, w końcu zginał. W miernym jednak prochu, wielki urodzeniem i zdolnościami senator, któremu ty podróżniku życz wiecznego miejsca w siedliskach błogosławionych.

Był też i nade drzwiami kościelnymi następny napis:

Adeste mortales! immortalem Deum exoraturi, ut anima Joannis Jabłonowski, palatini Russiae, superpectus Domini in coelesti caenaculo recumbat; bene scilicet, bono senatori precamini, malae morti, male, quod Joannem vocem clamantis mutum reddidisset, quod Jabłonovium fructu et usu vitae privasset. Quo patriae optimum patrem, carae conjugii dimidium animae, liberis cor et pacem, eruditae volumen grande, amicis delictum, multis maecenatem eripuit, sustulit. Multi eum plorent oculi, quia multorum fuit lumen et pupilla.

Słuchajcie ludzie! nieśmiertelnego Boga błagajcie, żeby dusza Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego



na piersiach Pańskich spoczęła w niebieskim przybytku. To jest dobrze życzenie dobremu senatorowi, a źle złej śmierci, że Jana głosu pozbawiła, że Jabłonowskiemu życie zabrała, ojczyźnie najlepszego ojca, kochanej małżonce połowicę duszy, dzieciom serce i pokój, uczonym wielkie dzieło, przyjacielom rozkosz, wielu mecenasa wyrwała. Wiele go płacze oczów, ponieważ wielu był światłem i wychowawcą.

Julian Bartoszewicz.

SZCZAWIK (OXALIS).

Z całej téj rodziny, której dziś znamy przeszło sto różnych gatunków, nie licząc sztucznych odmian, Kluk i Jundziłł zostawili nam opis jednego tylko, *O. autocella*, kwasnica, albo szczawik zajęczy lub pospolity, jako u nas dziko rosnący. Kluk jednak mówi że wówczas już czternaście innych gatunków znali botanicy. Wszystkie szczawiki odznaczają się piękną barwą kwiatów i ładnym układem liści, a jednak rzadko kiedy widzujemy je w ogrodach i cieplarniach.

Dawniejsi botanicy nazywali tę roślinę *Trifolium acetosum*, niemiecka nazwa *Sauerklee*, dotąd zachowana, odpowiada téj dawnéj nazwie łacińskiej, a obie usprawiedliwione były kwaskowatym smakiem i formą liści, które, tak jak u koniczyny *Trifolium*, stoją zawsze po trzy na jednéj szypułce. Ale prócz téj formy liści dwie te rośliny nie mają między sobą żadnego innego spokrewnienia, owszem szczawik najbliższymi styka się z roślinami nazwanymi *Geranium* (nosek).

Szczawik zajęczy rośnie u nas w lasach i zarosłach, kwitnie w kwietniu. Korzeń ma trwałe, ząbkowe, liście serduszkowate, po trzy na długich ogonkach. Prątki kwiatowe wyrastają wprost z korzenia, są cienkie, krótkie i mają czasem po kilka owalnych listeczków. Kwiaty są białe lub jasno różowe, z czerwonymi żyłkami. Dawniej zapisywano tę roślinę w maignie i skorbutcie, jako chłodzącą i przeciwną gniciu; listkami jej albo solą z nich otrzymywaną wywabiano plamy atramentowe z płótna, i dziś jeszcze gospodynie w podobnym przypadku posyłają do aptek po *sól szczawikową* i otrzymują *kwas winny*, który naturalnie ten sam skutek sprawia.

Różne gatunki *szczawiku* rozrzucone są po całej ziemi od najzimniejszych aż do najgorętszych jej stref, i jak to przy wielu innych roślinach zauważyć można, wielkość i świetność barw kwiatów wzrasta w miarę zbliżania się ich ojczyzny ku palącemu

pasowi równikowemu. Najpiękniejsze gatunki jakie dziś znajdujemy hodowane w ogrodach europejskich, pochodzą z przyładku Dobréj Nadziei i z południowej Ameryki.

Nr 1 na naszej litografii jest *Oxalis Bovies*; gatunek ten w 1824 roku sprowadzony został z przyładka Dobréj Nadziei do Anglii, gdzie z powodu świetnego, różowego kwiatu, którego zwykle po kilka sztuk znajduje się na jednéj łodydze, został z wielką starannością przyswojony; ale z powodu trudnego hodowania nie upowszechnił się dotąd w Europie i tylko w botanicznych ogrodach jest utrzymywany.

Nr 2. *Oxalis crenata* (s. ząbkowany) zaleca się pięknnością dużych żółtych kwiatów, przytém ma nader przyjemny smak i dlatego w niektórych ogrodach, mianowicie w Anglii, obficie hodowany jest na sałatę.

Nr 3. *Oxalis floribunda* (s. kwiecisty) w r. 1829 sprowadzony z Brazylii, tak jak poprzedzający w tymże roku z Peru, ma drobniejsze kwiaty, ale niezmiernie obfite, i kwitnie ciągle od maja do października.

Nr 4. *Oxalis variabilis*, (s. zmienny) sprowadzony został w roku 1795 z przyładka Dobréj Nadziei w 2ch odmianach, białej, jak na naszej litografii, i czerwonej. Z początku botanicy nadawali dwóm tym odmianom osobne nazwy, ale wkrótce przekonali się że to jest jeden i ten sam gatunek, tylko różny barwą, i z tego powodu dano mu nazwę *zmienny*.

Uprawa téj ładnej roślinki jest nader prosta. Sieje się ją w lekką ale żyzną ziemię na wiosnę, kiedy już nie można obawiać się przymrozków, pod gołym niebem albo w doniczkach, skąpo zrazu podlewając; lecz kiedy zaczną rosnąć, potrzebuje w obfitości wody, i tak ciągle, dopóki utrzymuje się żywa vegetacya. Skoro zaczynają jakoby więdnąć, należy zmniejszyć ilość wody, a nakoniec zupełnie zaprzestać polewania. Doniczki odstawiają się w suche miejsce i tam pozostać po-

winny, dopóki nie nadejdzie nowa pora rośnięcia, poczem cebulkowe korzenie wyjmują się z ziemi, oczyszczają z wszelkich obumarłych cząstek i sadzą się znowu. Okazy hodowane na otwartém powietrzu, za nadejściem zimnej pory dobywają się tak jak georginie z ziemi i w suchym piasku przechowują do czasu, w którym bez obawy zmarznięcia mogą być znowu powierzone gruntowi.

PAWEŁ MORPHY.

Zwycięzca na kongresie szachowym Nowego Yorku, na ostatnich turniejach w Birminghamie i Paryżu, Paweł Morphy, urodził się 22 czerwca 1837 r. w Nowym Orleanie. Dziadek jego był rodowitym Hiszpanem, który osiadłszy w Ameryce, tam się ożenił. Matka Pawła pochodziła z rodziny pierwotnie francuskiej, oddawna jednak w Luizyanie zamieszkałej. Pierwsze nauki pobierał w swém mieście rodzinném, a ukończył je r. 1854 w kollegium św. Józefa w Spring Hill pod Mobile. Od tego czasu Morphy poświęcał się studjom prawnym, w zamiarze praktykowania kiedyś jako adwokat w Stanie Luizyany.

Ojciec Pawła wielkim był miłośnikiem szachów i grywał w nie często z bratem swym i szwagrem. Pawełek przypatrywał się tym walkom z silnym zajęciem, a gdy ojciec wskazał mu posunięcia i główne prawidła gry, dziesięcioletni chłopczyk sprostał w niej wkrótce najznakomitszym szachistom miejscowym. Szczególniejsza właściwość gry Pawła w wieku dzieciennym, kiedy zwykłymi przeciwnikami jego byli ojciec i brat, pobudzała nieraz do śmiechu kółko przyjaciół będących świadkami tych zapałów. Pieszki niepotrzebną wydawały mu się zaważać; zaraz więc w początku partyi usiłował zamienić je lub poświęcić, i dopiero oczyściwszy tym sposobem pole, atakował przeciwnika zawzięcie wszystkimi naraz figurami, i nie dając mu wytchnienia, odnosił zwykle zwycięstwo.

W ciągu lat 1849 i 1850 Paweł grał przeszło 50 partyj z Eugeniuszem Rousseau, z których wygrał dziewięć dziesiątych. Rousseau znany jest z walki swój ze Stanley'em w r. 1845, jak niemniej z tego, że będąc w Europie, grał około stu partyj z Kiseryckim, w których słynny Inflanteryk pokonał go wprawdzie, lecz bardzo słabą tylko większością.

Innym przeciwnikiem Pawła w tymże czasie był

stryj jego, Ernest Morphy, gracz równiej niemal siły co Rousseau. Począwszy od r. 1849 stryj ze synowcem grał przeszło sto partyj, z których Paweł wszystkie prawie wygrał.

W maju 1850 przybył do Nowego Orleanu słynny Węgier Löwenthal i spotkał się z młodym Pawłem, mającym wtedy lat 13, w obec wielkiej liczby zwolenników gry szachowej. Pierwsza partya pozostała nierozstrzygniętą, lecz drugą i trzecią wygrał niezwyciężony Amerykanin. Z Jamesem M'Connel Paweł grał 30 kilka partyj, z których przegrał tylko jedną. Pierwszego marca 1855 probował się w Mobile z p. Meek i pobił go na głowę. Tegoż dnia wygrał dwie partye z rzędu z doktorem Ayers, jednym z najlepszych graczy Alabamy. W ciągu kilku lat ostatnich grywał stosunkowo niewiele.

Otoczony aureolą tyłu zwycięstw, młody zapaśnik w październiku 1857 udał się do Nowego Yorku, dla przyjęcia udziału w pierwszym kongresie tamecznego klubu szachistów. Pomimo poprzedzającej go sławy, wielu o nim zwątpiło, widząc go tak młodym. Zaledwo jednak spróbował się w klubie ze Stanley'em, którego pokonał stanowczo, gdy wszyscy członkowie jednogłośnie pierwszą przyznali mu nagrodę. Do końca téż turnieju Morphy utrzymać się umiał na piedestale, obalając kolejno największych dostojników amerykańskiego świata szachowego.

Nie poprzestając na tych tryumfach, Morphy roku 1858 popłynął do Anglii, gdzie wstawił się najprzód zwyciężeniem Löwenthala i Bodena. Pierwszego pokonał w zakładzie o 100 f. st. w stosunku trzech partyj przeciw jednej; drugiego w stosunku pięciu partyj przeciw jednej. Bird, Barnes, Lowe i inni znakomitsi szachiści londyńscy żadnej z nim partyi wygrać nie zdołali.

Udawszy się do Birmingham, grał tam 27 sierpnia

jednocześnie ośm partyj, z najlepszymi szachistami miejscowemi, nie patrząc na szachownicę. Z tych ośmiu partyj wygrał sześć, przegrał jedną, a jedna pozostała nierozstrzygniętą. W zdumiewającym tém spotkaniu, któremu równego nie przedstawiały dotąd dzieje szachowe, podziwiano szczególnie szybkość z jaką Morphy dyktował na pamięć swe posunięcia, nie zastanawiając się w najtrudniejszych nawet razach dłużej jak minutę i poprawiając kilkakrotnie błędy przeciwników.

Przy uczcie wyprawionej na cześć Morphy'ego, prezes klubu szachowego, lord Lyttelton, miał mowę, w której podziwiając bajeczną biegłość młodego Amerykanina, życzył mu powodzenia w czekających go walkach z najsłynniejszymi szachistami Europy, dodając że pragnie szczerze aby pokonał wszystkich, z wyjątkiem jednego tylko Stauntona, którego, dla sławy Anglii, wolałby ujrzyć zwycięzcą jak zwyciężonym.

O ostatniej walce młodego mistrza w stolicy Francji korespondent paryzki Kroniki donosi w treści co następuje:

„Tak nadzwyczajne rzeczy opwiadano mi o tym szachiście amerykańskim, że uważałem za uchybienie mojemu powołaniu sprawozdawcy, nie pójść i nie zobaczyć własnymi oczami, o ile sława ta, tak głośna i powszechna, jest sprawiedliwą. Wybrałem więc na to dzień 27 września, w którym Morphy miał grać ośm partyj na raz, nie patrząc na szachownicę i nie widząc gry przeciwników.

„O w pół do pierwszej po południu w kawiarni *de la Régence*, nabitę tłumami ciekawych, ośmiu wyznaczonych od komitetu najlepszych graczy zasiadło na swoich miejscach, w jednej z sal bocznych. Morphy w przyległym pokoju, odwrócony twarzą do ściany, (jak to przedstawia załączony drzeworyt) siedział spokojny, zadumany, nie widząc naturalnie nikogo z publiczności, która w głębokim milczeniu czekała wypadku walki. Dwaj członkowie towarzystwa szachowego oznajmiali w głos posunięcia graczy. Przeciwnikami Amerykanina, wybranymi z pomiędzy najbieglejszych szachistów paryzkich, byli: p. p. Baucher, Bierwitz, Bornemann, Guibert, Lequesne, Potier, Preti i Seguin.

„Po kilkunastu pojechaniach widoczną było rzeczą dla widzów, że młody mistrz pojął doskonale względna siłę i sposób grania każdego z przeciwników, i że stosownie do tego rozporządza grą własną. Każde swe posunięcie wskazywał dokładnie i jasno, ani razu nie pomyliwszy się w całym ciągu walki.

„Najmniej biegły z przeciwników, p. Preti, pierwszy zaatakowany został gwałtownie, a zmuszony wkrótce przyjąć pozycją obronną, poznał prawie zaraz że partya przegrana. Równie szybko przewagę zyskał Morphy nad czterema innemi graczami, p. p. Potier, Baucher, Bierwitz i Bornemann. Zostało więc na placu trzech tylko nieprzyjaciół, p. p. Lequesne, Seguin i Guibert, z któremi spotkanie było daleko trudniejsze i dłuższe. O godzinie 9 1/2 wieczorem Lequesne i Guibert, walczący równemi prawie siłami, zaproponowali aby partye ich uznano za rozegrane czyli nierozstrzygnięte, co Morphy przyjął, pomimo niezaprzeczonej lepszosci swęj pozycyi.

„O dziesiątej jeden tylko p. Seguin walczył jeszcze z królem i trzema pieszkami, przeciw królowi i trzem pieszkom Morphy'ego; ale gdy widoczną stało się rzeczą, że jeden z piešków ostatniego dostanie się do damy, to jest wyjdzie na królowę, p. Seguin złożył broń i przyznał zwycięztwo Amerykaninowi. Kiedy wypadek walki został ogłoszony, tłum zapełniający kawiarnię *de la Régence* okrył oklaskami zwycięzcę i w tryumfie odprowadził go na ulicę.

„Widziałem go kiedy wstał z krzesła po 10 godzinach ciężkiej pracy umysłowej, w ciągu których prawie nie ruszył się z miejsca i nic do ust nie wziął. Żadnego zmęczenia nie było widać na tej młodej i spokojnej twarzy. Jest miernego wzrostu, przyjemnych ale zwyczajnych rysów, i nic w nim na pozór nie zdradza tak niepojętych darów pamięci i refleksyi.

„Gra Pawła Morphy odznacza się niezwykająnością poruszeń i gwałtownością wymierzanych razów, którym niepodobna prawie oprzeć się, tak są niespodziane i nagłe. Zdaje się być obcym temu co się dzieje na szachownicy; spoziera na nią wprawdzie od czasu do czasu, lecz jakby w roztargnieniu, a posuwa figury, jakby nie myśląc wcale o tém co robi.

„Podziwiam wraz z innemi niezmierną biegłość, pamięć i wprawę Amerykanina, i poklaskuję z zachwyceniem tym ósmiu partyjom granym jednocześnie,— lecz obok tego przypominam sobie zdanie Mendelsohna o szachach, że są zbyt poważne jako gra, zbyt płóche jako nauka.”

Nie podzielamy tego aforyzmu słynnego filozofa niemieckiego; wyznajemy owszem że grę w szachy uważamy za równie zajmującą jak nauczającą i zdolną wpłynąć na ogólne władz umysłowych rozwinięcie.

Pozostawało teraz Morphy'emu zmierzyć się ze Stauntonem, tym kolosem długo niezwykczonym, którego nie zastał w Londynie podczas swęj tam bytności, i z professorem wrocławskim Andersenem, słyn-

nym pogromcą samego Stauntona, a zatem pierwszym szachistą w Europie. Dumni Anglik widocznie spotkania unika, nie chcąc zapewne narazić nieco już przyżółkłych swych wawrzynów w walce z dwudziesto-

letnim młodzieńcem. Inaczej rzecz tę uważał Andersen. Wyzwany przez Amerykanina, zjechał się z nim w Paryżu podczas ostatnich feryj Bożego Narodzenia. Ułożono się zagrać dziesięć partyj, z których pięć wygranych stanowić miało zwycięstwo. Cały świat szachowy z nateżoną uwagą oczekiwał wypadku tej prawdziwej walki olbrzymów. Lecz i tym razem wyższość została przy genialnym Amerykaninie: z siedmiu partyj Morphy wygrał pięć, Andersen dwie tylko, dwóch przeto pozostałych grać już nie było po-



Paweł Morphy.

sen. Wyzwany przez Amerykanina, zjechał się z nim w Paryżu podczas ostatnich feryj Bożego Narodzenia. Ułożono się zagrać dziesięć partyj, z których pięć wygranych stanowić miało zwycięstwo. Cały świat szach-

trzeba. Tak więc Ameryka odniosła stanowczy tryumf nad starą Europą, i Morphy jest dziś potęgą niezwaloną, której w przyszłości chyba nowy jaki zapaśnik wydrzeć zdoła palmę pierwszeństwa.

TEATR, AKTORZY I DRAMATURG HISZPANSKI.

KILKA RYSÓW CHARAKTERYSTYCZNO-HUMORYSTYCZNYCH.

Od końca XVI wieku, przez całe stulecie, ciągnie się wspaniały okres świetności dramatu hiszpańskiego, który, pod względem bogactwa i różnorodności, wszystkie inne przewyższył i stał się dla nich, mianowicie dla włoskiego i francuzkiego, bogatą kopalnią. Był on wiernym obrazem narodowych cnót i przesądów oraz najulubieńszą rozrywką, i nie było prawie ani jednego miasteczka, w którymby nie znajdował się teatr. Grywano sztuki nawet w zakrystyach i kościołach, w co musiała się wdać władza i z czasem zakazać, z powodu nieprzyzwoitych tańców i scen w intermedyach. *Corrales*, czyli teatry, były to wówczas podwórza, do których przytykały tylne części rozmaitych domów. Okna tych domów, wedle zwyczaju hiszpańskiego, okratowane, służyły za łoża; poniżej okien dolnych znajdowały się wzniesione siedzenia, przed temi zaś otwarta przestrzeń, z której ludzie niższej klasy przypatrywali się widowisku. Ci ostatni, z powodu hałasu i wrzaskliwych oznak zadowolenia lub nieukontentowania, jakie porównywano do wystrzałów z muszkietów, nazywali się *mosqueteros*. Przed samą sceną znajdowały się ławki. Dla kobiet niższej klasy w głębi podwórza urządzone było oddzielne miejsce. Osobną łożę miał alkad dla policyjnego nadzoru; pierwiastkowo umieszczał się na samej scenie. Prócz tego był rodzaj bufetu, gdzie sprzedawano napój nazwany *aloja*, złożony z wody, miodu i korzeni. Siedzenia, albo też cały teatr, był przykryty płótnem, które zabezpieczało od promieni słońca, ale nie od deszczu, co czasem rozpędzało widzów. Scenę stanowiło rusztowanie, oparę stóp nad poziom wyniesione; była ona bez porównania więcej zbliżona do widzów niż dzisiejsza, nadto miała dosyć szerokości, ale nie miała głębokości. Orkiestra występowała na scenie. Nie znano kurtyny, dekoracją zaś stanowiły jedynym kolorem malowane zasłony, które zarazem służyły za wejścia z za kulis. W głębi sceny znajdowało się wzniesienie, które miało wyobrażać wały miasta, balkon, wieżę, górę i t. p. Dekoracje i zmiany ich,

jak to ma dziś miejsce, wcale nie istniały. Tym sposobem fantazyja widza niezmiernie wiele musiała dopełniać, zwłaszcza że nieraz zostawiano najniestosowniejszą dekoracją dlatego tylko, że była piękną. W jednej sztuce Kalderona, bohater dramatu znajduje się w chwili wejścia na scenę w gaju Dyany, wyobrażonym przez kilka drzew, licho na płótnie nagwazdanych; wtém, nie ruszając się z miejsca, oświadcza on iż znajduje się w dzikiej, skalistej okolicy. W równie dziewiczym stanie była maszynerya. Cervantes, który tej stronie sceniczności oddaje pochwały, sam się zbija, mówiąc w jednym miejscu swój Numancyi: „Tu należy toczyć pod sceną beczkę, napełnioną kamieniami, dla naśladowania grzmotu.” Taka była maszynerya w końcu XVI wieku; później udoskonaliła się tak dalece, że spuszczano nawet obłoki i osoby np. świętych z nieba na ziemię. Nie śmiejmy się z tej nieudolności w maszyneryi i dekoracyi, raczej ubolewajmy nad obecnym stanem sztuki. Wówczas poeta liczył śmiało na współzucie i imaginacyą widza, którego w oka mgnieniu czarodziejską laską z miejsca na miejsce przenosił, nie potrzebował się troszczyć co jest do wykonania na scenie możliwem lub nie i bujał swobodnie w dziedzinie fantazyi, gdzie unosiła się za nim i fantazyja widza. A dziś widzimy odwrotny stosunek: mechaniczna, materyalna strona przedstawienia zabija myśl twórczą; dziś dyrektorowie najświetniejszego w Europie teatru, dyrektorowie francuzcy, wymyślają tylko sposoby przyciągania widzów np. słońcem elektrycznym oślepiającego blasku, dobrze naśladowanymi bałwanami i przepyszny okręt, przeciągającym po wzburzonym morzu.

Co do ubioru, ówczasowi Hiszpanie równie dalekimi byli od archeologicznych wysileń nowoczesnej teatralnej garderoby. Nieraz starożytni występowali tu w ubiorach hiszpańskich; dlatego Lope de Vega narzeka, że Rzymianie w jego sztukach ubrani są w spodnie, a Cervantes zastrzega, aby w jego Numancyi nie dawano strzelb rzymskim legionom.

Wyjątek w tym opisie teatru stanowi teatr dworski, który Filip IV z wielkim urządzeniem przepychem. Przedstawienia rozpoczynały się w zimie o drugiej, w lecie o trzeciej godzinie po południu; nie znano więc efektu sztucznego oświetlenia. Trwały od dwóch do trzech godzin.

Co się tyczy *autos*, to jest misteryów religijnych, te były dawane na ulicach, dokąd w zamkniętych i osłoniętych wozach przybywali aktorzy; na miejscu ustawiano wozy w półkole, zasłony zaś wozów służyły za dekoracye. Autos rozpoczynano o piątej po południu, a światła i pochodnie zapalano jedynie na cześć Sakramentu Ciała i Krwi, na pamiątkę którego były przedstawiane te misterya. Do misteryj wprowadzano rozmaite figury, potwory, głowy olbrzymie i t. p., poruszane przez ukrytych w ich wnętrzu ludzi. W przerwach dawano żartobliwe i błazeńskie intermedya.

Spokojność przedstawień nie była wzorową: najwięcej bywało hałasu w loży dla kobiet niższej klasy, gdzie swiergotały nieustająco lekkomyślne niewiasty, zawsze tłumnie zebrane, do których przychodzili magnaci i w czasie gry aktorów bawili się żarcikami, nieraz pękając od śmiechu.

Kiedy się zbliżała chwila rozpoczęcia sztuki, wszystkie stany, mnisi nawet, biegli do teatru; rzemieślnicy i szewcy, partaczów nie wyjmując, ubierali się w płaszcze, szpady i sztylety, nazywając się *caballeros*. W tym okazałym stroju niejeden z téj hołoty, którą jak wiemy nazywano *mosqueteros*, był prawodawcą gustu. Zajmując dziedzicznie najbliższe miejsce przy scenie, głośno dawał oznaki niezadowolenia, poziewał lub świstał; na niego młodzież wszelkiego stanu bacznie zwracała oko i we wszystkiém szła za jego przykładem. Na wspomnienie takiego *mosqueteros* drżał niejeden biędny autor; uprzedzając więc burzę, szedł do niego z rękopisem, prezentował się za pośrednictwem jego przyjaciela, a kłaniając się z pokorą, prosił o pozwolenie przeczytania swéj sztuki; zasięgał rady i polecał się względem przemożnego Arystarcha, błagając aby miał wzgląd na ukochane jego muzy dziecię, którego los i sława od łaski jego zależy. Po teatrze szewc wracał do warstatu, dla naprawiania starego obuwia, aby znowu w dniu następnym ukazać się przy scenie, jak widmo grożące szyderstwem i niesławą.

Aktorki, jak zawsze, były w modzie i doznawały protekcyi wielkich figur. Położenie aktorów było mniej świetne. Truppy ich nie były do miejsc przywiązane i prowadziły życie koczujące; niektóre ogra-

niczały się na wsiach, ciągnąc z jednej do drugiej. Taką truppe spotkał raz znany nam don Kichot. W chwili kiedy był zajęty rozmową ze swym sędzią, zajechał mu drogę wóz, najdziwaczniejszymi figurami zapełniony. Na koźle siedział diabeł, za nim śmierć z twarzą ludzką, anioł z ogromnemi malowanemi skrzydłami, król z koroną na głowie; u stóp śmierci bożek Kupido, z łukiem i kołczanem pełnym strzał; dalej jeszcze rycerz w całym uzbrojeniu, tylko że zamiast hełmu miał kapelusz z piórami różnokolorowemi; prócz tego kilku arlekinów w burkach, ze szpicrutami w rękę. Na zapytanie zdziwionego don Kichota, odrzekł pokornie diabeł: „Łaskawy panie, my jesteśmy aktorami należącemi do towarzystwa *złego ducha*; dziś rano, jako w tygodniu Bożego Ciała, w jednej wsi po za tém wzgórzem przedstawialiśmy *dwór śmierci*, i chcemy z tém samym misteryum wystąpić w téj wsi, którą tu oto widać, a że to tak blisko, więc chcieliśmy sobie oszczędzić kłopotu z przebieraniem. Oto ten młodzieniec jest śmiercią, ta kobiéta, żona autora, ¹⁾ królową, tamten żołnierzem, ten cesarzem, a ja jestem diabłem, bo w naszym towarzystwie zawsze najważniejszą gram rolę.”

W braku osób, wprowadzano maryonетки, lub używano miejscowych włościan. Uciążliwość takiego koczującego życia maluje jeden autor temi słowy: „Niéma negra, ani niewolnika, któryby nie był szczęśliwszym od aktora. Niewolnik od rana do wieczora pracuje, ale gdy skończy swą robotę i pana zadowolni, jest swobodnym. Aktor, gdy dzień zaświta, musi do dziewiątej rano uczyć się roli, potem robić próby i grać. Ledwie skończyło się przedstawienie o 6 lub 7ej, woła go do siebie prezydent, sędzia lub alkad, którego fantazyą musi zaspakajać. Czy wiatr, czy ślota, burza, mróz lub zawieja, musi on dążyć do wskazanego celu, a na domiar biedy tysiączne gusta sprzeżone z sobą zaspokajać.” Świadectwem jak dotkliwą była dla autorów ta zmienność i wymagalność sądu, są prologi (*loa*) poprzedzające każdą sztukę. W prologach tych poeci uciekali się do ironii lub pochlebstwa. I tak jeden poeta w ten sposób zaczyna swój prolog: „Szemrajcie, gadajcie i śmieJCie się z nas wszystkich, z jednego dlatego że odchodzi, z drugiego że wchodzi na scenę; powiedzcie że komedya nie nie warta, że wiersze nędzne, muzyka licha, że plan niéma sensu, że artyści niedołęgi; życzę wam za to kaszlu, coby was udusił, i żony, coby was dobrze okła-

¹⁾ W truppe zwykle znajdował się poeta, który już to dawne sztuki przerabiał, już nowe tworzył.

dała." Inny autor wprowadza do prologu wszystkich aktorów, z których każdy pokornie do innego z miejsc odzywa się: „Okażcie nam współczucie, o ławki, bądźcie względniemi o łoże, łaski rycerskie siedzenia! Najukochańsi *muszkietierowie*, wy czoło widzów, dajcie nam wsparcie, pomoc i ciszę!” Inny jeszcze każe przed rozpoczęciem sztuki nie tylko królom, ale suflerowi, kassyerowi, kostiumierowi, a nawet kufrom i garderobie całej wystąpić przed szanowną publicznością, do której w tych słowach przemawia: „Senacie, audytorium, słuchacze, amfiteatrze, kolizeum, galanci, damy, dziewczyny, panowie, szlachta, plebejusze, baby, mnisi, muszkietierowie, wszystkich was błagamy o przebaczenie.”

Wracając do aktorek, dla których dosyć było mieć przyjemne ruchy, nieźle stukać kastanietami i jako tako śpiewać, aby mieć powodzenie, — następny rys bliżej ich znaczenie dozwoli ocenić.

Menchilia, wdzięczna dziewczę, już przeznaczona do świętobliwego żywota, idąc za nagłym poszeptem próżności, zrzuca włosienicę, wkłada baskinę i biegnie do trupy komedyantów. Cała wesoła zgraja wnet ją opada; po ścisłym egzaminie, oświadczają wszyscy iż warta być księżną. *Gracioso*, (trefniś) wlaższy na kufer, taką wita ją przemową: „Sennora donna Menga, witajże nam, witaj! Ale jeżeli myślisz że tylko róże będziesz zrywać, to bardzo się mylisz, oj bo liche nasze życie, poznasz to po strawie i zapłacie. Niemać to u nas klauzury zakonnej, ale wstać ze słońcem do roboty, a nie mieć nigdzie swobody i spokoju jak Syzyf, to rzecz nie lada; a z głodnym żołądkiem na mróz marszerować w drogę, to też może nic, mościa dobrodziejko? No prawda i to, że jak się do dużego dostaniemy miasta, to nam się jakoś niebo rozjaśnia; tam, miła donno, zaraz na trzeci dzień posypią ci się gradem oświadczenia miłosne prozą i wierszem; nade wszystko w Madrycie, tém mieście książąt, będą chcieli oprawić cię w złoto. Ale pomimo to ciężko być aktorem; graj trzy godziny, to ci głowy mało nie rozsądzi. Zastanów się więc moje dziewczę, czy dobrze robisz że do naszego towarzystwa wstępujesz.” Ale nowozacieżna bynajmniej nie cofnęła swego postanowienia, i zapłaciwszy trefnisiowi oklaskiem wspólnie z innemi, rzekła wdzięcznym głosem: „Panie ojcze! widzę że w dobrej myśli chcesz mię zawrócić; alem się uzbroiła na wszelkie trudy, a ufam w swoje wdzięki, które mi i sławę przyniosą, i świetne zapewnią schronienie, gdy schwycę na małżonka jakie hrabiątko. Twarz moja obiecuje niemałe korzyści; zgrabny mój trzewiczek jest najpewniejszą strzałą miłości; a jak za-

cznę stukać swemi kastanietami, to podam treść do tysiąca nowelli, i nie jeden kartuz nie oprze się memu urokowi. Moje księżniczki, skoro los dał mię wam za towarzyszkę, dajcie mi zaraz moją rolę; nie chcę ani chwili zwlekać z wystąpieniem. Chcę zaraz teatr zrobić polem boju, na którym ani jedna dusza pocisków mych nie ujdzie; i scena wasza zobaczy takie rzeczy, jakich od Islandyi aż do dalekiego Wschodu nie widziano. Jestem gotową wszystko co zażądają przedstawić świetnym językiem, działaniem i gestami. Med, Pers, Macedończyk i Got lepiej się wyda na scenie niż w historyi; w czterech godzinach skupiają się tu wypadki, w długich opisane rocznikach; przerwy napelnione są dźwięcznymi harmoniami, które wiatr miłem echem roznosi. I ty, złośliwco, chcesz mię od tylu uroków odwrócić? Bądź pewien, że gdybym urodziła się infantką, a potem aktorką została, to byłabym przekonana, że polepszyłam swój stan! Jakże więc mogłabym uganiać się za zasłoną mniszą i za kratą? A tu wy otaczacie mię jak swobodne kwiaty, rozzielenione rosą. Zamieniam więc pustynią na świeże źródło. Wprawdzie wiem że ta droga nie prowadzi do celu życia, lecz do przepaści; ale, przyjaciółki, pókiśmy młode, kochajmy i żyjmy, a potem, jeśli taka będzie wola nieba, niech nas spotka los Baltazara!”

Zradością i podziwieniem cała trupa słuchała tych wyrazów, i okrzyknęła Menchilią swą królową; porwano ją i umieszczono na wzniesieniu obok muzyki. Poczém dyrektor tak się odezwał: „Co za szczęśliwy traf, o przyjaciele, którego pomimo całej mej wymowy opisać nie zdołam! W tak młodych latach, tyle rozumu, obok tak trafego sądu, taka piękność! Czyni to wam zaszczyt że dostajecie ją do swego grona. Tysiąc rzeczy możemy przedsięwziąć przy jej pomocy. Jako aktorka i jako tancerka, uzbrojona kastanietami, będzie zachwycać i tłumy widzów przyciągać, a kassa nasza będzie się coraz bardziej napelniać. O jestem pewien, że nasza mała będzie odnosić zwycięstwa; dała nam tego dziś próbę. Pozwólcie więc jej, przyjaciółki, aby nad wami wzięła górę. Najprzód będzie, jak sądzę, najstosowniej przewędrować kraj cały, i odegrywać sztuki, w których ról nauczy się nasza mała; a potem, poprzedzeni rozgłosem, nadciągnięciem do stolicy, i damy szcztka światu, zabrawszy mu co miał najlepszego.”

Do trupp aktorów czepiali się wszelkiego rodzaju włóczęgi, awanturnicy, mnisi, co porzucili szatę zakonną i t. p. Truppy te dzielono na rozmaite rodzaje. I tak: *bululu* jestto aktor który sam jeden podróżuje; przybywszy do wsi, udaje się do proboszcza,

oświadczając że umie kilka komedyj. Gdy nadejdzie cyrulik i organista, aktor oświadcza że jeżeli zrobią mu składkę, żeby miał za co dalej się udać, to im odegra komedię; poczem włazi na kufer i przedstawia swą sztukę, objaśniając: „że teraz wchodzi ten lub ta, i mówi to a to.” Tymczasem ksiądz zbiera dla niego w kapelusz kilka miedziaków; w dodatku daje mu kawałek chleba, miskę zupy, i aktor idzie dalej próbować szczęścia. *Naque* (Niake) oznacza dwóch mężczyzn, którzy umieją przedstawić intermedium, (entremeses) a nawet jakie *auto* i kilka prologów, noszą brodę z włosienia i pobierają od widzów marawedis lub denara. Żyją skromnie, śpią w ubraniu, chodzą boso, rzadko jedzą do syta, latem w polu polują na pchły, a w zimie pardonują im z powodu mrozu. *Gangorilia*, jest to już większe towarzystwo, z trzech lub czterech mężczyzn, z jednego który umie rolę błazna, i młodego chłopca, który gra diabła. Przedstawiają oni misterjum o *straconej owcy*, noszą brody i peruki, chętnie pożyczają suknie kobiece i czepce (które czasem zapominają oddać), biorą od widzów po cztery marawedis, lub natomiast chleb, jaja, serdele i t. p., grają w każdej wsi, śpią na gołej ziemi i wstają z potłuczonymi ramionami, bo nie mają płaszców. *Cambaleo* składa się z jednej kobiety, która śpiewa, i z pięciu mężczyzn, którzy ryczą; prowadzą oni z sobą zapas, złożony z jednego dramatu, dwóch misteryj, trzech lub czterech intermedyj i pakunku sukien jaki mogą udźwignąć. Kobieta w drodze noszą na barkach lub w lektyce. Zamiast opłaty sześciu marawedis, przyjmują również żywność, len, słowem niczem nie gardzą. Bawią na jednym miejscu do sześciu dni; dla kobiety najmują łóżko, a sami, jeśli zdołają pozyskać łaskę karczmarki, dostają posłanie i śpią w kuchni. Na obiad jedzą po kawałku mięsa i po sześć talerzy zupy, piją wino z wodą zmieszane; ust po obiedzie nie ocierają, bo na wszystkich mają tylko jedną serwetę. Pod nazwą *Garnacza* rozumie się towarzystwo pięciu do sześciu mężczyzn, jednej kobiety, grającej pierwszą damę, i chłopca mającego rolę drugiej damy. Pędzą przed sobą osła, na którym siedzi stękając kobieta, i gdzie umieszczają kufer z garderobą, składającą się z dwóch sukien męzkich, szerokiej opończy, trzech szub, bród, peruk i jednego półwelnianego kobiecego ubrania; repertoar ich zawiera cztery komedye, trzy *autos* i tyleż intermedyj. We czterech śpią w jednym łóżku, jedzą mięso wołowe i skopowinę, a wieczorem niekiedy niezły frykas; mają wino półkwarciami, mięso na uncye, chleb na funty, a głód na centnary. Dają prywatne widowiska

za piezzonego koguta, gotowanego zajaca, cztery reale i dwie kwarty wina, albo ogółem za dwanaście reali. W *Boczigoni* jest już dwie kobiety, jeden chłopiec, i sześciu do siedmiu mężczyzn; spokojność i korzyści tej trupy często są narażone, z powodu że rzadko się zdarza, żeby tu się nie wcisnął jakiś awanturnik, niepoń, zakochany lub zazdrośnik. Mają z sobą sześć komedyj, trzy lub cztery *autos*, pięć intermedyj i dwa kufry z garderobą teatralną i ubraniami kobiet; prowadzą czterech mułów, jednego dla kufrow, dwóch dla kobiet, a czwartego dla siebie, na którego co kwadrans kolejno siadają. Na siedmiu mają dwa płaszcze. Sypiają zwykle pod kominami gdzie wiszą kiełbasy, które okręciwszy naokoło ciała, umykają. Są oni zmienni jak księżyc, jeśli nie mają dobrego dyrektora. W *Faranduli* znajduje się trzy kobiety i ośmnaście komedyj; trupa ta jeździ na mułach lub wozem, zwidza znakomitsze miasta, ubiera się dobrze, daje przedstawienia za dwieście dukatów i prowadzi wesołe życie; aktorowie noszą pióra u kapeluszy i kity u hełmów. Tu znajdują się galanci, którzy zaciśnawszy kapelusze, skędzierzawiwszy faworyty i owinawszy się w płaszc, rzucają miłosne spojrzenia, dają znak ręką i udają zakochanych. *Companias* są rozmaicie złożone i próbują wszystkiego; znajdują się tu i dobrze wychowani, szanowni mężczyźni dobrego rodu, i przyzwoite dziewczęta (bo tam gdzie wszelkiej klasy są ludzie, i to się znaleźć może). Kompania ma pięćdziesiąt komedyj, siedmdziesiąt pięć centnarów pakunku, szesnaście osób które grają, trzydzieści które jedzą, jedną która odbiera w kassie pieniądze, i Bóg wie ile, które kradną. Jedni jadą na mułach, inni w powozach lub konno, inni w lektykach, ale żaden nie wsiądzie na wóz, bo powiadają, że ich żołądek tego nie zniesie. Z powodu licznych ról jakich się uczą, starannych prób i zmiennego gustu widzów, nie szczędzą usiłowań w popisaniu się z należyłą grą. Jak awanturniczem było życie aktorów, o tém przekona nas małe opowiadanie, które kładziemy w usta jego bohatera:

„Opuściłem Walencyą z towarzyszem moim Solano, ja bez płaszcza, on w jednym tylko kaftanie, a to skutkiem niefortunnego przypadku. Już był wieczór, gdyśmy przybyli do jednej wsi, mając całego majątku ośm szelągów. W karczmie nie dostaliśmy łóżek, z powodu jarmarku; poszedłem więc do drugiej karczmy, gdzie podałem się za indyjskiego kupca. Gospodyni zapytała, czy mam z sobą pakunki, na co odpowiedziałem że jedziemy wozem, który wyprzedziliśmy; a tymczasem, zanim wóz nadjedzie, zażądałem dwóch

łóżek i kolacyi. Otrzymaawszy co żądałem, udałem się do alkada i oświadczyłem mu, że przybyła truppa aktorów, czy więc pozwoli dać widowisko. I udzielił pozwolenie, gdy go zapewnił że to będzie sztuka treści religijnej. Pospieszyłem do karczmy i powiedziałem Solanowi, żeby sobie przypomniał auto Kain i Abel i niezwłocznie się udał na oznaczone miejsce, dla prowadzenia kassy, gdyż dziś jeszcze trzeba dać przedstawienie. Postarałem się o tamburyn, przyprawiłem sobie brodę z kłaków i ogłosiłem o mającej się odegrać sztuce, a było we wsi niemało ludzi naówczas. Odrzuciwszy brodę, udałem się do gospodyni i powiedziałem jej: Oto właśnie przychodzą moje towary, proszę o klucze od mego pokoju, żebym miał je gdzie zamknąć. Zapytała co to za towary, a ja odrzekłem: Bakalie. Wpadłszy do izby, pościągałem prześcieradła z łóżek, zabrałem z ziemi stary dywan i jeszcze kilka różnych gałganów, zwinąłem wszystko razem i wyrzuciłem oknem, a sam pędem błyskawicy zbiegłem ze schodów. Na dziedzińcu spotkałem gospodarza, który rzekł do mnie: „Panie Indyaninie, przybyli tu komedyanci, mają jakąś sztukę przedstawić; może pan pójdiesz, podobno nieźle grają.” Odpowiedziawszy że pójdę, pobiegłem dla zabrania rzeczy, z pomocą których mieliśmy dać widowisko. Chciałem to uczynić jaknajprędzej, żeby gospodarz nie dostrzegł zdrady; ale szukałem napróżno. Strach mię wziął jak tu z tego wszystkiego wyjść; biegnę do szynku, gdzie Solano pobierał za wejście od widzów, opowiadam mu wszystko, on zabiera pieniądze i dalej obydwu w nogi. Wystawcie sobie jakieśmy wystrychnęli całą wieś na dudków, zabrawszy jednym bieliznę, drugim pieniądze.

„Téj nocy szliśmy niewiele, i tylko bocznemi drogami. Rano, zrewidowawszy nasze kieszenie, znaleźliśmy półczwarta reala drobną monetą. Widzicie żeśmy byli bogaci, ale pełni strachu. Uszedłszy dalej z milę, dostrześliśmy chatkę, gdzie dostaliśmy wina z korbasowej flaszki, mléka z koryta i chleba z sakw dobytego. Udawszy się do innej miejscowości, pomyśleliśmy o zarobku. Pozyskałem pozwolenie grania, dostałem trzy prześcieradła i gitarę, ogłosiłem po wsi widowisko i kazałem Solanowi pobierać opłatę od wejścia. Kiedy dom już był pełny, zacząłem śpiewać jakąś romanżę, ale mi się urwało po pierwszej strofie. Solano wystąpił z prologiem, tnąc bąki muzyczne. Ja owinałem się w prześcieradło i zacząłem grać swoją rolę. Gdy Solano wystąpił w roli Stwórcy ze światłem w ręku, osłonięty w prześcieradło, które miało dziurę we środku i było powalane wytłocznymi

z wina, widząc to mało nie pękłem ze śmiechu; biędna publiczność nie wiedziała co się z nią dzieje. Poczém ukazałem się w intermedyum jako trefniś. Następnie w scenie, w której ja jako Kain miałem dokonać bratobójstwa, zapomniałem noża; ale żem nie leniwy, odejmuję przeto brodę i przerzynam nią gardziel biędnemu Ablowi. To rozjuszyło widzów; zaczynają nas lżyć. Ja proszę o przebaczenie błędów, ponieważ reszta trupy jeszcze nie przybyła; ale to na nic się nie przydało. Kiedy wszyscy już byli obruszeni, nadchodzi gospodarz, radząc abyśmy się co żywo wynosili, bo nas chcą obić. Korzystamy z téj szacownej rady i umykamy, wzbogaceni pięcią realami.”

Do tego szkicowego obrazka teatru i aktorów dodajemy jeszcze ustęp humorystyczny jednego roman-su Guevary o lichym poecie dramatycznym:

W jednej oberży około godziny drugiej w nocy dał się słyszeć trwożny okrzyk: „ogień! ogień!” Liczni podróżni, noclegujący w oberży, z przerażeniem zrywają się z łóżek, jedni wyskakują oknami, drudzy co tchu uciekają po wschodach; niektórzy z nich, położywszy się w stroju ojca Adama, z powodu upału, w tym samym stroju zbiegli na dziedziniec. Don Kleofas wziął pod pachę cztery łokcie sukna, których nie zdążył wciągnąć, a zamiast miecza uchwycił w pośpiechu miotłę, stojącą w kącie pokoju, i podążył za innemi. Wtém wszedł w środek tego zaimprovizowanego zgromadzenia gospodarz ze świecą w ręku, prosząc aby się uspokoili i wrócili spać, ponieważ hałas i zamieszanie było bez istotnego powodu. Na prośbę don Kleofasa, gospodarz w ten sposób przyczynę harmidru wyjaśnił: „Od trzech miesięcy mieszka tu u mnie jeden student z Madrytu, który uwziął się pisać dramata, i już napisał dwa, które wygwizdano w Toledo. Teraz pisze trzeci, mający za przedmiot pożar Troi; zapewne więc był zajęty przed chwilą opisaniem wybuchającego ognia, i widać tak się zapalił, że wyobraźnią swoją wziął za rzeczywistość i wyrzucił z pierśmi grzmiącym głosem owe wyrazy, które nas wszystkich tak przeraziły. Jeśli chcecie się przekonać o prawdzie słów moich, to pójdźcie ze mną do jego stancyi.” Zaraz wszyscy, jak kto stał, udali się za gospodarzem. Wszedłszy do stancyi poety, znaleźli go otoczonego papierami, zapienionego, w porozrywanéj sukni, rozciągniętego na podłodze i wykrzykującego głuchym głosem: „Ogień, ogień!” Umierając na pół od śmiechu, zbliżyli się doń mówiąc: „Panie licencyacie, możebyś co zjadł i wypił dla pokrzepienia się?” Poeta podniósł głowę i zawołał: „Jeśli jesteście Eneasze i Anchizes z penatami i ukochanym Askaniuszem, to czegoż tu szukacie?”

Już Ilion obrócony w popiół, już Priam, Paris, He-
kuba i Andromeda zapłacili śmierci należną daninę.
Już Helena, przyczyna tak wielkiego nieszczęścia,
uprowadzona przez Menelaja i Agamemnona, i już,—
co najgorsza,—Mirmidoni zagarnęli skarby Troi.”

— Ale przyjdźże do rozumu, rzekł gospodarz, boć tu
nie idzie nam o głupstwa jakieś napłodzić; najlepiej
byłoby żeby cię zawieziono do bonifratrów, gdzie
śmiało możesz być głównym dowódcą głupców; ry-
my zajechały ci w głowę, jak najzawziętsza gorączka.

— Ho! ho! pan gospodarz widzę zna się na *affektach*,
odrzekł poeta, podnosząc się jeszcze więcej.

— Co za *effekta*? ja nie mam nic do czynienia z za-
dnemi efektami, tylko swoim zajmuję się procede-
rem. Tu główna rzecz, żebyś mi jutro zapłacił rachun-
ek i poszedł na cztery wiatry; bo już dłużej nie mo-
gę wytrzymać z takim gościem, który mi co noc dom
do góry nogami przewraca. Zaledwie tu przybył, za-
raz zaczęły się widowiska; bo jak tylko napisał wy-
gwizdaną później komedią *Markiz Mantui*, zdawało
mu się że jest na polowaniu i krzyczał w niebogłoso-
: „Melampie, Oliweros, skakunie, wiatrożerco, hola,
hajże go!” I takiego narobił hałasu strzeleckimi
okrzykami i gwizdaniem, że z tego powodu zachoro-
wała jedna kobieta podróżująca z Andaluzji do Ma-
drytu, która wówczas tu nocowała. Później, pisząc
o zdobyciu Rzymu dramat, który podobnemuż co
i pierwszy uległ losowi, powybił w nocy wszystkie
okna i drzwi, co miało naśladować bicie w bębny
i odgłos trąb, i krzyczał grzmiącym głosem: „Na śgo
Jakuba! powstańcie Hiszpanie!” Nie dosyć tego, uda-
wał głosem huk armat i takię narobił wojennej wrza-
wy, że żołnierze (bo wtedy nocowała u mnie kompa-
nia piechoty), myśląc iż powstała bitwa, porwali za
broń i wśród ciemności walczyli pomiędzy sobą. Na-
reszcie z powodu strasznego hałasu zbiegła się poło-
wa Toledu, zeszedł sąd i przetrząsnęto mi cały dom,
a poeta groził jeszcze dramatem diabelskim; bo trze-
ba wiedzieć że on jest jak żuraw, nigdy nie śpi i cią-
gle rymuje, dniem i nocą.

Poeta odpowiedział: „Gdyby ten dramat był skoń-
czony, bo zastawiłem dwa pierwsze akta dla zapła-
cenia tobie panie gospodarzu, tobyś jeszcze inny po-
znał hałas; bo ta sztuka nazywa się „*Zmierzch Pa-
lestyny*”; w trzecim akcie właśnie rozdziera się za-
słona świątyni, słońce i księżyc zaćmiewają się, ska-
ły pękają i całe sklepienie niebieskie, z żalu nad
swym Stwórcą, wśród piorunów, błyskawic, okazania
się komet i wybuchów wulkanicznych, zapada się.
No, cóż myślisz o tém, panie gospodarzu? Dlatego
tylko nie dokończyłem téj sztuki, że nie zdecydowałem
się na nazwisko kata który w niej występuje.”

— To idź ją dokończyć na górze Kalwaryi, rzecze
gospodarz; ale ci z góry przepowiadam, że gdzie-
kolwiek ją przedstawisz, będziesz wygwizdany i wszel-
kiego rodzaju owocami zarzucony.

— Grubo się mylisz; upadający dyrektorowie po-
dźwigną się za pomocą moich sztuk. Żeby zaś ci pa-
nowie przekonali się o tém i mogli podziwiać styl mo-

ich dramatów, to im przeczytam jeden z nich, skoro
tak wcześnie już ze snu się zbudzili.

I zaraz wziął się do rzeczy: uchwycił stos papierów,
ogromny jak akta processowe, wznosił do góry po-
wieki, pogładził faworyty i odczytał tytuł następują-
cy: „Tragedya trojańska, podstęp Synona, koń gre-
cki, wiarołomna para i diabelscy władcy.”

— Ale, przerwie mu jeden z żołnierzy, który wy-
glądał jakby aktor ztéj tragedyi: „Czy taka maszyna
w jakimkolwiek teatrze się pomieści? Bo dla nię za-
mały i teatr dworski w Madrycie, choć wspanialszy
jest od rzymskich amfiteatrów, zamały nawet i cyrk
do walki byków przeznaczony.”

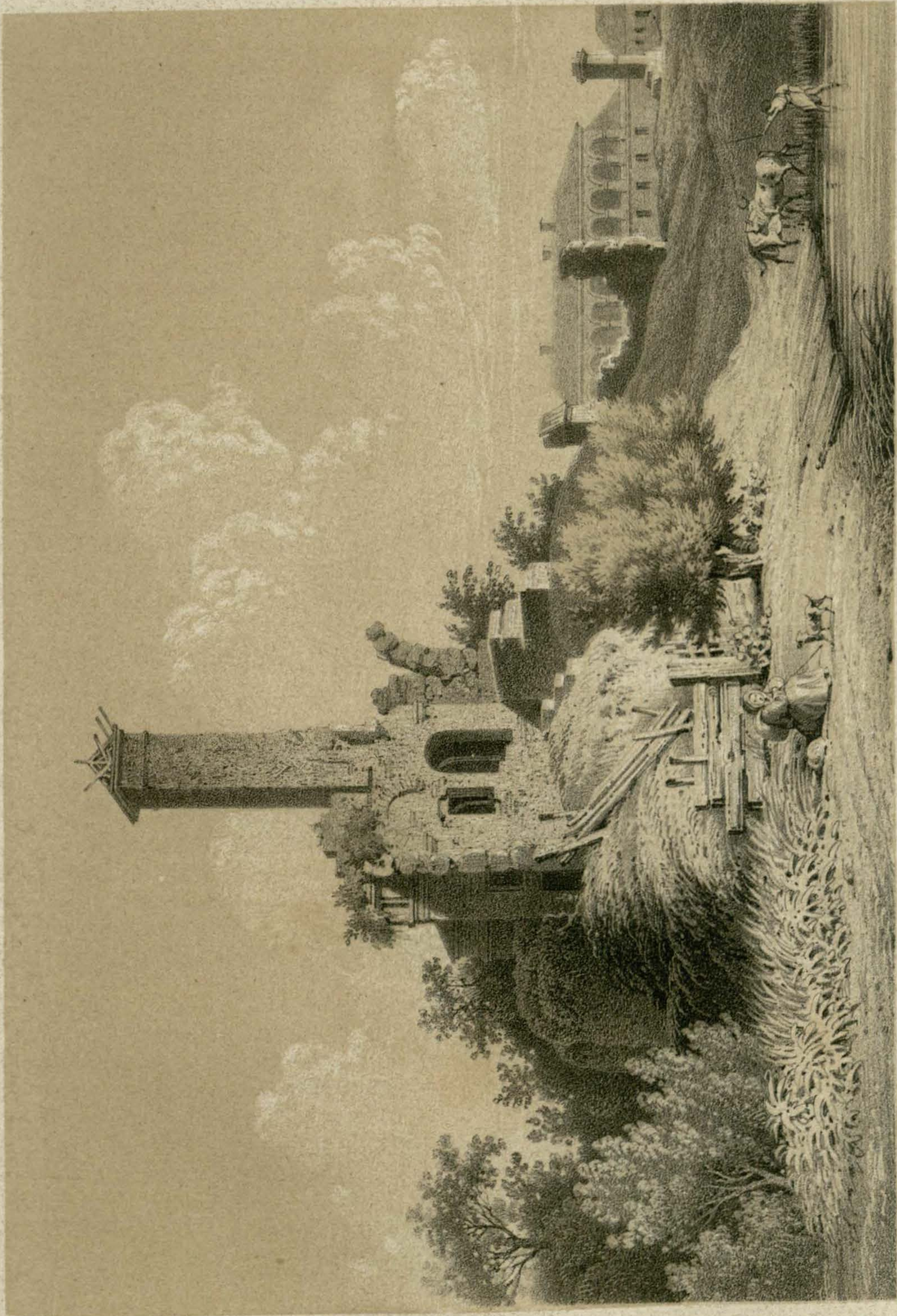
— E! odrzecz poeta, znajdzie się na to sposób:
zwali się dwie ulice, to i miejsce będzie dla maszyny;
bo to jest rzecz najcudowniejsza i najbardziej zadzi-
wiająca ze wszystkiego co kiedykolwiek na scenie wi-
dziano. Nie każdy stworzy taki dramat, a dyrektorow-
wie tyle na nię zyskają, że ani będzie znać takiego
wydatku. Ale słuchajcie panowie, teraz zaczyna się
sztuka; na miłość boską uwaga! Występują na scenę,
śród okropnej wszawy i odgłosu kotłów i trąb, król
Pryam i księżę Parys; pośród nich Helena konno;
na prawo jedzie król (bo nigdy nie pomijam z uwagi
pierwszeństwa należnego monarszym osobom), a za
niemi na czarnych rumakach jedenaście tysięcy dam.

— To jeszcze trudniejsze do przedstawienia, wtrącił
jeden ze słuchaczy, bo zkadże wziąć tyle kobiet?

— No, pewna liczba może być z tektury,—odpowie
poeta — a inne można z różnych okolic sprowadzić.
Jeżeli sztuka będzie graną w stolicy, to przecież
powinno być miłym dla dam, że ich towarzyszki będą
miały udział w tak nadzwyczajnym widowisku, tém
bardziej że się uwolnią od tych nieznośnych istot
przez cały czas trwania sztuki, to jest przez 7 do 8
miesiący.

Słuchacze pokładali się od śmiechu i szalona we-
selość trwała z pół godziny; poczem poeta rzecz tak
dalej prowadził: „Tu się niema z czego śmiać; bo z po-
mocą boską, spodziewam się napełnić świat memi
dziełami, a Lope de Vega, to cudo Hiszpanii, będzie
wyglądał przy mnie jak proch marny. Poczem usunę
się i napiszę heroiczny poemat dla moich potomków,
z którego będą się żywić rymami przez całe życie.
Lecz teraz, panowie, słuchajcie wierszy mego dra-
matu!” I nastawił się do deklamacyi, podniósłszy
prawą rękę; lecz wszyscy błagali go jednogłośnie, aby
to na inny raz odłożył, a gospodarz, który niewiele
miał artystycznego zmysłu, oświadczył mu bez ogród-
ki, że ani godziny dłużej w domu swoim znosić go nie
będzie. Wtedy całe towarzystwo, i *Cavalleros* i żoł-
nierze, wyglądający niby orszak karnawałowy, wdali
się w tę sprawę jako pośrednicy. Don Kleofas wziął
jakąś *Artem poeticam* (sztukę pisania poezyi), leżącą
na ziemi między papierami, włożył ją w ręce poety
i odebrał od niego przysięgę, że już nigdy nie będzie
pisać tragedyi, tylko same komedye. W ten sposób
gospodarz uważał się za zupełnie zadowolonego i wszy-
scy powrócili do swych łóżek; a poeta, wzięwszy dra-
mat pod pachę, zmordowany rzucił się na posłanie.

Bolesław Wiktor.



Wydawnictwo „Czytelnik”

BRAŃSKIE JOWICZE.

RADZIEJOWICE.

Wieś nad rzeczką Gorgolą pod Mszczonowem, wstarożytniej ziemi sochaczewskiej, była rodzinnym gniazdem bardzo dawną a głośnieją w dziejach naszych mazowieckiej rodziny Radziejowskich, herbu Junosza. Od Radziejowic wzięli Radziejowscy swoje nazwisko. Odznaczali się zaś w historii jeszcze za czasów udzielnosci Mazowsza, bo chociaż księstwo rawskie dawno już do Korony wcielone było, jednak Radziejowscy, mazurami będąc i urzędując ciągle w oczyszczonych okolicach, na pograniczu tej części Mazowsza, co jeszcze udzielnosc najdłużej przeczoławała, mieli z książętami warszawskimi ciągle stosunki. Radziejowice nawet nabyły smutnej bardzo sławy w historii ostatnich chwil tego księstwa i panujących nad niem ostatnich Piastów, Janusza i Stanisława Konradowiczów.

Jędrzej z Radziejowic, jak to wskazują nasze źródła dyplomatyczne, już roku 1503 był kasztelanem sochaczewskim, z ramienia króla polskiego. Aleksander Jagiellończyk na sejmie lubelskim podniósł go na wojewodę rawskiego w listopadzie roku 1503¹⁾, po śmierci Jędrzeja z Kutna. Niewiadomo dlaczego potem w kilka miesięcy Radziejowski ustąpił z województwa rawskiego znowu na kasztelanią sochaczewską, dla Prandoty z Trzciany, który wziął województwo na następnym sejmie piotrkowskim²⁾; być może dlatego, że dostał starostwo rawskie, co się z piastowaniem województwa nie godziło. Bądź co bądź, nie zaraz jeszcze w źródłach napotykamy go tym starostą. Na trzecim z kolei sejmie radomskim, na którym Łaski oddawał swój statut wielkoradzcom narodowym, znajdował się Jędrzej z Radziejowic w maju r. 1505, ale jeszcze nazywają go tam po prostu tylko kasztelanem sochaczewskim, bez starostwa³⁾; ze starostwem czytamy go dopiero pod r. 1511, chociaż dosyć czę-

¹⁾ Nominacya ta nastąpiła w Lublinie, w piątek przed św. Elżbietą 1503, jak świadczą metryki kor., a że podług Bielskiego sejm król zwołał na św. Szymona i Judę, musiało to być na sejmie w początkach listopada, jak powiedzieliśmy.

²⁾ W sobotę przed niedzielą Oculi ta nominacya 1504 r. Metryki.

³⁾ Codex dipl. Rzyszczewskiego I. str. 229.

sto i przedtém i potem mają go dyplomata. ¹⁾ Starostą rawskim i kasztelanem sochaczewskim podpisał przywilej kollegiaty łowickiej. ²⁾ W r. 1512 Jędrzej został wojewodą plockim i znajdował się w grudniu na sejmie piotrkowskim, gdzie podpisany na przywileju danym przez króla prymasowi. ³⁾ Z aktów Tomickiego przekonywamy się, że Jędrzej, zatrzymując ciągle starostworawskie, był wojewodą w latach 1514—16, ⁴⁾ i że musiał umrzeć w tymże ostatnim r. 1516, gdy Jędrzej Niszczycki zaraz wtenczas nazywa się po źródłach wojewodą plockim.

Otóż tego wojewody córką być musiała głośna w ostatnich dziejach Mazowsza Katarzyna z Radziejowic. Powiadają że matka młodziuchnych książąt Stanisława i Janusza, Anna Radziwiłłówna, chcąc sama panować w Mazowszu, synom różne nastęrczała miłostki. W liczbie innych dziewcząt wzięła do służby dworu książęcego wielką zalotnicę, córkę wojewody pana z Radziejowic. Znała się ta panna dobrze na czarach i jeszcze za życia matki zdobyła sobie bezkarnie księcia Stanisława. Nie na rękę to było księżnie matce, która o inne dziewczęta mogła być spokojną, ale nie była o wojewodzanę z Korony; wojewodzance albowiem mogło się zachcieć kiedyś mitry. Ztąd nagabała matkę Katarzyny i ją samę, aby dała pokój książątku. Jakoż ohydziła Anna synowi kochankę i rzucił ją Stanisław. Ale Katarzyna wtedy usidliła największemi czarami drugie książątko: Janusz zaczął jeździć często do Radziejowic. Oczywiście Katarzyna nie mieszkała już wtedy na dworze warszawskim, ale u siebie na wsi; a być to musiało już po śmierci wojewody plockiego, gdyż za jego życia obydwaj książęta mazowieccy byli jeszcze dziećmi.

Zaliwski, ulubieniec stariej księżny, starał się odwieść Janusza od tych przejażdżek do Radziejowic; więc go otruły razem matka i córka, a potem

¹⁾ 1510 r. Przyjaciół chrześcijańskiej prawdy z r. 1833, zeszyt 2gi str. 87 i 3ci str. 95, oraz dodatek tygodniowy do gazety lwowskiej 1852 Nr. 38.

²⁾ Niesiecki, VIII. str. 31.

³⁾ Olszowski w Załuskim T. I.

⁴⁾ Tomiciana, T. 3. str. 280 i 4ty str. 65.

otrwały starą księżną Annę, że im stała na przeszkodzie. Odtąd księżę Janusz raz wraz przejeżdżał się do Radziejowic. Wojewodzina z córką zaczęły się z kolei obawiać Stanisława, żeby czasem brata nie odwiódł od zamyslanego małżeństwa. Katarzyna, której się koniecznie chciało być księżną, postanowiła zgubić i tę trzecią ofiarę. Trafiło się iż Janusz zaprosił Stanisława na wieczerzę do Błonia i tam godując obydwaj podochocili sobie. Katarzyna bawiła się z nimi i czekała na szczęśliwą sposobność; ale nie wiodło się jakoś tego wieczora, trudno było wsypać truciznę do napoju, bo mogła niechcący zgubić obydwu braci. Dopiero nazajutrz zatrzymała Stanisława na wyjeździe i podała mu zatrutego kapłona, po którym niedługo umarł księżę. Janusz, teraz pan całego udzielnego Mazowsza, mógł się już bez przeszkody żenić z Katarzyną, ale zwłóczył. Jeździł wprawdzie jak dawniej do Radziejowic, i Jordanowski starosta błoński, powiernik wojewodzanki, starał się jaknajwięcej usidlić księcia w te miłosne stosunki; gdy przecież panowie rad sprzeciwiali się takim związkom i wreszcie przekonywać zaczęli Janusza, spiskowi użyli na nowo czarów. Pomiarkowawszy się wkrótce Katarzyna, że wszystko zgubione, chciała przynajmniej pożegnać księcia i czarami na dawnym kochanku wymogła, że obiecał podarować jej Błonie. Jordanowski zaś miał się z nią ożenić; ale na to siostra Janusza, księżniczka Anna, trafiając w myśl panów rad, potrafiła znaleźć stosowne lekarstwo. Widząc raz brata w dobrym humorze, zaczęła prosić dla siebie o Błonie i panowie rad mocno ją poparli. Księżę Błonie dał siostrze i wtedy Jordanowski z wojewodzanką postanowili otruci ostatniego księcia, czwartą już ofiarę ambicyi i pychy. Janusz, widząc złe względem siebie usposobienie Jordanowskiego, dał mu 400 kóp groszy i sześć koni ze swojej stajni na przeprosiny. Ale szkaradny miał charakter ten Jordanowski: niechęć raz powziętą ku księciu rozpałał nienawiścią, burzył synowca, który przegrał sprawę w sądzie książęcym, zdradził się wreszcie listami; więc pojmany, ogniem egzaminowany w Ciechanowie i ścięty.

Została wreszcie sama jedna czarownica, wojewodzanka, która postanowiła dopiąć zemsty na Januszu. Miała kiedyś rodzony brata, który był kanonikiem, zapewne u sgo Jana w Warszawie; brata tego zabił w jakimś zdarzeniu nieznanym nam bliżej Nosilski. Kiedy po śmierci kanonika słudzy jego pozostali bez obowiązku, powiadają że Katarzyna wpływem swoim u księcia Janusza wymogła, że dwóch łotrów z dworu braterskiego, a mianowicie Piotra puszkarza i Macie-

ja muzyka, przyjął do służby. Piotr znał się to niby na medycynie. Przekupiła ich obydwu wojewodzanka, i gdy księżę przejeżdżał się z Rzewna do Warszawy, Maciej dał mu w podróży truciznę; Piotr zaś, jako praktyk lekarski, leczył go także dozami trucizny. Wydało się to potem, ale już po śmierci księcia; łotry zostali straceni, a z Radziejowskiemi, matką i córką, niewiadomo co się stało.

Powieść którąśmy tutaj przytoczyli ¹⁾ nie wytrzyma we wszystkich szczegółach krytyki, jednakże musi być w niej wiele prawdy. Ten Jordanowski, z kucharza Radziejowskich podkomorzy książęcy i starosta, musiał troszkę inaczej wyglądać w rzeczywistości. Ofiar tutaj za dużo, wojewodzanka za bardzo szpetna; ale nie można zaprzeczyć miłosnego stosunku księcia do wojewodzanki, zwłaszcza gdy z kilku społecznych źródeł wieść nas o tём samém dolatuje. Obydwaj księżęta bywali w Radziejowicach, obydwaj się kochali w wojewodzance; ztąd łatwy społecznych wniosek, że czarować umiała, a gdy w niedługim czasie po sobie obydwaj bracia pomarli, legendy ludowe, nie przebierając pomiędzy sposobami tłumaczenia tego naturalnego może wypadku, zaćmiły prawdę całą kanwą zmyśleń. Dość że w każdym razie Radziejowice smutną odegrały rolę w dziejach Mazowsza i że Radziejowscy już na początku zawodu swojego publicznego źle uprzedzają o sobie.

Bratem Jędrzeja wojewody plockiego, a stryjem Katarzyny mógł być ksiądz Jan z Radziejowa (jeżeli tutaj słusznie płała Niesiecki Radziejów z Radziejowicami), dominikan, doktor teologii, dobrze zasłużony swemu zakonowi i prowincyi, od r. 1505 biskup teodozyeński i sufragana gnieźnieński. Ks. Jan w r. 1510 już nie żył, gdyż w Gnieźnie sufragana był wtenczas Mikołaj biskup naturyjski.

Zygmunt Stary pożyczył pieniędzy u wojewody plockiego. Pragnąc się z długu uwolnić, dobrze było to już po śmierci wojewody, wypuścił dwóm jego pozostałym synom, (trzecim był ów bezimienny kanonik, u którego Piotr z Maciejem służyli), przyległe dobra w okolicy Radziejowic, to jest miasteczko Mszczonów i kilka wiosek. Dwaj ci bracia nazywali się Jan i Mikołaj, prawo zaś to zastawne zyskali przez przywilej w roku 1530 ²⁾. Jan większe miał nadanie jak brat, gdyż król zobowiązywał się że nikomu z poddanych nie pozwoli Jana z tych majątności wykupić, a nawet za siebie i za następców swoich ręczył, że go nigdy nie

¹⁾ Album literackie Wojcickiego, T. I. str. 31—37.

²⁾ Star. Polska, I. 572.

wykupią. Nie był to więc właściwie zastaw, ale nadane prawo własności, zupełna darowizna, a raczej powiedzmy lenność, gdyż król zrzekając się wszelkich praw swoich do nadanych dóbr, tytuł własności niewiadomo dla czego zachowywał dla siebie, i ztąd Radziejowscy zawsze się mieli tylko za dzierżawców mszczonowskich. Taki im tytuł nadawano wszędzie po urzędowych aktach. Zapewne procenta od pożyczonéj summy, wzrastając ciągle, nadaniami prawa własności kazały się królowi wywiązywać z długu. Inne dobra Bonar oczyszczał i wykupywał; Mszczonów zaś poświęcono, zdano na rzecz prywatną. Od tego czasu można powiedzieć że Mszczonów stał się urzędową stolicą Radziejowskich. Założyli sobie tam groby rodzinne w kościele parafialnym i wszyscy się w nich chowali. Radziejowice, o milę od tego miasteczka odległe, z zamkiem swoim były ich prywatnym mieszkaniem.

O losach Jana trudno wiedzieć co dzisiaj; brat zaś jego Mikołaj więcej poważny w historii. Niesiecki zdaje się że tutaj poplątał dzieje rodziny, ma albowiem dwóch Mikołajów, jednego robi w r. 1544 wojewodą kujawskim, drugiego zaś nieco później kasztelanem gostyńskim. Ów wojewoda kujawski nie był to podobno Radziejowski, ale Potulicki, co i sam Niesiecki już uważał; zresztą dla dwóch pokoleń tutaj niema miejsca, wyszło zaś już wtenczas ze zwyczaju dwóch synów jedném imieniem nazywać. Dlatego wypuściwszy z historii Radziejowskich niepotrzebnego wtęta, Mikołaja wojewodę kujawskiego, zajmijmy się Mikołajem kasztelanem gostyńskim, a wojewodziecm plockim. Kasztelanem tym był już w roku 1553, nie zaś dopiero w r. 1562, jak to Niesiecki podaje na zasadzie jakiegoś przywileju miasta krakowskiego; znajdował się albowiem na wjeździe do Krakowa królowej Katarzyny, trzeciéj żony Zygmunta Augusta, już w roku 1553 jako kasztelan. Żona jego, z domu Działyńska wojewodzanka pomorska, zbliżyła się wtenczas do tronu, kiedy królowej podjęła się uczyć po polsku. Zygmunt August lubił oboje kasztelaństwo, nawet trzymał im do chrztu małego syna Janka. Zawdzięczając „ważne usługi, cnotę, pilność, staranie, roztropność, nieskazitelność i werność kasztelana i żony,” która nie szczędziła zdrowia swego dla królowej, wreszcie chcąc zobowiązać sobie ich synów, Zygmunt August ponowił nadania ojca, nawet zdaje się że je więcej rozszerzył. Podarował im albowiem przywilejem z roku 1554 dobra mszczonowskie ze wsiami, które następnie wylicza: Zator, Kampinos, Wiejca, Wilków, Głusk, Wola-Wilkowska i Ma-

ła Wieś, zastrzegając zwrot tych dóbr do Korony, po wygaśnięciu najdalszego potomstwa Radziejowskich w linii męzkiej. Otóż widzimy jawnie określony stosunek lenności. Poprzednio jeszcze przed kilką laty Zygmunt Stary, na prośbę mieszczan mszczonowskich, potwierdził w r. 1546 w zupełności pierwotne ich prawa.¹⁾

Ale mimo te wszystkie nadania, nierząd widać gubił kasztelana gostyńskiego. Chociaż był marszałkiem królewskim i starostą sochaczewskim, zadłużył się po uszy, tak dalece, że kiedy mu żona umarła, musiał zastawić Kampinos, Wiejce i drugie jeszcze swoje dobra dwóm Działyńskim, Janowi wojewodzie i Michałowi podkomorzemu chełmińskim, rodzonym braciom żony. Zadłużył się im, zadłużył się téż innym, dlatego wypuszczając szwagrom te dobra w roku 1562, wkładał zaraz obowiązek żeby dłużników spłacali i wyliczał w akcie cały ich szereg. Szwagrowie mieli trzymać te dobra aż do czasu kiedy synowie jego, Jan i Michał, dojdą do pełnoletności. Przez ten czas mieli wujowie siostrzeńców żywić, odziewać i pamiętać o wszelkich potrzebach. Troskliwy ojciec do pomocy tym głównym opiekunom dodał innych swych przyjaciół, jakoto księży: Wojciecha Starozrebskiego, Piotra Myszkowskiego i Stanisława Karnkowskiego, samych przyszłych biskupów. Przewyżkę wydatków powinni byli płacić opiekunowie wychowańcom. Król zatwierdził te układy w piątek przed św. Bartłojem 1562²⁾. Kasztelan gostyński pożyczął i królowi. Dał mu raz 10,000 zł., za co król zastawem mu puścił starostwo sochaczewskie (31 sierpnia 1562). Później w rok Zygmunt August przeniósł ów dług ze starostwa na cło wodne we Włocławku (31 lipca 1563). Dalej dał kasztelanowi libertacyą od wszelkich ciężarów na dom w Mszczonowie; nareszcie pozwolił mu założyć tam i uposażyć szpital³⁾.

Nie tych stosunków familijnych, któreśmy tutaj wymienili, nie zna Niesiecki, chociaż dziejopis rodzin szlacheckich. Po Mikołaju kasztelanie gostyńskim opuścił całe jedno pokolenie.

Jan kasztelanie gostyński wychował się na dworze Zygmunta Augusta. Był całe życie tylko dzierżawcą Kampinosa i Wilkowa, jak się sam nazywał. Katolik bardzo gorliwy, nie ubiegał się za wielkością, może téż nie miał czasu ubiegać się o nią, gdyż umarł dosyć młodo, licząc najwięcej lat czterdzieści. Mamy pod ręką kopią jego testamentu, który przed samą

1) Star. Polska, T. I. str. 572.

2) Metr. ks. 96, str. 39.

3) 25 sierpnia 1563. Metr. ks. 96. str. 44, 154 i 166.

miernią spisał w Radziejowicach w roku 1593. Pochować się kazał w Mszczonowie, w grobie przodków; na kościół parafialny mszczonowski zapisał złotych sto, zaś na kaplicę w której ciała Radziejowskich spoczywały, a raczej dla księdza, którego chciał żeby utrzymywano przy kaplicy, przeznaczył dwieście złotych polskich: była to tedy nowa fundacya. Na pogrzeb osobno zapisał złp. tysiąc. Wykonawcami testamentu ustanowił Stanisława z Leżenic Gostomskiego wojewodę rawskiego, dalej dwóch Trzecińskich, Hieronima cześnika sochaczewskiego i Stanisława starostę rawskiego, wreszcie synowca swego rodzonnego, pana Stanisława. Pan Stanisław był prawem oczkiem stryja. Osobno w testamencie kładł na niego obowiązek, żeby doglądał wykonania praw i zapisów, osobno zapisywał mu wszystkie ruchomości w Radziejowicach „za uczciwe posługi jego.” Testament pisał widać na skonaniu, gdyż datowany jest w oktawę Bożego Ciała przed św. Janem, a w dwa tygodnie później, t. j. na d. 5 lipca 1593 r., już dwaj z wykonawców téj ostatniej woli stanęli w konsystorzu warszawskim i testament ów zaoblatowali. Byli to Hieronim Trzeciński i Stanisław Radziejowski¹⁾.

Stanisław pewno wziął po stryju Radziejowice. Z testamentu dowiadujemy się, że był synem Michała, o czém nie wie Niesiecki. Michał ten musiał być młodszym bratem Jana, dzierżawcy Kampinosa i Wilkowa. Stanisław miał i siostrę, która była w małżeństwie za Krz. Bąkowskim podkomorzym pomorskim. Tak związaaliśmy całą nić genealogiczną dziedziców Radziejowic, poplątaną zupełnie w Niesieckim.

Stanisław ciągle od r. 1601 występuje na świat szlachecki, jako starosta sochaczewski, był już obrany wtedy deputatem do poprawy praw. W r. 1603 jest starostą bialskim, zapewne także w Rawskim. Znajdujemy potem o nim wzmiankę jako o dobroczyńcy świeżo spalonego pod panowaniem Zygmunta kościoła dominikańskiego w Sochaczewie; znaczne czynił jałmużny na odnowienie kościoła i klasztoru różnemi czasy, nareszcie w roku 1610 dał sto złotych na żywność dla zgromadzenia²⁾. W r. 1613 wyjeżdżał za granicę, przynajmniej myślał wyjeżdżać, gdy sejm wtedy zatwierdził jako zastępcę jego na starostwie, czyli na surrogatora, Jana Mikołajewskiego podczaszego sochaczewskiego³⁾. Radziejowski już

był podówczas kasztelanem rawskim, w lat zaś pięć potem, w r. 1618, jest wojewodą rawskim. Starostwo grodowe nie godziło się z województwem, ztąd w exorbitancyach sejmu z r. 1623 szlachta skarżyła się na to nadużycie prawa i chciała Radziejowskiego pozbawić starostwa¹⁾. To było najprędzej powodem, że w r. 1627 przesiadł się Radziejowski na województwo łęczyckie, nietylko albowiem było to krzesło o wiele wyższe, ale mógł przy niém zostać się i na starostwie sochaczewskiem, które już w inném leżało województwie. Zdaje się że pobożny był, kiedy tak opiekował się dominikanami w Sochaczewie, a jednak nie płacił dziesięcin do stołu biskupiego z gruntów starościńskich, o co był pozywany przed sąd biskupi poznański w r. 1619²⁾. Znajdował się podobno na tym ostatnim sejmie warszawskim, po którym zaraz umarł król Zygmunt III. To pewna, że po sejmie, kiedy król zajął się sądami, już po świętach wielkanocnych, ostatnią sprawą którą sądził, była sprawa wojewody. Kanclerz Radziwiłł, który o tém mówi, nie opowiada jaka to była sprawa (21 kwietnia 1632 roku). Przed samą śmiercią pańską radził z pany wojewoda i szedł z senatu do królewiczów, żeby piechotę węgierską i jazdę niemiecką pozwolili pod posłuszeństwo i ordynans marszałka kor. (29 kwietnia). Od 1 maja już w bezkrólewiu radził z pany pod przewodnictwem prymasa; na prozbę téż jego nie odstąpił ciała królewskiego i ciągle rezydował w Warszawie. Na koronacyi, która potem nastąpiła, był wyznaczony z senatu do sądenia exorbitancyj, na elekcyi do uspokojenia stanów. Znajdował się i na koronacyi Władysława IV w Krakowie, po której razem z kanclerzem litewskim Radziwiłłem posługiwał królowi przy wkładaniu kapelusza kardynalskiego na Jana Olbrachta biskupa krak., królewicza. Kiedy na rynku krakowskim stolica królowi hołd wykonywała, wojewoda łęczycki niósł berło. Wspominają potem źródła o waśni jego z Wołuckim kasztelanem małogoskim, którą król uspokoił (1 marca 1635) w Warszawie, wśród sądów. Brał dalej udział wojewoda w układach z Moskwą, ku czemu car przysłał walne poselstwo, w skutku ostatniej wojny smoleńskiej. Było to ono poselstwo, które przybyło upominać się o zwrócenie dyplomatu elekcyi Władysława na cara. Ledwie się to skończyło, król na radzie prywatnej, na którą wezwał około trzydziestu senatorów, podniósł sprawę o swoje małżeństwo

¹⁾ Akta konsystorza warszawskiego.

²⁾ Pamiętnik rel. moral. T. V. str. 119.

³⁾ Konstytucye.

¹⁾ Niemcewicz, Zbiór pamiętników o dawniej Polsce, T. VI. str. 422, wydanie Bobrowicza.

²⁾ Akta konsystorza warszawskiego.

z Angielką wdową po królu czeskim, palatynie Renu. Rzecz ta poruszyła cały senat, który głosował przeciw małżeństwu, a każdy miał sobie za powinność ostrzegać króla, uważając to za krok patryotyczny. Tymczasem obecny w Warszawie wda łączycki nie głosował wcale. Kanclerz Radziwiłł, wspominając o tém i o wielu innych, co nie głosowali, pisze: „Niewiem czemu na radę nie przyszli, do których téż król ani posyłał, zdania ich się wypytyjąc, jako posyłał do wojewody bełzkiego i marszałka nadwornego koronnego, którzy obydwaj na podagrę chorzy w domu się zatrzymali.” Okoliczność ta nie świadczyłaby wiele o dobrych stosunkach króla do wojewody łączyckiego, gdyby nie przyszło posądzać tutaj po prostu o kaprys pana i nic więcej. Radziejowski tegoż roku, 3go maja, imieniem rplitéj zaprzysięgał u św. Jana w Warszawie poselstwu moskiewskiemu, że dyplom elekcyi na carstwo nie znalazł się w archiwach i że w tém niema żadnego udania ¹⁾.

Wojewoda łączycki dwa razy się żenił: raz z Katarzyną Sobieską, sławnego wojownika Marka wojewody lubelskiego córką, i z nią miał dwóch synów, Mikołaja i Hieronima oraz córkę Eulalią Eleonorę; drugi raz z Krystyną Sapieżanką, córką także sławnego wojownika na Moskwie za Samozwańców, starosty uściackiego, z Wejherówny wojewodzanki chełmińskiej. Druga ta żona już przeżyła wojewodę.

Oboje ci państwo mieli zaszczyt w progach swoich, to jest w zamku radziejowskim, spotykać wysokich gości. Kiedy król wreszcie przeniósł myśl swoją ku Cecylii Renacie, siostrze cesarskiej, i nastąpić miało wesele w Warszawie, z młodą arcyksiężniczką nadjechała Klaudya Florentyna, przedtém wdowa po księciu urbinackim, a następnie żona Leopolda arcy-księcia tyrolskiego. Cały miesiąc były uroczystości w Warszawie. Wreszcie zabrała się arcy-księżna Klaudya do powrotu. Wojewoda korzystał z okoliczności i potrafił ją namówić że drogę obróciła na trakt inszy jakim jechała do Warszawy i obiecała odwiedzić Radziejowice. W istocie arcy-księżna, dobrze od króla udarowana, ze wszystkimi którzy na jój usługach byli, (gdyż od najmniejszego do największego bogatemi łańcuszkami, klejnotami i t. p. król, kontent z młodą żoną, obsypywał Niemców), ruszyła z Warszawy z całym dworem swoim na noc do Radziejowic (26 września 1637 r.). Towarzyszył arcy-księżnie ksiądz Maksymilian Eisenreich, jezuita bawarski, który po-

¹⁾ Pamiętnik Albr. Stan. Radziwiłła, T. I, str. 10—360 w różnych miejscach.

przednio przyjechał do Polski nawidzieć siostrę swoją rodzoną, księżnę Radziwiłłową, kanclerzynę litewską. Odprowadzali arcy-księżnę aż do Radziejowic król Władysław z młodą małżonką. Za nimi orszak świetny, w którym zapewne znajdował się i kanclerz litewski, bo nam o tych szczegółach donosi. Cały następny dzień zeszedł w Radziejowicach „przy muzyce i tańcach wesoło,” i dopiero trzeciego dnia arcy-księżna ku granicy niemieckiej, a królestwo ku Warszawie się udali. ¹⁾.

To pierwsze nawidziny majestatu u Radziejowskich: będzie ich jeszcze więcej.

Wojewoda łączycki, jakby czekał tylko na ostatni ten zaszczyt, co miał spotkać go w życiu, umarł ku końcowi tegoż 1637 roku w kilka miesięcy. Przed samą śmiercią dostał starostwo łomżyńskie, które otrzymał po nim zaraz bezpośrednio młodszy syn Hieronim. Inne urzędy wojewody poszły w podział pomiędzy obcych ²⁾. Żona wdowa Sapieżanka poszła potem za Krzysztofa Gębickiego podstolego koron., a później cokolwiek kasztelana gnieźnieńskiego. Wesele odbyło się „z wielką pompą” w Warszawie na dworze 24 listopada 1639 r. ³⁾. Córkę jedyną nie wiemy czy wojewoda przeżył, ale przeżył zięcia, Pawła Niszczyckiego kasztelana sierpskiego, o lat sześć przynajmniej, rycerskiego męża i arcy gorliwego katolika, który się pierwszy z rodziny szczerze z kościołem pojednał.

Historia Mikołaja, starszego syna wojewody łączyckiego, mało jest znajoma. Był w roku 1648 kasztelanem łączyckim. Ożenił się z Agnieszką Plichcianką, córką Walentego kasztelana rawskiego, i umarł bezpotomny, kiedy i gdzie? niewiadomo.

Daleko ważniejsza jest historia młodszego brata Hieronima, który z burzliwości charakteru słynął i zostawił po sobie niecne wspomnienie. O nim to zapewne opowiada kanclerz Radziwiłł, jako raz w czasie sejmu w Warszawie powadził się na obiedzie u drugiego Radziwiłła wojewody wileńskiego (30 lipca 1634 r.) z Daniłowiczem wojewodziecem ruskim. Z małej poszło im rzeczy i zaraz „za łby i czupryny rwać się poczęli, tak dalece że obydwaj pięściami się potłukli i łysiny obaj dostali.” Byłoby niemało krwi rozlania od nadchodzącej z obu stron czeladzi, gdyby przednią drzwi nie zamknięto. Cała jednak izba błyszczała się od dobotych szabel. Wojewoda gospodarz za-

¹⁾ Pamiętnik Al. Stan. Radziwiłła, I. 360.

²⁾ Pam. Al. Stan. Radz. I. 366.

³⁾ Pam. Radz. I. 431.

pobiegł dalszemu zgorszeniu, wadzących się poskromił i rozjechali się po przyjacielsku ¹⁾.

Historia jednak burzliwego młokosa, który do późnej starości zachował wielką lekkomyślność i próżność, nie należy już do Radziejowic; mówić o tém wypada obszernie w historii rplitej. Dlatego pominiemy te stosunki, a wspomnijmy o tém, co rzeczy naszej bliższe.

Drugie nawidziny królewskie Radziejowic odbyły się za tego Hieronima, wtedy jeszcze tylko starosty łomżyńskiego. Król Władysław z żoną i dwoma braćmi, Janem Kaźmirzem i Karolem Ferdynandem biskupem płockim, odprowadzając siostrę swoją Annę, wydaną za Filipa neuburgskiego, przybyli tutaj dnia 30 czerwca 1642, gdzie ich wszystkich gospodarz uroczyście podejmował. Tąrazą byli goście tylko w przejeździe, i młody małżonek, nie zanocowawszy nawet, puścił się w dalszą drogę „z podziwieniem wszystkich.” Że właśnie wojna była w Niemczech, ztąd przejazd niebardzo bezpieczny; to nawet było powodem starszemu królewiczowi, Janowi Kaźmirzowi, że nie odprowadzał siostry do Neuburga, tak jak sobie tego pierwotnie życzył ²⁾.

Radziejowski wiele sobie cenił takie odwiedziny i przechwalał się z tego; kazał sporządzić tablicę marmurową i na niej wyryć imiona królów i królowych, których w Radziejowicach i ojciec i on sam podejmowali. Przejeżdżającym przez jego strony cudzoziemcom, których ściągają do zamku, tłumaczył swoje wysokie położenie w świecie polskim i pokazywał na marmurową tablicę. A sływał w istocie z gościnności. Laboureur, który utrzymywał dziennik pobytu w Polsce pani marszałkowej de Guebriant, opowiada, że gdy odwiedzał Radziejowice z ziomkami, nigdzie tyle nie pili jak w domu Radziejowskiego, sławnym na całą Polskę przez swoje gościnność.

Mamy obszerniejszy nieco od dwóch poprzednich opis tych już trzecich odwiedzin Radziejowic, nie majestatycznych wprawdzie, ale zawsze wspaniałych i historycznych. Pani marszałkowa w powrocie do Francji, jak poprzednio arcy-księżna Klaudia i palatynostwo Renu, przyjechała do Radziejowic. Miała prywatnie dosyć, to jest w małym towarzystwie podróżnym, odwiedzić pana Hieronima; ale niechęć sprawiła mu miłą niespodziankę. Do Falent albowiem, gdzie nocowała, (10 kwietnia 1646) przyjechali rano, właśnie wtenczas gdy się zabierała do drogi, książę

Janusz Radziwiłł podkomorzy litewski, ten sam co potem, hetmanem będąc, Litwę w ręce wydał Szwedom; dalej Słuszką podskarbi litewski, margrabia Myszkowski z żoną i synem z pierwszego małżeństwa, w towarzystwie wielu szlachty. Przyjechali z czułości na drugie pożegnanie i postanowili ją wszyscy odprowadzić aż do Radziejowic, jako ostatniego kresu, do którego zawsze zmierzały przejażdżki z Warszawy. Radziwiłł przywiózł z sobą pełną karete muzykantów, którzy grając na swoich instrumentach wjechali do Falent, dając znać że na świetną zabawę się zanosi. Powiększony orszak podróżny ruszył dalej do Radziejowic, wśród ciągłych pustot wesołej młodzie; panowie uganiaли się konno, wymijali jeden drugiego, strzelali z łuków na wiatr, albo do czapek. Dobre 4 mile polskie, co na francuzkich 8 zeszło, było z Falent do Radziejowic. Skoro się do zamku podróżni zbliżyli, trzydziestu dworzan Radziejowskiego, przybranych w żałobę, niewiadomo dlaczego, zajechało im drogę z oświadczeniem, że dziedzic z niecierpliwością oczekuje pani marszałkowej. Gdy wysiadła, kazał ją pozdrowić wystrzałem z dwudziestu harmat i zaprowadził do komnat umyślnie już na to przygotowanych. Przy pani de Guebriant i nam wolno będzie spojrzeć we wnętrze pałacu, w któreśmy dotąd nie zaglądali. Trudno nam tylko objaśnić czy zamek radziejowski pochodził jeszcze z mazowieckich czasów, czy już z polskich.

Kiedy wypoczęła pani de Guebriant, Radziejowski odprowadzał ją po swoim pałacu, jakby po jakiej osobliwości. Był to jednak dom, nie pałac, jak go nazywa Laboureur, prawda że piękny i regularny. Składała go albowiem znaczna w środku budowa, z dwiema obszernymi officynami, które dość zawierały pomieszkania; wszystko to było z kamienia i z cegły „co nie jest pospolitą rzeczą w Polsce,” dodaje Laboureur. Potem zaprowadził marszałkową do ogrodu; był i ogród dosyć rozległy, wesoły i ozdobiony w to wszystko co się oczom podobać może. Z jednej albowiem strony były tam wody, z drugiej kwiaty, szpalery, drzewa i altany czy domki, a jak Laboureur nazywa, gabinety, które służyły do różnych potrzeb i rozrywek, do odpoczynku i do bilardu, do innych gier, a nawet każdy z tych domków miał ponad sobą piętro mieszkalne. Za ogrodem rozciągał się zwierzyniec, przez środek którego prowadziła ulica i daleki po niej widok od wejścia do ogrodu a nawet i podwórza, który ginał gdzieś na murawie, chyba że przebiegając wskrós, wstrzymał oko zwierz jaki dziki, „co się nam samym nieraz trafiło,” mówi Laboureur. Zwierzyniec był częścią oparka-

¹⁾ Pam. Radziwiłła. T. I. str. 218.

²⁾ Pam. Radziwiłła. T. II, str. 73.

niony, częścią okolcowany sośniną, jak wszystkie w Polsce zamknięcia; płynął wśród niego strumyk, co kanałom ogrodowym dostarczał wody i wpadał w staw wielki kwadratowy, oblewający zamek z jednej strony. Miłe to wszystko sprawiało oku wrażenie. Wśród stawu leżał dom okrągły czyli wieża, którą otaczały zewsząd gołębniki. Czasem w tym domku rozweselało się towarzystwo radziejowickie. Przed stawem plac wielki owalny; z jednej strony jego wnijście do wioski, z drugiej do pałacu.

Pani marszałkowa stała w apartamencie złożonym z czterech wielkich pokojów, wspaniale obitych. Stoły i szafy w nich przyozdobione niemałą liczbą sztuk bursztynowych, złotych i srebrnych i w kilka niezmiernych zegarów, w których się kochała szlachta polska.

Gdy nadszedł czas wieczerzy, bo z południa stanęła pani marszałkowa w Radziejowicach, zastawiono stół wielki kwadratowy na osób czterdzieści, bo tyle było gości. Talerze i półmiski, ze srebra ulane, stały jedne na drugich i nie tknięto się nawet wspaniałego kredensu, także, jak widać było, pełnego sreber. Drugie danie było również wspaniałe jak pierwsze; wety składały się z suchych konfitur wszelkiego rodzaju, podawanych na tacach złocistych. Picia oczywiście było co niemiara. „Mieszkańcy kraju nierodzącego wina, mniemają iż nie mogą dobrze przyjąć przyjaciela, jeżeli nie strwonią dla niego najdroższego, jakim jest węgierskie. Niemasz też bankietu, w którymby wino nie kosztowało więcej jak jadło,” mówi Laboureur; a chociaż Polacy czynili co mogli; żeby Francuzów upoić, przy nieustannym brzmieniu muzyki, „wyszliśmy, powiada znowu, z tej utarczki obronną ręką.” Radziwiłł musiał wyznać że Francuzi, chociaż nie są północnym ludem, a z tego powodu mniej nawykli do zbyt dużego picia, przecież przez grzeczność nie ustępowali nikomu.

Marszałkowa miała przy sobie synowicę swoją, pannę de Guebriant, do której jeszcze w Warszawie zaczął smalić cholewki Słuszka podskarbi litewski, ten sam, z którego siostrą, wdową po Kazanowskim, znów później Radziejowski się ożenił. Panom naszym chciało się jeszcze tanecznój hulanki i dlatego po kolacyi, odprowadziwszy marszałkową do jej pokojów, prosili ją aby pozwoliła synowicy zabawić się tańcem. Pozwoliła; zaczęli wszyscy Francuzi zeszli do komnaty balowej. Najwięcej popisywało się Radziwiłł, i ze wszystkich tancerzy chwalili cudzoziemcy tego najgłośniej. Jak kto chciał książkę tańczył, po polsku,

po włosku i po francuzku. Bal skończył się dopiero po północy.

Nazajutrz 12go kwietnia marszałkowa zabierała się do dalszej drogi. Wysłuchała mszy, potem ją wspaniale traktował Radziejowski. Następowaly upominki: darował jej pięknego konia tureckiego tarantowatego Radziwiłł, który się niezmiernie podobał Francuzom ze swojej wspaniałości, zacności i odwagi. Wziął potem pozor z tego, że panowie mówili o chustkach, jakich pospolicie używają, po większej części bawełnianych, z haftem tureckim, złotym, srebrnym lub jedwabnym, i rzekł do marszałkowej że chce jej dać na pamiątkę chustkę, którą haftowała mu żona Ilina Mohylanka gospodarówna wołoska, wyszytą w imiona i herby. Jakoż zaraz poszedł po ową chustkę do swego pokoju i wkrótce ją przysłał przez małego karła tatarskiego, na bardzo pięknym perskim kobiercu, który marszałkowa także przyjąć musiała.

Po obiedzie pożegnalnym jeszcze pijatyka, w której rej wiedli Słuszka z Radziwiłłem. „Na wsiadanem dokonać nas chcieli, pisze Laboureur, ale bezskutecznie;” podobnież o milę od Radziejowic, dokąd odprowadzali orszak poselski już na ostatnie pożegnanie. Słuszce markotno było cokolwiek na sercu. Prosił o rękę panny de Guebriant przez króla; siostra, jego pani Kazanowska, niezmiernie rada była temu małżeństwu. Ale pani marszałkowa w Warszawie jeszcze odpowiedziała królowi i obojgu Kazanowskim, że nie może przystać na ten projekt bez pozwolenia Marya Ludwika, której panna de Guebriant była damą dworską; robiła przecież Słuszce nadzieje. Zdaje się że była to grzeczna odmowa, gdyż co mogła mieć przeciw małżeństwu Marya Ludwika? i dlaczegóż król nie prosił żony o rękę panny dla Słuszki? Wyprawa do Radziejowic ma głównie romansowy charakter. Starosta łomżyński był krajczym królowej, więc miał u niej względy i znajdował do niej bardzo łatwy przystęp. Przyjmując marszałkową u siebie, brał królowę za serce, bo Marya Ludwika wiele była winna pani de Guebriant, a Słuszka znowu gonił za panną aż do Radziejowic. Spodziewał się dojść swego zamiaru i byłby przyjechał do Francyi wspaniale, jak to Polacy podówczas jeździć przywykli po świecie, bo za jednego z najbogatszych panów uchodził, ale niewczesna śmierć panny de Guebriant przerwała jego zamysły.¹⁾

W lat sześć potem niespełna, wyrok marszałka kor.

pozbawił wielkiego pana z Radziejowic czci i urzędu.

¹⁾ J. U. Niemcewicz, Zbiór pamiętników o dawniej Polsce, wyd. lipskie, T. IV. str. 179 — 182.

dów. Starostwa król natychmiast porozdawał, z dobrami zaś nie wiemy co się stało; uległy najprędzej konfiskacie i w drugie przeszły ręce. Radziejowski, nawet powróciwszy do czci pod koniec panowania Jana Kaźmirza, nie musiał przyjść do Radziejowic, gdy za króla Michała w całej tej okolicy władali jeszcze Prussowie Olszowscy. Tak Wilków, Sowią Wolę i Grochołę w starostwie kampsinoskim posiadał Hieronim Olszowski starosta wieluński, nawet uzyskał pozwolenie królewskie dóbr tych na innego ustąpić (1672 r.). Tak w Radziejowicach władał ks. Jędrzej Olszowski, biskup chełmiński, podkanclerzy koronny, brat rodzony starosty wieluńskiego. Radziejowice były nawet ulubioną stolicą podkanclerzego. Rodzinę miał daleko od Warszawy, bo aż w sieradzkim i wieluńskim, i biskupstwo także daleko; w Radziejowicach zatem oddychał wiejskim powietrzem. Wybiegał tutaj raz wraz ze stolicy, zwłaszcza w chwilach kiedy króla nie było w Warszawie. Ztąd nawet, z Radziejowic, wybrał się na wojnę turecką. Król pojechał naprzód, a w dwa dni za nim opuścił Warszawę podkanclerzy, (4 września 1673 r.) żeby mógł zamieszkać kilka niedziel w Radziejowicach i przygotować się w drogę. ¹⁾

Czemu Hieronim Radziejowski, wróciwszy do Polski, nie wykupił zaraz od nowych posiadaczy dóbr swoich, a szczególnie Radziejowic, czy nie miał pieniędzy, czyli mało czasu, gdy zaraz wyjechał w poselstwie do Turcyi? wiedzieć trudno. Nie długo potem i śmierć nadeszła. Powinność ojca spełnił syn jego Michał. Ale i Michałowi pomogły wielce okoliczności.

Hieronim był cioteczno-rodzonym bratem Jana Sobieskiego, gdyż rodził się, jak powiedzieliśmy, z Sobieskiej, córki Marka. Syn Hieronima był tedy bratankiem hetmana, który wstąpiwszy na tron odznaczył się bardzo nepotyzmem, to jest miłością dla swoich. Michał Radziejowski urósł przy królu bardzo wysoko i bardzo prędko. Jeszcze to dopiero zawód swój rozpoczynał, i oprócz prelatur i kanonij nic nie miał, a już tęsknił po Radziejowicach przez pychę i dumę rodową i chciał się co najprędzej ujrzyć panem w pośród zamku przodków. Król popierał pretensye młodego bratanka tak gorąco i natarczywie, aż obrażał ludzi. Olszowskiego, koronatora swojego, król zrobił prymasem, to jest dał mu pewne blaski majestatu, a jednak chciał żeby Olszowski kłaniał się Radziejowskiemu. Prymas bardzo wysoko nosił swoją infułę i dbał ogromnie o utrzymanie dostojęstwa arcybiskupiego; ztąd zaraz w początkach panowania za-

¹⁾ Mich. Balińskiego i Ambr. Grabowskiego Spominki ojczyście T. II, str. 252.

częły się kwasy pomiędzy nim a królem. Do tego przyczyniała się i sprawa o Radziejowice. Prymas, jak się zdaje, nie chciał ustępować z tej posiadłości, Radziejowski zaś przez króla nalegał na to aby ustąpił i prawa swoje sprzedał. Olszowski upierał się przez powagę swojego urzędu i ztąd, że lubił Radziejowice; nie trzymał ich albowiem dla dochodów, gdyż niewielkie przynosiły, ale dla prostej przyjemności. Zostawszy nawet prymasem, nie zamienił na Skierniewice Radziejowic i ciągle rad tutaj przemieszkiwał. Radziejowski młody jednocześnie starał się o Tyniec, który posiadał czasowo kawaler maltański Hieronim Lubomirski. Prymasa gniewała i ta pretensya, może dlatego, że już niepokoił się mocno z powodu Radziejowic. Wolałby utrzymać przy opactwie tynieckim Lubomirskiego, a chociaż król powiadał że kawalerowie maltańscy professowie nie mają prawa posiadać beneficjów świeckich, jednak prymas wskazywał na fakta, że lubo prawo było wyraźne, w Polsce, nadużyciem czy umyślnie, piastowali nietylko duchowne ale i świeckie zupełnie dostojęstwa, to jest chciał utrzymać się przy Radziejowicach i Lubomirskiego za karę dla młodego kortexana chciał utrzymać przy opactwie tynieckim.

Zdaje się że pośrednikiem, co zgodę przyniósł zwaśnionym stronom, był ks. Buzeński regent kancelaryi kor., ten co napisał żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. Olszowski był z nim dobrze, jak z dawnym podwładnym i przyjacielem. Znekany widać natęstwem, w jednym z listów do niego pisze pod d. 4 kwiet. 1675 ze Skierniewic, że niczego więcej sobie nie życzy jak tego, by dorobiwszy się majątku, mógł Radziejowski odkupić Radziejowice, z których wyznaje że niema żadnego dochodu (*nihil optabilius mihi, quam ut auctiore fortuna, possessor Radziejowicis a me reduciat, jeżeli tutaj dobrze domyślamy się Radziejowskiego w wyrazie possessor*). Pisze dalej że i przeciw staraniom się młodego kortexana o Tyniec nie miałby nic do powiedzenia, jeżeliby pięcioletni czas, na który opactwo dano Lubomirskim, wyszedł. Bolesnie mu tylko li, że król nic mu nie odpowiedział nawet na list nie prywatny już, ale w sprawach rplitej pisany, tak traktować albowiem nie godziło się arcybiskupa. „*Instantiis molestus esse nolo*,” mówi, to jest na ciągle nagabania nie mogą być obojętnym, słowa te stosując do sprawy o Radziejowice. ¹⁾ W miesiąc potem prymas pisał do Wicherta rezydenta brandenburgskiego w sprawach dotyczących rplitej, ale jeszcze z Radziejowic. ²⁾

¹⁾ Załuski Epistolae hist. famil. T. I, str. 651.

²⁾ 4go maja 1675, tamże str. 655.

Koniec końców, młody Radziejowski odzyskał włości swoich przodków, w ciągu tych kilku lat które nastąpiły. Nie możemy wskazać pewnej daty, ale są tego niejaka wskazówką przywileje jakie otrzymał od króla. Zostawszy biskupem warmińskim, wyjednał sobie na pierwszym sejmie grodzieńskim, odbytym w r. 1677—8, odnowienie prawa lennego na Mszczonów i wieś Zator z wójtostwami, w ziemi sochaczewskiej, jakie dawniej dla Radziejowskich służyło. Król nadawał mu to prawo za „przysługę i zdrowia stratę w legacyi u Porty ottomańskiej” ojca i za jego własne zasługi; robił to zaś „dla pamięci i starożytnego domu ozdoby.” Dobra te Radziejowski na lenność wieczną, in feudum perpetuum, nadane i summą 2000 czer. złotych i 300 złp. obciążone, a przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności odpadłe, „fatali quadam rerum vicissitudine,” przywrócone nie zostały samemu nominatowi, ale całej rodzinie Radziejowskich. ¹⁾ Trzeba było wytłumaczyć bliżej to prawo rodziny, biskup był albowiem ostatnim jej potomkiem po mieczu; ztąd niedługo potem król w innym przywileju z roku 1679 objaśnił, że to dobrodziejstwo rozciąga się na trzech braci Prażmowskich, siostrzeńców biskupa. ²⁾ Samo to odzyskanie praw lennych na Mszczonów dowodzi, że Radziejowski już wtedy posiadał Radziejowice, inaczej albowiem nie miałby gdzie mieszkać.

Najmniej ze dwadzieścia lat ostatni ten potomek głośnego niegdyś imienia przesiadywał ciągle w Radziejowicach i wślawił tę wieś prymasowskim tak długim w niej pobytem. Nie w Skierniewicach albowiem mieszkał, dostawszy prymasostwo i purpurę kardynalską, ale tutaj, w ziemi przodków. Do Skierniewic tylko przejeżdżał się czasami. Skierniewice były jego stolicą, że tak powiemy, urzędową, Radziejowice prywatną. W Radziejowicach mieszkał na łonie rodziny, którą teraz znalazł w domu Towiańskich, blizkich krewnych swoich; do Radziejowic gromadził skrzętnie skarby, cheiwie łapano rozmaitemi sposobami; w Radziejowicach krył nawet swój wstyd, gdy legendy i podania w pieśniach zachowane wskazują, że otaczał się nawet kobietami i że dla jednej z opuszczonych przez siebie straszne urządził tam więzienie.

Do prymasa zwykle wielki świat polski jeździł w odwiziny do Skierniewic, kardynała zaś wszyscy szukali w Radziejowicach. Ztąd w podróż puścił się do

Rzymu na elekcyą Aleksandra VIII w r. 1690, i wróciwszy z podróży, z Warszawy prosto do Radziejowic pospieszył (20 paździer.). Wierny sługa Sobieskich, cieszył się kardynał ich rodzinną uroczystością i dlatego postanowił uczyć w Radziejowicach wjeżdżającą do Polski księżniczkę neuburgską, z którą się miał ożenić królewicz Jakub. Ostatnie to już było przyjęcie monarchiczne w Radziejowicach, jakie nam zanotować przyjdzie. Księżniczka, niezaślubiona jeszcze, jechała do Warszawy z Wrocławia. Było to cztery miesiące po przyjeździe kardynała z Rzymu. Orszak nadjeżdżający był świetny; przy narzeczonej znajdował się królewicz Jakub i poselstwo jedno polskie, drugie niemieckie. Uprzedzając gości, kardynał opuścił stolicę na trzy tygodnie wprzód, żeby przygotowań dużo przysposobić. Potem wyjechał naprzeciw już z Radziejowic. Kiedy przy spotkaniu się swém z weselnym orszakiem spostrzegł że marszałek królewicza spuścił przed nim laskę na znak hołdu, a potem chciał ją podnieść, za wiedzą biskupa poznańskiego, który przewodniczył orszakowi,—rozgniewał się kardynał i biskupowi potem to wyrzucał, mówiąc że laski królewicza nie godzi się podnosić przy arcybiskupie. W Radziejowicach przepędzili państwo młodzi dzień jeden, wspaniale podejmowani przez kardynała, poczem Jakub wyjechał do Warszawy, zostawwszy przysługę małżonkę w drodze ku Falentom. ¹⁾ Kardynał w owym czasie skupował różne części dóbr nieborowskich, żeby więcej się w sochaczewskim ustalić. ²⁾

Nie zmienił prymas starego zwyczaju i później; przesiadywał w Radziejowicach i po śmierci Jana III, a nawet za drugiej wojny szwedzkiej. Wtedy dwuznaczném postępowaniem swoim ściągnął na siebie zemstę Augusta II. Było to w chwilach kiedy elektor ruszył się od Bugu ku Warszawie, już po elekcyi Leszczyńskiego. Prymas, przewidując nieszczęście, zawczasu kazał ładować na wozy w Radziejowicach wszelkie skarby swoje i ruchomości, czyli, jak wtedy mówiono, apparencyą i mobilia i stada nadzwyczaj piękne. Wszystko to ruszyło ku Gdańskowi, gdzie miał w ostateczności schować się prymas. Jakoż wkrótce za nastąpieniem Sasów wyjechał co prędzej do Gdańska. Sasi, wzięwszy Warszawę, ciągnęli dalej ku Poznaniowi. Marszałek związkowy, idąc tamże

¹⁾ Faggiuoli, dyaryusz podróży do Polski w dodatku do Czasu z sierpnia 1858r. str. 285—291 i Załuski Epistolae T. I, str. 1218.

²⁾ Star. Polska T. I. Patrz art. *Nieborów*.

¹⁾ Vol. leg. V. 585.

²⁾ Star. Polska T. I. str. 573.

ze swoją dywizją, zwietrzył ponadwsiem uchodzące tabory prymasowskie. Straż radziejowska schroniła się na kępę pod Płockiem, zasłyszawszy coś o wojsku. Składało ją 20 rajtarów, ale zobaczywszy potęgę, pierzchli w nieładzie. Zdobycz ogromną była. Po rzeczach dobrano się do skarbów; poszły i te na łup, co wszystko prawem wojny przepadło. A gdyby nie przepadło w drodze, przepadłoby w Radziejowicach; albowiem mało co przedtém Konopacki pułkownik, który za królem szedł z tyłu z taborami, zбочzył umyślnie do Radziejowic, zrabował wieś z gruntu, a zamek odarł ze wszystkich ozdób. Tak nagrodziły się prymasowi fakcie ze Szwedem, tak w pożarach wojny domowej przepadła świetność Radziejowic. Na to księżę pracował całe życie z poświęceniem godności swój i osobistego charakteru, żeby ofiarę z owoców życia przynieść najgorszemu wrogowi (w r. 1704). W rok później już nie żył księżę prymas, ostatni z Radziejowskich. Umarł w Gdańsku 12 października 1705 r. ¹⁾

Podług układów familijnych, do dziedzictwa Radziejowic przychodzili teraz siostrzeńcy prymasowscy, trzej Prażmowscy, synowie Anny Radziejowskiej podkanclerzanki koronnej i Wojciecha Prażmowskiego chorążego nadwornego koronnego, który był bratem rodzonym sławnego prymasa Mikołaja. Trzech ich było: Kaźmirz, Paweł i Mikołaj; ostatni tylko z nich, starosta mszczonowski, miał syna niemego Michała, także starostę mszczonowskiego; tego syn znowu Eligiusz, sławny oryginał i dobry muzyk za Stanisława Augusta, był także starostą mszczonowskim.

Któryś z tych Prażmowskich, najprędzej drogą sprzedaży, oddał Radziejowice Ossolińskim, gdyż powinowactwa rodzinnego, namocy którego w spadku te dobra przejść miały do nich, dopatrzeć nie można. Łatwiej już powiedzieć jaką drogą wymknęły się Radziejowice Ossolińskim. Gospodarował w nich pod koniec panowania Augusta III, Aleksander Ossoliński, miecznik litewski, starosta drohicki i dziedzic na Sterdyni, a może jeszcze ojciec jego, Jan Stanisław kasztelan gostyński. Temu Aleksandrowi późno już ustępował praw swoich lennych na Mszczonów i Zator oraz wójtostwo i summy oparte na tych dobrach i zapewnione konstytucją r. 1678 Mikołaj Prażmowski. ²⁾ Nie może to być ów Mikołaj Prażmowski siostrzeniec prymasa Radziejowskiego, więc jakiś inny; ale z gołych faktów dociec porządku spra-

wy trudno. Dlaczego obok tych ustępstw Prażmowscy są ciągle na starostwie mszczonowskim aż pod koniec panowania Stanisława Augusta? Czy prawne zdanie dobr na Ossolińskich nie nastąpiło wcale?

Aleksander Ossoliński córkę swoją jedynaczkę, Annę po imieniu, wydał za Józefa Ossolińskiego wojewodę podlaskiego; ale kiedy się to małżeństwo rozeszło, ożenił się z nią w r. 1782 Kaźmirz Korwin Krasziński oboźny kor. i wziął w posagu Radziejowice.

Krasziński był to mąż zacny, syn Antoniego kasztelana zakroczymskiego i Barbary Zielińskiej. Pochodził z rodziców ubogich, którzy nie mieli już ani związków wielkich w świecie, ani wysokich kolligacyj rodzinnych, w szlacheckiej żyjąc mierności. Ale Kaźmirz sam się pokierował na świecie. W r. 1752 wziął po imienniku, Stanisławie Kraszińskim ojcu królewiczowej Karolowej, starostwo nowomiejskie-korczyńskie. ¹⁾ W r. 1755 ożenił się z siedmnastoletnią Eustachią Potocką kasztelanką słońską, córką Feliksa i Maryanny Daniłowiczówny. Teść dał mu w posagu drugie starostwo krasnostawskie na Rusi chełmskiej w r. 1758. Wolał jednak gotówkę, gdy jednocześnie wyrobił sobie przywilej od króla z okienkiem na ustąpienie tego starostwa. ²⁾ Do sprzedaży nie przyszło, i owszem Krasziński ciągle mieszkał w Krasnymstawie. Pochował tam cztery córki swoje w kościele u jezuitów: Teresę, Gertrudę i Józefę, które zmarły przed matką, oraz Ludwikę, co ją przeżyła. ³⁾ W r. 1758 był posłem ciechanowskim na sejmie. W lat kilka potem król daje mu jednocześnie dwa przywileje, na wolną wyróbkę towarów leśnych w starostwie krasnostawskim (2 stycznia 1762), oraz w starostwie nowomiejskim i sochockim (9 stycznia t. r.). To już trzecie z kolei starostwo sochockie, które wtedy Krasziński posiadał, leżało w ziemi zakroczymskiej czy ciechanowskiej. Dnia 29 listopada 1762, dostał razem z żoną wójtostwo Sienicę w ziemi chełmskiej. ⁴⁾ Nareszcie jeszcze tegoż samego roku, który był dla niego jak złotodajna niwa, dostał nową darowiznę ziemską, to jest starostwo prasnyskie, którego dla żony i dla niego ustąpiła Aniela z Rycht Humiecka, wdowa po Stanisławie, matka królewiczowej, co po śmierci męża miała na starostwie dożywocie. Było przy starostwie prasnyskim osobne wójtostwo i wieś Dobrzanków. ⁵⁾

¹⁾ 9 grudnia, Sygillaty.

²⁾ 19 Października 1758. Sygillaty, ks. 29.

³⁾ Kur. Warsz. 1852, Nr. 215.

⁴⁾ Sygill. ks. 29.

⁵⁾ Konsens królewski z 7 grudnia 1762. Sygill. tamże.

¹⁾ Erazm Otwinowski, Pamiętnik, str. 80.

²⁾ Konsens królewski z d. 30 marca 1763. Sygill. ks. 29.

W następnym roku przed samym odjazdem do Saksonii po wojnie siedmioletniej, król mianował Krasińskiego oboźnym wiel. kor. i dał mu order Orła Białego. ¹⁾ Order król zwykle rozdawał na fest Białego Orła, obchodzony w dniu imienin swoich 3 sierpnia; tą razą zrobił wyjątek.

Elekcją Stanisława Augusta Krasiński podpisał aż dwa razy, z ziemią chełmską i z ziemią rożańską. W kilka miesięcy potem utracił młodą 26-letnią żonę, z którą żył lat dziewięć (13 grudnia 1764). Serce jej złożył także w Krasnymstawie u jezuitów, których tam fundowali Potoccy (30 marca 1765), i tysiące mszy zakupił za jej duszę. ²⁾ Niedługo zawarł drugie związki małżeńskie z Elżbietą wdową po Rudzińskim wojewodzie mazowieckim, rodzoną siostrą pierwszjej żony, więc na ten cel wyrabiał dyspensę w Rzymie. Dobrali się oboje. Mąż i żona nie cierpieli rządów Poniatowskiego; wszelkie sympatye ich były za barską generalnością, w której przywodzili sami Potoccy i Krasińscy. Oboźny jednak nie plątał się czynnie do zabiegów przeciw królowi. Na sejmie w r. 1775 wyrobił sobie pozwolenie ustąpienia ze starostwa nowomiejskiego, z dwóch dożywociów jakie tam miał i dziesięciu tysięcy złotych na rzecz Radzickiego podkomorzego zakroczymskiego. ³⁾ Jurysdykcją grodzką w Korczynie jeszcze w r. 1762 oddał Krasiński Fryderkowi Moszyńskiemu. Jednakże jeszcze sejm z r. 1780 pozwalała mu użyć konsensów, które uzyskał na ustąpienie ze starostw, znowu do lat trzech. ⁴⁾ To wszystko dowodzi, że chociaż Krasiński z Radzickim wchodził w układy, chciał drożej sprzedać prawo swoje do różnych ziem koronnych jakie posiadał, aniżeli mu dawał podkomorzy. W istocie starostw w przeciągu tego czasu pozbyć się musiał, gdy nawet na krasnostawskim pod owe czasy już kogo innego, nie oboźnego, widzimy. Tymczasem w nocy z d. 9 na 10 czerwca 1781 roku utracił drugą swoją żonę; umarła w Proszowie, mając lat wieku 52. Chorowała długo na suchoty. Pochowana w Sienicy u reformatów (12 czerwca). Tego dnia jeszcze kiedy konała, dyktowała i podpisała przestrogi dla dzieci dobra matka i obywatelka. ⁵⁾

Okolo r. 1780 nabył na własność Bóbrkę w województwie ruskiem. ¹⁾ Posłem drohickim obrany na sejm w r. 1782, może dlatego z Podlasia, że ożenił się w tymże roku z Anną Ossolińską, rozwiedziona wojewodzanką podlaską na Sterdyni. Na sejmie tym obrany marszałkiem 30 września, miał do czynności urzędowych pomoc Piusa Kicińskiego, którego mianował sekretarzem. Cały ten sejm, jak wiadomo, zszedł na sprawie nieszczęśliwego Sołtyka, biskupa krakowskiego. Pisał w tym celu do marszałka sejmowego list Pius VI, który potem ogłoszono drukiem po polsku i po łacinie. ²⁾ Z królem już się wtedy Krasiński przeprosił. Przed rokiem był mu nawet przedstawiony od rady nieustającej na kandydata do województwa mazowieckiego, ale się nie ostał przed Mokronoskim (w r. 1781).

Posłował też na sejmie w r. 1784 z drohickiego, i z tego powodu zagajał pierwszy sejm grodzieński, jaki był za panowania Stanisława Augusta (4 paźdz.) Kiedy wielu posłów żądało, żeby przy sprawdzaniu wyborów i rugach ustąpili arbitrowie, Krasiński oparł się temu jako bezprawiu, utrzymując że doniesienie o kondemnatach winno być publiczne, żeby wszyscy, nietylko posłowie, przekonali się o poszanowaniu jakie ma mieć prawo; na roztrząśnienie tylko prawności wyborów winni arbitrowie ustąpić. Stało się jak chciał. Poczem pierwszy dał głos na marszałka na Chomińskiego, który w istocie był wybrany.

30 grudnia 1783 r. zeznał Krasiński moc różnych cessyj jakie miał na dobra narodowe dla trzeciej żony swojej Anny z Ossolińskich. ³⁾ W r. 1786 oboje już wyrobili u króla przywilej na targi trzygodzinne w Radziejowicach i na trzy walne jarmarki; miało się sprzedawać tam bydło rogate i nierogate, zboże, konie i wszelkie inne towary. ⁴⁾ Przywilej ten jednakże został więcej pamiątką, gdy potem zawichrzenia wybuchły w kraju nie pozwoliły dziedzicom pomyśleć o zaprowadzeniu na prawdę tych jarmarków i targów.

Krasiński i po upadku ojczyzny zachował dla niej serdeczne uczucia. Szef Drzewiecki w pamiętnikach swoich opowiada, jako dom Krasińskiego w Warszawie za czasów pruskich przytułkiem był wszystkich, co myśleli o przyszłości. Wielkie wtedy nadzieje budziły zwycięstwa generała Bonapartego we Włoszech; młodzież drżała, Lwów burzyli adwokaci. Krasiński był ogniwem wiążącym w jedno rozstrzelone myśli; prze-

¹⁾ 20 marca i w kwietniu 1763. Sygill. ks. 29, i Kur. Warsz. t. r. str. 35.

²⁾ Wiadomości Warszawskie z r. 1765.

³⁾ Vol. teg. VIII str. 340.

⁴⁾ 6 listopada 1780. Gaz. Warsz. Nr. 90 i Vol. leg. VIII. 982.

⁵⁾ Gaz. Warsz. 1781. Nr. 47 i 51. suppl.

¹⁾ Star. Polska. T. 2gi.

²⁾ Jocher, Nr. 8752. Druk jest in folio.

³⁾ Sygill. ks. 35.

⁴⁾ Star. Polska. T. I. str. 587.

śladowani znajdowali zawsze u niego zachętę i wsparcie. Tak było przez czas jakiś. ¹⁾ Przemięły i te nadzieje, i wtedy, za czasów jeszcze pruskich, umarł były obożny kor. w dobrach swoich w Zegrzu 26 września 1802 r. o czwartej rano, z rezygnacją i pobożnością, zostawiwszy wdowę i dzieci. ²⁾

Skończylibyśmy historią Radziejowic na tym obożnym kor., gdyby nie przyszło powiedzieć jeszcze słów kilka o synu jego Józefie, który nieżył także próżno na świecie i położył pewne zasługi dla kraju.

Józef Krasiński, dawniej dowódzca gwardyi narodowej warszawskiej, za chwilowego panowania Austriaków w r. 1809, potem szef szwadronu i adjutant generała Kniaziewicza w r. 1812, po wojnach napoleońskich szablę zamienił na lemiesz. Został szambelanem dworu polskiego w odrodzonym królestwie, w r. 1815 marszałkował na sejmiku w Błoniu, a w r. 1820 jednomyślnie prawie obrany posłem sejmowym, zasiadał na jednym tylko sejmie, w roku 1825. Następnie został mistrzem dworu i senatorem; kasztelanem nominowany w dzień koronacyjny, 24 maja 1829 r. Większe przeciw zasługi jego były na polu literackim. Lubił teatr i ztąd pisał opery, komedye i wodewile; pisał oryginalnie lub tłumaczył, przerabiał z niemieckiego i z francuzkiego. Do dwóch oper jego „Zamek na Czorsztynie” i „Leśniczy w kozienickiej puszczy” dorabiał muzykę Kurpiński. Znamy z tytułu, jeżeli nie z treści, piętnaście różnych jego utworów dramatycznych; trzeba to jednak przyznać, że niewiele te

¹⁾ Pod r. 1796, szef Drzewiecki, pierwsze wydanie str. 57.

²⁾ Gazeta korespondenta Nr. 78 dodatek.

prace zbogaciły repertoar narodowy. Dlatego szukał właściwszych dla siebie zasług literackich kasztelan na drodze technicznej. Stworzył pismo peryodyczne „Piaśt,” które się głównie zajęło przemysłem, handlem i naukami przyrodzonymi w zastosowaniu. Wychodził ów Piaśt małemi tomikami od roku 1829 regularnie co miesiąc; wyszło tych tomików kilkadziesiąt. Był to pierwszy przykład u nas pisma poświęconego celom specjalnym i udał się: kraj tak wielką sympatią odpowiedział nakładcy, że zaraz z początku na tom pierwszy pokazało się 1200 prenumeratorów. Liczba ogromna, u nas nadzwyczajna, a zwłaszcza w owych czasach.

Następne wypadki sparaliżowały przedsięwzięcie, które się tak pięknie rozwijało. Redaktor Piasta nie porzucił jednak pracy literackiej, tylko już wiek starszy wywierał wpływ na niego. W roku 1839 jeszcze ogłosił u Orgelbranda dzieło pod tytułem: „Rozrywka na długie wieczory.” Był to opis, zbiór rozmaitych kabałek i gier, zwykle nazywanych passyansami z francuzka.

Kasztelan Krasiński, który zwykle przesiadywał w Radziejowicach, umarł w Krakowie w r. 1845.

Dzisiaj Radziejowice zostają w ręku jego rodziny. Pałac stary, jeszcze po Radziejowskich. Ale osobliwością największą Radziejowic jest biblioteka, w której oprócz kilku tysięcy książek co mniejsza, bo osobliwości tu niema podobno, znajduje się wiele rękopisów rodzinnych, jeszcze po Radziejowskich, które przejrzeć warto; jest wiele papierów gruntowych, które mogłyby daleko lepiej jak my tutaj objaśnić dzieje tego historycznego na Mazowszu miejsca.

Julian Bartoszewicz.

WYSPY SHETLANDZKIE.

Te małe, dziś tak spokojne wysepki morza północnego niegdyś były kryjówką licznej zgrai rozbójników morskich, widownią mnogich i krwawych bitew. Zdobyte przez Wikingerów ¹⁾, tych nieustraszonych

¹⁾ Liczne toczono rozprawy nad pochodzeniem wyrazu *Wikinger*. Rzecz do prawdy podobna, i tak utrzymuje Peterson w swojej starożytnej geografii północy, że wyraz ten pochodzi od *Wiking*, nazwiska jednej z zatok północnych, z kąd wypłynęły pierwsze flotylle rozbójników.

korsarzów północnych, którzy zawładnęli Sycylią, a Sekwaną podpłynęli aż pod mury Paryża, wyspy shetlandzkie już od dziewiątego stulecia zapisane są w starych sagach islandzkich pod nazwiskiem Hialtland ¹⁾.

Gdy jasnowłosy Harald, który był jednym z owych jarl'ów, naczelników klanów norweskich, chcąc o-

¹⁾ *Hialt*, człowiek silny, wojownik, mocarz, bohater; po duńsku *Hield*, po niemiecku *Held*.

trzymać serce pewnej dumnej dziewicy, przedsięwziął podbić cały swój kraj, większa część znakomitych Norwegczyków, unikając jego ucisku, opuściła swe siedziby. Jedni przenieśli się do Islandyi, drudzy na wyspy Feroe, orkadzkie i shetlandzkie. Jedni z nich, pracowici rolnicy, osiedli w okolicach które im dały przytułek, drudzy, nie tak spokojnego usposobienia, oddali się morskim rozbojom.

Zajawszy pod swe panowanie całą Norwegią i poświęciwszy piękną i dumną Gydę, która oświadczyła że będzie żoną tylko wielkiego króla, Harald powziął myśl wyprawy, w celu wytępienia rozbójniczych band niszczących północne okolice. Saga, której on jest bohaterem, opiewa, że przybywszy niespodzianie na wyspy shetlandzkie, napadł z nienacka na zastęp korsarzów, wytępił go bez litości, a o władnąwszy archipelagiem, dał go razem z Orkadami w lennictwo jednemu ze swoich synowców.

Następcy jego rozrządzali tak jak i on tą odległą ziemią i coraz więcej zaszczepiali w niej język, prawa i obyczaje Norwegii. Saga S. Olafa wzmiankuje, że ten gorliwy apostoł ewangelii szczycił się nawróceniem na wiarę chrześcijańską mieszkańców wysp shetlandzkich i orkadzkich, którzy, podobnie jak ich norwescy przodkowie, czcili Odina i Thora.

W ową epokę ani Anglia, ani Szkocya nie mogły się pokusić o zawładnięcie temi wysepkami, tak blizkimi ich brzegów. Anglia, pyszna Anglia, której flaga dziś tak dumnie powiewa na wszystkich morzach, nie byłaż przymuszona sama uchylić czoła przed odległym skandynawskim berłem? nie zostałaż zdobytą przez Kanuta Wgo, tego Aleksandra Północy, o którym poeci mówili: „Kanut panuje na ziemi, tak jak Bóg na niebie!”

Wyspy shetlandzkie w XV wieku należały jeszcze do Danii. Nie utraciła ona ich przez wojnę, lecz dobrowolnie się zrzekła intercyzą ślubną. Gdy Chrystyan I, założyciel dynastyi oldenburgskiej, został r. 1449 koronowany na króla duńskiego, posiadłości jego rozciągały się od ujścia Elby, do najodleglejszych wybrzeży Norwegii, i od granic morza północnego, do granic Rosyi. Pomimo tego ogromu posiadłości, wydając córkę za Jakuba III króla Szkocyi, nie mógł jej dać więcej jak 2000 fl. posagu, a przyrzekł 60,000. Do czasu więc zrealizowania tej summy, oddał mu w zastaw wyspy shetlandzkie i orkadzkie; lecz posag nigdy nie został wypłacony i Szkocya utrzymała się przy tych wyspach.

W chwili zajęcia tych dwóch archipelagów przez Szkocyą, mieszkańcy ich nie podlegali wcale rządo-

wi feudalnemu, który wówczas istniał w całej Europie. Według starego prawa norweskiego posiadali oni swobodnie grunta, używali bez ograniczeń praw rybołówstwa i przywileje te przekazywali swoim dzieciom. Szkocya obaliła ten patryarchalny systemat. Biedne wysepki, co stanowiły dopełnienie wyprawy ślubnej, zostały wydane na łup drapieżnym rządzcom, którzy z niemi postępowali jak z prowincjami buntowniczymi, zdobytymi siłą oręża. Na wyspach shetlandzkich nie zapomniano owych dwóch okrutnych jarłów¹⁾, dwóch Stuartów, Roberta, i Patryka, którzy z wielkim okrucieństwem uciskali i dręczyli słabą ludność podległą ich władzy. Robert, mianowany w 1565 rządzcą tego archipelagu, miał za cel wyzuć większą część swych podwładnych z ich posiadłości. Wielka liczba z pomiędzy nich, zruinowana przez jego samowolne postępowanie, zmuszona była sprzedać mu swe pola i rodzinne zagrody za lichą cenę, lub wyrzec się onych za podatki. Łakomy Robert tworzył z tych drobnych cząstek swoje posiadłości, a tych, którzy niegdyś byli ich właścicielami, co się szczycili nazwą swych przodków: *odal bender*, (wolni wieśniacy), zamienił na dzierżawców lub wyrobników. Patryk Stuart, który po swoim ojcu w roku 1595 objął rządy na wyspach shetlandzkich, był jeszcze okrutniejszy i nielitościwszy od niego. Do tego stopnia nadużywał powierzonej sobie władzy, że się obawiał nawet aby to nie doszło do rady królewskiej. Dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu, zabronił Shetlandczykom pod najsurowszemi karami oddalać się za obręb wysp. Pomimo tej jednak ostrożności został oskarżony, uwięziony i skazany na śmierć przez trybunał edyburgski. Lecz nieszczęśliwi Shetlandczycy, przywiedzeni przez nadużycia jego i ojca do nędzy, nie otrzymali żadnego wynagrodzenia za przecierpiane nieszczęścia i nie odzyskali swobodnego posiadania gruntów ojczystych. Konfiskaty dwóch drapieżnych rządzców zostały utrzymane, a wyspy shetlandzkie znowu oddane w zarząd namiestnikom, którzy wszelkimi możliwymi sposobami starali się z nich ciągnąć jaknajwiększe korzyści.

Nie potrzeba wyjaśniać że ten opłakany systemat już nie istnieje; Anglia, obok całego poszanowania dla minionych tradycyj, zręcznie modyfikuje w razie potrzeby swój systemat administracyjny. Wyspy shet-

¹⁾ Stary tytuł norweskimi, oznaczający naczelnika klanu lub małego pokolenia, zachowany w wyrazie angielskim *earl*, hrabia.

landzkie biorą udział w dobrodziejstwach konstytucji brytańskiej. Razem z Orkadami mają one około 60,000 ludności i wybierają jednego członka parlamentu.

Jednakże wyspy shetlandzkie długi czas były nieznanne wielkiemu światu stolicy. P. Edmondston, który napisał bardzo piękne dziełko o tej północnej okolicy, przytacza że jakiś młody Shetlandczyk, mieszkający w Londynie w celu pobierania nauk, zaproszony był na obiad, gdzie się znajdował pewien generał. Gospodyni domu z ciekawością rozpytywała się młodzieńca o naturę i zwyczaje jego rodzinnej okolicy. Nagle generał przerywa rozmowę zapytaniem: „Ale gdzież to są te wyspy shetlandzkie?” „O sto pięćdziesiąt mil (rozumie się angielskich) na północ Wielkiej-Brytanii,” odrzekł młodzieniec, zmieszany tem zapytaniem.

Dziś niema w Londynie mieszkańca, któryby nie wiedział że Shetlandczycy owocem swego rybołówstwa zaopatrują większą część targów stolicy; niema ani jednego lubownika literatury, coby nie czytał pięknego romansu, którym Walter-Scott wślawił te wyspy ¹⁾.

Obecnie parowiec przewozowy łączy regularnymi kursami wybrzeże Szkocyi z wyspami shetlandzkimi. Szeroki gościniec przecina główną wyspę, zwaną Mainland; w najmniejszych wioskach są szkółki, a w bardzo wielu miejscach wznoszą się zakłady fabryczne.

Następujące wiadomości o tych wyspach poczerpnięte zostały z dwóch źródeł: z dziełka P. Edmondston i z opisu P. Ploeyen, gubernatora wysp Feroe, który w interesie tychże wysp, a mianowicie dla poznania stopnia ich kultury i rybołówstwa, zwidzał archipelag shetlandzki, znajdujący się w pomyślniejszym stanie niż wyspy Feroe, aż do roku 1815 podległe surowemu prawu monopolu, którym je rząd duński przygniatał.

Archipelag shetlandzki, leżący między 59° i 61° szerokości, składa się z setki wysepek, z których trzydzieści jest zamieszkałych. Pozostałe służą tylko za pastwiska dla trzód; lecz ani jedna z nich nie jest opustoszałą. Każda samotna skała, każdy pagórek, mający na swym grzbiecie choć odrobinę zieleności, zajęty jest, stosownie do swój powierzchni, przez pewną liczbę baranów, które sąsiedniej wyspy mieszkaniac na wiosnę tu przywozi, a za zbliżeniem się pory zimowej napowrót zabiera. Tam gdzie natura nie rozrzuca swych darów, człowiek starannie się

¹⁾ Rozbójnik morski.

ubiega za najmniejszą ich cząstką. W Islandyi tak starannie zbierają trawę rosnącą na dachach chat, jak gdzieindziej koniczynę lub lucernę na sztucznych łąkach. Na północ Finmarku częstokroć bydło karmi roślinami morskimi, gotowanymi w kotłach, a na górze Ś. Gotharda nieraz zdarza się widzieć jak pasterz ciągnie na kraju przepaści zgłodniałe bydło na sznurze, aby je doprowadzić do kępy trawy zieleniącej w rozpadlinie skały.

Największa z wysp shetlandzkich nazywa się Mainland. Długość jej wynosi 60 mil angielskich. W niektórych miejscach ma ona dziesięć do dwunastu takichże mil szerokości, lecz w innych jest tak ścieśnioną, że wygląda jak wązka wstęga, powyszarpywana falami, które bezustannie nurtują jej oba wybrzeża.

Znaczniejsze po niej wyspy są: Bressa, Noss, Yell i Unst. Ich dziwne zarysy, krętość przesmyków, kształt przyłądków przedstawiają malarzowi i turyście punkta widzenia zadziwiającego efektu. P. Ploeyen znalazł na nich miejsca niemniej godne podziwu, jak niektóre okolice archipelagu Feroe, które również zasługują na uwagę. Na Nossie wznosi się skała ostrokąlowa, jak czarny szaniec, na siedmset stóp nad spienione bałwany. Na Bressie olbrzymi łuk rozciąga się nad grota pełną stalaktytów, z których jedne podobne są do księży ubranych w aparata kościelne, drugie do aniołów klęczących z rozpostartymi skrzydłami. Możliweby mniemać że to jakiś przybytek z wieków czarodziejskich, pełen skamieniałych olbrzymów.

P. Ploeyen, który zwidzał głównejsze miejsca wślawione w Rozbójniku morskim, utrzymuje że Walter-Scott z wyobraźni odmalował Fitfulhead. Ta bajeczna kryjówka czarownicy Norny jest tylko nagą skałą, dziewięćset stóp wysoką. Lecz natomiast przywodzi on wiele innych zjawisk, które romansopisarz kilką lekkimi dotknięciami penzla mógł być wślawić na całym świecie, między innymi arkadę, którą morze, niby śmiały architekt, otworzyło w Dorcholm, jaskinią wydrążoną przez bałwany w łonie sporego wzgórza i samotną skałę *Maiden-Stack*, wznoszącą się z pośrodku fal, jak obelisk wśród piasków starego Egiptu.

Wymienia także wiele starożytnych budowli, mnóstwo zajmujących zwałisk, jak np. w Mouners, gdzie był wielki i piękny zamek o czterech basztach, uzbrojony w strzelnice. Na drzwiach wchodowych tego gmachu czytać się daje w narzeczu staro-shetlandzkim:

„Chcesz wiedzieć kto zaczął budowę tego gmachu? Waleczny Wawrzyniec Bruce, który usilnie zobowią-

zuje swych dziedziców i następców, ażeby podtrzymywali i chronili jego dzieło od upadku. Roku pańskiego 1598.”

Romantyczna legenda opiewa, że Wawrzyniec Bruce był to szlachcic szkocki, dumnego i gwałtownego charakteru, może potomek sławnego Roberta Bruce, bohatera tyłu poetycznych podań. W skutek pojedynku, w którym poległ jego przeciwnik, Wawrzyniec uciekać musiał z kraju. Szczęściem że w swym skarbcu znaczne nagromadził summy. Części ich użył na kupno okrętu i wsiadł nań z żoną, córką i dwudziestą ludźmi swego klanu, którzy przysięgli że go nie odstąpią. Szukał schronienia i znalazł je na małym wysepce Unst. Tam nabył obszerną przestrzeń gruntu i zbudował zamek.

Obawiając się jednak i tu pogoni, umocnił go jak cytadelę i zaprowadził strażę, obowiązane czuwać dzień i noc. Przez długi czas chronił się przed zemstą krewnych i przyjaciół swój ofiary; nikt nie wiedział co się z nim stało. Miłość jednak, więcej wynalazcza czy wytrwała, wysłedziła go. Młody Szkot Malcolm, kochający córkę Bruce'a, za pomocą usilnych starań dowiedział się wreszcie, że ona znajduje się na wyspach shetlandzkich, zamknięta w warownym zamku, którego on nie mógł ani otoczyć, ani wziąć szturmem. W braku więc siły, użył podstęp.

Pewnego dnia czterej ludzie, w odzieży majtków, przyszedli do zamku, prosząc aby im baryłkę wiskey'u i kilkanaście butelek jałowcówki zamieniono na żywność, której, wedle swego twierdzenia, bardzo potrzebowali. Bajka ich dość zręcznie była usnuta, by podejść bystry i nieufny umysł Bruce'a; a może i myśl że na stole jego ukaże się butelka smacznego napoju, którego oddawna był pozbawiony, skłoniła go do zaniechania zwykłej ostrożności. Mniemani majtkowie przestępują próg dotąd tak dobrze strzeżony, zasiadają przy ognisku zamkowym, upajają załogę i samego Bruce'a, potem podpalają zamek, unoszą dziewicę i oddają ją w ręce Malcolma, który czekał w łódce ukrytej w przyległej zatoce.

Zakochany Malcolm spiesznie uprowadza piękną brankę do swoich dóbr w Szkocyi i tam ją zaślubia. Bruce poprzysiągł mu zemstę; lecz powoli dał się zmiekczyć czułym listom swój córki, błaganom żony, i w trzy lata później powrócił do Szkocyi, pozostawiając na pastwę czasu zamek przez siebie zbudowany, który tak usilnie zalecał poszanowaniu potomności.

Jakkolwiek malownicze w niektórych miejscach, wyspy shetlandzkie w całej swój rozciągłości częściej

przedstawiają oczom smutny, ponury widok skalistych wzgórzów, które ze wszech stron stopniowo schodzą ku morzu, grunta bagniste, przez które z trudnością można się przebrać, tu i owdzie długie a wąskie zatoki, czyli jeziora wody słonej, zwane *noes*; miejscami szczupłe pastwiska, na których długowłose, o krótkich i karłowatych członkach koniki, zwane *poney*, krowy jeszcze mniejsze od krów bretońskich i chude owce z cierpliwym poddaniem się żują krótką i rzadką trawę; gdzieniegdzie odrobina zieloności, z której zbiór starannie zachowują na zimę, kawałek pola zasianego jęczmieniem lub owsem, częstokroć nie wydającego tyle ile posiano, — a nigdzie ani jabłunki, której owoc mógłby rozweselić wzrok dziecięcia, ani dębu, któryby pod swemi zielonemi gałęziami dawał schronienie, ani nawet sosny, téj smutnej ozdoby północnych okolic, — słowem żadnego nie widać tam drzewa.

Czemuż przypisać tę opustoszałość wysp shetlandzkich? Nie ich położeniu, bo w Finmarku, pod 68° stopniem szerokości północnej, znajdują się lasy bardzo piękne; nie naturze gruntu, który nie jest gorszym od gruntów północnej Szkocyi; nie temperaturze, nie ostrzejszej od temperatury Londynu. Nie; krajowcy utrzymują że chcąc mieć drzewa, trzeba by je otoczyć wysokim murem, mogącym je zasłonić w czasie wzrostu przed działaniem morza. Na całej rozciągłości wysp shetlandzkich niema ani kawałka gruntu, któryby z jednej lub drugiej strony był odległy od morza więcej jak na dwie mile. W skutek więc gwałtowności burz, nader częstych w tych stronach, szczególnie przy działaniu bardzo silnego wiatru zachodniego, bałwany poruszone do głębi, rzucają na wyspy masę wody słonej, która przetrawia drzewa i pali kwiaty.

Pod rządem norweskim i duńskim wyspy shetlandzkie, jakieśmy już powiedzieli, podzielone były na drobne części, będące w posiadaniu różnych właścicieli, z których każdy na swoim gruncie wznosił zabudowania. To swobodne posiadanie pod uciskiem rządzców i urzędników skarbowych szkockich zamienione zostało w posiadanie oligarchiczne, istniejące jeszcze do dzisiejszych czasów. Cała przestrzeń wysp podlega prawu pierworodztwa i należy do pewnej liczby lairdów, którzy za dosyć wysoką cenę wydzierzawiają części swojego dziedzictwa.

Zwykły folwark składa się z domu, a raczej chaty niezgrabnie zbudowanej, i z kawałka gruntu, który wystarczyć musi na wyżywienie trzech krów, dwóch

poney'ów i pięciu owiec. Za tak mały kawałek gruntu wieśniak płaci niemniej jak pięć funtów sterlingów (przeszło 30 rs.) rocznie. Co więcej, umowa zostaje zawartą tylko na rok jeden, a więc niebardzo go obchodzi uprawa gruntu, którego posiadania na przyszłość nie jest pewnym.

Wszystkie mieszkania, tak lairdów jak i dzierżawców, leżą w bliskości morza, szczególnie nad noes'ami, które tak jak fiord'y norweskich wchodzą w głąb brzegów; bo jeżeli pola shetlandzkie dają szczupłe zbiory, jeżeli jedyne rodzaje zboża które tu można zasiewać, to jest, jęczmiona i owsy, częstokroć niszczenia od zawczesnego zimna, jeżeli kartofle, ta opatrzna roślina zimnych okolic, zawodzą częstokroć nadzieje tego, który je pracowicie zasadzał,—za to morze darzy Shetlandczyków obfitym plonem. Morze jest najlepszą częścią ich posiadłości.

Od najmłodszych lat każdy tam jest przyzwyczajony do puszczania się na fale morskie, nawet w czasie burzy. Znajdują się tacy, co uniesieni awanturycznym zapałem młodości, zaciągają się do marynarki królewskiej albo handlowej i żeglują po wszystkich najodleglejszych morzach świata. Większa jednak część nie opuszcza rodzinnej ziemi i za nie zamieni na inne rzemiosła rybaka, którego nauczyli się od swych ojców. Wszyscy Shetlandczycy są rybakami, i to zręcznymi i odważnymi.

Zimą zaopatrują targi londyńskie za pomocą małych, szybkich statków, mających w swym kadłubie ogromną kadełkę pełną wody, w której ryby pływają aż do czasu przybycia do stolicy. W tej porze roku i na wiosnę Shetlandczycy puszczają się na wyprawy, w szalupach od dwustu pięćdziesięciu do pięciuset beczek objętości.

Latem udają się na lekkich statkach do umówionego miejsca, gdzie zgromadzają się agenci rozmaitych kompanij handlowych, gdzie kupcy rozkładają swe kramy, a szynkarze napoje, gdzie wtedy przez kilka miesięcy wybrzeże, puste zwykle i milczące, ożywione jest mrowiem różnego gatunku ludzi i ruchem hałaśliwego jarmarku.

Każdego poniedziałku rano rybacy opuszczają swoje domy i powracają dopiero w sobotę wieczorem. Podczas tych wypraw odpływają ze swojej stacyi pod wieczór i łowią ryby przez noc całą. Każda łódź ma sto dwadzieścia węd, długich po czterdzieści dwa sążnie, każda zaś węda ma dziesięć haczyków. Ile dorszów i witlinków łowią te łodzie, trudno obliczyć. P. Ploeyen był świadkiem jak jedna szalupa podczas dwóch

wypraw odbytych w ciągu jednego miesiąca, dostarczyła kantorowi kupieckiemu 14,000 dorszów.

Lecz biedny Shetlandczyk, który podczas tych wypraw wystawia się na tyle trudów i niebezpieczeństw, osiąga częstokroć bardzo małe za swą pracę wynagrodzenie. Niekiedy zdobycz dzieloną bywa pomiędzy osadę nie na równe części, lecz stosownie do stopnia jaki zajmują na statku jej członkowie. Częstokroć rybak sprzedaje naprzód za oznaczoną cenę wszystko co ułowi, narażając się nawet na stratę, jeśli następnie cena ryb pójdzie w górę.

W ogólności zachowuje on dla siebie wątrobę z dorszów, używając jej zamiast masła, a następnie gotuje ją i wyciąga z niej tłuszcz, który w długie zimowe wieczory podsyca płomień jego lampy.

Nieustraszeni Shetlandczycy nie poprzestają na narażaniu w każdej chwili swego życia pomiędzy skałami i pośród burz oceanu; wielka ich liczba daje się unosić namiętności, której powściągnąć nie może żadne rozumowanie, a tą namiętnością jest wydobywanie gniazd i polowanie na dzikie ptastwo. Częstokroć, dla zadowolenia tego szalu dziwnego, drapają się na szczyty spadzistych skał, lub zawieszają na sznurach nad brzegiem okropnej przepaści. Dla zdobycia jaj orlich, ukrytych w rozpadlinie skały, pogardzają wszelkiem niebezpieczeństwem, a nawet zapominają o tém, że mają żony i dzieci, które drżą z przerażenia, widząc ich nieroztropność.

Drugim, więcej zasługującym na pochwałę i bezbezpieczniejszem zajęciem Shetlandczyków jest hodowanie owiec i sprzedaż wyrobów z ich wełny, uskutecznianych przez kobiety. Te dzielne Shetlandki wytrwale dopełniają przykrych obowiązków jakie los na nie włożył. Podczas pobytu mężów na morzu, one uprawiają grunta, koszą siano, kopią kartofle, znoszą torf do mieszkania i zbierają rośliny morskie, które przetwarzają się na nawóz. Wśród tych ciężkich i ciągłych zajęć, jak tylko znajdą swobodną chwilę, biorą się do drutów i robią pończochy.

Podanie niesie, że książę Medina Sidonia, wódz *niezwyciężonej armady*, którą burza rzuciła na brzegi wysp shetlandzkich, sam dawał lekye robienia pończoch kilku rybaczkom, i że od owego dopiero czasu umiejętność ta rozszerzyła się po całym archipelagu.

O próżności ludzkich zamysłów! Gdy Filip II uzbierał przeciw Anglii pięćdziesiąt okrętów i dwadzieścia tysięcy żołnierza, ktoby pomyślił że z tych olbrzymich przygotowań wojennych, z całej tej *niezwyciężonej armady* zostanie tylko jeden trwały ślad,

sztuka robienia pończoch na drobnych wysepkach giganących we mgłach północy!

Jeżeli przytoczone tu podanie jest prawdziwem, jeżeli ksiązę Medina Sidonia rzeczywiście raczył zostać nauczycielem kilku biednych Shetlandek, to gdyby dziś mógł widzieć owoce swęj nauki, możeby się ucieszył ze skutków dobroczynnych swego dzieła. Nigdzie, nawet w stronach najbogatszych w wełnę merynosów, nie przywiązują większej wartości do wełny, jak na wyspach shetlandzkich, i nigdzie jęj tęż z ręczniej nie wyrabiają. Na wyspach tych znajduje się szczególny rodzaj owiec, jakiego nięma nigdzie, bardzo małe, szybkie, dzikie i w ogóle różnej maści. Patrząc na ich lichą powierzchowność, nie można przypuszczać aby ich panowie osiągali z nich tak obfite korzyści. Lecz wełna ich ma delikatność i miękość aksamitu. Nie strzygą ich wielkimi nożycami, jak u nas, lecz je skubią, to jest wrywają im powoli palcami najlepszą część runa, a robota ta odbywa się tak delikatnie, że zwierzę wcale jęj nie czuje. Pamiętają nawet o tęg, żeby im zostawić dostateczną ilość wełny, dla zabezpieczenia od zimna.

Po ukończeniu tęg pracy, przewidująca Shetlandka starannie przeszkubuje zebraną wełnę i dzieli ją na partye różnego koloru, różnej dobroci i przeznaczone do różnego użytku. Pośledniejsza wełna służy na pończochy i rękawice dla rybaków; z delikatniejszej tkacze wyrabiają kołdry; brunatnej używają na pończochy dla kobięć, szaręj na skarpetki męzkie, które gospodynie sprzedają podróżnym lub kupcom wędrownym.

Pozostaje wełna najlepszego gatunku, której nie gręplują, lecz starannie ją czeszą i udelikatniają, nacierając olejem. Przędą ją z wielką ostrożnością i używają do wyrobu szalów, rękawiczek lub pończoch tak cienkich, że jedna para sprzedawaną bywa po dwie gwineje.

W północnych Niemczech, szczególniej zaś w Saksonii i Prusach, poczciwe mieszczki, tak jak i Shetlandki, mają zwyczaj robić pończochy. Robią ją w domu i na przechadzce, robią w porze południowej w *Lustgarten*, popijając filiżankę cienkiej kawy, i wieczorem w domu, słuchając czytania powieści Auerbacha lub podróży Gerstaeckera. Szczególniej zaś zajmują się tą robotą na początku zimy, aby w dniu 24 grudnia na choince zawiesić dostateczną ilość pończoszek dla swoich malców. Podnoszą one i uszlachetniają słodkimi myślami macierzyństwa to zajęcie pończoszarek, tak fatalnie nacechowane w czasach pierwszej rewolucyi francuzkiej. Lecz to codzienne

zatrudnienie jest dla nich środkiem przepędzania użytecznie czasu, gdy tymczasem dla biednych Shetlandek bywa ono wpływem koniecznej potrzeby, środkiem ratunku w złe lata. Gdy częste burze przeszkadzają wycieczkom rybaka, gdy zimne wrześnieowe wiatry nie pozwalają dojrzewać zasiewom, matka rodziny z podwójną gorliwością bierze się do kołowrotka i drutów; energiczną pracą częstokroć wynagradza szkody zrządzone przez nieprzyjazne żywioły, zarabiając na opłatę czynszu ze szczupłego folwarczku i na zakup zapasów domowych na porę zimową. W pośród powszechnęj surowości obyczajów archipelagu, wśród tego przywyknienia pracy, skromna Shetlandka zasługuje na zastosowanie do nięj szlachetnej dewizy rzymskiej matrony:

Casta vixit,
Lanam fecit,
Domum servavit. ¹⁾

Dzięki temu domowemu przemysłowi, odważnej działalności męczyzn, a szczególniej dzieci, które w młodych latach uczą się kierować łodzią i łowić ryby w zatokach, wyspiarze shetlandzcy, jeśli nie są bogaci, to przynajmniej używają dobrego bytu, i jeśli ich spotka jakie nieszczęście, mogą być pewni pomocy sąsiadów. Litość i gościnność są u nich cnotami tradycyjnemi, które zachowywać poczytują sobie za honor. Biedny rybak shetlandzki żyje prawie ciągle rybą i kartoflami, bardzo lichy przyrządzone mi, a za napój ma tylko kwaśne mlęko, które zachowało swą dawną norweską nazwę *blanda*. Lecz w razie przybycia krewnego, przyjaciela, a nadewszystko obcego gościa, byłby bardzo upokorzonym, gdyby mu nie mógł ofiarować pieczeni baraniej, albo zwierzyny i butelki wódki. Lairdowie, arystokracja archipelagu, pełnią gościnność w sposób wystawniejszy: dają wielkie obiady, i jak szanowny Magnus Troil Walter-Scotta, mają sobie za chlubę przeciągać obiad obfitemi libacyami.

Wszystkie mieszkania dzierżawców i rybaków rozrzucone są po jednej i po drugiej stronie brzegów i w ogólności lichy zbudowane. Lairdów domy bywają wytworniejsze, a niektóre z nich, z fasadą o dwóch lub trzech piętrach, gankiem i ogrodem, mają bardzo piękną powierzchowność. Na wyspach jednak znajduje się tylko kilka gromad domów, wyobrażających wsie i jedyne miasto, stolicę archipelagu, Lerwick. Lerwick ma trzy tysiące ludności (prawie trzecią

¹⁾ Żyła w czystości, przędła wełnę, służyła domowi.

część ludności wszystkich wysp), jest miejscem zamieszkania znakomitszych urzędników krajowych i konsulów zagranicznych. Są tu hotele, składy, wytworne sklepy, doskonały port, mała warownia uzbrojona czternastą działami, warstaty ciesielskie, magazyny, a statek parowy z Aberdeen przywozi nowiny ze Szkocyi, Anglii i innych części świata.

Jakże cudowném zdaje się Lerwick dla skromnych Shetlandczyków, którzy nie byli nigdy dalej jak o piętnaście mil od swych brzegów! Jaka różnica od Thors-hawn, stolicy wysp Feroe, i Reykiawik, stolicy Islandyi, które w lecie widują tylko przybywające statki kupieckie, a przez resztę roku są samotne, opuszczone, obce dla całego świata! Początek tego miasta nie sięga dalej jak pierwszych lat ubiegłego stulecia; Shetlandczycy nie potrafią, tak jak Amerykanie, jedném uderzeniem nogi w ziemię wyprowadzać na świat miasta. Widać jednak w Lerwick stopniowy postęp i objawy przemysłu; nie można więc wątpić że kiedyś miasto to jeszcze więcej wzrośnie i stanie się dosyć ważnym punktem handlowym na północy Wielkiej Brytanii.

Shetlandczycy, lubo tak oddaleni od krajów skandynawskich, zachowali jednak część dawnych zwyczajów i wiele odznaczających się rysów północnego swego pochodzenia. Nawet w odosobnieniu człowiek długo zdolny jest zachować szczególne cechy swjej narodowości, a w gromadzie ludzi należących do tegoż samego plemienia, ta cecha jeszcze lepiej opiera się wpływowi obcego kraju. Shetlandczycy, odłączeni od Danii blisko od czterystu lat, nie nauczyli się jeszcze mówić pomiędzy sobą językiem państwa do którego należą, mową urzędników którzy niemi rządzą, kupców z którymi ciągle mają stosunki. Narzeczcie ich złożone jest z żywołów skandynawskiego i angielskiego, lecz skandynawski tak dalece przeważa, że kto umie po duńsku, z łatwością ich zrozumie. O tém przekonał się P. Ploeyen.

Zachowali oni zwyczaj dodawania do swego imienia, imienia ojcowskiego, który to zwyczaj niegdyś był rozszerzony na całej Północy i jeszcze teraz utrzymuje się w Rosyi. Tak syn Magnusa nazywa się *Magnusson*, albo przez skrócenie *Mauson*; dzieci Jakuba, *Jamessons*, albo *James daughters*. Ten sam zwyczaj przedtém panował we trzech królestwach Wielkiej Brytanii. Ztąd w Anglii tyle nazwisk kończących się na *son*, ztąd w Irlandyi tyle nazwisk poprzedzonych przez *O'*, a w Szkocyi przez *Mac*, które mają jednakowe znaczenie.

Co do rachuby czasu, Shetlandczycy nie chcieli przyjąć kalendarza gregoryańskiego, trzymają się oni starego stylu i nie może ich skłonić do odstąpienia od tego zwyczaju.

Jedną z najsilniejszych i najtrwalszych cech charakteru Shetlandczyków jest ich zabobonność. Że marynarze w ogóle mają do niej pociąg, to łatwo wytłumaczyć życiem ich, wystawioném na tyle wypadków nieprzewidzianych i niebezpiecznych. Wiatr, który swemi nagłemi zmianami bez ustanku zawodzi ich nadzieje; burza, która z niedostrzeżonego obłoczku nagle zaciemnia widokrąg i w jednej chwili pokrywa go żałobną zasłoną; morze, które przy odpłynięciu uśmiechało się do nich, oświecone promieniami jasnego słońca, a potem nagle rozhukanemi bałwany uderza w ich twierdze pływające i otwiera się pod ich stopami, jak grób niezmierny; łany piasku, poruszane falami; skały podwodne, na które wpadają, pomimo wszelkich usiłowań; szkopyły, których położenia nie dobrze rozpoznali, lub na które bywają rzućceni przez uragan; wszystkie niewygody życia morskowego, wszystkie zjawiska natury, fantastyczne owe kształty, owo łamanie się światła, trąby i chmury, — muszą koniecznie rozbudzać w duszy marynarza ideę tajemniczej, niepojętej potęgi, pewien rodzaj fatalizmu.

Lecz na wyspach shetlandzkich ta zabobonność żeglarska wiąże się z częstymi wypadkami i objawia przez rozmaite tradycyjne zwyczaje. W razie rozbicia się statku lub utonięcia rybaka, przypominają sobie natychmiast wszystkie przepowiednie które ostrzegły o tém wydarzeniu, a sąsiedzi utopionego spoglądają z przestrachem w około siebie, gdyż są przekonani że duch jego błąka się w pobliżu swego mieszkania, póki się doń nie zanieśe chrześcijańskiej prośby, a tego znów nikt nie odważy się uczynić, dopóki, zwłoki jego, przyniesione falą do brzegu, nie zostaną pochowane na cmentarzu. Nawet wypełnienie tego obowiązku religijnego nie jest dostatecznym dla uspokojenia zabobonnego przestrachu. Nie wymawiają nigdy nazwiska tego, co zginął tak nieszczęsną śmiercią, a jeśli się kto odważy o nim wspomnieć, zawsze używa omówień zamiast jego imienia. Jeśli był żonaty, pozostała wdowa zamyka się w mieszkaniu i przez kilka miesięcy unika obcego oka. Od tego nieszczęsnego dnia poświęca się ona ciągłej żałobie, a jeśli się skłoni pójść drugi raz za mąż, do ślubu zachowuje ciemne suknie, udając się do kościoła ze spuszczoną głową i smutną twarzą, ażeby nie myślano że mogła zapomnieć o swjej wdowięj boleści.

Jeżeli rodzina jaka zostanie pogrążoną w smutku,

nie przez śmierć przypadkową, lecz przez morderstwo, ślady tego niczem się zatrzyć nie dają. Znajdują się tu opuszczone domy, ciemne jaskinie, w których, według mniemania, zamieszkują upiory i których mieszkańcy unikają z uczuciem zgrozy, gdyż zostały splamione przez zbrodnią.

Wiara w czarnoksiężstwo, niegdyś rozszerzona po całej Europie i której ślady okazują się zrzadka pomiędzy ludami najciemniejszymi, w umysłach Shetlandczyków jest jeszcze dziś głęboko zakorzeniona. Są oni przekonani że znajdują się ludzie, a szczególnie kobiety, co jak Norna w Walter-Skocie, tajemnymi zaklęciami mogą sprowadzić nieszczęsny wypadek na człowieka który ich obraził, uczynić bogatym tego, którym się opiekują, zaklinać wiatry, uśmierzać lub wzbudzać burze.

Z mitologii skandynawskiej, która, podobnie jak grecka, zaludniała tłumem tajemniczym lasy, wody i góry, Shetlandczycy zachowali wiele symbolicznych znaków, wiele nadprzyrodzonych istot, między innymi zaś *meermaids*, dziewice morskie i *trows*, gnomy.

Dziewice morskie, te syreny północne, nie mają, jak starożytne syreny, strasznej władzy, przeciw której Orfeusz bronił Argonautów cudownymi dźwiękami swjej liry, i przeciw którym mądry Ulisses zasłaniał swoich towarzyszków. Nie starają się one omanąć człowieka swym śpiewem, dla pociągnięcia go w przepaść. Jeśli go uwodzą, to tylko dlatego, aby nad nim panować słodyczą spojrzenia i smutnym wyrazem twarzy. Często, wśród pięknego letniego dnia, wypływają na powierzchnię wody i czeszą swe jasne włosy złotym grzebieniem. Czasem widziano je jak pędziły na brzeg stada białych owieczek. Jeśli która z nich zakocha się w młodym rybaku, to chodzi za nim z daleka, śpiewając żałośnie; może nawet kiedy wejdzie do jego chaty i dla rozczulenia go zbliży się doń w mokrém ubraniu, ze spuszczonego wzrokiem i drżąca. Powiadają że ciała utonionych, których nie można było wynaléć, zostały pochwycone przez dziewice morskie, które je pochowały w głębinach swych mieszkań. Powiadają także iż dziewice morskie zapowiadają burzę i że jak wile serbskie, przepowiadają przyszłość.

Trowsy są téj samej natury jak trolle skandynawskie i koboldy legend niemieckich. Mieszkają zwykle w głębi pagórków, w błyszczących grotach, których ściany wyłożone są złotymi i srebrnymi blachami. Tam się żenią i zostają ojcami rodzin, jak zwykli śmiertelnicy. Czasem ich dzieci, które także lubią

wymykać się na wycieczki, wychodzą bawić się na wzgórzach stanowiących sklepienie ojcowskiego mieszkania. Raz stara kobieta z wyspy Yell ujrzała wchodzącą nagle do siebie małą istotkę dziwacznej powierzchowności, w żółtej kurtce i białej czapeczce.

— Kto jesteś? zapytała zdziwiona.

— Jestem synem sąsiedniego trows'a, odrzekł mały latawiec.

Kobieta przeżegnała się i dziecko znikło. Czasami puszczają się i na sąsiednie wyspy. Są oni tak małego wzrostu, że zdaleka zaledwie ich spostrzedz można, chociaż noszą suknie świetnej zieloności, a jeżdżą po powietrzu na zaczarowanej trzcinie, która im zastępuje miejsce *poney'a*. Shetlandczyk, spostrzegłszy takiego gościa, odpędza go, odmawiając modlitwę lub czyniąc znak krzyża świętego.

Mieszkańców archipelagu napełniają zabobonnym przestraczem, a jednak nie mają złośliwej natury; owszem, okazują wielką wdzięczność dla tych co im wyświadczyli jakąś przysługę. Dają czasem pomoc biédnemu rybakowi, a chorym lekarstwa, częstokroć bardzo skuteczne; lecz mają pociąg do kradzieży. Zamierzając wyprawić ucztę, nie robią sobie skrupułu porwać kilka sztuk bydła z pastwiska; dla ukrycia zaś swego postępku zostawiają na ziemi podobiznę wołu lub barana którego unieśli, doskonały obraz tych zwierząt. Lecz Shetlandczycy, znając wybiegi tych złośliwych istot, nie dają się oszukać i odrzucają te zwodnicze trupy. Co ważniejsza, trowsy często kręcą się około domu w którym dziecko przyszło na świat, i jeśli się nie pospieszą ze chrztem, porywają niemowlę.

Historye o trollach, nick'ach i meermaidach zajmują znakomite miejsce w zbiorze „*Danskesagen*” Pana Thiele (4 tomy, Kopenhaga 1818—1823), w baśniach ludu Norwegii i Szwecyi.

Lecz istnieje na wyspach shetlandzkich idea, której nie znajdujemy śladu w podaniach Północy, a którą, zdaje się, wypadnie przypisać wyłącznie naiwnej imaginacyi mieszkańców wysp sąsiednich. Utrzymują oni że foka, która ma tak piękne oczy, duże, jasne i słodkie jak oczy gazelli, jest duchem strąconym za ważne przewinienie i skazanym na nędzne życie zwierzęcia wodno-ziemnego, który w upadku zachował tylko wyraziste spojrzenie, na znak nadprzyrodzonej swjej natury.

W okolicach wysp shetlandzkich napotykać się dają dwa rodzaje foki: *phoca barbata* i *phoca vitulina*. Jakkolwiek rybacy tamtejsi nie mogą się oprzeć pojęciu zysku jaki im przedstawia łowienie tego zwi-

rzęcia, jednak nie bez pewnej niespokojności przystępują do dzielenia go na części, a z idei metempsychozy, jaką przypisują focy, wyradza się mnóstwo rozmaitych legend nader naiwnego charakteru. Przytoczymy tu jeden, i na tém skończymy ten krótki opis archipelagu, który w swém skromnym i samotnym istnieniu nie miał nigdy zaszczytu zająć sobą jaki kongres europejski, lub nawet wzbudzić spór jaki w parlamencie angielskim.

Pewien Shetlandczyk, przechodząc rankiem po morskiem wybrzeżu, spostrzegł fokę śpiącą na samotnej skale. Właśnie potrzebował dobrego obuwia, a ze skóry foki mógł sobie wyborne sporządzić. Zbliży się lekkim krokiem, zabija go rydłem który miał w ręku do zbierania ślimaków morskich, a potem spiesznie obdziera zeń skórę, rzuca mięso w morze i spieszy do swoich towarzyszków.

Tymczasem foka, wpadłszy w swój naturalny żywioł, odżyła, lecz wstydząc się braku odzieży, pływa wśród fal, jęczy i wzywa pomocy przyjaciół. Spostrzegła ją dziewczica morska i pyta o przyczynę smutku. Foka błaga o powrót jej odzieży.

Tymczasem lekkomyślny rybak miotany był bolesnym niepokojem. Żałował okrutnego postępku jakiego się dopuścił i drżał z obawy przypuszczalnej kary. Dla uniknięcia jej modlił się i uczynił ślub odpokutować za swój postępek przez dobre uczynki. Ukazując na statku swym towarzyszom skórę foki, nie śmiał wyznać jakim ją zdobył sposobem i powiedział że znalazł fokę nieżywą na brzegu. Lecz jakż

był jego przestach, gdy po wyciągnięciu z wody sieci, ukazała się złowiona w nie dziewica morska!

Prosi i zaklina rybaków aby ją bezzwłocznie puścili na wolność, lecz ci nie zgodzili się na to. Związali ją sznurami i umieścili na dnie statku, na skórze, którą ona pragnęła wydobyć z rąk rybaka. Biedna dziewczica morska, ofiara swój szlachetności, nie wątpi jednak iż geniusze morskie pomszczą się za nią. Rzeczywiście wzbudzili oni okropną burzę. I rybacy i dziewczica morska, która nie mogła się uwolnić ze swych więzów, zginęli razem, lecz foka odzyskała skórę. Od tej pory, na pamiątkę poświęcenia się meermajdy, foki zostały obrońcami szlachetnych dziewczic oceanu. Łowią dla nich pożywienie, którego tamte nie śmiały szukać w głębinach morskich, towarzysząc im na przechadzkach, uważnie słuchają ich melancholicznych śpiewów i z narażeniem własnego życia bronią ich przed pociskami rybaków.

Ani Lacépède, ani Cuvier, ani autor prześlicznego dziełka wydanego niedawno pod tytułem: *Sea Side Book* nie odkryli nam tych scen wodnych; lecz naiwny umysł ludu trafniejszym nieraz bywa w swych marzeniach, jak geniusz nauki w swych badaniach. Kto wie, czy w życiu tych myriad stworzeń które się ukrywają przed naszym wzrokiem w ciemnych fałach oceanu, nie odbywają się rzeczywiście tkliwe dramata miłości, litości i poświęcenia, zdolne może zawstydzić zimne rachuby roztropności i egoizmu ludzkiego.

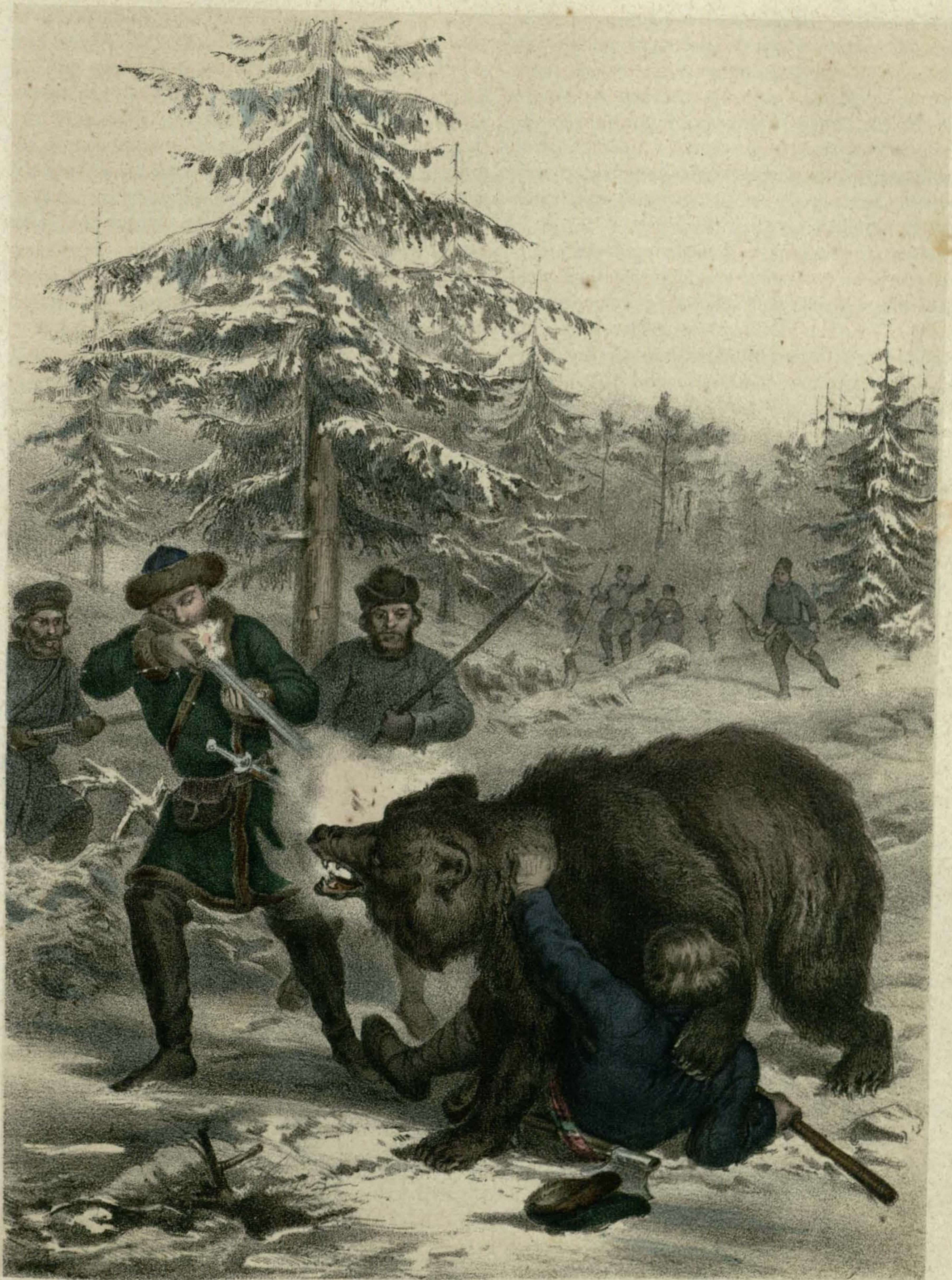
POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Mickiewicz.

W każdym rycerskim narodzie, w przerwach wojowniczych zajęć, polowanie, zwłaszcza na grubego zwierza, bywało zawsze ulubioną zabawą możnych właścicieli obszernych zamków i włości, w których

przed wiekami rozległe przestrzenie gęstych lasów przedstawiały nieskończenie większą niż obecnie obfitość zwierzyny. Zostawiając wyrastającej dopiero młodzieży i niewiastom łatwe łowy z sokołami na drobne ptastwo i z chartami na zające i lisy, czasem tylko z wyborowemi większego gatunku sokołami polując na czapłę lub żórawia, dzielni rycerze szukali szlachetniejszej rozrywki w niebezpieczeństwach z jakimi połączone bywało polowanie na tury, łosie, a szczególnie na niedźwiedzie i dziki.



Do ostatnich czasów, dopóki stało gęsto zarosłych, nieprzebytych tu i owdzie kniei, była i u nas wielka moc tych rogatych albo kudłatych mieszkańców puszczy, a królowie i książęta nasi, i co zamożniejsza szlachta i panowie z zapałem oddawali się łowom, w których odwaga, siła, przytomność umysłu i zimna krew były niezbędnymi warunkami powodzenia, a niebezpieczeństwo spotkania się z groźnym zwierzęciem, trudy i niewygody jakie pokonywać trzeba było wśród dzikiej puszczy, przypominając wojenne i obozowe życie, nadawały najwyższy powab tym myśliwskim wyprawom.

W miarę trzebieenia lasów, ubywać musiało zwierzyny, bo w coraz przezroczytszych kniejach łatwiejszém było polowanie, a trudniejszém utrzymywanie się zwierza. Najprzód więc zaczął on cofać się ku mniej dostępnym puszczom, a gdy go i tam nie chciano w spokojności zostawić, nic dziwnego że przy tak niesprzyjających okolicznościach, ten i ów rodzaj zupełnie, lub prawie zupełnie wyginął.

Dziś w naszych lasach jeden dzik tylko jeszcze niekiedy wywoła jakąś ważniejszą obławę; o żubrach i łosiach nikt ani zamarzy, a niedźwiedzia już nawet w białowieżskich ostępach nie obaczy. Z wytępieniem zwierzyny, naturalnie zaginać musiał i obyczaj wielkich dawnych łowów, i już tylko tradycya ustna i pisana daje nam wyobrażenie o tych dzielnych zapasach, o niezliczonych dowodach wielkiej, czasem nawet aż do zuchwalstwa posuniętej odwagi, których polem popisu były knieje nieprzebyte, co dziś ustąpiły miejsca uprawnym niwom lub gęsto zaludnionym wsiom i miastom.

A jednak niedawnymi jeszcze czasy, bo pod koniec zeszłego stulecia, nietylko książę *panie kochanku* ośm niedźwiedzi chował w swoich dobrach, ale i w mniejszych szlacheckich majątkach trafiał się nieraz mrukliwy bat'ko; pójść z nim w taniec, choć to nienajbezpieczniej, nie lenił się ani pan zamożny, ani zaściankowy szlachcic, i wiele imion dzielnych szermierzy z kudłatym maruchą przechowało nam podanie. W legendach i obrazach K. Wł. Wojcickiego kilka takich spotykamy podań, jak między

innemi o szlachcicu przezwanym *Niedźwiednik*, co na tego groźnego zwierza nigdy prawie nie używał palnej broni, chyba go niespodzianie napadł, gdy wyszedł ze strzelbą na łosie lub rysie, a zwykle uzbrajał się na niedźwiedzie pałą na dwie ręce grubą, u góry zaokrągloną, nasadzoną w nagłówku trójkątnymi, grubymi gwoźdźmi. Ze środka tego nagłówka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dzi ryt. Z tą bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do niego, pchnął go najprzód dzi rytym, a potem za jedném uderzeniem pałą rozciągał u nóg swoich.

Cztérnastu w ten sposób powalił niedźwiedzi, kilku też kulą ubił, a w takich razach zwykle przypuszczał groźnego zwierza na kilka kroków i dopiero dawał ognia. Jak żył tak i zginął: nie umarł zwyczajną śmiercią. Raz gdy wyruszono z legowiska ogromną niedźwiedzicę, *Niedźwiednik* wysunął się z za drzewa i zadał cios dzi rytym rozjuszonej bestyi; ale żelazo zesunęło się po kości i już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w swoje łapy, i tylko dał się słyszyć cichy jęk i chrzęst gruchotanych kości. Trafny strzał powalił prawie w téj samej chwili rozjadłą niedźwiedzicę, ale dzielny łowiec już nie żył.

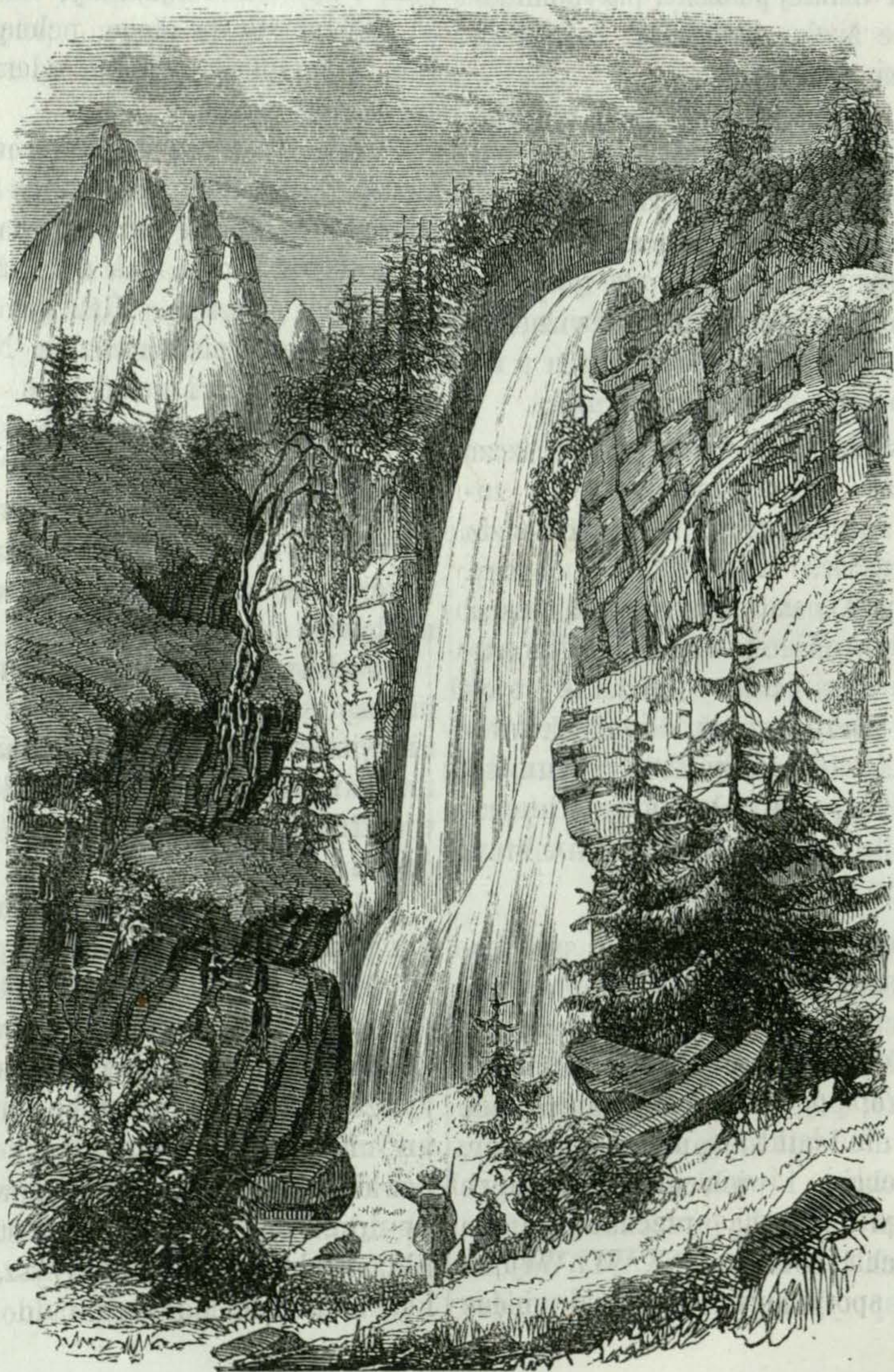
Podobnym zupełnie sposobem zginął odważny i ulubiony strzelec ostatniego z książąt *Radziwiłłów* nieświeżskich, księcia *Dominika*. Brał on zawsze niedźwiedzia na oszczep i podobnie w zamachu zawiedziony, schwycony w pół przez niedźwiedzicę, ducha wyzionął.

Dziś, u nas przynajmniej, takich *Niedźwiedników* nie potrzeba, bo nie mieliby pola do okazania swojej odwagi i siły. Załączona tu litografia przedstawia podobną powyżej opisanym scenę polowania na niedźwiedzie w jodłowym lesie *Siedmiogrodu*, gdzie jeszcze o leśnego maruchę nie trudno. I tu widzimy niefortunnego strzelca, co lekko zraniwszy niedźwiedzia, został przezeń powalony na ziemię i byłby drogo opłacił nietrafny strzał, gdyby go nie ocalała rychła pomoc towarzysza, który pewniejszą ręką skuteczniej dał ognia do rozjuszonego zwierza.

WSPOMNIENIE TATRÓW.

Z NOTAT PODRÓŻNYCH

OSKARA FLATT.



Wędrowki po rodzinnej ziemi były mi od dzieciństwa najmilszym marzeniem: od dziesięciu lat jak je ziszczać zacząłem, zebrałem w sercu i pamięci drogi skarb wrażeń i wspomnień, nigdy nie zatartych, odmładzających się wieczną zielenią. Przebiegłszy

wzdłuż i wszérz tę wskrós dziejową naszą widownią, zaprzyjaźniwszy się z cudami jej pamiątek, zbliżywszy się sercem do kochanej braci,—czyż dziw że z każdej wycieczki wracałem bogatszy o jedno ogniwo, co mnie z nowym jakim małym światkiem nad Prąd-

nikiem lub Nidą, Pilicą lub Wartą, Narwią lub Wieprzem wiązało?

Wśród tego zapału mego do krajowych wędrówek, zawiązała się w literackim świecie, w dziennikarskich organach, olbrzymia koalicja przeciw podróżom zagranicznym, która zrazu dość oględnie bój prowadziła; ale uznawszy potrzebę radykalnej kuracji, przeczuciła się wnet w ostateczność bezwarunkowego potępiania wszystkich peregrynacyj na Zachód, który, jak nas ucza, bliski jest ostatecznego rozkładu i konając już, walczy tylko przeciw zgniliznie materializmu. Nam więc, podobno, zdrowym na duszy i ciele, niebezpiecznie puszczać się w te zarazą dotknięte sfery.

Jakże to inaczej zupełnie przed oczami ducha mego jawiła się ta cywilizowana Europa! Może to marzenie, ale mnie się zdało że w tym zbiorowisku światła i pracy, wiele, bardzo wiele promieni dla społecznego ogniska naszego zdobyć można. Więc z wiarą w to marzenie, zbrojny talizmanem świętych rodzinnych uczuć, puściłem się za granicę do Austrii, do Włoch, Szwajcaryi, części Francji i Niemiec, i wróciłem do kraju bez goryczy, bez zawodu, utwierdzony tylko w przekonaniu, że celowa podróż po obczyźnie uczy nas w prawdziwym świetle pojmować swój kraj, swój naród i siebie samego.

Dziś, kiedy tyle świetnych piór w *Dziennikach* i *Listach* kreśli wrażenia ze Wschodu i Zachodu, zbytecznym byłoby rozprawiać o Niemcach, Francji lub Włoszech;—ale na dobie może będzie zestawić tu notatki moje z tatrzańskiej podróży. Tatry dały mi błogosławieństwo na dalszą drogę i znać szczęśliwą błogosławiły mi ręką. A potem, żadna nas w Tatrach różność zdań nie rozdzieli, bośmy tam silni wspólną miłością i uwielbieniem wspólnym.

Dwa tygodnie spędzone w Tatrach liczę do najpiękniejszych dni mego życia i za nie w świecie nie wydarłbym ich z pamiętnika mojej młodości: przyjmuję je jako łaskę Opatrznej ręki, jeszcze w boju życia nie odsłużoną.

Wyjechałem z Krakowa koleją żelazną lwowską 27 czerwca w południe, pożegnany serdecznie przez zacnego autora *Listów*. Póki nie znikła mi we mgle oddali ostatnia krakowska wieżyca, nie mogłem odebrać oczu od świetnej stolicy, którą po raz pierwszy widziałem, by ukochać na zawsze.

Gdy już i ten obraz znikł, zajęła się myśl wysnuwaniem projektów o górskiej mojej podróży. Obejrzałem się w koło, badawczo śledząc rysy i postawymoi-
ich towarzyszków wagonowych. Naprzeciw siedział

milczący jakiś huzar, dzielna, madziarska postać, z nasrożonym wąsem;—on teraz w dymisji, a był majorem w honwedach. Krótką a jędrną zawiódł ze mną pogadankę, łamaną niemczyzną i łaciną. Znał wybornie podkarpackie Węgry, konsystował ciągle w górskich miastach i osobliwie ciekawe opowiadał szczegóły o kapitulacji Munkaczu przed generałem K.

Na przystanku ludność wagonowa powiększyła się o dwa białe mundury, i wnet umilkł mój huzar, nasrożył brwi, przymknął oczy i już jego głosu więcej nie słyszałem.

— Czy można służyć cygarem? zabrzmiał mi w uchu dźwięczny głos sąsiada.

— Uprzejmie dziękuję, nie palę—odparłem, iż żywą ciekawością obejrzałem się na towarzyskiego sąsiada, podającego mi cygarniczkę.

Był to młody człowiek, lat 34 lub 36, dobrego wzrostu, brunet, śmiałego czoła, energicznego oka; w całym jego obliczu rozlany był taki wyraz ucziwej otwartości, że mnie od razu za serce schwyciła. Ta torba podróżna przez plecy, ta leciuchna czapeczka, ta czerwono podbita burka na ramionach, a mała fajeczka, z dziwną fantazyą puszczejacą misterne kółeczka sinawego dymu—zajmującą dla oka stanowiły całość.

— Pan do Dembicy? zapytał znowu.

— O nie, do Bochni tylko.

— I ja także, zawołał.

— Ale ja z Bochni dalej, niż się jeszcze spuszcza, do Sącza.

— Bravissimo! zawołał sąsiad i przysunął się do mnie ochoczo. A z Sącza dokąd bogowie prowadzą?

— Do Szczawnicy, a potem.

— Wybornie... jedną mamy przed sobą drogę. Ależ pan nie myślisz w Szczawnicy odbywać kuracji?

— Dzięki Bogu, nie potrzebuję jęj. Poznać piękność tatrzańskiego świata, to cały cel mojej podróży.

— A więc niech żyją Tatry! krzyknął żwawy mój sąsiad, ku zdumieniu białych mundurów z zapałem podnosząc czapeczkę. Jestem Konrad C., mieszkam w Krakowie; przy sposobności wstąpisz do mojej pracowni przy Floryańskiej ulicy, pokażę ci kilka zajmujących obrazów.

Po chwili byliśmy z sobą jakby od wielu lat znajomi i wśród pogadanki z niepojętą szybkością ujrzelismy się w Bochni.

Dobry towarzysz, to wielki los w podróży.

Rozjaśniłem więc czoło, tęsknota osamotnienia pierzchła. Tatrzańska wędrówka nowego nabrała

w oczach moich uroku. Bo też w tych pierwszych moich krokach nie mogłem w nikim lepszego jak w Konradzie znaleźć przewodnika. Tatry znał dobrze, a na roztaczającej się przed nami drodze wymienić mógł każdy strumyk, każdy pagórek, niemal kamień każdy.

Bochnia, dawny Salzberg, fundacja Bolesława Wstydliwego, starsza siostra Wieliczki, na sto lat przed pierścieniem Kunegundy z bogactwa solnego znana, we wcale korzystnym przedstawiła mi się świetle.

Kopalnie w obec wielickoskich bardzo pozostały w tyle i prawie podrzędniejszym je nazwał; ale za to samo miasto wcale przyjemne i porządnie zbudowane.

Rynek bocheński przed dwunastą laty grozy pełną przedstawiał widownią: tu złożone były ofiary wściekłego zaślepienia, a gmach mieszczący dzisiaj urząd cyrkularny, przepełniony był krwawym tłumem obłąkańców. Szereg lat minął od owej chwili, a jeszcze po dziś dzień lud bocheński nie starł z swego czoła tego piętna ponurzej zawziętości, która go wówczas z szatańskich podszeptów do zbrodni popchnęła. Na całej drodze aż do Sącza same chmurne, jakby złowrogie tylko spotykałem oblicza i znikąd w uchu życzliwy głos „pochwalonego” nie zabrzmiał. Bochnia położona jest na gościńcu wiedeńskim, czyli głównym trakcie handlowym; ztąd więc puściłem się na południe, gościńcem wiśnickim, który w Nowym Sączu łączy się z tak zwanym wielkim traktem karpackim.

Dylichans osobowy, coś nakształt arki Noego, tylko może niefortunniejszy kształtem i bezpotrzebnym ciężarem, zabrał nas w dalszą drogę. Poczciwy Konrad wiele opowiadał mi o galicyjskich stosunkach; aż wreszcie, po parogodzinnej podróży, wychyliwszy się z powozu, ukazał mi w dali sterczącą na skale wieżycę i zawołał:

— Patrz—to Wiśnicz!...

— Wiśnicz? i rzuciłem się do okna dylichansu. A więc to gniazdo Kmitów; tu ostrzyły się groty na pierwsze ciernie młodej korony Zygmunta Augusta; z tych murów trysnęło niejedno źródło łez Barbary; też same mury brzmiały huczniemi festynami pojednania... Wymowne to mury, zawołałem, gdy już z całą powagą odkreśliły się na widokregu. Dwa świetne koła, mężów nauki i stali, opromieniają jasną aureolą te smętne ruiny: jedno kupi się w koło Piotra Kmity z swobodą sumienia na czole; drugie w sto lat później rycerskim pierścieniem otacza Stanisława Lubomirskiego.

— Było to, było.....

Choć wspomnieć to miło,

A dziś....

Wiśnicz własnością hr. Maurycego Potockiego, zamek w ruinie, a ów sławny klasztor karmelitów, ot tam na niższym wzgórzu, dodał Konrad—pamiątka wotywna wyprawy chocimskiej, pod wezwaniem *Servatori Christo*, obrócony oddawna na główne w całej Galicyi więzienie.

— A oweż sławne grobowce, szacowne arcydzieła penzla? zapytałem.

— O grobowce nie pytaj—a co do obrazów, to mimo wiedzy w wiedeńskich galeryach spotkasz się z niejednym ztąd nabytkiem.

Smutno bił mi w oczy malowniczy na stoku zielonego wzgórza zamek, uwieńczony trzema wieżycami, z których jedna poważnie w kształcie kopuły zbudowana, świątynia zaś Boża skromnie osiadła w dolinie.

Od stacyi wiejskiej Rzegocin, krajobraz Galicyi zaczyna pięknieć i podniosłe wzgórza coraz nowym stroić urozmaiceniem. Kwietne doliny, rozdoły strumieniami przerzniete mile bawią oko, do dalszych sposobiąc widoków. W dobrém już usposobieniu powitałem miasteczko Limanowę.

— Niegdyś było to dziedzictwo Stobnickich, objaśnił mnie z westchnieniem Konrad—dziś jest to własność barona Borowskiego. A smutne to dzieje poprzedziły przejście tego majątku w inne ręce: ale nie odsłaniajmy światu ran rodzinnego naszego organizmu.

Od Limanowy już coraz piękniejszą się widoki, coraz rozkoszniejsze otwierają kotliny; aż wreszcie zatętnił pod nami najdłuższy podobno w całej Galicyi most na Dunajcu, którego zielone wody już nieodstępnie towarzyszyć mi miały aż w samo serce tatrzańskiej mojej wycieczki. Około północy stanąłem w Nowym Sączu.

Z wielu bardzo względów jest to jedno z najcelniejszych miast Galicyi. To stolica tatrzańskich górali; do sandeckiego to cyrkułu należy obszar najpiękniejszy kraju, aż do źródeł Dunajca. Nowy Sącz i rozległością, i ludnością, i porządnym zabudowaniem usprawiedliwia znaczenie swoje. Odnosząc początek swój jeszcze do końca XIII wieku, odgrywał Sącz niepoślednią rolę w krajowych dziejach, a jego kasztelanowie stali na czele mniejszego koła. Była to naczelną przystań węgierskiego handlu, a bogate opactwo Norbertanów, fundacyi Jagiełły, i zamek starościński były ozdobą i chlubą miasta. Teraz zamek zniszczał, opactwo suprymowane. Stanęliśmy w zajeździe pani Listowej. Tak sama właścicielka, jakoteż i jej oberża

godne są wspomnienia. Wielka, sklepiona izba, na nocleg nam oddana, historyczne miała znaczenie w najświetniejszych dziejach Galicyi. Tu sfermentowały się żywioły téj burzy, co krwią przyschła na nizinach Podgórze. Pani Listowa szeroko na całe Sandeckie szczyli się sławą wybornéj kucharki. Na karb tych zasług niejedne wybaczyć jéj trzeba usterki. Do rzędu jéj dziwactw między innymi należy i to, że żaden gość przed godziną 12tą w południe jeść u niéj nie dostanie. Przed silném jéj postanowieniem w téj mierze wszystko korzyć się musi. W czasie swojej podróży po Galicyi, arcyksiążę Karol Ludwik zjechał tu niedawnym czasem i zażądał śniadania o godzinie 10. Zdeterminowana pani Listowa wyznaczyła arcyksięciu dwugodzinny termin, i mimo wszelkiéj protestacyi, dostojny gość, snadź spragniony smacznych sandeckich łakoci, do woli rezolutnéj pani restauratorce zastosować się musiał.

Ciekawém wspomnieniem przemawiały do mnie bujną zielenią okryte wzgórza, staczające się ku południowi wzdłuż brzegów Dunajca. Przed 12tą laty zawisła na tych wzgórzach orężna chmura górskich sokołów. Krwawe, podjazdowe z białymi mundurami zachodziły tu bójki, a choć zamiar odbicia osadzonych w Sączu więźni ówczesnych nie przyszedł do skutku, to przecież dla obradującego w mieście sądu wojennego, była ta zawieszona w obłokach chmura górali groźnym mieczem Damoklesa.

Tu roztwiera się urocze wejście do słynnéj sandeckiej doliny, która wespół z nowotarską stanowi najcudowniejszy szpaler i przysionek Karpat. Na przestrzeni 10 mil roztacza się drogi dla serca, miły oku, prawdziwie polski, rolniczy krajobraz, ze złotozłotywanymi łąkami, z wonią sianożęci. Przed nami zielone nurty Dunajca, chyżo, wartko, młodzieńczo płynące wśród uśmiechniętej doliny, napiętrzonej poobu stronach smugami najbujniejszej wegetacyi. Żyto i owies najobszerniejsze zalegają tu łąny. Inny świat otwiera się za Sączem.

— Czy to niebo wypogodniało? czy wypiękniała ziemia?—pytałem w zachwycie Konrada.

— O tak, zawołał, żywo mą dłoń ściskając, i niebo jaśniejsze, i piękniejsza ziemia; bo lud rozpromienił już znowu schmurzone tam ku północy oblicze i pocziwą pracą pochwalił Boga. Inny to lud, serdeczny, gościnnie, a chętny i pobożny, pracowity, rządny i czysty. Na całej przestrzeni od nowego Sącza w dół Dunajca aż do Łącka krząta się lud wiejski około płótna, które tu główny miejscowego handlu stanowi produkt. Od Łącka ku Szczawnicy ciągnie

się pasmo owocowych sadów. Chłopi na Podgórze tatrzańskim miewają w swoich sadach po 1,000 i 2,000 owocowych drzew. Wyborne śliwki węgierskie naczelnie tu trzymają miejsce, a hurtowy handel tysiącami beczek powideł daje zarobek i zatrudnienie włościanom. Wreszcie od Nowego Targu w głąb Tatrów aż za węgierską granicę rozciąga się handel żelazem, zatrudnienia górnicze, a po części jeszcze transport win węgierskich. Handel ten żywszego jeszcze spodziewa się rozwoju w obec dających się słyszeć zamiarów towarzystwa węgierskiego zbudowania kolei żelaznej z Tarnowa przez Nowy Sącz do Koszyc.

— Jak téż rozległe bywają tu zwykle osady włościańskie? zapytałem.

— Nie przechodzą nigdy 15 do 20 mórg, nie licząc, rozumie się, zapewnionéj im tu zwykle służebności leśnej.

O pół mili tylko, tam gdzie węgierski Poprad Dunajcowi czołem bije, stanęliśmy w Starym Sączu. Jeżeli samo miasto dziejową przeszłością budziło już żywy interes, tém bardziej jeszcze zwrócił moją uwagę kościół św. Kunegundy, przy którym zostają dotąd zakonnice św. Klary, reguły św. Franciszka. Klasztor ten, niegdyś jeden z najbogatszych w Polsce, pamiętny jest 13-letnim pobytem św. Kingi, zwanéj nawet Ducissa Sandecensis; zaś w 200 lat potem Długosz, znakomity proboszcz łącki, chroniąc się przed zarazą, tu w Starym Sączu wraz z Kallimachem wykładał nauki dwóm młodym królewskim lataroślom jagiellońskim. W kościele tutejszym dwa przedmioty szczególną moją zwróciły uwagę: najprzód prześliczna, wspaniała, bogata w rzeźbę, jakiej katedry godna ambona, wyobrażająca symboliczną genealogią domu Abrahama, według, 1-go rozdziału ewangelii Mateusza; a potem dziwnie pięknej roboty wielki krzyż jaspisowy nad chórem. Na okalającym cmentarzu dwa ciekawe, marmurowe, rodziny Lipskich, znajdują się grobowce. Rozrzewnił mnie napis na pomniku czerwono-marmurowym młodego potomka téj rodziny, zmarłego roku 1627.

„Ledwie jak kwiat z gałązki wonny wyszedł, który
Znakiem jabłka jest, jam był rodzicom podpory.
Kiedy mnie przeciwny wiatr uderzył z zachodu,
Zciał nadzieje rodzicom, mnie głębszego brodu
Zawiśnie nie dopuścił inszych laty gonić,
Sławą dźwignąć dom Lipskich, mężstwem Polski bronić
Com miał w sobie ludzkiego, kamień to przywalił,
Z aniołmi mnie połączył, a od krwi oddalił.”

Przełożona pp. Klarysek w Sączu miłe bardzo uczyniła na mnie wrażenie. Ożywiona z zącą matroną pogadanka należy do prawdziwie przyjemnych wspomnień mojej podróży. Żaliła się głośno na niedokładne opisy i błędne szczegóły o kościele i klasztorze tamtejszym szerzone, wciskające się aż nazbyt często do druku, czego *Gwiazdka Cieszyńska* dała dowód.

O szczątki zamku daremnie pytałem; nie wskażą ich już dzisiaj ciekawemu badaczowi przeszłości.

W Jazowsku na promie przeprawiliśmy się na przeciwny brzeg Dunajca. Tu już rozpoczynają się połowy łososia, odbywane na całej przestrzeni Dunajca aż za Czorsztyń na wielką skalę i stanowiące jeden jeszcze przedmiot handlu. Sam dziedzic Łącka za pozwolenie łowienia łososiów na swoim terytorium pobiera rocznie 700 reńskich.

Około południa stanąłem w Łącku, dziedzictwie hr. Seweryna Drohojowskiego. Ogromna to osada, z kościołem, pocztą i szkołą trywialną, liczącą przeszło 200 uczniów. Łącko uważane było niegdyś za ostatnią polską w tych stronach osadę. Dalej już w Podgórzu napotykamy osady rusińskie. Ta linia graniczna uwydatniła się w stylu świątyń, stanowczo przeważającym się ku bizantyckiemu; gotyku nigdzie już się tu nie dopatrzyłem.

W Łącku spędzała porę letnią w gronie dzieciątka młoda małżonka Konrada. Któż z was na obczyźnie nie potrafił ocenić całej świętości, całego uroku jaki opromienia rodzinne ognisko. Za temi ożywczymi promieniami serce już żywo tęskniło; więc nie dziw że w uprzejmym gronie nowych moich przyjaciół dłuższą zabawę chwile, nie dziw że spędzonych tu godzin bynajmniej nie pożałowałem, bo zapełnił je długi szereg urozmaiconych rozrywek.

W kościółku łąckim zajęła mnie szczególniejsz starożytna, kamienna kropielnica, o której szczegółowo wspomniał Łepkowski w archeologicznych swoich drobiazgach, zaś w wielkim ołtarzu piękny obraz Bogarodzicy, najczystszy bizantyck. Z rozrzewnieniem spoglądałem na uczciwą pobożność tutejszego ludu, na gorące jego modły. W każdej ręce była nabożna książka, a dzieci tak obeznane z zasadami wiary, tak jasno tłumaczyły znaczenie obrzędów, tak pojmują zjawiska przyrody, że niepodobna nie oddać głębokiej czci kapłanowi tej parafii. W czasie odwiedzin moich u zanego dziekana nadeszła młoda, zdrowa góralka, z dwójkiem drobnych dzieciątka, po pasterskie błogosławieństwo, a każda dziecina niosła ofiarę na odbielenie kościoła. Powszechna całej okolicy uwaga

zwracała się wówczas ku kopalniom złota, jakich domniemywano się w Łącku. Na stwierdzenie tych domysłów, Konrad okazał mi odłamek rudy, którego stosunkowe bogactwo daleko szemnickie kopalnie przewyższa.

Pragnąc osobiście na miejscu obejrzyć te nowe skarby polskiego Bathurstu, wraz z Konradem i jego małżonką przeprowiłem się na przeciwny brzeg Dunajca i wdrapaliśmy się na wzgórze, gdzie wyznaczony od rządu górnik w otwartym szybie czynił usilne poszukiwania i jako owoc prac swoich okazał nam zapas złotodajnej rudy, z głębi szybu wydobyty.

— Że ruda srebrna i złota, rzekł górnik, jest rzeczywiście w tych górach, już dzisiaj o tem nie wątpię. Idzie tylko o to, czy to jest jednoczesne gniazdo, czyli też pokład cały, a więc czy jest to tylko przypadkowa w tutejszej formacji górskiej osobliwość, czy też możnaby pomyśleć o korzystnym eksploataowaniu na wyższą skalę.

— Jakaż jest przeszłość tutejszych kopalń? zapytałem. Czy oprócz tych odłamków rudy niema żadnych innych wskazówek?

— Ależ jakie jeszcze! zawołał żywo Konrad. Kopać, kopać! ot wszystko. Kto tu może wątpić? Już przed czterema wiekami kopano złoto w Łącku. W XV wieku Tarnowski miał prawo eksploataowania szybu, dziś wodą zalanego. Lud opowiada o wielkich żelaznych drzwiach, jakie istnieć miały przed ostatnim napadem Tatarów, wiodąc do kopalni i do dobytých skarbów. Dziś te drzwi zasypane; idzie więc o to aby je odszukać.

Z uśmiechem potrząsnąłem głową.

— Śmiejesz się, nie wierzysz ludowej prawdzie! zawołał żywo Konrad. Może ci drukowanych potrzeba dyplomatów? Więc przeczytaj co mówi Długosz o Łącku czy Lacku.

— Zkądże nazwa Lacko?

— Od nazwy ostatniej osady Mazurów pod Karpatami; Łąckiem zaś nazywają tę osadę od łąk pięknych. Ale nie o to idzie. Otóż i Długosz wspomina o tutejszych kopalniach złota. Najdokładniejszą zaś w tej mierze instrukcją jest testament Wydźgi z XIV wieku, szczegółowo określający miejsce, gdzie w owym czasie wybite były szyby.

— Wszystkie te ślady, zarzuciłem, dowodzą usiłowań, ale o ich skuteczności, jak widzę, milczy podanie.

— Przeciwnie, przeciwnie, ty niedowiarku, zawołał Konrad, gdyśmy już łodzią w powrotną po Dunajcu płynęli drogę. Podanie niesie że Wydźga wykopywał złoto w grudkach wielkości ziarnka grochu, bobu,

a nawet i większe. Złoto to wsuwano podobno w wydrążone belki i razem z drzewem spławiano do Gdańska dla wytopienia. Defraudacya ta została wykryta i Wydźga skazany na turmę w zamku krakowskim. Przekazując więc następcom swoim eksploatacyą kopalni, Wydźga w testamencie, w razie powodzenia, poleca duszę swoją pomocy i modłom potomków. Na odszukaniu tego testamentu, w tradycyi tylko znanego, wiele zależało dziedzicom Łącka. Pewien obywatel, posiadając kopię z XVI wieku, żądał za nią 20,000 reńskich; nim jednak układ stanął, odszukano oryginał w archiwum kapituły krakowskiej. Ale jeśli idzie o dowody, ma nawet lud tutejszy w podaniach swoich bliższe daleko ślady; prawi bowiem wiele o kowalu łąckim, który tajemnie miał z rudy wytapiać bryłki złota, a zebrawszy snadź fortunę, zniknął, pozostawiając żonę i dzieci.

— Jeżeli takie tylko następstwa tych zaklętych skarbów, szepnęła z uczuciem pani Konradowa, to pozostawmy je w zaklęciu. Na dowód że te góry kryją w swoim łonie skarby, mnie wystarcza głos ludu, co dotąd tę oto górę nazywa *Złotą* i tryskający z niej strumień górski *Złotym potokiem*. Głęboka to treść tych ludowych podań. . . .

— Wiész więc teraz jakie są nasze dane, nasze próby, przerwał Konrad.

— Daj Boże — ale czekajmy końca.

Łódź nasza przybiła do brzegu i milcząc wracaliśmy do dworu.

Myśli nasze musiały się dziwnie w tę chwilę rozpierchnąć. Co do mnie, zapomniałem wkrótce o oczekiwanych skarbach, oko moje biegło wzdłuż Dunajca, śladem ginącej w oddali osady, tak wesołej, zamożnej, skrzętniej, ochoczjej. Taka jasna pogoda, tak poczciwe znamię tkwi na każdym czole, jakby wszystkie troski omijały je zdaleka. I któż takie cuda działa z tutejszym ludem? To ten, czyje imię brzmi w każdym ustach, dziedzic Łącka. Ujrzałem tu w czynie tak rzadki w Galicyi, najszcześniejszy, patryarchalny stosunek dziedzica do włościan, z całą tą sympatją, czcią i miłością ludową, jakimi niegdyś polski rolnik dziedzica i dziedziczkę opromieniał. Zblizka i zdala ciągnie do Łącka ludek obszernych włości, by chociaż skłonić się panu, co dzieli się wszystkiem w dobrej i złej doli, co wolne daje ugaje, choć go indemnizacya ze wszystkich prawie wyzuła dochodów. Zebrane po chatkach w Łącku opowieści o ich dziedzicze, łzami wdzięcznej miłości zwilżone, zachowałem w głębi serca, jako najdroższy pomnik

polskiej matki-obywatelki, jakich najwięcej daj nam dobry Boże!

Nazajutrz pożegnałem Łącko i w towarzystwie Konrada w dalszą w górę Dunajca puściłem się drogę. Obejrzawszy głośnie z własności petryfikacyjnej źródła po prawej stronie rzeki, zatrzymaliśmy się w Krościenku, małym miasteczku okręgowym, stolicy białych górali, tak zwanych od białych opończy. Wznowiłem tu zabraną na odpuszcie w Łącku znajomość z naczelnikiem okręgu, p. Kosel, od którego powziąłem wcale ciekawe szczegóły o administracyjnej organizacyi austriackiej. Pan naczelnik, zwany tu zwykle starostą, jest istotą poczciwą i prostoduszną. Wbrew zwyczajowi, jest on tu powszechnie lubiany, a szczególne położył zasługi około dróg komunikacyjnych téj okolicy. Kto nie był tu od dwóch lat, nie poznałby się z temi stronami. Równy, bity gościńiec wije się po oblazach wzdłuż brzegów Dunajca, od samego Sącza aż do Szczawnicy, a ztamtąd poprowadzona jest kummunikacya do Krynicy.

Stanowcza demarkacya, we wszystkich prawie krajach oddzielająca sądownictwo od administracyi, w Austrii nie istnieje: obie attrybucye łączą się w jednym ogniwie władzy wykonawczej, jakim jest w okręgu biuro pana naczelnika, w cyrkule zaś biuro pana starosty. Jeżeli ta wspólność i sądownictwo biurokratyczne niejedną przedstawiają wadliwość, to za to organizacya policyjna okazała się o wiele praktyczniejszą. Zarząd okręgowy (Bezirk-Amt) rozciąga jurysdykcyą policyjną na wszystkie wsie i miasteczka swego obrębu; nie ma więc w naszym znaczeniu ani burmistrzów, ani wójtów gmin, a istniejące po miastach obieralne magistraty i burmistrze zajmują się tylko zarządaniem funduszów gminnych. Jak dotąd, organizacya ta zyskała ogólne zadowolenie, może dlatego, że jej bezpośrednim skutkiem było zniesienie powszechnie znienawidzonej instytucyi mandataryuszów. Cyrkuł sandecki, liczący do 300,000 mieszkańców i jedenaście miast, ma takich okręgów dziesięć; składa się zaś biuro z naczelnika, adjunkta policyjnego i sądowego, kancellistów i dyetaryuszów. W skutek nowej organizacyi, od urzędników administracyjnych wymagane są egzamina sądowe. Sądownictwo jest połączone, cywilno-kryminalne. Piérwszą jurysdykcyą jest zarząd okręgowy (Bezirk-Amt), następnie sądy powiatowe czyli cyrkularne, ulegające rewizyi sądów obwodowych, z których jeden na kilka przypada cyrkulów, wreszcie sądy appellacyjne w Krakowie i Lwowie. Najniższa płaca etatowa w biurze okręgowym

wynosi 400 reńskich (1600 złp.), płaca naczelnika cyrkułu 3,000 reńskich (12,000 złp.).

— Jakżeż ci przypada do serca nasza biurokracya? zapytał mnie Konrad, widząc że w upartém milczeniu dosiadam podróznego wózka, który wnet w dalszą potoczył się z nami drogę.

— Nie, mój drogi, zawołałem, nie! Za 10,000 reńskich nie chciałbym tu być urzędnikiem, w takiém pojęciu i na takiém stanowisku, jak tutejszą biurokracyą znajduję. Prawda że mało, bardzo mało Polaków w biurach spotkać można; ależ doprawdy usilnie na niepocziwém polu wstecznych usiłowań pracować trzeba, by zyskać sobie tak smutną opinią, tak stanowcze od krajowej masy obywatelskiej odsunięcie, jak tego na każdym kroku widzę tutaj dowody. I z tęsknieniem wspomnieniem pobiegłem myślą nad naszą Wisłę, w stare Mazowsze.....

Tylko pół mili oddziela Krościenko od Szczawnicy, przytulonej długim pasem do wyniosłego wieńca gór. W prześlicznej dolinie Dunajca rozsiadła się Niżnia i Wyżnia Szczawnica. Ze szczerem zajęciem wjeżdżałem do téj osady, która w ostatnich szczególnie latach tak rozgłośnego w królestwie z leczebnej siły wód swoich używać zaczęła imienia. A jakoś na wstępie samym nie pocieszył mnie widok cmentarza. Takie *memento mori* zdało mi się ni eszcześnie wybranym epigrafem dla leczebnego zakładu. Instytut położony jest wysoko ponad doliną, wzdłuż której daleko rozciąga się wieś, stanowiąca ostatnią na tatrzańskim Podgórzu osadę górali-katolików. Zabudowania zakładu otoczone są łańcuchem gór, *językami* zwanych ¹⁾, z pod których tryskają tak zbawiennego wpływu źródła kwaśne czyli szczawy alkaliczno-sodowe. Najwyższe werchy tego łańcucha są: Jarmuta Łaski, Załazie, Fladr, Wierchomla, Chomoła.

Dunajec, przebiwszy sobie skaliste koryto przez Pioniny, obmywa prawy brzeg Niżniej Szczawnicy, zaś strumień Ruska woda przerzyna dolinę wyższą i zdoła ogród p. Szalaja, dziedzica Szczawnicy. Główne ognisko życia i ruchu tętni około źródeł, których jest obecnie 5, jakoto: Józefiny, Szczepana, Magdaleny, Waleryi i Szymona. Tu kaplica gotycka, domki szwajcarskie, restauracya i poczta, lekarz i apteka i aleje do przechadzki. Ztąd wreszcie najcudniejszy roztacza się widok na Szczawnicę i na Pioniny. O nich później obszerniej wam powiem; teraz tylko wspomnę,

¹⁾ *Języki szczawnickie* złożone są z następujących gór: Świątkówka, Bereśnik, Czeluski, Popia-góra i Skale.

że jestto oddzielne pasmo gór, dźwigające w niebo takie werchy jak: Sokolica, Płaska-Skała i dwie Okrąglice. Ze względu na ten urok natury i tyle połączonych dogodności, niejedyn z tysiącznych gości Szczawnicy pogodzi się z trudem, jaki dlań przedstawia częsta a męcząca komunikacya piesza ze wsią, która jest głównym wszystkich pacjentów przytułkiem, bo mała tylko liczba wybranych zdoła znaleźć pomieszczenie w okolicach zakładu, inne rodziny mieszczą się na wsi, w chatach, opatrzonych charakterystycznymi godłami, wyczerpującemi całą niemal zoologią.

Jeżeli z jednej strony przyznać trzeba, że w ciągu kilku lat ostatnich do niepoznania dźwignął się zakład leczebny w Szczawnicy, to przecież z drugiej strony nie podobna zaprzeczyć, że dotąd bardzo jeszcze wiele pozostawia do życzenia i dogodności nie równą podobno w tym stosunku, w jakim corocznie zwiększa się liczba gości. Nie wątpię o dobrych chęciach p. Szalaja, ale przy tak wielkiém przedsiębiorstwie same chęci nie wystarczają. Zdaje się że tylko stowarzyszenie większych kapitałów mogłoby odrazu postawić Szczawnicę na stopie słusznych wymagań. Hojnie zaś opłacą się wszelkie trudy i nakłady, bo Szczawnica ma rozległą przed sobą przyszłość, po uzyskaniu opinii takich lekarzów jak Dietl, jak Chałubiński, którzy w tych latach osobiście te wody zwidzili, uznając głośno zbawienną ich skuteczność.

Że pan Szalay dobrze pojmuje warunki wygody i piękna, przyzna to każdy, kto zwidzi miluchny jego pałac, gustownym, kwiecistym otoczony ogrodem, z kaskadą, wodotryskiem i gotyckimi altanami, każdy, kto przejrzy wydane przez niego *Album Szczawnickie* czyli nadbrzeża Dunajca, z 24 tablicami rycin własnego rysunku. ¹⁾ Śliczne to album w jaknajwiększej liczbie rąk widziećbym pragnął. Piękniejszy to i cenniejszy upominek, niż wszystkie owe wybrzeża Renu i tysiączne angielskie keapsaki w złocistych oprawach. Cały świat naddunajcowych piękności pulsuje w tém album, którego drugi oddział koniecznie obejmowaćby powinien najcudniejsze ustępy naszych tatrzańskich okolic. Możeby bracia i siostry nasze uwierzyli wtenczas ile piękna Bóg rozsiał po naszej ziemi i możeby się zrównoważył stosunek polskich turystów spieszących do Paryża i..... w Tatry. Zawszeć to podobno i dla ucha, i dla serca, i dla ciała zdrowsza ta tatrzańska podróż; przynajmniej ducha zahartować się w niej godzi.

¹⁾ Tekst do album napisał Szczęsny Morawski. Ryciny litografowano w Wiedniu, odbito w Krakowie.

Szczęśliwe pod tym względem położenie Szczawnicy, będącej kluczem do pięknego Podtatrza! Jeśli sama woda szczawnicka jest w smaku najprzyjemniejszą ze wszystkich znanych mi wód mineralnych, to położenie zakładu pod względem higienicznym i uroczym okolic żadnemu zagranicznemu nie ustępuje. Pacyentom szczawnickim cokolwiek tylko życzę cierpliwości, a panu Szalajowi energii i wytrwania, a zobaczymy wtedy czém będzie Szczawnica za lat dziesięć.

W Szczawnicy rozstać się musiałem z przyjacielskim moim towarzyszem, który wracał do Łącka. Pożegnaliśmy się jak dawni znajomi, jak bracia, a w sercu mojem ma Konrad rękojmią wdzięcznej pamięci.

Na przechadzkach po górzystych okolicach Szczawnicy poznałem, a raczej tylko widziałem, miłe dziewczę, pannę K. Śliczne to dziecko, takie rozjaśnione, lekkie jak gazella górską, a spojrzenie tak wilgotne, jakby w wodach Dunajca skąpane. W całym obejściu, w każdym słówku tyle naiwnej prostoty, żem z szczerem upodobaniem wpatrzył się w tę tatrzańską Oreadę. Towarzyszył jej młody, wcale przystojny, słowiańskich rysów mężczyzna, którego przedstawiono mi jako pana Z., kommissarza cyrkułu. Zimne z razu było nasze spotkanie, tém zimniejsze, że młode dziewczę tak rade było usłyszeć coś od Wisły i o tym czarodziejskim pałacu Warszawy, z kąd tyle rozkosznych dochodziło ją już wieści; ale widząc z lekkiego toku mojej pogawędki, że piękne dziewczę pozostanie tylko ozdobną kartką w turystowskim mojem albumie, pan kommissarz rozserdecznił się nagle. Tegoż jeszcze wieczora sprowadziłem się do niego i zwrócił się do mnie z całą życzliwością. Po bliższem poznaniu odkryłem w panu Z. prawdziwie wyjątkowy typ urzędnika administracji austriackiej i odpłaciłem mu się najrzetelniejszym szacunkiem.

Ułożyliśmy plan wycieczki, a Z. postanowił mi towarzyszyć jako przewodnik i wymowny komentator.

Ze świtem opuściliśmy uśpioną jeszcze Szczawnicę i w cudny poranek lipcowy puściliśmy się wózkami do Czorsztyna. Okrzyk zachwytu wydarł mi się z piersi, gdym po raz pierwszy z tych wyżyn ujrzał przed sobą jakby na dłoni roztoczony, przepyszny wielkością i majestatem obraz tatrzańskiego łańcucha. Czarne masy skał na szczytach i po rozpadlinach bieleją lawinami śniegów i lodów. Zamarła tam natura i skwarne snopy słońca odbijają się od białych śniegów, jak garść piasku na szklisty pancerz stalowy rzucona. Gorące modły słońca ani jednej łzy z tych górskich lodów wybłagać nie mogą. Zda się że ręką

sięgnąłbyś po Karpaty, każdy liść policzysz na nagich stokach, a to jeszcze cztery mile górskie od ich podnóża cię dzielą. Jak jeden Bóg na niebie, tak jedna Łomnica w Karpatach, a trzy werchy tatrzańskie: Tatra, Matra i Fatra, to symbole trzech cudów natury, w macierzyńskie łono Tatrów złożonych: Zakopane, Kościeliska, Morskie-Oko.

W rozkosznej, zieleniejącej bujną wegetacją dolinie Dunajca wspięły się naprzeciw siebie Galicyi i Węgier strażnice, zbójcekim rozgłosem niegdyś osławione zamki, Czorsztyn i Nidzica. Za Czorsztynem, cudna nowotarska dolina, z Maniowem i Harkłową; w głębi Babia góra, a za Nidzią, jakby czarodziejskim zaklęciem, rosną ci przed oczy skaliste Karpat opoki.....

Z groźnych ruin Czorsztyna dziwnie wspaniałały roztacza się krajobraz. Poniżej zamku, nad wybrzeżem Dunajca, w fantastyczne kształty wylały się masy skaliste. To niby zieleniejącą osłoną otulony kolos, kopułą zwieńczony, a na nim wsparte, aż w falach Dunajca nurzają się dwie olbrzymie skały, niby rozwarłe księgi dziejów, niby tablice praw, na których czas wiekuistemi głoski koleje Czorsztyna wyrył..... A tam znów, w rozpadlinie skał, nad brzegiem źródła sączącego w Dunajec swoje kropelki, jak tam cicho, jak słodko, jak tam inaczej wcale przymila się natura jasną pogodą i tajemniczym strumienia szmerem!

Czorsztyn sięga głębokich piastowskich czasów. W obronnym swoim położeniu, przytulony do gór na krańcu Węgier, osławione miał imię, jako przez długie wieki siedlisko czeskich, ruskich lub polskich rabusiów. Dopiero gdy poufnik Chmielnickiego, p. Kostka ze Sztembergu, alias Aleksander Napierski, głową nałożył w Krakowie w połowie XVII wieku, od tego czasu przycichła groźna swawola zmiennych władców Czorsztyna. Jeszcze przed 60-laty zamek był zamieszkały. Ostatnim starostą był tu Jan Potocki. Piorunowy pożar, czas i chciwość ludzka pracowały nad zniszczeniem tych murów i przekazały nam tylko ruinę. Część kamieni czorsztyńskiego zamku użyto na budowę parafialnego kościoła. Przynajmniej poszły gruzy na chwałę Bożą, nie na oborę lub gorzelnię, jak to zwykli byli u nas gospodarzyć panowie starostowie. Ale to i w Czorsztynie byłoby wiele o tém mówić; wspomnę tylko że teraźniejszy dziedzic, pan Marcelli Drohojowski, myśli o upiększeniu miejsca tak hojnie od natury uposażonego, mianowicie zaś pragnie dwór swój przenieść do podnóża góry zamkowej i na jej stoku założyć ogród, rozumié się nie francuzki.

W skałach tutejszych piękne i wielkie znajdują się amolity i ślimaki skamieniałe, utwierdzające domysł, że dolina nowotarska była niegdyś łożyskiem jeziora, które sobie przez Pioniny do Dunajca drogę otwarło.

We wsi, mianowicie około karczmy, bardzo ruchliwe panowało ożywienie. Zebrali się wszyscy włościanie czorsztyńskiego państwa, dla wysłuchania wyroku indemnizacyjnego, jaki im ogłosić miano. W całej Galicyi indemnizacja pierwszorzędna jest kwestyą, wyłącznie całą uwagę obywateli ziemskich zajmuje i niesłychanie ważne gotuje w przyszłości następstwa. W ciągu lat jedenastu drugi to i bodaj czy nie stanowczy cios własności ziemskiej w Galicyi zadany. Wśród tych dróg, jakimi różne narody i rządy doszły do uregulowania stosunków włościańskich, z dążnością do uwłaszczenia rolnika, Austria nie wybrała żadnej, lecz stworzyła sobie własny system, który najlepiej jej celom dogadzał. Postanowiła jednym krokiem uwłaszczyć włościan i spłacić obywateli ziemskich, za pośrednictwem tak zwaną indemnizacyi.

— W jaki sposób oblicza się kapitał właścicielowi przypadający? pytałem dziedzica Czorsztyna.

— Wartość powinności włościańskich, dziesięć razy wzięta według cen normalnych, odrzekł z westchnieniem p. Dr., daje kapitał indemnizacyjny. Z tego rząd wypłaca gotówką tylko $\frac{2}{3}$ części, strącając nadto 5% na koszt indemnizacyi.

— A resztę wypłaca w jaki sposób?

— Papierami pięcio-procentowymi, na których obecnie tracimy 18%.

— A jakaż hipoteka tych papierów?

— Podatek indemnizacyjny, który płacą wszyscy; rozłożony on jest w równym stosunku na właścicieli ziemskich, włościan, mieszczan i wyrobników, oraz rząd.

— Ależ w takim razie właściciele ziemscy płacą podatek od swojej należności, rzekłem zdziwiony,

— Imnieby się tak zdawało, odparł p. Dr. Wśród tej pogadanki wszedł kommissarz Z.

— I cóż włościanie? zapytał żywo p. Dr.

— Appellują od wyroku—odparł Z. Nie pozostaje mi jak osnowę jego drugiej stronie teraz ogłosić. I olbrzymi wywód z anielską odczytał cierpliwością.

— Ależ panie kommissarzu! zawołał z goryczą obywatel, ja tak krzyczącej krzywdy ponieść nie mogę, na wyroku nie poprzestaję.

— Takie sceny obustronnych protestacyj ujrzyć wszędzie, rzekł do mnie półgłosem Z.

— A gdzież zakłada się appellacya? zapytałem.

— Od wyroku kommissyi indemnizacyjnej krakowskiej, która ten wyrok wydała, odwołać się tylko można do ministerium wiedeńskiego.

— A potem do Pana Boga, dodał z gorzkim uśmiechem p. Dr. Wierzaj mi pan, rzekł, zwracając się nagle do mnie, że wykonanie tego wyroku byłoby dla mnie stanowczą ruiną. My tu w innych zupełnie żyjemy warunkach niż tam dalsi bracia nasi w nizinach. Czorsztyń, jak w ogóle okolice górskie, nie jest majątkiem produkcyjnym, ma on tylko ludność konsumującą. Dzięki Bogu, błogosławiona to i strzeżona od klęsk losowych strona. Gradu nigdy tu nie widziano, a o cholery i księgosuszu słyszymy tylko z wieści.

— Jakaż jest główna produkcja tutejszych gruntów?

— Owies i kartofle, a i robotnik, dzięki Bogu, niezbyt jeszcze wygórował swoich żądań. Od kosy płacimy dziennie po 12 do 14 krajcarów, za pomniejsze zaś w polu usługi po 8 do 9 krajcarów. Nowotarska dolina, szczęśliwsza jeszcze położeniem, ma i osady, i obfitą mierzwę z nieprzebranych torfowisk, *pustaciami* zwanych, i zimę lżejszą; ale wyższe krainy mają ledwie 4 miesiące wiosny, lata i jesieni. Gospodarstwo leśne w kwitnym jest tam stanie, ale kolosalny rozwój pastwisk halowych żywotnie przyszłości ich grozi.

— Cóż mówią górskie wioski na projekt kolei żelaznej z Sącza do Koszyc? Tożby ona bliżuchno Czorsztyna dotknęła.

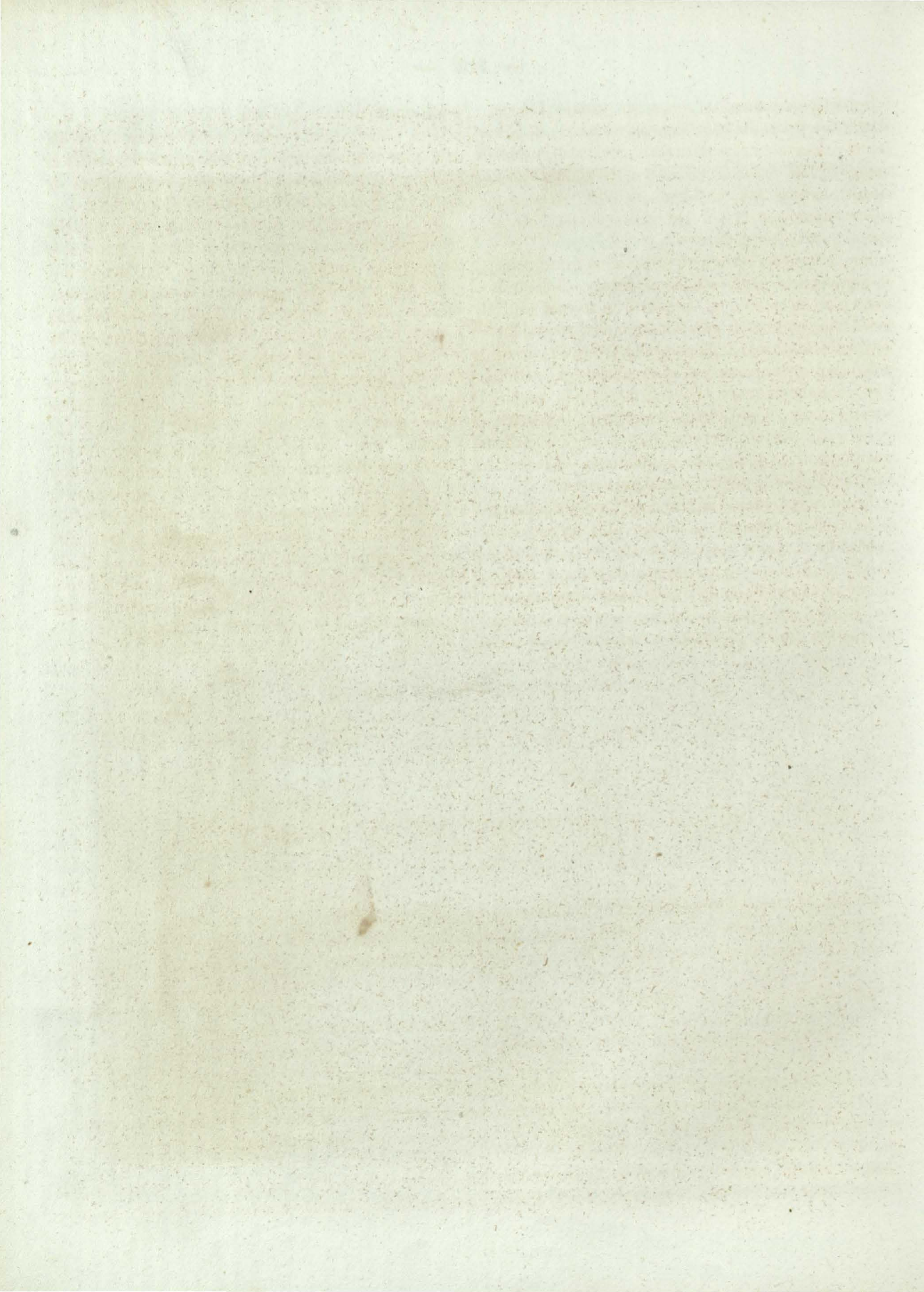
— Byłaby to nowa dla nas klęska, odparł p. Dr. Węgry, okolice północnej Galicyi, mogłyby skorzystać na ożywieniu handlowego ruchu; ale u nas ta arterya uspiona. Właścicielom górskich wiosek kolej żelazna odebrałaby jedyny dochód, jaki im dziś zapewnia sprzedaż po niezłych jeszcze cenach ziemiopłodów na potrzebę miejscową. Góral nasz nie jest producentem, jak brat jego Bojek i Hucul karpacki. Podchowuje on tylko bydło i owce i podpędza je do Węgier, Szlązka i Krakowa, nie myśląc wcale o kolei żelaznej.

Wtém otworzyły się drzwi i ze śmiałym a godności pełnym ukłonem wszedł młody góral i zdał panu sprawę z interesów gromadzkich, w jakich posłany był do Nowego Targu. Z zajęciem wpatrywałem się w to piękne, śmiało podniesione czoło, a gdy wyszedł, rzekł p. Dr.:

— To Andrzej Wojtaszek, wójt, czy jak u was korniarzy nazywają sołtys, ze wsi Końnicy. Jest to prosty góral, który kończył filozofią w Peszcie. Często się to u nas zdarza, że góral, skończywszy gimnazjum



Venedig



lub szkołę normalną, do roli i gór swoich powraca. Rząd austriacki z wielką energią wziął się do szkółek trywialnych czyli wiejskich. W każdej osadzie mają być zaprowadzone i dzieci z obowiązku chodzić do nich muszą. Ale cóż z tego, kiedy téj dążności nie przewodniczy czysty cel pocziwój oświaty, ale wyłącznie widoki germanizacyi.

Ze ścieśnioném sercem wyszedłem na przechadzkę, by wypogodzić czoło widokiem natury. Indemnizacya cierniem tkwiła mi w piersi, a to com widział żywo mnie bolało! U nas, z łaski nieba, rozwój kwestyi włościańskiej na najpomyślniejszej jest drodze, z dojrzałą roztrząsana jest rozważą i dzięki rezultatom osiągniętym przez sąsiednie przykłady, zdołamy wywiązać się z tego zadania szczęśliwie, bez wstrząśnień gwałtownych, towarzyszących zwykle każdym ważniejszym przesileniom społecznym. Błogosław Boże pocziwój sprawie i pocziwój drodze!

Przedemną Dunajec, dziwny kapryśnik! Objął w miłosne ramiona piaszczystą łachę, niby krewki, hoży młodzian, tulący w objęcia zwiędłą, łysą zalotnicę. Złośliwie zdało mi się przedrzeźniał Dunajec podpatrzone w biegu swoim, czy zasłyszane zdała tajemnice. Tam na przeciwnym brzegu, na węgierskiej ziemi, piętrzy się z całą dumą i w pełni życia w skale

osadzony zamek: to Nidzica, młodsza siostra Czorsztyna, towarzyszka wielu a wielu jego pohulanek, dziś tylko rozpamiętująca na jego gruzach. Lekkiem czólnem przemknąłem na przeciwny brzeg i pnąc się po lesistych zaroślach, dotarłem do stóp zamku.

Nidzica (węgierskie Niecesa) górną swoją częścią, basztami zwłaszcza, przedstawia zapadłą już ruinę; ale obszerny korpus dobrze dotąd jest utrzymany i zamieszkały. Była to stolica potężnego pana feudalnego, wassala węgierskiej, a potem habsburskiej korony, hrabiego Pallacaya. Dziewięćdziesiąt dziewięć wsi i miast składało ten majorat, który, jak wszystkie fideikommissa węgierskie, zniesiony został po roku 1849. Cesarz Józef II chciał darować Pallacayowi wieś, dla zaokrąglenia setki jego dóbr, ale Węgier, dumny swoją ojcowizną, daru nie przyjął. Ostatni dziedzic rodu Pallacayów przed parą laty zmarł w Peszcie, skutkiem zużycia i wyniszczenia się. Dziś Nidzica po kądzieli przeszła na własność barona Salomona. Ciekawą jest piękna galerya portretów familijnych rodu Pallacayów, w salach zamkowych rozwieszona, a portret ostatniej hrabiny, matki baronowej Salomon, imponuje rysami idealnej piękności i długo oczu oderwać nie pozwala.

(Dokończenie w następnym zeszycie.)

PAŁAC DOŻÓW W WENECYI.

W pierwszej części Księgi Świata za rok 1852 zamieściliśmy obszerny rys historyczno-obyczajowy Wenecyi; dziś więc do pięknego stalorytu téj dawniej Adryatyku królowej dołączamy tylko opis jednego z najwspanialszych i najbogatszych w pomniki sztuki gmachów tamecznych, czerpany z dzieła pana M. Valery, p. t. „Voyages historiques et littéraires en Italie.”

Pałac dożów, dziś siedlisko naczelnych władz austriackich, surową architekturą swoją przedstawia dość wierny obraz dawnego rządu weneckiego. Jest on jak gdyby kapitołem potęgi arystokratycznej i samym już początkiem swoim przeraża, bo doż Marino Falieri, który budowę jego rozpoczął, został ścięty,

a główny architekt, Filip Calendario, powieszony. Niektóre części gmachu noszą dotąd nazwy wrażeńiu temu odpowiednie: *schody olbrzymów*, przepysznej struktury, bywały nieraz świadkami koronacyi dożów, *most westchnień* zaś ma kształt długiego sarkofagu zawieszzonego nad morzem.

Trudno jednak zaprzeczyć że opowiadania o mniemanych okrucieństwach rządu weneckiego po większej części są przesadzone. I tak na przykład p. Simond utrzymuje, że jedyny zbiornik słodkiej wody, przeznaczony na użytek miasta, znajdował się w obrębie pałacu dożów, i że ci, w razie powstania, poddanych swych pozbawiali napoju. Jest to bajeczka jak wiele innych; wiadomo bowiem iż w Wenecyi na pla-

cach publicznych znajdują się cysterny i każdy dom prawie posiada swoją studnię.

Mimo ponurego w ogóle pozoru, pałac dożów przedstawia jednak pełne wykwintności i smaku szczegóły. Część jego zwana *loggietta* jest arcydziełem Aleksandra Vittoria; główne drzwi ze zdobiacami je posągami są dłóta mistrza Bartolomeo; ośm pięknych statuetek greckich zdobi fasadę zegarową, mała zaś fasada, na lewo od schodów olbrzymów, odznacza się wytworną architekturą; nakoniec schody tak zwane *złote*, wspaniale dekorowane przez Sansovina, celują prześlicznymi stukateryami Vittorii.

Wewnątrz pałacu sława i świetność ubiegła Wenecyi jaśnieją wszędzie niepożytemi pomnikami. Olbrzymie malowidła Ticyana, Tintoreta, Pawła Werończyka i innych znakomitych mistrzów, uprzytomniają pamięci wielkie epizody historii weneckiej, w których Rzeczpospolita wystawiana jest zawsze jako godło potęgi i piękności. Widzimy ją w postaci bogini, kruszącą kajdany i przyjmującą hołd miast zawojowanych; w niebie pośród świętych, otoczoną symbolicznymi cnotami i wieńczoną przez Zwycięstwo. Allegorya traci tu zwykłą swą oschłość, bo ją ożywia uczucie dumy i miłości dla kraju.

W jednej z komnat wstępnych znajduje się portret Henryka III Walezjusza, malowany przez Tintoreta, już po ucieczce króla tego z Polski. Sala *człerech podwoi* przyozdobiona jest przez Palladia. Nad wspaniałymi odrzwiami wznoszą się posągi dłóta najsłynniejszych rzeźbiarzy włoskich. Kilka znakomitych płócien téj sali, jak wyobrażenie Wiary Ticyana, doż Marino Grimani oddający hołd Najświętszej Pannie, oraz św. Marek przez kawalera Contarini, zostały niegdyś przeniesione do Paryża i dopiero po r. 1814 powrócone. Zaslugują także na uwagę doż Cicogna przyjmujący poselstwo perskie, przez Carletto Caliari, ulubionego ucznia Pawła Werończyka, tudzież przybycie Henryka III do portu Lido, przez Vincentina. Stiuki sufitowe wykonał Vittoria, podług rysunku Franciszka Sansovino, freski zaś Tintoreto.

Porwanie Europy, arcydzieło Pawła Werończyka, mieści się w sali zwanéj *anti-collegio*. Europa przedstawiona jest w ubiorze Wenecyanki, i gdyby nie majestat promieniejący z byczéj głowy Jowisza, mniemaćby można że druga jaka Bianka Capello zabiéra się do ucieczki przez laguny. W tejże sali znajdują się cztery obrazy Tintoreta, jeden Bassana, na suficie freski Pawła Werończyka, a nade drzwiami trzy statuetki Vittorii.

Obraz pomieszczony nade drzwiami sali *collegio*

i trzy inne na prawo są pensla Tintoreta, nad tronem zaś wisi wielkie malowidło Pawła Werończyka, z pełną wdzięku postacią Wenecyi, umieszczoną w półcieniu. Tegoż artysty są freski na suficie i nad kominem, podpartym figurami Hieronima Campagna. Obicia przedstawiające przygody Jowisza pochodzą z połowy XVI stulecia.

W sali *Pregadi* ustawione są dotąd stalle senatorów i cały jéj przybór mimowolne wraza poszanowanie. Rzecz dziwna jednak iż w tym senacie poważnym nie było prawie mówców. Wolność nowożytnych rzeczypospolitych niezdolną jest, jak się zdaje, natchnąć wymową; arystokratyczna w Wenecyi, demokratyczna we Florencyi i Siennie, wolność ta nie wydała ani jednego z owych licznych trybunów starożytnych, wstrząsających massami narodu. Widać że wymowa, aby zostać wpływową, potrzebuje forum publicznego. Z obrazów téj sali odznaczają się utwory Marka Vecellio, ucznia Ticyana; śmierć Zbawiciela i ośmiotką sufitowy Tintoreta; oraz doż Franciszek Venier przed Wenecyą i liga w Cambray przez młodszego Palmę.

Sala przyległa kaplicy zawiera słynną kompozycyą, handlarze wygnani ze świątyni, przez Bonifazia, zręcznego naśladowcę Giorgiona, Palmy i Ticyana, tudzież wizerunki świętych Tintoreta. Posąg Najświętszej Panny na ołtarzu kaplicy jest arcydziełem Sansovina. Tu także znajduje się jedyny w całej Wenecyi fresk Ticyana, wyobrażający świętego Krzysztofa.

Sala *rady dziesięciu* nie przedstawia żadnego śladu dawnego przeznaczenia swojego; sufit jéj, malowany jednokolorowo (*en camaïeu*) przez Pawła Werończyka, jest może najwspanialszém dziełem tego rodzaju w całych Włoszech. Z innych obrazów téj sali godne są szczególnéj uwagi: powrót doży Sebastjana Ziani, przez Leandra Bassano; kongres odbyty w Bolonii przez papieża Klemensa VII i cesarza Karola V, dzieło Marka Vecellio i adoracya magów artysty greckiego Aliensa.

Obok téj sali znajdowała się osławiona w dziejach weneckich *paszcza oskarżeń*, której dziś tylko otwór jeszcze istnieje. Oskarżenie wrzucano nie w samą lwią paszczę, jak powszechnie jest mniemanie, lecz poniżej takowéj. Głowa lwa zatartą została w roku 1797, razem z innymi tego rodzaju zabytkami.

Sala *inkwizytorów stanu*, świeżo dziś przemalowana, nie przypomina wcale strasznego w ogólném mniemaniu przeznaczenia swojego. Mniemanie to zresztą nie zgadza się bynajmniej z historią, która

nas poucza że inkwizytorowie weneccy byli stróżami prawa, poważanemi przez lud trybunami, broniącemi go od ucisku arystokracji.

Sala *wielkiej rady* obejmuje część galeryi wizerunków dożów, penzla Tintoreta, Leandra Bassano i Jakuba Palmy. W miejscu gdzie wypadł portret Marina Falieri, znajduje się słynny na tle czarném napis: *Hic est locus Marini Falethri, decapitati pro criminibus* (Tu miejsce Marina Falieri, ściętego za zbrodnię), krwawa groźba wymierzona przeciw władzy we własném jój siedlisku. Dalszy ciąg tego zbioru mieści się w sali *głosowania*, z wyjątkiem tylko wizerunku ostatniego doży, Manina, który abdykował; portrety bowiem dożów zawieszano tu dopiero po ich śmierci. Słusznie zresztą to wyłączenie dotknęło Manina, który upaść pozwolił zupełnie zachwianej już rzeczypospolitój weneckiej, lubo z drugiej strony los tego doży zasługuje na współczucie; nie umiał on oprzeć się powodzi wypadków, wstrzymanej chwilowo pokojem w Campo-Formio, lecz uczuł głęboko nie-szczęście swój ojczyzny.

Ogromne malowidła pokrywające mury i sufit tej sali, oprócz swój piękności, zajmujące są pod względem historycznym, jako wyobrażające wypadki religijne, wojenne i polityczne ważnego wówczas wpływu na losy narodów europejskich. Wielki obraz, świątłość rajy przez Tintoreta, byłby dziś jeszcze arcydziełem, gdyby go nie zniszczyły wpływ czasu i ręka nieudolnych restauratorów. Tegoż artyści są am-

bassadorowie, przedstawiający się cesarzowi w Pawii, a na suficie zwycięstwo Stefana Contarini nad jeziorem Garda i Wenecya pośród bóstw. Obrona Brescii jest penzla Franciszka Barbaro, a syna jego Dominika bitwa morska, w której Otto syn cesarski dostał się w niewolę Wenecyan, malowidło kolosalnych rozmiarów, ciekawe bardzo z powodu szczegółów uzbrojenia i obrotów marynarki. Znajdują się tam jeszcze: pierwsze zdobycie Konstantynopola przez Dandola; Wenecya siedząca, młodszego Palmy; cesarz Fryderyk Rudobrody w obec papieża Aleksandra III, przez Fryderyka Zuccaro; powrót doży Andrzeja Contarini, po zwycięstwie odniesioném nad Genueńczykami i na suficie apoteoza Wenecyi, przez Pawła Werończyka.

Wspomnieć jeszcze należy że w sali głosowania piękny łuk tryumfalny na cześć Franciszka Morosini, ozdobiony jest sześcią allegorycznemi obrazami Grzegorza Lazzarini, najlepszego malarza weneckiego w wieku XVII. Sąd ostateczny jest utworem młodszego Palmy; bitwa pod Zarą i większa część portretów dożów dziełem Tintoreta. Galerya nareszcie prowadząca do schodów olbrzymów obejmuje prześliczny wizerunek Zbawiciela po śmierci, przez Jana Bellini, jednego z najznakomitszych mistrzów szkoły weneckiej.

Dodajemy w końcu, że w sali wielkiej rady, oprócz rozlicznych skarbów sztuki, mieści się od roku 1812 bogata biblioteka św. Marka, zawierająca około 80,000 tomów i do 5,000 rzadkich rękopisów.

JESZCZE SŁÓW KILKA O KOMETACH,

A MIANOWICIE O KOMECE DONATI'EGO.

Od kilku tysięcy lat historia podaje nam przykłady zjawiania się komet, a zabobonna trwoga, zjawiskami temi wywoływana, dziś jeszcze wyraża się w fantastycznych opowiadaniach, nadających im kształt już to miecza płomiennego, już włóczni, już wreszcie różgi karcającej. Uznanie komet za ciała niebieskie, podległe ogólnym prawom obrotowym wszechświata; w ostatnich dopiero nastąpiło stuleciach. Filozofowie starożytni, najprzenikliwszy z nich nawet, Arystoteles, widzieli w kometach meteory powstałe w obrębie ziemskiej powierzchni. Prorocze słowo Seneki, że kiedyś istota ciał tych zostanie zbadaną i drogi ich

stale określone, sprawdzić się miało nie prędzej, jak po upływie 1500 lat. Tycho Brahe z obserwacji wielkiej komety r. 1577 wyprowadził tylko wniosek, że musi być odleglejszą od ziemi niż księżyc. Nawet Kepler poczytywał jeszcze komety za twory atmosferyczne, dążące w prostej linii ku słońcu. Dopiero po zjawieniu się wielkiej komety z r. 1680, która zwróciła na się uwagę całej Europy, astronom saski Dörfel wystąpił z twierdzeniem, że komety krążą naokoło słońca w obrotach parabolicznych, a w kilka lat później Newton śmiało to przypuszczenie zamienił w pewnik naukowy, podciągając komety pod ogóln

prawo ciężenia i naznaczając ich obrotom kształt wydłużonej elipsy.

Halley był pierwszym który na początku zeszłego stulecia teorią Newtona zastosował rachunkowo do komet. Obliczył on 24 dróg kometarnych, a trzy z nich znalazł tak dalece do siebie zbliżonemi, że uznał je za trzykrotnie powtórzony obrót jednej i téj saméj komety. Wychodząc z takiej zasady, oznaczył on czas obiegu téj komety na lat 75 do 76 i przepowiedział jéj powrót na rok 1759. Matematyk francuzki Clairaut i jedna z uczonych dam, pani Lepaute, obliczali przez sześć miesięcy czas tego powrotu, z uwzględnieniem wpływu atrakcyi Jowisza i Saturna, i z rachunku ich wypadło że największe zbliżenie się do słońca, czyli przysłoneczność téj komety, przypadnie w dniu 13 kwietnia 1759, lubo nie zaprzeczali że obliczenie to chybić mogło o jakie dni trzydzieści. Świat cały z natężoną uwagą oczekiwał spełnienia się przepowiedni, i wkrótce téż rzeczywistość sprawdziła ją w sposób najświetniejszy, kometa bowiem zjawiała się istotnie w oznaczonych z góry konstellacyach i dosięgnęła przysłoneczności w dniu 12 marca 1759 r., a więc w obrębie wskazanych przez rachunek granic. Od owego czasu kometa Halley'a raz jeszcze powróciła w r. 1835, i wtedy różnica pomiędzy datą rzeczywistą a obliczoną największego zbliżenia jéj do słońca wynosiła tylko trzy dni, co niczem jest w porównaniu do długoletniego jéj obiegu i wpływu planet jakiemu w drodze swéj podlega.

Wkrótce po tym tryumfie Halley'a nauka badania komet nowe osiągnęła powodzenie. Roku 1770 Messier odkrył komety, której czas obiegu Lexell oznaczył na lat 5 i miesięcy 7. Dziwiono się wprawdzie że kometa tak krótkiego obiegu dawniej nie została dostrzeżoną, a kiedy jeszcze do tego nie zjawiała się w czasie oznaczonym, nazwano ją żartobliwie „zgubioną komety Lexell'a”. Lecz nauka wykazała że kometa ta niedawno dopiętą została w owę drogę krótkobiegową, gdy 27 maja 1767 zbliżyła się tak dalece do Jowisza, że wpływem jego zupełnie swój kierunek zmieniała. Rzeczywiście téż, zgodnie z rachunkiem, powróciła ona w r. 1776, i dlatego tylko nie została dostrzeżoną, że w czasie najdogodniejszym dla obserwacyi znajdowała się za słońcem, i to w oddaleniu 40 millionów mil od ziemi. Co więc rachunek udowodnił później, że stała się istotnie komety zgubioną, zbliżywszy się bowiem przy powrotnym powrocie raz jeszcze do Jowisza, i to tak bardzo, iż przeszła nawet pomiędzy nim a jego księżycami, doznała, skutkiem atrakcyi téj planety, nowéj zmiany

obiegu, która nigdy już zapewne ujrzeć jéj nie dozwoli.

Zniknięcie téj komety, zaledwo znalezionej, w bezgranicznym przestworze wszechświata, rzuciło w umysły tłumu zasiew zabobonu raczej, jak ufności. Udziałem dopięro XIX stulecia było odkrycie komet krótkobiegowych, których powrót regularny wzmocnić miał zachwianą nieco wiarę w nieomylność rachunku astronomicznego. Pons w Marsylii odkrył 26 listopada 1818 komety, której czas obiegu Encke ustanowił na dni 1204, i było to rzadkim tryumfem nauki, że pierwszy jéj powrót w r. 1822 przypadł prawie zupełnie w czasie i miejscu oznaczonym. Roku 1826 Biela w Czechach odkrył inną komety, z obiegami obliczonym na lat $6\frac{3}{4}$, a późniejsze jéj powroty dostatecznie rachubę tę potwierdziły. Faye w Paryżu 23 listop. 1843 odkrył trzecią komety, z obiegami $7\frac{1}{2}$ lat, która w drugim swym powrocie zjawiała się 7 września roku zeszłego. Czwartą komety odkrył Brorsen 26 lutego 1846 i obliczył czas jéj obiegu na lat $5\frac{1}{2}$, co téż mniej więcej potwierdziło doświadczenie, wróciła bowiem powtórnie 18 marca r. 1857. D'Arrest w Lipsku 27 czerwca 1851 odkrył komety z obiegami $6\frac{1}{2}$ lat, którą w grudniu r. 1857 obserwowano znów na przykładu Dobréj Nadziei. Nareszcie rok 1858 dostarczył dwóch nowych komet krótkobiegowych; jedną z nich, z obiegami $13\frac{9}{10}$ lat, odkrył Tuttle 4 stycznia, drugą, z obiegami $5\frac{1}{2}$ lat, Winnecke 8 marca.

Od czasu jak zdołano w ten sposób przepowiadać powroty pojedynczych komet, ustała w znacznej części przywiązana do nich trwoga zabobonna, a przecież z okazji owéj świetnéj komety, jaka w roku zeszłym zjawiała się na naszym horyzoncie, nieraz jeszcze można było usłyszeć z ust nawet ludzi ukształceńszych zapytanie, co znaczy to zjawisko? Najstosowniejszą na to pytanie odpowiedzią będzie treściwe wyluszczenie wielkich rezultatów badań astronomicznych. Wpleciemy je w historię wzmiankowanej powyżej komety.

Drugiego czerwca r. z. astronom florencki Donati odkrył w konstellacyi wielkiego lwa komety podobną do plamki mglistej, bez śladu ogona, a siłą światła wyrównywającą zaledwo gwiazdom dziesiątej lub jedenastej wielkości. Lecz blask jéj powiększał się z nadzwyczajną szybkością, i rachunek wykazał że wkrótce stanie się widzialną nieuzbrojonemu nawet oku. Mrok nocny i niepogoda w ciągu lipca, przeszkadzały badaniom astronomów pod naszym niebem północnym, a gdy 7 sierpnia znowu ją dostrzeżono, jądro jéj było już wyraźnie ukształtowane i zaczynało wydłużać się w ogon. Dnia 28 sierpnia ujrzano ją po raz pierwszy

gołem okiem, w postaci gwiazdy piątej lub szóstej wielkości. W kilka dni później dosięgła blaskiem gwiazd czwartej wielkości, 15 września dorównała gwiazdom drugiej wielkości, a w początku października współzawodniczyła już z najświetniejszymi gwiazdami stałymi naszego firmamentu.

Bieg komety skierowany był od wielkiego lwa przez konstellacye małego lwa i gończych, ku konstellacyi Bootes, której główną gwiazdę, Arktura, w czasie największej swój świetności przykrywała ogonem. Dalej przebiegła część konstellacyi panny i węzownika, na którego granicy w drugiej połowie października znikła z naszego widokregu.

Długie to goszczenie komety Donati'ego dozwoliło astronomom obliczyć bieg jej z przybliżoną dokładnością. Wiadomo że drogi planet, z wyjątkiem kilku nowoodkrytych asteroid, nie zbaczają nigdy o wiele od płaszczyzny drogi ziemskiej, gdy tymczasem komety w najróżniejszych kierunkach krążą po przestworze niebieskim. Płaszczyzna na przykład biegu komety Donati'ego pochylona jest na 63° względem płaszczyzny drogi naszej ziemi. Okoliczność ta domyślać się każe ogromnej liczby przerzynających nasz system słoneczny komet, a chociaż obserwacya poznała ich zaledwo 400—500, przypisać to raczej należy niedokładności badań dawniejszych.

Droga komety Donati'ego jest nadzwyczaj wydłużoną elipsą, na której przebieżenie, według rachunku Bruhns'a, potrzebuje lat 1102. Nie należy tu jednak spuszczać z uwagi przeszkód jakich każda kometa doznaje skutkiem zbliżania się do wielkich planet, które niejedną już przepowiednią zniweczyły, a nawet, jak widzieliśmy, komety Lexell'a na zawsze usunęły z obrębu ziemskiej obserwacyi. Przeszkody te zwolnić mogą lub przyspieszyć i obieg w mowie będącej komety o jakie paręset lat. W przysłoneczności swój, którą dosięgnęła 30 września, kometa ta oddaloną była od słońca na $11\frac{9}{10}$ millionów mil, co wyrównywa mniej więcej połowie odległości ziemi; u kresu zaś drogi, po upływie około tysiąca lat, odległość ta wyniesie 6,800 millionów mil, czyli jednacie razy wziętą odległość Neptuna od słońca. Jakże niepojęte zmiany różnica ta warunkuje w stosunkach światła i ciepła tego ciała niebieskiego! W czasie przysłoneczności tarcza słoneczna, widziana z jego powierzchni, byłaby trzy razy większą, aniżeli widziana z ziemi; w czasie zaś odsłoneczności średnica téjże tarczy wyniosłaby 6 sekund, czyli zaledwo wielkość Merkurego albo Marsa. A jednak nie są to

jeszcze największe ostateczności jakie zdarzają się w biegu komet. Wzmiankowana już wielka kometa z r. 1680 zbliżyła się do słońca na mil 128,000, podczas gdy największa jej odległość wynosiła 17,700 millionów mil. Niemniej uderzające są różnice w szybkości biegu komet, która, podług prawa atrakcyi, zależną jest od oddalenia ich od słońca. Kometa Donati'ego w przysłoneczności swój przebiegła $7\frac{1}{10}$ mil na sekundę, w odsłoneczności zaś tylko stóp 320.

Pomimo krażenia swego w tak niezmiernych przestrzeniach, komety otrzymują jednakże światło swe od słońca, za czém przemawia sama już trudność ujrzenia ich na niebie w porze dzienniej. Gwiazdy stałe piérwszej wielkości, jak wiadomo, z łatwością ujrzyć można i w dzień; planety zaś przeciwnie, nawet tak świetne jak Jowisz, przy bardzo czystém tylko powietrzu w dzień spostrzedz można, a kometa o której mowa, choć przecie siłą światła wyrównywała Arkturowi, przez mocne szkła nawet stawała się widzialną dopiero przy zachodzie słońca. Wyraźniej jeszcze objawia się istota pożyczanego światła w szczególnym sposobie znikania komet. Gdyby światło ich było własne, w takim razie średnica ich, w miarę oddalenia, musiałaby maléć stopniowo przed zniknięciem; bo według praw optycznych ciało samodzielnie świecące zachowuje swe światło w największej nawet odległości. Tymczasem komety, chociaż tarcze ich mają jeszcze dość znaczne średnice, rozplývają się niejako w przestrzeni, jak gdyby pojedyncze ich cząstki, każda z osobna, utracaly zdolność świecenia. Nakoniec poczyniono nawet bezpośrednie doświadczenia względem natury światła kometarnego. Światło odbite tém się różni od własnego, że przechodząc przez pryzmat podwójnie załamujący, nie jest zdolne utworzyć dwóch jednakowych obrazów. Otóż spostrzeżenia Arago nad kometami z r. 1819 i Halley'a z r. 1835, oraz obserwacye Bruhnsa nad komety Donati'ego dowiodły, że wszystkie niemal promienie tak samego jądra jak i ogona tych komet były reflektowane czyli odbite.

Ale zjawienie się komety Donati'ego nastęrczyło astronomom sposobność do innej jeszcze pod względem światła uwagi. Widzieliśmy z jak nadzwyczajną szybkością blask jej się wzmagal, jak w przeciągu pięciu dni, ze światła wyrównywającego gwiazdom piątej wielkości, wzrósł do wielkości czwartej, w dni 13 do drugiej, a w 17 do piérwszej. Wzrost ten, jeżeli przyjmujemy za pewnik że komety światło swe odbierają od słońca, nie zdaje się zgadzać z prawami optyki. We-

dług praw tych światło obserwowanego przedmiotu zwiększa lub zmniejsza się w stosunku kwadratów z odległości, a tym sposobem blask naszej komety powinien być dorównać zaledwo blaskowi gwiazd stałych czwartej wielkości. Na zasadzie tychże praw średnica jej powinna była rosnać w miarę zbliżania się komety, a więc dosięgnąć wielkości 6—7 minut, to jest $\frac{1}{4}$ części tarczy księżyca w pełni. Tymczasem w rzeczywistości stało się inaczej: kometa podczas największej swęj świetności, w końcu września r. z., miała zaledwo 4 sekundy średnicy; widocznie więc nastąpić musiało skupienie się czyli zgęstnienie jej jądra, i to właśnie tłumaczy nam zarazem zadziwiająco prędki wzrost jej światłości.

Powiedzmy jeszcze słów kilka o ogonach komet, tém zjawisku najsilniej niezawodnie działającym na wrażliwe umysły zabobonnego tłumu. Niektóre komety zupełnie pozbawione są ogonów, jak np. kometa Encke'go, która przedstawiała się tylko w postaci okrągłej, mglistej tarczy; inne znowu roztaczają je w kształtach przerażająco wspaniałych. Kometa z roku 1769 miała ogon długości 70° , kometa z r. 1843 blisko 50° . Często ogony te bywają zakrzywione, a niekiedy zjawia się ich kilka na raz, jak w kometach z lat 1744 i 1825, z których pierwsza miała 6, druga 5 ogonów. Zazwyczaj ogony zjawiają się dopiero w przysłoneczności. Kometa np. Donati'ego, jeszcze w sierpniu bez widocznego ogona, pokrywała nim w końcu września przestrzeń 18° , czyli w stosunku do jej odległości $5\frac{1}{2}$ millionów mil.

Natura ogonów kometowych mało jeszcze została zbadaną. Prawdopodobnie składają się one z drobnych, odbijających światło cząstek mglistych, które w oddaleniu tylko spojną wydają się masą. To nam tłumaczy dlaczego widok komety przez teleskop tak niekorzystnie przedstawia się profanom. Świetny jej ogon niknie prawie w powiększeniu, a brzegi jego pokazują się jaśniejszemi od środka, z czego niektórzy wnoszą że ogony komet mają kształt cylindrowy.

Bardziej jeszcze uderzającym jest zjawisko widzialne dla oka uzbrojonego, dostrzeżone już w komecie z r. 1744, w komecie Halley'a i świeżo w komecie Donati'ego: mówimy tu o promienieniu idącym od jądra ku słońcu, po stronie przeciwnej ogonowi, w którym spostrzegać się dają drgania i błyski, podobnie jak w zorzy północnej. Czy to jest skutkiem odpychających się sił polarnych, wywołanych przyciąganiem słońca i dążących do zrównoważenia ogona, czy go dzi się łączyć to zjawisko z inném niemniej uderzającym, że ogony komet, częstokroć w przeciągu niewielu godzin, do tego stopnia zmieniają swe rozmiary, że różnice te w rzeczywistości odpowiadają milionom mil,—jest to pytanie na które przyszłość chyba ostateczną udzieli odpowiedź.

W ogólności wyznać musimy iż o naturze komet mało jeszcze wiemy pewnego. Że masa ich nadzwyczaj jest rzadką, dowiodła kometa Lexell'a, która, lubo zbliżyła się do ziemi na mil 300,000, jednakże żadnej w jej biegu nie sprawiła zmiany, z czego wnosić należy iż masa téj komety nie wynosiła nawet $\frac{1}{5000}$ masy naszej ziemi. Wiadomo że komety są przezroczyste, że nie tylko przez ogony, lecz nawet przez jądra ich widzieć można gwiazdy, bez załamania się lub osłabienia światła ostatnich, co dowodzi że masa ich rzadszą być musi nawet od ziemskiej powietrzni.

Niepojętą jest dla nas istota tych dziwnych ciał niebieskich i gwałtownych przewrotów odbywających się nieraz w ich wnętrzu. Zdumiewającym przykładem tych ostatnich było rozpadnięcie się komety Bieli na dwie części nierówne, lecz obie opatrzone w jądro i ogon, nastąpione w oczach astronomów dnia 29 grudnia 1845. W roku 1852 bliźniaczki te powróciły, a rok bieżący okaże je nam po raz trzeci, jako świadectwo jednego z najcudowniejszych zjawisk kosmicznych.

WRZOS I ORLIK.

Obie te rośliny, Wrzos (*Erica*) i Orlik (*Aquilegia*) rozsiane są po całej nieledwie naszej ziemskiej kuli, ale przedstawione na dołączonej tu litografii gatunki, *Erica Ingrami*, tudzież *Aquilegia eximia* i *Aq. Ka-*

naoriensis, należą do roślin które u nas dziko nie rosną i tylko w ogrodach i cieplarniach mogą być utrzymywane. Za to innych gatunków wrzосу mamy podostatkiem. Kluk w pierwszym wydaniu swego sło-



wnika mówi już o czterdziestu czterech utrzymujących się dziko w naszym klimacie. Wrzos pospolity (*E. vulgaris*) i czerwony (*E. purpurascens*), oba z białym lub różowym kwiatem, są u nas niezmiernie pospolite i każdemu znane; rosną na najnieurodzajniejszych miejscach, w lasach szczególnie, a kiedy w sierpniu i wrześniu zakwitną, obszerne pokryte niemi przestrzenie zachwycają oko purpurową barwą swego kwiecia. Tylko Ameryka ani w zimnych, ani w gorących okolicach niema ani jednego dziko rosnącego gatunku wrzosa, chociaż jój grunt i klimat wydaje i utrzymuje zupełnie pokrewne mu familie rododendronów, azalij i t. p., a i same nawet wrzosi, ręką ludzką posiane, najpomyślniej wytrzymują tamtejsze gruntowe i atmosferyczne wpływy. Dziś mamy u siebie liczne gatunki ozdobnych, doniczkowych wrzosów, których właściwą ojczyzną jest przylądek Dobrzej Nadziei. Mało która roślina tak trudna do hodowania i tak łatwo niszczeje jak *Erica*; dlatego znacznej wielkości długo hodowane okazy niełatwo spotkać, lubo ogrodnicy corocznie niezmierną ilość młodych tego rodzaju roślin w handel puszczają. Chociaż, jak powiedzieliśmy, większa część gatunków doniczkowych wrzosa pochodzi z przylądka Dobrzej Nadziei, a zatem z klimatu zwrotnikowego, jednakże w zimie u nas nie znoszą one podwyższenia temperatury, mianowicie gorąca pieców cieplarniowych, i od jednego zbytniego ogrzania, przy suchej zwłaszcza pogodzie, zupełnie niszczeją. W okolicach gdzie temperatura więcej się środkowego punktu trzyma, na przykład w Anglii, widzimy też piękniejsze zbiory rozmaitych gatunków wrzosa i hodują tam nie tylko bardzo liczne naturalne gatunki, ale nadto utworzono mnóstwo sztucznych odmian, przez kunsztowne zapładnianie nasion, i piękne te odmiany rozpowszechniły się ztamtąd po całej Europie. Podobnym sztucznym utworem jest przedstawiony tu na rycinie *Wrzos Ingrama*, tak nazwany od swego hodownika, p. Ingram, naczelnego intendenta królewskich ogrodów w Frogmore w Anglii. Według wszelkiego podobieństwa jest to sztuczny mieszaniec, z połączenia *Erica hyemalis* i *Erica Linnaea*. Oprócz piękności pojedynczych kwiatów, odmiana ta zaleca się obfitą kwieciami od początku lutego, aż do maja. Podobnie jak pokrewne jój ga-

tunki, przechowuje się ona przez zimę w chłodnych oranżeryach.

Oba na téjże litografii znajdujące się gatunki orlików (*aquilegia*) dadzą się u nas na otwartym powietrzu w ogrodach hodować, bo zimę naszą przetrwać mogą bez szkody. Roślina ta na obu półkulach ziemi liczne ma gatunki, więcej ich jednak znajdujemy na północnej półkuli. U nas zupełnie dziko rośnie gatunek zwany *Orlikiem pospolitym* (*A. vulgaris*). Pełno go w lasach, mianowicie kamienistych, gdzie kwitnie w czerwcu i lipcu; kwiat ma ciemno błękitny, korzeń trwały, liście kształtnie w łapki wyrzynane. Przesadzony i hodowany w ogrodach, zmienia kolor kwiatu, przechodzi nawet w tak zwane pełne kwiecie. Hodując razem białe i innych kolorów kwiaty, można się bardzo rozmaitych odmian dochować. Korona pięciolistna, z pięcią miodownikami, w kształcie przedłużonym jak ostroga, zawierającemi wielką ilość słodyczy. Pszczoły obficie z nich na miód i воск zapasy zbierają. Ponieważ większa część gatunków obcych orlika rośnie na górach, przeto te nawet co w cieplejszym pasie dziko rosną, pod naszym niebem nie lękają się zimy.

Gatunek *Orlik wspaniały* (*A. eximia*) wyhodowany został w Holandyi przez p. Houtte, z nasienia nadesłanego z Kalifornii. Świetny pomarańczowy kolor, ze złocistym podkładem, niby wewnętrzną podszewką, nadaje temu kwiatowi blask nadzwyczajny, i możemy gatunek ten lubownikom zalecić, albowiem, jak wszystkie gatunki orlików, daje się bardzo łatwo hodować w ogrodach z nasienia lub przez dzielenie korzenia.

Orlik kanaoryjski (*A. Kanaoriensis*), przedstawiony pod liczbą 3, pochodzi z kraju Kanaor, położonego między Kaszmiem i Tybetem, gdzie znajdujemy go na górach 10 do 15,000 stóp wzniesionych nad poziom morza. Przyjemny błękit ostróg i jasna żółtość listków korony dziwnie odbija przy ognisto-pomarańczowej barwie poprzedniego gatunku. Piękność każdego z nich podwyższaną bywa przez sąsiedztwo drugiego, i ugrupowanie w jednym klombie różnorodnych odmian tego kwiatu, przedstawia nader ozdobny, różnowzory kobierzec. Hodowanie wszystkich gatunków jest jednakowe i bardzo łatwe.

SPRAWOZDANIA POPULARNE

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH I PRZEMYSŁU.

II.

Przygotowywanie do druku planów, mapp i rysunków, podług metody p. de France. — Jakim sposobem człowiek stać się może sal amandą. — Gojenie ran z oparzenia pochodzących. — Od krycie p. Boinet, dotyczące lekarstw jodowych. — Dowolne tworzenie kości w organizmach zwierzęcych. — Teorya p. Pouchet o samorodztwie istot organicznych. — Wątpliwość jej w obliczu nauki.

Ruch i postęp od najdawniejszych czasów stanowią rzeczywistość i uznane są powszechnie nietylko za cechę, ale nawet za konieczny warunek bytu i życia; lecz w ostatnich czasach, w czasach kolei żelaznych i telegrafów, ruch i postęp przyjęły za obowiązek być nietylko jak dawniej nieustającymi, ale nadto szybkimi. Każda gałąź nauki, każde szczególne w którejkolwiek z nich odkrycie, których rozwój dawniej był dziełem wieków, dziś olbrzymimi wysileniami pożera przestrzeń, przegania czas i z każdym dniem bez zatrzymania posuwa się dalej i dalej. Dzięki łatwości przenoszenia myśli z jednego krańca ziemi na drugi, dzięki jawności która zastąpiła przedwiekowy monopol wszelkiej naukowości, każda nowa myśl, każdy nowy wynalazek staje się w jednej chwili własnością całej ludzkości, tysiące umysłów i rąk rozbięra je, przerabia, uzupełnia i przy pomocy rozumowania, doświadczenia, a często nawet przypadku, z każdego pomysłu, z każdego faktu, jak z ziarenka rzuconego w żyzną ziemię, szybko rozwija się krzew, kwiat i owoc. Setne w różnych językach przeglądy postępu nauk i ich zastosowania do sztuk i rzemiosł, notując zaledwie pokrótce nowe zdobycia na tém polu, wznoszą co chwila w coraz grubsze tomy.

Nie mając pretensyi ścigania nieodstępnie za każdodziennym postępowaniem odkryć i ulepszeń w rozmaitych gałęziach nauk przyrodzonych, w ich zastosowaniu mianowicie do przemysłu, starać się jednak będziemy notować główne rezultaty tego każdodziennego postępu, kierując się w wyborze względami powszechnego użytku lub zajęcia, do jakiego ten lub ów fakt może mieć prawo; w pierwszym razie odkrycia i udoskonalenia, bezpośredniego, praktycznego użytku, starać się będziemy nieco rozciągnąć przedstawiać, w drugim, poprzestaniemy na krótkiej tylko wzmiance interesującego faktu.

Wysoki, niezaprzeczalny użytek figur, obrazów, rysunków objaśniających przedmiot opisywany, wy-

wołał oddawna już chwalebny zwyczaj zamieszczania w różnorodnych dziełach sztychów, miedziorytów, drzeworytów i litografij, które stanowią nietylko ozdobę, ale prawdziwie użyteczny, objaśniający dodatek. Najwyższą możliwą taniością tego ważnego, w pewnym przynajmniej rodzaju dzieła, przydatku, jest pierwszym warunkiem upowszechnienia takich wydań, i nie dziw że od lat kilkunastu nauka i przemysł podały sobie ręce, aby ten pożądaný cel ile możności najprostszymi środkami osiągnąć. Wiele już na téj drodze uczyniono. Galwanoplastyka, odciski metalowe topione (tak zwane kliszowanie), fotografia, roboty na kamieniu, stali, cynku lub miedzi, dają nam dziś środki, o jakich pod względem taniości i szybkości przed niewielu laty jeszcze nie marzyliśmy nawet. Najnowsze w tym przedmiocie odkrycie zakomunikowane zostało akademii nauk w Paryżu przez marszałka Vaillant. Jest to sposób łatwego przygotowywania do druku planów, mapp i rysunków topograficznych, których rytowanie zwykłemi do tego sposobami wymaga dużo czasu. Wynalazcą jest p. de France, urzędnik zakładu kreślenia mapp w ministerstwie wojny, a sposób postępowania następujący:

Rysunek wykonywa się na papierze przezroczystym, dlatego żeby rozpiąwszy go na białym stole, rysunkiem na spód, można było każdy rys widzieć dokładnie. Na tak rozpiętym papierze daje się z lewej strony cienki pokład białego kleju zwierzęcego (gélatine), rozpuszczonego na ciepło w wodzie, tak aby po wyschnięciu pokład ten przedstawiał grubość pół linii. W tym stanie prowadząc delikatny rylec, ściśle według rysów dających się dokładnie widzieć przez pokład kleju, otrzymujemy ten rysunek wklęsło pogłębiony na pokładzie kleju. Po ukończeniu tego przerysowania, nalewamy na klój roztwór gutaperchy w siarczku węgla (alcohol sulphuris) w takiej ilości, żeby się po wyschnięciu utworzyła warstewka, także na pół linii, lub nieco grubsza. Po zupełnym wyschnięciu téj nowej warstwy, najprzód odejmujemy papier z oryginalnym rysunkiem, przez odmoczenie zimną wodą; następnie bez trudności, także za pomocą wody, oddzielamy błonkę klejową i pozostaje nam warstewka gutaperchy, na której powierzchni znajdujemy wypukły, dokładny rysunek oryginału. Powierzchnia gutaperchy pokrywa się metalicznie pyłkiem ołówkowym lub roztworem soli srebrnej i umie-

szcza w kąpeli galwanicznej, dla otrzymania zwykłym sposobem platy miedzianej, z rysunkiem wygłębionym do odbijania, tak jak zwykle miedzioryty (*taille douce*). Najpierwsze zaraz próby tego wynalazku uwieńczone zostały wyższém nad wszelkie spodziewanie powodzeniem.

Plata miedziana otrzymana w ten sposób nie mogłaby dać bardzo znacznej liczby odbić, co wprawdzie nie stanowi ważnego zarzutu, bo z jednej gutaperchowej matrycy, galwanoplastyka dostarczyć może kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt plat miedzianych, według potrzeby; ale i to staje się zbyt cennym, bo prawie jednocześnie z wynalazkiem p. de France, na innej drodze i dla innych celów, p. p. Salmon i Garnier odkryli sposób pokrywania miedzi stalą, przez co plata, któraby za ledwie parę set, a czasem tylko kilkadziesiąt dobrych odbić dać mogła, da ich po nastaleniu kilka tysięcy. Stalowanie miedzi odbywa się sposobem galwanicznym. W kąpiel złożoną z 10 części wody i jednej części wodorochloranu amonii (sól amoniaku) zanurzają się druty silnej baterji Bunsena; u bieguna dodatniego przyczepia się blaszka żelazna, u bieguna ujemnego platynowa lub także żelazna, o połowę mniejsza od pierwszej. Przez działanie elektrochemiczne, roztwór nasyca się po dwóch lub trzech dniach podwójnym wodorochloranem żelaza i amonii. W taki płyn zanurza się w zetknięciu z biegunem ujemnym plata miedziana, mająca być pokryta stalą, po odjęciu zawieszonyj poprzednio blaszki. W krótkim czasie postrzeżemy ją pokrywającą się świetną powłoką stalową. Skoro brzegi zaczynają się czernić, operacja jest skończona, plata obmywa się wodą, a po uschnięciu olejkim terpentynowym, i już jest gotową do odbijania, jak miedzioryt, jeżeli rysunek jest wklęsły, lub jak drzeworyt, jeżeli rysunek mamy wypukły.

Połączenie wynalazku p. de France ze stalowaniem miedzi jest niezaprzeczenie wielkim postępem w sztuce ilustracyi.

Na inném zupełnie polu, ważniejszym jeszcze, bo całą ludzkość obchodzącym rezultatem jest wynalazek, którego próba odbyta została w Metz z zupełnym powodzeniem. Dzienniki francuzkie opisują ten fakt w następujący sposób: „Chodziło tu o narażanie się bez szkody na działanie ognia. Pan Franciszek Buvert przechadzał się przez czas dość długi między dwoma szeregami palących się wiązek chrustu i drzewa, poczem rzucił się na rozpalone ognisko i pozostał zupełnie nietknięty ogniem, dzięki przyrządowi którego jest wynalazcą. Doświadczenie to p. Buvert powtarzał kilkanaście razy, w obecności władz miej-

scowych, ludzi nauki i oficerów straży pożarnej. Przez dziwny zbieg wypadków takie, same zupełnie doświadczenia wykonywane były w tym samym czasie w Londynie, w sławnym ogrodzie spacerowym Cremone Garden nad Tamizą, i z równym powodzeniem. Człowiek ubrany w odzież niezapalną i co ważniejsza jeszcze, nieprzenikliwą dla ciepła, przechadzał się bez szkody w pośród płomieni, których gorąco trudne było do wytrzymania dla widzów, w odległości dwudziestu kroków. Nie potrzebujemy tu dodawać, jak niezmiernie ważnym jest ten wynalazek przy gaszeniu pożarów, i tylko życzyć należy, żeby tak dobroczynne odkrycie stało się jaknajprędzej własnością ogółu.”

Nim to nastąpi, sądzimy że użytecznym będzie dla naszych czytelników świeże odkrycie sposobu szybkiego i zupełnego zagojenia ran z oparzenia pochodzących. Pan Berthaud w dzienniku *Patrie* przytacza dwa nadzwyczajne wypadki w tym przedmiocie, które zdaniem naszym powinny być powtórzonemi przez wszystkie dzienniki, z powołaniem się na poważne ze wszech miar źródło. „Pewnego razu, mówi *Patrie*, p. Si mon, zamożny i światły ogrodnik w Belleville, przypadkiem wylał sobie na nogi duże naczynie wrzącej wody. Był sam, a gwałtowny ból nie pozwolił mu szukać pomocy. Przed nim stał wazon z aloesem (*aloe perfoliata* v. *succotrina*). Pan Simon urwał jeden liść, przekroił go wzdłuż i przyłożył rozciętą stroną do nogi, dla ochłodzenia przynajmniej rany. Jakież było jego podziwienie, kiedy zielony sok liścia aloesowego zmienił się w jednej chwili w fioletowy. a ból ustał jakby ręką odjęty. Nazajutrz nie było prawie śladu oparzenia, tylko przez kilka dni miejsce oparzone pozostało fioletowe.

Pan Lemaire, professor botaniki w Gandawie, obwinął liśćmi aloesu okropnie oparzoną rękę swojej kucharki i osiągnął równie pomyslny rezultat. Pan Houillet, dyrektor cieplarni w muzeum tamecznym, użył tegoż sposobu dla uleczenia robotnika, który skutkiem wybuchu pary z kotła miał całe plecy zmienione w jedną okropną ranę. Uleczenie było tu równie szybkie i zupełne, jak w dwóch poprzednich wypadkach.”

Dodamy tu że ten gatunek aloesu, nazwany u Klu-ka *przeszytym*, dość u nas jest upowszechniony i zasługuje na utrzymywanie w salonach, kwitnie bowiem bardzo ładnie purpurowo, a liście jego grube i mięsiste dają się dobrze przechowywać w piasku w piwnicy przez całą zimę; nietrudno zatem zapewnić sobie pod ręką nader skuteczne lekarstwo na dość często

trafiające się w gospodarstwie domowym wypadki oparzenia.

Sztuka lekarska, skutkiem gorliwych prac wielu znakomitych lekarzy, szczególnie przy pomocy fizyki i chemii, które w nowszych czasach więcej niż kiedykolwiek przykładają się do rozszerzania wiedzy medycznej, niemało szczęśliwych poczyniła kroków. Pan Boinet, członek akademii medycznej w Paryżu, po dziesięcioletnich doświadczeniach wystąpił publicznie w gronie tego uczonego ciała z rozprawą, wykazującą że dla uniknięcia drażniących skutków niektórych lekarstw jodowych, przy zupełnym zachowaniu ich dobroczynnego wpływu w rozmaitych słabościach, ustępujących nieomylnie pod działaniem tego niedawno wprowadzonego w użycie pierwiastku, najstosowniejszym środkiem jest zamiast lekarstw przyrządzanych z rozmaitych połączeń jodowych, dawać chorym na pokarm rośliny zawierające jod w stanie takiego rozdrobnienia, że przez to łatwiej może łączyć się z naszym organizmem. Pan Boinet, dając chorym swoim rośliny morskie, porosty zawierające jod i wody mineralne, okazujące ślady bytności tego ciała, z wielkim powodzeniem leczy słabości skrofuliczne i inne, traktowane zwykle preparatami jodowymi, nie postrzegając przytęm niebezpiecznych skutków, jakie przy używaniu soli jodowych, szczególnie u osób słabszego piersiowego usposobienia, objawiać się zwykły.

Niemniej ważnym, zwłaszcza dla chirurgii, jest odkrycie p. Ollier, młodego lekarza w Lyonie, że błona otaczająca kości, (periosteum, przykostna, kościokór) oddzielona od kości z pozostawieniem tylko małej cząsteczki stykającej się z nią i otoczona mięsami, po jakimś czasie tworzy oddzielną zupełnie kość, a nawet że oddzieliwszy zupełnie od kości, na przykład gołeniewej, pasek tej skóry kostnej i zagłębiwszy go w mięso innej części ciała, na przykład przy obojczyku, po jakimś czasie znajdziemy ten kawałek błony zmieniony w zupełną kość, mającą nawet kanał szpikowy. Śmieli i zręczni operatorowie potrafią niewątpliwie wyciągnąć niezmiernie ważne korzyści z tego odradzania się kości, w przypadkach gdzie potrzeba albo wzmocnić kość złamaną, albo brakującą jej część utworzyć.

Nie nowina to że czasem najgorliwiej pracujący uczone pomylić się może w drodze obranej lub osiągniętych rezultatach. Zdarza się to najczęściej wtedy, gdy założywszy sobie z góry jakie zadanie, staramy się wynaleźć dowody i fakta na poparcie i ustalenie ulubionej myśli. Dawne przysłowie powiada, że zwykle spodziewamy się tego, czego pragniemy; nie dziw zatem że badacz, uprzedzony nieco względem nowej swojej myśli, pomijając niekiedy zbijające ją okoliczności, chciwie chwyta to wszystko, co ją poprzeć może, i tu i owdzie, jak to mówią, stara się wodę na swój młyn obrócić. Podobny wypadek spotykamy obecnie w sprawozdaniu z prac zasłużonego ze wszech miar uczonego, p. doktora F. A. Pouchet, dyrektora muzeum w Rouen. Znakomity ten naturalista, świetnie znany z badań w przedmiocie zapłodnienia różnego rodzaju zwierząt, zbyt śmiało postępując w swoich wnioskach, powziął myśl ustalenia teorii samorodztwa, to jest tworzenia się pewnych istot bez za-

dnego zarodka, i już nawet złożył akademii nauk w Paryżu obszernie pismo, zawierające mnóstwo doświadczeń mających zwalić zupełnie dotychczasową powszechną teorią, że każda żyjąca istota tylko z podobnej sobie istoty zrodzić się może. *Parturiunt montes*, ale tym razem góra w połogu nie zrodziła myszy, tylko najniższej organizacyi zwierzątka mikroskopowe, wymoczki najprostszej budowy. Pan Pouchet zapewnia że przedsięwziawszy wszelkie jakie tylko wymyśleć można środki ostrożności, aby oddalić z wody zamkniętej w szklanym naczyniu i z powietrza będącego z nią w zetknięciu wszelkie zarodki zwierzęce i roślinne, widział jednak rodzące się w tej wodzie rozmaite grzybki i wymoczki, a między innymi roślinę którą nazwał *aspergillus Pouchetii*, a którą pan Montagne po ścisłym zbadaniu uznał za nieznaną dotąd zupełnie. Ponawiając doświadczenie z wodą jak najstaranniej oczyszczoną i zagotowaną z powietrzem przepuszczonem przez najgęstsze tkaniny, dodano do nich siano wysuszone w tak wysokiej temperaturze, że takowa powinna była zniszczyć wszelkie zarodki roślinne i zwierzęce, a mianowicie zarodki owej *aspergillus Pouchetii*. Mimo to wszystko szanowny doktor nie tylko otrzymał ową sławną roślinę, ale nadto rozmaite gatunki wymoczków; i oto według p. Pouchet dowód samorodztwa tych istot organicznych.

Niestety, słabe są bardzo fundamenta budowy tej nie nowej, ale tym razem bardzo poważnie przedstawianej troryi! Cóż bowiem zbudować zdołamy na tém bardzo giętkim przypuszczeniu, że można najzupełniej oczyścić powietrze i wodę jakimkolwiek mechanicznym i fizycznym sposobem z niepojęcie drobnych zarodków istot, które już zupełnie ukształcone, silnymi tylko mikroskopami mogą być widziane? albo że nie ma w naturze zarodków roślinnych lub jajek zwierzęcych zdolnych wytrzymać temperaturę stu stopni? Pan Montagne zdefiniował wprawdzie nową roślinkę krytoplciową i oznaczył jej miejsce między znanymi podobnymi rodzajami, ale bynajmniej nie przyznał jej samorodztwa. Owszem p. Montagne oświadcza się prędzej za wieczystością zarodków i przypuszcza przypadki w których one mogą od dnia stworzenia przetrwać do dziś w postaci zarodków i rozwinać się dopiero po przebiegu wieków, pod wpływem sprzyjających okoliczności. W innej stronie ziemi, w Niemczech i w Rosyi, nie usiłowano popierać przypuszczenia p. Pouchet, lecz starano się poradzić sobie w podobnych wypadkach teorią metamorfozy, ntrzymując na przykład że niektóre porosty mogą się przemieniać w mchy i lepnice, a nawet w wymoczki; ale oto świeżo w raporcie kommissyi do nagrody Demidowa, złożonym akademii petersburgskiej, czytamy:

„Obecnie dowiedzionem jest dotykalnie, że podobne przemiany nie istnieją, i nie można nawet przypuszczać przerodzenia się nie tylko familij, rodzajów, ale nawet gatunku w jaki inny. Ścisłe i niezakłócone żadnym uprzedzeniem badania, pozwolą nam zawsze zdeterminować z dokładnością, prędzej lub później, najwątliwsze nawet organizmy, które w pierwszej chwili zdają się należeć i do roślinnego, i do zwierzęcego państwa.”

.....”



Lit. H. Schenbrenner.

w Lit. A. Pecz & C. w Warsz. 482

JERZY PUSCH.

JERZY BOGUMIŁ PUSCH.

Nietrudno to zapewne, moi czytelnicy, zaskarbić sobie waszą uwagę, kiedy tytułowy nadpis wygłasza jedno z tych wielkich imion, jakie tradycyjnie przechodzą z pokolenia na pokolenie, powszechną budząc sympatją. Lecz mimo że Pusch nie należy do téj liczby wybranych, a imię to dla wielu może poraz pierwszy obije się o uszy, to jednakże pragnąłbym abyście z cierpliwością przejrżeli karty, na których mamy oddać hołd skromnej ale rzeczywistej zasłudze i żelaznej pracy podjętej przez cudzoziemca, lecz płodnej w bezpośrednie dla kraju naszego korzyści.

Co wiedziano o ziemiach polskich pod względem geologicznym przed Puschem? Śmiało możemy odpowiedzieć że nic, a przynajmniej bardzo mało. A jednakże kraj nasz, lubo nie najbogatszy w samorodne dary natury, posiada niemałe korzyści zapewniające pokłady czarnego węgla, cynku i najważniejszego, bo wpływającego na rzeczywisty postęp ludzkości metalu—szarego żelaza, że już nie wspomnimy o ukrytych pod wodą rudach srebra i ołowiu, tudzież innych niebezkorzystnych minerałach, jakimi są marmury, wapienie, glinki, gliny, piaskowce i t. p. Oznaczenie miejscowości, kierunku pokładów, bogactwa takowych stanowi przedmiot systematycznej i na niewzruszonych pewnikach opartej nauki, zwanéj powszechnie geologią. Z tego już naszego rozumowania łatwo przyjdziemy do wniosku, że gruntowna znajomość geologii i pobratymczych a posiłkujących ją nauk, jak: paleontologii, górnictwa i hutnictwa, w kraju dotychczas nietkniętym badawczém okiem specjalisty, wydać powinna owoce nader pożyteczne dla narodowego bogactwa.

I rzeczywiście rząd królestwa polskiego silnie był o tém przekonany, natychmiast bowiem po ustaleniu się pokoju i porządku, otworzono w Kielcach w roku 1816 przy dyrekcji głównej górniczej szkołę górniczą, której położono za cel przysposobienie zdolnych, specjalnie ukształconych górników i hutników. Lecz dobrym chęciom ówczesnej zwierzchności stał na zawadzie głównie brak zdolnych krajowych profesorów; w konieczności więc musiano udać się z prośbą do tych krajów, gdzie oddawna kwitujące górnictwo

w świetnym stanie utrzymywało zakłady naukowe, téj umiejętności specjalnie poświęcone. Za pośrednictwem więc rządu, właściwą drogą zwrócono się do naczelnictwa saskiego górnictwa i akademii w Freibergu, która wywiązała się z tego zadania z całą sumiennością, darząc nas najlepszymi ze swych uczniów, a między nimi Jerzym Bogumiłem Pusch'em.

Z licznych cudzoziemców jacy w ojczyźnie naszej znaleźli chleb dostatni i zajęli ważniejsze stanowiska, niewielu godnie wypłaciło się téj nowej chlebobajnej macierzy, a najmniej może Niemcy. Wszelki więc wyjątek od tego prawidła z przyjemnością przychodzi nam zanotować, dowodzi on bowiem wyższości umysłu i serca nad resztę przybyszów z nad Renu, Elby lub Sprei. Ta okoliczność wytłumaczy zarazem dlaczego na tę postać tak szczegółową zwracamy uwagę.

Jerzy Bogumił Pusch urodził się dnia 15 grudnia 1791 roku we wsi Kohren w Miśni, a zatem w kraju niegdyś słowiańskim. W roku 1806 widzimy go już wstępującego do słynnej akademii górniczej w Freibergu, która swą świetność zawdzięczała takim mistrzom jak Werner (znany powszechnie ze swoich znakomitych pomysłów w mineralogii, a szczególnie w geologii, którą z pierwotnych mrzonek na prawdziwą drogę sprowadził i w formę rzeczywistej nauki ukształtował), Herder, oryktognosta Freisleben, chemik Lampadius, oraz prawnik górniczy Köhler.

Rodzaj obranego zawodu, zgodny ze zdolnościami młodzieńca, żelazna, prawdziwie niemiecka praca, wkrótce postawiły przyszłego uczonego w liczbie najpierwszych uczniów akademii i zjednały mu życzliwą przyjaźń takich znakomitości jak Werner i Lampadius. Ten ostatni, zważając na jego wyższe zdolności, polecił mu pod koniec już kursów, aby wraz z dr. filozofii Chryzostomem Berchtem ułożył kurs chemii doświadczalnej, pomocniczej przy wykładzie, co też niebawem skutecznioném zostało.

Była to pierwsza literacka praca młodego Puscha, pierwsza niewątpliwie z drukowanych, dzieło to bowiem w jednym tomie wyszło pod następującym tytułem: „Erläuternde Experimente über die Grundlehre der allgemeinen und Mineral-Chemie, von 1809

auf 1810, durch den Professor Lampadius angestellt, gesammelt und herausgegeben von dr. Christ. Bercht und G. G. Pusch.”

Po chlubném ukończeniu kursów akademickich w r. 1810, Pusch pospieszył na uniwersytet lipski, pragnąc stanąć na stanowisku odpowiedniém swym zdolnościom, i tam zapisał się na wydział górnictwa i prawa, słuchając pilnie wykładu miejscowych znakomitości, do jakich tak słusznie zaliczyć można Wielanda, Wencka, Haubolda, Junghausena i innych profesorów lipskiej wszechnicy.

Lecz nie była to epoka sprzyjająca krzewieniu się nauk: wypadki toczące się z gwałtownością rozchukanego morza, wywracały jak huragan państwa, trony, zasady i ludzi! Narody zbroiły się, a wielka wędrowka półmillionowej armii kłóciła spokój domowy, który dawno już pierzchnął, spłoszony hukami dział nad Wisłą, Niemnem, Berezyną i pod Moskwą.

Przewidywany upadek Napoleona, poruszył aż do głębi ludność niemiecką. Kto tylko zdolny był udźwignąć karabin, wstąpił w szyki licznych armij, jakie formowali najrozmaitsi książęta Niemiec. Pusch zaciągnął się do saskich saperów, pozostając w służbie aż do ustalenia się pokoju, to jest do 1815 roku.

Wziąwszy uwolnienie od służby wojskowej, wszedł do górnictwa, i przeznaczony został na dozorującego kopalnie i huty sasko-turyngskiego kraju, który następnie, mocą traktatów, przeszedł w posiadanie korony pruskiej.

Rok następny był stanowczy w życiu Puscha, na wezwanie bowiem akademii freibergskiej przeniósł się nasz uczonego górnika do Kiele i objął w tamtejszej szkole obowiązki profesora chemii i hutnictwa, w stopniu asesora przy dyrekcji głównej górnictwa. Pusch na tém stanowisku wielkie oddał krajowi usługi; w następstwie bowiem czasu, oprócz powyżej cytowanych przedmiotów, wykladał kopalnictwo i geologię, przez co niemało przyczynił się do wykształcenia licznych i zdolnych urzędników górniczych.

Lecz dla czynnego umysłu Puscha zajęcia te były tylko zabawą; z całą więc przedsiębiorczością młodości, rzucił się na nietknięte jeszcze pole badań i studyów nad geologicznym położeniem kraju polskiego.

Wszystko tu trzeba było zrobić samemu, chcąc dojść do jakichkolwiek wypadków pewnych. Ani prace poprzedników, ani pomoce społecznych nie miały dla Puscha żadnego znaczenia; to więc co zrobił, zrobił sam o własnych siłach, własną i niezmordowaną pracą.

Literatura nasza nie przedstawiała żadnych źródeł dla studyów w tym kierunku. Pominąwszy prace dawniejsze, jak Spiczyńskiego, Marcina Siennika, dr. Marcina z Urzędowa i Syreniusza, które traktując o minerałach z medycznego stanowiska, należą do zbyt odległej epoki dzieciństwa nauki, ażeby mogły jakąkolwiek mieć wartość, — nowsze również nie zasługiwały na uwagę. Gabryel Rzączyński więcej jest facecyonistą niż pisarzem źródłowym, za jakiego chciano go uważać. Posłuchajmy tylko co mówi ten autor w swojej *Historia naturalis curiosa regni Poloniae*: „Między rodzajami złota odróżniamy złoto rosnące (aurum vegetabile), jak nazywają to które znajduje się nad ziemią a nie w ziemi, nakształt rosnącej różgi. Takowe osobliwości znajdują się w Węgrzech, o czém piszą różni autorowie. Ferdynandowi III imperatorowi sześć takich posłali kłosów węgierscy panowie, które wraz zjęczmieniem zżęli żniwacy, o czém Klausal *in curiosis naturae arcanis Bohemiae*.”

Widzicie więc, moi czytelnicy, iż pisarz bawiący się w podobne dykteryjki, w dobrej wierze nie może być uważanym za naukową powagę.

Biorąc rzeczy na seryo, Kluk i Ładowski (*Historia naturalna królestwa polskiego*), a nawet Drzewiński, Kumelski i Jakowiecki, również nie dostarczają materyałów, i dopiero z polskich pisarzy Staszic i Zeiszner stanowić mogą jakąkolwiek powagę. Lecz ostatni należy już do okresu nowszego, a pierwszy, pomimo nader trafnych spostrzeżeń, grzeszy często brakiem krytyki.

Większej wartości są prace cudzoziemców. Geutard już w roku 1762 uskutečnił opis geognostyczny dawniej Polski. Następnie Filip Carosi w r. 1777 wydał opis geognostyczny Młocin, a w r. 1784 podróż po prowincjach polskich. Carosi miał sposobność poznać kraj polski, albowiem z rozkazu króla Stanisława Augusta czynił poszukiwania soli w okolicach Nidy.

Daliej prace Ferbena, Fichtela, Hacquet'a dały nam poznać niektóre szczegóły geologiczne, a Beudant wydał przepyszną podróż swą, pod tytułem: „Voyage mineralogique et géologique en Hongrie, pendant l'année 1818,” w której mówi o Karpatach i Galicyi. Nareszcie Oeyenhauzen, pisząc o górotworach Śląska, Sydow o Wieliczce, Eichwald, Dubois o pokładach litewskich i wołyńskich i Becker o formacjach południowej Polski, rzucili światło na szczegóły tych okolic. Lecz wszystkie te prace, mimo niezaprzeczonej ważności ostatnio wymienionych, są zbyt poje-

dynczemi, zbyt oderwanemi, aby dokładnie mogli pouczać o położeniu geologiczném naszego kraju.

Więc trzeba było przeprowadzić badania samoistne, poczerpnąć z najczystszej źródła, ze studyów nad żywą przyrodą.

Pusch, korzystając ze swego położenia, przedsiębrał liczne naukowe wycieczki w różne okolice kraju. Działalność naszego uczonego w tym kierunku była godną podziwu. Już w roku 1816 zwidził Małą Polskę, a mianowicie okolice Kielc. W następnym roku wiosnę przepędził w Krakowskim, w lecie posunął się w Sandomierskie, a w jesieni Wielkopolskę dokładnie zwidził. Rok 1819 poświęcił specjalnym studyom nad pokładami okolic Skalbmierza, Opatowa i Proszowic.

Z wiosną 1820 roku zajmował się poszukiwaniami nad wapieniem muszlowym i krédowym marglem, rozciągającym się między Włoszczową, Małogoszczem, Sobkowem i Morawicami. W tymże roku zwidził gubernię lubelską, a w następnym 1821 wschodnią część północnych Karpat.

W roku 1823 badał specjalnie byłą rzeczpospolitą krakowską i okolice przyległe w królestwie, zwidzał owe głośnie cudnymi widokami natury doliny Krzeszowic, Filipowic, Szklar, Jerzmanowską, ojcowską i t. p. W roku 1824 podobną specjalną wycieczkę rozpoczął po Sandomierskim, w 1826 nad Nidą, a w 1827 przez południową część Lubelskiego i Podlasie.

Temi zbogacony pracami, zebrawszy mnóstwo odnośnych do swego przedmiotu spostrzeżeń, wystąpił najprzód z rozprawą w roku 1821 o szesnastu mało znanych gatunkach minerałów znalezionych w Polsce, pomieszczoną w „Leonard's Taschenbuch für Mineralogie.” Drukowane były w tém piśmie niektóre jego prace już poprzednio, lecz te nie przedstawiają dla nas żadnego interesu, gdyż nie dotyczą kraju polskiego, ale ogólnych zadań nauki.

Daléj ze szczegółowszych badań jego nad Polską posiadamy rozprawę pod tytułem: Ueber die geognostische Constitution der Karpathen und der Nordkarpathen-Laender. Eine geognostische Skizze, w 1829 roku pomieszczoną w „Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde.”

W rok późniéj (1830) Pusch wypracował swoje pierwsze na obszérniejszy rozmiar dzieło, które z rękopisu na język polski przełożone przez profesora Kitajewskiego, ukazało się w piérszym i drugim tomie peryodycznego czasopisma Sławianin. Praca ta nastépnie wyszła w osobnej odbitce. Tutaj to uczonego nasz, zbierając główne wypadki swoich spostrzeżeń

kreśli w charakterystycznych rysach obraz geologiczny naszego kraju. Była to piérsza w polskim języku i dotychczas ostatnia praca, traktująca geologiczne położenie naszej ziemi w zupełności i w całym jéj obszarze. Dotąd nikt nie podniósł złożonych tam przez Puscha badań, nikt z ziomków daléj ich nie poprowadził, nawet nikt na dzisiejszy ład i do dzisiejszego stanu nauki zastosować ich nie potrudził się. Opieszałość godna wymówki! bo przecież niebrak nam ludzi zdolnych i kompetentnych; brak tylko wytrwałości, a jeżeli się nie mylimy, to i dobrej woli w przedsięwzięciu i wykonaniu téj pracy. A że w obecnym czasie byłaby ona stosowniejszą niż kiedykolwiek, zdaje się iż nie potrzebuję dowodzić.

W ówczesnym stanie umysłowości kraju, znajomość nauk przyrodzonych była mniej niżeli na niskim stopniu, więc Pusch nie mógł dzieł swych pisać po polsku, gdyż wtedy pozostałyby w pleśni księgarskich półek. Geolog nasz pragnął trudy swe dać poznać całemu uczoneму światu, a może téż przywiązanie do mowy ojczystej, którego ganić nie myślimy, spowodowało iż dwa znakomite dzieła, które zjednały mu tak zaszczytne imię w uczonej świecie, wydał w języku niemieckim.

Pusch, rozwiniawszy w szczegóły piérszą swoją rozprawę, stworzył dzieło pomnikowe, które nie wątpimy że wyjdzie prędzej czy późniéj w polskim przekładzie. Mówim tutaj o dwutomowej pracy, noszącej tytuł: „Geognostische Beschreibung von Polen und der übrigen Nord-Karpathen-Laender, von Georg Gottlieb Pusch.”¹⁾

Do téj pracy zasadniczej odnosi się jeszcze dawniej w roku 1824 drukowana: „Geognostisch-bergmännische Reise durch einen Theil der Karpathen, Ober- und Nieder-Ungarn, angestellt im Jahre 1821 von G. G. Pusch,”²⁾ i rozprawa drukowana w Karsten's Archiv: „Ueber die geognostischen Verhaeltnisse von Polen, nach neuen Beobachtungen und Aufschlüssen.”

Lecz daleko ważniejsze od tych prac drukowanych są pozostałe w rękopismach rozprawy, zmieniające i uzupełniające opis geologiczny królestwa polskiego. Jest to siédm rozpraw pojedynczych, oznaczonych ogólnym tytułem: „Neue Beiträge zur Geognosie von Polen, von Georg G. Pusch.” Jest to ostatnia z prac Puscha i obejmuje: 1° O utworze szląsko-polskim wapienia muszlowego kruszczonego; 2° o kejrze w gó-

¹⁾ Dwa tomy; I w 1833, II w 1836, u Cotty w Sztutgardzie.

²⁾ Leipzig bei Barth, 1824, z 10 tablicami.

rach sandomierskich i krakowskich; 3° o utworze węgla kamiennego w Polsce; 4° o ogniwach jura-wapienia ikrowcowego (oolith) w Krakowskim i Sandomierskim; 5° o płycie ikrowcowym bałtyckim i 6° porównanie układów geologicznych Polski i Rosyi.

Wspomagając naukę o geologicznym położeniu Polski, Pusch wypracował paleontologią naszego kraju, której część ukazała się w roku 1837 pod tytułem: „Polens Paläontologie”¹⁾ objaśniona licznymi, dobrze wykonanymi rysunkami, umieszczonemi na szesnastu wielkiego formatu tablicach. W dziele tém, niezmiernie dziś rzadkiem i poszukiwaném, Pusch poświęcił ustęp kopalnym szczątkom żubra i tura, dowodząc, wbrew twierdzeniu innych naturalistów, jedności gatunkowej tych zwierząt. Ta okoliczność wywołała ciekawe rozprawy, a zarazem skłoniła naszego uczonego do obrony swych mniemań w klassycznej rozprawie pomieszczonej w „Wiegmann’s Archiv für Naturgeschichte” z 1840 roku, pod tytułem: Neue Beiträge zur Erläuterung und endlichen Erledigung der Streitfrage über Tur und Żubr (Urus und Bison), w której walczy zwycięzko z takim kolosem jak Jerzy Cuvier.

Oprócz tych prac naukowych, Pusch różnemi czasami pisywał rozprawy w języku polskim, jako to: „Historyczno-statystyczny obraz stanu i produkcji górnictwa w Polsce,” umieszczony w Pamiętniku górnicy z roku 1830, który z powodu ówczesnych wypadków nietylko zatamowanym został w swém istnieniu, lecz nawet do handlu księgarskiego nie przeszedł. Biblioteka Warszawska drukowała kilka ciekawych urywków z obszernego dzieła, obecnie pozostającego w rękopiśmie, a noszącego tytuł: „Polens Aërometrie.” Jest to znakomita, na dwa spore tomy wystarczająca praca, obejmująca opisanie tego wszystkiego, co tylko na powierzchni kraju polskiego pod względem fizycznym istnieje; pragnącby więc należało aby trud ten lat wielu doszedł właściwą drogą do wiadomości publicznej.

¹⁾ Stuttgart, bei Schweizenbarts.

Oprócz tych dzieł miejscowy interes mających, uczony nasz wydrukował lub w rękopiśmie pozostawił wiele innych, z których najważniejsze są: wykład geologii z 1830 roku, obszerna rozprawa o potopie, i „Allgemeine Paläontologie oder vollständige Versteinerungskunde,” dzieło wykładające systematycznie całą paleontologią, objaśnione mnóstwem rycin skamieniałości i tablic synchronistycznych. Rękopis wystarcza na cztery tomy. Z drukowanych wspomnieć jeszcze należy o dziele: „Geognostischer Katechismus,” nie bez użytku w swoje czasy.

W skutku tych usiłowań i prac na polu nauki, Pusch był zapraszany do grona wielu towarzystw. Mianowany został członkiem towarzystwa mineralogicznego w Dreźnie (1818), farmaceutycznego w Petersburgu (1819), nauk przyrodzonych w Bonn (1820), postępu krajowego w Wrocławiu (1823), badaczów natury w Altenburgu (1824), towarzystwa geologicznego w Paryżu (1830) i towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, a nareszcie (1840) wybrany na członka towarzystwa geologicznego w Londynie.

Obok tych wszystkich prac naukowych, Pusch zajmował ważne stanowisko jako urzędnik. Po zwinięciu w roku 1826 akademii górniczej w Kielcach, zjechał do Warszawy, gdzie zastępował czasowo to naczelnika górnictwa, to naczelnika hutnictwa, aż wreszcie mianowanym został radcą górnicy i naczelnikiem hut. W roku 1834 objął urząd intendenta mennicy, a w 1842 naczelnictwo sekcji technicznej w wydziale górnicy przy kommissyi rządowej skarbu, zasługując postępowaniem i zdolnościami na zaszczytne znaki honorowe.

Rozebraliśmy, acz pobieżnie, stanowisko naukowe Puscha; mamyż teraz ocenić go jako człowieka? Nie, nie było to przedmiotem naszego zadania; a zresztą zacne o nim wspomnienie żyje jeszcze między nami, bo czas jego śmierci nie jest tak odległy:—dnia 2 października 1846 roku skończył swe doczesne życie.

Adam Wiślicki.

ŚWIATŁO ELEKTRYCZNE. ¹⁾

Wiadomo zapewne naszym czytelnikom, iż w każdym ciele istniejącem w naturze mogą być wzbudzone zjawiska, które w języku naukowym noszą nazwę elektrycznych. Ciało którego cząstki pozostają w spokoju i nie objawiają tychże zjawisk, znajduje się w stanie elektrycznej równowagi; lecz jeżeli cząstki

tego ciała, w skutek jakiejś przyczyny, wyjdą ze swego bezwładnego położenia, wtedy zrywa się elektrycz-

¹⁾ O praktycznych zastosowaniach światła elektrycznego pisaliśmy już w Księdze Świata z r. 1854 na str. 292 i następ. Artykuł niniejszy dać może ogólne wyobrażenie o jego teorii i najnowszych z niem doświadczeniach.

(Przyp. red.).

na równowaga i objawia się swobodna elektryczność. Jeżeli swobodna elektryczność dwóch ciał jest téj natury, że między niemi następuje równowaga, wtedy, jeżeli te ciała są lekkie i ruchome, przyciągają się wzajemnie; jeżeli zaś elektryczność dwóch ciał jest taką, iż przyczynia się do silniejszego w jednym z nich napięcia, wtedy ciała te odpychają się.

Z tego widzimy że w działaniu swobodnej elektryczności istnieje wybitna różnica. Ażeby oznaczyć dokładniej tę różnicę, przyjęto za zasadę że w ciałach rozwinąć się mogą dwa rodzaje elektryczności:—jedną postanowiono nazywać *dodatnią*, a drugą *ujemną*.

Każda swobodna elektryczność, wzbudzona jakimkolwiek bądź sposobem, zawsze dąży do równowagi i przechodzi w okoliczne ciała, częstokroć nawet przewyciężając silne przeszkody. Otóż ciała takie, które stanowią niepokonaną zawadę dowolnemu rozprzestrzenianiu się elektryczności noszą nazwę *złych przewodników*, te zaś które ułatwiają ruch i przepuszczają przez siebie ten płyn cudowny, zowiemy *dobrymi przewodnikami*.

Ruch różnorodnych elektryczności, biegnących po dobrym przewodniku dla spotkania się, nazywamy *prądem elektrycznym*. Dwie elektryczności różnoimienne równoważą się i układają w stan spoczynku. Jeżeli taka równowaga następuje w środku przedstawiającym małe trudności swobodnemu ruchowi strumienia, wtedy zauważyć możemy tylko *rozgrzanie* się tego środka, to jest rozwinięcie ciepła bez światła. Przeciwnie, jeżeli równowaga, albo raczej połączenie się strumieni, ma miejsce w środku przedstawiającym dość silną zaporę przechodzącemu prądowi, wtedy w punkcie spotkania przejawia się ciepło czyli *iskra*. Nietrudno nam teraz wystawić sobie, iż w przypadku ciągłego krążenia strumieni otrzymać możemy szereg isker, z niezmierną po sobie następujących szybkością, czyli jedną ciągle świecącą iskłą, co w fizyce nazywa się *elektrycznym światłem*.

Światło więc elektryczne jest, jak widzimy, tylko rozwiniętą iskłą, i dlatego też istnieć ono może nie tylko w powietrzu, lecz w próżni, w wodzie i w różnych płynach niepalnych.

Ażeby otrzymać światło elektryczne, potrzeba kilku nieodzownych warunków, a mianowicie: 1° mieć możliwość wzbudzenia w ciałach wielkiej powierzchni dwóch prądów przeciwnoimiennych elektryczności; 2° utrzymywać wzbudzoną elektryczność ciągle w jednym stopniu nateżenia; 3° ułatwić jak można najwięcej drogę płynącym ku sobie prądom i nakoniec

4° w jakimkolwiek miejscu téj drogi wprowadzić w łańcuch zły przewodnik przezroczysty i pozwalający łatwo przechodzić atomom ciał twardych.

Ażeby wypełnić pierwszy z przytoczonych warunków, to jest wzbudzić swobodną elektryczność, używają rozmaitych sposobów. Najpospolitszym jest zetknięcie dwóch metali różnoimiennych, jak np. cynku i miedzi, albo téż metali i węgla i t. p. Jednym słowem używa się tutaj tak nazwanych stosów galwanicznych, mianowicie zaś ulepszonych, jak Grawego, których jednakże szczegółowy opis nie wchodzi w zakres naszej pracy. Wypełnienie pierwszego warunku, przy użyciu dokładnego stosu, obejmuje zarazem za-
dośćuczynienie warunkowi drugiemu.

Warunek trzeci łatwo możemy zachować, prowadząc wydobytą elektryczność ze stosu po drutach metalicznych, np. platynowych; nakoniec ostatni warunek osiągamy, pozostawiając między drutami, albo innymi dobrymi przewodnikami, wolną przestrzeń powietrza, które, jak wiadomo, obok swojej przenikliwości materyalnej i przezroczystości, jest złym przewodnikiem.

Zanim przyjdziemy do opisanie pięknych zjawisk elektrycznego światła, zrobimy uwagę iż obecnie w łańcuch po którym krążą dwa strumienie różnoimiennych elektryczności, wprowadzają pałeczki węgla, umieszczając je na końcach drutów. Pałeczki te wyrabiane są z tartego koksu, albo téż po prostu z koksu ustruganego i zakończonego cienko. Między ostremi końcami pałeczek pozostawia się tylko niewielka przestrzeń powietrzna. Węgiel rozgrzewa się do białości; atomiczne pyłinki jego, odrywając się od masy, krążą wraz ze strumieniem przez pustą powietrzną przestrzeń, czém udzielają światłu większej stałości i czynią je silniejszym niż wtedy, gdy prądy biegną bezpośrednio z końców metalicznego drutu.

Przy pilnej uwadze na płomień elektryczny spostrzeżemy, że składa się on z jądra niemal cylindrycznego kształtu, wydającego silny, niemal rażący blask białego koloru. Ta środkowa część płomienia otoczona jest okrągło-podługowatą, jasną, lubo mniej gęstą, powłoczką; blask téj zewnętrznej części niezawsze bywa jednakowy i zależy od natury ciał z których wywiązuje się elektryczność, jak i od środka w którym goreje płomień.

Okrągło-podługowaty kształt elektrycznego płomienia jest skutkiem tego, że prąd idący tak od dodatniego bieguna (węgla), jak od ujemnego (cynku) baterji Grawego, odrywa od końców przewodników

małe cząsteczki i rozgrzewa takowe do białości. Wszystkie cząsteczki oderwane od bieguna np. dodatniego, jako posiadające jednoimienną elektryczność, odpychają się wzajemnie; lecz na swój drodze napotykają drugą siłę, siłę przyciągania, którą wywierają cząstki oderwane od przeciwnego bieguna. Z tego przyciągania i odpychania się cząstek powstaje kształt okrągło-podługowaty, że zaś ta a nie inna jego przyczyna, łatwo możemy się przekonać z następującego doświadczenia. Jeżeli w czystą prowancką oliwę nasypiemy miałko utłuczonego węgla i do tego płynu doprowadzimy dwa przewodniki od dwóch biegunów działającego stosu, wtedy cząstki węgla między dwoma końcami ułożą się w wydłużoną kulę, złożoną z łukowatych szeregów, tak jakby były nawleczone na niewidzialne nici. Każdy z tych szeregów rozpoczyna się u jednego końca i biegnie do drugiego, a między sąsiadującymi dwiema cząstkami tak uszykowanego węgla przelatują ciągle ledwo dostrzegalne, małe iskierki.

Temperatura elektrycznego płomienia jest tak wysoka, iż topią się w nim nawet ciała opierające się najsilniejszemu gorącu naszych zwyczajnych i hutniczych pieców. Wszystkie metale, nawet platyna, tają w ogniu elektrycznym, jak lód albo воск u świecy, wapno zaś, magnezja, szafir i węgiel przechodzą w pary. Końce przewodników między którymi goreje elektryczny płomień mają wielki wpływ na wywiązujące się ciepło. Jeżeli oba przewodniki kończą się ciałami tejże samej natury, np. węglem albo jednoimiennymi metalami, to zwykle tylko koniec dodatniego rozpala się na całej swój przestrzeni. Przeciwnie zaś, jeżeli przewodniki są różnej przyrody, to rozgrzewa się silniej ciało przedstawiające więcej przeszkód bieżącemu prądowi, bez względu czy znajduje się ono przymocowane do ujemnego lub dodatniego bieguna. Tak np. jeżeli zechcemy zakończyć srebrem biegun dodatni, a platyną ujemny, to platyna, bez względu na to że znajduje się na przeciwnym biegunie, rozpali się silniej aniżeli srebro.

Jeżeli druty miedziane idące od biegunów złożymy na krzyż, to przewodnik od bieguna dodatniego rozgrzewa się i topi niemal na przestrzeni dwóch cali po jednej i drugiej stronie punktu skrzyżowania, gdy tymczasem drut ujemny rozplomienia się tylko w samym miejscu zetknięcia.

Zakończywszy jeden z przewodników platynową blaszką, tak aby płaszczyzna téjże była prostopadłą do drugiego z ostro zakończonego, platynowego szty-

ftu, wtedy blaszka ta, jeżeli umieszczoną została przy biegunie dodatnim, rozpala i gdy jest cienka topi się, gdy tymczasem przeciwny biegun za ledwie nieznanego doznaje działania. Zupełnie odwrotne następuje zjawisko, skoro blaszka przełożoną zostanie na biegun ujemny. Jeżeli nakoniec pogrążymy przewodniki w wodę i między niemi zatlimy światło elektryczne, to koniec przewodnika dodatniego nie tylko rozpala, lecz i topi się w wodzie, a przeciwnie na końcu przewodnika ujemnego nie widzimy żadnego z tych zjawisk.

Światło elektrycznego płomienia jest najsilniejsze ze wszystkich jakie dotychczas udało się nam otrzy- mać sztucznie; jest ono rażące dla oka i ma niejaki podobieństwo do światła słonecznego, nie tylko co do siły, ale i co do własności, gdyż podobnie jak to ostatnie wpływem swoim pomaga przedszemu połączeniu się chloru z wodorem. Światło fosforu palącego się w tlenie i tak nazwane światło syderalne wodoru (palącego się w strumieniu tlenu), o wiele ustępuje elektrycznemu.

Przy użyciu silnej baterji Bunsena, otrzymujemy widmo nie ustępujące w blasku słonecznemu; lecz w świetle elektrycznym dają się spostrzedz białe pasy, jakich nie zauważono w słonecznym. Jeżeli przewodniki zakończymy węglami i pogrążymy je w wodę, oliwę lub alkohol, to w widmie płomienia nie ujrzymy białych pasów; zakończywszy zaś druty kulkami z mosiądzu, zauważymy znów w widmie pasy błyszczące, ale i kulki ulegają stopieniu i znacznie tracą na wadze a w alkoholu tworzy się jakaś czarna materya, będąca śladem cząstek oderwanych od przewodników.

Za przypuszczeniem że biegun dodatni sprzyja rozwijaniu się ciepła, a ujemny światła, niemało przemawia dowodów. Dotychczas jednak wiadomo tylko z całą pewnością, że rozwijanie się światła na końcach przewodników niezawsze jest jednakowym i stosownie do okoliczności może być silniejszym niekiedy przy końcu bieguna ujemnego, a niekiedy dodatniego.

Światło elektryczne posiada własność wywoływania w niektórych ciałach fosforescencyi. Dla doświadczenia biorą zwykle kawałki wypalonych skorup ostrygi, pomieszczają je w małe rurki szklane i zatopiwszy takowe, kładą w inne, szerokie, gdzie poddają je działaniu światła elektrycznego, otrzymanego za pomocą silnej baterji. Tym sposobem przygotowane kawałki wypalonych skorup przedstawiają zjawiska fosforescencyi dość silnej.

Gdy końce przewodników, po których różnoimienne elektryczności biegną ku sobie, rozłączone są ciałem stawiającem prądowi silne zawady, to w skutku nagromadzenia się i naprężenia elektryczności nie mającej wolnego upływu, cząstki składające to ciało doznają mocnego działania, wyrażającego się tём, że rozpalają się do czerwoności i odrywają od końców przewodnika.

Że w skutku działania elektrycznego strumienia cząstki albo raczej pyłinki od końców każdego przewodnika odrywają się, łatwo możemy się przekonać następującem doświadczeniem wykonywanem w próżni. Każdy z dwóch elektrorodów zakończy się żelazną, poprzednio zważoną kulką; dla otrzymania zaś elektrycznego światła nie łączy się tych kulek z drutami, tylko się między nimi przepuszcza elektryczny strumień. Po ukończeniu doświadczenia znajdziemy, że każda z kulek straciła część swojej wagi. Lecz strata ta nie jest jednakową dla obu kulek; w ogóle kulka dodatniego bieguna traci pięć razy więcej niż ujemnego. Prócz tego ubytek cząstek od bieguna dodatniego nietylko że jest większym, ale częstokroć następuje przeniesienie się tychże na biegun ujemny. Tak np. jeżeli biegun dodatni zakończymy pałeczką grafitową, a ujemny dobrze, wypalonym węglem, i wzniesimy między nimi światło elektryczne, wtedy, w miarę jak grafit maleje, węgiel na biegunie ujemnym powiększa się, czyli w skutku przybywania cząstek narasta. Jeżeli zaś przeciwnie dodatni biegun zakończymy węglem, a ujemny grafitem, to na tym ostatnim

bardzo mało spostrzeżemy przybywających kulek, a na węglu żadnych.

Jeżeli ujemny biegun zakończymy penzelkiem wyrobionym z bardzo cienkich drucików, a dodatni czystym węglem, i wzniesimy światło elektryczne, to na końcach platynowych drucików spostrzeżemy kuleczki z materji błyszczącej, która kraje szkło i pod względem formy odpowiada dyamentowi.

Ciekawe uczyniono doświadczenia nad światłem elektrycznem, badając je przez okulary ze szkła zielonego, wtedy bowiem spostrzeżono jak cząstki różnego kształtu poruszają się w płomieniu między dwoma biegunami przewodników. Jeżeli jeden z przewodników zakończymy końcem ostrym, a drugi wgłębieniem w którém umieszczono merkuryusz, to gdy ten ostatni znajduje się przy biegunie dodatnim, doznaje działania w skutku którego podnosi się w kształcie ostrokągu; przeciwnie zaś jeżeli merkuryusz znajduje się przy ujemnym biegunie, to tworzy się na jego powierzchni wgłębienie przed ostrym końcem dodatniego przewodnika.

Nakoniec przytoczymy tu jeszcze jedno z piękniejszych doświadczeń elektrycznych. Jeżeli obydwa końce przewodników zakończone są pałeczkami koksowemi, i jeden z nich, ujemny, pogrążymy w wodzie, a drugi, dodatni, trzymać będziemy nad powierzchnią téjże, to elektryczne światło od bieguna dodatniego zagłębia się w wodę; przeciwnie zaś postępując otrzymamy skutek odwrotny, płomień bijący z wody nad jej powierzchnią.

TRZĘSIENIE ZIEMI

W OKRĘGU SEMIPALATYŃSKIM.

Roku 1857 12 grudnia (v. s.) o godzinie 2-giej po południu w różnych punktach semipalatyńskiego okręgu miało miejsce trzęsienie ziemi.

Członek cesarsko-rossyjskiego towarzystwa geograficznego, p. Abramow, podaje następujący opis tego zjawiska, oparty na zasadzie urzędowych doniesień i własnych spostrzeżeń.

Trzęsienie ziemi postępowało smugą od południow-schodu ku północo-zachodowi. Gdzie się zaczęło, tego z pewnością oznaczyć nie można, gdyż początek

jego był za rossyjską granicą, w tych okolicach cesarstwa chińskiego, z któremi Kirgizy okręgu semipalatyńskiego nie mają żadnych stosunków. Do okręgu zaś naszego, mówi p. Abramow, weszło przez jezioro Nor-Zajssan, leżące między 47° 60" i 48° 30' szerokości północnej i między 101° i 102° 50" długości wschodniej w prowincyi chobdyńskiej cesarstwa chińskiego. Na jeziorze tём było 12 grudnia tak silne trzęsienie ziemi, że gruby i mocny lód w wielu miejscach popękał przez całą swą grubość, z hukiem po-

dobnym do wystrzałów i ze szpar wydobywała się woda. Chłopi którzy właśnie wtedy łowili na niem ryby, mocno tém niezwykłym zjawiskiem przerażeni zostali.

Trzęsienie ziemi miało miejsce i dalej na południo-wschód jeziora Nor-Zajssan, i przypuszczają że zaczęło się w okręgu Urumcy (po chińsku Di-chua-dzej) w chińskiej Dżungaryi, leżącej mniej więcej pod 44° szerokości i 108° długości, dlatego iż tam w dość znacznej liczbie znajdują się wulkany.

W mieście Ajaguzie (w semipalatyńskim okręgu) nie było trzęsienia ziemi, zapewne dlatego, że pas którym ono postępowało, skierowanym będąc bardziej na wschód, ominął długość geograficzną tego miasta i jego okolic.

W mieście Kokbektach trzęsienie ziemi było, w porównaniu z innymi bardziej na północo-zachód posuniętymi punktami, daleko wcześniejsze i silniejsze, a trwało około 5 sekund.

Najprzód dał się tam słyszeć podziemny huk, a potem nastąpiło tak silne trzęsienie ziemi, że ściany domów trzeszczały, obrazy spadały ze ścian i drzwi same się otwierały. Przerażeni mieszkańcy wybiegali z domów; zresztą żadnych smutnych wypadków nie było.

Równie prawie silne trzęsienie ziemi było na arackiej pikiecie, leżącej o 123 werst na północ od miasta Ajaguzy, a o 147 1/2 na północo-zachód od miasta Semipalatyńska.

Trzęsienie ziemi w warowni buchtarmińskiej w porównaniu z kokbektyńskim było cokolwiek słabsze.

W mieście Ust'kamenogórsku trzęsienie ziemi zaczęło się o godzinie 2giej minut 40 po południu i trwało blisko 10 sekund, a na pięć sekund przed niem dał się słyszeć mocny huk podziemny. Drżenie ziemi, z początku słabe, przy końcu tak było mocne, iż ściany domów trzeszczały, a szyby w oknach trzęsły się. Tutaj także mieszkańcy ze strachu wybiegali z domów na ulice.

Na drodze między przywiedzionymi wyżej miastami i Semipalatyńskiem, w stanicach kozackich i innych rosyjskich włościach i kirgizkich aułach, dało się także czuć małe trzęsienie ziemi.

W mieście Semipalatyńsku trzęsienie ziemi rozpoczęło się o godzinie 2 minut 45 po południu podziemnym hukiem i trwało 5 sekund. Domy, meble i inne sprzęty chwiały się, naczynia w szafach dzwoniły, lampki przed świętymi bujały się. Tutaj równie jak i w wyżej wspomnianych miejscach, drżenie ziemi nie na wszystkich punktach miasta czuć się dało

i nie wszędzie było jednakowe. W dwóch nawet sąsiednich domach zdarzyło się, iż w jednym było, w drugim nie, albo że w jednym było mocniejsze, w drugim słabsze. Pod tym względem trzęsienie to podobne było do trzęsienia ziemi z 30 listopada 1731 r. w Pekinie, o którym Duhald mówi, iż tak było nierówne, że na linii którą przebiegło w niektórych miejscach sprawiło ogromne spustoszenia, a w drugich prawie wcale nie dało się uczuć; im grunt był twardszy, tém było silniejsze, im lżejszy, tém słabsze.

W czasie wyżej opisanego podziemnego działania w Semipalatyńsku, w powietrzu nie zaszła żadna ważna zmiana.

Gdzie się skończyło trzęsienie ziemi, o tém, mówi autor, nie mam wiadomości, gdyż wyszło za granice naszego okręgu; tyle tylko pewna, iż miało także miejsce i w kopalniach zmieinogórskich, w gubernii tomskiej.

W kirgizkich stepach semipalatyńskiego okręgu właściwie mówiąc nie ma wulkanów, lecz dalej na południo-wschód, z kąd właśnie szło trzęsienie ziemi, w chińskiej Dżungaryi, dotykającej na południe wielkiego, pokrytego śniegiem łańcucha Tian-szanu, takowe często dają się napotykać. W paśmie gór Tian-szanu, leżącym między 41° i 43° sz. półn., które uczeni uważają za główne siedlisko plutonicznej w tamtych okolicach działalności, zjawiska wulkaniczne dosyć są częste. Na południowej pochyłości tego pasma ku wschodowi, znany jest wulkan Ho-czeu albo Tiurpan. Według słów chińskich pisarzy z wulkanu tego wznosi się bezustannie słup dymu, świecący w ciemności jak latarnia morska. O 30 mil na zachód od Tiurpana czyli Ho-czeu, u stóp wspaniałej Bohda-oły, znajduje się wielki urumcyjski krater, na północ zaś od Tian-szanu, w bliskości Urumcy, leży przestrzeń przeszło dziesięć mil obwodu mająca, pokryta gorącym popiołem. Jakikolwiek przedmiot nań rzucony sprawia natychmiastowy wybuch płomienia i przedmiot zapala się; jeżeli zaś rzucić kamień, to z popiołu tego wydobywa się czarny dym. W zimie nawet nie bywa tam śniegu. Ptaki nie śmiały przelatywać nad tém miejscem, które krajowcy zwykle nazywają *ognistém*.

Na granicy okręgów ilijskiego i urumcyjskiego znajduje się przepaść mająca do dziesięciu mil obwodu. Miejsce to, znane pod nazwiskiem *popiołowego dołu*, otoczone jest wyziewami amoniakalnemi. Na zachód od Urumcy idzie pasmo gór, bardzo obfite w węgiel kamienny.

O 28 mil na wschód od jeziora Issik-Kula (jeziro ciepłe), które nigdy nie zamarza, zasługują na uwagę góry Peszan (Biała) i Agie (Ognista). Nazwisko pierwszej pochodzi od białego koloru jej wierzchołka, pokrytego solą, pumexem i wulkanicznym popiołem. Według słów mieszkańców Bucharyi, którzy przywożą sól ammoniakalną do Syberyi, tak wiele w okolicach góry Peszan zbierają tej soli, że często płacą nią daninę chanowi. Góra Agie czyli ognista tak się nazywa dlatego, iż z niej wybucha bezustannie dym i płomień. Powierzchnia lawy z góry tej płynącej, po zastygnięciu pokrywa się warstwą soli ammoniakalnej, której krajowcy do lekarstw używają.

Z zebranych przezemnie, mówi p. Abramow, wiadomości od mieszkańców semipalatyńskiego okręgu okazało się, iż następujące trzęsienia ziemi miały dotąd miejsce w tym okręgu: w Semipalatyńsku jedno przed 50ciami laty w zimie, od którego ziemia w wielu miejscach popękała, i drugie w 1847 roku; w Kokbektach w 1844 roku i potem jeszcze dwa razy, ale niewiadomo w których latach; nakoniec w Kopalu, w 1856 roku 31 października, w kierunku od północy na południe.

Do wiadomości o trzęsieniu ziemi w semipalatyńskim okręgu, autor sprawozdania dodaje następujący krótki rys trzęsień ziemi w zachodniej i wschodniej Syberyi.

Siedmnastego stycznia 1849 r. było trzęsienie ziemi w mieście Iszymiu w gubernii tobolskiej. O godzinie 9 minut 35 z rana dwakroć, raz po raz, dał się słyszeć głuchy, podziemny odgłos, podobny do szumu silnego wiatru; odgłos ten przeszedł w kierunku od północ-zachodu ku południo-wschodowi i skończył się jakby odległą salwą z ręcznej broni. Drżenie ziemi było tak silne, że ściany, podłogi, sufity budynków i dwóch murowanych cerkwi zachwiały się. Właśnie w tym czasie w katedralnej cerkwi, w przytomności licznie zgromadzonego ludu, odprawiała się liturgia. Gdy obecni spostrzegli, iż wielki kościelny pajak i lampy przed ołtarzem nagle zaczynają się bujać, obraz św. Mikołaja stojący na drewnianym postumencie przy lewym chórze chwieje się, świece zaś przed nim stojące przewracają się na podłogę, sklepienie cerkwi trzeszczy i rysuje się, — przerażeni, rzucili się tłumnie do drzwi, aby ucieczką ratować się przed groźącym niebezpieczeństwem. Lecz odprawiający nabożeństwo protojerej z mężną rezygnacją wstrzymuje uciekających, prosi aby pozostali w kościele, modlili się i ufali w miłosierdzie Boskie. Lud usłuchał i nabożeństwo odprawiło się bez przerwy do końca. Cerkiew zo-

stała całą, nie bez rys jednak w górnym piętrze, w środkowym łuku sklepienia, w oknach od strony północnej i w ołtarzu. Na mieście w niektórych domach pokazały się także małe uszkodzenia, w oknach szyby potłukły się, w szafach przewracały sprzęty. Konie stojące w tę porę na rynku upadały na kolana, a wozy trzęsły się. Mieszkańcy prawie wszyscy powybiegali z domów na ulicę.

Gdy się to działo w mieście, w wioskach pod miastem i nad rzeką Iszym położonych trzęsienie ziemi ledwie zostało dostrzeżone.

We wschodniej Syberyi trzęsienia ziemi bywają nader częste. W Irkucku na przykład przytrafiają się prawie corocznie, a czasem nawet kilka razy na rok.

Pierwsze trzęsienie ziemi o którym pamięć dotąd się przechowała, było tam 21 stycznia 1725 roku, najsilniejsze zaś w maju 1742 r., w skutek którego dwie murowane cerkwie znacznie uszkodzone zostały, a na większej części domów kominy się poobalały.

W roku 1768 trzęsienie ziemi miało miejsce dwa razy, najprzód 18 marca o godzinie 4tej z rana, a potem 5go sierpnia o 2giej po południu. Trzynastego października 1769 roku o godzinie 8ej rano dwakroć dał się słyszeć podziemny huk, dosyć nawet silny za drugim razem.

Dwudziestego ósmego lipca 1771 r. o godzinie 9½ podobnie był huk dwa razy się powtarzający, najprzód słaby, a potem nadzwyczaj silny. Takież podziemny odgłos dał się słyszeć wzdłuż rzek Irkuty i Angary do Bałagańska, oraz w Prorowie. Tegoż dnia, również o godzinie 11tej rano, uczyli mieszkańcy Selengińska dosyć mocne drżenie ziemi, po którym nastąpił silny huk, rozciągający się prawie aż do Kiachty.

Dla lepszego udowodnienia, jak często przytrafiają się te podziemne fenomena w Irkucku, podaje pan Abramow wykaz ich z dwunastu lat.

Z wykazu tego okazuje się, iż trzęsienia ziemi miały miejsce:

1828 r.	26 kwietnia	o godzinie 7ej rano.
t. r.	5 sierpnia	— 7ej wieczór.
t. r.	23 października	— 12 min. 17 w nocy.
1829 r.	24 stycznia	— 5 min. 40 z rana.
t. r.	27 stycznia	około godziny 5 rano.
1830 r.	28 maja	— 6 rano.
t. r.	30 października	— 9 wieczór.
1831 r.	4 lutego	o godzinie 11 wieczór.
1832 r.	31 marca	— 7 z rana.
1833 r.	12 lipca	— 1 po północy.

1834 r. nie było trzęsienia ziemi.
1835 r. 2 czerwca o godzinie 7ej min. 21 z rana.
t. r. i t. d. — — 8 wieczór.
t. r. 18 września — 2 m. 30 po połud.
t. r. 20 października około godziny 12 w nocy.
1836 r. 8 stycznia o godzinie 5 min. 52 z rana.
1837 r. 13 maja — — 11 m. 12 w nocy.
1838 r. nie było trzęsienia ziemi.
1839 r. 6 sierpnia o godzinie 8 rano.
i t. r. 27 września około godziny 5 rano.

W Kamczatce, gdzie począwszy od przyłądka oluterskiego, jest 17 zagasłych, dymiących się, lub ogień wybuchających wulkanów, w skutek trzęsienia ziemi z 23 października 1737 roku porozwalały się chaty

Kamczadalów, dzwony same dzwoniły, cerkiew chwiała się i różne zatrważające objawy nie ustawały aż do wiosny 1738 roku. Góra tołbaczyńska, która od 40 lat już się uspokoiła, sprawiła w grudniu 1738 r. dosyć silne trzęsienie ziemi w okolicy, na początku zaś 1739 r. wyrzuciła najprzód kulę ognistą, od której spaliły się lasy gór sąsiednich, a następnie zasypała ziemię na 50 mil w około popiołem. Wulkan awaczyński, oddawna dymiący, a niekiedy i ogień wyrzucający, w 1737 roku przez całą dobę buchał płomieniem, a w końcu wyrzucił chmurę popiołu. W październiku t. r. miało miejsce trzęsienie ziemi tak silne, iż poobalało domy i szałas tatarskie.

(z Czasopisma Вѣстникъ Импер. Географ. Общества.)

POLOWANIE NA TYGRYSY.

Nie wszystko okazuje się prawdą, co rozmaici podróżopisarze, a za nimi i niektórzy naturaliści, powiedzieli o odwadze, sile, a szczególnie o mniemaniej szlachetności lwa. Pominąwszy słonie i nosorożce, z którymi lew ani może próbować się, bawół nawet jest dla niego nader niebezpiecznym przeciwnikiem, i dlatego pojedynczo lwy chyba na bardzo młodego bawołu napadają, przeciw starym zaś walczą one tylko po dwa lub trzy na raz. Głód wprawdzie dodaje lwu odwagi, ale zwierzę to jest przytém tak ostrożne, że na przykład na uwiązanego u drzewa konia lub wołu nie rzuca się nigdy, domyślając się zapewne jakiejś zasadzki. W dzień lub przy świetle księżyca lew kryje się w jaskini lub w cieniu puszczy i tylko nocą wychodzi za zdobyczą, co także niebardzo pochlebnie świadczy o jego odwadze. Co do szlachetności króla zwierząt, ogranicza się ona na tém, że będąc najedzonym, nie rzuca się na drobne zwierzęta, ani na ludzi, rzeczywiście bowiem głód tylko lub pragnienie obudza jego drapieżność.

Inaczej rzecz się ma z tygrysem, i co do niego nie przesadzają bynajmniej ci, co go opisują jako najdrapieżniejsze i najchciwsze krwi i mordu ze wszystkich zwierząt ssących, do czego mu nieustępująca lwu siła niemało dopomaga. Francuzi mieli sposobność zapoznania się bliżej ze lwami w Algierji; Anglicy

w Indjach częściej mają do czynienia z tygryszami królewskimi, których parę przedstawia dołączona tu litografia. Jak Juliusz Gérard wsławił się w Afryce szczęśliwemi polowaniami na lwa, tak porucznik William Rice, z armii prezydentostwa Bombay, wypowiedział śmiertelną wojnę tygrysom i w pięciu latach a 385 dniach polowania zabił 68 tygrysów, 3 pantery i 25 niedźwiedzi. Śmiały ten Nimrod wydał w Londynie ozdobiony 12 ilustracyami opis swoich wycieczek na tygrysy, w którym spotykamy niejednego zajmujący ustęp.

Tygrysy, mówi p. Rice, najczęściej trzymają się gęstych zarośli trawy i trzciny, w bagnistych okolicach zwanych w krajowym narzeczu *dżonglami*, tam bowiem wśród dziennego upału znajdują one cień i chłód, którego potrzebują dla wypoczęcia po trudach swoich nocnych rozbójniczych wycieczek. Trudno byłoby bardzo szukać ich w tych zaroślach czyli dżonglach, gdyby inne zwierzęta, jak na przykład małpy i pawie, nie zdradzały ich pobytu. Pawie mają osobny zupełnie krzyk trwogi, który zawiadamia myśliwca że tygrys opuścił swoje legowisko. Ta czujność pawi tém się usprawiedliwia, że one bardzo często stają się pastwą młodych tygrysów, które na nich pierwszych swych sił próbują i do nich uczą się skradać powoli i cicho, jak kot do myszy. Czujność małp



wśród dnia nigdy się nie omyli w rozpoznaniu jaki rodzaj zwierza porusza się w zaroślach. Jeżeli to daniel albo dzik, siedzą one nieporuszone między gałęzmi drzew, lecz jeśli tygrys albo pantera, wydają szczególnego rodzaju krzyk, który służy za ostrzeżenie wszystkim w pobliżu znajdującym się indywiduom ich rodu. Jeśli przedzierając się przez zarośle zobaczy kto małą spokojnie siedzącą na ziemi, może być pewnym, że żadnego niebezpiecznego zwierzęcia nie ma w pobliżu.

W pierwszej mojej wyprawie w okolice miasta Dzaat, przez trzy tygodnie nie ubiłem nic prócz kilku niedźwiedzi; ale w dniu 22 kwietnia, w chwilę po zachodzie słońca, usłyszałem w bliskości mego namiotu wielką wrzawę. Młody pastuszek, wracający z trzodą do miasta, został przez tygrysa porwany. Natychmiast ze trzydziestu mieszkańców, pochwycając broń i rozmaite brzęczące naczynia domowe, udało się w pogoń za ludożercą, aby go hałasem do porzucenia zdobyczy zmusić. Już było niestety zapóźno; kiedy dosięgnięto tygrysa, już pożarł głowę, ręce i nogi nieszczęśliwego pastuszka. Straszny ten tygrys kilkakrotnie już był celem obławy, ale zawsze napróżno, we dnie bowiem miał nieprzystępne schronienie w zarzuconych oddawna w pobliżu miasta kopalniach rudy żelaznej. Postanowiłem sobie nie zapomnieć o nim.

Nazajutrz we wsi Dauletpur dowiedziałem się o innym tygrysie, który już kilka wołów porwał. Zgromadziliśmy natychmiast około 30 naganiaczy i udaliśmy się ku wskazanemu miejscu, którego widok wzbudził we mnie najżywsze nadzieje. Był to piękny, obfity w wodę parów, pełen wierzbiny i innych drzew lubiących mokry grunt, pomiędzy dwiema ścianami skalistemi, z licznymi jaskiniami. Obrałem sobie stanowisko na skale, w jednym końcu wąwozu, gdy tymczasem obława, ściśnionym szeregiem, z hukiem i krzykiem, przypuściła atak w drugim końcu. Po chwili ukazała się piękna tygrysica której, gdy zaledwie wysunęła się z zarośli, pierwszym strzałem zadałem tak ciężką ranę, iż padła rycząc przeraźliwie; druga kula strzaskała jej czaszkę, z wielką pociechą dla posiadaczów trzód. Pyszna jej skóra tego samego wieczora było już w moim namiocie.

W czerwcu rozpocząłem na nowo wyprawę przeciw drapieżnym mieszkańcom lasów, w towarzystwie jednego z moich przyjaciół, porucznika Little. Udaliśmy się najprzód do Dzaat, i zaraz pierwszego dnia ubiliśmy dużego niedźwiedzia. Nazajutrz, kiedy właśnie wybieraliśmy się na łowy, doniesiono nam że

straszny tygrys porwał nieszczęśliwą kobietę, która ścinała trawę. Tygrys ten odbył na nią polowanie, jak na daniela. Cicho i zwolna przyczołgał się ku niej, potem jednym skokiem dopadłszy, pochwyił ją jak kot myszkę i uciekł. Ludzie którzy to zdaleka postrzegli, usiłowali głośnym krzykiem zmusić go do porzucenia zdobyczy, ale nadaremnie. Smutny ten wypadek sprawił wielkie wrażenie między miejscową ludnością; mnóstwo mieszczan i wieśniaków ofiarowało się towarzyszyć nam w ściganiu tego żarłocznego potworu. Po większej części byli oni dobrze uzbrojeni i przytém, jak zwykle w podobnych przypadkach, zaopatrzyli się w bębny i inne hałaśliwe narzędzia. Nie trudno nam było rozpoznać ślad ludożercy, bo zarośla przez które niósł, a raczej włókł, swoją ofiarę, tu i owdzie przedstawiały plamy krwi, kawałki odzieży i t.p. Wszyscy moi towarzysze, przejęci byli przerażeniem i gniewem. Postępowaliśmy zwolna, bo wysoka trawa i gęste zarośle czyniły to miejsce niebezpiecznym. Nakoniec po dwóch godzinach drogi znaleźliśmy zwłoki nieszczęśliwej kobiety, przy wejściu do galeryi dawniej kopalni żelaza. Śmierć jej, jak się zdaje, była natychmiastowa, bo czaszka została zgruchotaną potężnymi szczękami tygrysa. Niektórzy z naszych towarzyszy radzili udusić tygrysa dymem w jego legowisku; ale ponieważ podobne usiłowania kilkakrotnie już poprzednio bez skutku były przedsiębrane, większość zatem radziła przestać na odniesieniu do miasta zwłok nieszczęśliwej ofiary, odkładając na inny raz zemstę nad jej mordercą.

W kilka dni potem, kiedy nasze wielbłądy i konie porannym pochodzie wypoczywały, ja z moim towarzyszem i trzema krajowcami, którzy najeli się dla pomagania nam w wyszukiwaniu tropu tygrysów, zapuściliśmy się w las wierzbowy. Uszedłszy zaledwie ćwierć milki, postrzegłem o kilkanaście kroków przed sobą dużą tygrysicę, spoczywającą pod drzewem rozłożystym. Znużona upałem, niedbale zwróciła ku nam głowę; Little postrzegł ją w tej chwili. Miałem czas wziąć ją dobrze na cel i wpakować jej kulę w czaszkę; dwa strzały Littlego zabłysły prawie jednocześnie z moim i zgruchotały szczękę zwierza, które padło nieżywe, nie wydawszy nawet jęku. Na widok tygrysicy, nasi trzej przewodnicy z komicznym pośpiechem wdrapali się na pobliskie drzewa i nie chcieli zejść, nie wierząc w rzeczywistość tak prędkiego zwycięstwa. Aby ich przekonać, musieliśmy, uchwyciwszy trupa za łapy i ogon, wyciągnąć go z zarośla. Kiedyśmy zdobycz do wsi przynieśli, mieszkańcy

dziwili się niezmiernie że we dwóch, mając tylko po jednej dubeltówce, mogliśmy tak ogromne zwierzę atakować i ubić.

Rzeczywiście niezawsze tak nam się pomyślnie wiodło. W bliskości twierdzy Rutgenhur postrzeliliśmy ogromnego starego tygrysa, ale tak lekko, że zerwał się i znikł w zaroślach; ślady krwi dozwoliły nam ścigać za nim kilkaset kroków, ale nakoniec i te przestały być wyraźnymi. Nieco dalej spotkaliśmy pasterza kóz, który nas zapewnił, że nie widział przechodzącego tygrysa; spokojność z jaką się pasła jego trzoda, potwierdzała prawdę słów jego. Zawróciliśmy się przeto; ale po chwili jeden z towarzyszących nam krajowców niemym znakiem wskazał nam wejście do jaskini, schronienia tygrysa. Nasi przewodnicy usunęli się tył, tak daleko, jak tego bezpieczeństwa wymagało, a my przyklękaliśmy na wysokich skałach, o kilkanaście kroków od jaskini, położywszy obok siebie zapasowe strzelby. Ponieważ widzieliśmy tylko oczy tygrysa, które w otworze jaskini jak dwa rozżarzone węgle błyszcząły, uradziliśmy przeto że na komendę wystrzelimy razem. Gdy się rozszedł dym naszych strzałów, postrześliśmy biały brzuch naszego nieprzyjaciela, leżącego bez ruchu na grzbiecie; przystąpiliśmy bliżej i postrześliśmy nad oczami dwie rany, z których krew strumieniami płynęła. Wtém jedna łapa tygrysa poruszyła się, i ja, aby być pewniejszym jego śmierci, chciałem jeszcze raz strzelić; ale Little sądził że nie należy dziurawić bezpotrzebnie pięknej skóry, a przynajmniej radził mi strzelić w czaszkę tygrysa, w miejscu gdzie zwykle obrzytna się skóra nożem przy zdzieraniu jej ze zwierzęcia. Tak też uczyniłem; ale ten strzał obudził widać tygrysa z odurzenia. Straszne zwierzę zerwało się, wydało przerażający ryk i podniosło się na tylnych łapach, jakby gotowe rzucić się na nas. Nie zapierałem się że w tej chwili przejęła mnie straszna trwoga. Little z nadwyzajną zręcznością skoczył na blizki wyskok skały, gotując się do wystrzelenia ostatniego ładunku; ja rzuciłem broń już nieużyteczną i skoczyłem między przewodników, którzy już także zgromadzili się przy otworze jaskini. W ucieczce jeden z nich obalił mnie na ziemię, a wszyscy, nie oglądając się, biegli ku najbliższym drzewom, na które wdrapywali się jak małpy. Na szczęście tygrys nie miał odwagi albo siły wyjść z jaskini; ja tymczasem, podniosłszy się i pochwyciwszy strzelbę upuszczoną przez jednego z przewodników, wdrapałem się podobnie jak oni na jedno z drzew i ztamtąd posłałem tygrysowi, który straszliwie ryczał i konwulsyjnie się

rzucał, dwanaście kul, które go nareszcie rozciągnęły bez ruchu. Po jakimś czasie, nabawiwszy jeszcze raz broń, zbliżyłem się ku jaskini; Little to samo uczynił. Tym razem tygrys już był rzeczywiście nieżywy, ale skóra jego była bardzo podziurawiona. Ten przypadek, który mógł mieć najsmutniejsze skutki, stał się dla nas nauką, że gdzie idzie o pewność czy tygrys istotnie jest zabity, nie należy uważać na to, czy jego skóra mniej lub więcej będzie podziurawiona.

Innym razem doniesiono nam o wytropieniu w jednym wąwozie pary tygrysów. Samica zraniona uszła rąk naszych, zabiliśmy tylko samca, który był przeszło sześć stóp długi. Jego gęsta sierć i długa broda, nadawały mu szczególnie przestraszającą postać.

Zgromadziwszy dostateczną liczbę naganiaczy, przedsięwzięliśmy ścigać zranioną tygrysię. W podobnych razach zachowywaliśmy zwykle następujący porządek. Przodem postępował przywódzca obławy, który pilnie uważając każdy ślad stóp lub kroplę krwi uciekającego zwierzęcia, niemymi znakami wskazywał nam kierunek którym postępować mieliśmy. My szliśmy w niejaki odległości za nim, to w prawo, to w lewo, według jego znaków, gotowi ciągle dać ognia z karabinów. Za nami szli najzręczniejsi i najodważniejsi z naszych ludzi, niosąc zapasowe strzelby, a za nimi orkiestra, złożona z kilku tamborinów, wielkiego bębna, rogów, piszczałek i dwóch starych pistoletów, z których nieustannie strzelano. Zakończyli oddział ludzie uzbrojeni pałaszami i dzidami, których błyszczące ostrza, wznoszące się nad najwyższą trawę, służyły nam jakby za chorągiew. Idący na samym ostatku rzucali ponad głowami naszymi grad kamieni, które padając na kilkanaście kroków przed nami w zarośla, często skuteczniej niż hałas muzyki przykładały się do wystraszenia tygrysa z gęstwiny gdzie się ukrywał. Niema przykładu żeby najbardziej nawet rozjuszony tygrys odważnie stawiał czoło tak postępującej hałaśliwej gromadzie ludzi; niekiedy wprawdzie zatrzymuje się on, jakby chciał się bronić, lecz jeśli tylko może, cofa się po chwili. Najkorzystniej jest strzelać w chwili takiego zatrzymania się tygrysa. Niemałą także jest trudnością utrzymać obławę złożoną z krajowców w ściśnionej gromadzie, bo za najmniejszym pozorem niebezpieczeństwa gotowi są rozproszyć się na wszystkie strony.

Dopiero o kilkaset kroków od legowiska znaleźliśmy naszą tygrysię w innym zarośnięciu. Postrzeższy ją, strzeliliśmy do niej; ale ukryła się znowu tak szybko, że nie dała nam czasu do drugiego strzału.

Słyszeliśmy trzask łamiących się pod jej nogami trzciny, lecz nie mogliśmy jej widzieć, tak gęste było zarośle. Nagle zwróciła się ku nam z okropnym rykiem. Ten niespodziany zwrot sprawił wielki popłoch między naszymi ludźmi, którzy uciekając obalali jeden drugiego. Po przywróceniu jako tako porządku, postąpiliśmy śmiało naprzód, i znaleźliśmy się wkrótce oko w oko ze strasznym zwierzęciem, które wycieńczone wpływem krwi, nie mogło postąpić dalej. Kilka kul z naszych karabinów powaliło je bez życia. Przy zdjęciu skóry z dwóch ubitych tygrysów przekonaliśmy się jak wielką jest żarłoczność tych zwierząt. Samiec dniem piérwój pochwyił małego wielbłąda i sam go pożarł, nie dawszy ani skosztować samicy tego przysmaku, żołądek jej bowiem znaleźliśmy zupełnie pustym.

Tygrysy, ale tylko samce, i to silne, porywają się niekiedy na najgroźniejszego swego nieprzyjaciela, to jest bawołu, który odznacza się niepospolitą siłą i odwagą. Pojedynczy bawół nierzadko ulegnie w walce z tygrysem, ale jeśli należy do licznej trzody, towarzysze spieszą mu zaraz w pomoc, a przed ich strasznymi rogami najtęższy nawet tygrys szybką tylko ucieczką ocalić się może. Dlatego pasterze indyjscy, którzy zwykle siedząc na grzbiecie bawołu całą trzodę prowadzą, nie boją się wcale zapuścić się w zarośle zamieszkane przez tygrysy. Widziałem raz jak bawoły, zwabione wonią krwi zranionego przezemnie tygrysa, zapuściły się w zarośla, ryjąc z wściekłością ziemię swemi potężnymi rogami. Samica bawołu jest lękliwa, słabsza niż samiec i nie umie się bronić, dlatego często staje się ofiarą tygrysa, który na nią chętnie poluje. Skrada on się pocichu, pełzając jak kot, i dopiero gdy się dostatecznie zbliży, jednym skokiem rzuca się na swoją zdobycz, potężnym uderze-

niem strasnej łapy obala ją na ziemię, jednim cięciem ogromnych kłów rozdziera jej gardło i z rozkoszą poi się krwią obficie upływającą. Gdy zwierzę skonało, tygrys oddala się w bezpieczne miejsce i dopiero późno wieczorem wraca, aby pozrzeć swą zdobycz. Sierć, skórę, wnętrzności, wszystko bez różnicy połyka żarłoczny potwór, wydając przy tej strasnej biesiadzie radosne ryki. Przez trzy dni potem tygrys nie szuka nowej zdobyczy, poprzestając na popijaniu parę razy na dzień z jakiejś poblizkiej kałuży.

Skoro tylko tygrys zagryzie bawołu albo inne wielkie zwierzę, którego na raz pozrzeć nie jest w stanie, natychmiast na poblizkich drzewach zbierają się liczne sępy. Bystrość ich wzroku i węchu jest zadziwiająca. Szakale zgromadzają się także, i gdy tygrys, nasyciwszy swoją żarłoczność, oddali się, skrzydlaci i czworonożni drapieżcy rozpoczynają zaciętą walkę o resztki pańskiej biesiady. Najczęściej sępy zmuszone bywają ustąpić szakalom, lecz jeśli te ostatnie, mniej liczne lub niegłodne, oddalą się dobrowolnie, sępy tak dobrze umieją zabrać się do roboty, że nie zostawiają na kościach ani śladu mięsa.

Indyanie często dla pomszczenia straty bydłęcia, które tygrys porwał z ich trzody, upatrywszy chwilę gdy straszny rabuś, nasycony krwią ofiary, oddali się do swojej kryjówki, zatruwają mięso zagryzonego zwierzęcia znanymi sobie sokami pewnych roślin. Skoro tygrys wróci do biesiady i otruje się, rzucają jego zwłoki na otwarte miejsce, w bliskości zwykłych pastwisk, przez co odstrasza innych. Polują oni niekiedy na tygrysa z bronią palną, ale ich strzelby są zbyt małego kalibru, a proch złego gatunku, i rzadko kiedy uda im się położyć trupem dużego tygrysa.

WSPOMNIENIE TATRÓW,

Z NOTAT PODRÓŻNYCH

OSKARA FLATT.

(Dokończenie.)

W Czorszynie czekał już na mnie niecierpliwie mój towarzysz. Pożegnałem p. Dr. i węgierskim po-brzeżem ręczo puściliśmy się wzdłuż Dunajca. Czor-

sztyn szybko znikł nam z oczu, ale Nidzica długo białała na zielonawo-szarawym tle. Zatrzymaliśmy się na ziemi spiskiej w dolinie ś. Antoniego, we wsi Le-

śnicy. Wstąpiliśmy do głośnego w tych stronach Czerwonego klasztoru, fundacyi mistrza Kokoss w XIV wieku, do którego wiara ludowa, wbrew chronologii, wiąże podania o świętej Kindze i Salomei. W kościółku, gdzie dziś raz tylko do roku, na ś. Antoniego padewskiego, węgierscy księża nabożeństwo odprawiają, godzien widzenia szacowny obraz wieczery pańskiej. Czerwony klasztor należy do uposażenia biskupa z Lewoczan, i w okolicy jego znajdują się dość zwidzane wody mineralne. Dolina ś. Antoniego jest jedném z najromantyczniejszych miejsc wybrzeżów Dunajca.

Tu wsiedliśmy na zbite razem dwie maleńkie łodzie i pod sterem pocziwych, ciekawych, rozmownych dwóch rybaków czorsztyńskich, puściliśmy się ochotczo prądem wartkich wód Dunajca, z gniewną pianą i szumem torujących sobie drogę przez skaliste kolosy Pionin. Sama ta wycieczka, sam widok Pionin już jest hojną nagrodą podróży, choćby umyślnie w tym celu z Warszawy podjętej. Trzechgodzinna przejażdżka Pioninami do Szczawnicy jest najżywszém dla gości szczawnickich urozmaiceniem, którego szczerze wszystkie zagraniczne wody pozazdrościć mogą. Dla urozmaicenia mojej wycieczki, podobało się losowi nadać jej najpoetyczniejszy koloryt. Zaledwie wpłynęliśmy w rokoszną rozpadlinę skał, mamiącą zmysły najfantastyczniejszymi widziadły, gdy nagle zachmurzyło się niebo, błyskawice rozdarły łono obłoków i jakby z rozwartej czeluści morskiej ulewny deszcz zaszumiał nad nami. Do pysznego koncertu natury zahuczały wtorujące gromy, rozbijając się błędném echem o ostre skał załomy, a każdy piorun bił jakby 101 krotną salwę na nasze powitanie. W jednej chwili wezbrały wody Dunajca i zmały się czyste, zielone jego fale. Z szumem, pianą i łoskotem porwał leciuchno nasze łodzie i niósł je na falach, jakby igrając z dzieckiem w rozbujanój kołysce. Chyba Salvator Rosa zdołałby na płótnie uwiecznić obraz tych wielkich turniejów natury. Rozeprzyjcie z dziesięć razy koryto Prądnika, na skałach Ojcowa drugi napiętrzenie Ojców, piękną, prościuchną dolinę Prądnika w tysiące połamcie zygzaków i każdemu dajcie nowy wdzięk i charakter — to wam lepiej niż słowa cudne uprzytomni Pioniny.....

Dunajec, to niby dziewczyna-zalotnica, co każdą skałę-kochanka chce wypieścić, wycalować... więc wije się kręto, żadnego nie mija... A jaka kapryśna! istne dziewczę młode, ufne w swą piękność, zepsute hołdami: to lekko nuci miłosny śpiew, to w smętnej tonie zadumie, to z marzącą rokoszą roztoczy przed tobą

gładkie ramiona, to znów zrywa się niecierpliwa, dąsa i szczebiocze, gdy jaka twardsza skała milcząc murem stanie i niezmiękczone namiętym jej pocałunkiem nie usunie się, ale płochą zalotnicę zmusi okrzykiem się z pokorą. Ha, trzeba widzieć ten gniew kapryśnicy!... A w dziwne to kształty natura zakłęła jej kochanków! Jeden to niby ołtarz, drugi korona, świątynią jest inny, a najdorodniejszy już kolos Sokolicy, rozsiadły na granicy czorsztyńskiego i szczawnickiego państwa. Sokolica ukazała nam się w aureoli tęczy i odsłoniła nam po za sobą złotą gwiazdę dzienną, ku zachodowi schyloną. Uroczysta to była chwila: odkryliśmy głowy, i drżąc z zachwytu rokoszy, dziękczynnie modliłem się Bogu. Po takim widoku, co mi może przedstawić Szwajcarya lub Włochy? pytałem siebie. I w istocie, jedna chyba burza na Urner-See, na jeziorze Cztérech Kantonów, przypomniała mi kiedyś później ten cudny wieczór w podtatrzańskim zaciszu... Dziwnie błogie uczucie budził we mnie ten widok cichej pogody rozjaśniającego się nieba: serce żywą biło tęsknotą, myśl biegła lotem w ideału sfery. Silnie ścisnąłem dłoń towarzysza, a usta mimo wiedzy szeptały:

Miłość kobiety! O ja z darów nieba
Niechaj ten jeden dla siebie uproszę.....
Ja będę wielki, cnotliwy i święty
Samolubnego zrzeknę się starania
O własne szczęście i własne rokosze;
I znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,
I wiele złego bez szemrania zniosę.
Pobłogosławię tym co klnąć mi będą,
Uścisknę rękę która cios mi zada,
Otrę łzę każdą, lub z każdym zapłacę,
Kto innój nad to nie chce mieć pociechy.
Wesprę, ukocham oświecę, przebaczę,
Zapomnę siebie, lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobiéta pamięta.

Wróciliśmy do Szczawnicy; ale policzone już były chwile mego pobytu. Pożegnałem licznie zebranych tu moich ziomków i wyjechałem w towarzystwie Karola Z. W Kościenku rozstaliśmy się i on podążył do Sącza, ja przez Czorsztyń, piękną wieś górską Maniowę, około wsi węgierskiej Frydman ¹⁾ do Harkłowy.

¹⁾ Widok rozległej i zamożnej wsi Frydman, znajdującą czytelnicę także w albumie szczawnickim p. Szalaya.

Przypominacie sobie Harklowę? Jam się nasłuchał o niej tak często i tak wiele w pogadankach Tripplina, żem z żywą niecierpliwością poglądał na migający w oddali szczyt skromnej kościelnej wieżyczki. I wy pewno przypomniacie sobie Harklowę, która jest główną widownią wspomnień dr. Tr. z przejażdżek po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów. Zwidziałem najprzód kościołek wiejski, ubogi ale starożytny. Przykro rażą oko upiększenia nowoczesnych dobroczyńców i z duszy żałować przychodzi, że światlejszy sąd czy lepsza rada nie kieruje dobrymi chęciami ofiarodawców. Dwa obrazy religijne, w zbyt wiernym zapatrzeniu się na naturę wymalowane, grzeszą przeciw najelementarniejszym wyobrażeniom sztuki. Wielki ołtarz, ozdobiony snycerskimi robotami niepośledniego wykończenia, ma istotną wartość i ze wszechmiar na odnowienie zasługuje. Dawny obraz wielkiego ołtarza bardzo zniszczony, ale za to umieszczony w górze mniejszy wizerunek Nawidzenia N. P. Maryi szacownego jest penzla. Proboszcz miejscowy, młody, skromny, cichy, dla dobra swoich owieczek poświęcony kapłan, przed laty jeszcze w czarnej doli zbliżył się z zacnym tutejszym dziedzicem i odtąd wspólną idą drogą miłości i pracy. Z księdzem proboszczem wybraliśmy się do dworu.

Z uczuciem głębokiego szacunku wszedłem w te patryarchalne progi, będące przystanią dla wszystkich ziomków pielgrzymujących w nasze Tatry. Harkłowa jest niby jakąś stacyjną kapliczką na tej drodze, gdzie każdy pielgrzym pokrzepia ducha widokiem obywatelskich cnót i rodzinnego szczęścia. Wszedłszy w komnaty harkłowskiego dworu, rośnie ci serce lubym wspomnieniem minionych lat. Tu stosowniej niż gdziebądź indziej zawołać można: „Wszystko tak jak było!” Dom to jest Boży, gdzie urządzona rodzina wedle ojców naszych praw. Gościnność pradziada strzeże tych progów, które czynem wyznają prawdę: „Gość w dom, Bóg w dom.” Ojciec rodziny jest typem gasnących coraz bardziej starodawnych naszych cnót, a żona i grono dorosłych dzieci tworzą w okół niego dziwnie piękną grupę, opartą na szacunku i harmonii, a związaną w miłości.

Do was, do was wołam, ziomkowie moi, bracia po sercu i myśli! Czy te kilka obrazków z wielkiej galerii wspólnej naszej rodziny nie obudzą ducha do wzajemnego poznania się, zbliżenia, do wędrówki po kraju, który po tak ognistej próbie nieszczęść, na takie jeszcze zdobywa się typy? Spieszcie, póki czas jeszcze! ojcowskie błogosławieństwo patryarchalnego starca, uściśnienie dłoni zacnego rodaka, to skarby

po które daleko wyprawiać się warto, bo one często świętym, poczciwym tchem całe życie namaszcza, a we wspólnej miłości zawsze utwierdza.

Nic wam nie powiem o Łopusznej Tettmayerów, bom ją w głębokiej minął zadumie i ocknąłem się dopiero, gdy mi mój woźnica ukazał wyraźnie już odkreśloną na niebie kopułę kościoła w Nowym Targu. A więc to już kres nowotarskiej doliny, która od Szczawnicy tak świetną roztaczała przedemną panoramę!

— To Tatry! krzyknął żwawo góral, ukazując biczyskiem, jakby w odpowiedź na monolog mojej myśli.

Nie zapomnę nigdy widoku jaki mnie wtedy olśnił. Za mną zieleniejąca, kwietna, bujna, uśmiechnięta pełnią życia dolina, niby rajski kobierzec, wysadzony takimi perłami jak Szczawnica, Maniowa, Harkłowa, Łopuszna, grupującemi się w koło dwóch naczelných klejnotów: Czorstyna i Pionin... Przedemną w głębi zamyka świat łańcuchem roztoczony, olbrzymi, szary kolos, nagie, siwizną śniegu przypruszone czoło prosto w samo dźwigający niebo. Czy to olbrzymi mur, dzielący dwa światy, czy napiętrzona przez Tytanów barykada, po której do nieba zbuntowane wędrzeć się mają anioły? Nie, to dwa światy różnego piękna wydały sobie bój: kwietna równina i górskie cuda starły się tu pierśią w pierś i na rozdrożu swoich państw graniczny wysypały kopiec.

W kilku słowach streszczę wam geograficzną stronę tego obrazu. Tatry, nie wiążąc się z żadnym obrazem ościennych gór, samotnym sterczą kolo-sem na przestrzeni około 8 mil wzdłuż, a 3 do 5 wszere. Ogólna podniosłość masy górskiej dochodzi 6,500 stóp, i na tej dopiero wyniosłości piętrzą się szczyty, około 1500 stóp wysokie. Samotny kolos Tatrów ograniczają dokoła cztery podniosłe doliny: nowotarska na północy, liptowska na południu, orawska na zachodzie, a spiska na południu i wschodzie. Dwie Magury stanowią południowy granicznik górskiego świata, do którego dwa wiodą gościńce, jeden od Beskidu przez wyłom Dunajca pod Sączem, drugi od Fatry przez wyłom Wagi. Ja zbliżałem się ku Tatrom pierwszą z tych dwóch dróg.

Nowy Targ jest kluczem do zaczarowanego pałacu tatrzańskich dziwów. Piękną swoją pozycją w wodnej, zieleniejącej równinie, z bogatym plonem pól, przypomina sandomierskie okolice. Drewniane to, ale rozległe miasteczko, liczące do 5 tysięcy mieszkańców, jest siedliskiem biura okręgowego (Bezirkamt). Ludność składają sami górale, lud piękny, sprytny, szlachetnych rysów i czystej mowy. Oprócz

rolniczej swojej działalności, ma Nowy Targ i ważne w Galicyi handlowe stanowisko. U podnóża Karpat sama rola nie wyżywi wszystkich mieszkańców. Potrzeba stworzyła tu przemysł i utorowała drogę dla handlu. W zakopańskim państwie istnieją najznakomitsze prawie na całą Galicyę fabryki żelazne. Z gór północnych Węgier wydobywają corocznie do półtora miliona centnarów żelaza, które dobrocią styryjskiemu się równa. Otóż Nowy Targ jest głównym ekspedycyjnym punktem, z którego zakopańskie żelazo rozchodzi się do Morawii i Pruss. Ten ruch tranzytowy niemało ożywia miasto, które i z handlu winem dość znaczne ciągnie korzyści.

Szeroki też rozgłos mają rzeźbiarskie i grawirowane roboty domorosłych tutejszych i sąsiednich artystów-górali; do takich należą Czeszacz i Ligeza z Waksmundy, Kułach ze wsi Bańskie, a Romuald Łapiński w samym mieście celuje wyrobem wytwornych siekierok góralskich, zwanych w technicznym języku górali *watażki* lub *ciupagi*.

Dwa są w Nowym Targu kościoły: modrzewiowy świętej Anny, zbójeckiej podobno fundacji, w pierwszych latach XIII wieku, walczący o miano najstarszego chrześcijańskiego kościoła w Galicyi; dzwignięty z upadku, dobrze się jeszcze trzyma. Drugi parafialny, mający w wielkim ołtarzu dobry obraz ś. Katarzyny, której herbu miasto niegdyś używało, w głębi zaś piękny wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela. Z siedmiu ołtarzy, jakie tu krawcy, kuśnierze, kowale, szewcy, rzeźnicy, tkacze i piekarze posiadają, godniejsze tylko są uwagi obrazy: ś. Jana Kantego i snycerskiej roboty wizerunek ś. Antoniego. Inne pretensjonalne bohomy są tegoż samego fatalnego penzla, który harkłowski oszpecił już kościołek, a rozpaczliwy napis nowotarskiego mistrza: „Thomas Nanke pinxit” z taką umieszczony jest wszędzie dokładnością, jakby tu szło o Rubensa lub Tycyana.

I w tym nawet cichym, ustronnym Nowym Targu spędziłem prawdziwie przyjemne chwile, które zawdzięczam życzliwemu pośrednictwu zacnego J. Kremera. Poznałem tu Ludwika Kamińskiego, niegdyś szczerego na literackim polu pracownika, dziś po srogich burzach, jakie przed 12 laty całe jego mienie uniosły, oddanego zawodowi handlowemu. Pani Kamińska jest córką dziedzica Harkłowy, a ta myśl jeszcze mnie więcej do ich domu zbliżyła. Owocem kilkoletniej pracy i mozolnych niegdyś poszukiwań Kamińskiego, była *Kronika Nowego Targu*, arcyważna dla całej nowotarskiej doliny i dla górskiego ludu.

Rękopis ten, przez pośrednictwo zaszczytnie w piśmiennictwie znanych mężów, był przed kilką już laty przesłany do Warszawy, dotąd wszakże ogłoszony nie został. Gdy dochód z tego dzieła przeznaczony jest na kościół ś. Katarzyny w Krakowie, i gdy manuskrypt, którym posiłkował się Kamiński przy układzie swojej pracy, zaginął w czasie zaburzeń 1846 r., uważałem sobie za obowiązek podnieść w tej mierze głos za pośrednictwem Biblioteki Warszawskiej, ale o skutku nie słyszałem. A dług ten w interesie nauki leży mi na sercu.

W każdym razie braciom rodakom, zamierzającym puścić się w tatrzański świat, nie mogę lepszemu udzielić rady, jak pokrzepić ducha w Nowym Targu doświadczeniem pana Ludwika.

Pod samym Nowym Targiem dwa górskie potoki, Biały i Czarny Dunajec, zlewają swe wody w jedno koryto, by już odtąd zielonym nurtem popłynąć aż za Tarnów, i pod Opatowcem wiślaną wodę się napić.

Dunajec przerywa Galicyę od południa ku północy na przestrzeni 34 mil; od Nowego Targu zaczyna być spławnym, a drzewo opałowe i budulec, oraz towary węgierskie, Popradem do Sącza nadchodząc, są głównym przedmiotem handlu.

*

Deszcz leje ulewny, zda się cała natura płacze nademną, że tak lekko rzucam zielone niwy nowotarskiej doliny i biegnę w nieznaną dal ciemnych, twardych, niegościnnych skał. Ale silna jest tajemniczość ponęta! Dziwneż to muszą być skarby w tych górach zakłete, kiedy je tak olbrzymie strzegą kolosy! Dla młodej myśli ten bodziec wystarcza na chęć do walki.

Za sobą zostawiam wody Dunajca.

W Szaflarach dopięro znalazłem chwilową przystań wśród ulewnego deszczu. Piękna to, rozległa osada, znana z obfitych zapasów węgierskiego wina. Ztąd puściłem się do Poronina, i ciągle już gościniec mój piał się w górę i w górę; coraz bardziej stromą, skalistą stawała się droga, coraz dzikszą okolica. Kamienistym wreszcie parowem, trudną i męczącą drogą wjechałem w amfiteatralnie podniesioną kotlinę, pełną ruchu i życia: to Zakopane. Jestto ognisko fabrycznego ruchu tatrzańskiego Podgórze, stolica obszernego państwa, które jakby narodził Galicyi klinem tatrzańskich szczytów wbiło się w węgierskie granice; wreszcie jest to klucz Tatrów, punkt środkowy, z którego wszystkie najcelniejsze wycieczki w kilkumilowem rozpromienieniu najłatwiej i najdostępniej każdy podróżny odbywać może. Pan na Zakopanem,

nielada to Kuropatwa ¹⁾, pańska to fortuna, choć i jej dziś indemnizacja niemało piór wyrwała. Na całą Galicyą najslawniejsze są tu fryszerki, huty, walcownie żelaza i kopalnie rudy. Pierwsze otwarcie kopalni datuje z r. 1807, ale dopiero w r. 1843 dziedic, p. Homulacs, urządził fryszerki, huty i walcownią. Główną drogę odbytu dla tutejszej produkcji otwiera Galicya i Kraków, zdarzają się przecież i z Polski dość liczne obstalunki. Zakłady górnicze w Zakopanem dają zarobek i zatrudnienie znacznej ludności górskiej, zapobiegając objawom niedostatku, któreby bez tej pomocy nie do jednej chaty tatrzańskiego Podhala w ciężkie dni długiej zimy zajrzały. Syn dziediczki, młody Homulacs, jest wychowancem szkoły górniczej w Freibergu i wkrótce sam kierunek tych zakładów obejmie. Obecnie zarządcą hut i kopalń jest młody, pełen zdolności Krakowianin, Seweryn Chryścieński, z którym wkrótce, dzięki rekomendacyi Konrada, szczerzej życzliwości związały mnie stosunki. Ale też jest to jedyny Polak w całej administracyi dóbr i kopalń zakopańskich; wszyscy inni technicy, kassyer, nadleśny i t. d. sami Niemcy.

Osada fabryczna ciągnie się wąwozem w dwa równoległe szeregi, dość stromo pod górę aż do stóp dworu. Z trzech stron zapierają głęboko ten jar napiętrzone masy skał, gęstym zarosłe lasem, i odległa w głębi panorama bieli śnieżnymi szczyty. Dziwnie to samotne i odludne zacisze, jakby na przekór naturze roznoszące łoskot młotów w głębokie górskie szczeliny. Powietrze pełne tu zdrowia, świeżości i aromatu, choć dosyć chłodne nawet w lipcu, wieczorami zwłaszcza, boć dwór zakopański i zakłady górnicze wyniesione są nad poziom Bałtyku 3400 stóp. Wegetacya dość tu jeszcze bujna, ale tylko na owsy i świerki; najusilniejsze starania i koszta, celem utworzenia ogrodu przed dworem, rozbiły się o przeszkodę klimatu; a przecież w Harkłowy piękne jeszcze znalazłem róże i gwoździki. Na sztucznym więc tylko pokładzie ziemi, na skalistej podwalinie urządzony jest przed dworem wirydarz z wodotryskiem, w piękne zdobny klomby, z samą tylko zieleni. Trzy pomniki żelazne wpadają tu w oko: jeden przez ś. p. pana Homulacs na chwałę Bożą wotowany, dwa drugie powstałe z wyższej woli, jako widome pamiątki pobytu w tém miejscu arcyksiążąt Franciszka Karola i Karola Ludwika. Popiersie na ostatnim z tych pomników umieszczone, a odznaczają się mające szcze-

¹⁾ *Kuropatwą* nazywają mieszkańcy galicyjskich nizin obywateli wiosek górskich.

gólném podobieństwem, wyszło z pod dłuta wspomnianego wyżej rzeźbiarza-rolnika, nazwiskiem Kułach, pochodzącego ze wsi Bańskie pod Nowym Targiem.

Dziedziczka zakopańskich dóbr, przyjaciółka Goszczyńskiego i Pola, kiedyś róza karpacka, dziś królowa Tatrów, mieszka w Zakopanem z synem i dwiema córkami. W gościnnych jej progach znalazłem urok najmilszego urozmaicenia. Córka karpackiej róży jest istnie eterem duchowości, ożywiający tę ustron górską, tyle tam wykształcenia, a tyle kobiecości, tyle serca razem. Z prawdziwą korzyścią zwiędziła celniejsze stolice Europy, a dziś być godną córą Tatrów, to najwyższa jej duma; kto Polskę i jej góry kocha, ma prawo do jej sympatyj. Z Zakopanego odbywałem moje górskie pielgrzymki i cztery dni tu bawiłem. Po całodziennych wycieczkach, z upojonem sercem i rozmarzoną wracając wyobraźnią, znajdowałem zawsze w zakopańskim dworze współzucie dla swoich wrażeń i żywą miłość piękna ojczystych stron. Trzy niezapomniane wieczory spędziłem w tém towarzystwie. Gdy nieprzystępny dla mnie preferans zatrudni zielone stoliki, my wtedy otwieramy okno w cudną noc lipcową, bujamy okiem po tatrzańskich turniach, przypominamy Pola, Warszawę myślą zaczepimy, a piękne te marzenia, jak przez brylantowy upust, przesiewa hoże dziewczę przez rzwne melodye Chopina lub ogniste tarantelle Liszta.... Czy znacie Zacharyasiewicza powieść *Renata*? mniejsza o jej usterki, jest to obrazek pełen młodzieńczej fantazyi.... Otóż gdyby mi dano w życiu odtworzyć obrazek Renaty, zdaje mi się że w Zakopanem znalazłbym wiele i wiele świetnych barw do odwzorowania ducha tego dziewiczego, tatrzańskiego ideału.

Pierwszy dzień poświęciłem rokosznej dolinie Kościeliska. Ze świtem puściłem się w drogę, w towarzystwie żwawego i gadatliwego górala. Nie obce wam są Kościeliska, nietylko z nazwy swojej, ale i z cudnego poematu Goszczyńskiego. Wchodziłem w tę dolinę z myślą, by trzeźwem obejrzyć ją okiem, bo zdało mi się że obłoczyste Seweryna słowa aż do egzaltacyi w idealizm ją spowiły. Ale próżne to było targnienie się moje: kilkodniowy chłód i deszcz nie zdołał ostudzić mnie aż do zimnej refleksyi i szął poezyi uniósł mnie z sobą, racjonalizm zatonął na dnie Dunajca, a duch ze ślepą wiarą przyłgął do ideałów wieszczca. Oko nie wystarcza w tatrzańskiej podróży, ani go najwyborniejsza nie uzbroi luneta; innych tu trzeba skrzydeł, innego widzenia: wyobraźni, uczucia i zapału. To nie zmateryalizowana wycieczka po wygodnych Niemczech; Tatry, to obraz wiecznego

boju natury, to skarbiec, otwierający się tylko na zakłęcie znojących trudów i chętnych poświęceń.

Pioniny są niby przygrywką, wysnutą z tychże samych tematów, na jakie w Kościeliskach natura wielką odgrywa fantazją. I tu jest dolina, i tu skaliste ściany, i tu Dunajca wody; ale tu już wielmożniejsza rozległością dolina, kolosalne brzeża ją turnie, a w głębi płynie węższy wprawdzie, ale niemniej bystry Czarny Dunajec. Dolina kościeliska jest jednym z owych uroczych, ciepłych doł - równin urodzajnych, jak sandecka i nowotarska, gdzie w zaciszu turni bujniej rozwija się roślinność, zwana w ludowym narzeczu *uwrociem*. Na wstępie doliny wita cię śliczny, bujnej zieloności, lubym pokojem tchnący krajowid, do marzeń i miłości sposobiący. Tak sobie wówczas wyobrażałem wstęp do Chamouny, i.... myliłem się najzupełniej. Cichy ten przecież, sielankowy obraz ciągnie się tylko do dawniej osady leśnej, gdzie urządzono teraz kilka domków dla przybywających tu corocznie osób na rzętycowa kuracyą. Smutnie brzmiała mi w uchu opowieść przewodnika o losach tej izdebki, która dotąd jeszcze wybitem oknem, jakby ciemną żrenicą, patrzy w majową dolinę. Zbrodnia w tej atmosferze! to niepodobna, to jakiś podszept fatalizmu, jakiś zły duch obcych stron!

Tu już odsłania się przed okiem kraina olbrzymich turni. Dziwnie to wielkim i mężkim wpływem oddziaływa widok i powietrze gór na młodego ducha. Cudowna piękność natury woła na usta modlitwę uwielbienia, olbrzymia kolosalność skał uczy pokory przed twórczą ręką, strome ścieżki, urwiska z przepaści wzywają do walki, i tam, za białymi werchami turni, jasną trudów obiecują nagrodę. A gdy po raz pierwszy wdrzesz się na te wyżyny i łzawem od wzruszenia okiem, z żywiej bijącym sercem spojrzysz na ten piękny Boży świat pod twemi stopy, co ci go z woli nieba ojczyzną zwać wolno, to nowym żarem zagra w tobie krew, okrzyk wydrze się z piersi, znikła nieśmiałość i trwoga, innym jesteś człowiekiem, czary gór nową zdobyły ofiarę!

To pierwsze źródło Czarnego Dunajca! Dziwną igraszka natury dwa strumienie z jednego źródła w przeciwne rozchodzą się strony, by niżej potem połączyć swe wody. W jak dziwaczne kształty ułożyły się te skalne masy! Tę bryłę nazywa lud *Zbójcekim stolem*, a ta wysoko wystrzelona turnia, z zadartem czołem, to *Sowa*. Od tego miejsca dolina przybiera nazwę *Pisaniej*. Tuż obok Sowy, wysoko po nad turniami, rozciąga się rozległa polana z szałasem juchasów, *Zastolem* zwana. Naprzeciw turnie, tra-

fnie przez lud *Organami* zwane, a w krawędzi téjże skały u samego szczytu przebity otwór zwie się *Zbójceką dziurą*. Nieopodal ztąd drugie, najobfitsze i najciekawsze źródło Czarnego Dunajca. Z pod nizko wydrążonej turni wybija odrazu obfity strumień; przebiegłszy małą przestrzeń, znika w skale i nieopodal znowu wypływa. Miły ten ustęp doliny szczególną wędrowców zwraca uwagę. Skała z pod której tryska źródło, jest jakby żywe album, pokryte kilkaset podpisami. Dawno znajome nazwiska wyczytywałem w tym splocie, więc i swój listek do dobrej dorzuciłem kompanii.

Wchodzimy w nowy oddział doliny, to *Smytnia*. Na wstępie zaraz, po lewej stronie Dunajca, wita nas z kamienną powały skromny drewniany krzyż; na roztoczonych ramionach czytasz serdeczny napis: „I nic nad Boga” z datą 7 sierpnia 1852 r. Tu przed laty stoczone z turni głazy zabić miały jakiegoś młynarza; naprzeciw krzyża za drogą wznosi się jego mogiła, na którą każdy przechodzień gałązkę pamięci porzuci, i zwolna rośnie kurhan. Ten krzyż zaś postawił zacny autor Mohorta, w czasie wycieczki tatrzańskiej, odbytej w licznym Krakowian gronie.

Kolosalny i wielkością imponujący rozciąga się przedemną obraz! Na prawo wspaniały, świerkowym lasem otulony werch *Ornok*, na lewo skaliste turnie *Zar*. Wprost zaś przed okiem dolinę i krajobraz cały zamyka szeroko-rozsiadła królowa tych stron, *Pyszna*. Ogromne płaty śniegu, rozrzucone po całej górze, zdają się być królewskim gronostajowym płaszczem. Po stoku Pysznej trudną, lesistą drogą wyszedłem na śliczne hale górskie, Smreczyny i Tomanowo.

Miło mi było powitać tę zieleniejącą, błogą ciszą i pokojem nęcącą oazę. Już i znużenie niekiedy przypominać się zaczynało; więc ze szczerą radością ujrzałem na polanie wznoszący się skromny szałas juchasów, gościnnie wabiący do siebie lekkim słupem błękitnego dymu. Cała ludność polany była jeszcze w górach, słońce wysoko, za kilka godzin ledwie zadzwonią dzwonki wracających trzód. W szałasie przy rozpalonem ognisku ujrzałem zdala tylko krzątające się młode dziewczę górskie, cicho zawodzące smętną piosenkę. To ogień rozżarzy, to kociołka dojrzy, a potem siadła u drzwi z przedziwem.

— Niech będzie pochwalony, rzekłem, podchodząc ku szałasowi.

— Na wieki wieków, odparło dziewczę, ciekawie spoglądając na przybysza.

— Zmęczony i spragniony, przychodzę do was odpocząć i posilić się.

Pokraśniało hoże dziewczę.

— A siadajcież. Podsunęła ławę i szybko pobiegła do chaty. Zaledwem spoczął, wróciła rozjaśniona i obstawiając mnie skromnemi, drewnianemi sprzętami śnieżnej białości, zachęcała ochoczo a skromnie:

— To rzętyca, napijcie się, a tu mléko, i sér, i kólacz, com go wczoraj upiekła.

— Dziękuję, dziękuję ci, zawołałem. A jakże cię nazywać, ładne moje dziewczę?

— Maryś, odrzekła, mocno zapłoniona.

— Zkądże przybyłaś tu Maryś, z kim tu jesteś w szałasie?

— My od Starój Bystrzycy, koło Czarnego Dunajca. Ojciec tu z juchasami; haj do téj turni nasze paśniki. I wskazała ku Pysznej.

— I nie smutno ci tak saméj długie spędzać godziny w tym odludnym szałasie? ciągnąłem dalej....

— A choć i smutno—to co?.... Popłaczę, popłaczę, i jakoś przejdzie.... a ino zawsze cóś boli do swoich.... A jak tam pięknie u nas na dole, koło Czarnego. Ale wy nie wiecie. I bystro zmierzyła mnie okiem; a po chwili, z właściwą góralom ciekawością, zapytała nagle: A zkądżeście wy?

— Z Warszawy.

— Od Warszawy! od Warszawy! Słyszałam od ojca. Oj to daleko, daleko.... A po co wy tu do nas przyjechali? dodała, ciekawie patrząc w oczy.

— Żeby te piękne wasze góry zobaczyć, świeżem powietrzem odetchnąć, rzętycy się napić i z wami pogawędzić.

— Abo to prawda? Panicz sobie z biednych żartuje! I smętnie pochyliła główkę.

— Nie, Maryś, odparłem szczerze, ja ci mówię prawdę. Kocham wasze góry i górski lud i nie mam innego celu, jak bliżej go poznać i z nim się poprzyjaźnić.

— Toście wy dobrze zrobili! zwoła dziewczę, uważnie patrząc mi w oczy.

— Jeszcze raz dziękuję ci Maryś, rzekłem powstając, dziękuję za twą gościnność. I śpieszyłem podać jój drobne wynagrodzenie za doznane przyjęcie.

Żywo pokraśniało dziewczę, i smutnie spuściwszy oczy, milczało, a po chwili z rzewną zapytała mnie prostotą:

— Cóż my wam zawinili, że nas tak krzywdzicie? Co w biednej chacie było, témeśmy radzi; a wy nam płacić chcecie? I rzewnie zapłakała.

— Ja was krzywdzić, moja Maryś? zawołałem. Brońże mnie Boże! Szanuję tę świętą gościnności cnotę, co się snadź z wielkiego świata w wasze góry

schroniła. Oby ten duch pocziwy nigdy nie opuścił twojój piersi. I zarzuciłem jój na szyję skromny krzyżyk, częstochowską pamiątkę. Żegnam cię Maryś! I żywo wzruszony, zwróciłem się na polanę, gdzie smaczny snem spoczywał żwawy mój przewodnik.

— Wy nie pójdziecie! zawoła za mną Maryś.

— A to czemu? pytam zdziwiony.

— Bo zaczekacie na ojca, co jeno patrzeć, jak tą wążką pertnią zsunie się do nas z turni, a za nim i juchasy wrócą na polanę.

— Nie mogę; jeszcze przed wieczorem muszę być u stawu. Ale ja wrócę.

— Wróćcie? wróćcie? powtarzało smętnie dziewczę, z powątpiewaniem potrząsając głową. Wyście z dużego miasta, jak wam tu wierzyć?

— Daję ci słowo że wrócę, zapewniłem.

— No to już wierzę, ale wróćcie.

W głębokim milczeniu szedłem obok swego towarzysza. Ten świeży obrazek górskiej prostoty dziwnie mnie ujął i rozrzewnił. W nowe wdzięki stroiła się w oczach moich tatrzańską przyrodą; każdy werch groźniejszy, każdy rozdół miłszym mi się zdawał. Anim się spostrzegł jak stanęliśmy u celu wycieczki. Śliczny to, dziwnym pokojem teńący krajobraz. Lśniący, przezroczy staw na Smreczynach, osiadł w kotlinie gór śnieżnych, świerkami utkanych, niby olbrzymie zwierciadło w bluszczowe oplecione ramy. Trudno znaleźć sposobniejsze do marzeń miejsce. I jam utonął w zadumie; przewodnik szanował milczenie swego towarzysza:

Bo jego myśli w innych światach toną,

Bo jego oko inną przestrzeń mierza,

Bo dusza, goniąc za wspomnień krainą,

W uspięne struny przeszłości uderza.....

Za długo jednak trwało milczenie moje dla gadliwego górala, rzekł więc półgłosem:

— Paniczu, słońce chowa się za Pyszną, a do szałasu daleko....

Zbudzony z lubego snu, w którym myśl moja tak daleką i miłą odbyła podróż, niechętnie pożegnałem smreczynowy staw, nęcący mnie do siebie dziwnie sympatycznym dla duszy talizmanem. Uporne milczenie moje zniecierpliwiło chętnego do pogadanki towarzysza. Nie wprzód wszakże rozjaśniłem czoło, aż mi błysnęły zdala gościnne jakieś ogniska.

— Co to za ogień? zapytałem.

— To polana na Tomanowie, odparł szybko góral; juchasy już wrócili.

W pół godziny stanąłem przed szałasem.

— Oni przyszli! zawoła Maryś, klaszcząc w ręce; widzi ojciec, oni nie skłamacz, choć z wielkiego miasta.

Gromada juchasów, zalegająca w koło ogniska, otoczyła mnie ciekawie, a z szałasem wyszedł ku mnie wysoki, poważny góral, z wydatnym, łysym czołem i rzadkimi tylko kosmykami włosów.

— Niech będzie pochwalony, rzekł z godnością podając mi rękę. Pan tu zdaleka, słyszę, w nasze przybyłeś góry, a znajdziesz tu tylko biedę i biedę, dodał z westchnieniem. Gdzież to Pan Bóg dzisiaj prowadzi?

— Tam z powrotem, w dolinę kościeliską, odparłem.

— Dziś z powrotem? tego chyba zaniechajcie. Tylko patrzeć jak słońce zajdzie, a droga na dół długa, i pertnie a obłązy dla przybyszów niebezpieczne. Ot, jeśli wola, zostańcie u nas, posilicie się razem z nami, i skoro świt, my z bydłem w góry, a wy pódziecie w dolinę.

— Więc zgoda, zostaję.

— A toście wy dobrze powiedzieli, tatk, zawoła Maryś.

— Ot pomysł żeby co było w kociołku dla gościa, odparł surowo ojciec, i wnet znikła Maryś.

Cudnyż to ten widok zachodzącego słońca w górach! Już mrok osłania polanę, ale te cienie mgłą się rozplývają w wyższych warstwach; tam jeszcze światło walczy z mrokiem, jeszcze wyżej dzień, a bielejące korony werchów złoci, jak swoje pieśczochy, ostatni promień zachodzącego słońca. Z odkrytym czołem cicho zmówiliśmy wieczorną modlitwę. Nie chcąc tracić chwili tak uroczego widoku, uzbroidłem oko i z zajęciem śledziłem szczegóły okalającego mnie krajobrazu. Perspektywa moja była celem szczególnego podziwu; z zachwytem i uwielbieniem unosili się juchasy nad cudem zbliżenia i uwydatnienia piękności ich gór.

— To u was niema takich turni, coście je do nas przyjechali oglądać? zapyta mnie ciekawie jeden z juchasów.

— Nie, mój bracie, takich turni w mojej ziemi nie ma. Są i u nas góry, ale rzadkie i niższe; wszędzie zresztą, jak okiem zatoczysz, uprawne pola i równiny.

— To i błogosławieństwo Boskie — nie brak wam chleba, ponuro szepnął młody góral.

— Nie bluźnić, Franku! zawoła surowo pan Tomasz Kita, poważny bacza tutejszych hali. Podziękuj Bogu za twoje góry; dają ci siły i zdrowie, na

halach masz paszę dla swoich owiec. I czegoż ci trzeba? Jeno pracuj uczciwie, a módl się szczerze.

— To prawda, ojcie Tomasz, że u nas zdrowo i rażno, rzecze drugi z juchasów; ale i to pono prawda, że u nas ciężko i bieda. Bo to widzi pan, my sobie tak mówimy, że w tych turniach, to koniec chleba, a początek wody.

— A pamiętacie ojcie, przed trzema laty, jaka to czarna godzina była w naszych reglach, jaka bieda, jaki głód? Ja wtedy matkę straciłem.

— Mnie siostra umarła.

— Tak, moje dzieci, rzecze ze łzą w oku p. Kita, ciężko nas Bóg nawidził; ale niech się dzieje wola jego święta. Toć teraz za to niezłe są paśniki, a komu na zimę zapasu nie starczy, to go fabryka wyżywi.

— Oj gdyby nie te fabryki w Zakopanem, ciężko by nam było, ciężko!

— Ależ nie wszyscy w fabrykach zakopańskich zarobek znaleźć możecie. Jakże więc radzą sobie inni, gdy pasza i zboże dla zwierząt i ludzi nie wystarczy?

— Ha! jako można: furmanką, kośbą, wyrabianiem lasu, paleniem węgla, spławianiem tratw, jak Bóg da; byle w czarną godzinę nie popaść w ręce żydowskie, jak nie jeden brat za Nowym Targiem.

— A wam, ojcie Tomasz, jakże się powodzi na halach? zapytałem.

— Ot jak widzicie. Tam u mnie na dole w stariej Bukowinie siła jest porządnych i dość zasobnych gazdów, gospodarzy po waszemu; wszystkie więc trzody i stada razem tu spędzają, a ja im już od lat dawnych jestem tutaj baczą.

— To tak niby po waszemu ojciec, pan, objaśnił juchas.

— Choć tu i koni i jałoszek znajdziecie u nas dosyć, ale już to nie dorówna pocziwiej naszej owcy górskiej, co i wyżywi mlekiem i rzętycą, a wełną odzieje i bezpieczna hasa po *szczotach* i *sterminach*.

— Jakież to miejsca tak nazywacie? zapytałem.

— *Szczoty*, paniczku, rzekł z uśmiechem pan Tomasz, to same koniuszczki werchów na turni, a *sterminy*, to te strome spadki. Ale wracam do rzeczy. Czy wiecie że jedna owca daje nam rocznie więcej siedmiu reńskich dochodu? U was to tam wszystko inaczej; prawda paniczku?

— U nas inaczej, oj prawda bracia że inaczej u nas; ale nie zazdroście, bo i do chaty tamtego wieśniaka nieraz blada twarz nędzy na przednówku zajrzy.

— Wyście z Warszawy? zagadnie pan Tomasz, zamysłając się. Nie byłem tam nigdy, alem się nasłuchał o tém waszém mieście. Miałem dwóch braci ciotecznych, obydwaj tam są u was.

— Na wsi? zapytałem.

— Nie, jeden księdzem, jest proboszczem pod Łęczycą, drugi sędzią, podobno w Warszawie.

— Nazywają się?

Dość naturalny przypadek zrządził, że znani mi byli obydwaj bracia; jeden, już zmarły, był proboszczem w T., drugi, także już dziś nieżyjący, był sędzią appellacyjnym w Warszawie.

— To oni znają stryjów? krzyknęła radośnie Maryś. A czy zdrowi, żonaci, mają dzieci?

— Młodszy brat, co tam u was jest sędzią, przerwie p. Tomasz, był tu przed rokiem. Biedaczysko, co jemu po wszystkiém, kiedy zdrowie zmarnował? Przez trzy miesiące pił u mnie rzętycę; ale to już umarłemu kadzidło. Nie zazdroszczę ja mu tam honorów. Daj mu tylko Panie Boże zdrowie!

— Jaka to ta mowa u nich w téj Warszawie, wyrwie się dziwując Maryś. U nas to tak gadają, jakby kamyki mieli w ustach, a u nich to tak śliczniusińko, każde słówko niby perełeczka. Tatus, poproście, niech oni co powiedzą o Warszawie, jaki to tam u nich obyczaj, jakie chłopaki, a jakie dziewczęta.

— Powiedźcie! powiedźcie! zagwarzyła ciekawa gromada juchasów.

I nie było rady: sięgnąłem pamięcią po rodzinne wspomnienia i wysnułem opowieść o naszym ludzie, o jego cnotach i słabości, o naszym weselu i naszych nadziejach, o naszej pracy i o naszych łzach.

Późno w noc trwały te rozmowy, aż wreszcie i ogień przygasł, i cisza zaległa na polanie.

Skoro świt ożywiła się polana. Na hasło baczy, pana Tomasza, wszystko stanęło na nogach; wspólną modlitwą powitaliśmy wschodzące słońce, a potem już mlekiem wypiliśmy strzemiennego, i dalej w drogę.

I znowu przekonałem się jak dobrze słuchać starszych. Miał pan Tomasz racją, zatrzymując mnie wczoraj na nocleg. Zyskałem tym sposobem na czasie i inną już drogą spuściłem się w dolinę. Tu też właściwie dopiero zaczęła się prawdziwie awanturnicza po skałach i kamieniach przeprawa. Grapami, czyli wężkim grzebieniem wiążącym turnie, dostaliśmy się do lasu, a ztąd już wdrapałem się na wierzch Zar. Rozległość krajobrazu zamykają wyższe turnie, łańcuchem biegnące w koło. Już tu spotkałem się ze złodowaciałami śniegami, kamienną twardości; po

ich grzbiecie w przełazie górskim zsunęliśmy się na niższe turnie, zkad już kamienistym szlakiem spuściliśmy się do groty Saturnus, w języku ludowym *Zbójcejką* zwaną. Pyszne to, fantastyczne zjawisko górskie: wążka stosunkowo rozpadlina w kolosalnych turniach, a dzikość taka, jakby tu nigdy ludzka nie powstała noga. Niewiem jaki jest początek nazwy Saturnusa, ale to wiem że instynkt ludowy trafniej daleko tę groty zbójcejką nazwał. Taka tu cisza, taki chłód grobowy... tylko echo podaje sobie odgłos kamieni i skał, odrywających się co chwila i mnożących ruchliwą podstawę przesmyku, zmytą i zoraną przez górskie potoki. Miłą prawie ciągnie się ta grota, smutnie świecąca nagą dzikością, odarta niszcząco pracującymi siłami przyrody. Z wiorstę przeszedłem tę groty, ale mi ciężko było na sercu; zatęskniłem za Bożym światem, za niebem, za słońcem, za zielenią. Bocznymi więc szczelinami przedarłem się jakby do oazy w rozkoszną dolinę kościeliską i przed wieczorem wróciłem do Zakopanego.

Tyle mówiono mi o źródłach Białego Dunajca, że nazajutrz raniutko, sam tylko, puściłem się w górę brzegów, szukać jego źródeł. Pełna to poetycznego urozmaïcenia droga: skaliste urwiska, brzeżące koryto Dunajca gęstym zarosłe lasem, co chwila utrudniają przystęp; co chwila tracisz z oczu potok, i wnet znowu odszukujesz go w ślad głośnego szumu, z jakim ta wspaniała katarakta tam w niziny aż do wioski Biały Dunajec spada. Samotność podnosiła jeszcze urok, odkrywając co chwila nową przed okiem tajemnicę. Już nie idę dołem ponad korytem; puściłem się wzdłuż podartych skał, piętrzących się po obu stronach rzeki. Szum wzmagają się, przedzieram się przez gęstwinę leśną, chwytam silnie jodłowy pień i ciekawy wzrok puszczam w nizinę. Okrzyk zachwytu wydarł się z piersi. O kilka kroków odemnie wypada ze skalnego łona olbrzymia, biała wstęga, i brylantując w tysiące rozprysłych kropli, spada wielką kaskadą w łożysko i tworzy nagle potok, nad którym zwieszałem się wśród gałęzi. Za ciasno mi było z tém upojeniem w mojej samotności. I mnie „nektar żywota wtenczas jest słodki, gdy z innemi dziele” — więc jednym tehem rozgorączkowany, puściłem się do ludzi, do Zakopanego.

Właśnie cała rodzina pp. H. wybierała się do kościoła; ochoczo przyłączyłem się. Tyle dziękczynnych modłów ciążyło mi na sercu! O pół mili odległy jest kościółek parafialny. Skromna to, drewniana budowla, nie artystycznie, na miejscu, ręką górali wzniesiona; ale tyle tam prostoty i pobożnego ducha, że

myśl hyżo biegła, modlitwą do nieba niesiona, na skrzydłach tych śpiewów chóralnych, których czysta harmonia zdziwiłaby i uradowała znawcze ucho Sikorskiego lub Kolberga. Tylko dary dziedziczki, jak dzwony, organy i inne aparata kościelne, tego już są rodzaju, że mogą ozdobić nawet wspanialszy kościół, o czém ku chwale Bożej już tutaj myślą. W miejscowym proboszczu znalazłem najszacowniejsze, a coraz rzadsze przymioty wiejskich plebanów: prostotę, czystą wiarę i ewangeliczne światło.

Po południu urządzono miłą i nader urozmaiconą wycieczkę do źródeł Białego Dunajca, które już z rana z takim powitałem zapalem. Jeżeli wtedy ta bystrość białego potoku, w pieniających kaskadach toczącego się z wyżyn, gęstym omszonych lasem, ta dziewicza dzikość okolicy, przypominały ułamek amerykańskiego pejzażu z pod pióra Longfellowa—to teraz, gdy się ożywił krajobraz, gdy u stóp katarakty Białego Dunajca rozsiadło się w malowniczym ugrupowaniu wesołe koło młodzieży, że śpiewem na ustach i puharami pieniacego źródła w dłoni, teraz dzikość obrazu przedzierzga się w sielankową harmonię malowideł Wateau. Co do mnie, szczerze przyznam, że źródła Białego Dunajca nierównie silniejsze uczyniły na mnie wrażenie, niż źródła Czarnego, choć te ostatnie mają za sobą niezwykłą oryginalność. Według uświęconej przez większość turystów marszruty, i mnie radzono na dokończenie tatrzańskiej podróży wyjechać z Zakopanego do Bukowiny, a ztamtąd zrobić wycieczkę do Morskiego Oka. Zrazu, rad nie rad, przystawałem na ten projekt, choć bolałem szczerze, że niektóre najcudniejsze właśnie tatrzańskie widoki pozostaną w takim razie dla mnie ukrytą w głębi gór tajemnicą; gdy przecież natrącił ktoś myśl o możliwości dostania się do Morskiego Oka pieszo, przez werchy Tatrów, z zapalem chwyciłem się tego projektu i wszelkie odradzania nie skutkowały. Zażądałem przewodnika, i stawił się dzielny, piękny góral, dobrze tu znany Jędrzej Krzeptowski, najrzęczniejszy strzelec karpacki, oświadczając że lubo jeszcze w tym roku, dla wczesnej pory, droga werchami przebywana nie była, przebyć ją jednak można. Stało więc przy nowym projekcie. Serdecznie podziękowałem za gościnność i urozmaicenie w zakopańskim dworze doznane, i mniej troszcząc się czy mnie kto o romantyzm posądzi, dobrze zachowałem zerwane u źródeł Białego Dunajca niezabudki.

O trzeci z rana wyruszyłem na upragnioną i niezwykłą wyprawę. Najcudniejsza sprzyjała nam pogoda. Dawno tak jasne, bezmgliste nie były Tatry; Na-

wet skwar letni, utrudniający podróż, złagodniał, i rzeźwo, ochoczo po wodach i skałach mknęliśmy naprzód, w górę i w górę. Przed siódmą już na pierwszym byłem werchu. Jeśli sama myśl zwidzenia Tatrów budzi otuchę w młodej piersi, jeśli sam aromat tutejszego powietrza czaruje ducha i meżką budzi w nim odwagę: to jeden rzut oka ze szczytu turni taki ci w serce wleje zapal, żebyś wszystkie niebezpieczeństwa i trwogi do walki wyzwiał, byleby po jeden jeszcze listek takiej sięgnąć nagrody.

Dotąd widziałem tylko piękne, malownicze Tatry, rajskie obrazy i natury cuda; ale o tej wielkości, o tym dzikim ogromie, o tej potędze Karpat jaka mi tu w oczy zajrzała, przecucia nawet nie miałem. W obrazach Pola, młodzieniec śmiały na urwisku tatrzańskim, wodząc okiem po turniach, woła w rozpacz:

Po co nam nosić naszą nędzę w góry,
Zkąd wracać trzeba z żalem i tęsknotą?
Bo czy się zmierzyć z cudami natury,
Czy z ludem górskim i jego prostotą,
I duch i serce miary nie dotrzyma.

To chyba w Kościeliskach tak marzył młodzieniec, bo w głębi Tatrów innym do niego mówi natura głosem: do walki tam wzywa, do bojów, do czynów! Tam natura nie uczy jak być *małym*, lecz do *wielkości* gościńca szukać każe.

Coraz więcej martwieje dokoła natura; unoszę się coraz wyżej za obręb wegetacji i życia. Już nawet liche owsy zostały niżej, pastwiska rzednieją, żywiczna tylko kosodrzewizna i karłowate, suchotnicze świerki towarzyszą mi jeszcze. I coraz smutniej dokoła. ... Jasna i pogodna przeszłość za mną, surowa rzeczywistość mnie otacza, bój i trud przedemną. Coraz wyższego samouznania nabywa istność, jestem sam z sobą! Kruche podpory jakie nam stawia społeczność na każdym kroku, w odwet za zaprzędaną jej najczystsza krew naszej swobody, podpory te nikną tu; mam się oprzeć na sile własnego ducha, własnej wiary, a zamiast wszystkich piecyków i futer, wolno wziąć z sobą jedną tylko iskierkę, miłości Boga i ludzi. Biada temu, komu ona na ogrzanie piersi nie starczy.

Ostatnim miłym obrazkiem żyjącym po tej stronie tatrzańskich szczytów, jest piękny, wielki staw Gąsiennicowy. Poniżej tego stawu, rozciąga się już martwa kraina śniegu i skał; głucho dokoła. Od września roku zeszłego nie przechodzili tędy turyści. W grubiej, śnieżnej zasłonie leży przed nami otulony ol-

brzym, to Zawrot. Przez tę śnieżną wyżynę wdrapać się musimy tam, do bielejącego szczytu, gdzie jest przełom naszego tatrzańskiego łańcucha. Więc w imię Boże naprzód! Z energią torujemy sobie drogę przez gładkie, zlodowaciałe śniegu pokłady, jakby Lot drugi strzegąc się wstecznego spojrzenia.

Już godzinę prawie pracujemy, a dopiero w połowie stoku; jeszcze pół godziny, i oto już widać szczyt werchu, nagrodę naszych trudów. Ochoczy przewodnik opowiada mi myśliwskie swoje przygody i ustępy z parlamentarskiego swego zawodu, gdy jako deputowany górskich stron na sejmie austriackim zasiadał, jak hrabia Stadion.... Jedno poślizgnięcie, i szalonym pędem, po śnieżnej zamieci, lecę w głąb rozdartych turni. Zadymiły się śniegi lawiną, posypały się gradem zerwane moim upadkiem kamienie, uderzam głową o jakąś skałę, całą siłą chwytam się urwiska i zdołałem się na niem. Dziękczynnie westchnąłem ku niebu, śniegiem utamowałem upływ krwi i rażno spojrzałem w koło siebie. Kilkaset stóp dzieliło mnie od mego przewodnika, a kilkadziesiąt stóp poniżej, skalna powała. Opatrzna wola zatrzymała mnie na urwisku, ponad rumowiskami potrzaskanych skał, zwanych tu *rypami*. Znalazłszy, po bliższym opatrzeniu, że prócz kilku pokaleczeń cięższego nie poniosłem szwanku, dałem hasło przewodnikowi, który z trwogą i przerażeniem zeszedł do mnie. Znużony krwi wpływem, wytchnąłem chwilę w lodowej czełści między ścianą turni a pokładem śniegów. Trzaskający mróz febrycznie przejął kości, a tymczasem przewodnik wyrąbywał tropy, po których powtórnie puściłem się na Zawrot. Choć osłabiony, szczęśliwie w godzinę stanąłem u szczytu. Tu była połowa naszej drogi. Z obwiązaną już ręką i głową ruszyłem dalej. Nie schmurzył mi przecież ten wypadek pogody humoru i serdecznego zajęcia dla widzianych obrazów. Na szczycie Zawrotu roztoczył się przed okiem moim majestatyczny widok całego tatrzańskiego państwa, wszystkie jego zjawiska i dziwy. Wydatną charakterystyką odkreślały się dokoła coraz wyżej pasy roślinności. Tam w dole, na płaskiej wyniosłości *Podhala*, na poziomie 1125 stóp rozesłały się cztery tatrzańskie doliny, zroszone wodami Dunajca, Popradu, Orawy i Wagi. Na tysiąc stóp wyżej przypada dział wodny między orawską i nowotarską, a jeszcze na 100 stóp dział wodny między liptowską a spiską doliną. Nizinę Podhala zajmują owocowe łąki, orne grunta. Na wysokości 2000 stóp wypada granica powszechnej uprawy, rozpoczynają się lasy liściaste i kończą zimowe ludzi mieszkania.

Gęstemi obszarami szpilkowych lasów podnosimy się w krainę *regli*, ojczyznę najliczniejszych źródlisk. Cały ten pas, 2000 stóp szeroki, najeżony jest tarasami sosnowych, bukowych, jodłowych i świerkowych lesistych wzgórzów, rzedniejących już ku północy. Do połowy tej krainy widać jeszcze gdzieś karłowaty owies, jęczmień i ziemniaki.

W głębi ciemnych lasów wynurza się ku północy rozległa kraina pastwisk: to *hale*, sięgające jeszcze za kresę 6000 stóp. Bujny mech skalny, kosodrzewina i rośliny halskie, to cała wegetacja tej przestrzeni.

Od północnej granicy tego działu, jednolita masa tatrzańska rozszczepia się na liczne werchy, wystrzelające w niebo nagą i dziką krainą *turni*, jeszcze na 1500 stóp przeszło. Tu już i ziemi, i roślin, i wody nie stało, widać tylko mchy i liszajce.

Droga od Gąsiennicowego do Pięciu stawów jest dość utrudzająca i wymaga pewnego oswojenia z górami. Kto niema odwagi lub chęci skakać kilka godzin po kamieniach i skałach, lub kto cierpi zawrot na wyniosłościach, temu nie radzę puszczać się w tę drogę. Jestto przecież arcyciekawe studium Tatrów i właściwej ich natury. Ta nieugłaskana jeszcze dzikość, charakterystyczną ich cechą stanowiącą, tu właśnie tylko zbadaną być może. Od Gąsiennicowego stawu, wyjąwszy jedną kozy górskiej, żadnego nie spotkaliśmy stworzenia, żadnego szalasu, żadnych trzód. Dotąd w tatrzańskiej wycieczce nie doznałem był właściwych trudów, a tém mniej braku pierwszych potrzeb, który gościnna uprzejmość wszędzie usuwała; teraz dopiero ograniczyć się już musiałem na własnych zapasach i podobno nie pomnę wysmienitszej uczyty, jak złamany z przewodnikiem moim chleba kawał, wędliny i ożywczy haust wódki.

Nader zajmującym ustępem wycieczki jest Pięć stawów, w blizkiej od siebie roztoczonych odległości. Na jednymże prawie co Gąsiennicowy staw położone są poziomie, ale na przeciwniej stronie, po za werchami Tatrów. Już tu znów nieco ożywiać się zaczyna, zieloność zaciera szarą powłokę skalną, a na skąpém jeszcze pastwisku ku niewymownej radości spotkałem dwa górskie koniki. Nie mogłem nacieszyć się temi zwiastunami blizkich mieszkań ludzkich. Roskoszny na miękkim mchu mieliśmy spoczynek w pięknej dolinie Roztoku; naprzeciw dolina Buczynowo i wspinały werch Wołoszyn.

Cała już droga od Pięciu stawów do Morskiego Oka pełna jest świeżości, zieleni i urozmaicenia. Najwygodniejsza też to część wycieczki i mogą ją nawet

odbywać kobięty, do górskich podróży nieco zahartowane. Malowniczo wiedzie droga po stokach, już to bujnemi trawy, już lasem porośłych; ale pierwszy szalas juchasów napotkałem już w dolinie do Morskiego Oka prowadzącej. Tu posiliłem się świeżem mlekiem i za kwadrans po kamienistej ścieżce stanąłem u Morskiego Oka, o którym już tyle mówiono i pisano. Była dopióro godzina siódma wieczorem, tu jednak słońce blizkie już było zachodu; widziałem jak ostatnie krwawe, powłóczyste jego promienie padały na wielką szybę wód, zamkniętą w skalnej kotlinie na takiej wysokości. Ale to już nie cicha woda owych z rana widzianych stawów: tu ona wre, i szumi, i bałwani się, i wylewa ze swego łona obfity w dolinę strumień. To co jedni zwą Morskim Okiem, drudzy cudem natury, przedstawia w istocie rzadkie zjawisko. Jestto bowiem wielki bassen czyli źródło wody, z tą tylko różnicą, że nie ukryte w ziemi, ale otwarte. Hydrografia uważa Morskie Oko za jezioro halskie, powstałe ze stopionych śniegów i wód źródłowych, jakie zalały rozwarłe między turniami kotliny. Wszystkie te wodozbiory, a liczą ich w ogóle 27, położone są na wyniosłości 5000 stóp.

Woda z Morskiego Oka odmienną jest zupełnie od czystej wody stawów, ma ona pewną gorycz. Mimo niesłychanego znużenia, odbyłem na tratwie przejażdżkę po Morskim Oku, a płonące na brzegu ognisko, otoczone fantastycznymi postaciami górali, odbijało na tle tatrzańskich skał ponurym jakimś, krwawym, dziko-pięknym blaskiem. Mimowolnie przypomniały mi się karpackie opryszki, a tém złudniejsze było podobieństwo, gdy junackie rozległy się śpiewy i echo dziesięćkrotnie podało sobie odbicie górskiego strzału.

Noc spędziłem w szałasie nad Morskim Okiem. Dach zupełnie przez wiatry był zerwany, zimno przejmujące: więc rozpalono ognisko, w koło którego legli górale z poblizkiego szałasu.

Dla dopełnienia wątku wrażeń, rano ze zmrokiem jeszcze wybrałem się dalej w góry do Czarnego jeziora i nad jego brzegiem wschodzące powitałem słońce. Dziwna to jednak sprzeczność: uroczysty wschód słońca—i ten groźny krajobraz, smutniejszy daleko jak Morskie Oko, istna zbójcka siedziba. Takim pejzażom tylko blady księżyc przyświecać powinien; to w moich oczach właściwsze stokroć miejsce niż Łysa góra na siedlisko czarownic.

*

I to już ostatni wzorek z teki tatrzańskich moich wspomnień. Kamienistym szlakiem spuściłem się już ztąd wprost do Bukowiny, a ztamtąd we trzy godziny stanąłem znowu w Nowym Targu, by przez Myślenice i Wieliczkę do Krakowa wrócić. Dwie drogie z wycieczki mojej uniosłem pamiątki: poczucie piękna natury górskiej, jakim Bóg ojczyznę naszą ubłogosławił i wdzięczną pamięć tych ludzi i tych progów, co mnie utwierdziły w miłości i wierze. Żegnając tatrzański świat, mimo wiedzy prawie wtórzyły usta słowom zacnego p. Wincentego:

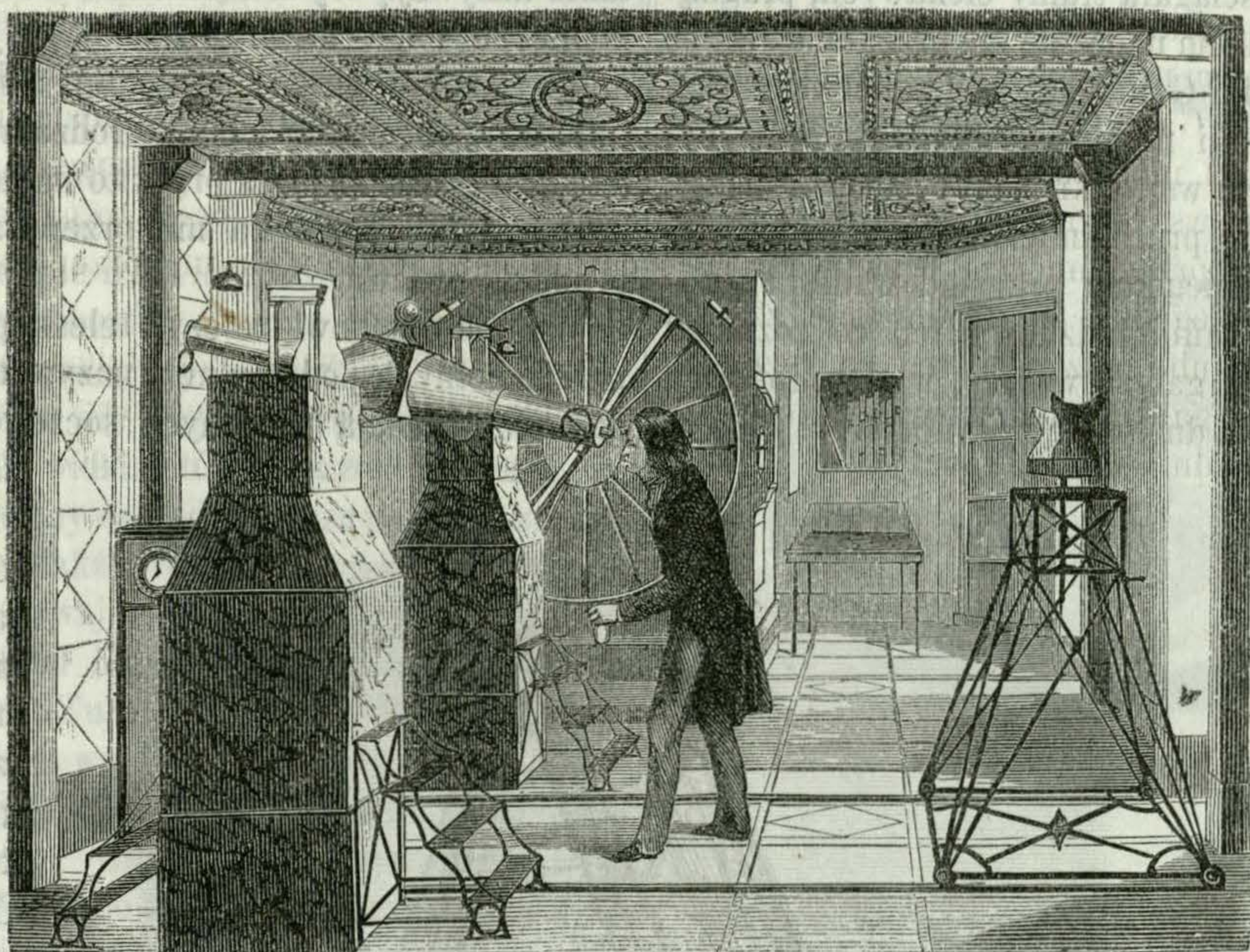
Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie!
Ten temu swat, ten temu brat,
A już dobremu, to każdy rad!

Wolę ja, wolę żyć w małym kole,
Gdzie wszystko własne, choć niby ciasne.
Ten temu swat, ten temu brat,
A każdy kącik—to cały świat!

Co w świecie zziębło, co ordzewieje,
Tam się odświeża, tam się rozgrzeje;
Bo ten mi swat, bo ów mi brat,
Życie jak młodość, serce jak kwiat!

A gdy znów człowiek siły nabierze,
I w świat się rzuca, to w dobrej wierze;
Každy mu swat, każdy mu brat,
I wszystek boży jest jego świat!

WYNALAZEK TELESKOPU.



Sala obserwacyjna gwiazdarni paryżkiej.

Jedno z najważniejszych odkryć wieków nowożytnych, będące kluczem co roztworzył przed nami tajniki nieba i wszechświata, wynalazek teleskopu, przypadkiem podobno zrobiony został przez dzieci. Powiadają że około r. 1590 dziatki Zacharyasza Jansen'a, fabrykanta okularów w Middelburgu w Holandyi, (o którym wzmiankowaliśmy niedawno w artykule o mikroskopach), bawiły się soczewkami szklanymi, których ojciec znaczny miał zapas. Jedno z nich, trzymając przypadkiem dwie soczewki na linii prostej, w pewnym od siebie oddaleniu, spojrzalo przez nie ku krzyżowi sąsiedniej wieży, który przedstawił się jego oczom znacznie powiększonym i zbliżonym. Zdziwione dziecię powiedziało o tym rodzeństwu, doświadczenie zostało powtórzone, a ojciec, dowiedziawszy się o wszystkim, obrócić je potrafił na korzyść nauki. Tym sposobem, jak niesie podanie, dokonany został wynalazek teleskopu i opartego na tychże samych zasadach mikroskopu, wynalazek tak niezmierniej doniosłości i tak niespodziewany, że słynny Huyghens, który później znacznie go udoskonalił,

wyrzekł w tym przedmiocie: „Gdyby był na świecie człowiek co samą siłą rozmyślenia i na podstawie pewników naukowych zdołałby złożyć podobne narzędzie, uznałbym go za istotę prawie nadziemską.”

Wszelako krótka ta historia wynalazku teleskopu nie jest dostatecznie udowodnioną; kilka bowiem osób dobija się w tym względzie o zaszczyt pierwszeństwa i niewiadomo dotychczas komu on słusznie przynależy. Przyczyną tej niepewności jest zapewne tajemnica jaką w początku pokrywano wynalazek dalekowszów czyli przezierników, które obracane być miały na cele wyłącznie wojenne. Zaledwo jednak wieść o tym nowym odkryciu rozeszła się po Europie, znaleźli się zaraz ludzie co odgadli konstrukcją narzędzia i wyrabiać je zaczęli. Były to naturalnie dalekowszowie słabo tylko powiększające i używano ich zrazu tylko do spoglądania na przedmioty ziemskie; lecz podnioślejsze umysły już wtedy marzyć zaczęły o zastosowaniu ich do badania ciał niebieskich. Pierwszy teleskop zasługujący na nazwę narzędzia astronomicznego zbudował słynny Galileusz (ur. 1564†1642).

Już r. 1610 spostrzegł on przezeń góry i doliny na księżycu, plamy słoneczne i ich poruszenia, mnóstwo niewidzialnych gołym okiem gwiazd stałych, księżyc jowiszowe i dziwny kształt Saturna, lecz nie zdołał jeszcze odróżnić jego pierścienia. Wiadomość o odkryciach badacza włoskiego największe obudziła zajęcie i zewsząd ściągająca tłumy ciekawych, pragnących o tém wszystkiém naocznie się przekonać. Przez lat trzydzieści wielki Galileusz, który pierwszy rozszerzył zakres nauki nieboznawstwa, otaczany był czcią i uwielbieniem wszystkich miłośników oświaty. Dopiero na lat kilka przed śmiercią bezwstydną ciemnota rozpoczęła niegodne prześladowanie szanownego starca, i na hańbę ludzkości ten co rozniecił światło w niejednej gałęzi wiedzy, w ciemnościach samotnego więzienia dni swoje zakończył.

Dawniejsze dalekowiedze holenderskie urządzone były w sposób szczególny, albowiem szkła oczne stanowiła w nich soczewka wklęsła. Nie zastanawiając się atoli nad ich budową, przejdziemy zaraz do używanych obecnie narzędzi. Teorya dalekowiedza w głównych swych zasadach jest ta sama, co teorya mikroskopu (którą wyłożyliśmy obszernie w poprzednim artykule), z tą tylko różnicą, że przez ostatni patrzymy bezpośrednio na sam przedmiot, przez pierwszy zaś badamy mikroskopijnie nie przedmiot, lecz obraz jego, odbity na szkłe przedmiotowém. Można by więc powiedzieć że dalekowiedz jest narzędziem złożoném z kamery obskury czyli ciemni optycznej i z mikroskopu. Jeżeli odśrubujemy część jego wyższą, otrzymamy prawdziwy mikroskop, i to tém lepszy, im lepszy jest dalekowiedz. Wszystkie szkła w tém narzę-

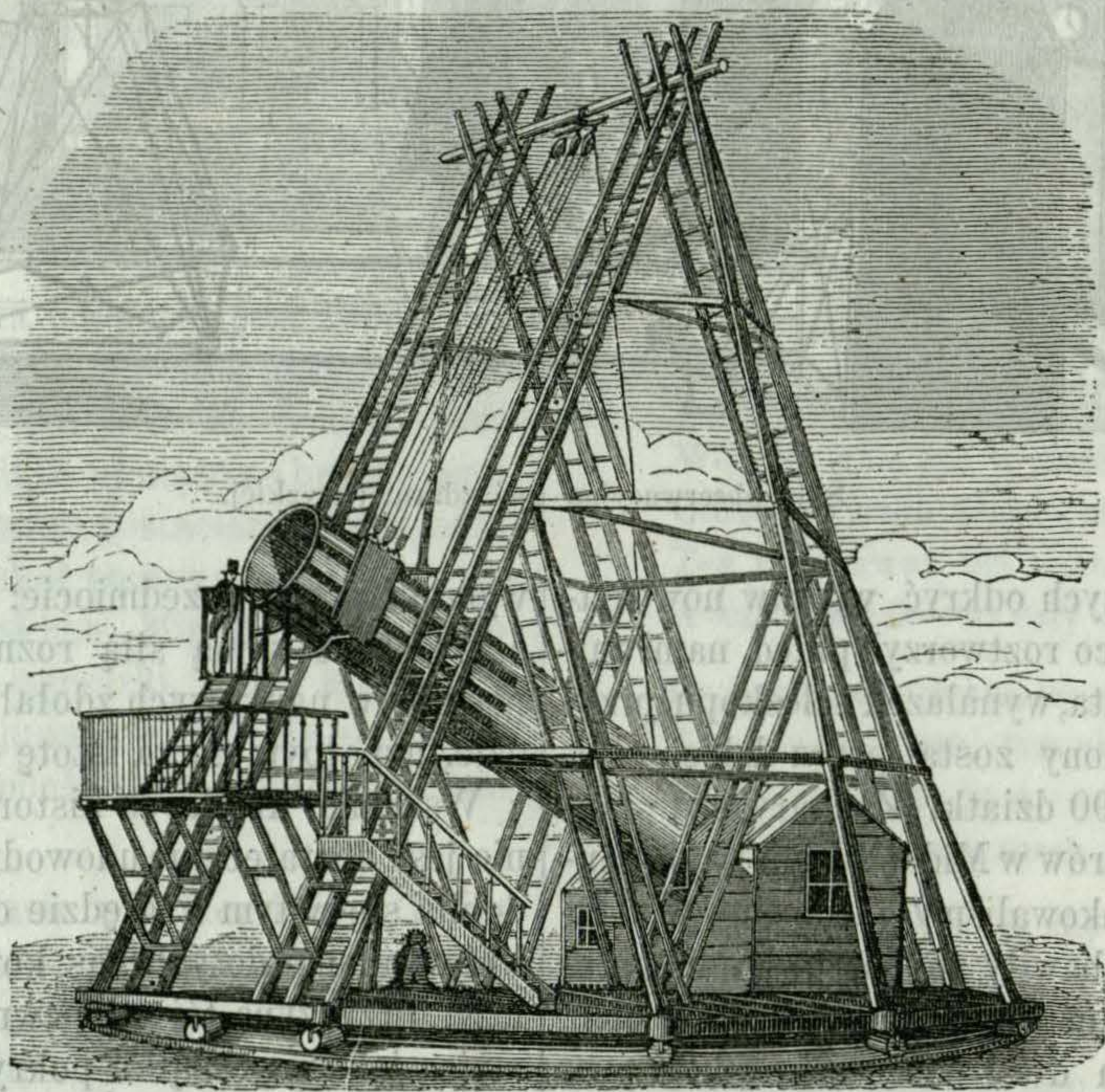
dziu są stale osadzone, zsuwanie przeto i rozsuwanie ma tylko na celu przybliżanie lub oddalanie szkła przedmiotowego. Nastawianie takie jest niezbędne, z powodu że obraz przedmiotów oddalonych pada dalej za szkłem przedmiotowém jak blizkich i że nie wszyscy ludzie jednakowe mają oczy. Dalekowiedze takie nazywają się ziemskimi. Dalekowiedze astronomiczne czyli niebieskie mają o jedną soczewkę mniej i dlatego przedmioty odbijają się w nich odwrotnie, co w obserwacyach tego rodzaju jest rzeczą obojętną; zyskuje się zaś przez to na jasności, bo i najdoskonalsza soczewka nie przepuszcza wszystkich promieni światła.

Wielkie dalekowiedze czyli teleskopy, spoczywające na oddzielnych podstawach, nazywamy *refraktorami*, gdy się składają z samych soczewek, *reflektorami*

zaś, gdy zamiast szkła przedmiotowego, opatrzone są w zwierciadło metalowe. Ostatnie z tych narzędzi wynalazł w końcu XVII wieku ksiądz Guichi. Urządzenie ich bywa rozmaite w szczegółach, chociaż w głównych zasadach mniej więcej jednostajne.

Wielki teleskop Herschla, najlepszy i największy swego czasu, miał czterdzieści stóp długości, 5 stóp średnicy i ważył 4000 funtów; lecz metalowe zwierciadło jego wkrótce pokryło się śnie-

dzią i dlatego okazał się niedogodnym w użyciu. W najnowszych czasach bogaty Anglik, lord Rosse, wystawił teleskop mający sześć stóp średnicy i nierównie jeszcze silniej powiększający od teleskopu Herschla. Ze narzędzia tak ogromnych rozmiarów spoczywać muszą na umyślnie ku temu zbudowanych podstawach, ułatwiających dogodnie niemi kierowanie, rozu-



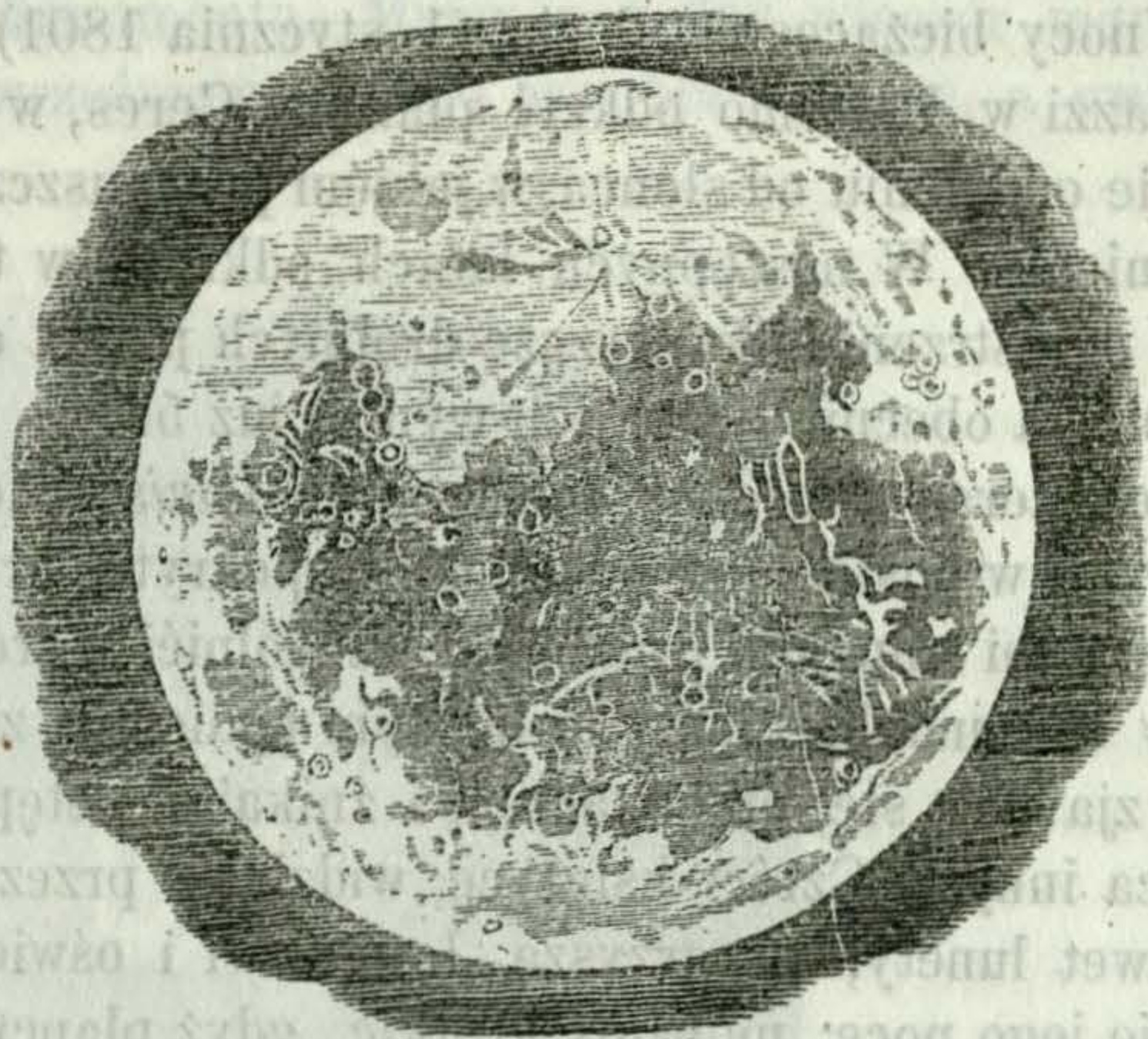
Teleskop Herschla.

mie się samo z siebie. Załączony tu drzeworyt przedstawia urządzenie podstawy teleskopu Herschla.

Zobaczmy teraz jakiego rodzaju są posługi oddawane przez teleskopy astronomiczne. Wchodzimy na gwiazdarnię czyli obserwatorium w piękną noc księżycową; niebo jest pogodne i czyste, księżyc zbliża się do pierwszej swój kwadry, a gwiazdy bladawem połyskują światłem. Spojrzmy na księżyc, jako na najbliższe nas ciało niebieskie. Co za widok zachwycający i wspaniały! Przy mierném już powiększeniu tarcza jego przedstawia się w świetle tak silném, że oko znieść go nie może. Rozpoznajemy wyraźnie zarysy gór i błyszczące ich wierzchołki, lecz szczegółowe ich kształty pozostają jeszcze ukrytymi. Użyjmy teraz znaczniejszego powiększenia. Już wtedy szkło przedmiotowe nie obejmie całej tarczy księżyca, lecz część jej widzialna tém wyraźniej nam się przedstawi. Zwróćmy narzędzie nasze na jedno ze skupień górzystych. Jakże różnemi są góry księżycowe od naszych Alp szwajcarskich lub Kordillerów, z ostremi, wyźebionemi ich szczytami i łagodnie zagłębionemi dolinami! Tu na księżycu widziemy po większej części koliste wały, otaczające głębokie wklęsłości, z których środka sterczy zwykle pojedyncza góra ostrokregowa. Ciemniejsze miejsca po prawej stronie tych wałów (bo światło słoneczne pada z lewej), są cieniem ich, którego wielkość służy astronomom do zmierzenia ich wysokości. Rachuba okazała że niektóre z gór księżycowych dochodzą wysokości 12—16000 stóp.

Podobnych górokregów naliczono już na księżycu przeszło tysiąc, a w niektórych miejscach ilość ich jest tak wielka, że tworzą jakby powłokę komórkowatą. Większą jeszcze jest liczba małych kraterów, których przez miernęj nawet siły teleskop spostrzedz można do 20,000. Obok tych okolic górzystych, znajdujemy równiny poprzerywane prostemi lub słabo tylko zakrzywionemi grzbietami. Przedstawiają się one w świetle nieco ciemniejszym, i rozróżnić je można gołym okiem. Przez długi czas równiny te uważano za morza, lecz bezzasadność tego mniemania od dawna została udowodnioną. W ogólności wyobrażeń i stosunków ziemskich nie należy przenosić na księżyc, którego przyroda całkiem jest odmienną. Do zagadkowych zjawisk spostrzeganych na tarczy księżycowej należą jeszcze wązkie i głębokie, jak się zdaje, bruzdy, krzyżujące się w różnych kierunkach. Czem są te bruzdy, dotychczas z pewnością niewiadomo; mylnie jednak niektórzy uważali je za rzeki, lub nawet za drogi bite.

Gdyby kto z czytelników zagadnął nas niespodzianie, czy księżyc jest zamieszkanym, musielibyśmy wyznać że nauka nie podaje dotąd środków udzielenia na to pytanie stanowczej odpowiedzi i że wątpić nawet należy, ażeby kiedykolwiek wynaleziono narzędzia dość silne, ku dostrzeżeniu na jego powierzchni



Tarcza księżyca.

istot żyjących. Najmniejsze przedmioty jakie za pomocą terazniejszych teleskopów rozróżnić zdołamy na księżycu, muszą mieć 4—6000 stóp długości, przy odpowiedniej wysokości. Nadto cała natura tego ciała niebieskiego zupełnie jest odmienną od ziemskiej, a więc i przypuszczalni jego mieszkańcy całkiem od nas różniłby się musieli. Wszak na księżycu nie dostrzegamy ani śladu wody, atmosfery, chmur i innych nieodzownych warunków bytu ziemskiego. Lecz porzućmy księżyc, aby się przypatrzeć innym jeszcze ciałom niebieskim.

Oto w czerwonym świetle błyszczy *Mars*, najbliższy sąsiad naszej ziemi w przestworze niebieskim i z wielu względów do niej podobny. Wiadomo że podczas zimy lody nagromadzone przy biegunie ziemskim odwróconym od słońca objętość swą znacznie powiększają i że gdybyśmy na ziemię patrzeć mogli z księżyca, snadnieby nam było poznać po silniejszym odbłasku który biegun ma zimę. Podobne zjawisko za pomocą dobrej lunety spostrzedz możemy i na Marsie. I jego też bieguny kolejno zwracają się ku słońcu, lub od niego odwracają; w pierwszym przypadku światło ich słabnie, w drugim wzmagają się coraz bardziej i zbliża ku równikowi. Przyczyną tego

są zapewne, jak na ziemi, massy topniejących lub nowo tworzących się lodów i śniegów.

Pomiędzy Marsem i potężnym Jowiszem teleskop w ostatnich kilkudziesięciu latach najliczniejsze poczynił odkrycia. Oddawna już astronomowie domyślali się, że z powodu wielkiej od siebie odległości tych dwóch planet, znajdować się muszą między nimi inne jeszcze ciała niebieskie. Istotnie też w pierwszej nocy bieżącego stulecia (1 stycznia 1801) Józef Piazzini w Palermo odkrył planetę Ceres, w tém właśnie oddaleniu od słońca, w jakim przypuszczano jej istnienie. W następnych latach odkryto w téjże samej przestrzeni kilka jeszcze drobnych planet czyli asteroid, a obecnie liczba ich wynosi już 54.

Jeżeli teraz zwrócimy teleskop na *Jowisza*, to ujrzemy go w postaci ogromnej kuli, pokrytej brunatno-szarymi smugami i plamami, szczególnie w środku i przy biegunach. Plamy te licznym podlegają zmianom, zjawiają się, przeistaczają i znikają, ustępując miejsca innym. Cztery księżycy, widzialne przez słabe nawet lunety, towarzyszą Jowiszowi i oświetlają krótkie jego noce; mówimy krótkie, gdyż planeta ta potrzebuje niespełna dziesięciu godzin do obrotu około swój osi. Liczba zaćmień słonecznych i księżycowych wynosi na Jowiszu rocznie około 4400, a wszystkie te zjawiska, za pomocą dobrych teleskopów śledzić możemy w ich przebiegu, i widziemy wyraźnie cień księżyców, nakształt czarnej chmury przesuwany się po tarczy planety. Rok jowiszowy równa się prawie dwunastu latom ziemskim.

Lecz przejdźmy do następnego w naszym systemie słonecznym ciała, do *Saturna*. Przez długi czas nic więcej o nim nie wiadano, jak tylko że jest planetą pierwszej wielkości. Z wynalezieniem dopiero teleskopu dostrzeżono że kształt jego nader jest dziwny; to zdawało się że składają go dwie kule położone obok siebie, to znów przedstawiał się w postaci kuli z dwoma uszami. Nakoniec coraz wyższe doskonalenie się narzędzi postrzegawczych wykryło, że otoczony jest pierścieniem bardzo szerokim lecz cienkim. Dokładniejsze badania okazały, że pierścień ten składa się z dwóch kół współśrodkowych, a w czasie najnowszym przekonano się że koło wewnętrzne znowu na dwa się rozpada, z których ostatnie jest przezroczyste. Nawet nierówności, jakby góry, spostrzeżono na tych pierścieniach, na samej zaś kuli Saturna czarniawe w różnych kierunkach pręgi. Planeta ta, otoczona przez ośm księżyców, oddaloną jest od nas na 200 millionów mil; księżycy jej, uważane przez najsilniejsze nawet narzędzia, przedsta-

wiają się w wielkości łebka od szpilki; a jednak zdołano dokładnie oznaczyć ich poruszenia.

Daléj jeszcze od nas znajduje się *Uran*, odkryty roku 1787 przez Herschla. Widziemy go przez silne teleskopy w kształcie tarczy, lecz z powodu zbyt wielkiej odległości mało o nim powiedzieć możemy. Nawet liczba jego księżyców nie jest dokładnie wiadomą, zdaje się jednak iż dochodzi do sześciu. Lecz jeszcze i za tą planetą, w odległości 622 millionów mil od słońca, porusza się ciało niebieskie, odkryte na zasadzie rachunku astronomicznego r. 1846 przez Leverrier w Paryżu: mówimy o *Neptunie*. Co więcéj, spostrzeżono już nawet parę księżyców téj planety, mimo przechodzącego niemal pojęcie ludzkie oddalenia.

Zobaczmyteraz czy w tym pobieżnym przeglądzie przestworów niebieskich nie uda nam się napotkać *komety*. Ciała te stanowią także część systemów słonecznych, a liczba ich jest ogromna. Lecz jakże rzadko stają się dla nas widzialnymi! Niektóre do powrotu swego potrzebują tysiąca lat i więcéj; nic dziwnego więc że ludzie od najdawniejszych czasów widzieli w nich zapowiedź klęsk i nieszczęść nadzwyczajnych.

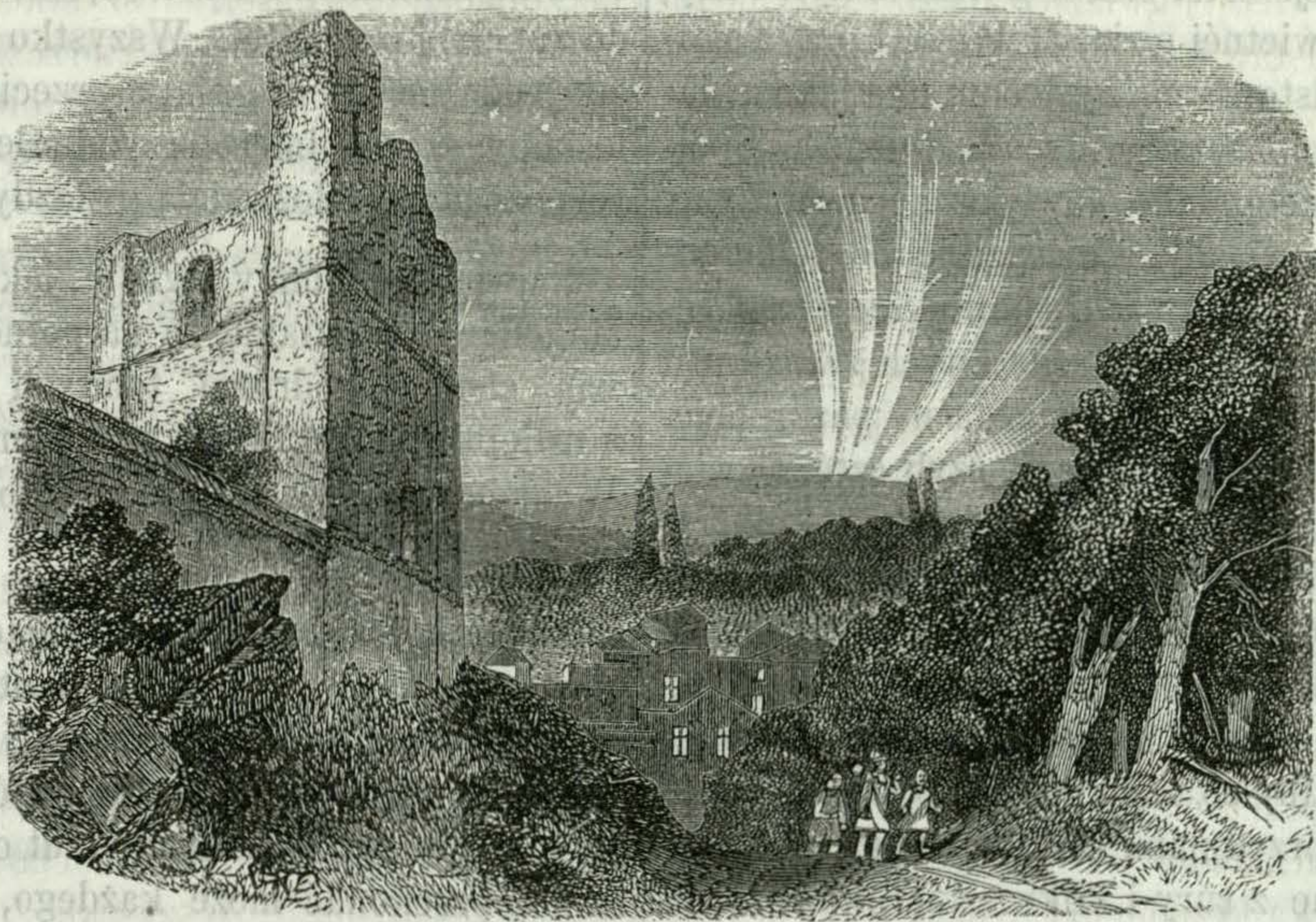
Że komety są istotnie ciałami, a nie chwilowemi zjawiskami powietrznymi, że drogi ich po większej części są mocno wydłużonemi elipsami, a więc że niekiedy bardzo się do słońca zbliżają, niekiedy znów w ogromnej od niego krążą odległości, oto mniej więcéj wszystko, co wiemy o tych dziwnych tułaczach niebieskich. Liczba ich jest zapewne nieograniczoną, lecz dotąd astronomicznie zbadano zaledwie 600. Drogi tych ostatnich zostały obrachowane z przybliżoną dokładnością; mówimy z przybliżoną, gdyż przejście komety niedaleko jednéj z planet sprawić może zboczenie, którego ściśle obliczyć niepodobna. Z całej téj rzeszy komet zaledwo pięć powraca w periodach prawie regularnych, a mianowicie komety: Halley'a w lat 76, Encke'go w dni 1200, Bieli w lat $6\frac{3}{4}$, Faye'a w lat $7\frac{1}{2}$ i Donati'ego w lat 1102. Co do składu swego, ciała te zdają się być nagromadzeniem gazów zgęszczonych, które rozszerzając się w bliskości słońca, tworzą tak zwane ogony; ztąd nawet jądra komet uważać można za pozbawione spójności i wszelkie obawy uderzenia ich o ziemię najzupełniej są płonne. W r. 1770 jedna ze znanych komet znajdowała się od nas w oddaleniu tylko 300,000 mil i skutkiem wpływu ziemi doznała opóźnienia swego biegu o przeszło dwa dni, gdy tymczasem wpływ jej na ziemię był żaden, bo rok 1770 ani o jednę sekundę

nie był dłuższym od innych. Obliczono że gdyby gęstość tej komety wyrównywała gęstości ziemi, rok nasz słoneczny byłby doznał opóźnienia o blisko trzy godziny.

Wypada nam jeszcze poznać się nieco bliżej z życiodawczą gwiazdą naszego systemu ze *słońcem*. Wszak dosyć na to zaopatrzyć nasz teleskop w szkło kolorowe, któreby do tyła osłabiło blask słoneczny, iżby oko nasze bez szkody znieść go zdołało. Ujrzymy wtedy z zadziwieniem, że i ta piękna, świecąca tarcza ma swoje niedokładności pozorne, gdyż okaże

niczne, według naszych nawet pojęć, nie byłoby niemożliwem. Zdaje się jednak iż mieszkańcy tameczni mniej jeszcze wiedzieć muszą o nas, jak my o nich, gdyż otoczeni jakby niezmierną płachtą światła, nie znajdują się w warunkach bardzo korzystnych ku czynieniu postrzeżeń astronomicznych.

Lecz opuśćmy zakres naszego systemu słonecznego, aby rzucić jeszcze okiem na niektóre inne zjawiska firmamentu. Mamy pogodny wieczór marcowy lub wrzesniowy; niebo jest bezchmurne, a gwiazdy



Kometa z r. 1743, odkryta w Harlem 9 grudnia.

nam się pokrytą tu i owdzie jakby rdzawymi plamami, które powstają zwolna, a następnie zmieniają się i znikają w przeciągu kilku tygodni lub miesięcy. Po plamach tych astronomowie poznali, że i słońce obraca się około swój osi w dni 27 $\frac{1}{2}$, a nadto z całym tłumem należących do niego planet, księżyców i komet, krąży około nieznanego dotąd środka, po drodze której ogrom przechodzić musi wszelkie nasze pojęcia o wielkości.

Obok plam występują zwykle miejsca światlejsze, zwane pochodniami słonecznymi, których naturę w części także objaśni nam teleskop. Prawdopodobnie słońce ogrzewa i świeci tylko za pomocą otaczającej je powłoki rozżarzonych gazów. Gdy ta powłoka z jakiejś przyczyny zostanie przerwana, widzimy chwilowo właściwe, nieświecące ciało słońca, w kształcie plam ciemnych. Podług tej teorii przypuszczenie że na słońcu mieszkają istoty orga-

świecą blaskiem spokojnym, niemigotliwym. Zaprawdę, wielkim i porywającym jest widok jaki wtedy przedstawi się naszym oczom. Tysiące słońc, zwanych przez nas *gwiazdami stałymi*, połyskuje światłem już żywym, już stłumionem, lecz własnem, to znaczy nie pochodzącem od słońca naszego systemu. Po między nimi ciągnie się pas świetlany różnej szerokości, tak zwana *droga mleczna*, mieniąc się blaskiem łagodnym millionowych gwiazdeczek. Astronomowie ułożyli dokładne karty niebieskie, nakształt mapp geograficznych, na których oznaczone są wszystkie ważniejsze gwiazdy i gwiazdozbiory, widzialne lub niewidzialne gołym wzrokiem. Wszystkie te gwiazdy podzielone są na gromady i każda z nich ma oddzielne nazwisko, literę albo liczbę, tak iż astronom wiedzieć może w każdej chwili, która z nich przechodzi przed szkłem teleskopów.

Ktoby okiem nieuzbrojonym spojrzął na trzy gwiazdy

składające tak zwany ogon wielkiej niedźwiedzicy, nie domyśliłby się pewnie że środkowa z nich jest podwójną; tymczasem szkło miernie powiększające już go o tём przekona w sposób niezbity. Dostrzeże wtedy że ona składa się z wielkiej gwiazdy świetnie białej i mniejszej blado-zielonkowatej. Gwiazdy takie nazywamy *podwójnemi* i prawie zawsze jedna z ich części składowych różni się barwą od drugiej. Zauważano także iż takie sąsiady odbywają nieraz obrót naokoło siebie.

Najciekawszą z tych gwiazd podwójnych opiszemy tu nieco dokładniej. Stoi ona w gwiazdozbiorze liry, trochę powyżej świetnej gwiazdy Wegi, i przy pogodnym niebie przedstawia się bystremu oku jako gwiazda piątej wielkości, kształtu nieco podłużnego. Spojrzawszy przez lunetę słabo powiększającą, ujrzymy już wyraźnie dwie gwiazdy, w niewielkiej od siebie odległości. Zastosujmy teraz szkło powiększające paręset razy, a spostrzeżemy że każda z tych gwiazd jest znowu podwójną, to jest że gwiazda na pozór pojedyncza, rozprysła się w dwie pary, czyli cztery gwiazdy. Północna z tych par połyskuje zielono i niebiesko, południowa biało; u pierwszej przybliżony czas obrotu wynosi 2090, u drugiej 1079 lat. Gdyby jednakże obie te pary, jak wszystko domyślać się każe, wzajemnie znów obracać się miały koło siebie, wtedy obrót ich trwałby co najmniej 700,000 lat. Takie to cuda odsłania przed nami teleskop, narzędzie bardzo proste, złożone z rury i kilku szkieł, które znów powstały z kawałka krzemienia, trochy ołowiu i potażu!

Nowy przedmiot podziwienia nastęrczy nam badanie gromad gwiazdowych czyli *plam mglistych*. Już gołym okiem rozróżnić można dość świetną gromadę, zwaną pospolicie kwoką, a przez astronomów plejadą. Przez mierne szkło naliczyć w niej można 70—80

gwiazd pojedynczych. Zwróćmy teraz teleskop na gwiazdozbiór Herkulesa, a przedstawi nam się widok jeden z najwspanialszych na firmamencie. Gromada ta składa się z około 6,000 gwiazd doskonale odróżnić się dających. I możnaż nie ukorzyć się przed ręką wszechmocną, co stworzyła te słońca niezliczone i skupiła je razem nakształt iskier ognistych? A jednakże ciekawszy jeszcze widok daje gwiazdozbiór Orionu. Ta plama mglista wygląda jak paszcza rozwartą ogromnej ryby, mająca na górnej szczęce coś nakształt rogu zakrzywionego. Część jej jest bardzo światła, inna mdła i bladawa, inna jeszcze ciemna, aż do zupełnej czerności. Wszystko to przedstawia się jak jedna masa światła; a przecież najsilniejsze teleskopy, szczególnie olbrzymi teleskop Rosse'go, i tu rozpoznać nam pozwalają gwiazdy pojedyncze.

Największe plamy mgliste, jak na przykład plamy Magellana, widzialne są na południowej półkuli naszej ziemi. Podróźni tamtych stron wspominają z uwielbieniem o uroczym, fosforycznym ich blasku. W ogólności plam takich naliczono i oznaczono na kartach przeszło 6,000.

Znaczna liczba gwiazd składających drogę mleczną, co nakształt pasa olbrzymiego otacza naszą ziemię, dosięga ósmej, a nawet siódmej wielkości. Słynny Wilhelm Herschel oznaczył ilość ich w przybliżeniu na 18 milionów, a pobieżny rzut oka przez dobry teleskop przekonać może każdego, że rachuba ta nie jest przesadzoną. Wszystko tu pływać się zdaje w oceanie światła i zdumionemu umysłowi mimowoli nasuwa się uwaga, że istoty żyjące prawdopodobnie w tój krainie wiecznego blasku, muszą być doskonalszej natury i bliższe tronowi Przedwiecznego, który gwiazdom i słońcom krążyć kazał w przestworze i drogom ich niezmienny naznaczył kierunek.

IDA PFEIFFER

ZNAMIENTA PODRÓŻNICZKA NIEMIECKA. ¹⁾

Ida Pfeiffer urodziła się w Wiedniu 15 października 1797 r. z małżonków Reyer, którzy posiadając od-

¹⁾ Autor niniejszego życiorysu znał osobiście tę zadiwiającą kobietę i uczestniczył w redagowaniu jej pism.

powiednie zasoby, dali jej dobre, jak na owe czasy, wychowanie. Dzieląc z braćmi swemi równie naukę jak zabawy, obdarzona wrażliwym umysłem i dziwną energią, zyskała już w dziecięcym wieku przymioty, będące więcej właściwościami mężczyzny, aniżeli płci

niewieścięj ozdobą. Upodobanie w męzkich zajęciach i przyjemnościach posunęła tak daleko, iż rada figlowała, a nawet musztrowała się z braćmi, przywdiawszy chłopięce odzienie. Powodowana temiż usposobieniami, żywiła zarazem namiętne uwielbienie dla bohaterów starożytności, którzy się wślawili dzielnością umysłu, siłą woli, lub wreszcie choćby energicznym jakimś zuchwalstwem. Leonidas, Mucyusz Scevola, Brutus i Kato byli jęj ulubieńcami, a owe karty historyi, w których niezawisłość umysłu lub męzka dzielność grały główną rolę, przeczytywała często ze wzrastającym upodobaniem. Będąc już w podeszłym wieku, opowiadała w zażyłym kółku swoje sny młodociane, wspominała o szczególnym pragnieniu udania się w męzkim ubraniu na wojnę przeciw Napoleonowi. Niezwykłe to usposobienie uwydatniło się głównie w czasie wkroczenia Francuzów do Wiednia 1809 r. Matka strzedz jęj pilnie musiała, aby czynem i słowy nie objawiła publicznie nienawiści swęj przeciw nieprzyjacielowi. Kiedy zmuszona udać się na wielką rewią odbywaną w Schönbrunn, posłyszała pośród ciekawych Wiedeńczyków okrzyk zwiastujący przybycie cesarza, odwróciła się i zamknęła oczy, a tak udało jęj się nie widziéć „tyrana”. Historya Wilhelma Tella i szczęśliwego strzału do historycznego jabłka, tak silne wywarła wrażenie na młody jęj umysł, iż dnia pewnego zastała ją matka z jabłkiem na głowie, do którego rozkazywała strzelać z łuku swym braciom.

Z postępem czasu, do zamiłowania w historyi, przyłączył się nieprzewyciężony pociąg ku geografii i podróżnictwu. Zmuszona porzucić chłopięce igraszki i dalszą naukę historyi, dla poznania przyszłych zatrudnień gospodyni, w tęg sferze żeńskiejęj praktyczności okazywała tyle powagi i poczucia obowiązku, iż stałaby się niezawodnie wzorem żony i gospodyni, gdyby los mniej zawistny na to był pozwolił. W 1820 r. oddała rękę adwokatowi Pfeiffer, zamieszkałemu w Wiedniu; lecz nie znalazła ani szczęścia, ani spokoju w związku zawartym wbrew skłonności. Utraciwszy w nieszczęsném pożyciu znaczną ojcowiznę, rozłączyła się ostatecznie z mężem, który przeniósłszy się do Galicyi, pozostawił ją w Wiedniu, zajętą wychowaniem dwóch synów z rozerwanego związku, Oskara i Alfreda, nad którymi czuwała troskliwie, aż do czasu zapewnienia im stanowiska w świecie.

Po ustaleniu przyszłości synów, zdawało się że dalszy ciąg życia naszej podróżniczki upłynie równie skromnie jak spokojnie, tęg więcej że jęj pojęcia o zakresie kobiecejęj działalności zgadzały się najzupeł-

nięj z życiem w ciszy i odosobnieniu. Oto jak się wyraża pod tęg względem w 4-m tomie swego dzieła p. t. Druga podróż na około świata. „Oby wszystkie nowozacieżne emancypancki chciały pojąć wreszcie, iż to powołanie, z pod którego tak gorliwie wybić się pragną, jest właśnie najwznioślejszém i najszlachetniejszym. Bo i cóż szlachetniejszego nad powołanie matki? Czy nie w jęj rękach leży najszacowniejszy skarb każdego kraju, wychowanie młodzieży? Czy nie matka zaszczepia w dziecięciu od najmłodszych lat zamiłowanie obowiązku i cnoty? Rozsądna żona, mądra i kochająca matka była i niezawodnie pozostanie na wieki prawdziwym ideałem kobiety.”

Skoro jednak ujrzała się wolną od obowiązkowych zajęć i pod pewnym względem samotną na świecie, dawny pociąg do podróżnictwa i zwidzania stron obcych tak silnie w nięj się obudził, iż zaczęła na serio przeżywać nad urzeczywistnieniem marzonych pragnień. W tęg celu wszelkie fundusze, obracane zwykle przez kobiety na stroje, kosztowności i t. p. przyjemnostki, składała na zamierzoną podróż, i po kilkoletniej oszczędności zebrała wreszcie sumnę 1,000 zł. reńs. Kanonik Salzbacher, który właśnie w tęg czasie świeżo powrócił z Jerozolimy, opowiedział jęj jak przy umiejętnej oszczędności odbył tęg pielgrzymkę za 800 zł. reńs. Uszczęśliwiona więc że posiada znacznie większą sumnę, uporządkowała interesa i po sporządzeniu testamentu, puściła się d. 22 marca 1842 r. sama jedna w piérwszą swą podróż.

Przybywszy do Konstantynopola, udała się do Brusy, Bejrutu, Jaffy, Jerozolimy, zwidziła morze Martwe, Nazaret, Damaszek, Balbek, góry Libanu, Aleksandryą, Kair, i przez międzymorze Suez dotarła do morza Czerwonego, a następnie z Egiptu przez Sycylią, Neapol, Rzym i t. d. wróciła w grudniu 1842 r. do Wiednia, gdzie po długim opieraniu się namowom zaciekawionych rodaków, zajęła się wreszcie uporządkowaniem i przygotowaniem do druku starannie prowadzonych podróżnych notat i wrażeń. Owocem tęg pracy była publikacya nosząca tytuł: „Pielgrzymka Wiedenki do Ziemi Św.” (2 t. Wiedeń, 1843; 4te wydanie w 1856 r.), rozpoczynająca autorski zawód naszej podróżniczki. Książka ta wcale dobrego doznała przyjęcia i doczekała się kilku wydań.

Szczęśliwe powodzenie dziełka, powiększając materialne zasoby autorki, do nowych pobudziło ją planów. W podróży do Palestyny przewodniczącą myślą naszej podróżniczki było zwidzenie miejsc, gdzie cierpiał i nauczał Zbawiciel; obecnie zateęskniła za ziemią, gdzie cuda tworzenia zostawiły jakieś niezwykle

a wielkie ślady. Islandya i skandynawski półwysep zajęły przedewszystkiém czynny jój umysł. Znalazłszy cel podróży, z tém większém upragnieniem przystąpiła do jój wykonania, że w poprzedniej już podróży nabyła przeświadczenia, iż każda kobieta posiadająca siłę woli, wytrwałość i dobre zdrowie, zdolną jest przedsiębrać najdłuższe podróże, zwłaszcza gdy (według jój własnego a często powtarzanego zdania) „należy już do minionego stulecia,” to znaczy gdy zdolną jest obudzać w płci męskiej już tylko uczucia szacunku.

10 kwietnia 1845 r., t. j. we trzy lata prawie po pierwszej wycieczce, puściła się w drogę na północ, i 16 maja, po krótkim pobycie w Kopenhadze, wylądowała w Islandyi. Po przebieżeniu téj osobliwej wyspy w różnych kierunkach, zwidzeniu Gejzeru i innych wrzących wodotrysków, dotarła szczytu Hekli, która wkrótce po jój odjeździe, po 70-letnim blisko wypoczynku, na nowo ogniem buchać poczęła. Zasadą jój było przedstawianie wszystkiego co widziała lub doświadczyła bez fantazyjnych ozdób i prostowanie wszelkiej pod tym względem przesady, choćby nawet z narażeniem się poprzednikom.

W końcu lipca 1845 r. powróciła na nędznym statku do Kopenhagi, z kąd udała się do Chrystyanii, zwidziła Thelemarken, i przybyła przez szwedzkie jeziora do Stokholmu, gdzie zatrzymała się przez czas jakiś. Ze Stokholmu udała się do Upsali i kopalni żelaznych w Danemorze, a następnie przez Trawemünde, Hamburg i Berlin wróciła do rodzinnego miasta d. 4 października 1845 r.

Jako owoc téj wycieczki ogłosiła wkrótce dziełko p. n. „Podróż na północ Skandynawii i Islandyi.” (2 t. Peszt 1846), które doznało równie dobrego przyjęcia jak pierwsza praca i przysporzyło jój funduszu na nową podróż. Bo z każdym przedsięwzięciem wrażały odwaga i podróżnicza żądza śmiałej kobiety, która w skutek nabytego doświadczenia i głównie ku praktyczności skierowanego zmysłu, uformowała sobie pewną już stałą metodę przyszłych wypraw, polegającą przeważnie na wynajdywaniu tanich i stosownych okazji, oraz zaopatrzeniu się w środki i wiadomości konieczne przy połowie owadów, ptaków i zbieraniu osobliwości przyrody, lub historycznej kultury.

Po powrocie z północy, dalsze jój podróżnicze projekta szersze przybrały rozmiary, a mianowicie zajęła plan podróży naokoło świata, któremu poświęciła całą swą wrodzoną energią. Nie mogąc już znaleźć

spokoju w kraju rodzinnym, 1 maja 1846 r. opuściła Wiedeń, udając się do Hamburga, z zamiarem odszukania jaknajprędzej okazji do Brazylii. Dokonawszy tego, 28 czerwca na duńskim brygu puściła się na pełne morze. Lecz nieprzyjazne wiatry, a potem zupełna cisza, tak dalece utrudniły podróż, że miesięcznej przeprawie przez kanał brytański, dopiero w cztery miesiące później przejechała po raz pierwszy równik, a 16 września zaledwie stanęła w porcie Rio-Janeiro.

Przedsięwziawszy ze stolicy cesarstwa brazylijskiego wycieczki w głąb kraju, napadniętą w jednej z nich została przez zbiegłego murzyna niewolnika i otrzymawszy kilka ran niebezpiecznych, zaledwie uniknęła nieochybniej śmierci. Po zwidzeniu kolonij niemieckich w tym kraju, oraz różnych plemion indyjskich, puściła się w początkach grudnia 1846 r. z Rio-Janeiro na morze, opłynęła 3 lutego przylądek Horn i dostała się 2 marca 1847 r. do Valparaiso, najznakomitszego portu na zachodniem wybrzeżu południowej Ameryki, należącego do republiki chilijskiej. Po krótkim pobycie w tém mieście, wsiadła na okręt i przerznawszy ocean, wylądowała w końcu kwietnia na wyspie Otahiti, gdzie przedstawiona królowej Pomare, miała sposobność przypatrzenia się zblizka zwyczajom i obyczajom krajowców. Jój opisy zajęcia wyspy przez Francuzów, oraz oburzącej niemoralności w koloniach francuzkich, czytane z najwyższém zajęciem, zwróciły powszechną uwagę, z przyczyny że autorka, niepowodowana stronnością, przedstawiła stan rzeczy w należytem świetle.

Z Otahiti zwróciła się ku Chinom, i wylądowawszy na początku lipca w Makao, otwartym portugalskim porcie na wyspie Hiangszang, zwidziła wyspę Hong-Kong i miasto Kanton, gdzie znów narażoną była na zniewagi ze strony synów niebieskiego państwa, uważających kobietę europejską, obywającą się bez towarzysztwa jednego choćby mężczyzny, za nadzwyczajne zjawisko. W połowie października, dotknawszy Singapore, wylądowała w Cejlan. Zwidziwszy tę piękną wyspę, jój dawną rezydencją Kandy i dzisiejszą Kolomba, oraz znakomitą świątynią Dagoha, przybiła w końcu t. m. do wybrzeżów Indyj, gdzie zabawiła czas jakiś w Kalkucie, a znalazłszy wstęp do wielu domów, miała sposobność przypatrzenia się zblizka miejscowym obyczajom, uczestniczyła w polowaniu na tygrysy, widziała obrządek spalenia wdowy indyjskiej i zajmowała się rozpoznaniem działań angielskich misyonarzy. Nie zastraszając się znojem lub niebezpieczeństwem, gdy szło o poznanie osobliwości

kraju, popłynęła Gangesem do Benares, zwidziała zwaliska Sarnatu, oraz widowie działań powstańców indyjskich w najświeższych czasach: Allahabad, Kawnpore, Fultipore i Delhi; dalej Bombaj, sławne świątynie kute w skale Ajunty i Ellory, niemniej wyspy Elefanta i Salzet.

W końcu kwietnia 1848 udała się morzem do Persyi, wylądowała w Buszir i miała zamiar zwidzenia Szyrasu, Ispahanu i Teheranu, lecz nie mogąc wykonać tego planu, z powodu krajowych zaburzeń i bardzo rozpowszechnionych podówczas napadów rozbójniczych, zmieniła go czasowo na podróż przez Mezopotamię do Basory, z kąd zwróciła się do Bagdadu. Po dokonaniu wycieczki do ruin Ktezyfonu i Babilonu, udała się z karawaną przez pustynię do Mossul i niedalekich zwalisk Niniwy, a potem do Urumii i Tebris, uczestnicząc w przeprawie połączonej z tylą trudami i niebezpieczeństwami, iż rzeczywiście trzeba było żelaznej woli i silnej natury naszej podróżniczki, ażeby przetrzymać te długie dni wśród palącego upału i nocy na plugawym często posłaniu i w obawie nieustannej rozbójniczego napadu. Konsul angielski w Tebris, któremu opowiadała o tej przeprawie, wierzyć prawie nie chciał, iżby kobieta sama, a przytém bez znajomości krajowego języka, mogła dokonać czegoś podobnego. Ona jednak czuła się rzeźwą, swobodną i jakby nowém udarowaną życiem.

W Tebris przedstawioną była wice-królowi Vali-Ahd i otrzymała od niego pozwolenie zwidzenia haremu, a następnie chwyciła znów w rękę podróżniczy kosztur, iżby przez Armenią, Gruzją i Mingrelją, na Erywan, Tyflis i Kutais dostać się do Redutkale. Zawadziwszy o Anapę, a później o Kercz i Sewastopol w Krymie, wylądowała w Odessie, z kąd przez Konstantynopol, Grecją i wyspy jońskie dotarła do Tryestu i stanęła w Wiedniu d. 4 listopada 1848 r., w sam dzień zajęcia go przez armią księcia Windischgrätza, nie znajdując w rodzinném nawet mieście upragnionego spokoju.

Po tej podróży imię i sława naszej podróżniczki, nabrały niezwykłego rozgłosu; kobieta ta bowiem zrobiła 2,760 mil angielskich lądem i 34,950 mil morskich wodą, przywożąc bogaty zbiór osobliwości ze zwidzonych krajów, który sprzedała najznakomitszym muzeum europejskim. Wkrótce też rozpoczęła porządkowanie podróżnych notat i wystąpiła z dziełem p. n. „Podróż kobiety naokoło świata” (3 t. Wiedeń, 1850), które przetłumaczono dwukrotnie na język angielski i raz na francuzki.

Po odbyciu tak wielkiej podróży, objawiła p. Pfeiffer

chęć oddania się spoczynkowi, zwłaszcza gdy po staranném rozpatrzeniu swych finansów, ujrzała je prawie wyczerpanemi. Ale to rezygnacyjne usposobienie nie było zbyt trwałém. Wkrótce uczuła się silniejszą i zdrowszą jak kiedykolwiek, a ostateczny pobyt w kraju rodzinnym, nie mógł już zadowolić ducha nawykłego do przygód. Po ogłoszeniu drukiem ostatniej podróży i uczynieniu tym sposobem jakby rozłąki z przeszłością, zwróciła znów tęskne spojrzenie ku oceanowi i dalekim stronom świata, a mając powiększone skromne swe fundusze datkiem rządu austriackiego w ilości 1,500 zł. reńs., opuściła 18 marca 1851 Wiedeń, i licząc na szczęście, udała się najprzód do Londynu, z kąd spodziewała się dostać dalej. O ile się zdaje nie miała pewnego planu, tylko „wielka podróż” snuła się jęj po głowie. Wahala się, po wyruszeniu w końcu maja 1851 i przybyciu 11 sierpnia t. r. do Kapstad, czy udać się w głąb Afryki, czyli też do Australii. Piérwszy zamysł wydał się, po dokładném obliczeniu zasobów, nadto kosztownym, ostatni zaś, z powodu braku stosownej okazji, niemożebnym. Korzystając więc z okrętu płynącego do Singapore, zdecydowała się na powtórne odwiedzenie tej wyspy. W Singapore porzuciła myśl przebieżenia Australii; wylądowała w Sarawak na zachodniem wybrzeżu wyspy Borneo, i znalazłszy u Anglika sir James Brooke, który założył tu rodzaj niezawisłego księstwa, najprzychylniejszą pomoc i silną protekcją, zwidziała, mimo licznych niebezpieczeństw, dzikie i wojownicze, a ujarzmione przez Malajczyków plemię Dajaksów i inne niezawisłe, zbrojna jedynie w odwagę i zimną krew, która jęj wszędzie, nawet i tu, jednała podziw i poszanowanie. Dostawszy się szczęśliwie do Sintang, gdzie przyjętą została uroczyście przez panującego sułtana, zwróciła się do Pontianak i diamentowych kopalni w Landak, doznając wszędzie po drodze jaknajgościnniejszego przyjęcia i pomocy ze strony oficerów i urzędników holenderskich. Nie mogąc wszakże znaleźć koniecznego przewodnika do położonych na południowém wybrzeżu posiadłości holenderskich Bandjer-Massing, na długą a niebezpieczną przez nieznaną dotąd Europejczykom stronę drogę, porzuciła tę myśl i zwróciła się ku Jawie. W końcu maja 1852 r. przybyła do Batawii, gdzie czyniąc liczne wycieczki, wstąpiła na górę Pangorango, 9,500 stóp wysoką.

Dnia 8 lipca 1852 r. puściła się w drogę do Sumatry, którą to podróż w pismach swoich nazywa najprzyjemniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek odbyła. Z Padang, naczelnego punktu wyspy, czyniła

jak zwykle liczne wycieczki w głąb kraju i dostała się aż do Battasów, którzy pomimo niejakić cywilizacyi, nie pozbywszy się aż dotąd ludożerczego nawyknięcia, pożarli przed kilką laty dwóch misyonarzy, przybyłych w celu osiedlenia się między nimi. Niezrażona tém jednak bohaterka, prowadzona przez miejscowego przewodnika, udała się w drogę przez wyspę od zachodu na wschód, celem odszukania wielkiego jeziora Ayer-Tawar, znanego tylko z opowiadań krajowców, a przebywszy dzicz straszną i dotarłszy do krainy właściwych Kannibalów, przepędzając noce pod gołym niebem, w ciągłej czujności przed napadem tygrysa lub innego dzikiego zwierza, mimo ostrzeżeń iż zabita i zjedzona zostanie, dopiero wtedy zaniechała dalszej podróży, gdy dzicy zagrodzili ję drogę wyciągnionemi włóczniami. Miało to miejsce w gęsto zaludnionej dolinie Silidang, o dzień drogi od jeziora Ayer-Tawar; wszelkie ję prośby i błagania nie zdołały wymódcz pozwolenia udania się doń, zmuszoną przeto była powrócić do Padang (7 października 1852).

Odwidziwszy po raz drugi Jawę i Batawię i przedsięwzięc wycieczki do plemion Diokjokarta i Surakarta, a nadto do świątyni Boro-Budar i Surabaja, popłynęła do wysp mniejszych sundzkich i moluckich, t. j. Bandy, Amboiny, Saparny, Ceram i Ternate, zabawiła czas jakiś u dzikich Alfurów i zrobiła wycieczkę do Sondów na Celebesie, gdzie doznała również miłego przyjęcia.

Z wysp sundzkich udała się oceanem wielkim wprost do Kalifornii, i przez dwa miesiące nie widząc nic więcej nad ziemię i wodę, wysiadła wreszcie 27 września 1853 r. na ląd w San-Francisco. Kalifornią właśnie wtedy ożywiała modna żądza nabycia złota, a nasza podróżniczka dostała się z pod pełnej prostoty przyrody Indyj, pośród najdzikszych wyrzutków cywilizowanego świata, którzy tu przeludnili małą stosunkowo przestrzeń. Nie dzielając naturalnie epidemicznej manii, zabawiwszy czas jakiś w San-Francisco, zwidziwszy płócznie złota w Sacramento i nad Yubą, niemniej Crescent-City, puściła się wzdłuż rzeki Czerwonej.

Koniec 1853 r. zastał naszą podróżniczkę przygotowaną na podróż do Panamy, gdzie zatrzymawszy się dni parę, odpłynęła parostatkiem do wybrzeży peruańskich. Wylądowawszy w Kallao, udała się do Limy, i przebywając tam czas jakiś, czyniła wycieczki w okolice. Zamiarem ję było przebyć z Limy Kordyliery, a następnie dostać się po Amazonce

na brazylijskim paropływie, do wschodniego wybrzeża południowej Ameryki; wszakże rewolucya wybuchła właśnie w Peru przeszkodziła tym zamiarom, narażającym życie podróżniczki, i skierowała ją ku Quito, zkad znów udała się paropływem do stanu Ecuador. W marcu wyruszyła z Guajaquil i w pobliżu Chimborasso przebyła grzbiet Kordylierów (14 — 16,000 stóp wysoki), dostając się tym sposobem na wyniosłą płaszczyznę Ambato, mianowicie do Takungu. Tu miała szczęście widzieć szczególniejszy wybuch wulkanu Kotopari, czego ję później Humboldt tak bardzo pozazdrościł. D. 3 kwietnia 1854 r. przybyła do Quito, ale na nieszczęście nie znalazła tu przyobiecanej od miejscowego rządu pomocy, t. j. ludzi mających ję towarzyszyć w wycieczce po Amazonce. Zmuszona przeto do zmiany pierwiastkowego projektu dostania się tą drogą do wschodniego wybrzeża Ameryki południowej, przedsięwzięła powtórna a uciążliwą przeprawę przez Kordyliery do Guajaquil, narażając po dwakroć życie: raz przez bardzo niebezpieczny upadek muła, a powtórnie przez wypadnięcie z małej łodzi w Guaję, zwłaszcza gdy towarzysze nie kwapili się z ratunkiem, chcąc zapewne zabrać ję chudobę. Ze wstrętem powróciła morzem do Panamy i w końcu maja przebyła międzymorze.

Z Aspinwall udała się do Nowego Orleanu, gdzie zabawiła do 30 czerwca; następnie rzeką Mississippi do Napoleonu i dalej rzeką Arkanzas do Fort-Smith, gdzie przetrzymawszy czwarty paroksyzm zawziętej febry sumatrańskiej, zmuszoną była pożegnać się z myślą odwiedzenia Indyan Eherokejów. Powróciła przeto na Mississippi i 14 lipca dostała się do St. Louis, zkad odwiedziła znanego badeńskiego demokrate Heckera. Dążąc następnie dalej ku północy, mianowicie do St. Paul i katarakty św. Antoniego, dostała się do Chiago, do Wielkich jezior i do Niagary, a po odbytej wycieczce do Kanady, zatrzymała się jeszcze czas jakiś w Nowym Jorku, Bostonie i t. p. Nakoniec wsiadłszy na okręt, po dziesięciodniowej przeprawie przybyła d. 21 listopada 1854 r. do Liwerpolu. W całej tej wielkiej podróży ofiarowały ję prawie wszystkie amerykańskie i holenderskie parowce bezpłatną jazdę, co bez wątpienia przeważnie wpłynęło na szczęśliwe onę dokonanie; ale podobnej bezinteresowności nie doznała na żadnym ze statków angielskich.

Nie tu jednak miał być koniec owęj podróży. Jeden z synów podróżniczki zamieszkał od pewnego czasu na wyspie San-Miguel, należącej do grupy wysp azorskich; pragnąc go przeto odwiedzić, posta-

nowiła uczynić mały dodatek do świeżo odbytej podróży, a znalazłszy w Liwerpolu miejsce na szonerze, dostała się po dwudziesto-dniowej uciążliwej i pełnej znoju żegludze do San-Miguel, gdzie zabawiwszy od stycznia do maja 1855 r., wróciła wreszcie przez Lizbonę, Sutampton i Londyn do Wiednia.

I z téj także podróży przywiozła bogate skarby w ptastwie, owadach, muszlach i licznych przedmiotach etnograficznych, z których szczególną baczność zwróciły osobliwości z krainy Batta; zbogaciły one po największej części zbiory muzeum brytańskiego, lub gabinetów cesarskich w Wiedniu. O ile pierwój pragniono poznać „ciekawą” kobietę, iżby zastosować do niej znane przysłowie o szewcu, o tyle teraz uznawano jej czyny, osiągnięte tak ograniczonymi środkami, okazując jej cześć i szacunek. Nowe jej dzieło p. t. „Druga moja podróż naokoło świata” (4 t. Wiedeń 1856), czytano chciwie i przetłumaczono zaraz po wyjściu na języki angielski, francuzki i holenderski. Najgorętsze wszakże spólczenie objawili jej Aleksander Humboldt i znakomity geograf berliński Karol Ritter, a zwłaszcza piérwszy, obdarzając ją przyjazną pochwałą, czém uszczęśliwiona wymawiała zawsze jego imię z głębokim i pełnym wdzięczności uwielbieniem. Oprócz tego, na wniosek poprzednio wymienionych uczonych, mianowano podróżniczkę naszą w r. 1856 członkiem honorowym berlińskiego geograficznego towarzystwa i obdarzono z woli króla pruskiego złotym medalem za umiejętności i sztuki; co wszystko, w połączeniu z uznaniem jakiego doznała w Berlinie, bez wątpienia większém aniżeli w Wiedniu, sprawdza znów stare przysłowie, że nikt nie jest prorokiem w swój rodzinnej ziemi.

Jak po powrocie z poprzednich podróży miewała zwykle na czas jakiś postanowienie oddania się stale wypoczynkowi, tak po ostatniej ani myślała o tém. Zajęta przeglądaniem podróżnych notat, następnie wydawnictwem nowego dzieła i wyprzedając przywiezionych osobliwości, snuła już nowe plany na przyszłą podróż; nabyła bowiem przekonania, iż zdolną jest przyłożyć się do rozszerzenia pojęć o dalekich krajach i ludach, i postanowiła poświęcić się temu celowi aż do sił ostatka. Marzyła teraz o Madagaskarze, a wyjawiając myśl swą Humboldtowi, który radził raczej Meksyk, przystąpiła niezwłocznie do przedwstępnych przygotowań. W maju 1856 r. opuściła Wiedeń, udając się przez Berlin do Paryża, gdzie znów mianowaną była członkiem honorowym miejscowego geograficznego towarzystwa. W Paryżu jednak tak mało znalazła zachęty do postanowionej podróży, iż po-

rzuciła chwilowo pierwiastkowy zamiar i zdecydowała się na powtórne zwidzenie archipelagu indyjskiego. Powiedziano jej mianowicie, iż na Madagaskarze panuje sroga i nienawistna dla Europejczyków królowa, i gdy z tego powodu stosunki z wyspą zupełnie są zerwane, przeto mało który okręt odważa się zbliżyć do niegościnnych wybrzeży. Dnia 31 września 1856 r. udała się do Indyj, ale wylądowawszy w Kapstad, odszukana przez Francuza imieniem Lambert, który ofiarował się towarzyszyć jej na Madagaskar, przyjęła z prawdziwą radością sposobność urzeczywistnienia pierwiastkowego planu i udała się bezzwłocznie z grzecznym Francuzem na wyspę Mauritius, gdzie tenże miał swe posiadłości.

Jednakże gwiazda nieszczęścia zawisła nad tą wyprawą. W czasie bytności na Madagaskarze w 1855 r. zawarł był Lambert ściśle stosunki przyjaźni z tamiecznym następcą tronu Rakoto. Według listów podróżniczeki, książę Rakoto miał być zawziętym wrogiem tyrańskich rządów swój królewskiej matki Ranavali, a przytém człowiekiem pragnącym jaknajrychlej dać przystęp w swym kraju europejskiej oświacie i chrześcijaństwu. Zawarł więc w tym celu z Lambertem przymierze, mocą którego stara matka usuniętą być miała od tronu, młody zaś książę objąć rządy państwa. Lambert ze swój strony przyjął obowiązek udania się do Francji i Anglii, celem wyjednania interwencji. Zamiary te jednak rozbiły się o zawisć wymienionych mocarstw, które wymówiły się niemożnością mieszania się w sprawy obce. Gdy Lambert objawił księciu niepomyślny poselstwa swego skutek, Rakoto sprzymierzył się z dostojnikami wyspy, by tym sposobem odebrać gwałtem i na własną rękę ster rządu. Ponieważ jednak charakter Howasów, przeważnego plemienia wyspy, jest fałszywy i podły, skoro więc przyszło do wykonania czynu, zabrakło najważniejszych sprzymierzeńców, a rzeczy pozostały na dawniej stopie.

Towarzystwo angielskich misjonarzy, pisze dalej podróżniczka, zawiadomione dokładnie o zamiarach Lamberta i obawiając się naturalnie z wpływem francuzkim wprowadzenia katolicyzmu na wyspę, wysłało misjonarza Ellisa do Tananarivo, stolicy wyspy, który wyjawił wszystko królowej, ostrzegając ją przed księciem i Lambertem.

Wśród tak nieprzyjaznych okoliczności, przybywszy d. 7 maja 1857 r. z Lambertem do Tananarivo, podróżniczka nasza doznała jednak jaknajlaskawszego przyjęcia, oficerowie bowiem, żołnierze i muzyka, wysłani od dworu, oczekiwali na jej przybycie. Powita-

nie księcia z Lambertem było niemniej przyjazne, a kiedy ten ostatni zapadł na febrę, rozkazała sama nawet królowa dowiadywać się codziennie o jego zdrowiu. Mimo więc intryg misyonarzy, interesa naszych podróżnych stały niezłe, dopóki 3go lipca jeden z ochrzczonych Howasów, imieniem Ratsimandiso, nie zdradził chrześcian spółbraci (a było ich kilka tysięcy), podaniem listy ich na piśmie, która choć na szczęście dostała się dość wcześnie w ręce księcia, spowodowała jednak tłumną emigracją do lasów położonych w głębi wyspy i przysięgę zemsty królowej na tych wszystkich, co zdołali schronić się dość wcześnie.

Piérwszy minister, a zawzięty nieprzyjaciel Lamberta, korzystając z okazji, zadenuncyował przybyśców jako spiskowych i wichrzycieli, osiadłych na wyspie w celu zwaleni dotychczasowych rządów; wypadli przeto z łaski. Aresztowani oboje i trzymanni przez dni 14 w najopłakańszej niepewności, mieli być karani śmiercią publicznie; ale Rakota tak silną stawił opozycją, iż królowa, powodowana może także obawą narażenia sobie interesowanych mocarstw, cofnęła wyrok, poprzestając na natychmiastowém wygnaniu. Jakoż po formalném objawieniu wyroku, odprowadzono delikwentów pod strażą 50 żołnierzy i 25 officerów do przystani Tamatawe, leżącej na wschodniem wybrzeżu.

Chociaż droga z Tananarivo do Tamatawe w ośm dni wygodnie odbyta być może, naszych jednak jeńców pędzono umyślnie przez najniezdrowsze okolice, pozbawiwszy ich wszelkich wygod i traktując jaknajsurowiej przez dni 53; nie dziwnego więc że dręczeni codziennymi paroksyzmami zjadliwej febry, przybyli prawie bez duszy do Tamatawe i na wyspę Mauritius.

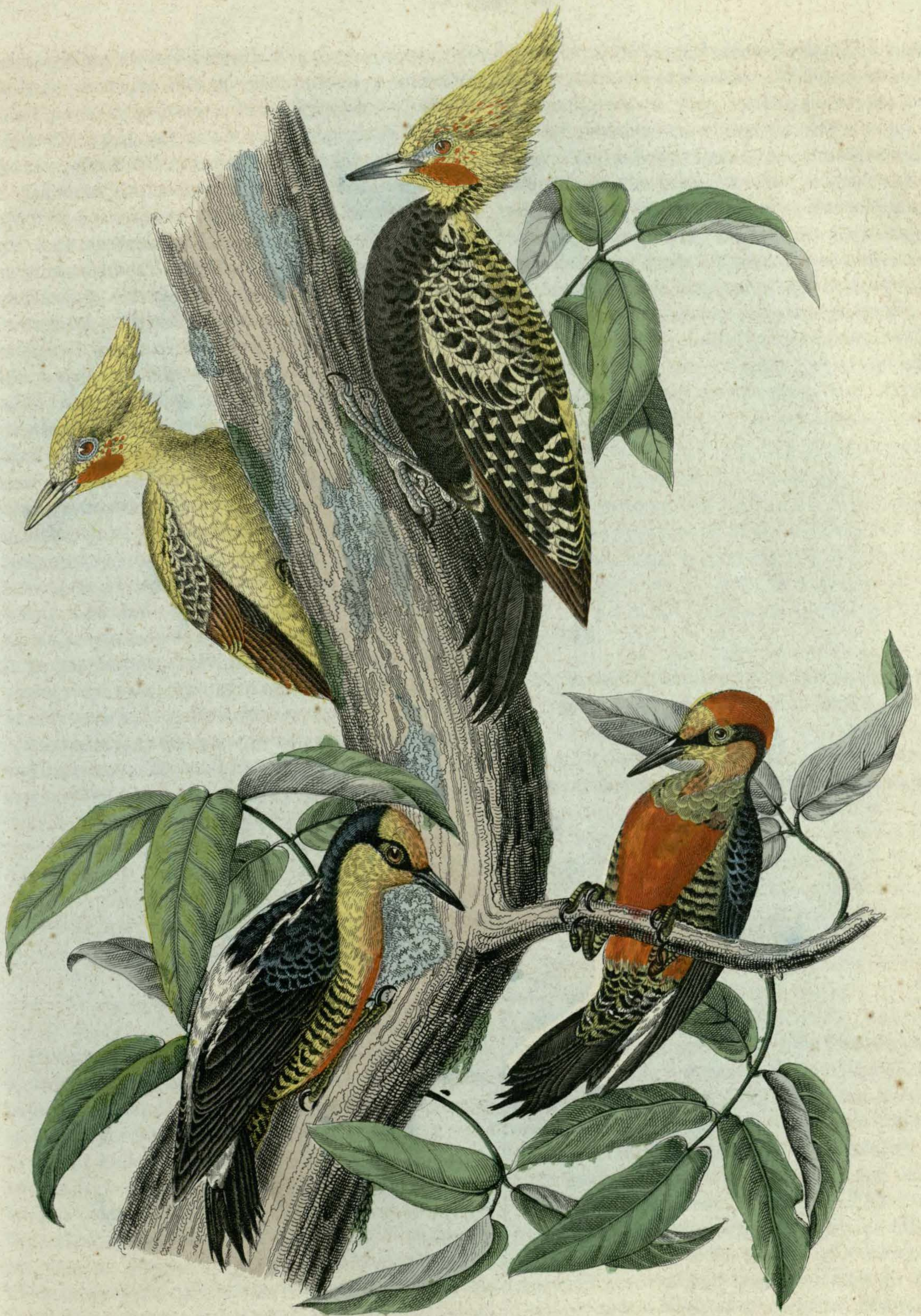
Tu 60-letnia podróżniczka nasza zatrzymała się czas jakiś, dla poratowania ostatecznie nadwreżonego zdrowia; ale nie mogąc doczekać się skutków kuracyi, przybyła 30 maja 1857 r. najprzód do Anglii, a potem 12 czerwca do Hamburga, gdzie na własne żądanie w szpitalu przez 6 tygodni leczoną była. Na zaprosiny przyjaciółki udała się do Berlina, i bawiąc tam przez dni 14, odebrała odwiedziny Humboldta. Ale i tu pozbyć się nie mogła właściwego nerwowym chorobom niepokoju; udała się więc do innej przyjaciółki, zamieszkałej w okolicach Wieliczki. Tymczasem złe powiększało się niemal codziennie, aż nareszcie, dręczona tęsknotą za rodzinném miastem, pojechała do Wiednia, i tam w domu brata pozostawała już do ostatniej chwili życia.

Chwila ta wybiła w 6 tygodni po przybyciu jój do Wiednia. Doznane trudy i wycieńczenie, w skutek nieustannych paroksyzmów febry, spowodowały najprzód zatwardzenie wątroby, a następnie straszliwy rozstrój nerwowy. Trapiąca nieustanném cierpieniem i niepokojem, chora zmieniła się do niepoznania, a utraciwszy mowę, porozumiewała się już tylko za pomocą znaków lub wzroku z otaczającymi. Gdy mówiono jój, jak zwykle chorym, o wyzdrowieniu, to na jój ustach zjawiał się pół-ironiczny, pół-melancholijny uśmiech. W ostatnich dniach życia rozdrażnioną fantazyą chorój zajmowały często cierpienia doznane na Madagaskarze. Codziennie prawie odbierane zapytania o jój zdrowie z różnych stron świata, dowodziły spółczucia dla cierpiącej, która wreszcie dnia 28 października 1858 r. o godzinie 1 z południa uległa w ostatniej walce. Za trumną jój szły wszystkie znakomitości świeckie i uczone Wiednia. Pogrzebioną została na cmentarzu św. Maksymiliana pod Wiedniem.

Charakter téj kobiety był w każdym razie dziwnie niezwykły, i dopiero bliższe z nią stosunki dawały możność ocenienia go należycie, tém bardziej że mężka jój energia i siła woli nie objawiały się bynajmniej na zewnątrz, że żądza błyszczenia była jój najzupełniej obcą i że nie siliła się wcale na wywarcie wrażenia. Z tego więc powodu, choć pod spokojną i zimną prawie powierzchownością kryła umysł nieugięty i pełen zapału, uważało ją wielu za kobietę dosyć pospolitą. Ale ogromna siła woli, nie dająca jój chyba w obec żelaznej konieczności zachwiać się w raz powziętym zamiarze, obojętność na najsrozsze nawet cierpienia fizyczne i wrodzona przytomność, okazana w najdrażliwszych okolicznościach, składały razem charakter jakby przeznaczony do spełnienia czegoś niezwykłego w świecie.

Korzystając z tych przymiotów, podróżniczka nasza dobrze się téż zasłużyła ziemioznawczej umiejętności, zwidzając już to nieznane lub małoznane strony, to znów wyświecając sumiennym sądem szczegóły już poznanych, a wreszcie skrzętném zbieraniem (choć często bez znajomości rzeczy) przedmiotów etnograficznego znaczenia i osobliwości natury, zdobiących dziś muzea zoologiczne Wiednia, Berlina i Londynu, między którymi wiele jest rzadkich i zupełnie nieznanych okazów.

Któż śmiałyby zaprzeczyć żywotnych zasług podróżniczce, co nie czerpiąc środków ku temu z własnej szkatuły, odbyła przeszło 150,000 mil morskich wodą i około 20,000 mil ang. lądem? Lubo nie



obznajmiona dostatecznie z nauką przyrody, uczyniła jednak co mogła dla jęj wzbogacenia, postrzegłszy zbyt późno tę próżnię w swém wychowaniu, odebraniem w czasach gdy nawet mężczyźni mniej, lub wcale nie zajmowali się naukami przyrodzonymi.

Do dalszych przymiotów naszej podróżniczki zaliczyć jeszcze należy: najzupełniejszą niezawisłość sądu, brak uniżenia, zwłaszcza w zetknięciu z osobami arystokratycznęj lub pieniężnęj sfery, przechodzący niekiedy nawet w szorstkość, uszanowanie dla wiedzy, niezmacone niczém pojęcie obowiązku, miłość prawdy, tyle cenną w zawodzie któremu poświęciła życie, przyjacielskość dla dobrze życzących, serdeczność i wylanie dla zażyłych i wreszcie dziecięcą prawie, a nieskończenie ujmującą dobroć dla blizkich sobie. Ponieważ te przymioty były więćj męskiej aniżeli niewieścięj natury, właściwości kobiece pozostały tak mało w nięj uwydatnionemi, iż w młodzięnych jeszcze latach trzeba ją było zmuszać do zajęcia się szyciem i t. p. robotami, co wszakże nie przeszkadzało jęj bynajmniej w najdoskonalszém pojmowaniu obowiązków matki. Rada przyjmując objawy należnego sobie szacunku, patrzyła niechętnie na brak ich zupełny. Fundusze dające się ująć bez uszczerbku z potrzeb podróżniczych, obracała na cele dobroczynne i miłosierne uczynki.

Przymioty jęj fizyczne nie odpowiadały bynajmniej wyobrażeniu, jakie uczynićby sobie można o tyle heroicznęj kobiecie. Była niska, szczupła, przygarbio-

na nieco, w skutek utrudzeń i znojów, i spokojnego a niewymuszonego ułożenia. Tylko upał zwrotnikowy spalił jęj nieco cerę; zresztą niezwykle przejścia nie pozostawiły najmniejszego śladu w jęj rysach, które obok pogody i rzetelności, przedstawiały nade wszystko piętno tego, na czém właśnie zbywało jęj przez całe życie, to jest spokoju. Ożywiona rozmową, twarz jęj wyrażała zajęcie, a oczy, spoglądające dziwnie ponuro w razach niezadowolenia, przedstawiały coś nieskończenie ujmującego, gdy była w przyjazném usposobieniu. Ponieważ przestawała wiele z ludźmi których języka nie znała, przeto często przez zapomnienie używała nawet między swemi ożywionęj gestykalacyi, z któréj postrzegłszy się, zwykła była śmiać się serdecznie.

O swęj podróżniczęj żądzy tak mówi w przemowie do piérwszego swego dzieła: „Podobnie jak malarza trapi niewyciężona żądza odtworzenia wymarzonych rysów, a poetę pragnienie wypowiedzenia powziętęj myśli, tak mnie trapi żądza zwidzania świata; bo podróż była już snem méj młodości, a wspomnienie widzianych ziem i ludów stanie się kiedyś pociechą méj starości.”

Ida Pfeiffer zmarła w swym zawodzie, nie jako żołnierz śród boju, ale z ran poniesionych przez zwrotnikowe upały, a przedłużona choroba niezawodnie sroższą była jęj męczarnią, jak gdyby śmierć ją spotkała od paranga dzikich ludów, lub w falach oceanu.

DZIECIOŁY BRAZYLIJSKIE.

Powierzchowne nawet zapatrywanie się na rozmaite zwierzęta, dotykalnie już wykazuje nam zadziwiającą zgodność ich budowy ogólnej i pojedynczych części, ze sposobem życia i potrzebami. Zwierzęta na przykład, których pożywienie stanowią rzeczy bardzo twarde, tak mają urządzone zęby i szczęki, że z łatwością przedmioty te rozdrobnić są zdolne; ptaki drapieżne, żyjące mięsem, mają i dzioby silne, haczyaste, tnące, i szpony taką obdarzone zręcznością, że niemi pożywienie przytrzymywać mogą, podczas gdy je dziobem szarpia. Mniej może widocznym, a jednak równie niezaprzeczoným, jest stosunek między spo-

sobem życia i zewnętrznęm ubarwieniem zwierząt. Uderzający tego przykład dają nam prawie wszystkie ptaki tak zwane biegające, (*cursores*) które zwykle mają płowy kolor piór, podobny do piaszczystęj ziemi na któréj się utrzymują. Ptaki żyjące na północy, mają pióra jak śnieg białe, i bodaj czy natura nie dała im téj barwy dlatego, żeby wśród śniegu nie były zanadto widocznymi dla czyhających na nie nieprzyjaciół. Z téj samęj może przyczyny w naszych lasach najwięćj jest szarych, brudno-żółtawych lub czarnych ptaków, a w strefach podzwrotnikowych, gdzie zieleń liści nieskończenie żywsza, a kwiaty leśnych

drzew nawet jaskrawo-barwiste, ptastwo w ogóle odznacza się żywym, różnokolorowym ubraniem. Wszystkie na przykład europejskie dzięcioły mają czarne, białe i szare pióra, z kilką tylko czerwonymi na czubku u samców, kiedy tymczasem dzięcioły brazylijskie bez wyjątku odznaczają się pstrocizną żywych kolorów. Barwa biała, ważną grającą rolę u dzięciołów europejskich, zastąpiona bywa u brazylijskich mniej więcej ognisto-żółtą.

Trzy najpiękniejsze gatunki dzięciołów brazylijskich przedstawione są na załączonej tu litografii. Opis ich winniśmy pełnemu zalet dziełu księcia Maksymiliana Wied o historii naturalnej Brazylii.

Najwyżej umieszczony po prawej stronie jest dzięcioł żółtoczuhy (*Picus flavescens* Linn.). Głowa i długi czub, zachodzący w tył głowy, są pięknego, żółtego koloru; samiec ma przytém pod oczami podłużną centkę czerwoną. Brzuch i ogon szaro-czarne, na grzbiecie i skrzydłach gęste centki jasno-żółte; długość od dzioba do ogona blisko dziesięć cali. Ten gatunek jest najpospolitszy w lasach Brazylii, tak w południowej jak i w północnej stronie. Głos ma podobny do europejskich dzięciołów. W porze letniej spotykamy go w parach; w zimniejszym czasie pojedynczo siedzi po drzewach i puka dziobem, chwytając owady. Często schodzi i na ziemię, gdzie ma obfitość mrówek. Nie jest on zbyt lekliwy i łatwo go ubić. Gniazda jego znajdują się w wydrążonych drzewach. Brazylianie nazywają go Pica-Pao.

Dzięcioł żółty, po lewej stronie u góry, ma głowę podobną do poprzedzającego, lotkowe pióra szarobrunatne, z brzegami żółtymi, resztę zaś ciała pokrytą blado-żółtym pierzem. Wielkością równa się poprzedniemu. Znajduje się w Gujanie, tudzież w środkowej i północnej Brazylii; w południowej niema go wcale.

Dwie niższe figury przedstawiają dzięcioła czerwono-czubatego (*Picus coronatus*); po prawej stronie jest samiec, po lewej samica. Czoło i podgardle tego ptaka są żółte, brzuch czerwony, boki żółtawe i czar-

no-centkowane, grzbiet, szczególnie w dolnej połowie, biały, skrzydła i ogon czarne, z połyskiem stalowym, podobnież górna część grzbietu. U samca wierzch głowy jaskrawo-czerwony. Ten gatunek mniejszy jest niż oba poprzednie, nie przechodzi bowiem długości ośmiu cali. Ojczyzną jego południowa Brazylia i Paraguay; dalej ku północy można go także napotkać. W Belmonte i Alcobasa autor powyżej wspomnionego dzieła spotykał go często parami, lub nawet liczniejzemi, zapewne familijnemi, gromadkami. Włazi on na najwyższe drzewa, kując po drodze w korę, dla wystraszenia robaków i owadów, którymi się żywi. Wydaje głos ostry, krzykliwy, często się powtarzający. Żywe i rozmaite barwy pierza, czynią go jednym z najpiękniejszych gatunków tego rodzaju.

Cechy rodzajowe dzięciołów wspólne są przeszło sześćdziesięciu gatunkom, dokładnie już obecnie rozróżnionym i opisanym. Wszystkie one mają dziób mierny, silny, prosty, lub lekko zgięty (jak u *P. auratus* i *P. cafer*), wieloboczny, na końcu ściętniony, klinowaty. Nozdrza przy osadzie nosa okrągłe, piórkami szczeciastymi przykryte; język wysuwalny, długi, zadzierzysty po bokach. Wszystkie żywią się owadami, które łażąc po drzewie, pukaniem dzioba wystraszają i na język chwytają. W łażeniu po drzewach szczególnie dopomaga im ogon klinowaty, z tęgiemi sterówkami, którym się jakby trzecią nogą podpierają. Jeden tylko gatunek, *P. arator*, w stronach południowych, nie łązi po drzewach, tylko ugania się za owadami po ziemi. Naturaliści francuzcy rozróżniają dwa podrodzaje dzięciołów, stosownie do składu nóg. Właściwemi dzięciołami, *Épeiche* albo *Pic*, nazywają te, które mają po cztery palce u nóg; te zaś u których brak tylnego palca zewnętrznego, nazywają *Picoide* (*Picoidus*, *Dzięciuk*). Do pierwszych liczy się przeszło pięćdziesiąt ze znanych gatunków. U dawniejszych naturalistów dzięcioły trzypalczaste odróżniano tylko gatunkowym przydomkiem *trydactylus*. Przedstawione tu gatunki brazylijskie należą do właściwych dzięciołów czteropalczastych.

ROZMAITOŚCI.

Angielskie kolonie w Australii ciągną się tylko wzdłuż brzegów morskich; wnętrze tej obszernej krajiny stanowią albo błota, albo też bezwodne pustynie, przez które przejście jest jeżeli nie niepodobne, to przynajmniej bardzo trudne. Trzy ekspedycje z trzech oddzielnych punktów wysłane zostały w roku zeszłym, dla dokładnego zbadania tych odludnych okolic. Jedna z nich, pod przewodnictwem majora Warboorthona, przybyła do Adelaidy (nadbrzeżnej kolonii), nie doszedłszy granic pustyni, i nie znalazłszy na swój drodze żadnej oazy sposobnej na miejsce zamieszkania. Druga, pod zarządem Babedga, dotychczas jeszcze nie powróciła, i za jej pośrednictwem doszła do władzy kolonialnej wiadomość o smutnym losie trzeciej wyprawy, składającej się z Cowltarda, Scotta i Brucksa, trzech śmiałych podróżników, którzy zginęli zapewne w pustyni z głodu i pragnienia.

Babedg'e ze swojemi towarzyszami znalazł zwłoki Cowltarda pod wyniosłym krzakiem; o parę kroków leżały rozrzucone podróżne sprzęty zmarłego. Na podstawie ołowianej miednicy znajdowały się wryte gwoździem albo innem narzędziem ostrém następujące wyrazy: „W całej okolicy nie znalazłem kropli wody. Nie mogę ściśle oznaczyć kiedy rozstałem się z Brucksem i Scottem, zdaje się jednak iż było to w poniedziałek. Otworzyłem sobie żyłę w Pompei, ażeby krwią jej ugasić palące pragnienie, i pojechałem konno wyszukać wody. Ostatnią moją czynnością jaką zapamiętam było uwolnienie klaczy od siodła i wypuszczenie jej na wolność,—niech ucieka, dopóki jej sił starczy! Niewiem jak dużo upłynęło czasu od tej chwili: dwa albo trzy dni może. Język lgnie do podniebienia, zaledwo widzę co piszę. Czuję jednak iż raz to ostatni wyrazić mogę myśl swoją, gdyż tracę przytomność z pragnienia... W oczach miga mi się,..... nic nie widzę. Panie, zmiłuj się nademną.”

Depesza Babedga datowana jest 16 lipca roku zeszłego, kiedy ekspedycja zaopatrzoną jeszcze była w zapasy nieodzowne do odbywania dalszej podróży, a lubo czuła się zmęczoną na siłach, nie zwątpiła jednak o osiągnięciu celu. Dotychczas przecież niewia-

domo czy rozwiązała zagadkę jaką przedstawia Australia dla geografów.

Najpierwsze usiłowania przedarcia się w głąb tego dzikiego kraju zależały na tém, ażeby płynąć w górę rzeki wpadającej do morza. Lecz śmieli podróżnicy, zamiast dojść do wyniosłych gór jakich się spodziewali, dopłynęli do ogromnego błota, zarosłego trzcina, po którym żegluga była niemożliwą, z przyczyny niedostatku wody. Następnie postanowiono zbadać jak daleko rozszerza się owo bagno, lecz przekonano się, iż przechodzi powoli w bezpłodną pustynią, ciągnącą się aż do kolonii Adelaidy.

*

Coraz to liczniejsze podróże w krajach pustynnych, lub kędy cywilizacja stoi na niskim bardzo stopniu, skłaniają dowcipnych mechaników i podróżników do coraz większego ulepszania przyborów drogowych, zapewniających jaknajwiększą możliwą wygodę. Do takich należą świeżo poprawione przez majora Rods'a namioty, które rokują niemałe korzyści nietylko dla podróżników, ale i dla wojska. Wyższość tego rodzaju namiotów polega głównie na tém, że są niesłychanie lekkie, a zatem łatwe do przenoszenia lub przewożenia; nadto, pomimo tej lekkości, opierają się zerwaniu podczas burzy, a jednak zwijają się nader szybko. Namiot taki posiada kształt ośmiościanu, a fundamenta jego, jeśli się tak wyrazić wolno, stanowią ośm jesionowych, bambusowych lub innego rodzaju kołków, które jednym końcem umocowują się w drewnianym wierzchołku, drugim zaś wbijają w ziemię. Tym sposobem namiot ma podobieństwo do rozpiętego parasola, bez środkowego kija.

*

W Nowym Jorku istnieje towarzystwo przyjaciół ludzkości, które położyło sobie za główne zadanie poprawę moralności nieletnich przestępców. W początku przeszłego 1858 roku towarzystwo utrzymywało 577 chłopców i 70 dziewczynek. W ciągu roku

przyjęto nowych 350, zatem wszystkich było 947. Z liczby tej wypuszczono 470, mieszcząc ich częścią w służbie lub fabrykach za kontraktami, częścią u rodzin zamożniejszych członków na wychowanie. Reszta pozostałych na utrzymaniu towarzystwa małoletnich zajęta była w warsztatach i szkołach, albo też używaną w innego rodzaju fabrykach; jedném słowem całą organizacją tych zakładów zwrócono do tego, aby małoletnich przestępców uczynić pożytecznymi członkami społeczeństwa i ukazać im drogę cnoty. Działalność tego towarzystwa bezprzykładnie wydaje korzyści i staje się nowym dowodem tej prawdy, że tylko domy poprawy dla małoletnich przestępców, a więzienia dla dorosłych, odpowiadają potrzebom społeczeństwa, które niechce ani jednego ze swych członków bezpowrotnie utracić.

*

W ostatnich czasach, kiedy niepowodzenia w olbrzymim przedsięwzięciu trans-atlantyckiego telegrafu tak powszechnie zajmowały uwagę, radzono zaniechać tyłą trudnościami brzemiennego dzieła, a zwrócić siły do położenia lądowego drutu, łączącego Europę z Ameryką, przez kraje północnej Azji. Linia ta lądowa, któraby silnie rywalizować mogła z podmorską, miała wychodzić z Moskwy, która jest ostatnim wschodnim punktem, będącym w związku z siecią telegraficznych drutów pokrywających lądy Europy. Z Moskwy druty poprowadzonoby na Niżnyj Nowgoród, a ztamtąd przedłużonoby je na wschód, do 58^o szerokości północnej. Na tej drodze linia dotknęłaby Kazania, przecięła Ural, kierując się na Tobolsk i Kiachtę, ten najgłówniejszy targ rosyjsko-chińskiego handlu; dalej część rokosznej doliny Amuru, ciąsninę Beringa, rosyjsko-amerykańskie posiadłości i niedawno odkryte, złotonośne rozsypy w Nowej Kaledonii; dotarłaby nakoniec do San-Francisco, które eży na linii amerykańskich telegrafów. Z tej ostatniej miejscowości linią główną możnaby przedłużyć w różne okolice południowej Ameryki, związawszy tym sposobem większą część odległych krain, zamieszkałych przez Europejczyków, z istniejącą już siecią telegraficzną. Całkowita długość tego kolosalnego łańcucha wynosiłaby 40,000 kilometrów, to jest po-

łową rozległości sieci północno-amerykańskich telegrafów. Summa wszystkich nań wydatków, licząc po 500 funtów na kilometr, nie przechodziłaby 20 milionów.

Główną przeszkodę temu przedsięwzięciu stawiają pustynie, przez które przechodzićby musiała telegraficzna linia; lecz przeszkody te nie należą do niezwykłych. Wszak amerykańskie telegrafy przeprowadzono już także przez obszerne pustynie, a jednak nie zauważano aby przypadki przerywające związek były częstsze niż w innych miejscach.

Co się tyczy korzyści, nie można takowych zaprzeczyć. Przypuściwszy nawet że podmorski telegraf zostanie bez nowych zawodów do skutku doprowadzonym, to jednakże nawał interesów europejskich jest dostatecznym do utrzymania obu telegrafów. Same Stany północnej Ameryki prowadzą z Europą handlowe interesa wartości przeszło dwóch miliardów. A zresztą, czyż telegraf lądowy nie byłby pożytecznym, w przypadku zerwania morskiego?

*

Niedawno w angielskim języku opuścił prasę piąty z kolei tom opisu podróży do wnętrza Afryki, odbytej przez Dr. Bartha. Oto co mówi z tego względu londyński korespondent dziennika „Magazin für die Literatur des Auslandes:” „Czytałem i odczytywałem kilka razy „Podróże i odkrycia w środkowej i północnej Afryce,” a zawsze pozostały one dla mnie tylko dziennikiem sześcioletniego pobytu w oddalonym kraju, dziennikiem zawierającym mnóstwo najróżnorodniejszych spostrzeżeń i uwag, lecz o których dotychczas nie mogłem utworzyć sobie dokładnego pojęcia i zdefiniować ogólnego wrażenia jakie wywierają po przeczytaniu. Mówią że Dr. Barth obowiązany był czynić codziennie najróżnorodniejsze notatki o przedmiotach i wrażeniach widzianych i doznanych, i że powinien był notować nie systematycznie, a dorywczo. Przypuśćmy; lecz w takim razie gdzieżby się podział związek między wypadkami tej długiej podróży? Leżące przed nami pięć tomów zawierają w sobie gromadnie zebrane materiały, z których mogą korzystać geografia, etnografia, przemysł, handel, zoologia, i botanika.”



Der Vesuv

WEZUWIUSZ.

Południowo-wschodnia część Kampanii, w której leży stolica Neapolu, jest niezawodnie jedną z najcudniejszych okolic świata. „*Vedi Napoli, e poi muori*,” woła Włoch w zachwyceniu, a Göthe utrzymuje, nieco paradoksalnie, że „kto widział Neapol, nie może być nigdy zupełnie nieszczęśliwym.” Miasto, najwspanialsze ze stolic europejskich, zapełniające massami swych domów całe amfiteatralnie wznoszące się pobrzeże, oskrzydla niejako obszerną zatokę neapolitańską, i wydłużając swe końce w obie strony, coraz dalej ją opasuje. Najwspanialszy widok przedstawia część północna, gdzie z poza ogrodów królewskich wзира długi szereg pałaców i nowych, wykwiennie budowanych gmachów. Część południowa nierównie większą zajmuje przestrzeń, lecz zapełniają ją domy rzemieślników i rybaków, pomiędzy którymi gdzieniegdzie tylko sterczą okazalsze wille, fabryki i koszary. Nieprzerwanym rzędem ciągną się tu domy aż do stóp Wezuwiusza, przyjmując kolejno nazwy: Resina, Portici, Torre del Greco it. d. Wszystkie wzgórza naokoło miasta pokryte są pięknymi willami i ogrodami, w których krzewią się pomarańcze, cytryny i brzoskwinie, obok palm szerokolistnych i purpurowo kwitnących kaktusów. Jak okiem zasięgnąć ciągną się ludzkie siedziby, wesoła, zwrotnikową otoczona zielenią, a nad całym tym rozkosznym krajobrazem góruje od wschodu łysy i dymiący szczyt Wezuwiusza, który tylokrotnie już wybuchami swymi zniszczył pola, winnice i mieszkania przyległe, a jednak żyznością gruntu, wydającego wyborne wino *Lacrymae Christi*, na nowo zawsze wabi osiedleńców w niebezpieczne swe sąsiedztwo.

Pomiędzy trzema dziś jeszcze czynnymi wulkanami Europy najgroźniejszym jest Wezuwiusz. Pierwszy znany jego wybuch, r. 79 po n. Chr., zasypał miasta Pompeji, Stabiae i Herculanium; późniejsze wybuchy nastąpiły w latach 203, 475, 512, 685, 993, 1036, 1306, 1631, 1730, 1769, 1779 i 1794. Silne, lecz mało szkodliwe były wybuchy lat 1822, 1833 i 1834. Roku 1779 łuna od bijącego z paszczy wul-

kanu słupa ognistego była tak silną, że w okręgu 10 mil włoskich można było czytać wśród nocy.

Góra ma dwa wierzchołki: właściwy Wezuwiusz, z czeluścią wulkanu, i szczyt zwany Somma, oddawna już nieczynny. Każdy wybuch silniejszy straszny lecz wspaniały przedstawia widok. Ogromny słup ogniowy wznosi się z krateru prostopadle w górę, siejąc deszcz pomeksów i ułamków granitowych; przez czarne dymu tumany jaskrawe przebiegają błyski, przy czém nieustanne drganie, mniej więcej silne, wstrząsa okolicę. Niekiedy Wezuwiusz wyrzuca tylko lawę, buchającą ze szczytowych lub bocznych otworów góry, w kształcie czerwonej, gęsto-płynnej massy, która powoli szerokim tocząc się pasem, niweczy wszystko cokolwiek napotka na swój drodze. Potoki takie zapełniają najgłębsze doliny, obalają domy i drzewa najgrubsze, torując sobie odpływ ku równinom. Zwierzchnia skorupa lawy, po ustaniu wybuchu, powoli zastyga; lecz w głębi, przez długie nieraz lata, przechowuje się żar płomienny. Po zupełnym ostygnięciu i zbutwieniu lawy, pokłady jęj, uprawione ręką rolnika, w wyborne zamieniają się grunta. Często także wulkan wyrzuca massy gorącego popiołu, który na kilkanaście mil wokoło kraj cały przyprusza. Takie wybuchy największe zwykle zrzadzają szkody, bo roznoszą zniszczenie na wszystkie jednocześnie strony i uniknąć ich niepodobna, a nadto połączone bywają z wybuchami wrzącej wody morskiej.

Od podnóża góry aż do połowy jęj wysokości ciągną się winnice, które podsycane wewnętrznym ciepłem gruntu, wydają słynne wina *Lacrymae Christi* i *Vino Greco*. Bujną ich roślinność przeryniają czarne, nieuprawne bruzdy, wiekowe zbiorowiska usłanej falowato lawy, nakształt ciemnego potoku, którego bałwany nagle zastygły. Środkową przestrzeń góry, w miejscach niedotkniętych wybuchami, zajmują gaje kasztanowe i krzewy. Pustelnia, wysokiemi otoczona wiazami, daje tu przytułek podróżnym, zamierzającym wstąpić na szczyt wulkanu. Nad nią zaczyna się skalisty, pokryty massami lawy taras Pedamontino,

siegający aż do wierzchołku ostrokągowego, gdzie droga, przystępna dotąd dla koni i mułów, staje się coraz przykrzejszą, dozwalając już tylko pieszo drapać się ku szczytowi. Kraniec górnego ostroka tworzy ogromną czeluść, w kształcie nieregularnej elipsy, mającej kilka tysięcy kroków obwodu. Brzeg jęj, na stopę zaledwo szeroki i stromo ku wnętrzu spadający, nie dozwala przystępu; od strony tylko zachodniej podróżni zbliżyć się mogą do krateru, tu bowiem odgraniczająca go ściana skalista jakie takie zapewnia im bezpieczeństwo. Wnętrze wulkanu najeżone jest urwiskami skalnymi i lawowemi, które nieustannie w głąb jego się staczają. Po wybuchu w kwietniu 1835 roku w środku czeluści wznosił się pagórek ostrosłupowy, z którego można było zajrzeć aż na dno przepaści.

Ostatni wybuch Wezuwiusza, z maja roku 1858, o wiele był groźniejszym od kilku poprzednich. Mniej więcej silne wstrząśnienia, z których jedno rozciągało się od Neapolu aż do Salerno i Potenzy, oddawna go zapowiadały. Dnia 27 maja pod wieczór ciemna chmura dymu zaległa dolinę Atrio del Cavallo, położoną między głównym szczytem wulkanu, a wierzchołkiem Monte Somma; druga chmura unosiła się nad samym kraterem. Po zachodzie słońca dostrzeżono wyraźne ślady ognia, a w nocy czeluść przybrała postać olbrzymiego pieca, buchającego słupem płomieni i dymu. Około godziny ósmej z wolna spuszczać się zaczęła masa roztopionej lawy, przepływając nieopodal pustelni i zwracając się potem na południe, ku części Wezuwiusza górującej nad Portici. Nazajutrz wieczorem można było rozpoznać mnóstwo nowopowstałych kraterów, z których lawa toczyła się obficie; dolina Atrio zamieniła się w jedną masę ognia różnego blasku, w miarę kierunku prądów, a góra cała przedstawiła się jakby osnutą w sieci ogniste. Widziano wyraźnie trzy główne strumienie lawy: jeden sunący w kierunku Ottajano, drugi ku Pompeji, trzeci ku Resinie, łożyskiem dawnego potoku, co zniszczył kiedyś Herkulanium. Okoliczne drogi pełne były ciekawych, przybywających powozami, konno i pieszo; wielu z nich ze smutkiem patrzyło na spustoszenie swych posiadłości, inni przed figurami świętych modlili się o odwrócenie nieszczęścia. Niektórzy cudzoziemcy wdrapali się na górę, od strony przeciwniej wybuchowi, z kądem oko obejmowało od razu całą tę scenę straszną lecz wspaniałą. Ujrzano wtedy aż dziewięć wielkich prądów lawy, wijących się

w różne strony, zapełniających wąwozy i tworzących, jak w piekle Dantego, jezioro ognistego płynu. Posuwaniu się ich towarzyszył trzask jakby gradu spadającego na dachy, tylko nierównie silniejszy. Do 8-go czerwca wiele domów i gruntów było zalanych, mieszkańcy jednak zdołali się ocalić. Żar lawy wysuszał i zapalał drzewa i krzewy w promieniu ćwierćmilyowym. Jeden z głównych strumieni, płynących w kierunku południowym, odbył w przeciągu 24 godzin dwie mile neapolitańskie (mila po 1844 metrów) i zdawał się zagrażać Resinie, lecz w pobliżu tego miasta zwrócił się ku Portici, a mianowicie ku parkowi królewskiemu. Z zamku zaczęto już wynosić kosztowniejsze sprzęty, gdy szczęściem nachylenie gruntu nadało potokowi kierunek ukośny.

Najzłubniejszymi w tym wybuchu okazały się nowopowstałe kratery w bokach góry; bo kiedy dawniej potrzeba było wielkiej bardzo siły dla wyrzucenia lawy z głównej czeluści, tym razem droga tak w górę jak na dół o wiele została skróconą, i żywioł niszczący łatwiej dosięgać mógł siedzib ludzkich. Z drugiej jednak strony przyznać należy, iż rozdzielenie się potoku na dziewięć strumieni nie miało siłę jego zmniejszyć. Podczas katastrofy, która przeciągnęła się aż do 17 czerwca, słynny pustelnik Wezuwiusza najlepszy zrobił interes. Chatę swą z pewnym komfortem urządził na restauracyą, w której każdemu wolno było posilić się bezpłatnie; lecz zwyczaj w takim razie nakazuje zostawić pobożnemu pustelnikowi podarunek, podwójnie lub potrójnie przewyższający wartość skonsumowanych przedmiotów.

Po 17 czerwca ustały wybuchy Wezuwiusza; strumienie lawy skrzepliły i powoli stygnąć zaczęły na powierzchni; z krateru wydobywał się popiół, znak czasowego ugaszenia wewnętrznego pożaru. Szczyt ostroka w góry w kilku miejscach okazał się szeroko rozpekniętym; z tych to szczelin buchała wprzód rozżarzona lawa, a właściciele zalanych gruntów znajdują dziś, zamiast winnic swych i sadów owocowych, potężne pokłady czarnego konglomeratu, które, po zupełnym ostygnięciu, obrócone zapewne zostaną na łomy kamieni brukowych, podkładów do dróg żelaznych i tym podobnych przedmiotów. Dnia 22 czerwca Wezuwiusz trysnął po raz ostatni potokiem wrzącej wody; lecz wylew ten potrwał zaledwo godzinę i dlatego można go było wstrzymać za pomocą szybko usypanych grobli.

KRAJ PÓLNOCNO-URALSKI.

Cesarsko-Rossyjskie towarzystwo geograficzne zarządziło w roku 1847 naukową wyprawę, dla zbadania krain północno-uralskich. Wysłani tym celem pułkownik Hoffmann, pp. Kowalski (obecnie profesor uniwersytetu w Kazaniu), major Strażewski, dwóch topografów, jeden artysta i naturalista-kollektor Brandt, dopełnili w ciągu lat 1847, 1848 i 1850 swego posłannictwa, i owoc prac swych i postrzeżeń ogłosili drukiem, pod tytułem: „Ural północny.” Piérwszy tom tego dzieła wyszedł w Petersburgu w roku 1853; drugi, ozdobiony litografiami, dopiéro w roku 1856 opuścił prasę. Tom piérwszy, napisany przez p. Kowalskiego, obejmuje krótki, lecz jasno i dokładnie skreślony opis podróży po Uralu w latach 1847 i 1848 odbytej, z uwagami nad krajem tamczym i jego mieszkańcami; mieści się w nim także opis wybornéj mappy północnego Uralu, sporządzonej przez członków wyprawy; większą zaś część tomu piérwszego zajmują tablice astronomiczne, służące do oznaczenia położenia geograficznego różnych miejsc. Tom drugi skreślony został przez pułkownika Hoffmanna i zawiera nader ciekawy dziennik podróży; dołączone doń ryciny przedstawiają widoki okolic i typy mieszkańców; następuje potém szereg artykułów specjalnych, poświęconych geologii, geognozyi, mineralogii, botanice, zoologii; zakończone to dzieło tablicami meteorologicznymi. Obejmuje ono dokładny obraz północnej części gór uralskich, od 61 stopnia szerokości, aż do morza Łodowatego, tudzież krain leżących po obu stronach pasma gór, zapełniając dotychczasowy brak wiadomości pewnych i prawdziwych, o tych daleko na północ posuniętych krajach, które pomimo całej ostrości klimatu, niemało ciekawych przedstawiają szczegółów i stanowią, rzec można, świat oddzielny. Spodziewamy się przeto, że wyjątki z tego dzieła nie będą obojętnymi dla naszych czytelników.

I.

Poczynając od miasta Czerdyni w gubernii permskiej, to jest od najbardziej na południe posunione-

go punktu działania wyprawy, aż do przesmyku wajgaczskiego, kraj północno-uralski ma długości w prostym kierunku wiorst 1,000 przeszło; biorąc zaś szerokość opisanych prowincyj z zachodu od rzek Pieczory i Kamy, a od wschodu Obi, na wiorst 400, otrzymamy powierzchnię tych ziem na 40,000 wiorst kwadratowych.

Łańcuch gór uralskich, nazywany przez krajowców kamieniem pasowym, ciągnie się wprost ku północy, na przestrzeni wiorst 400, licząc od szczytów Iszerimu, do północnego skłonu góry zwanéj Szablą. Ztąd rozszerza się aż na 75 wiorst i zawiera góry, wznoszące się do 5000 stóp nad powierzchnią morza; ztąd znowu pasmo zwraca się ku stronie północno-wschodniej i ciągnie się aż do Obdorska, gdzie bierze kierunek północny, a nie dochodząc o kilkadziesiąt wiorst od morza, spada nagle w płaszczyznę. Ostatnia z gór zwaną została Kamieniem Konstantynowskim, a wznosi się na 1491 stóp nad powierzchnią morza. Na zachód od téj góry, w odległości 45 wiorst, zaczyna się oddzielne pasmo gór Paj-Choj, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim równolegle od morza, gór niewysokich, gdyż najwyższe z nich zaledwie 1000 stóp przenoszą; mają kształt okrągły, pokryte są trawą, a na niektórych tylko wznoszą się szczyty skaliste. Paj-Choj sięga wyspy Wajgacz.

Północny kraniec gór uralskich jest zupełnie bezleśny; w południowej części drzewa rosną do wysokości od 1600 do 2500 stóp nad powierzchnią morza; dlatego téż większa część szczytów gór pozbawiona jest drzew, skalista, poszczerbiona, pełna rozpadlin i urwisk. Zdaleka przedstawiają się jakby porozdzielane, zwłaszcza w miejscach gdzie są przejścia, lub zkad biorą początek rzeki toczące wody swe na wschód do Obi, na zachód do Pieczory i Kamy. Strumienie i potoki w górach, przejrzyste, chłodne, miejscami szumiące i pienne, gdzieś tworzą nawet wodospady; jezior nie ma tu wcale. Pochyłości Uralu, tak od wschodu jako i zachodu, zniżają się w błotniste *tundry* ¹⁾; zachodnia, tak zwana wielko-ziemska

¹⁾ *Tundrą* nazywają w Syberyi rozłóg bagnisty, mchem porośły.

tundra, zaczyna się od brzegów Pieczory, ze wszystkich stron otacza Paj-Choj i sięga morza Lodowatego; miejscami wznoszą się na niej niewielkie pagórki, porośnięte w stronie północnej karłowatą brzozą, wierzbą i drobnym modrzewiem, a w południowej iglastymi drzewami; w ogóle zwą je tu *parmami*.

W głębszych rozpadlinach gór, do których bardzo rzadko dochodzą promienie słońca, leży śnieg przez całe lato w ogromnych massach; ślady jego długo i na szczytach zostają, pomimo że żadna z gór nie dochodzi do wysokości linii wieczystych śniegów. Śniegi te na wiosnę nadają szczególną malowniczość widokom Uralu; wody zebrane z roztopów, przedzierając się przez rozpadliny wypełnione śniegiem, przebijają go pod wierzchem i płyną, niby w tunelu, przez znaczną często długość; następnie, kiedy część śniegów roztaje i zniży się koryto potoku, wówczas wody zagłębiają się bardziej i pod poprzednią, przebijają sobie nową drogę; tym sposobem tworzą się śniegowe arkady i mosty jedne pod drugimi, a pod najniższym szumi woda, tworząc pienistą kaskadę. Arkady górne bywają tak mocne, że można po nich bezpiecznie przejeżdżać, nietylko lekkimi *nartami*,¹⁾ ale i przepędzać, całe stada jeleni. Ostrość klimatu, przy krótko trwającym lecie, nazbyt ogranicza rozwijanie się tutaj roślinności; z drzew iglastych rosną: sosna, modrzew, świerk, jodła, a miejscami, szczególnie też na stronie wschodniej gór, cedr sybirski.

Tundra pokryta jest mchem; gdzieniegdzie obszerne przestrzenie porasta malina porzeczkowa, która w czasie dojrzewania jagód odznacza się zdaleka jaskrawo-pomarańczowym kolorem. Z drzew liściowych trafiają się różne gatunki wierzby, brzoza i osina. W długich dniach letnich rozwija się mnóstwo ziół; na samym nawet przybrzeżu morza karskiego napotkać można, lubo rzadko, fijołki i niezapominajki. Południowa strona kraju północno-uralskiego gęsto jest pokryta pięknymi lasami, odziewającymi spadzistości gór i niektóre ich szczyty.

Nie będziemy rozszerzać się nad surowością klimatu, gdyż opisując narody tu zamieszkałe, dotkniemy nieraz i otaczającej ich natury.

Oprócz Rosyan, osiadłych w południowej i zachodniej stronie, a przybywających na tundry na pewien tylko przeciąg czasu, reszta mieszkańców Uralu jest mongolskiego pochodzenia; są to: Ostiaki, Samojedy, Woguły i Zyrianie; pierwsi zajmują część północną, drudzy południowo-zachodnią i południowo-wscho-

dnia. Woguły i Zyrianie, tak z rysów twarzy, jako i z odzieży, zbliżają się bardzo do Rosyan; sposób ich życia jednak różni się wielce od sposobu życia włościan rosyjskich; Ostiaki zaś i Samojedy, których uważać należy za pierwiastkowych mieszkańców tych krain, ani powierzchownością, ani sposobem życia nie są do nich podobni, i zupełnie harmonizują z dzikością tutejszych gór i tundr szerokich, wśród których pędzą życie. Narody te zachowały dawną dzikość; pomimo zbliżenia się ku nim cywilizacyi, nie idą na jej spotkanie, owszem, uchylają się od jej wpływu, odciągają coraz głębiej w pustynie i nikną z wolna.

Ostiaki dzielą się na dwa plemiona: Ostiaków lapińskich (*Jegrajas*, jak się sami nazywają) czyli dawnych Jugrów, i na Ostiaków obdorskich. Obadwa te plemiona osiadły wschodnią stronę Uralu, chociaż latem i na zachodnią przechodzą, szczególnie też Lapińcy, którzy pasają stada swe aż nad brzegami Pieczory. Ostiaki obdorscy mieszkają po obu brzegach rzeki Obi, poczynając od 65° szer. Ztąd ku południowi ciągną się zimowiska Jugrów.

Z pomiędzy wszystkich plemion koczujących na północnym Uralu, Ostiaki lapińscy odznaczają się największym rozwinięciem umysłowym. Ostiak jest chuderlawy, wzrostu dość wysokiego, twarz ma szeroką, czoło niskie i ku tyłowi głowy pochylone, kości policzkowe wydatne, oczy wąskie, włosy proste, czarne, na brodzie i wąsach rzadkie, kolor skóry żółtawy. Wszystko to dowodzi mongolskiego pochodzenia. Odzież jego składa się z koszul rozmaitej długości, uszytych żyłami jeleniemi ze skór jelenich, które przez głowę wdziewa; kobiety tylko noszą *panice* otwarte na przodzie. Takich skór jelenich Ostiak używa trzy: letnia, *parka*, dochodzi do kolan i obrócona jest sierścią na wewnątrz; zimowa, także sierścią do ciała obrócona, nazywa się *malca*, opatrzona jest rękawicami i otworami na bokach dla wysunięcia rąk; na wierzch malcy wdziewa się okrycie zrobione z jakiegobądź tkaniny, dla ochrony skór przed wpływem wilgoci; trzecie futro kładzie się tylko w czasie wielkich mrozów, włosem na zewnątrz, a doniego przyszyty jest wielki kaptur z otworami na oczy, nos i usta. Czapek Ostiacy wcale nie używają. W miejscach gdzie trudnią się więcej rybołówstwem niż pasterstwem, takąż samą odzież robią ze skór miętusa, wydających woń odrażającą. Parka i malca od góry i dołu przyozdabia się futrzanami wypustkami z wydry, lub różnokolorowych skór jelenich. Na nogi kładą w lecie buty zamszowe; zimą zaś noszą długie, do

¹⁾ *Narta*, sanie; których opis poniżej.

bioder dochodzące pończochy, zwane *pymy*, ozdobione na szwach sukniem czerwonym. Wszystka ta odzież wdziewa się na gołe ciało, gdyż koszule i w ogólności wszelka bielizna nie są znane u Ostiaków. Kobiety rozdzielają włosy na kilka warkoczy, wplatają w nie sznurki czerwone, różne brzękadła i monety.

Ostiaki mieszkają w drewnianych szałasach, czyli *jurtach*, nadzwyczajnie lekkich, złożonych niedbale z cienkich drewnien, lub uplecionych z chrustu i wylepionych gliną, tak wewnątrz jak i zewnątrz. Dach jurty, płaski, pokryty darnią; zamiast pieca, komin z chrustu, grubo oblepiony gliną; w miejsce okien, otwory zaciągnięte cienką skórą z miętusów; niekiedy otwór taki bywa w dachu i zakrywa się płaskim kawałkiem lodu. Po wypaleniu ognia, komin zatyka się wiązką trzciny. Przez maleńką sionkę wchodzi się do jedynéj izdebki, opatrzonéj po bokach ławkami, pod któremi stoją koszyki z naczyń domowém; na ścianach rozwiesza się odzież i broń. Nieczystość i woń obrzydliwa panują w tych ubogich lepiankach, które zresztą często bywają opuszczane przez właścicieli, w lecie dla paszenia stad, w zimie dla polowania i rybołówstwa. Oprócz jurt, czyli pomieszczeń stałych, Ostiaki mają jeszcze chaty przenośne, zwane *czumy*; są to szałasy kształtu ostrokąowego, zrobione z kory brzoźowéj lub skór jelenich; czum cały rozbiera się i składa na narty, w razie zmiany koczowiska.

Powierzchność Samojedów różni się pod pewnymi względami od ostiackiej; w ogólności są niższego wzrostu, budowy ciała zwięźlejszej i silniejszej; rysy twarzy ich jeszcze wyraźniej wskazują pochodzenie mongolskie. Chociaż zajmują najbardziej północną część tundry i gór, nie mieszkają jednakże w jurtach stałych, lecz zimą i latem koczują ze swemi stadami.

Tacy to są mieszkańcy kraju północno-uralskiego. Religia ich bałwochwalcza; główném zatrudnieniem chów jeleni, rybołówstwo i polowanie.

O religii Ostiaków pisze p. Kowalski, podług opowiadania jednego duchownego z Obdorska. Najwyższym, zarazem najwaleczniejszym i najlitościwszym bożkiem ich jest *Masterko*; najdawniejszy i bardzo bogaty posąg jego znajduje się teraz w okolicach wsi troickiej, w głębi nieprzebytych lasów. Ostiaki starannie ukrywają swych bożków, gdyż inne plemiona, wysłedziwszy ich schronienie, nie zaniebalyby obrać ich z ofiar składanych hojnie przez Ostiaków w futrach, pieniądzech i innych darach. Troskliwy o szczęście swych wyznawców *Masterko*, przeznaczył dla każdej wsi mniejsze bóstwo, a dla jednego jakiegoś miejsca

wyznaczył czterech bożków, ci jednak pokłócili się i rozeszli; jeden osiadł w okolicach Obdorska, inni w oddzielnych jurtach. Wszyscy czterej uważani są za synów *Masterka*; czczą ich tylko w tych miejscach, gdzie osiedli, *Masterko* zaś czczonym jest przez wszystkich w ogóle Ostiaków. Oprócz ofiar dobrowolnych, zbierane są jeszcze i składane w świątyniach w pewnych czasach dary, do czego używani są osobni poborcy. Niemniej hojne ofiary odbierają i niższe bożyszcza; dla nich wznoszą się wśród lasów oddzielne szopy, na wysokich słupach podniesione, gdzie przechowuje się posąg odziany w kaftan zeszyty z różnych kawałków sukna z wypustkami z taśmy; drobna moneta srebrna i złożone w ofierze futra leżą przed nim rozłożone. Na cześć bożków wyprawiają Ostiacy uroczystości religijne, w których szaman główną gra rolę. W dzień oznaczony, około szopy bożyszcza zbierają się pobożni, znosząc zapasy pokarmów i jeleniego mięsa. Szaman wynosi bożyszcze i ukazuje ludowi; poczem rozpoczyna się uczta zabijaniem jeleni. Krew i mięso z nich Ostiaki spożywają zaraz na miejscu; skóry dostają się szamanowi. Liczba zabitych na ofiarę jeleni powinna być koniecznie siedm razy po siedm. Po skończonej uczcie, wchodzi do poświęconej szopy, stają dwoma rzędami i wołając *hoj! hoj!* kołyszą się to w tę, to w ową stronę i klaszczą w ręce; krzyki te wzmagają się dopóki sił starczy, poczem zaczynają się opowiadania o czynach wojennych i dobrodziejstwach *Masterki*. Wciągu powieści ukazują się i samo bożyszcze; przez pośrednictwo szamana pochwała gorliwość obecnych, zaleca im silną wiarę i nakazuje pomagać sobie wzajemnie. Następują tańce zamaskowanych kobiet, które do téj chwili zostawały zewnątrz szopy. Uroczystość takowa trwa przez siedm nocy z kolei i obchodzi się raz jeden w roku. Bywają także i mniejsze święta co miesiąc, obchodzone wróżbą, bez żadnych wszakże obrządków religijnych. Przy końcu maja lub na początku czerwca Ostiacy zbierają się w miejscu przez szamana wyznaczoném; rozpoczyna się uczta, poczem wszyscy obecni otaczają w koło szamana, odzianego w koszulę różnokolorową, ozdobioną brzękadłami i stojącego przy ogniu, gdyż obchód ten odbywa się zawsze w nocy. Szaman zaczyna śpiew, uderzając kościaną pałeczką w bęben; śpiewem tym przywołuje bożyszcze. Śpiew i bębnienie wrastają stopniowo; nareszcie kapłan wpada w ekstazę, wyrażającą się konwulsyjnymi ruchami. Wróciwszy do przytomności, opowiada uważnym słuchaczom że mu się objawił bożek i co mu oznajmił. Przepowiednie odno-

szą się po większej części do pory łowienia ryb i t. p. i częstokroć sprawdzają się, gdyż szamani wiedzą z doświadczenia, kiedy ryby wpływają do rzek i w których miejscach bywają najliczniejsze. Wróżby dla osób pojedynczych, pragnących poznać przyczynę nieszczęścia, odbywają się w ten sam sposób. Szaman wzywa najprzód swojego bożka, a gdy od niego nie otrzyma odpowiedzi, zwraca się do bożyszcz innych plemion; odpowiedź bywa nie tylko wyjaśnieniem przyczyn niepowodzenia lub straty, ale zarazem wskazuje środki uchylenia nieszczęścia. Rozumie się że wróżbita otrzymuje naprzód dary od radzących się. Szamani, będąc wtajemniczonemi we wszystkie szczegóły swój wiary, przewyższając współrodaków rozumem i przebiegłością, a przez to silny wywierając wpływ na ich umysły, główną stanowią zaporę do wprowadzenia religii chrześcijańskiej w tych krajach, gdyż nawet ochrzczeni Ostiacy ulegają często ich wpływowi.

Wrazie śmierci szamana, miejsce jego zastępuje szaman wsi najbliższej, nie dłużej wszakże jak przez rok jeden. Po upływie tego czasu zastępca oznajmia zgromadzonym, że bożek objawił mu się we śnie i przeznaczył tego lub owego na swego kapłana. Wskazany nie może się wymówić od przyjęcia godności; doreczają mu zatem oznaki kapłaństwa, to jest: bęben, pałasz i stosowną odzież. Wkrótce nowy ofiarnik ogłasza, że we śnie widział bożka, który mu nakazał wiernie służyć, co z resztą powinno być stwierdzone przepowiednią która ziścić się musi; w przeciwnym zaś razie nominowany, dla utrzymania się przy obowiązkach kapłana, udaje się do ostatniego, a zawsze skutecznego środka, to jest w obec ludu przebija sobie bok nożem, i czynem tym nabywa niezaprzeczonego prawa do dopełniania obrzędów i odbierania ofiar. Zabawną jest przysięga Ostiaków: przysięgający bierze głowę lub pazur z niedźwiedzia, odgryza kawałek i połyka; kobiety całują tylko te znaki. Ma to wyrażać, że krzywo przysięzca poddaje się rozdarciu przez niedźwiedzia. Na tej formie przysięgi polegają w zupełności władze miejscowe i używają jej nawet względem mieszkańców tutejszych, w razie potrzeby.

Obrzędy Ostiaków w najważniejszych chwilach życia dosyć są proste. Obchód zawarcia małżeństwa polega na mongolskim zwyczaju kupna żony od jej rodziców; wysokość *kałymu*, czyli opłaty za żonę, bywa większą lub mniejszą, stosownie do pochodzenia narzeczonej. Starający się o żonę posyła zwykle jednego ze swych przyjaciół do ojca panny, który uma-

wia się o jej cenę; przybywa później pan młody z orszakiem i rozpoczyna się uczta. Po wypłaceniu *kałymu*, ojciec panny młodej odwozi ją, (okrytą wielką chustką) do jurty lub czumu narzeczonego, gdzie bywa przyjętą i wprowadzoną do nowego mieszkania przez świekrę i na tém wszystko się kończy. Rodzice nigdy nie zapytują córki, czyli małżeństwo zgadza się z jej skłonnością; trafia się nawet że dziesięcioletnią dziewczynę wydają za równie małoletniego małżonka. W ogóle moralność nie jest w stanie kwitującym u Ostiaków; małżeństwa często się kłócą, dopuszczają niewierności i rozłączają się z sobą.

Nad nowonarodzonym Ostiacy żadnych szczególnych obrzędów nie dopełniają; dozór nad niemowlętami całkiem jest niedbały; przyzwyczajają je wczesnie do zimna i niedostatku. Ojciec słucha najobjętniej płaczu kostniejącego na dworze dziecięcia, dopóki nie nadejdzie matka i nie wniesie go do jurty.

Ostiacy grzebią zmarłych w ziemi, owinawszy zwłokom głowę i odziawszy je w najlepsze suknie; razem z ciałem wkładają do grobu nową odzież, broń, narzędzia gospodarskie i t. p. Na tundrach, gdzie ziemia nie odtaja i dlatego trudno jest dół wykopać, zwłoki wkładają się do niży trumny, i takową przytwierdzają nad ziemią na czterech wysokich kółkach; w miejscach zaś gdzie ziemia da się wybrać, kopią dół niezbyt głęboki, wykładają go darniną i wprost spuszcza doń ciało, z narzędziami potrzebnymi nieboszczykowi, według ich mniemania. Mogiłę przywalają wielkim głazem i na tém samym miejscu odbywa się uczta pogrzebowa, to jest zabijają jelenie co przywiozły zwłoki; krew i część mięsa zjadają zaraz obecni, reszta zaś mięsa, wraz z nartą na której wieziono ciało i z wszelką uprzążą, pozostaje na grobie. Podług wyobrażeń Ostiaków, zmarły i na tamtym świecie nie przestaje zajmować się temi samemi sprawami co i na ziemi, i żywi się takiemiż jak za życia potrawami; dlatego rodzina pozostała robi z gałganów i różnokolorowych kawałków sukna małą lalkę z metalową twarzą. Zachowują ją w czumie lub jurcie na ulubionem nieboszczyka miejscu, robią z nią toż samo co on czynił i trwa to przez rok cały, a u niektórych i trzy lata nawet; poczem lalkę tę grzebią w ziemi, lub przechowują w oddzielnej szkatułce. Jeżeli w jednej jurcie obchodzi się jednocześnie ta pamiątka po kilku zmarłych osobach, w takim razie lalki bywają różnej wielkości, stosownie do wieku zmarłych.

W ogóle jest to lud dosyć rozumujący; dowodzi tego między innemi istniejąca w ich mowie szczegółowa i bardzo dokładna terminologia geograficzna. Go-

dną jest także uwagi ich zręczność; wszystko robią starannie, chociaż owo wszystko na małym się ogranicza; bo też i zatrudnienia ich nader są jednostajnymi. Mężczyźni trudnią się chowem jeleni, rybołówstwem i polowaniem; kobiety palą w piecach, gotują jedzenie, wyprawiają skóry, szyją z nich odzież dla całej rodziny i przygotowują z żył jelenich sznurki zastępujące im nici; przy zmianie koczowiska zbierają czumy i układają je na narty, stawiają nawet szałas na chwilowe mieszkania.

Jak u wszystkich dzikich ludów, tak i u Ostiaków, tańce bardzo są używane; mają szczególnie jeden ulubiony taniec, do którego obwiązują sobie głowy, ręce i nogi różnokolorowemi, podłużnemi szmatami, które im w tańcu dają podobieństwo do telegrafu z flag, będącego w całym ruchu. Ćwiczą się także w muzyce; instrumenta muzyczne składają się po największej części z wyłobionych kawałków drzewa rozmaitego kształtu; naciągają się na nie kiszki jelenie, po których grają pociągając smyczkiem, lub przebierając palcami.

Jeleń, jak wiadomo, stanowi główne bogactwo tych ludów i można powiedzieć że bez tych zwierząt, nie byłyby zamieszkanemi tundry północne. Napotykają się i teraz jeszcze dzikie jelenie, lecz te ukrywają się w nieprzystępnych rozpadlinach północnych kończyn Uralu, Paj-Choja, a szczególnie na wyspie Wajgaczu; są one przedmiotem niezmiernie trudnego polowania. Widocznym jest że Samojedzi pierwsi zajmowali się chowem jeleni, i że od nich zatrudnienie to przejęli Ostiacy i Zyrianie; ale dziś nauczyciele daleko za uczniami swemi pozostali. Wprawdzie chów jeleni nie wymaga żadnej szczególnej umiejętności, troskliwość jednak jest niezbędną, bo bez niej właściciel ryzykuje całe stado. Chowane jelenie zachowują zawsze pewien stopień dzikości i wrodzonej lekkości. Zwierz ten może być na północy nie tylko źródłem zamożności, ale nawet bogactwa; dowodzi tego przykład oświeconych Zyriian we wsi Iżmy zamieszkałych, którzy z chowu jeleni przyszli do posiadania znacznych kapitałów; lecz Ostiacy, jak prędko nabywają, tak prędko tracą pieniądze; lenistwo i wódka gubią to plemię.

Pasterze jeleni koczują przez całe lato w górach, lub na nurtach, przepędzając stada swe z miejsca na miejsce; na spoczynek wybierają takie tylko parowy, w których śnieg leży przez rok cały, gdyż jelenie nie może znieść gorąca; prócz tego dręczą go także roje komarów, zatruwających chwile krótkiego lata, pośród malowniczych i wspaniałych lasów. Jak tylko

pasterz przypędzi stado na śniegi, jelenie pokładają się natychmiast i oddają spokojnemu przeżuwanemu pokarmów.

W zimie i w lecie Ostiacy i Samojedzi jeżdżą lekkimi sankami, czyli *nartami*, zrobionymi z dwóch płoz cienkich, spojonych poprzecznymi drewnami. Narty są tak lekkie, że łatwo podnieść je jedną ręką; zakłada się do nich dwa lub cztery jelenie; cała uprzęż jest z rzemienia; zaprzęg kieruje się jednym lejcem, przywiązany do szyi jelenia idącego przodem z lewej strony. Naładowane narty przywiązują się jedna za drugą; na pierwszej siada woźnica, z długą a cienką żerdką brzozową w ręku, służącą mu zamiast bicia; gdy chce oddalić się z sani, żerdkę zatyka w ziemię i do niej lejc przywiązuje. Stado biegnie z tyłu i po bokach zaprzęgu; pasterz jedzie zawsze przy nim pojedynczymi nartami, zaprzężonymi w trzy jelenie; za nim zdąża psów kilku. Takim sposobem nadzwyczaj szybko karawana przebywa śniegi i trawy, błota i lasy, oświecona blaskiem zorzy północnej, lub blademi promieniami słońca.

Woźnica musi być bardzo uważnym; bo jeśli narta zaczepi się o cokolwiek lub wywróci, pęka na drobne kawałki; gdy jelenie upadnie, zadusi go naszyjnik skórzany zastępujący chomonto; jeżeli w drodze lejc pęknie, potrzeba w mgnieniu oka zarzucić jeleniowi arkan na rogi, gdyż w razie przeciwnym trójka, poczawszy wolność, puszcza się szalonym pędem po tundrze, zakreślając ogromne koła, a wtenczas trzeba tylko silnie trzymać się narty, dopóki jelenie nie pomęczą się i nie zatrzymają same. Zakładanie jeleni do narty odbywa się bardzo szybko, lecz za to ujęcie ich poprzednio trwa najmniej dwie godziny. Tym celem całe stado otacza się dokoła sznurkiem podniesionym do pewnej wysokości; jelenie ściskają się w gromadę; wówczas pasterze wchodzą pomiędzy nie, i przeznaczonych do zaprzęgu chwytają za rogi; na chwilę uspakaja się zwierzę i staje się posłusznym.

Właściciele stad jelenich żywią się głównie ich mięsem, które jest ulubionym dla nich pokarmem; do tego należą także ryby i zwierzyna dzika, które mi wyłącznie żyją Ostiacy nie mający stad własnych. Tak Ostiacy jako i Samojedzi nie mają żadnej litości nad tym zwierzem, dostarczającym dla nich wszelkich środków do życia; zabijają go przy każdej sposobności; gdy jelenie pada ze znużenia w zaprzęgu, biją go aby szedł dalej; gdy wypadkiem złamie nogę, nie udzielają mu pomocy, lecz zaraz dobijają go i zjadają. Widok uczy ostiackiej nie jest bynajmniej ponętnym:

przyprawiają na arkanie jelenia otoczonego tłumem, który chciwym wzrokiem pożera swoją ofiarę; głowę zwierza przyciągają do ziemi, uderzają obuchem w kark, a gdy upadnie na kolana, wbijają mu nóż w serce. W mgnieniu oka prawie zdzierają zeń skórę, rozpruwają bok, wydobywają wnętrzności i przewiązują główne żyły, z których krew spływa do opróżnionego tułowu. Każdy Ostiak, opatrzony ostrym nożem, wykrawa sobie długie kawałki mięsa, macza je w kurlącej się krwi i uchwyciwszy zębami, kraje przy samych wargach. Taka uczta trwa dopóty, dopóki nie zostaną same tylko kości. Zdziwiająca jest zręczność, z jaką małe nawet dzieci władają nożem przy tej operacji. Pułkownik Hoffmann mówi, że co chwila obawiał się aby dzieci te nie poobcinały sobie warg lub nosów; na uwagi jego w tym względzie śmiechem odpowiadały matki. Widok żarłocznych Ostiaków, odzianych w skóry zwierzęce i pożerających surowe mięso, w obec gór dzikich i bezleśnej tundry, odrażającym jest dla człowieka obcego; nadto oddają się oni z takim pośpiechem zaspokojeniu swego kannibalskiego apetytu, że ich twarze, ręce i odzież cała są krwią zbryzgane. Na pół nagie dzieci pełzają dookoła zabitego jelenia i nie zostają bezczynnymi przy uczcie. Szczególniej łakomi są na pieczoną lub surową skórę z młodych rogów jelenich, i często się zdarza, że Ostiak będący w podróży, zatrzymuje nagle swój zaprzęg i z żywego jelenia odrzyna kawałek młodego rogu; że zaś to jest bardzo niebezpiecznym dla zwierza, gdyż krew bucha strumieniami, wpiérw przeto przewiązuje się róg żyłą lub sznurkiem. Na usprawiedliwienie swego barbarzyńskiego czynu, Ostiak przywodzi, że to dla jelenia zdrowo, gdyż krew w czasie rośnięcia rogów silnie do nich napływa, a tym sposobem wraca w ciało i wzmacnia zwierza.

Sposób życia Samojedów niewiele różni się od ostiackiego, tylko że jednym stopniem niżej jeszcze stoją od nich pod względem rozwinięcia umysłowego i towarzyskiego. Leniws i nieschludniejsi koczują przez rok cały, przenosząc swe mieszkania z miejsca na miejsce; odzież ich jest prawie takąż sama co i Ostiaków. Nowonarodzone dzieci zawijają w skóry obrócone włosem na wewnątrz; pieluszek takich mają tylko po dwie dla odmiany; można więc sobie wyobrazić w jakiej nieczystości chowają się te nieszczęsne istoty, których przytém nigdy nie myją. Wiele ich téż pada ofiarą tego systemu; te zaś, które przeniosą pierwsze męczarnie życia, rozwijają się bardzo szybko, rozumie się fizycznie. Dzieci nie umiejące jeszcze chodzić ani mówić, przypęczają same do naczynia

z wodą, czerpią kubkiem i zaspakajają pragnienie. Obżarstwo ich niepodobnym jest niemal do wiary; nigdy nie są syte; jedno z tych dzieci, które przez jakiś czas zostawało w mieszkaniu członków wyprawy, do tego stopnia najadało się, że patrząc na nie z tyłu, można było widzieć brzuch rozepchany na obiedwie strony. Twarze dzieci nie są wdzięku pozbawione; od urodzenia aż do lat pięciu chodzą nago.

Na południe ziem zamieszkanych przez Ostiaków, na wschód i południe rzeki Wiszery, w górach i za górami, mieszkają Woguły, lud mongolskiego także pochodzenia, lecz bardziej rozwinięty niż Ostiaci i Samojedzi. Odzież ich, tak z materyału jako i kroju, podobna jest do ubioru włościan rosyjskich; rysy twarzy słabo przypominają typ mongolski; język ten sam prawie co i Ostiaków lapińskich; mieszkają w chatach; polowanie i rybołówstwo głównymi są ich zatrudnieniami, którym przez całą zimę ze szczególnym oddają się zapałem; na lato zaś powracają do domów i spoczywają wśród obfitości. Jednostajny sposób życia pośród tundr i lasów, zrobił Woguła surowym, milczącym i upartym; nie lubi on tracić słów napróżno i w ogóle nie jest towarzyskim; lecz za to niezmordowany w pracy, a w spoczynku znowu niczem nie da się poruszyć.

II.

Pozostaje nam mówić o Zyrianach i Rossyanach tu osiadłych, których niewątpliwem jest przeznaczeniem zastąpić kiedyś na tundrach Ostiaków i Samojedów.

Zyrianie dzielą się na dwa narody, to jest na wołogodzkie i archangielskie czyli iżemskie. Piérwsi uważają się za potomków wychodźców z pod Nowogrodu, w czasie obleżenia tego miasta przez Iwana Groźnego; mieszkają nad brzegami górnej Pieczory i odznaczają się wielką działalnością; wyznają religią greko-rosyjską, trzymając się po większej części dawnego obrządku; zachowują zwyczaje włościan rosyjskich; trudnią się rolnictwem, chowem bydła, polowaniem i rybołówstwem. Nieogłędność i skłonność do wesołego życia są powodem, że rzadko który z nich przychodzi do zebrania kapitału. Gdy Zyrianin wołogodzki wybiera się na polowanie mające trwać dłużej, żona jego pakuje na sanki lub wózek wszystko co tylko ma w swój spiżarni. Zaopatruje go nadto w niezliczoną liczbę skór jelenich i innych na pościel i do ubrania. Przed odjazdem Zyrianin udaje się do łaźni parowej, zkąd, w jednej tylko koszuli, kładzie się w sanki, i okrywa futrami; żona tymcza-

sem wsiada na konia i odwozi go do pierwszego popasu.

Iżemcy jeszcze więcej są energicznymi i nie tak bardzo cenią wygodę i rozrywkę; sama powierzchowność ich znamionuje stałość charakteru i umysł przedsiębiorczy. Osiedli na brzegach rzeki Iżmy, nazywają się od tego Iżemcami, tak jak zamieszkali nad Pieczorą, zowią się Pieczorcami. Odznaczają się wielką zreżnością w prowadzeniu handlu i często posiadają znaczne kapitały; w teraźniejszych czasach zajmują się głównie chowem jeleni, który przejęli od Samojedów. Oto co mówi pułkownik Hoffmann o Zyrianach iżemskich:

„Umysł śmiały, a zarazem rozważny, obojętność na niebezpieczeństwa i trudy, dążność do ciągnięcia korzyści ze wszystkiego, objawiają się w mowie Iżemca. Orli jego nos, członki atletyczne, spojrzenie śmiałe, chód pewny, uderzają na pierwszy rzut oka i przekonują o różności pochodzenia Iżemców od Zyrian pieczorskich. Z pomocą wrodzonej rozwagi i śmiałości otrzymują z północnej tundry takie korzyści, jakich nikt nie mógł spodziewać się przed ich przybyciem w te strony. Nieustanne starania około chowu stad, trafne z nimi obchodzenie się i umiejętne ciągnięcie korzyści godne są podziwu. We dnie i w pogodę Zyrianin powierza dozór nad stadem pasterzowi Samojedowi; lecz podczas mgły, deszczu lub zawieruchy znajduje się przy niem osobiście, w dzień i w nocy, z wiernymi psami; na lekkich nartach śmiało odpędza wilki, i żeby niewiedzieć jak daleko odbiegły jego jelenie od czumy, wyszukać je musi koniecznie i przypędzić napowrót. Ze szczególną troskliwością choduje młode i dlatego szybko rozmnaża się jego stado. Ponieważ w jeleniu główną wartość ma skóra, a ta w jesieni tylko zdatną jest do wyprawy, Iżemcy przeto przez całe lato żywią się rybą soloną i upolowaną dziczyzną, a jelenia chyba w najważniejszych okolicznościach zabijają. W końcu września, gdy zaczynają się mrozy, właściciel zabija kilkaset, a czasem i tysiąc przeszło sztuk, w miarę wielkości stada; mięso częścią soli, a częścią zamrożone wywozi przez Ural na brzegi Obi, gdzie za każdą sztukę otrzymuje około dwóch rub. sr. Za te pieniądze kupuje znów jesiotrów, które dostawia do Archangielska i Petersburga, futra, idące na sprzedaż do Irbitu i Nowogrodu Niżnego, mąkę, którą spławia Pieczorą i inne towary, któremi prowadzi handel zamienny z plemionami koczującymi, a na wszystkiemu ogromne odnosi korzyści. Ze skór jelenich Iżemiec wyrabia odzież futrzaną, albo też wyprawia je na zamsz, który sprzedaje do Niżnego Nowogrodu i Moskwy,

biorąc za skórę od półtora do dwóch rubli sr. Tym sposobem jeleni zabity w czasie właściwym przynosi właścicielowi do czterech rubli, nie licząc korzyści z obrotu tego kapitału. Są Zyrianie posiadający sześć i siedmiotysięczne stada. Z tej liczby można zabić rocznie półtora tysiąca sztuk; dochód zatem wynosi 6000 rubli. Po strąceniu z tej summy niewielkich kosztów, tudzież zważywszy że najzamożniejszy mieszkaniec tutejszy niewydaje więcej jak 500 rubli na utrzymanie domu, niedziwnym okaże się, że wielu Iżemców posiada po 30 i 50 tysięcy rubli w kapitale. Żadne przedsięwzięcie handlowe ani przemysłowe nie jest im obce; przedsiębiorczość zaś ta i wytrwałość w niej tak są silne, że niepowodzenia nawet nie zdołają ich zwrócić z obranej drogi, byleby tylko mieli przekonanie, że zamierzone dzieło kiedyś korzyść przyniesie.”

Rosyjanie zamieszkali nad brzegami górnej Pieczory i Wiszery, oprócz rolnictwa i chowu bydła, z największym zapałem zajmują się polowaniem. Zwróćmy teraz bliższą uwagę na ten rodzaj przemysłu, wspólny wszystkim narodom uralskim i w jednakoowy sposób przez nich traktowany.

Polowanie i rybołówstwo niemniej od chowu jeleni ważnymi są dla mieszkańców północno-uralskich; można powiedzieć nawet że ważniejszymi, bo niemi trudni się większa część ludności i z tego źródła zaspokaja swoje potrzeby. Łowy odbywają się dwoma sposobami, to jest albo za pomocą sideł i zapadni, albo przy pomocy broni palnej. Rosyjanie przekładają ten ostatni sposób; Ostiacy zaś i Samojedzi, którzy nie posiadając strzelb, używają dotąd strzał i łuków, łowią zwierza w sidła i doły. Przedmiotem polowania są nie tylko zwierzęta dające futra, ale i ptactwo; a chociaż pierwsze mniej są cenione niż sybirskie i liczba ich corocznie się zmniejsza, handel jednakże tym towarem znaczne tu jeszcze przynosi korzyści.

Myśliwy uzbraja się zwykle dwiema strzelbami: gwintówką i strzelbą z szerokim wylotem, zwaną *turka*. Broń ta tak jest źle urządzoną, że tylko cierpliwość i nawyknięcie mieszkańców poduralskich zapewnić mogą jakiegokolwiek z użycia jej korzyści. Gwintówki używają na mniejszego zwierza i na ptactwo; turka służy do polowania na grubego zwierza. Ladajaki kowal ukuje lufę, a potem już sam strzelec piłuje ją, czyści, dorabia niezgrabną osadę, wyucza się wszystkich wad tej broni i strzela z niej przy pomocy podstawki, bardzo rzadko chybiając. Strzelać w lot nie umieją wcale. Gwintówka nabija się kawałkiem ołowiu, który w kształcie drutu grubego

strzelec nosi przy sobie i wrazie potrzeby odgryza po kawałku; do turki leją się oddzielne kulki.

Ostiacy i Samojedzi polują nieregularnie; głównym celem łowów ich jest zebrać *jasak*, czyli podatek opłacany skarbowi skórami. Handel futer dopóty jest tu wzbroniony, dopóki *jasak* nie zostanie w zupełności zaspokojonym; odbierają go wyznaczeni do tego starsi; tym celem jeżdżą po okolicy i składają go w pewnych oznaczonych miejscach. Tu przybywają kupcy z różnemi towarami, i tym sposobem zbierają się bardzo tłumnie jarmarki, na których odbywa się niezmiernie ożywiony handel zamienny. Zebrane na *jasak* futra oceniane bywają przez osoby wyznaczone od skarbu; naddatek zwraca się gotowizną, co zresztą rzadko się trafia, gdyż taksatorowie oceniają futra w *massie*, a nie po szczególe przy ich odbiorze. Prócz tego Ostiacy i Samojedzi poczytują sobie za wielki zaszczyt, gdy mogą złożyć na *jasak* najprzedniejsze futra. Tak np. jeden Ostiak, tytułujący się księciem obdorskim, składa corocznie do skarbu za siebie i za swą rodzinę przepyszne futro lisa czarnego którego wartość znakomicie przewyższa należny od niego podatek. W skarbie sortują futra; zwyczajne odsyłają do Irbitu, wyborowe zaś idą do Petersburga, gdzie część ich sprzedaje się corocznie przez licytacją publiczną. Futra wymienione przez kupców, przewożone bywają na jarmarki do Irbitu i Niżnego Nowogrodu, i sprzedawane kupcom moskiewskim i petersburskim, którzy je sortują na nowo i częściowo rozprzedają.

Zimowa pora jest najbardziej sprzyjającą do tamecznego polowania, raz dlatego, że ubite ptastwo można przewozić daleko, bez obawy zepsucia się onego, a powtóre że futra od października do połowy stycznia mają prawdziwą i najwyższą wartość. P. Hoffmann tak opisuje życie strzelców północno-uralskich

„W listopadzie i grudniu, kiedy najmocniejsze mrozy spędzają zwierzynę z gór, a ptastwo z tundr do lasów, kiedy gałęzie drzew uginają się pod ciężarem śniegu, pokrywającego ziemię na kilka stóp wysokości, wówczas rozpoczyna się polowanie na wielką skalę. Dwóch, trzech, a czasem więcej myśliwych udają się razem na łowy; biorą zapasy żywności z soli, kaszy, mąki i sucharów złożone, a mogące wystarczyć na kilka tygodni, amunicją, odzież, tołuby, naczynia, i to wszystko układają na lekkie, ręczne narty, mające długości od ośmiu do dziesięciu, a szerokości jedną stopę. Sam strzelec zaprzęga się w nartę, przywiązuje do nóg długie, cienkie łyżwy, których spód obciążony bywa skórą z nóg jelenich, aby

nie obsuwały się przy wchodzeniu pod górę, i w krótkim futrzanym odzieniu, z nożem za pasem, udaje się w lasy. Każdy myśliwy ma z sobą psy. Jeżeli miejscowość obrana do polowania obfituje w zwierzynę, to buduje się naprędce szałas z drzewa, na skład zdobyczy; jeśli zaś na długi czas nie obiecuje korzyści, wówczas strzelcy zostawiają zapasy w jakim bezpiecznym od dzikiego zwierza miejscu, co daleko łatwiej da się uskuteczyć w zimie, gdy najniebezpieczniejszy z nich, niedźwiedź, zajmuje legowisko, i wzięwszy część zapasów w łyżane kobiałki, z bronią i psami przenoszą się dalej. W miejscu gdzie mają nocleg odbywać, stawiają w chwilach wytchnienia dwie budy, obrócone ku sobie otworami, zostawiając między nimi wąską przestrzeń próżną, na której rozkłada się ogień. Budy te pokrywają gałęzmi jedliny, a drobnemi gałązkami posypują gęsto podłogę, to jest śnieg twardo udeptany. Tu strzelcy gotują w kotle zwierzynę, lub ją pieką na rożnie, i tu odzierają skóry z zabitych w ciągu dnia zwierząt. Skóry rozpinają i suszą na otwartym powietrzu. Biorą potem dwa drewna i przez całą ich długość wyrebuja rowek; jedno z tych drewnien kładą na śniegu wzdłuż bud, w rowek nasypują żarzących węgla i przykrywają drugim wyżłobionym drewnem. Ogień węgla udziela się drzewu, lecz dla braku powietrza nie pali się płomieniem, a tylko z obu końców wydaje ciepły dym, który przez noc całą otacza śpiących w budach myśliwców, zawiniętych w tołuby. Idąc na spoczynek, strzelcy zdejmują buty, ażeby wyschły na dzień następny, a mimo to ciepło im jest zawsze w tych niewybrednych mieszkaniach.

„Drugiego dnia, po opatrzeniu broni, myśliwy je obfite śniadanie i puszcza się znowu w lasy na dzień cały. Takie to życie pędzi odważny mieszkaniec pustyni tutejszych, dopóki nie wyczerpią się jego zapasy strzelnicze, lub dopóki nie uzbiera dostatecznej za swe trudy zdobyczy. Przez ciąg jednej zimy zarabia około 60 rubli sr. Jeżeli mu się powiedzie w samym początku polowania i ubije kilka sztuk grubego zwierza, poprzestaje na tém i resztę zimy przepędza w domu beczynnie; skoro zaś natrafia na samo ptastwo i wiewiórki, w takim razie na długo pozostaje w lasach, przechodzi z miejsca na miejsce, oddalając się coraz bardziej od swój siedziby; a gdy mimo to wszystko nie szczęści mu się zupełnie, wówczas wpada w długi i jedyna nadzieja zysku pozostaje dlań w rybołówstwie.”

Po powrocie do domu, myśliwy przez dwa dni odpoczywa, poczem znowu bierze się do pracy: wyprawia

skóry, a dziczyznę zachowuje w lodowni, dopóki nie przybędzie handlarz ze wsi lub blizkiego miasteczka. Handlarze ci jeżdżą po wsiach i wymieniają futra za różne towary, lub zabierają skóry na rachunek pożyczki udzielanej myśliwym przed polowaniem. Rzadko który strzelec nie zadłuży się kupcowi, który ze swjej strony znajduje korzystnym mieć coś na długu; przez tę zamianę kupiec ma ciągły odbyt na swoje towary, a strzelec otrzymuje od niego wszystko czego potrzebuje; mógłby być nawet zadowolonym ze swego losu, gdyby go nie gubiła wódka, która, pomimo najsurowszych zakazów władzy miejscowej, jest także przedmiotem wymiany.

Wróćmy się jednak do polowania. Psy tutejsze pełnią zarówno służbę gończych i legawców, a niektóre obdarzone są tak wielką odwagą, że rzucają się na niedźwiedzia dopóty go szarpią i niepokoją, aż kula strzelca trupem go położy. Psy te bywają po większej części czarne lub pstrokate, z kształtu podobne do naszych pospolitych psów owczarskich; sierć mają długą, pysk ostro zakończony. Nie układają ich tu bynajmniej do polowania, a tylko biorą po parze w pole, ażeby jeden drugiemu dodawał ochoty, i tym sposobem przywykają do łowów. Bardzo źle są żywione i żadnej od swych panów nie doznają troskliwości; za to strzelec musi je mieć na pilnym baczeniu, bo gdy takiemu psu wpadnie zwierz lub ptak zabity, pozrze go niebawem.

W kraju północno-uralskim znajdują się: niedźwiedzie, rosomaki, wilki, lisy kolorowe i białe, czyli tak zwane *krestowiki*, sobole, kuny, gronostaje, wydry i wiewiórki. Niedźwiedź bywa bury i biały, czyli polarny; z pierwszych są: czarne, których futro kosztuje od 8 do 10 rubli za sztukę, ciemno-żółtawe, wartości 4 rubli i *mrówniki*, tak nazwane od rozgrzebywania mrowisk i wyjadania z nich jajek mrówczych. Ostatni ten gatunek jest najmniejszy i myśliwi mówią o nim z pogardą. Niedźwiedź biały rzadko przychodzi na tundry z lodów morza karskiego. Do niedźwiedzia strzelają tu z pomostu urządzonego na drzewie, lub czatują nań przy porzuconej na ponętę padlinie, albo wreszcie polują z psami.

Rosomaki, których skóra nie jest wysoko cenioną i używa się przez krajowców na czapki i odzież kobiecą, łapią się w doły. Wilków obawiają się krajowcy, jako najniebezpieczniejszych dla jeleni; są one przytém tak zmyślne, że w żaden dół nie wpadną, a strzelca zwietrzają zdaleka; śmiałość i zręczność ich tak jest wielka, że częstokroć pożerają inne zwierzęta, które się dostaną w zapadnię; myśliwi tutejsi mają

je za przebieglejsze od lisów, dlatego rzadko zdarza się im upolować wilka, a zresztą futro wilcze nie bardzo jest cenionem. Za to futra z lisów północno-uralskich popłacają, stosownie do gatunku. W górach skalistych bywają prawie całkiem białe; inne przedstawiają wszystkie odcienie, poczynając od żółtorudego, aż do czarno-burego, a nawet czarnego jak węgiel; te ostatnie są najbardziej poszukiwane, gdyż za jedną skórkę płaci się 30 rubli sr. Myśliwi zapewniają, że w jednej norze znajdują się częstokroć młode wszystkich odcieni, od czerwonego do ciemnoburego. Lisy łapią się w samołówki, albo też strzelają do nich, lub ścigają je na nartach. Ostatniego z tych sposobów używają szczególniejszej Samojedzi; jest on malowniczy i zajmujący. Kilka nart, zaprzężonych najdzielniejszymi jeleniami, tropi zwierz po śladzie; dojrawszy go, puszczają się za nim z różnych stron, usiłując wypędzić na czyste pole, na którym odbywa się dopiero zapalczywa gonitwa. Gdy lis zmęczony ustaje, dobijają go cienkimi żerdkami, zakończonemi ostrzem żelaznym, których używają do popędzania jeleni. Młode lisy wybierają z nor, a tak je cenią, że je utrzymują w domu, przywiązane na łańcuchu z miękkim naszyjnikiem. Chociaż skóra ze zwierz wychowanego w domu daleko niżej bywa cenioną od skór dzikiego zwierz, strzelec jednakże stara się usilnie, aby przez troskliwe z nim obchodzenie się doprowadzić ją do największej gęstości i delikatności. Lisy białe czyli krestowiki chwytają w samołówki; futro ich niezbyt bywa cenione, dlatego używają go najczęściej sami krajowcy.

W rzekach znajduje się mnóstwo wydr; polują na nie z psami i zabijają ościeniem; futro z nich płaci się na miejscu od 7 do 10 rubli sr. za sztukę. Do soboli, kun i wiewiórek strzelają z gwintówek lub z łuków; futra ich dosyć są drogie. Drobne te zwierzęta trzymają się pospolicie drzew i tu je strzelają. Wiewiórki są niezmiernie liczne; szare, zimowe skórki z nich stanowią główny przedmiot polowania i handlu; bo chociaż sztuka kosztuje 5 do 6 kopiejek, polowanie jednak na nie jest najpewniejsze. W latach szczególniejszej urodzaju szyszek jodłowych i cedrowych, wiewiórki mnożą się nadzwyczajnie: każda para wydaje rocznie od 10 do 14 młodych.

Futra uralskie, jak już wspomnieliśmy, niżej są cenione od sybirskich. I tak: najpiękniejsze futro sobole płaci się tutaj 7 rubli za sztukę, gdy w Irkutsku kosztuje rubli 30; przeciwnie zaś kuna uralska ceni się drożej, bo od 3 do 4 rubli. Gronostaje, których niewiele jest na Uralu, bardzo są cenione, a że kryją

się pod korzeniami drzew i kamieniami, trudne są do upolowania i łapia się tylko w zapadnie.

Oprócz zwierząt dających futra, znajdują się łosie i jelenie dzikie; polują na nie z bronią palną i psami. Polowanie na łosie zaczyna się w sierpniu, gdyż w tym czasie mięso ich jest najsmaczniejsze. Jelenie dzikie chwytają i biją w zimie, gdyż na lato uchodzą one daleko na północ, nie mogąc znieść upału; najczęściej ich jest na wyspie Wajgacz. Skóry łosie i jelenie wyrabiają się na futra, lub na zamsz; mięso zużywa się na miejscu, część zaś zamraża się i wysyła na sprzedaż. Znajdują się tu jeszcze, lubo w małej ilości, i nurki; lecz bobry, których tu niegdyś było bardzo wiele, zupełnie wyginęły.

Przejdźmy teraz do łowiectwa ptaszego, które także znaczny dochód przynosi mieszkańcom Uralu północnego. W największej obfitości są: cietrzewie, kuropatwy i jarzabki; potem gęsi, kaczki, łabędzie i różne gatunki bekasów. Cietrzewi są cztery gatunki: jarzabek pospolity, głuszc, wielki i piękny ptak z czarno-bronzowemi piórami u samców, a pstroczeronemi u samic; cietrzew, zwany tu *kosacz* lub *sosacz*, także ciemno-bronzowy, lecz różniący się od poprzedniego rozdzielonym na dwoje ogonem; nareszcie najgodniejszy uwagi cietrzew śniegowy (*tetrao lagopus*), znajdujący się wyłącznie we wschodnio-północnej Rosyi. Ptak ten, w lecie pstro-bury, na zimę staje się zupełnie białym; nogi aż do szponów gestém pierzem obrosłe; przebywa w niezliczonych stadach na tundrach i polach, a chociaż jest duży, trudno go odróżnić od śniegów, których ciągle się trzyma przez zimę. Do wszystkich tych ptaków strzelają z fuzyj, lecz najkorzystniej chwytają je w sidła. Polowanie na cietrzewie bardzo jest zajmujące, lecz dla wielkiej ich obfitości, prawdziwy myśliwy możeby nie był z niego zadowolony, i polowanie to nazwałby raczej rzezią.

Do polowania na cietrzewie, mówi p. Hoffmann, pies jest koniecznie potrzebny; szczekanie bowiem przykuwa je do drzewa, jakby czarodziejską siłą; nieporuszone w miejscu, przypatrują się skaczącemu na dole psu, dopóki nie dojrzą zbliżającego się strzelca. W jesieni całemi stadami obsiadają drzewa; za pierwszym strzałem kosacze zrywają się z gałęzi i przelatują na inne niedalekie drzewo; głuszce zaś do tego stopnia są ograniczone, czy przerażone, że nie ruszają się z miejsca i wszystkie je można wystrzelać. Jeden z członków wyprawy ubił tym sposobem ośm głuszców, siedzących na jedném drzewie, i trzy razy przez ten czas broń nabił.

Sidła do łapania cietrzewi urządzą na różne sposoby; za ich pomocą chwytają corocznie miliony cietrzewi i jarzabków. Najwięcej pada ofiarą cietrzewi śnieżnych i białych kuropatw, gnieźdzących się w niezliczonej ilości w wierzbach tundry północnej. Tak np. na wyspie Proskani (na Pieczorze) jest pięć domów, a każdy gospodarz w ciągu jesieni i zimy wyławia do 10,000 kuropatw białych; w miesiącu listopadzie 1848 r. jeden z nich posiadał już 7000 sztuk. Cena ich z resztą niewielka: na Pieczorze para cietrzewi śnieżnych kosztuje 3 do 4 kopiejek sr., para jarzabków od 7 do 8 kop., para kosaczy 8 do 9, para głuszców 12 do 13. Tym sposobem każdy wieśniak zarobić na nich może corocznie od 1500 do 2500 rubli srebrem.

Do gęsi i łabędzi strzela się podczas ich przelotu. Łabędzie biją kulami; skóry z nich, wyprawione na futro, płacą się po kop. 30 za sztukę. Pułkownik Hoffmann był mimowolnym świadkiem przywiązania łabędzi do ich małych. Płynąc łódką po rzece, dostrzegł parę łabędzi z trojgiem młodych; wioslarze skierowali ku nim łódkę. Wówczas samiec, ujrawszy ludzi o dziesięć kroków, zerwał się w lot i niedaleko spuścił się znowu na wodę; samica zaś nie opuściła dzieci i zasłaniała ich ucieczką. Usiłowały one dać nurka, lecz nie miały do tego dostatecznej siły. Krajowcy przytém zapewniali, że gdy z pary łabędzi nie mającej jeszcze młodych zostanie zabitą samica, wówczas samiec nie odlatuje, lecz ginie przy niej; przeciwnie zaś, gdy samiec polegnie, samica oddala się w bezpieczniejsze miejsce.

Kaczki, których tu także jest mnóstwo w kilku odmianach, biją z fuzyj, lub chwytają w sidła; w niektórych okolicach mieszkańcy robią dla nich gniazda sztuczne, z których kaczki chętnie korzystają, a wówczas myśliwi od czasu do czasu wybierają wszystkie jaja. Gniazda takie, podobne do wysokich koszyków, stawiają się na pniach nad brzegami rzek.

Obfitość ptastwa dzikiego w kraju uralskim jest tak wielką, że bez żadnej obawy można się puścić w najdalsze okolice, nie wziawszy z sobą zapasu żywności, chociaż wsie bardzo są rzadkie. Myśliwi tak są po większej części niedbali, że rzadko oglądają swe sidła; ztąd też ogromna ilość ptastwa ginie w nich z głodu.

Mięso z grubiej zwierzyny, jako to: łosie i jelenie, mieszkańcy tutejsi wysyłają głównie do Petersburga i Moskwy, gdzie kupcy trzymają je w lodowniach i sprzedają w lecie po cenach dziesięć razy wyższych niż kosztuje na miejscu; inna zaś zwierzyna sprze-

daje się zamrożona na bliższych jarmarkach, z kąd ją handlarze rozwożą po całym kraju.

Wspomnijmy teraz o rybołówstwie, jako o jednej z główniejszych gałęzi przemysłu mieszkańców uralskich, zwłaszcza na stronie sybirskiej osiadłych. W rzekach płynących po tamtej stronie Uralu do morza Lodowatego nie ma wcale jesiotrów; z naszej zaś strony w znacznej bywają obfitości. Czeczugi (sterlety) od niedawnego dopióro czasu pojawiły się w rzekach wpadających do mórz Białego i Lodowatego; przysły tu z rzeki Kamy przez Keltmę południową, mianowicie od czasu, gdy kanał Katarzyny, łączący dwie te rzeki, uznano za nieodpowiedni celowi i służy na nim zniesiono. Zyrianie którzy przedtém wcale nie znali czeczugi, nazywali ją, długonosém plemieniem diabłém i wrzucali napowrót do wody, co także sprzyjało jój rozmnożeniu; teraz zaś ryba ta zaczyna być przez nich łowioną i stanie się wkrótce jednym z przedmiotów korzystnego handlu.

Prócz jesiotra i czeczugi, w rzekach tutejszych znajdują się: łosoś, (najsmaczniejszy z Pieczory) i różne jego gatunki, jak: siga czyli szumbunga, nelma, rapuszka, omul czyli łosoś jesienny; są nadto stynki, lipienie, szczupaki, karasie, miętusy i okonie.

Zyrianie-rybacy prowadzą życie bardziej jeszcze samotne niż myśliwi; udają się oni na połów pojedynczo, albo z jednym tylko pomocnikiem. Opuszczając swe domy na wiosnę, biorą z sobą sól, mąkę, kaszę, narzędzia rybackie, strzeleckie i ciesielskie i naczynia kuchenne; dom zostawiają na opiece żony. Tam gdzie połów obiecuje znaczne korzyści, rybak stawia sobie chatę i w tém miejscu zakłada środkowy punkt swoich czynności; robi beczki z desek sosnowych, jodłowych i obrączek z wierzbiny i przysposabia żerdzie do suszenia ryb; a wszystko to dopełnia w chwilach wolnych od rybołówstwa. W początkach wiosny najwięcej łowi się szczupaków, które po rozplataniu do grzbietu, rozpinają się poprzecznymi drewnkami i ułożone rzędami suszą na słońcu. Następnie trafiają się lipienie, sigi, a niekiedy nelmy; wszystkie te ryby sortują podług wielkości i solą. Z wnętrzości rybich wywarza się tłustość, a cała zdobycz, w miarę jój przysposobienia, układa się w chacie. Najniebezpieczniejszym dla zbiorów rybaka jest niedźwiedź, który niekiedy wdiera się nawet do chaty i pożera wszystkie ryby. Rybak jest ciągle na dworze, przepływa z miejsca na miejsce; nocuje najczęściej pod gołém niebem i rzadko odwiedza swe mieszkanie, ażeby upiec chleba i wyparzyć się w łaźni; poczem wraca do zwyczajnych

zatrudnień. Połowanie ze strzelbą i łapanie wyder w samołówki są dlań pobocznymi zajęciami, które mi jednak nie pogardza. Tak twarde i pracowite życie zrobiło rybaka uralskiego nadzwyczajnie silnym i pełnym zdrowia. Strawiwszy całe lato na robocie, wjesieni dopióro wraca do domu ze zdobyczą; podróż tę odbywa rzeką, na tratwie, na którą składa owoce czteromiesięcznych trudów. Szczęśliwy połów przynosi jednemu rybakowi przez ciąg lata od 60 do 70 rubli.

Nad brzegami rzeki Szczugory (wpadającej do Pieczory) znajduje się mnóstwo cedrów sybirskich, wznoszących wspaniale wyniosłe swe szczyty ponad lasy wieńczące skaliste brzegi téj rzeki. Cedry przynoszą także niemały dochód okolicznym mieszkańcom; lecz na nieszczęście liczba tych pięknych królów pustyni zmniejsza się corocznie. Przyczyną tego jest barbarzyński prawdziwie sposób zbierania z nich orzechów. Zbiór ten następuje wjesieni. W tym celu mieszkaniec uralski uzbraja się jak na polowanie i idzie w las z toporem; znalazłszy drzewo obfitujące w szyszki, ścina je i obiera z orzechów do szczytu; w tém samym miejscu ukrywa jaknajstaranniej zbiór swój i idzie dalej. Prócz wiewiórek wybierających zapasy zbieracza, niebezpiecznym jest także dla niego kruk orzechowy (pestkogryz); jest to niewielki ptak żywiący się orzechami cedrowemi. Gdy znajdzie skład orzechów, przenosi je z nadzwyczajną szybkością do swojej dziupli, w której często znaleźć ich można do 40 funtów. Powracając do domu, zbieracz wyłuszcza z szyszek orzechy. W czasie urodzaju ich, jeden człowiek pracowity i staranny może przynieść 8 do 10 pudów.

III.

Przedstawiliśmy czytelnikom krótką charakterystykę pół-dzikich Ostiaków i Samojedów, tudzież więcej ucywilizowanych Zyriian; staraliśmy się obznajmić go z trzema głównymi gałęziami przemysłu ludów północno-uralskich, to jest: chowem jeleni, polowaniem i rybołówstwem. Pozostaje nam teraz, podług wspomnionego na wstępie dzieła, wskazać niektóre z wydatniejszych rysów towarzyskiego życia mieszkańców tamecznych.

Krótko mówiąc, życie społeczne słabo tu jest rozwinięte; największą ku temu zaporę stanowi samo fizyczne położenie tego kraju. Rzadkość osad, ogrom przestrzeni rozdzielających mieszkania ludzkie, a przytém brak po największej części dróg, niepodobnymi

prawie czynią wszelkie stosunki; z drugiej zaś strony te właśnie okoliczności pobudzają działalność i niezmordowaną przedsiębiorczość pojedynczych indywidualów.

Z pierwiastkowych mieszkańców téj ziemi pierwsze miejsce pod względem cywilizacji bez wątpienia zajmują Zyrianie; do wielu godnych pochwały przymiotów, łączą jeszcze chęć do nauki i okazują zdolność ku przyjęciu wyższego nawet wykształcenia. P. Kowalski znał jednego z nich, Iżemca, który sam przez się nabył niemało wiadomości z astronomii. „W częstych z nami rozmowach, pisze tenże p. Kowalski, zwracał on zawsze bieg rozpraw na ruch planet i nie kontentował się powierzchownym opisem, który byłby dostatecznym dla większej części diletantów, lecz trzeba mu było wszystko wytłumaczyć z najdrobniejszymi szczegółami; wraże przeciwnym bowiem robił mi zarzuty na każdym słowie, a ponieważ wcale nie uczył się matematyki, rozmowa przeto brała zwyczajnie zwrot od astronomii, do własności figur geometrycznych.” Lekcje takie trwały nieraz po kilka godzin, i na dzień następny Iżemiec przychodził znowu do p. Kowalskiego, a nawet jeździł za nim z miejsca na miejsce. Przed kilką laty ciekawy ten człowiek był w Petersburgu i uiszczał na wykład popularny astronomii profesora Zielenina; trzeba było słyszeć, z jakim zajęciem opowiadał co widział w stolicy i jak gruntownie zbadał i pojął dzieła, które mu wspomniony profesor podarował.

Dzikość Ostiaków i Samojedów widoczniej jeszcze odbija w porównaniu z wyższem nieporównanie rozwinięciem umysłowem Zyriana. Za dowód tego służyć może ich szamaństwo i ofiary bożkom. O pierwszym mówiliśmy wyżej; co się zaś tyczy ofiar, to zdaje się że niepodobna nic potworniejszego nad nie wymyśleć. I tak, jeleniowi przeznaczonemu na ofiarę, zatykają klinami drewnianemi gardło, uszy, nozdrza, słowem wszystkie otwory, a potem dopiero zabijają; można sobie wystawić całą obrzydliwość tego obrazu, którego tłem gęsta puszcza lub jar głęboki, ukrywający świadków obrzędu przed oczami obcych.

Przymiotem wspólnym wszystkim mieszkańcom kraju północno-uralskiego, jest odwieczna gościnność, która bogatych Samojedów przywodzi nieraz do ubóstwa; uważają oni za najświętszy obowiązek żywić każdego przychodnia, a że sąsiedzi są w ogóle ubodzy, a co ważniejsza, leniwi, zamożniejsi przeto zaledwo mogą nadażyć z zabijaniem jeleni. Tym sposobem stado złożone z kilkuset, a niekiedy paru tysięcy sztuk, spotrzebowaném bywa na pokarm w prze-

ciągu kilku lat. Gdy podróżny ukaże się w czumie, gospodarz zabija natychmiast jelenia. Współbiedników zawsze mnóstwo się znajdzie, i chociaż gość będzie tylko jeden, sąsiedzi jednak nie zaniebają przybyć gromadnie, aby podzielić ucztę dla niego przygotowaną. Iżemcy nawet, którzy są bardzo o stada swoje troskliwi, na przybycie gościa w każdej porze chętnie zabijają jelenia. Zwyczaj ten tak jest zakorzenionym, że jeśli który Ostiak lub Woguł uchyla się od niego przez skąpstwo, to bywa zmuszanym przez sąsiadów gwałtownemi środkami. Członkom wyprawy trafiało się nieraz, że byli ugaszczanemi przez Zyriana; każdy im ofiarował część płodów swojego przemysłu: rybak oddawał świeże ryby, pasterz mięso jelenie, myśliwy zwierzynę. „Co dasz podróżnemu, to ci Bóg powróci,” mówili z całą prostotą i nigdy nie chcieli przyjąć zapłaty.

W ogólności sposób życia mieszkańców tutejszych przypomina czasy patryarchalnej prostoty. Drogi, jak wspomnieliśmy wyżej, prawie tu nie istnieją; gdy przychodzi odbywać podróż przez gęstwiny leśne, wycinają się przeręby. Kto ma konie, jeździ na nich wierzchem; dla kogo zaś jazda ta jest utrudzającą, ten w braku wozów bierze dwie grube żerdzie i końce ich przywiązuje do pary koni; na żerdziach kładzie wysłanie i rzeczy swoje, siada na nich i pogania konia.

Podróże wodą jeszcze prościęj się odbywają. W wielu miejscach nie używają łodzi, tylko tratwy; gdy więc wypadnie przebyć rozleglejsze jezioro, w takim razie oczekują na zupełną ciszę. Na rzece Wogułce łódki wracające jesienią z Pieczory nieustannie osiadają na mieliznach. Dla wydobycia się z nich, żeglarze tutejsi zbierają się ze wszystkich łodzi i sypią tamę na rzece; po upływie pewnego przeciągu czasu woda podnosi się, zrywa tamę i unosi łódki. Robota taka powtarza się kilkakrotnie. Przeciwnie winnych miejscach bystrość prądu utrudnia żeglugę; i tak, na jednej rzeczce, którą członkowie wyprawy przebywali na tratwie, tratwa tak silnie uderzyła o brzeg skalisty, że część jęj rozprysła się na kawałki.

Najgodniejszą uwagi u ludów północno-uralskich jest nadzwyczajna uczciwość, a w skutku jęj powszechny kredyt. Rybacy zostawiają budy w miejscach pustych, bez żadnego dozoru i bez zamków, a chociaż w nich znajdują się rozmaite narzędzia i znaczne zapasy, nikt i nigdy składów tych nie ruszy. Pewnego razu pułkownik Hoffmann zatrzymał się z towarzyszami swemi na brzegu rzeczki Ilycza, obok chaty



i dwóch bud należących do Pieczorca, który corocznie wychodził na połów ryb. W chacie nie było nikogo; drzwi jej zamknięte wprawdzie były na zasuwę wewnętrzną, klucz jednak sterczał widocznie w ścianie. Wnętrze chaty rozdzielała na dwoje przegroda; jedna połowa służyła za łaźnię parową, w drugiej był skład zbiorów i zapasów; stały w niej kadzie z rybami solonemi, leżały stosy ryb suszonych; w koszykach z kory brzoźowej był tłuszcz rybi; w budach przyległych chacie wisiały i stały na deskach nowe naczynia. Przewoźnicy pana Hoffmanna wiedzieli że wszystko to było przeznaczone na sprzedaż; ocenili więc każdy przedmiot i prosili członków wyprawy, aby kupili kilka funtów szczupaka i tłuszczu. Pieniądze złożyli w chacie w miejscu widocznym, aby się dostały do rąk właściciela; na drugi dzień, gdy go spotkali podróżni i wysłuchał opowiadania przewoźników, oświadczył że jest zupeł-

nie zadowolonym z ich postępków. Wypadki podobne nie są tu wcale rzadkie.

Dla dopełnienia charakterystyki obyczajów, dodać musimy że krajowcy tutejsi nie pod każdym względem odznaczają się podobną powyższą prawością. Na niewierność małżeńską i na poufałe stosunki obu płci niepołączonych związkami małżeństwa, patrzają tu dość obojętnie; ale co do tego usprawiedliwiają ich po części niskie pojęcie stosunków społecznych, gdyż w żadnym razie nie można ich nazwać rozwiązłymi.

Zyrianie odznaczają się gorliwością religijną; bogaci przyczyniają się chętnie do ozdoby świątyń. Dzielą się również częścią swych dostatków z uboższymi rodakami. Bez wątpienia zajmą oni kiedyś miejsce ginących zwolna Samojedów i Ostiaków, bo słusznie wyrzekł pułkownik Hoffmann w jednym z miejsc swego dzieła: „Światło musi rozproszyć ciemności.”

PÓŁNOCNE ALKI.

Im wyżej postępujemy ku północnemu biegunowi, tém uboższą znajdujemy miejscową florę i faunę; ale ubóstwo to, ściśle biorąc, rozciąga się tylko do liczby rozmaitych rodzajów i gatunków miejscowych, nie zaś do ilości indywiduali. Szczególnie okazuje się to w gromadzie ptaków. Chociaż wysoko na północy, przy brzegach morskich i na nagich wyspach, niemało jest gatunków rybitwy, jaskółki morskiej, kaczek, alk, tudzież tłuszczeli, nurków i t. d., jednakże ogólna ich liczba byłaby bardzo mało znaczącą w porównaniu z bogactwem pod tym względem południowych okolic, gdyby nie to, że tu każdy gatunek znajduje się w wielkiej obfitości i niesłychanie licznych stadach. Niele dwie najgłówniejszą rolę między temi północnymi, towarzyskie życie prowadzącymi i niektóre wyspy w całym znaczeniu tego wyrazu zupełnie pokrywającymi ptakami odgrywa rodzaj nazwany Alka.

Na dołączonej tu litografii przedstawione są trzy rozmaite gatunki tego rodzaju, odznaczające się szczególnym składem dziobów i niezwykłą ozdobą piór.

Fig. 1 i 2 przedstawiają samca i samicę alki sierpowatej (*Alca cirrhata*, według Pallas). Według in-

nych zaliczony jest ten gatunek do rodzaju Mormon Papugonur, z gatunkową nazwą *Mormon arcticus*, Papugonur północny. Pod tą nazwą pomieszczony jest piękny egzemplarz, znajdujący się w naszym gabinecie zoologicznym. Mają one wysoki, z boków bardzo ściśnięty dziób, przód głowy biały i dwa pęki długich, żółtawych piór, które nad oczami kształtnym łukiem wyginają się w tył po obu stronach głowy. Wierzch głowy, grzbiet i skrzydła są czarne, piersi i brzuch ciemno-szare. Nogi o trzech palcach połączonych błoną, jak u wszystkich pływających ptaków, są koloru żółto-czerwonego.

Ptak ten nieco większy jest od gołębia i ma wiele podobieństwa z nurkiem lodowatym, który obficie znajduje się nad północnymi morzami Europy, Azji i Ameryki. Ten o którym tu mówimy znajduje się najobficiej na drodze Beringa i na wyspach Kurylskich. Większą część dnia przepędza pływając po morzu, zanurza się bardzo zwinnie i lot ma dosyć szybki, ale rzadko oddala się znacznie od wysp lub skał przybrzeżnych; tam bowiem gdzie woda jest głęboka, nie znalazłby dostatecznej ilości pożywienia,

składającego się z raków morskich i rozmaitych mięczaków, których twarde skorupy za pomocą swego jak nóż ostrego dzioba bardzo zręcznie otwiera lub rozgniata. Na nocleg odlatuje na skały, w których zwietrzałej przez wpływ atmosferyczny powierzchni, przy pomocy silnego dzioba, wydrąży sobie na łokieć głębokie nory. W tych norach samiec i samica składają znoszone ze wszech stron pierze, trawy morskie, mchy i tam noce przepędzają. W końcu maja i na początku czerwca samica znosi jedno tylko jaje, stosunkowo bardzo duże, brudno-białej barwy. Żółtko tego jaja jest pomarańczowe, nader smaczne i dlatego wyspiarze troskliwie ich szukają i zjadają. Napadnięte w swoich gniazdach bronią się dzielnie i uderzenia ich dziobów są bardzo silne i niebezpieczne. Mięso ich jest czarniawe i twarde, dlatego nie używa się na pokarm.

Zgrabne, łukowate, żółtawe kitki tego ptaka tak podobają się kobietom kamczackim, że naśladowując je wycinają ze skóry rosomaka podobne żółte łuki i przywiązują je za uszami. Jest to tak ulubiony strój tych kobiet, że Kamczadanin nie może pożądanego zrobić podarunku swojej żonie albo narzeczonej, jak przynosząc jej futerko rosomaka. Steller, sławny podróżnik i badacz natury, wspomina o innym jeszcze użytku jaki Kamczadanie mają z tego rodzaju alki.

Czarownicy tamtejsi zawieszają na szyi, jako szczególny talizman, cienki rzemyk, na który ponawlekane są dzioby tych ptaków, naprzemian z kosmykami futra psów morskich; ten zwyczaj atoli, równie jak mnóstwo innych zabobonów, usunięty został prawie zupełnie przez wpływ chrystianizmu. Dotąd jednak nie już jako talizman, ale jako ozdobę czapek i kapeluszy, krajowcy tamtejsi używają jaskrawo-żółtych dziobów tych ptaków, a z brzuchów ich szyją sobie ciepłe koszule.

Mniejszy niż poprzedzający gatunek jest Alka papugowata (*Alca psittacula* Pallas). Górne części jej są szaro-czarne, piersi i brzuch białe, a pod oczami wyrastają długie, podobne do włosów, białe piórka. Górna część dzioba, z boku widziana, wygląda jak ziarno dyni, dolna jest w górę zakrzywiona; obie połowy żółto-czerwone; nogi są brudno-żółte, a błony międzypalcowe szare.

Ten gatunek alki w dzień wielkimi gromadami

plywa po morzu, nie oddalając się nigdy zbyt od brzegów i skalistych wysp na których nocuje. Nie chowa się on tak jak poprzedzający w wydrążonych przez siebie jamach, ale wyszukuje gotowe już rozpadliny w skałach i tu także składa swe jaja. Samica także jedno tylko znosi jaje, szare z brunatnymi centkami.

Ptak ten osławiony jest jako wzór głupoty i Pallas opisuje sposób łowienia go, używany przez wyspiarzów, dowodzący rzeczywiście zupełnej niedołężności, tak dalece że opowiadanie to, gdyby pochodziło od mniej sumiennego autora, możnaby wziąć za zupełną bajkę. Przytoczymy tu własne jego słowa: „Ptasznik, ubrawszy się w obszerny kożuch, nazywany kuklanka, kładzie się niedaleko od brzegu, z wyciągniętymi przed siebie szerokimi rękawami i bez poruszenia czeka na wracające na ląd gromady alk, które, niewiele i tak widząc w ciemności, bez żadnej obawy włożą w rękawy i pod szeroko rozłożony kożuch, jako w wygodne i bezpieczne schronienie, gdzie ukryty nieprzyjaciel po jednej je chwyta i dusi, dopóki mu się zmieszczą pod kożuchem.” Bo też rzeczywiście gdyby polowanie to nie było tak łatwem, trudby się nie opłacił, albowiem mięso tych ptaków jest czarne i twarde, a pierze i puch tak gęste, że skubać ich do czysta niepodobna; dlatego obdzierają z nich skórę i tak dopiero pieką i jedzą. Jajka za to bardzo są smaczne.

Alka czubata (*Alca cristatella* Pallas), przedstawiona na fig. 4, jest najmniejszym z trzech tych gatunków. Wielkością jest on prawie równą naszemu drozdowi, ma krótki, nader dziwnie zbudowany dziób i żółtawe nogi z czarnymi błonami. Całe jej pierze jest czarne, tylko brzuch i końce skrzydeł szare. Przy oczach ma takie jak poprzedzający pęczki włoskowatych piórek, a na czole kępkę kędzierzawych piór naprzód zgiętych.

Ten gatunek alki żyje głównie na ostatnich od strony Japonii położonych wyspach kurylskich, a najobficiej przy brzegach Marmey. Sposób życia jego bardzo podobny jest do obu poprzedzających, to jest w dzień pływa po morzu w bliskości brzegów, a nocuje w rozpadlinach skał i naturalnych wydrążeniach w ziemi. W naszym gabinecie znajduje się jeszcze Alka dwu-maścista (*Alca Torda*).

LOPE DE VEGA.

Najpłodniejszy pisarz dramatyczny, twórca przeszło 1500 dzieł, który na zawsze zostanie podziwem świata, ojciec dramatu hiszpańskiego, urodził się z niezamożnych rodziców w Madrycie 1562 roku. Podobno już w piątym roku zamieniał z towarzyszami swemi poezye własnego pomysłu za zabawki i obrazki. Sam o sobie wspomina, że zaledwie umiał mówić, a już składał wiersze, i porównywa swe poetyczne próby z pierwszym świegotem ptasząt w gniazdku. Już w jedenastym roku pisał czteroaktowe komedye, każdą na czterech arkuszach. W czternastym roku napisał dramat pasterski, który jest najdawniejszém ze wszystkich jego dzieł drukiem ogłoszonych, i zasługuje na uwagę ze względu na piękną wersyfikacyę. Ten wczesny objaw poetyczności być może, że wywołał swym przykładem ojciec, który sam był poetą. Jeszcze w młodym bardzo wieku niespokojny umysł Lope'go popchnął go do awanturniczój wędrowki z towarzyszem szkolnym, która skończyła się uwięzieniem w Segowii, gdy sprzedać chciał jakąś swą kosztowność, i odesłaniem do rodziców. W dwunastym roku służył wojskowo i miał udział w zamorskiej wyprawie, zapewne do Tunis, pod dowództwem don Juana austriackiego w r. 1573.

Ubóstwo rodziców zmusiło go szukać pomieszczenia w domach znakomitych panów, z pomiędzy których ze czcią wspomina Hieronima Manrique biskupa Avili, któremu zawdzięczał pierwiastkowe swe ukształcenie. Cztery lata bawił na uniwersytecie w Alkala, gdzie uczył się filozofii i matematyki, poczem zajmował się magią, za przewodem sławnego Rajmunda Lullusa. Przebywszy niejaki czas w Salamance, otrzymał stopień bakałarza i miał zamiar wstąpić do stanu duchownego, ale miłość tak go zaślepiała, że o wszystkim dla niej zapominał. Miał wtedy lat siedmnaście i bawił u bogatego krewnego, gdzie pozyskał wzajemność młodój Marfizy. Szczęście rozkochanój pary niedługo trwało, bo Marfiza zmuszona była oddać rękę staremu juryście. Łatwo zapalne serce młodzieńca pocieszyło się stosunkiem z inną kobietą, młodą mężatką, której mąż był nieobecnym. Wpływ familii zmusił ją do zerwania związków z Lopem, który oddał się rozpacz, sądząc że został odepchniętym dla jednego bogatego Ameryka-

nina. Pędzony niepokojem błędził po różnych miastach, gdy wrócił do Madrytu, spotkał się z ukochaną i zawiązał z nią nowe ale już potajemne stosunki. Lecz upewniwszy się o zupełnej z jój strony wzajemności, zerwał z nią, zwróciwszy się do innój. Pogardzona kochanka przez intrygę wtrąciła go do więzienia, z którego zdołał uciec.

W roku 1582 czy 1583, wstąpiwszy znowu do wojska, należał do zdobycia wysp Azorskich. W r. 1588 udał się z flotą Filipa II pod dowództwem księcia Medina Sidonia przeciwko Anglii. W czasie téj wyprawy w objęciach jego skonał brat, raniony kulą. Powróciwszy z wyprawy, ożenił się. Spotwarzony niesłusznie, zemścił się na potwarcy satyrycznym wierszem, który przeciwnika okrył śmiesznością; a wyzwany przez wyszydzonego, rani go śmiertelnie i ucieka do Walencyi. Znajomość w tém mieście ze znakomitymi poetami, którzy wysoko teatr podnieśli, z Viruesem, Tarregą, Aguilar'em i Guillen de Casto, dodała nowój podniety Lope de Vedze do poświęcenia się téj gałęzi literatury. Wygnanie i pożycie z żoną trwały lat siedm.

Powróciwszy do Madrytu, wkrótce poślubił drugą żonę. Oto obraz jego szczęścia domowego, własnymi jego słowy opisany: „Każdego poranku patrzyłem na czyste oblicze słodkiej méj małżonki; mamka przynosiła mi małego Karlosa, kwitnącego jak róża i lilie, który mi figle dziecinne prawił. Przy tém słońcu i téj jutrzence ubierałem się. Chłopiec skakał koło mnie, jak owieczka na łące śród zarania; każdy jego żarcik uważany był przez nas za wyrocznię i wynagradzany pocałunkami. Potém szedłem do mego pokoju pisać, dopóki mię nie zawołano do jedzenia. Wtedy nieraz z gniewem odpowiadałem żeby mi nie przeszkadzano; ale gdy przyszedł po mnie mój Karlos, i dawał oczom moim światło, a piersiom uściski, i chwycił mię za rękę, wtedy nie mogłem się mu oprzeć i siadałem przy stole obok matki. Bez świetnej usługi, bez zbytkownego stołu, zastawionego kryształowemi naczyniami i złotemi półmiskami, ubóstwo dawało nam jednak to co było potrzebném, bo natura na małym poprzestaje.”

Pierwszym ciosem który zakłócił to szczęście była śmierć Karlosa. Oda, wywołana tém zdarzeniem, w któ-

rój maluje walkę chrześcijańskiego poddania się z miłością ojcowską, należy do najwięcej natchnionych w poezji hiszpańskiej. Podajemy z niej parę ustępów:

„Ten słodki owoc mego jestestwa, o Przedwieczny Ojeze, z pokorą składam na ołtarzu Twoim, pod błogosławieństwem Twojem; bo jeżeli ze wszystkich ofiar czyste i niewinne serce jest największą, to ośmielam się ofiarować Ci moje serce, mego Karlosa. Ja kochałem Cię o Panie, odkąd otworzyłeś oczy moje na poznanie Twego światła; i przyszedł na ziemię syn mój Karlos, i stał się niby obłokiem, który mi widok Twego niebieskiego słońca przesłaniał; a teraz tchnienie Twój boskiej opieki pędzi korab' mego żywota po morzu łez moich do portu wiecznego zbawienia. I dobrze się stało, że mi wydartym został ten, który przeszkadzał mi Ciebie ukochać, i żem Ci musiał tę wdzięczną owieczkę dać w ofierze. A ty, błogosławiony chłopczyno, coś w siedmiu latach swego żywota nigdy nie przeciwiał się woli rodzica, pociesz zasmucone me oko, ty co mieszkasz w państwie światłości. Od kolébki aż do ostatniego spoczynku nie dałeś nam ani jednej godziny troski; śmierć twoja jest piérwszą boleścią, jakąś nam sprawił. Kiedym cię tak roztropnym widział w młodych twych latach, myślałem sobie: tak kończy starzec, jakże może dziecko tak zaczynać?—Jakże często, słodki mój chłopcze, chwytałem ci ptaszków, różnych pieniem i barwą; jakże często sadziłem ci zielone gałązki w twoim ogródku, i kwiatki, w których obraz twój widziałem; a ty, mój Karlosie, zaledwie, w czystém powietrzu rosą jutrzeńki okryty rozkwitłeś, wnet, jak biała lilia gdy zwiednie, omdlony padłeś na ziemię, aby do nieba być przeschczepionym. O z jak bosko pięknymi ptaszkami możesz teraz igrać, które rożnobarwnymi skrzydełkami bujają po niebieskich błoniach wiecznego ogrodu!”

Utraciwszy niebawem i żonę oddał się życiu zakonnemu w r. 1609, a następnie przyjął regułę świętego Franciszka.

Jeszcze przed zmianą powołania, sztuki Lope'go zyskały potężny wpływ na scenę. Do zajęcia się głównie pisaniem sztuk teatralnych skłaniały go nie tylko wrodzony popęd, ale i konieczność szukania środków utrzymania, gdyż najkorzystniejszą wówczas gałęzią piśmiennictwa była dramaturgia, a chociaż lichy płacono, jednak z powodu niesłychanej płodności swego pióra Lope niemało mógł zyskiwać. O szybkości tworzenia jego można wnosić z tego, co sam o sobie mówi, że ze sto sztuk napisał, każdą we 24 godzin.

Ta płodność pióra i na innych objawiała się połączona: nie było wielkiego wypadku, któregooby on pieśnią nie uczcił; miał jakby na pogotowiu epitalamium na zaślubiny każdego magnata, pieśń na powitanie każdego nowonarodzonego, elegię na każdą śmierć, epigrammat na każde zwycięstwo, hymn na każde święto. Na każdą publiczną uroczystość ukazywały się jego wiersze; do każdego literackiego konkursu należał jako współbiegający się lub sędzia. Ale jeżeli łatwym i szybkim był w pisaniu, to za to nieskorym do drukowania, i trzymał się w tym względzie przepisu Horacyusza. Co do korzyści z wydawania swych dzieł, tę Lope miał niewielką, bo książkę wydrukowaną w jednej prowincyi, wolno było wówczas przedrukować w innéj; nadto cena ksiąg oznaczona była przez władzę i to w stosunku jedynie do materialnej wartości, to jest do kosztów druku i papieru.

Od 1600 roku, w którym otworzono zamknięty przez dwa lata teatr madrycki, długi czas Lope prawie wyłącznie panował na scenie, którą nieustannie zaopatrywał; obok tego dzieła jego były chciwie czytane we Włoszech, Francyi i Ameryce.

Ze wstąpieniem do stanu duchownego rozpoczyna się najświetniejszy okres jego życia. Sława jego wzniosła się do najwyższego szczytu; książęta i grandowie ubiegali się o jego przyjaźń; poeci szukali jego względów i naród ubóstwiał go. Nazwisko jego stało się modnym wyrazem najwyższej doskonałości. I tak, mówiono: to obraz—Lope, diament—Lope. Gdy się ukazał na ulicy, otaczały go tłumy ludu; sam król na jego widok ze czcią się zatrzymywał. Nazywano go *feniksem Hiszpanii, cudem natury*. On jednak nie dał się odurzyć próżnością i pod portretem swoim kazał położyć słowa Seneki: „Pochwały i obelgi tłumy bierz za jedno.” Jakoż usunął się od zewnętrznego blasku, i całą swą działalność rozdzielił na wypełnienie obowiązków stanu duchownego i na zasilanie sceny. W domu swoim miał kaplicę, gdzie codziennie odprawiał mszę, wyjąwszy dni w których musiał ją mieć w kościele; nie opuścił także żadnego pogrzebu i żadnej processyi. Hojność i dobroczynność uczyniły dom jego przytułkiem ubóstwa; ręka jego zawsze była otwartą dla potrzebującego. Razu jednego, gdy lichy ubrany ksiądz prosił go o jałmużnę, Lope odział go we własne szaty i oddał mu jedyny kapelusz, chociaż sam z domu zaraz wyjść musiał. Pobożność jego była szczerą, dowodem tego rozliczne religijne utwory, należące do najpiękniejszych dzieł muzy chrześcijańskiej. Od chwili zostania duchownym, chociaż w momentach pobożnego zapału uważał religię za

jedyny przedmiot godny natchnienia, nie porzucił jednak obrabiania utworów najróżnorodniejszej treści.

Zazdrość ściągnęła na niego prześladowanie ze strony innych poetów, mianowicie utalentowanego Gongory, który stworzył niesmaczny, przesadzony styl w rodzaju naszego z 17 i pierwszej połowy XVIII wieku. Lope był jednak umiarkowanym i sprawiedliwym względem swych nieprzyjaciół; czasem tylko mścił się prawdziwym dowcipem. I tak naprzykład uracza swych krytyków allegoryą o sporze między drozdem a słowikiem; to znowu na tytule jednego ze swych dzieł umieszcza chrzabaszczą, który rzuciwszy się na różę, zamiera wonią jej odurzony. Mniej byli umiarkowani zagorzali jego obrońcy. Gdy jeden antagonistą obelżywe pismo na Lope de Vegę wydrukował, zwolennik poety w odpowiedzi oświadcza, iż „taki literacki kacierz powinien być publicznie ochłostany, a potem powieszony;” uczony zaś Maryana nazywa owego antagonistę „głupcem, plagiatorem i szubienicznikiem.”

Gdy Filip IV w pałacu swoim *Buen Retiro* urządził przepyszny teatr, w którym mu szło głównie o dekoracye i maszynerye, Lope napisał kilka sztuk dla tego teatru; narzeka jednak na to, że zaczęto przywiązywać zawiele do podrzędnych względów sce-

niczności, pojmował bowiem, że to raczej krępuje, aniżeli rozwija sztukę dramatyczną.

W roku 1618 mianowany został protonotaryuszem apostolskim przy arcybiskupstwie toledońskim; od dawna zaś był *poufałym inkwizycyi*, tytuł poszukiwany przez wszystkich tych, którzy wedle pojęć hiszpańskich chcieli usunąć wszelką wątpliwość co do czystości swego pochodzenia.

Lord Holland obliczył, iż Lope za dzieła swoje otrzymał przeszło 400,000 złp. na dzisiejszą monetę. Chociażby to wówczas i dwa razy tyle co dziś znaczyło, zawsze mała to summa za taki ogrom dzieł, zwłaszcza w porównaniu z kolosalnymi dochodami jakie literatura przyniosła Walterskotowi, Dickensowi, Dumasowi i innym dzisiejszym zachodnim pisarzom.

W wigilię śmierci, to jest w dniu 20 sierpnia 1635 roku, powiedział do swego przyjaciela: „Prawdziwa sława zasada się na cnocie, i chętniebym oddał wszystkie hołdy jakie pozyskałem, za jeden jeszcze dobry uczynek.”

Pogrzeb jego odbył się z niesłychaną okazałością, a cała Hiszpania dziewięciodniową przybrała żałobę.

Bolesław Wiktor.

UCZTA CHIŃSKA.

Sztuka kucharska w Chinach wyżej stoi od angielskiej, chociaż niżej od francuskiej. Chińczyk w najdrobniejszych czynnościach swoich jest pod pewnym względem filozofem, bo nie czyni bez rozumowanej zasady. W jego mniemaniu cywilizacya i sztuka kucharska, są to dwie rzeczy najściślej z sobą połączone — w czém, mówiąc mimochodem, zgadza się on z wielą znakomitymi Europejczykami, i jest przekonania, że Anglik pod względem ukształcenia i moralności musi stać bardzo nisko, a wielkie znaczenie swoje polityczne jedynie grubiej potędze materialnej zawdzięcza. Co do sposobu karmienia się Anglik, zdaniem Chińczyka, może zaledwie równać się z dzikimi mieszkańcami wyspy Formozy. Siedząc za stołem, dokonywa on większej części roboty rzeźnika, a najważniejszą czynność kucharza porucza swemu żołądko-

wi. „W prastarych czasach zanim staliśmy się narodem ucywilizowanym — mówił pewien wykwintny Chińczyk do pana Will. Russell korrespondenta *Timesa*, używaliśmy jak wy noża i widelców, nie znając jeszcze patyczków. Wprawdzie zachowaliśmy dotychczas nóż, ale tylko jako pamiątkę dawnego barbarzyństwa; nie służy nam też do żadnego użytku. Siadamy do stołu ażeby jeść, nie zaś żeby rzezać bydło, jak w szlachtuzie.”

Ludzie przywykli do życia siedzącego i nie mogący dobrze trawić, myślą, podobnie jak Chińczyk, że udziec, piersi i jelita, w postaci przypominającej żywe ciało, są potrawą dobrą tylko dla Anglika lub drapieżnego zwierza. Pokarmem zdrowym, prostym nazywa się w Wielkiej Brytanii kawał krwawego mięsa lub jarzyna ugotowana w wodzie, dla których strawie-

nia potrzeba mieć wiele ciepła zwierzęcego, podniesionego jeszcze przez ruch i pracę fizyczną. Stosowne to pożywienie dla ludzi żyjących w stanie natury. Od stanu tego nadzwyczajnie oddalony jest Chińczyk, który też z największą starannością przyprawia swoje jedzenie, i jakichkolwiek używa materiałów, obchodzi się z niemi ze sztuką godną Francuza.

Wprawdzie w Chinach, podobnie jak w każdym innym kraju ucywilizowanym, jest bardzo wiele stopni sztuki kucharskiej, i ktoby chciał mieć wyobrażenie o jej rozwinięciu najwyższem, niech jej nie studyuje w pierwszej lepszej garkuchni chińskiej. Klasa robotcza je tylko ryż, nierównie zresztą zdrowszy od gotowanej pszenicy Arabów, a pożywniejszy od kartofli. U najbiedniejszych wyrobników prosta ta potrawa jest wybornie przyrządzana; gotują ją na sypko, tak iż jedzący każde ziarnko osobno do ust niesie. Niżej od klasy robotników stoją żebracy i w ogólności upośledzone warstwy ludności, których zwykłym pokarmem są psy, szczury i tym podobne przysmaki. Nie upodobanie jednak, ale nędza zmusza ich do tego, bo nie są w stanie kupić sobie ryżu; niesprawiedliwie też uważają w Europie ich sposób żywienia się za typ prawdziwie chiński.

O sztuce kucharskiej w Chinach nie dają także wyobrażenia kuchnie uliczne, jakkolwiek najbardziej wpadają w oczy Europejczykowi i drażnią ich powonienie. Są to piecyki podpalane węglem, na których stoją półmiski i misy, a w nich gotuje się zupa z mięsa i jarzyn, pozorem swoim wcale nienęcają. Natych także piecykach warzą się w kotłach mięsiwa z kłuskami, nieźle smakujące zgłodniałemu a niebardzo wybrédnemu Europejczykowi; obok nich na patelniach skwarzą się w oleju ryby i ptastwo. Wyziewy tych potraw silnie biją w nos przechodnia; w Chińczyku zaostrzają apetyt, ale delikatniejszy Europejczyk widzi w nich słabą stronę kuchni chińskiej. Czy jednak potrawy smażą w Chinach na oleju rycynowym,—jak utrzymują niektórzy, chociaż temu Huc zaprzecza—czy na oleju z herbaty, z nasienia bawełny, czy na jakimkolwiek innym oleju roślinnym, którego w Chinach jest do dwudziestu gatunków,—rzecz to dosyć obojętna. Olój ten bowiem bywa zwykle tak stary i zepsuty, że woń jego nieznośna wielce przyczynia się do zagęszczenia wyziewów zaraźliwych, jakich pełne są miasta i wsie chińskie. Z tego jednakże tak mało można wnosić o sztuce kucharskiej chińskiej, jak o francuzkiej z gotowanych w garkuchniach paryzkich w bliskości Odeonu zup zajęczych,

do których, zapewne przez nieostrożność kucharza, często zamieszają się kocie pazury.

Niepodobna dziś być na ucztę prawdziwie narodowej u obywatela chińskiego, gdyż gospodarz uważa za pierwszy warunek grzeczności, raczyć swojego biesiadnika według jego zwyczajów krajowych. Kupcy chińscy w Ningpo—opowiada p. Russell—zaprosili mnie i innych Anglików na wielki obiad w nowej świątyni, ale na nieszczęście najęli kucharzy od swych biesiadników angielskich. Wywzajemniając się naszym amfitryonom, zaprosiłem ich do oberży chińskiej zwaną *Galeryą akademika cesarskiego*, a słynącej z najlepszej kuchni w całych Chinach, po Pekinie. Zaproszenie zostało przyjęte, sala przygotowana, a obiad sporządzony pod kierunkiem biegłego gastronomo chińskiego. W dniu oznaczonym zaproszone damy chińskie przeniesiono w lektykach do galeryi akademika chińskiego; reszta gości przyszła pieszo.

Sala jadalna była długa, ale wązka; przednie jej okna wychodziły na ulicę. Stół ciągnący się wzdłuż pokoju pokryty był różnemi przekąskami, mającemi zaostrzyć apetyt: półgęski, flaki rozgotowane, jaja na twardo, pomalowane i zakonserwowane w wapnie,—przysmak z każdym rokiem nabierający większej wartości,—jagody i różne rośliny marynowane, jakaś nieznana muszla, raki morskie ugotowane, orzechy i owoce smażone w cukrze, wszystko to było wśmienicie przyrządzone i dziwnie zaostrzało apetyt. Z początku z pewnym niedowierzaniem zbliżaliśmy się do tego śniadania, ale powoli nieufność zniknęła, w miarę jak spożywaliśmy owoce i przewyborne muszle.

Nareszcie rozpoczął się właściwy obiad. Gdy zajęliśmy miejsca za stołem, dostał każdy talerz i łyżkę porcelanową—patyczki goście przynieśli ze sobą. Ręcznik złożony i zwilżony w wodzie, zastępujący nasze serwety, leżał przy każdym talerzu, a przy biesiadujących stało po dwa kielichy metalowe. Obok mnie siedział najpoważniejszy z Chińczyków, którego obowiązkiem było czuwać nad ścisłym wykonywaniem przepisów ceremoniału. Na głowie miał letnią czapkę mandaryńską, gdyż był tłumaczem jednego z naszych konsulatów.

Pierwszą potrawą, według przyjętego zwyczaju, była zupa z gniazd ptaków indyjskich. Niejeden może mniema, że gniazda te pływały w półmisku ze mchem, piórami i innymi przyległościami. Nie wiem jakimi są te gniazda ptasie w swym stanie naturalnym, gdyż nie mam żadnej książki ornitologicznej

pod ręką, a nie byłem na morzu indyjskim podczas wybierania gniazd ptasich. Na stole podobne one były do gęstego klejku, pływającego na powierzchni zupy. Sama zupa była mdła i bez smaku, ale też ona nie jest właściwą potrawą; przynoszą do niej na talerzykach mnóstwo sosów różnego smaku i mocy. Należało nam pójść za przykładem i wskazówką naszego Chińczyka, który z niepospolitą znajomością rzeczy mieszał je do zupy. Zresztą, jak łatwo się domyślić, zupy tej nie je się patyczkami, ale czerpie spodkami z wazy, a następnie łyżkami porcelanowymi do ust się ją niesie. Z niespokojnym oczekiwaniem patrzyliśmy na drugie danie. Była to potrawka ze ślimaków morskich. W Macao widziałem je białe, tu zaś w Ningpo były zielone. Są one tak ślizkie, że niewprawny nie może sobie z nimi dać rady. Potrawa to bardzo soczysta i smaczna, mająca wiele podobieństwa do tłuszczu żółwiego. Kto przyzwyczajony jeść to tylko, co jedli jego dziady i pradziady, ten zaiste pozostać musi przy swoich muszlach, ostrygach i rakkach, i trudno od niego wymagać, aby bardzo smakował w ślimakach morskich. W każdym jednak razie rodowity Brytańczyk, najadłszy się do syta ostryg, nie ma prawa wznosić oczy i ręce ku niebu z politowaniem, gdy zobaczy jak poczciwy Chińczyk zajada z dobrym apetytem wybornie przyprawione ślimaki.

Kiedyśmy tak rozmyślali jakby się wziąć do owej potrawy, nasz chiński mistrz ceremonii poprosił nas uroczyście o głos. Zaniedbaliśmy dopełnić najważniejszego punktu grzeczności chińskiej: żaden z nas dotychczas nie podał do ust swemu sąsiadowi smacznego acz śliskiego kąska, głęboko zanurzonego w sosie. Probowaliśmy wynagrodzić tę zwłokę, ale zawsze bezskutecznie, gdyż ślizkie ślimaki wymykały się z rąk jak węgorze.

Trzecią potrawą była skóra z głów jesiotrów, rozgotowana na galarete; ma wprawdzie właściwy sobie przyjemny smak, ale zgoła nie usprawiedliwia niszczenia tylu ryb kosztownych, dla jednego półmiska. Następnie podano potrawki z psa morskiego i z wieprzowiny. Chińczycy śmieli się w duchu z niedorzecznego przesądu Europejczyków, ujrawszy jak wielu z nas skwapliwie rzuciło się do wieprzowiny, a na potrawkę z psa morskiego spoglądało z ukosa. Po psie morskim dano zupę rakową z kluskami.

Tymczasem stojący za nami chłopcy nieustannie napełniali biesiadnikom lampki gorącym winem ze dzbana metalowego. Napój ten był trzech gatunków: pierwszy, nadzwyczajnie mocny, pito duszkiem, jak wódkę; drugim gatunkiem było wino zaprawione ko-

rzeniami, ostre i przyjemne którego wyborny smak zachęcał do częstego powtarzania libacyj; trzecim wreszcie gatunkiem było wino lekkie, zwyczajne, niaby nasze stołowe, mające gasić pragnienie. Chińczycy przepijali do każdego z biesiadników, prawie tak samo jak Anglicy, ściśle jednak przestrzegali ceremoniału chińskiego, i nie dość grzeczni dla dam, rozpoczęli toasty od mężczyźni części towarzystwa.

Po samych potrawach ostrych, wprawdzie pożywnych ale klejowatych, podniebienia i żołądki biesiadników zapragnęły leguminy: zewsząd wołano o chleb i ryż. Usługujący chłopcy, baczni na każde skinienie, natychmiast przynieśli chleba; ale nasz *arbiter edendi* ani chciał o tym słyszeć. Chleb na uczcie chińskiej jest grubym wykroczeniem przeciwko ceremoniałowi. Pomściliśmy się za to, głośno oświadczając, iż niepodawanie chleba do stołu kazi zalety gastronomii chińskiej.

Tymczasem półmiski porcelanowe zmieniały się bez przerwy; najprzód dano tak zwany *ryż nieśmiertelnych*, albo raczej potrawę nieśmiertelnych, bo właściwego ryżu wcale nie widziałem na półmisku; była to marmelada ze śliwek i innych owoców smażonych których smak kwaśno-słodki stanowił bardzo przyjemną odmianę, po ciągłych potrawach z ryb i mięsiwa. Po marmeladzie wniesiono jakąś włosistą jarzynę, bardzo podobną do endywii, którą we Francji zowią brodą kapucyńską; potem marynowane grzyby z Mandżuryi, różne sosy i przyprawy, między którymi figurował pewien korzeń, ze smaku podobny do chrzanu morskiego. Nieodzowną jeszcze potrawą jest sos z języków kaczych, szczególniejszy przysmak Chińczyków. Łowiliśmy dość zręcznie małe języczki naszymi patyczkami, bo wreszcie oswoiliśmy się z używaniem tych narzędzi, gdy głośne okrzyki chińskie *Ey yaw* oderwały nas od jedzenia. Głosy te pochodziły z przeciwległego domu, może o cztery łokcie od okien naszej sali jadalnej; nawpół nadzy Chińczycy zalegali galeryą i dach, patrząc ciekawie, jakby na przedstawienie w teatrze; zdaje się nawet że miejsca swoje opłacili. Przez cały czas siedzieli spokojnie, w milczeniu przypatrując się jak jedzą barbarzyńcy. Moglibyśmy wprawdzie kazać zasłonić okna, ale byłoby to niegrzecznie; ciekawość Chińczyków bynajmniej nam nie zawadzała, a spuszczone rolety nie dopuszczałyby przewiewu świeżego powietrza: tak więc jedliśmy publicznie, nie zwracając uwagi na patrzących.

Gdy nakoniec podano potrawkę z muszli, nikt już jeść nie chciał. Potrawa nietknięta jest znakiem za-

kończenia uczy. Gospodarz zapewniał, że czekało nas jeszcze ze dwadzieścia najpiękniejszych i najrzadszych dań, ale nasz mistrz ceremonii nie dał się zmieknąć i my także. Na zakończenie obiadu podano poprostu ugotowanego ryżu, cukry, owoce w cukrze smażone, jagody zakonserwowane w spirytusie, a wreszcie herbatę. Na obiedzie chińskim nigdy nie podają owoców surowych. Stare przysłowie chińskie opiewa, że owoc z rana lekki jest jak piórko, w południe jak jedwab, a wieczorem ciężki jak ołów. Gastronomowie najbieglejsi zapewniali mię, że nie podano na stół niczego, coby nie było w najwyższym stopniu zdrowe, pożywne i łatwe do strawienia. I przyznać trzeba że powiedzieli zupełną prawdę; tegoż bowiem jeszcze dnia starczyło nam apetytu na wyśmienitą wieczerzę, na którą nas zaprosił jeden ze współbiesiadników obiadu.

Kiedy wszyscy już jeść przestali, mistrz ceremonii obejrzał się dokoła z zadowoleniem — i z ust jego wypłynął potok słów krzykliwych i grzmiących. Widać było ile on, Chińczyk, dumny był ze swojej sztuki. Zakłopotani, niespokojnie siedzieliśmy na krzesłach, nie pojmując do czego zmierzała ta hałaśliwa gada-

nina; jeden z mówiących po chińsku dał to do zrozumienia mistrzowi ceremonii, ale ten odpowiedział z emfazą, że nie wysławiać głośno bogactwa i wykwintności uczy, byłoby to najdotkliwiej obrazić gospodarza. Zaledwie zdołaliśmy go namówić, aby zaniechał tego działu ceremonii.

Tak zakończyła się nasza uczta. Zanim jednak wsiedliśmy do lektyk, zwidzieliśmy cały zakład gastronomiczny, spiżarnie w których przechowywano wszystkie te dziwne rzeczy jakie niedawno pożywaliśmy, obejrzeliliśmy kuchnie, kotły i piece, w których nowy gotowano obiad. Wszystko było czyste i porządne, jak w najpierwszej restauracyi europejskiej.

Nie będziemy, rozumié się samo z siebie, twierdzili, iż obiad ten był zupełnie w naszym guście; ale wychowanie i zwyczaje ludu chińskiego wymagają podobnego pożywienia. Potrawy są lekkie i łatwo dające się strawić, zarzucić im tylko można zbytnią jednostajność, mdłość i ekliwość, lubo wadę tę Chińczycy bardzo rozumnie i filozoficznie starają się usprawiedliwić. Nie zapominajmy zresztą, że zamożniejsze klasy w Chinach bardzo mało używają ruchu i popolicie cierpią na dyspepsyę (trudność trawienia).

ODKRYCIA

NA OCEANIE POŁUDNIOWYM.

Od koła bieguna północnego do południowego sięga niezmierne morze, roztrącające swe bałwany o brzegi najdawniejszych i najmłodszych w oświacie krain, graniczące ze czteryema częściami świata, morze oblewające Chiny i Indye, podobnie jak Australią i niezliczone wysp gromady. Pośród nieustannéj rywalizacyi dwóch najpotężniejszych na świecie narodów handlujących, żegluga na tém morzu z zadziwiającą rozwija się szybkością. Australia, w czasie podróży Cook'a ojczyzna dzikiego plemienia, zalewa nas dziś potokami złota, a wełna jej współzawodniczy z europejską. Nowa Zelandya obiecuje w przyszłości zostać Wielką Brytanią oceanu południowego, a wyspa Tahiti posiada ustawę konstytucyjną. Otwarcie dla handlu Chin i Japonii, postępy Rosyji nad Amurem,

osiedlenia północnych Amerykanów na zachodnich brzegach ich kontynentu, usiłowania Anglików ku powetowaniu na tém morzu strat poniesionych na Atlantyku, wszystko to wróży mu przyszłość najświetniejszą.

Pierwszym i najglówniejszym odkrywcą na tém morzu był Cook. Szukając kontynentu południowego, którego znaleźć nie mógł, z powodu że nie istniał, śmiały ten żeglarz przekroczył koło biegunowe, zbadał brzegi Australii, którą nazwał Nową Holandya, i podał dokładniejszą wiadomość o tamecznych archipelagach. Doniesienia jego wprawiły współczesnych w zapał niesłychany. Marzący o szczęśliwości życia w stanie natury, znaleźli na wyspie Tahiti ideał prześcigający najśmielsze rojenia ich wyobraźni, rozkoły-

sanęj przez Jakuba Rousseau. Powstało radośne poruszenie, podobne do tego jakie kiedyś wywołał wielki Genuńczyk, gdy szukając wyspy Cipango odkrył Amerykę.

Do czasu Cook'a o morzu południowym wiedziano tyle tylko, ile Holendrzy i Hiszpanie uważali za stosowne podać do wiadomości powszechnęj. Było to niewiele, gdyż oba te narody trzymały w tajemnicy fakta najważniejsze. Wspomniemy tu pokrótce o podróżach ich i odkryciach, ażeby czytelnikom podać sposobność ocenienia, jak wiele pod tym względem zawdzięczamy Cook'owi.

Po raz pierwszy oko Europejczyka ujrzało to morze 25 września 1513 r. W dniu tym Balboa dotarł przez lasy dziewicze przesmyku Daryjskiego aż do brzegu, ustawił na nim swych ludzi, a sam z podniesionym mieczem wkroczył w morze, zabierając je w posiadanie imieniem króla Kastylii i Leonu. Nieco później Magellan, Portugalczyk w służbie hiszpańskiej, dosięgnął tego miejsca drogą wodną. Dnia 27 listopada 1520 roku przepłynął on noszącą nazwisko jego cieśninę na południowym krańcu Ameryki i dostał się tamtędy na ocean południowy, któremu nadał nazwę Spokojnego. Miano to wszakże przystoi tylko części położonej między zwrotnikami, którą Hiszpanie przezwali morzem damskim, z przyczyny że słaba ręka dziewicy prowadzić na niem zdoła ster okrętu.

Magellan odkrył wyspy Rozbójnicze i Filipińskie, na których został zabity. W piętnaście lat później dwaj podwładni zdobywcy Meksyku, Alvarado i Grijatva, pożeglowali do wysp Moluckich, dosięgnęli równika i zwidzili kilka pomniejszych archipelagów w pobliżu Nowej Gwinei. Z portu Callao Mendano przedsięwziął w latach między 1567 i 1595 trzy podróże, w których odkrył wyspy Markizy i kilka innych. Towarzysz jego, Ferdynand de Quiros, był jak się zdaje pierwszym co utworzył teorię o kontynencie południowym. W liczbie dziewięciu wysp jakie żeglarz ten zwidził we wschodniej części morza południowego, znajduje się Sagittaria, dzisiejsza Tahiti. Jednocześnie prawie Ludwik de Torres przepłynął cieśninę między Nową Gwineą i Australią.

Po tych pierwszych odkryciach zapał Hiszpanów nieco ostygł. Wprawdzie corocznie jeszcze galiona z bogatym ładunkiem towarów płynęła przez ocean Spokojny ku wyspom Filipińskim, lecz nie zbaczała nigdy z przyjętej raz na zawsze drogi. Obojętność ta wynikała z niedokładnej budowy okrętów, z niskiego stanu wiadomości żeglarskich i z trwogi jaką morza

te powszechnie obudzały. Przyładek Horn, w którego szerokościach wypadki rozbicia należą dziś do rzadkości, przejmował wtedy marynarzów postrachem. Lękano się napotkać tam burze lub góry lodowe, i rzeczywiście pierwsze często napotymano. Nie jeden okręt zginął albo zmuszony był powrócić, po bezskutecznym usiłowaniu opłynięcia przyłodka.

Skorbut, niełagodzony jeszcze postęпами sztuki lekarskiej, najsroższym był nieprzyjacielem odkrywców. Ta straszna zaraza morska, którą dziś żeglarze jako tako pokonywać umieją, liczne zabierała ofiary, sprowadzając za sobą zgniłą gorączkę, silne bóle reumatyczne, owrzodzenia, gnicie kości i tym podobne cierpienia. Chorzy, wyglądający w łóżkach okrętowych jakby byli zdrowymi, umierali skoro ich wynoszono na pokład, lub skoro sami podnieść się usiłowali.

Silniejszą wszakże od obawy przyłodka Horn i skorbutu była chęć przywłaszczenia sobie bogactw kolonii hiszpańskich, na zachodnim brzegu Ameryki. Drake, Cavendish, Cordes, lord Anson i wielu innych szukało w swych wyprawach tylko zdobyczy materialnych. Późniejsi też żeglarze holenderscy nie poczynili na oceanie Spokojnym żadnych odkryć ważniejszych. Tasman roku 1642, dostał się z Batawii aż do ziemi Vandiemenu i Nowej Zelandyi. Anglicy: Roche, Dampierre, Halley i Byron, Francuzi: Logiers, Bouvet i Guyot podobnie obfitych na tém polu nie zebrali plonów. Król angielski Jerzy III, gorliwy orderownik odkryć geograficznych, wyprawił w tym celu Wallis'a i Carteret'a, z których pierwszy zwidził Tahiti, drugi wyspę królowej Karoliny.

Podczas zawojowania Kanady przez generała Wolfe, majtek jeden meztwem i gorliwością zwrócił na siebie uwagę przełożonych. Dzielnym tym marynarzem był Jakub Cook, syn ubogiego wyrobnika w Yorkshire, urodzony roku 1728. Pomijamy tu szczegóły życia tego znakomitego odkrywcy, obszerną bowiem biografią jego podaliśmy w Księdze Świata za rok 1857; wymienimy jednak główne jego odkrycia.

Owocem pierwszej podróży Cook'a naokoło świata było dokładniejsze poznanie Tahiti i kilku innych wysp oceanu południowego, oraz wiadomość że Nowa Zelandya składa się z dwóch lądów przedzielonych wąską cieśniną. W drugiej swjej podróży odkrył Nową Kaledonią, wyspy Norfolk, tudzież południową Georgią, i przekonał się niezbitcie, że na półkuli południowej, w obrębie strefy umiarkowanej, niema wielkiego kontynentu. Trzecia podróż, odznaczona

odkryciem gromady wysp Sandwich, zakończyła się śmiercią wielkiego żeglarza, który 14 lutego 1779 poległ w potyczce z krajowcami.

W kilka lat po śmierci Cook'a powzięto w Anglii zamiar założenia w Australii osady karniej. Obrano na ten cel jeden z punktów brzegu wschodniego, z powodu bogatej swęj roślinności zwany Botany-Bay. Piérwsi osiedleńcy przybyli tam r. 1787, lecz wkrótce przeniesiono ich dalej na północ do Sidney. Miejsce to odpowiadało wprawdzie celowi pod względem ścisłego odosobnienia przestępców, lecz strome pasmo gór, zwanych Niebieskimi, tamujące im ucieczkę, utrudniało zarazem komunikacją z wnętrzem kraju i czynienie w nim odkryć. Kolonia Karna długo niezdolną była utrzymać się o własnej sile, dopóki jeden z wolnych osiedleńców, posiadacz kilku owiec europejskich, nie wpadł na myśl skrzyżowania ich z owcami Bengalu i Przylądka Dobréj Nadziei. Odtąd hodowla owiec stała się główném źródłem dochodów Australii, i ona téż spowodowała późniejsze odkrycia w głębi tego kraju.

W czasie wielkiej posuchy roku 1813 owce cierpiały niezmiernie z braku wody; robiono więc rozpaczliwe usiłowania, celem wynalezienia pastwisk i napoju. Dwóch osiedleńców, Wentworth i Blaxland, postępując za biegiem małej rzeczki, dosięgnęło grzbietu gór Niebieskich. P. Evans, idąc tymże śladem, odkrył równiny Bathurst oraz część wyższą rzék Macquarie i Lachlan. Okoliczność że obie te rzeki pozornie kończyły się w bagnach, dała powód do mniemania, że wszystkie rzeki Australii podobny mają początek, co naturalnie odstręczać musiało od dalszych poszukiwań w głębi kraju. W latach 1818 do 1828 wyłącznie prawie zajmowano się badaniem pasa nadbrzeżnego; podróże jednak do wnętrza nigdy zupełnie nie ustawały i przyniosły wiadomość o rzekach Karanla czyli Darling, Murumbidzi i Murray. Ostatnią znaleźli Howell i Hume; przekroczywszy góry i posuwając się ku Australii dowiedziano się o innych jeszcze rzekach, płynących na północ od Macquaries.

Nowa posucha w roku 1828, nowe téż spowodowała odkrycia. Upał był tak wielki, iż przypuszczano że bagna tamujące przystęp do wnętrza musiały wysychać. Domniemanie to pokazało się uzasadnioném, a w dodatku przekonano się że ani Macquarie ani Lachlan nie kończą się w bagnach. W latach następnych Sturt, Mitchells i Barker dowiedli, że rzeki Darling, Lachlan, Murumbidzi i napływowe ich zostają w związku z rzeką Murray, oraz że ta ostatnia

uchodzi do jeziora Aleksandrina, przez co znajomość systemu rzeczno-południowo-wschodniej Australii została dopełnioną. Wysokie szczyty téj części kraju, pokryte zwykle śniegiem, zatrzymują wilgoć i wpływają tym sposobem na żyzność okolicy, którą koloniści z téj przyczyny nazwali Australia felix. Strona południowa, z miastem stołeczném Adelaide, zawdzięcza swą pomysłność znalezionym w niej kopalniom miedzi, ołowiu i cynku, wydającym bajeczną, niemal ilość tych metalów.

Nowa Walija południowa, Australia Szczęśliwa i Australia południowa są dziś jedynie osiedlonemi miejscami téj części świata. Roku 1848 było w nich około 260,000 białych mieszkańców, a w całej Australii tylko 343,764. Przywóz towarów europejskich wynosił 2,600,000 f. st. wartości, wywóz zaś, złożony głównie z wełny 2,900,000. Do pomniejszych artykułów wywozowych zaliczyć można skóry, łój, konie i minerały, a mianowicie miedź, której sama kopalnia Burra dostarcza rocznie do 7000 beczek. Wszystkie te bogactwa zostały od owego czasu przyćmione odkryciem złota australijskiego. Powiadają że rząd kolonialny przed dwudziestą jeszcze laty wiedział o jego istnieniu, lecz nie ogłaszał go, obawiając się skutków jakieby złoto wyrzucić mogło w rękę przestępców. Pod koniec roku 1850 rada kolonialna w Sidney otrzymała nowe pod tym względem doniesienia, i tym razem wiadomość o znalezieniu złota rozeszła się między publicznością, która czynnie zaraz wzięła się do poszukiwania. Przetrząsniono najprzód okolice rzeki Turon, następnie źródła rzék Pee i Abercomby. W Australii południowej najobficiej złotodajnymi okazały się: Monnt Aleksander, Ballarat, Bendigo, wąwóz Adelaidy i pobraże Krorang. W latach 1852 — 1854 wydobyto ogółem w Australii złota za 60 millionów f. st., i odtąd kraj ten w angielskiej polityce kolonialnej przeważnie zajął miejsce.

Znajomość brzegu zachodniego Australii, zajętego przez Holendrów, bardzo jest niedokładną. Położenie jego sprzyja handlowi, z powodu większego zbliżenia do Kapu, Indyj wschodnich i Europy. Posuchy, tak szkodliwe w stronie wschodniej życia zwierzęcemu, tutaj są nieznanne. Wielka ilość rzeczek pomniejszych nawodnia wszędzie ziemię, a wiatr zachodni wiejący od morza sprowadza z sobą tyle wilgoci, że nie zbywa na deszczu. Mimo to wszakże brak dobrych portów staje na zawadzie rozciąglejszemu na tych brzegach osiedleniu. Kolonia nad rzeką Łabędzią została założoną jeszcze r. 1820, a w r. 1848 całe pobraże zachodnie miało tylko 4400 białych mieszkańców.

Przez długi czas mniemano, że wewnątrz Australii przedstawia te same stosunki przyrodzone, jak każdy wielki kontynent, to jest łańcuch gór, rozsyłający w różnych kierunkach pasma swe rzeki i strumienie, tworzący niejako zrąb, którego otoczenie stanowią płaszczyzny i wybrzeża; podania atoli krajowców sprzeciwiały się temu przypuszczeniu, gdyż według nich znajdować się miało we wnętrzu ogromne morze, a raczej jezioro. Morze to istnieje rzeczywiście, tylko że zamiast z wody składa się z piasku. Podróżnicy Sturt, Stockes, Leichardt i Gregory w badaniach swych nie objęli tylko sześciu stopni szerokości. Oprócz téj ziemi nieznanéj całe wewnątrz Australii przedstawia niezmierne stepy piaszczyste, z pojedynczymi zagłębieniami, gdzie w porze dżdżystéj zbiera się woda w łachy, wysychające podczas letnich upałów.

W jednym z takich stepów podróżnik niemiecki Leichardt w ostatniej swéj wycieczce, którą rozpoczął pod koniec r. 1846, zginął bez śladu. Pierwsza podróż tego badacza wykazała możliwość komunikacji między Sidney i Port-Effington, koniecznej w widokach zaludnienia brzegu północnego. Chciano tam pozakładać osady, ściągnąć Malajczyków z wysp przyległych i urządzić stałą żeglugę parową między Sidney i Singapore. Z celów tych ostatni tylko został osiągnięty. Osady wszystkie niemal upadły, lub w najgorszym znajdują się stanie, głównie z powodu że pozakładano je w miejscach niezdrowych. Malajczycy téż niebardzo kwapili się z przesiedlinami. Morskie za to poszukiwania w cieśninie Torres wykryły drogę najdogodniejszą dla żeglugi w tym niebezpiecznym przepływie.

Od roku 1846, marynarze angielscy badali Nową Gwineę i archipelag Luizyady. Ostatni obejmuje około 80 znanych wysp i jak się zdaje znaczną jeszcze liczbę nieznaných, czekających odkrycia w przyszłości. Wnętrze Nowéj Gwinei, z powodu dzikości jéj mieszkańców, mało dotychczas jest zbadane. Brzegi po większej części są bagniste i pokryte lasami; w stronie tylko wschodniej rozciąga się łańcuch potężnych gór, z których najwyższa ma 13205 stóp wysokości. Część południowo-zachodnią téj wyspy trzymają w posiadaniu Holendrzy, nietyle dla korzyści, jak raczej dla przeszkodzenia kolonizacji angielskiej. Żeglarze ich: Boer, Langenberg, Kool i inni zwiedzili tylko brzegi, a najważniejszym ich odkryciem było powzięte w roku 1835 przekonanie, że mniemana rzeka Dorga jest cieśniną oddzielającą wyspę księcia Henryka od głównego lądu.

KSIĘGA ŚWIATA Cz. I. R. VIII.

Po Australii, główną kolonią angielską na oceanie Spokojnym jest Nowa Zelandya. Malownicza ta dwuwyspa, z kilką rzędami gór, za któremi niebotyczne wznoszą się śnieżyce, z potężnymi rumowiskami, stromymi przyładkami, z bramami skalnymi, przez które z szumem morskie toczą się bałwany, z bujną roślinnością i gęstymi zatokami, posiada klimat miły i łagodny, urodzajne grunta, wydające w obfitości płody miejscowe i europejskie, wyborny budulec okrętowy, co wszystko razem zrobiło z niéj ważną stacją dla tamecznych wielorybołowców.

Osiedlenie Nowéj Zelandyi rozpoczęli w roku 1814 misyonarze angielscy, lecz usiłowania ich w celu nawrócenia krajowców długo pozostały bezowocnymi. Polepszenie dopiero ich bytu materyalnego przez podniesienie rolnictwa, wpłynęło i na postęp duchowy. Mieszkańcy garnąć się zaczęli do szkółek, i misyonarze wkrótce ośmielili się wkroczyć w głąb kraju. Po ustaleniu się tym sposobem kolonizacji chrześcijańskiej, powstało w Londynie towarzystwo świeckie, w celu systematycznego osiedlania Nowéj Zelandyi; towarzystwo to usadowiło się głównie ponad cieśniną Cook'a. Wkrótce z tego powodu wynikły zatargi z misyonarzami, a wśród takowych w roku 1845 wybuchło powstanie krajowców, które nie bez trudności usmierzono przewagą oręża angielskiego. Odtąd spokojność nie została już przerwana i pomyślność kolonii ciągle postępuje. Roku 1852 Nowa Zelandya, pod oddzielnym namiestnikiem, miała 140,000 mieszkańców, między któremi 20,000 białych.

Okoliczne archipelagi przyjęły także udział w tym ruchu ogólnym na oceanie Spokojnym. Od czasu jak Indye Zachodnie upadły, skutkiem emancypacji niewolników, powszechna uwaga zwróciła się na te gromady obfitujące w płody kolonialne: rozpoczęło się współzawodnictwo Anglików i Francuzów. Ostatni z tych narodów objął protektorat nad wyspami Towaryskimi, obsadził Markizy i Nową Kaledoniją, a misyonarze jego, czynniejsi i zręczniejsi od protestanckich, zaczynają brać przewagę. Obecnie na morzu Południowém niewiele wysp tylko pozostało niedotkniętych tchnieniem cywilizacji; lecz tchnienie to dla nich zdaje się być śmiertelném. Wyspa Tahiti, która za czasów Cook'a i Forster'a miała mieć do 200,000 mieszkańców, dziś liczy ich zaledwo 10,000. Gromada Sandwich wyludnia się w sposób prawdziwie zatrważający; ludność jéj wynosiła:

w r. 1825.	. . .	142,000	głów
„ 1832.	. . .	130,313	„

w r. 1836. 108,579 głów
„ 1850. 84,165 ”

Roku 1849 liczba śmierci przewyższała liczbę narodzin o 6,465. Krzewiciele wiary chrześcijańskiej chlubią się z postępu swych usiłowań na Tahiti i wyspach Sandwich. Prawda że chrześcijaństwo wyparło z tamtąd cześć Tabu, że kobiety zaczynają być skromniejszymi i jadać mogą razem z mężczyznami, że upowszechniły się niektóre pojęcia naszej religii i moralności, lubo w kształcie zagmatwanym; lecz zabijanie dzieci nie ustało.

Pojedynczych wypraw na oceanie Spokojnym, których owocem było odkrycie tej lub owej wysepki, tak wielka jest liczba, że wymienić tu wszystkich niepodobna; łatwiej będzie wskazać główne po Cook'u podróże ku biegunowi południowemu. Pierwszy z je-

go następców, wielorybołowca Bristol, odkrył r. 1806 gromadę wysp Anckland, na południe od ziemi Vandiemen; Haglebourg r. 1810 wyspę Campbell, a Rosyanin Bellinghausen r. 1821 wyspy Aleksandra Igo i Piotra Igo. Wedell przekroczył pierwszy najwyższą szerokość osiągniętą przez Cook'a, posunawszy się aż do 74 stopni 15 minut szerokości południowej, gdzie znalazł morze zupełnie jeszcze wolne od lodów. Ztąd zrazu powstało mniemanie, że łatwiej będzie dotrzeć do bieguna południowego jak do północnego; następne jednak wyprawy dowiodły mylności tego przypuszczenia. Jeden tylko żeglarz, Jakub Ross, dosięgnął na morzu południowym 78 stopnia szerokości, podczas gdy na północy Paary, Martin, Whitworth, Kane i inni posunęli się aż do 82 stopnia, a nawet jeszcze dalej.

ATLAS.

Ćmy, motyle nocne, odznaczają się powszechnie prostym ale przyjemnym ubarwieniem skrzydeł; piękność ich zasadza się na nieskończonej różnorodności, stopniowania i delikatności odcieni, tudzież na kontraście jakiego tworzą liczne plamki, kréski i rysunki na ich skrzydłach. Niektóre jednak gatunki, a między niemi mianowicie *Atlas* (*Saturnia Atlas*) stanowią uderzający wyjątek od tej ogólnej reguły, błyszczą bowiem najpiękniejszymi, jaskrawymi barwami.

Europa bogatą jest w motyle i ich historia dziś dokładnie została zgłębniona; ale rodzaje w innych częściach świata żyjące daleko mniej są znane, szczególnie zaś zmierzchnice i ćmy, to jest wieczorne i nocne motyle za obrębem Europy żyjące, bardzo mało dotąd znane są i opisywane. Motyle dzienne przez swoje żywe barwy i ruchliwe życie łatwo wpadają w oczy i ściągają uwagę podróżników, dla tego w zbiorach publicznych a nawet prywatnych znajduje się ich wielka obfitość; ale zagraniczne ćmy, bardzo skąpo bywają w nich reprezentowane, jest ich bowiem w ogóle mniej, a ponieważ w dzień ukrywają się w ciemnych zakątkach, mogą więc łatwo ująć uwagi nawet starannych zbieraczy. W ucywilizowanych krajach Europy łatwo się o ćmy postarać, szukamy ich

bowiem w nocy uzbroiwszy się latarnią i świtką znaną powszechnie młodzieży; ale w odwiecznych lasach Brazylii albo Indyi, gdzie właśnie w porze nocnej drapieżne zwierzęta na zdobycz wychodzą, nocny polów motyli jest bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem.

Jednym z największych motyli znanych dotąd naturalistom jest *Atlas* przedstawiony na dołączonej tu litografii. Jest on dość pospolity w Chinach, ale znajduje się także w innych częściach Indyi i w Ameryce. Wpływ klimatu, szczególnie u owadów, jest niezaprzeczony; w Surynam na przykład, znajdujemy największe i najciemniejszych barw odmiany opisywanego tu rodzaju; chińskie są im najbliższe; w tych przeważa kolor pomarańczowy i przednie ich skrzydła więcej są sierpowato wycięte. Pomiedzy kilku egzemplarzami znajdującymi się w naszym gabinecie zoologicznym jeden ma wszérz przeszło 10 cali. Liszka Atlasa jest około 4 cale długa, zielona, z żółtym pasem wzdłuż. Na każdym jej pierścieniowatym odcinku znajduje się cztery kolorowej barwy guziczki otoczone nader delikatnymi włoskami. Poczwarzka jest duża, czerwono-brunatna, osnuta ciemno-żółtym oprądem. Pojedyncza nitka tego oprądu jest mocna w swoim



składzie, i dała powód do przypuszczenia, że z niej można otrzymywać mocniejszy i trwalszy jedwab od tego, który dają właściwe jedwabniki.

Te ostatnie należą do téj samej rodziny co i *Atlas* i jak wiemy żyją obficie w Chinach. Sztuka otrzymywania jedwabiu z ich oprądów, sięga odległej starożytności. Wynalazek téj sztuki przypisywany jest ludowi Seres, od którego, jak się zdaje, pochodzi ród Chińczyków. Za czasów Salomona, mówi baśń, była niewiasta imieniem Panfilia, mieszkająca na wyspie *Co*, i posiadająca sztukę wyrabiania z przędzy jedwabnej, przywożonej wówczas z kraju Seres, tkanin z których suknie robiono. Najdawniejsi autorowie chińscy przypisują wynalazek jedwabiu i wyrobienia z niego rozmaitych tkanin, jednéj z żon chana Hoang-ti, która nazywała się Si-ling a później otrzymała tytuł honorowy Ynensei. Wynalazek ten uznany zaraz został za tak ważny, że wszystkie kobiety w pałacu cesarskim musiały się zająć hodowaniem jedwabników i rozwijaniem ich oprądów. Wkrótce handel jedwabiu stał się jedną z najważniejszych gałęzi przychodów państwa chińskiego, ale następnie stracił wiele ze swojej ważności kiedy hodowla jedwabników rozszerzyła się w innych rozmaitych krajach. Chociaż obecnie z tego powodu mało jedwabiu wywozi się z Chin za granicę, jednakże w samym tym kraju dużo bardzo wyrabia się i zużywa, ponieważ chińczycy bardzo mało znają się na hodowaniu lnu i wyrabianiu płótna, sukno nawet chociaż stosunkowo mało używane, nie jest wyrobem krajowym i tylko sprowadza się z obcych krajów.

Ponieważ w Chinach używają się bardzo liczne i rozmaite gatunki jedwabiu, jedne odznaczające się nadzwyczajną świetnością, połyskiem, i w ogóle piękną powierzchownością, inne szczególną trwałością i mocą, zdaje się zatem że przypuszczenie niektórych podróżników, iż Chińczycy używają do wyrabiania jedwabiu poczwarek czyli oprądów, (kokonów) rozmaitego rodzaju owadów zmierzchowych lub nocnych, nie jest bezzasadnym; témbardziej że skutkiem większej przystępności Indyi, wiemy z pewnością iż w tych okolicach hodują dla fabrykacji jedwabiu rozmaite ćmy, prócz właściwych jedwabników morwo-

wych. Szczególnie odznacza się między niemi rodzaj nazywany u Indyan Arrindi, z którym nawet przed kilku laty przedsiębrano próby we Francyi, obecnie zaś, towarzystwo aklimatyzowania cudzoziemskich zwierząt i roślin, zajmuje się na wielką stopę próbami z oprzędami ćmy dębowej tudzież gatunku utrzymującego się na liściach rośliny zwanéj Ricinus (Kleszczowina) i téj ostatniej przędza zdaje się być przeznaczoną zająć ważne miejsce w przemyśle jedwabniczym.

Pewien rodzaj choroby jakby epidemicznej, która w wielu miejscach mianowicie południowej Francyi, Austrii, Hiszpani i i Włoch dotknęła w ostatnich latach, tak użyteczny ród jedwabników, wywołał myśl potrzeby sprowadzenia nowéj ich rasy z właściwéj ich ojczyzny. W tym celu pod opieką i za główném natchnieniem arcy-księcia Ferdynanda Maksymiliana austriackiego ułożony został plan wycieczki do Chin dla sprowadzenia jaj jedwabników. Dwaj zamożni posiadacze ziemscy a wysoko ukształceni i doświadczeni hodownicy jedwabników, hrabiowie: Castellani i Fieschi mają puścić się w tę podróż, z zamiarem studyowania całej hodowli i fabrykacji jedwabiu na obszernej skale, i sprowadzenia takiej ilości jajek żeby można rozesłać je dla doświadczeń po wszystkich okolicach Europy gdzie jedwabnictwo jest zaprowadzone. Naturalnie niepodobieństwem byłoby sprowadzić taką ilość tych jajek, żeby odrazu zadość uczynić dziś już istniejącym potrzebom, ale już to samo będzie nader ważnym i pełnym zasługi, jeśli wyprawa ta dostarczy środków odnowienia stopniowo rasy jedwabników w miejscach które ich hodowaniem zajmują się. Przedsiębiorcy zgłosili się ze swoim planem do wspomnionego wyżej towarzystwa aklimatyzacyi, i otrzymali od niego zapewnienie, że zaleci ich szczególnie swoim agentom w Chinach, i zamówienie pewnej ilości jajek jedwabników. Oprócz tego francuzki minister handlu rolnictwa i budowli publicznych wezwał Izby handlowe, tudzież towarzystwa i komitety rolnicze, aby wzięły udział w podpisach na zakupno jaj jedwabniczych mających być z Chin sprowadzanemi.

HANDEL KARAWANOWY W SAHARZE.

Podczas gdy Anglicy od zachodu i południa zapuszczają się w głąb Afryki, szukając nowych targowisk dla swych fabrykantów, Francuzi od niedawna zaczynają także korzystać ze sposobności jaką im nadaje posiadanie Algierii, dla rozszczenia swego handlu na kraje pograniczne. Kwestya ta od kilku już lat zajmuje prasę francuską, a świeżo jeden z ostatnich poszytów *Revue Contemporaine* podał w tym przedmiocie obszerny i gruntowny artykuł, który o właściwościach handlu pustyniowego tyle ciekawych i nieznanych zawiera szczegółów, że uważamy za stosowne obzajnić z jego treścią czytelników tego pisma.

Pod wyrazem Sahara ogół rozumie zwykle pustą i wyschłą od skwaru słonecznego równinę, ocean piasku, którego wały kłębią się nieustannie pod tchnieniem strasznego samumu. Wyobrażenie to wszakże niezupełnie jest prawdziwe, przyjmuje bowiem stan wyjątkowy za regułę ogólną. Dla Arabów Sahara znaczy tylko równinę, jak Tell kraj górzysty. Pustynia afrykańska, obejmująca cały pas ziemi pomiędzy Tellem od północy i Sudanem od południa, nazywa się u nich *Rifar* albo *Falat*, stosownie do tego czy jest czasowo zamieszkaną, czy też zupełnie z mieszkańców ogołoconą. Rifar zaczyna się na pograniczu Tellu; strumienie płynące ku południowi gubią się tu w piaskach, i nie znajdując ujścia, tworzą w nich wielkie łachy prędej lub później wysuszone przez słońce. Przestrzeń ta rozciąga się na szerokości 30—40 mil i doznaje jeszcze w części dobrodziejstwa użyzniających deszczów, podczas których ziemia pokrywa się zielonym kobiercem ziół aromatycznych, dostarczających trzodom zdrowej i obfitój paszy. Śród lata jednak dęszcze te ustają, słońce wysusza grunta i wszelkie życie obumiera.

Na południe tego obszaru deszcze stają się coraz rzadszemi i płynące od północy strumienie, z powodu małej pochyłości gruntu, zatrzymują się w biegu. Jest to właściwa pustynia, Falat, bezgraniczna, pusta, nieurodzajna, której jedyną roślinność stanowią gdzieśgdzie karłowate krzaki, poprzerzynane spiekłami od słońca grzbietami i wzgórzami piaszczyste-

mi, za każdym powiewem wiatru zmieniającemi względne swe położenie.

Jednakże przejście pomiędzy temi dwiema strefami stopniowane jest w sposób nieznaczny. Jak lądy stałe bywają opasane wyspami, tak i pustynia ma swoje wyspy, zwane oazami. Napotykanie dosyć często w pasie ziemi przyległym strefie piérwszej, nikną one prawie zupełnie w drugiej, i zjawiają się znów po tamtej stronie pustyni, zapowiadając zbliżanie się obszarów urodzajnych. Oaza jest wynikiem zdarzających się przypadkowo wśród ogólnej martwoty przyczyn życiodawczych: źródła, studni, strumyka, nie wysychających nawet w lecie, dla szczególnych jakich powodów miejscowych. Każda z nich składa się z większego lub mniejszego kawała żyznego gruntu i z osady zwanój *ksar*, otoczonej murem. Niekiedy kilka takich oaz leży obok siebie, tworząc jakby archipelag na morzu pustyni.

Podobnie jak strefy Sahary, różnorodnemi są i jej mieszkańcy. Arabowie Tellu, od czasu ukrzepienia się władzy francuskiej, pod wpływem sąsiedniej cywilizacyi, przemienili się w stałych niemal osadników. Arabowie Sahary przeciwnie prowadzą życie zupełnie jeszcze pustyniowe. Wędrowcowi, który napotka ich pod namiotami, otoczonych rodziną i służbą, zdawać się może istotnie jakoby nagle przeniesionym został w czasy patryarchalne, biblijne. Bogactwem koczującego Araba są jego trzody; z niemi przenosi on się z miejsca na miejsce, rozpinając swe namioty gdzie znajdzie dogodne pastwisko. Jeśli za możny, pracować nie potrzebuje wcale; trzody dostarczają mu jadła i napoju; z wełny ich niewiasty sporządzają jego odzież, zbywające zaś zapasy wymienia w Tellu na zboże. Niewolnicy i kobiety robią masło, mielą zboże, siodłają konia pańskiego, tkają kobierce, burnusy i kołdry i przygotowują potrawy. Ubogi nawet prowadzi życie wygodniejsze jak w Tellu, bo przyłącza się do bogatszej rodziny, której różnemi posługami usiłuje stać się użytecznym, za co w zamian otrzymuje opiekę i strawę. Na jedném tylko zbywa w Saharze: na wodzie. Wprawdzie Arab pije tylko mléko, a nawet poi niem swe konie; lecz

trzody przestać muszą na nielicznych podczas zimy i wiosny źródłach, a gdy te wyschną latem, pokolenie całe przenosi się do Tellu lub do najbliższej oazy.

Przenosiny te odbywają się regularnie w peryodach półrocznych. W połowie lata koczownicy Sahary wędrują ku północy, starając się w drodze różnego rodzaju tkaniny, pióra strusie i t. p. zamienić na zboże, którego sami produkować nie mogą. Tym sposobem Arabowie Sahary zdają się być zależni od mieszkańców Tellu; lecz solidarność interesów równoważy ten stosunek, dla ostatecznych bowiem płody pustyni równie są potrzebnymi do handlu, jak dla pierwszych zboże do wyżywienia.

Podobny stosunek zachodzi z oazami. Mieszkańcy ich po większej części nie są Arabami, ale pochodzą z miast nadbrzeżnych. Przywykli do stałych siedzib, różnią się od koczowników pustyni nie tylko obyczajami i sposobem życia, lecz także typem twarzy i mową zbliżoną więcej do narzecza berberyjskiego. Ksary ich czyli wsie, położone na szlakach wielkich karawan, bywają nieraz bardzo bogate, do czego przyczynia się niemało i urodzajność ziemi. Uprawiają kukurydzę, ryż, jęczmień i inne jarzyny. Palmy daktylowe, drzewa granatowe, brzoskwińowe i figowe rozpościerają po oazach cieniste swe gałęzie, połączone żywymi festonami winnej latorośli. Obok uprawy roli i ogrodnictwa, zajmują się także przemysłem. Po ksarach znaleźć można kowali i płatnerzów, stolarzów i cieśli przerabiających drzewo palmowe na belki i deski, złotników sporządzających pierścienie, któremi niewiasty Sahary ozdabiać lubią ręce swe i szyje, farbiarzy, tkaczy i na koniec korzenników, sprzedających wędrowcom mnóstwo niezbędnych dla nich przedmiotów.

Arab Sahary mimo ciągłego przestawiania z mieszkańcami oaz, spogląda na nich i na mieszkańców Tellu z rodzajem lekceważenia, podobnie jak niegdyś rycerze średniowieczni patrzyli na pracowitych mieszczan i kupców. Z tym wszystkim interes osobisty zmusza go pozostać z nimi w stosunkach przyjaznych. W porze skwarniej, gdy wszystkie źródła wokoło wysychają, koczownik uważa się za szczęśliwego, jeśli mieszkaniec ksaru pozwoli mu napić trzode u źródła. Prócz tego w razie niebezpieczeństwa znajduje tam schronienie. Zagrożeni napadem Tuareków, owych śmiałych rozbójników pustyni, co na szybkich swych wielbłądach łatwo dopędzić mogą koczującego Araba, zabrać mu żony, trzody i towary, zwiżają namioty i przenoszą się do przyjaznego ksaru, którego

mury bezpieczny dają im przytułek. Tam także składają zbywające od potrzeby zboże, zakupione w Tellu. Mieszkaniec oazy mógłby je zabrać bezkarnie, lecz trzody jego są zakładem w ręku koczownika, który podczas pory deszczowej pędzi je na pastwiska. Tym sposobem sieć wspólnych interesów łączy obie te rasy w sposób tak ścisły, że jedna bez drugiej obejść się nie może. W ogólności charakter mieszkańców oaz łagodniejszym jest od charakteru koczowników. Częstsze przestawianie z obcymi łagodzi ich obyczaje, a handel uczy ich grzeczności, uprzejmości; karawany też liczyć zawsze mogą na przyjazne w oazach przyjęcie.

Po za siedzibami tych dwóch ludności rozpościera się pustynia. W przestrzeni około 250 mil szerokości, między morzem Śródziemnym i równikiem, mieszkańców niema prawie wcale, z powodu głównie że w tych strefach nie padają deszcze. Tym sposobem powstaje ojczyzna nieurodzajności i posuchy, właściwa pustynia Falat. Niepodobieństwem byłoby przebyć tę krainę, gdyby przyroda nie urządziła w niej miejscami naturalnych zbiorników wody, które, acz skąpo, pozwalają podróżnikowi zaopatrzyć się w napój na kilka dni następnych. Zewnętrzny widok Falatu dosyć jest urozmaicony; ujrysz tam skały koloru żółtawego, góry piaszczyste usypane z pyłu tak subtelnego, że przejście najmniejszego owadu głęboki w nim ślad pozostawia, to znów płaszczyznę równą i gładką jak morze w czas pogodny i jak ono bezgraniczną, a zawsze charakter krajobrazu będzie równie przejmujący jak wspaniały. Ten obraz nieskończoności, ta linia prosta, cofająca się w miarę jak wędrowiec postępuje naprzód, samotność przerywana tylko krzykiem wielbłądów lub śpiewem monotonnym przewodników, ten dreszcz instynktowy przechodzący człowieka w obec próżni, silniej jeszcze podbudzany widokiem zbiegających od słońca kości ludzkich, prowadzi mimowolnie do uwielbienia Stwórcy i poczucia własnej nicości. Zaprawdę, każdy kto po raz pierwszy spogląda na te sceny przerażające, dziwić się musi że znajdują się ludzie dość odważni, ażeby przebyć tę straszliwą samotnię; a jednakże człowiek o władnąc zdołał pustynią, podobnie jak o władnął morze.

Przypuśćmy że towarzystwo kupców powzięło zamiar odstawienia towarów w głąb Afryki, do Tombuktu, Kaszna lub Sakkatu, celem wymienienia ich na płody Sudanu. Karawana zgromadza się; wiadomość o tym przebiega okolicę i zwabia innych podróżników. Towary są zakupione, wielbłądy przygoto-

wane do dalszej wędrówki, i tylko czas odjazdu nie został jeszcze oznaczonym. Ruszenie z miejsca następuje zawsze w zimie, bo w porze tej podróżni spodziewać się mogą w drodze deszczu przypadkowego, a przynajmniej z pewnością napotkają go nad brzegami Nigru. Członkowie takiej karawany niezawsze jednak do wspólnego dążą celu. Podobnie jak na pociągach kolei żelaznych, podróżni na każdej niemal stacji wsiadają i wysiadają, tak i w pustyni skład towarzystwa niekiedy całkowicie się zmienia. I karawany mają swoje stacje w wielkich oazach Ain Salah, Timimun i Gat, gdzie spotykają się z innymi i częściowo odnawiają. Nie dzieje się to przypadkowo, lecz z przewidzianą naprzód regularnością; bo karawany ruszają w terminach stale oznaczonych a tym samym handlujący wiedzieć mogą, mniej więcej dokładnie, w jakich miejscach z nimi się spotkają. Znajomość głównych szlaków karawan i czasu prawdopodobnego ich przybycia stanowi oddzielną naukę *kebirów*.

Kebir jest retmanem pustyni. Znać on powinien nie tylko kierunek drogi i miejsca gdzie się znajdują studnie i źródła, lecz nadto o tyle przynajmniej być świadomym sztuki lekarskiej, ażeby w nagłych wypadkach zaradzić mógł najczęściej zdarzającym się cierpieniom ludzi i zwierząt. Zostaje zwykle w stosunkach przyjacielskich z naczelnikami pokoleń, przez których siedziby karawana przeciąga, a własna jego rodzina i majątek jaki posiada w miejscu stałego osiedlenia, stanowi dla towarzyszków rękojmią jego wierności. Od chwili gdy karawana rusza w drogę, Kebir staje się jej głową polityczną i wojskową, a w ręku jego jednoczą się wszystkie atrybucje władzy naczelniej. Kebir wskazuje drogę i miejsca odpoczynku, zarządza nieodzowne środki ostrożności, kieruje bitwą w razie spotkania i rozstrzyga zdarzające się spory; on także wchodzi w układy z naczelnikami pokoleń względem opłat jakie zwyczaj miejscowy składać im nakazuje.

Kupcy tworzący karawanę posiadają zwykle pewną ilość wielbłądów, z których po ośm lub dziesięć zostaje pod dozorem oddzielnego poganiacza. Poganiacz taki ma obowiązek objuczania wielbłądów, co z powodu uporności tych zwierząt nie jest rzeczą łatwą. Największa jednak praca jego rozpoczyna się w pochodzie. Dopóki karawana ciągnie przez równinę, każdy wielbłąd obiera sobie drogę według upodobania, byle tylko nie zboczył zanadto z kierunku prostego; lecz skoro przebyć wypadnie wąwóz lub miejsce górzyste, poganiacz czuwać musi nad bez-

pieczeństwem zwierząt, które w takim wypadku tłoczyć się zwykły jedne przez drugie, i nad całością towarów, za którą jest odpowiedzialny. Od rana więc do wieczora biega tam i nazad, pełniąc taką samą niemal służbę jak pies pasterski przy trzodzie bydła. Pośród tej pracy męczącej, jedyne pożywienie jego stanowi kilka garści mąki daktylowej lub jęczmienniej, jedyne pokrycie w zimnych nocach pustyni poszarpany nieraz burnus, jedyną osłonę nóg przeciw palącemu piaskowi, ostrym kamieniom i jadowitym żmijom, liche sandały skórzane.

Jeżeli karawana jest wielka, to znajduje się przy niej jeszcze *kodża* i kilku *szuafów*. Kodża jest rodzajem pisarza, prowadzącego rachunki i kontrolującego jednakowy rozkład strat wynikłych z padania wielbłądów i tym podobnych następstw podróży przez pustynię. Szuafy przebiegają okolicę dla przekonania się o bezpieczeństwie drogi, szukają w piasku śladów innych karawan albo koczujących rozbójników i dostają języka, gdzie tego zachodzi potrzeba.

Poznawszy wewnętrzne urządzenie karawany, puśćmy się teraz razem z nią w drogę. Dla udających się z Algierii lub Marokko do zachodniego Sudanu, podróż rozpada się na dwie części; nie idzie tu bowiem o to, żeby jednym ciągiem dosięgnąć celu, lecz żeby dostać się do jednej z większych oaz, gdzie karawany się krzyżują. W stronie zachodniej oazą taką jest Tuat, we wschodniej Gat i Fezzan. Ta pierwsza część podróży bywa mniej uciążliwą i niebezpieczną od drugiej: studnie i źródła leżą bliżej siebie, ludność stosunkowo nie tyle jest dziką, nie potrzeba obawiać się rozbójniczych napadów i chyba pojedynczy przybłąkany złodziej spędzi ukradkiem wielbłąda lub ściąganie pakę z towarami. Dnie upływają dosyć jednostajnie. Ze wschodem słońca zaczyna się ładowanie wielbłądów, potem zwijają się namioty, zabierają zapasy wody na kilka dni następnych i każdy pospiesznie spożywa kilka daktyłów i filiżankę kawy. Na znak udzielony przez Kebira, karawana rusza w pochód, kierując się zwykle ku szarzejaczej na widokregu górze, skale lub innemu przedmiotowi. W labiryncie ruchomych wzgórz piaskowych sam Kebir przewodniczy. Wielkie karawany dzielą się w pochodzie na gromady od 80 do 100 wielbłądów, mających każda oddzielnego przewodnika i następujących po sobie w odległości około tysiąca kroków.

Dniówkę przerywa tylko krótki odpoczynek w południe, podczas którego wielbłądy posilają się lichą roślinnością miejscową. Główny wypoczynek następuje wieczorem przy źródle, studni lub łasze. Wtedy

wielbłądy bywają rozjuczane, a paki z towarami układają się dla obrony naokoło zaimprovizowanego obozowiska. Bogatsi rozbijają namioty, podczas gdy ubożsi i służba siadają przy ogniach biwakowych. Przybycie do oazy radośnym jest zdarzeniem w tej nużącej wędrówce. Podróżni znajdują tu ochłodę pod cieniem drzew szerokolistnych, lepsze pożywienie, podostatkami mleka, a nadewszystko uprzejme przyjęcie: dla mieszkańców bowiem oazy zjawienie się karawany równie jest pożądanym, jak dla tej ostatniej spoczynek. Naczelnicy i ich żony otrzymują podarunki złożone z tkanin bawełnianych, haików, kilku funtów tytoniu i pieprzu, olejku różanego, kadzi deł lub koralu, ogół zaś mieszkańców znajduje pożądaną oddawna sposobność zamiany nagromadzonych swych produktów lub spieniężenia ich za gotówkę. Po kilku dniach odpoczynku karawana rusza dalej, i znów rozpoczyna się jednostajna podróż przez pustynię, dopóki nie dosięgnie jednego z wymienionych wyżej wielkich punktów centralnych. Za przybyciem w miejsce podobne, towarzystwo zwykle całkowicie się zmienia: każdy stara się zasięgnąć wiadomości, czy karawana z którą połączyć się pragnie już przybywa, albo kiedy przybędzie i kiedy wyprawa się w drogę. Chwile oczekiwania kupcy poświęcają handlowi zamiennemu, oddając ciężkie swe towary za przedmioty lżejsze, a mianowicie takie, których odbyt u celu podróży nie ulega wątpliwości.

Gdy wreszcie nadciągną oczekiwane karawany i każdy z podróżników do jednej z nich się przyłączy, wszyscy ruszają w pochód. Teraz następuje druga część podróży przez właściwą pustynię, a z nią oczekują wędrówców trzy najgroźniejsze dla nich widma: brak wody, uragany i napady rozbójników.

Woda święta jest w pustyni. Zdarza się ona w trzech różnych postaciach; w łąkach czyli płytkich i łatwo wysychających kałużach wody deszczowej, w studniach powstałych z przeciekania deszczu przez pokłady piaskowe i niekiedy, chociaż rzadko bardzo, w źródłach. Znajomość tych miejscowości zaopatrzonych w wodę stanowi główną zaletę Kebirów. Kebir prawie nigdy nie pomyli się co do położenia źródeł życiodawczych i według tego kieruje pochodem karawany. Niekiedy jednak zdarza się że nadzwyczajna posucha omyli wszystkie jego rachuby, albo że koczujący rozbójnicy pustyni, którzy nie śmiały uderzyć otwarcie na karawanę, gotują jej zdradę zgubniejszą od oręża.

Jeżeli banda takich opryszków powźmie wiadomość o zbliżaniu się karawany, oblicza z godną podziwienia trafnością do jakiego stopnia wycieńczenia

dojść powinni ludzie i zwierzęta w danym punkcie pustyni. Zasadzają się potem przy studni, do której karawana dojść może dopiero po kilku dniach zupełnego braku wody. Otwór takiej studni przykrywają skórą i zasypują z wierzchu warstwą miękkiego piasku, tak iż nie różni się zupełnie od miejscowości przyległej. Zrobiwszy to, oczekują w zasadzce przybycia karawany. Biada wtedy wędrówcom, jeżeli wprawne oko Kebira podejścia nie dostrzeże, jeżeli spragnione wielbłądy nie zwietrzą bliskości wody, przed okiem ludzkim tak starannie ukrytej, jeżeli karawana, w pewnej nadziei napotkania studni, zapas swój wody wyczerpała: najmniejszą ofiarą jaką przynieść jej wypadnie będzie zabicie kilku wielbłądów, dla wysączenia z ich żołądków cieczy cuchnącej. Ale zabić wielbłądy, znaczy zarazem wyrzec się towarów które one dźwigały, i które pozostawione na miejscu, stają się łupem czyhających rozbójników.

Straszniejszy jeszcze los czeka karawanę, jeżeli ta ofiara nie okaże się dostateczną dla osiągnięcia miejsca gdzie znajduje się woda: brak wody odda ją wtedy bezbronną w ręce nieprzyjaciół, wiedzących bardzo dobrze że czekać tylko potrzebują na łup pewny, który śmierć sama im nastęca. Wszelkie podarunki i okupy w takim razie są daremnymi, bo prędzej lub później cała własność karawany stać się musi ich zdobyczą. Rozbójnicy jak sępy ciągną w ślad wędrówców, a skoro człowiek lub zwierzę padnie od znużenia, bez trudu przywłaszczają sobie towary.

Sprawcami tych napadów niekrwawych rzadko kiedy bywają naczelnicy plemion pustyni, ci bowiem wiedzą doskonale, że nie należy zabijać kury niosącej złote jaja i poprzestawać wolą na poborze cła uświęconego zwyczajem. Rozboje i zdrady po większej części są dziełem Tuareków koczujących pomiędzy Tuatem i południowym krańcem pustyni. Bandy te, będące postrachem nie tylko karawan lecz nawet mieszkańców oaz, uzbrojone są w pałasze, dzidy i tarcze ze skóry słoniowej lub bawolej; starszyzna tylko używa broni palnej. Postrach jaki oni rzucają na Arabów pochodzi głównie z tego, że walcząc nie mierzą nigdy w głowę albo w piersi, lecz podcinając ludziom i zwierzętom nogi i zabrawszy co można, zostawiają swe ofiary męczarniom powolnej śmierci.

Na szczęście hordy te, zbyt słabe zwykle dla otwartego ataku, walczyć tylko mogą bronią podstępą, którą i tak zbyt straszne niekiedy zrzadzają klęski.

Groźniejszymi jeszcze od człowieka są na pustyni niebezpieczeństwa przyrody, a zwłaszcza straszliwy wiatr *guebli*. Jeśli taki orkan napotka karawanę na

gruncie skalistym i ubitym, wtedy zrzędzona przezeń szkoda ogranicza się zwykle na kilkogodzinnych cierpieniach i pojedynczych wypadkach śmierci; lecz jeśli ją napadnie śród labiryntu ruchomych wzgórz piaskowych, natenczas całkowitem grozi jej zasypaniem.

Z dziwném tém zjawiskiem i jego przyczynami bliżej obeznać się nam wypada. Przyrównywano nieraz pustynią do morza; lecz jeśli porównanie to ma być prawdziwém, należy wyobrazić sobie morze z powierzchnią nie gładką, tylko pokłębioną w nieruchome bałwany. Każdy z tych wałów olbrzymich przedzielony jest od drugiego wklęsłością czyli rodzajem wąwozu, który przebyć muszą podróżnicy; składają się zaś z pyłu miałkiego jak mąka. Lekki powiew wiatru gładzi ich powierzchnią nakształt polerowanego marmuru, silniejszy wprawia je w ruch wirowy, gwałtowna zaś burza rozpryskuje piasek w millionowych cząstkach po przestrzeni i przenosi go ze wzgórza na wzgórze. Tym sposobem nieraz w przeciągu jednej godziny następuje zupełne przeistoczenie labiryntu piaskowego; wzgórza pozostały, lubo w kształcie odmiennym, lecz składające je pyłki nie są już te same. Wyobraziwszy sobie żywo ten proces przyrody, łatwo pojąć że karawana napadnięta przez orkan w takim labiryncie, długim nieraz na mil ośm do dziesięciu, a tak wężkim że wielbłądy postępować muszą jeden za drugim, znużona już poprzednio trudami pochodu, duszona pyłem i gorącem, siekana ostremi kamnikami, które wściekły uragan w twarz miota podróżnikom, może być rzeczywiście zasypaną. Usiłowanie ucieczki byłoby nadaremne, bo gdzież uciekać w pustyni? a przytém cała atmosfera tak jest napełnioną tumanem pyłu, że ciemność nie pozwala karawanie postępować w stale oznaczonym kierunku. Nadto wielbłądy za zbliżaniem się niebezpieczeństwa stają się nieczułem na razy poganiaczów, kładą się na ziemię, zakopują nozdrza w piasek i czekają nieruchomie swego losu. Lecz jeśli nawet karawana ujść zdoła zasypania, to i tak jeszcze niebezpieczeństwo jej nie minęło. Pałący wiatr wysusza wodę w wojłokach, w studniach i łąkach na które liczone: jeżeli w takim stanie wycieńczenia napadnie ją horda Tuareków, wtedy żadnego już dla niej niema środka ocalenia.

Zaledwo jednak karawana, uniknąwszy szczęśliwie tyłu klęsk różnorodnych, przybędzie do Sudanu, nowe dla niej nastaje życie i rozpoczynają się działania kupieckie. Osiedlenie w miastach, rozliczne stosunki z plemionami północnej Afryki, faktorye kupców z Tunis, Mogador, Tripolis i Gadames wywołały

w Sudanie cywilizacją połowiczną, bardzo różną od dzikości koczujących Tuareków. Bujna roślinność, skutek orzeźwiających deszczów letnich, zwraca mieszkańców ku rolnictwu. Wszędzie widać pola zasiane zbożem, czerwonym ryżem, lnem i bawełną, wszędzie ogrody warzywne i owocowe. Liczne trzody wielbłądów, bydła, owiec, koni, osłów i kóz pokrywają pastwiska. Obok rolnictwa kwitnie i przemysł; krawcy, stolarze, kowale, złotnicy, garbarze, farbiarze, rzeźnicy i korzennicy znajdują korzystny odbytek na swe towary. Ruch kupujących i sprzedających świadczy o wpływie cywilizacji.

Pierwszą czynnością przybyłej karawany jest wybór stosownych podarunków dla księcia w którego kraiku znalazła przytułek. Po dopełnieniu tego zwyczaju, każdy z handlujących zajmować się może swobodnie swojemi interesami, sprzedawać, kupować lub zamieniać. Towary wystawione na sprzedaż składają się zwykle z wyrobów bawełnianych, grubego sukna, chustek fularowych, surowego jedwabiu, burnusów, haików, korzeni, cynamonu, drzewa sandałowego, opium, ambry, mydła i świec, kantaryd, szafranu, koszenili, siekier, motyk, młotów, pił, gwoździ, nożów, igieł, nożyczek, paciorków, koralu, papieru, małych lusterek, większych i mniejszych naczyń blaszanych, naramienników ze złota, srebra lub rogu bawolego, tudzież z broni wszelkiego rodzaju—co wszystko w Sudanie pewny znajduje odbytek.

Przedmioty te nie bywają płacone pieniędzmi, a rzadko nawet piaskiem złotym, inaczéj bowiem karawana musiałaby powrócić bez ładunku, gdy tymczasem interes kupca nakazuje zabrać w zamian takie artykuły, które w domu korzystnie spieniężyć może. Płodami tego rodzaju są oprócz piasku złotego: pióra strusie, kość słoniowa, róg nosorożców, guma, soda, воск, liście sennesowe i skóry wyprawne. Gdyby jednak mieszkańcy Sudanu te tylko artykuły ofiarować mogli karawanom, potrzeby ich nie zostałyby pokryte, bo produkcya takowych jest ograniczoną. Lecz posiadają oni inny artykuł, bardzo poszukiwany przez kupców, a łatwy do nabycia we wnętrzu Afryki: mówimy o niewolnikach negrach, na których mieszkańcy tameczni robią formalne obławy i których następnie karawany sprzedają głównie do Marokko.

Gdy wreszcie wszystkie przywiezione towary zostaną wymienione na produkta Sudanu, karawana przystępuje do drogi powrotnej, która trwa zwykle 4—5 miesięcy. Sama zamiana towarów przyniosła jej już zysku 200—300 %, za przybyciem zaś w strony nadbrzeżne artykuły te podwajają lub potrajają

swą wartość, nie mówiąc już o niewolnikach, na których korzyść bywa jeszcze większą. Widzimy więc że zysk równoważy niebezpieczeństwa i trudy na jakie kupcy narażeni są w tym rodzaju handlu.

Po wyłuszczeniu w ten sposób własności handlu karawanowego, autor artykułu z którego zdajemy sprawę rzuca pytanie, czy Europejczycy, a mianowicie Francuzi, powinni w nim brać udział. Odpowiedź jego jest przeczącą. Gdyby pojedynczy kupcy Europejscy łączyli się z karawanami, Mahometanie niezwalczane stawialiby im przeszkody. Gdyby znów karawany złożone były z samych Europejczyków, walczyłyby musiały z podejrzliwością i złą wiarą Tuareków i innych plemion Arabskich. Nie śmiano by wprawdzie rzucać się na nie otwarcie, lecz za to tysiączne gotowanoby im zdrady. Zresztą, pomijawszy nawet te trudności, bezpośredni handel z Sudanem nie byłby korzystnym dla Europejczyków, z powodu że nie mogliby przyjmować w zamian niewolników, a właśnie taniość tego towaru ludzkiego w tamtych stronach największe obiecuje zyski. Najstosowniej więc, podług autora, byłoby dla Europejczyków przyjąć udział w tych przedsięwzięciach handlowych za pośrednictwem poufnych agentów, którzy zająłoby się mogli kupnem odpowiednich towarów, i odbywszy podróż razem z karawanami arabskimi, spieniężyć je lub wymienić w Sudanie. Świadomi stosunków miejscowych zapewniają, że towar kosztujący w mieście portowym 100 franków, płacony bywa w Sudanie przynajmniej 300 franków. Zysk przeto, gdyby nawet karawana wracała próżno, wynosiłby już 200 franków; lecz że przedmioty powrotne przynoszą także korzyści około 50 %, cały przeto interes sta-

wia się jak następuje: droga do Sudanu daje korzyści 200 %, droga powrotna 50 % od potrojonego już kapitału, razem 350 %, od czego wszakże potrącić należy koszta, które dla karawany złożonej ze 100 wielbłądów wynoszą:

1. Najem wielbłądów.	14,000 fr.
2. Koszta utrzymania poganiacz. i jeźdźców	5,512 —
3. Wydatki nieprzewidz. podar. i gratyfikacje	4,000 —
	<hr/>
	Razem 23,512 fr.

Za tę summę przewieźć można od brzegu morskiego 15,000 kilogramów towaru, które zakupione za cenę około 45,000 fr., przynieść mogą w przeciągu dwóch miesięcy 180,000 fr. czystego zysku. Przy dobrze urządzonym handlu, operacya ta dałaby się w jednej zimie dwa razy powtórzyć, i niewielki stosunkowo kapitał ogromny uczyniłby dochód.

Tak świetne widoki otwierałoby dla Francyi utwierdzenie jój potęgi w Algiieryi; pytanie tylko czy Francuzi korzystać z nich potrafią. W upłynioném jeszcze stuleciu byliby to niezawodnie uczynili. Lecz energia ich ówczesna, co nad brzegami Missisippi i w Kana-dzie kwitnęła założyła kolonie, a w Indyach Wschodnich współzawodniczyła z Anglikami i białą flagę Burbonów postawiła na równi z flagą Albionu,—wygasła, jak się zdaje, na szafotach rewolucyi i na wielkich bojowiskach cesarstwa. Teraźniejsze przynajmniej usiłowania kolonizacyjne i handlowe Francuzów nie pokazują jój śladu, a gra giełdowa, zachęcana przykładem z góry, nie wskrzesi zapewne dawniej przedsiębiorczości, lub gdzieby ona jeszcze istniała, nie naprowadzi jój na drogę właściwą.

SPRAWOZDANIE POPULARNE

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH I PRZEMYSŁU.

III.

Uczone fantazyje astronomiczne, wymiary wielkości, szybkości biegu i przypuszczalne skutki spadnięcia na ziemię niektórych aerolitów—Wysokość atmosfery.—Nowe przypuszczenia o naturze słońca.—Płynny kwas węglowy, i przypuszczenie otrzymania dyamentów drogą mokrą.—Historya drogich kamieni i innych kosztowności.—Sztuczne kamee chińskie.—Drzewo używane na pożywienie

u Chińczyków.—Materyały mogące zastąpić zboże i kartofle.—Mięso krowie.—Sztuczne rozmnażanie ostryg.—Nowa gutaperka.—Sposoby nadania niepalności drzewu i tkaninom.—Konduktory czyli piorunochrony słomiane.—Fotografia w 1760 roku.—Użycie fotografii na posługę drzeworytnictwa; klisze gutaperkowe.

Jak wszystkie nauki mające bliski związek z matematyką, tak i astronomia chociaż polem jój poszu-

kiwań jest przestwor nieskończony, wymaga ścisłości niezmiernej w postrzeżeniach, i chociaż oko astronoma uzbraja się wszelkimi możliwymi środkami, któreby mu dopomogły sięgnąć jak najdalej spojrzeniem, ale zato powinien on wyobraźnię swoją trzymać niezmiernie na wodzy i przykładem przeogromnych ciał których biegów śledzi, nie dać jej ani na chwilę zbroczyć z drogi zdrowego rozumowania i ściśle wyrachowanych wniosków, bo jeden włos zbroczenia na naszej mikroskopowej, względnie do wszechświecia, planecie, to miliardy mil omyłki w owój bezgranicznej przestrzeni. Kto o tym zasadniczym przepisie na chwilę zapomni, w błąd popaść musi. Taki przykład zapomnienia o ścisłej rachubie wyobraźni, znajdujemy w dytyrambicznej formie rozprawy pana Petit, dyrektora obserwatorium w Tuluzie, którego aerolity, czyli bolidy, widocznie natchnęły zbyt poetycznym zapalem. Między znanymi ciałami meteorycznymi, mówi on, niektóre mają niezmiernie wymiary i przerażającą szybkość biegu. Naprzykład bolid widziany w nocy z 4 na 5 stycznia 1857 r. biegł z szybkością 28,000 stóp na sekundę, w odległości 68 mil francuzkich od ziemi, a średnica jego wynosiła 7000 stóp; ten który widziano w dniu 18 sierpnia 1841 r. miał przeszło 14,000 stóp średnicy; bolidy z dnia 3 czerwca 1842 i 27 października 1844 biegły po 18 mil francuzkich na sekundę bardzo blisko ziemi, a bolid 6 lipca 1850 mający 700 stóp średnicy, biegł w odległości 32 mil fran. od ziemi szybkością 19 mil fr. na sekundę. Gdyby które z tych ciał, naprzykład ostatnie, spadło na ziemię, zrzuciłoby niewątpliwie straszne *miejscowe zniszczenia* które wyobrazić sobie możemy, przypuszczając że naprzykład 100 dział ciężkiego kalibru strzela bez przerwy przez *czterydzieści tysięcy lat* każde po jednej kuli na sekundę, do miejsca na ziemi na które spadłby ów aerolit. Pierwszy z wspomnianych bolidów, widziany w nocy z 4 na 5 stycznia 1857 r. byłby jeszcze straszliwsze sprawił skutki, bo siła jego uderzenia (przypuszczając równie jak w pierwszym razie że gęstość aerolitu równa się mniej więcej gęstości średniej naszej ziemi) wyrównywałoby działaniu *dziesięciu tysięcy* dział pozycyjnych, któreby rzuciły każde jedną kulę na sekundę przez *czterykroć sto tysięcy lat* (kto nie wierzy niech sprawdzi). Pomimo tak przerażającej w skutkach miejscowych, siły spadnięcia na ziemię tej wielkości aerolitów, dodaje p. Petit, dodać musimy że ogólny bieg naszej planety nie doznałby zakłócenia dającego się ocenić, ale [z drugiej strony i temu zaprzeczyć nie można, że sąsiedztwo wielkiej liczby po-

dobnych mass, może wywierać ważny wpływ na ilość ciepła jaką otrzymujemy od słońca, a zatem sprawiać niejake niewłaściwości w zjawiskach meteorologicznych które postrzegamy.

(Dziwny przypadek zrzucił że p. Pteit przesłał tę gaskonadę astronomiczną do *Gazette de la Haute Garonne*).

Nie tak przesadnym, ale jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa cokolwiek za bardzo górnolotnym, jest p. Liais w swoich obliczeniach wysokości atmosfery. Z obserwacji nad polaryzacją światła i łukami przedświtowymi i pozachodowymi w strefach podzwrotnikowych, astronom ten oblicza że wysokość atmosfery wynosi 320 kilometrów. P. Liais podaje te wyrachowania jako nieomyłne i wolne od wszelkich przypuszczeń; nie śmiemy wprost i bezwarunkowo słowom jego zaprzeczać, chociaż dotąd przypuszczano tylko 60 kilometrów jako wysokość atmosfery, a według p. Biota nawet tylko 40 kilometrów. P. Liais powiększył tę cyfrę o 280 kilometrów, czyli około sześć razy; sądzimy że niepodobna aby mistrze nauki pozostawili bez odpowiedzi tak kategoryczne zaprzeczenie dotychczasowym rezultatom postrzeżeń uważanych za dokładne i stanowcze. PP. Leverrier, Babinet, albo Faye powinnyby powiedzié coś decydującego w tej sprawie, bez zaprzeczenia bardzo ważnej dla nauki, tak jak ostatni z wymienionych znakomitych astronomów, nie wahał się uczynić względem przedstawionych akademji nauk w Paryżu, przypuszczeń p. Geniller z Liege o naturze fizycznej słońca. Według p. Geniller, który tę samą rozprawę przed dwoma laty przedstawił akademji belgijskiej, słońce jest 1^o kulą płynną i płonąca, i ono jest dla nas źródłem ciepła; 2^o światło słońca, jest skutkiem błyskawic nieustannie powstających w chmurach otaczających słońce, a powstających jednocześnie na całej powierzchni tego ciała niebieskiego. 3^o plamy postrzegane na powierzchni słońca są skutkiem prądów atmosferycznych odśrodkowych, przedzierających osłonę chmurną i odkrywających jądro (które okazuje się czarném chociaż p. Geniller powiada że ono płonie i jest massą w stanie stopionym, do czego zapewne potrzeba trochę więcej niż białego ognia). W akademji belgijskiej na posiedzeniu 7 lutego 1857 roku, p. Liayre, zdając po przyjacielsku zapewne sprawę z przypuszczenia p. Geniller powiedział: „W końcu, po dojrzałem rozważeniu proponujemy aby akademia podziękowała panu Geniller za jego rozprawę, ale nowe myśli przedstawione przez niego względem natury słońca, nie zdają nam się być

opartemi na dość silnych podstawach, i dlatego nie śmiemy proponować, aby je akademia uznała za stanowcze.”

Prypadkiem, tego samego dnia 7 lutego, ale we dwa lata później, to jest w roku bieżącym p. Faye któremu akademia francuzka powierzyła rozpatrzenie téj rozprawy i danie zdania czy ona zasługuje na urzędowe sprawozdanie, oświadczył że przypuszczenia p. Geniller nie poparte żadnym najsłabszym nawet dowodem, najmnień nawet usprawiedliwiającem podobieństwem z jakimkolwiek dowiedzionym faktem, nie zasługuje na poddanie roztrząsaniu osobnej komisji. P. Geniller zatém jeszcze ciężej spadł w Paryżu niż w Bruxelli.

Mnień niebezpiecznym zwykle bywa upadek jak to mówią na równej drodze, niż z pewnej, a témbardziej tak nieskończonej wysokości jak ta w której krąży słońca, a nawet chociaż znacznie bliższe, bolidy, dla tego śmieliej daleko wolno czynić przypuszczenia w rzeczach ziemskich, w ciałach których się dotknąć możemy; tém bardziej że nawet mylne przypuszczenie, może ubocznie chociaż doprowadzić do jakich użytecznych rezultatów. Temi zapewne uwagami spowodowany p. Teodor Simler, w Wroclawiu, wzywa ludzi fachowych, szczodrzej niż on obdarzonych materialnymi środkami powodzenia, w każdym niestety przedsięwzięciu na tym padole płaczu i nędzy, aby się gorliwie wzięli do poszukiwań na nowej drodze otrzymania sztuką dyamentów, którą to drogę wskazuje im bezinteresownie.

A najprzód p. Simler dowodzi stanowczo że płyn jaki często znajdujemy zamknięty we wnętrzu pewnych kryształów w skałach, jeżeli nie zawsze, to przynajmniej w niektórych razach, może być kwasem węglowym płynnym. Głównymi dowodami na poparcie tego twierdzenia są: wielka rozszerzalność od ciepła cieczy tych, które bliżej rozpoznawano, słaba bardzo ich władza łamania światła, nakoniec niesłychana ich rozprężliwość. Jeden taki płyn znajdujący się w kryształach kwarcu, studyowanym przez sir Dawida Brewster w temperaturze między 10 i 20 stop ciepła okazał rozszerzalność 83 razy większą od wody, co właśnie według dowodzeń p. Thilorier jest mnień więcej współczynnikiem rozszerzalności kwasu węglanego ciekłego. Pewnego razu p. Sanderson (syn) włożył w usta kryształ kwasu przywieziony z Kanady, mający wydrążenie napełnione cieczą; słabe rozgrzanie przez ciepło ust tak dalece rozszerzyło ów płyn, że kryształ roztrząsał się w kawałki i ciężko skaleczył nieszczęśliwego młodzieńca. Inny badacz

przyrody, rozbiwszy młotkiem kryształ zawierający podobną ciecz wewnątrz, usłyszał huk podobny do tego jakie przy doświadczeniach publicznych p. Thilorier sprawiało rozgniecenie małych kulek szklanych zawierających ciekły kwas węglowy. Przyjąwszy za fakt mówi p. Simler, że kwas węglowy mógł istnieć i istnieje jeszcze w naturze w stanie ciekłym, i jeśli okaże się, co jest bardzo prawdopodobnem, że węgiel rozpuszczać się może w kwasie węglowym ciekłym, jak sól kuchenna w wodzie, jak siarka w kwasie siarkowęgłowym czyli w siarczku węgla (*alcohol sulphurio*), jak fosfor w fosforu siarki, i t. p. czyż to nie powinno naprowadzić nas na myśl że dyamenty mogły się tworzyć w naturze, przez strącenie (*praecipitatio*) i krystalizację, pod wpływem sprzyjających okoliczności, węgla rozpuszczonego w ciekłym kwasie węglowym? Myśl ta jest w najgorszym razie dość oryginalną, a ponieważ p. Simler mało ma nadziei żeby zdołano otrzymać dyamenty za pośrednictwem ognia, przeto tę nową drogę wskazuje do dokładnego badania chemikom i przemysłowcom. Pan Simler może się mylić w swoim przypuszczeniu, ale jak powiedzieliśmy wyżej, podobnego rodzaju poszukiwania, choćby nie doprowadziły do zamierzonego celu, mogą pośrednio przynieść wiele korzyści nauce.

Nader ciekawem w tym względzie jest dziełko pana Rambosson: *Historja drogich kamieni i innych materialow kosztownych*. Znajdujemy tam nader interesującą treść wszystkiego co kiedykolwiek pisano o dyamentach, ich historyi, doświadczeniach czynionych w celu zbadania ich natury i sposobów sztucznego ich wyrabiania, dalej o koryndonie, rubinie, szmaragdzie, szafirze, topazie, opalu, turkusie, ametyście, turmalinie, granacie, lazurze, (*lapis lasuli*) agacie, perłowej macicy, perłach naturalnych i sztucznych, koralu, ambrze, kości słoniowej, gagacie i t. p. złocie, srebrze, platynie i aluminie (glin). W dodatku autor kręśli pokrótce historyę sztuki złotniczej i po szczególe opisuje historycznie główne ozdoby złotnicze: obrączki, pierścienie, bransolety, naszyjniki, pasy, szarfy, diademy i korony (dziwna rzecz tylko, że zupełnie zapomniał o kolczykach).

W dziełku tém jednak pod artykułem o perłach, ani między robotami złotniczymi nie znajdujemy wyjaśnienia względem pięknych kamei, czyli medalionów z perłowej macicy nie okazujących żadnego śladu roboty rylca, a przedstawiających piękne płasko-rzeźby. Kamee te sprowadzane są oddawna z Chin i tam tylko posiadano dotąd sekret ich wyrabiania.

Na szczęście ten brak w dziele p. Rambosson za-
pelniony został przez jednego z misyjonarzy zamie-
szkałych w Chinach, który tę rzecz w następujący
sposób opisuje: Piękne te kamee wyrabiane są przez
biedne mięczaki, przymuszane do tego przez chiń-
czyków. Tym mięczakiem jest mieszkaniec dwuskoru-
powej muszli zwaną *anodonta*; Chińczycy łowią je,
otwierają i za pomocą kliników drewnianych niepo-
zwalają im zamknąć się, dopóki nie umieszczą we-
wnątrz formy żądanej kamei, wyrobionej wkłęsło, jak
pieczęć na metalu. Przytwierdzają tę formę do skoru-
py muszli zapomocą substancji nie rozpuszczającej
się w wodzie, wyjmują kliniki, pozwalają muszli za-
mknąć się i wpuszczają ją w stosownie urządzone sa-
dzawki wody w jakiej one zwykle się utrzymują. Po
pewnym przeciągu czasu łowią je znowu i wydoby-
wają formę metalową wypełnioną dokładnie masą
perłową, kamea jest już zupełnie gotowa. Zamiast
podobnej formy wkładając w muszle okrągłe kamy-
ki, otrzymują sztuczne perły dochodzące do pół cala
średnicy.

Ten sam misyjonarz w liście z Tong-King datowa-
nym 2 kwietnia 1858 r. opisuje okropny głód spowo-
dowany przez zalanie wodą kilku prowincyi i powia-
da iż wsie położone na podnózu gór znalazły wielką
pomoc w pewnym rodzaju palmy, której drzewo daje
mąkę zdatną na chleb dość smaczny i pożywny. Ale
trudno opisać, dodaje, ile to niesłychanych trudów
podjąć trzeba, aby dostać tego nieocenionego drze-
wa, które staje się coraz rzadszem, z powodu mno-
gości ludu który z głodu musi je wytepić. Potrzeba
kilka nieraz dni błąkać się w dalekich stronach, bez
żadnych dróg między zaroślami, albo skałami ostre-
mi jak noże i narażać się na rozszarpanie przez ty-
grysy, które niezmiernie wiele ofiar porywają. Kiedy
nieszczęśliwi zgłodniaли znajdą takie drzewo, ścinają
je, łupią w polana, dzielą się niemi i unoszą do domu
w pośród nowych niebezpieczeństw. Porządne nare-
cze tego drzewa może wyżywić kilkanaście osób przez
trzy lub cztery dni; ja sam, mówi ks. Retord, wika-
riusz apostolski, z braku lepszej strawy, zjadłem go
kilka wiązek. (Szkoda że zacny misyjonarz nie opisał
dokładnie tego gatunku palmy jadalnej, której tkan-
ka komórkowa nie rozwija się jak widać do zupełnej
formacyi i pozostaje w części przynajmniej, w stanie
mączki czyli krochmalu).

Chociaż u nas dzięki Opatrzności, plaga głodu na-
der jest rzadkim wypadkiem, nie byłoby jednak zby-
tecznym wskazać niekiedy, mianowicie dla klas uboż-
szych, środki pożywne na które zwykle mniej zwraca

się uwagi. Do takich należą, przedewszystkiem roz-
maite części roślinne zawierające obfitość krochmalu.
Kasztan dziki, którego owoc u nas najzupełniej bez
użytku pozostaje, zawiera stotunkowo niezmierną ilość
krochmalu, i gdybyśmy nawet nie chcieli używać mą-
ki z tego owocu na chleb, w pomieszanu z żytem,
choć po odjęciu miazdze kasztanów goryczy za po-
mocą stosownego wymoczenia, mąka z nich w po-
łowie mieszana z żytnią daje chleb bardzo smaczny
i pożywny, choćbyśmy, mówię, nie chcieli uciekać się
do tego surrogatu ziarn zbożowych, na chleb, mógłby
on pośrednio przysporzyć nam mąki chlebną i karto-
fli na jadło, gdybyśmy w wyrobie krochmalu zastą-
pili w zupełności używaną dotąd na ten cel psze-
nicę i kartofle. Wszakże w Anglii obliczono, że przez
wprowadzenie szkła wodnego do apretury płócien i
kartonów w miejsce krochmalu, zyskano rocznie ilość
mąki wystarczającą na wyżywienie przez ten czas
100,000 ludzi. Zniesienie zupełne wyrabiania kroch-
malu z pszenicy i kartofli, a wprowadzenie wyrabia-
nia go z kasztanów, nie małą także ilość pożywienia
przysporzyłoby dla kraju.

Ale ważniejszym jeszcze niewątpiwie artykułem
żywności jest mięso, mianowicie wołowe, i co do tego
przedmiotu interesującą jest zupełna urzędowa reha-
bilitacya mięsa krowiego, dotychczas niesłusznie po-
mieszczanego między drugorzędnymi mięsami.

P. Lefour jeneralny inspektor rolnictwa we Fran-
cyi, mówi w dzienniku *Patrie*: W wielkich miastach,
a szczególnie w Paryżu, krowy dostają się do rzeźni-
ków zwykle wycieńczone długim dojeniem, z powodu
korzystnego odbytu nabiałów; mięso ich z tego po-
wodu mniej jest smaczne niż mięso wołów tuczonych
należycie przed oddaniem na rzeź; ztąd też natural-
nie wynika opinia nie korzystna dla mięsa krowiego,
ale jego niższość rzeczywista jest tylko u krów zbyt
starych. W Grignon tuczą krowy które sprzedają się
zawsze na mięso pierwszego rzędu i przekonano się
z doświadczenia że krowa stosunkowo do swojej wagi
więcej daje wyborowego mięsa niż wół, dlatego w ogó-
le p. Lefour oświadcza, że należy najgłośniej powsta-
wać przeciw przesądowi poniżającemu w oczach kon-
sumentów mięso, równie dobre jak to któremu oni
powszechnie oddają pierwszeństwo.

Nie poprzestając na pierwszych potrzebach ludno-
ści, nauka nie zapomina nawet o jej przyjemnościach
i jednym z najgorliwszych w tym przedmiocie jest
p. Coste, który nietylko najenergiczniejszy dał po-
pęd sztucznemu rozmnażaniu rozmaitego rodzaju ryb,
w czem dotąd z niezmordowaną gorliwością i najpo-

myślniejszém powodzeniem postępuje, ale nadto powziął myśl rozmnażania w podobnym sposobie ostryg i usiłowania jego najzupełniejszy skutek odniosły. *Moniteur Universel* umieścił niedawno długi raport złożony cesarzowi, względem sztucznego, że się tak wyrazimy, zasiewu ostryg w zatoce Saint-Briene. Podamy tu treść tego ważnego dokumentu, z którego wynika przekonanie, że morze tak można uprawiać jak ziemię.

„Zapuszczenie w morze muszli zapładniających, mówi p. Coste, odbyło się pod mojem okiem w marcu i do końca kwietnia (r. z.). W tym krótkim przeciągu czasu trzy miliony sztuk, wziętych z poblizkiego morza tudzież z Cancale i Tregnier, zostały rozłożone na dziesięciu podłużnych pokładach, urządzonych w różnych punktach zatoki, i przedstawiających ogólnie, powierzchnię 1000 hektarów. Pokłady te wskazane zostały uprzednio na mappie morskiej, i oznaczone słupami z powiewającymi banderami na wskazówkę dla okrętów które miały te miejsca zasiewać. Niedosć było dla powodzenia tego dzieła umieścić muszle ostrygowe w warunkach najkorzystniejszych dla ich mnożenia się, potrzeba było jeszcze urządzić około nich i pod nimi pewne środki przyjmowania ich rozplodu i skłonienia ich do osiedlenia się w danem miejscu, gdzie je złożono w porze w której zaczyna się ich rozpladnianie.

To drugie działanie które zmienia przystań Saint-Briene w pewien rodzaj podmorskiego folwarku, mającego być praktycznym polem racjonalnej eksploatacji, dokonane zostało za pomocą dwóch sztucznych środków, których jednoczesne użycie dało już niezmiernie rezultaty, a w niedalekiej przyszłości można będzie według upodobania powiększyć zbiór w miarę potrzeby. Pierwszym środkiem jest wybrukowanie, że się tak wyrażę, pola produkcyjnego, skorupami ostryg lub innych muszli, tak żeby ani jeden zarodek nie padł inaczéj jak na pokład twardy na którymby się mógł przyczepić. Skorupy muszli zebrane w tym celu na wybrzeżu Cancale zostały przywiezione tu przez umyślnie najęte statki rybackie i usypane na sztucznych ławicach w mojej obecności.

Drugim środkiem którego przeznaczeniem jest zbierać zarodki uniesione przez pęd, strącać je na owe pokłady muszlowe lub przyjmować je w swoje sploty, stanowią długie linie drobnéj faszyny ułożone w poprzek jak stopniowe tamy od jednego do drugiego końca pokładów. Faszyny te odpowiednio obciążone aby się mogły utrzymywać na kilkanaście cali nad pokładami muszli, spuszczone zostały starannie

przez nurków, którzy je zarazem pokryli pewną liczbą ostryg właśnie w porze rzucania nasienia.

W pół roku po dokonaniu tego dzieła, już przewidywania oparte na podstawach nauki, urzeczywistniają się dotykalnie. Skarby nowego pokolenia przechodzą najsmielsze przypuszczenia; faszyny w swoich splotach, na najmniejszych gałązkach, pokryte są tak niesłychanym mnóstwem pęków ostryg, jak gałęzie drzew owocowych kryjące się pod kwiatami. Trzeba widzieć naocznie te cudowne rezultaty, aby im uwierzyć. Młode ostrygi mają od cala do półtora średnicy, są to zatem owoce które za ośmnaście miesięcy dojrzewając stanowią będą zbiór niesłychany, na przestrzeni faszyny nie zajmującej więcej miejsca jak snop zboża, naliczyć można do 20,000 ostryg. Taka liczba ostryg w stanie dojrzałym przedstawia wartość 400 fr. sprzedaje się bowiem zwykle na miejscu po 20 fr. za tysiąc (po 1/2 kop. za sztukę). Tak więc przemysł ten może dać niewyczerpane korzyści, bo można urządzić w morzu tyle pokładów ile się tylko podoba, a każda sztuka dojrzała daje około trzech milionów zarodków. Zatoka Saint-Briene stanie się przeto prawdziwym spichrzem obfitości, jeśli przez połączenie już utworzonych łanów zmienimy ją całą w obszerną niwę produkcyjną.

Doświadczenie wykonane w zatoce Saint-Briene zbyt jest stanowcze, zbyt dotykalnie przekonywające żebyśmy nie mieli, korzystać z téj nauki. Dowodzi ono świetnym rezultatem, że wszędzie gdzie grunt morza przybrzeżny nie podlega zasypywaniu i zamulaniu, przemysł kierowany przez naukę, może na dnie morza zapewnić sobie obfitsze żniwa niż te jakie ziemia mu daje. Dlatego mówi p. Coste, ośmielam się przedstawić propozycję nakazania zapłodnienia całych naszych brzegów morza Śródziemnego, Oceanu, Algierji, Korsyki, nie pomijając nawet słonych stawów na południu Francji, co zapewni znaczne bogactwo ludności zamieszkującej na tych brzegach.

Amatorowie ostryg i osoby słabe dla których one są prawdziwym lekarstwem, mogą się spodziewać w krótkim czasie znacznego zniżenia cen tego artykułu.

Troskliwość o zapobieżenie wyczerpania się użytecznych materiałów wszelkiego rodzaju, których ubytek stanowiłby ważną szkodę w potrzebach lub wygodach życia, jest wysoką zasługą i ma najzupełniejsze prawo do publicznej wdzięczności, dlatego za obowiązek mamy zanotować tu pomyślny skutek usiłowań p. Serres któremu udało się wykryć wyborny

surrogat gutaperki, tak rozliczne mającej już użytki a tak nieogłędnie wytepianej w swojej ojczyźnie Ameryce, że ludzie fachowi wróżą niedalekie zupełne zniknięcie jej z handlu. Jeszcze na powszechnej wystawie w Paryżu, zwrócono uwagę na sok drzewa zwanego *Baluta* albo według Linneusza *Archas dissecta* przysłany przez gubernatora Gujany francuskiej. Sok ten przedstawia się jako masa gębczasta lekka koloru blado-różowego, krusząca się pod naciskiem palcy zmięczona w gorącej wodzie kształtuje się ona w cienkie listeczki, ale nie dające się ściśle łączyć z sobą w jednolite ciasto. P. Serres trafił na szczęśliwą myśl że przyczyną tego zupełnego braku spójności musi być obecność jakiegoś ciała tłustego; udało mu się dość łatwemi środkami tę tłustość usunąć i otrzymał z tego soku *Baluty* materiał posiadający wszystkie przymioty zalecające i stanowiące użyteczność gutaperki, a nawet to ciasto jest delikatniejsze i sprężystsze od gutaperki. Mięknie ono w nieco wyższej niż gutaperka temperaturze i nie staje się kruchem jak ona nawet będąc poddanem nagłym i wielokrotnym zmianom temperatury. Wszystko zdaje się wskazywać że ten nowy produkt bardzo korzystnie zastąpi gutaperkę jako materiał odosobniający dla konduktorów elektryczności i jako materiał plastyczny na matryce dla elektrotypii. Będzie to nowe źródło bogactwa dla kolonii francuskich z korzyścią dla konsumentów europejskich, którzy w ostatnich czasach uskarżają się nie bezzasadnie na coraz gorszy to jest w rozmaity sposób fałszowany przymieszaniem obcych ciał, produkt amerykański.

Na polu zastosowania wiadomości chemicznych do powszechnego użytku, jednym z najważniejszych wynalazków naszych czasów jest przyrządzanie drzewa i rozmaitych tkanin tak, aby się nie łatwo nawet od nateżonego ognia zapalały. Próby wynalazku p. Carterton w tym przedmiocie wykonywane na dekoracjach teatralnych przygotowanych według jego metody, nie pozostawiają nic do życzenia i teatrum francuskie otrzymały podobno zalecenie preparowania w ten sposób nietylko wszelkich dekoracji płóciennych, ale nawet wszelkich ubiorów używanych na scenie. Obecnie p. Carterton znalazł silnego współzawodnika w osobie p. Thouret, w Berlinie, wynalazcy wody w której zanurzwszy jaką tkaninę lub kawałek drzewa, jak jedno tak drugie staje się najzupełniej niepalnym. P. Thouret próby swego wynalazku odbywał już w Berlinie, w Bruxelli, w Paryżu i udał się do Londynu. Tkaniny krochmalone z dodaniem do krochmalu tej wody pana Thouret, nie tracą nic

ze swojej miękkości i połysku, a drzewo nią napojone staje się nieprzystępnym owadom i gniciu.

Ponieważ mówimy o środkach zabezpieczających od ognia, dodamy jeszcze kilka słów w tej samej kategorii z dziennika *La Sentinelle de Jura*: „Pewien człowiek przemysłowy przekonawszy się, że słoma może usunąć niebezpieczeństwo piorunów, zbudował konduktor (piorunochron) tego rodzaju. Dowiedzionem jest że bateria naładowana elektrycznością tak, że mogłaby zabić wołu, zostaje natychmiastowo wyładowana, bez iskry i wybuchu, zapomocą kawałka słomki na parę cali długiego. Tak więc najuboższa chata może się zaopatrzyć takim bardzo tanim konduktorem. Dość jest warkocz upleciony ze słomy przymocować drutem żelaznym wzdłuż drąga drewnianego opatrzonego u wierzchu kolcem miedzianym.

Takie konduktory zostały zaprowadzone w ośmnastu gminach w okolicach Tarbes tak iż na 20 hektarów przestrzeni przypada jeden konduktor i od tego czasu gminy te wolne są nie tylko od piorunów ale nawet od gradów.”

Do tych słów dziennika jurajskiego, dodamy, że pierwszym który wykazał że słoma skutkiem tysiącznych ostrych końców któremi jest najeżona, ma własność rozbrajania ciał naelektryzowanych, był p. Lapostolle z Amiens; odkrycie więc nie jest świeże, bo już w roku 1826 z wielkiem powodzeniem powtarzano jego doświadczenia, ale odkrycie to poszło w zapomnienie i trzydzieści lat upłynęło nim wprowadzono w zastosowanie tak prosty, tani i skuteczny konduktor, którego p. Lapostolle jest prawdziwym wynalazcą.

Nie jeden ważny i piękny wynalazek albo długie lata wyczekiwać musi na uznanie i zastosowanie, albo idzie zupełnie w zapomnienie i nieraz po wielu wiekach dopiero nowe badania lub przypadek, nowego wynalazcę naprowadzą na to co już dawno było znane, ale zaginęło; tak że bez mała, możnaby w ścisłym literalnym znaczeniu przyjąć słowa starożytnego mędrca: *nic nowego pod słońcem*. Te słowa z dodaniem: *co już zrobiono, a co jeszcze da się zrobić* wzięł p. Edward Flourens na dewizę dzieła pod napisem *Stare nowości* z którego dowiadujemy się, kóżby uwierzył, że nawet fotografia, z której nasz wiek tak się słusznie chlubi, jest tylko wznowieniem sztuki znaniej może nie Grekom albo Egipcyanom, ale przynajmniej Gallom, Francuzom siedemnastego wieku. W dziele pana Flourens czytamy następujący ustęp:

„W tymże czasie (1670) pewien utopista nazwiskiem Tiphaigne de la Roche, odkrył dagierotyp, ale

nie dzisiejszy, lecz przyszły dagierotyp, dający obraz w kolorach naturalnych, dagierotyp w najwyższym udoskonaleniu, słowem taki jaki odkryjemy, jutro, albo w sto lat może. Opis postępowania p. Tiphaigne jest dość długi, ale tak ciekawy że nie mogę oprzeć się pokusie podania go tu w całości.

„Wiadomo ci, pisze Tiphaigne, że promienie światła odbite od rozmaitych ciał, malują te ciała i tworzą ich obraz na wszelkiej powierzchni wypolerowanej jak na przykład na siatce oka, na wodzie, na zwierciadle. Umysły badawcze starały się obraz ten utrwalić. Udało się ten cel osiągnąć za pomocą substancji nader kleistej szybko schnącej i twardniejącej, na której w jednym mgnieniu oka powstaje obraz. Tą substancją pokrywa się płótno, naprzeciw którego stanawszy widzimy w nim obraz nasz jak w zwierciadle. Zwierciadło wiernie oddaje obraz przedmiotu naprzeciw niego umieszczonego, ale usunawszy przedmiot, obraz znika, kiedy tymczasem na płótnie pokrytym ową substancją pozostaje w zupełności. Po otrzymaniu tego obrazu pokrywa się płótno inną znowu substancją, a po wysuszeniu mamy obraz tym cenniejszy, że żadna sztuka nie byłaby w możności oddać go z taką prawdą. Tu bowiem z największego źródła, z światła samego, bierzemy barwy które malarze wydobywają z rozmaitych materyałów które prędzej lub później zmieniają się. Ścisłość rysunku, rozmaitość tonów, stopniowanie cieni, prawidła perspektywy, to wszystko zostawiamy tu działaniu natury która z ową nigdy niezachwianą pewnością jaką się w wszystkie jej dzieła odznaczają, rysuje obrazy które zadziwiają oko, i pozwalają rozumowi wątpić, czy to co nazywamy rzeczywistością nie jest także widmem zwodzącem oczy, uszy, dotykanie i wszystkie zmysły.”

Gdybyśmy dziś chcieli ściśle opisać postępowanie w fotografii, przyznać trzeba, że trudno byłoby nam dać dokładniejsze określenie tej sztuki nowoczesnej, jak to które sięga 1670 roku.

Tymczasem fotografia nie ustaje w postępach i oprócz wielu nowych ulepszeń, o których powiemy nieco w następnym przeglądzie, stara się ona być użyteczną na polu praktycznym sztuk pięknych, dla którego w początkach zdawała się być groźną współzawodniczką. Wiemy już o rezultatach otrzymanych, przez fotografię na kamieniu litograficznym, na stali miedzi, cynku i t. p.; dziś przy coraz szerszym się i u nas już nawet użyciu drzeworytów nieobojętnym jest użycie fotografii w pomoc do rysowania na drzewie, tego co rytownik ma następnie wykroić. P. Crookes, redaktor główny dziennika *Photographie News*

podaje na ten cel następujący opis swego wynazku:

Powierzchnia drzewa bukszpanowego lub gruszkowego stosownie do potrzeby delikatniejszego lub grubszego rytowania, pokrywa się w ciemności to jest w pokoju słabo oświetlonym małą lampką lub latarnią z żółtymi szybami, mieszaniną szczawianu srebra z wodą i trochę gumi lub mączki ceglanej według woli drzeworytnika. Pokrycie tą mieszaniną odbywa się zupełnie w takim sposobie jak zwykle dotąd pokrywanie mieszaniną białego wosku i wody gumowej, to jest, posypuje się drzewo trochę tej substancji i palcem umoczonym w wodzie z gumą lub bez niej rozciera się i rozprowadza na całej powierzchni drzewa, trze palcem w koło w rozmaitych kierunkach; dopóki woda nie wsiąknie zupełnie, a powierzchnia drzewa zostaje pokrytą warsztewką szczawianu srebra, nie dającą się czuć pod palcami. Drzewo tak przyrządzone wstawia się w miejscu nieprzystępnym światłu na przykład w szufladzie i po kilku miesiącach jest ono równie zdadne do użycia jak w pierwszej chwili po uschnięciu. Szczawian srebra czuły jest na wpływ chemiczny promieni światła i przykrywszy tak przyrządzone drzewo zwyczajną kliszą odwrotną (négatif) na szkle wykonaną, poczem wystawiwszy ją na światło słoneczne, otrzymamy obraz pozytywny, tak jakby na papierze fotograficznym. Nie potrzeba już żadnych dalszych operacji ani obmywań, drzewo z tak otrzymanym obrazem idzie w ręce rytownika, któremu służy tak jakby rysunek był wykonany zwykłym sposobem ręcznym. Musi on tylko wystrzegać się wystawienia tego obrazu na wpływ bezpośredni promieni słonecznych, od których cała powierzchnia drzewa zczerniałaby zupełnie. Wpływ światła dziennego bardzo jest mały i chyba po kilku godzinach dałby się spostrzedz, a wiemy że rytownicy zwykle przykrywają cały rysunek papierem, żeby nie zetrzeć ręką rysunku, zostawiając tylko mały kawałek odkryty, po którym rylcem prowadzą ¹⁾

¹⁾ Sposób podany przez p. Crookes ma wszelkie zalety pod względem prostoty operacji, ale pozostawia nader ważną i w niektórych rzeczach, na przykład przy wszystkich widokach krajobrazów a nawet wielu portretach i t. p., zupełnie niedającą się pokonać niedogodność, że rysunek na drzewie ma taki kierunek jak w naturze, a zatem w odbiciu przybiera położenie odwrotne, tak że prawa strona staje się lewą, sposób ten zatem służyć może tylko do przedstawienia przedmiotów zupełnie syme-

Sposób ten oszczędzając kosztowny rysunek ręczny artystyczny, może być bardzo użytecznym w drzeworytnictwie, zniżając znacznie cenę ilustracji, ilekroć można użyć pomocy kamery fotograficznej do skopiowania przedmiotu mającego być rytowanym.

Kończąc niniejsze sprawozdanie otrzymaliśmy majowy numer *Bulletin de la Société Photographique* w którym znajdujemy sprawozdanie z konkursu do premium księcia de Luynes, który jak czytelnikom naszym zapewne wiadomo, wyznaczył nagrodę za sposób nadania fotografiom niezaprzeczonej trwałości, dającej się dowieść a priori, bo naturalnie trudno czekać sto lat z wynagrodzeniem wynalazcy, jeśliby inaczej nie można było przekonać się o dobroci jego wynalazku. Dzisiejsze próby otrzymania fotografii na papierze mają może zupełne prawo do wyznaczonej przez księcia de Luynes nagrody, bo sądząc po utrzymaniu się w całej świetności, fotografii starannie wyrobionych, przez lat kilka, można bardzo słusznie przepowiadać im nieograniczoną trwałość ale zawsze jest to tylko przypuszczenie, a tu chodzi o pewność. Druk naprzykład przed jakimś czasem mógł tylko na świadectwo swojej trwałości stawić trzy wieki przetrwane zwycięzko; dziś przy wysokim stanowisku chemii, świadectwo wieków jest mu niepotrzebne, bo silne odczynniki niszczące wszystko, składają broń przed węglem którego zmienić ani zniszczyć nie potrafią. Takiej właśnie próby, takiego świadectwa żąda dawca nagrody, i dlatego ubiegający się o nią, na tej drodze starali się cel swój osiągnąć. Fotografie otrzymywane jak dotąd zapomocą rozmaitych soli metalowych, przy stosownych procesach chemicznych mogą być bezwątpienia nieczułymi na wpływ czasu, i dotąd mamy prawo tak sądzić, ale fotografie

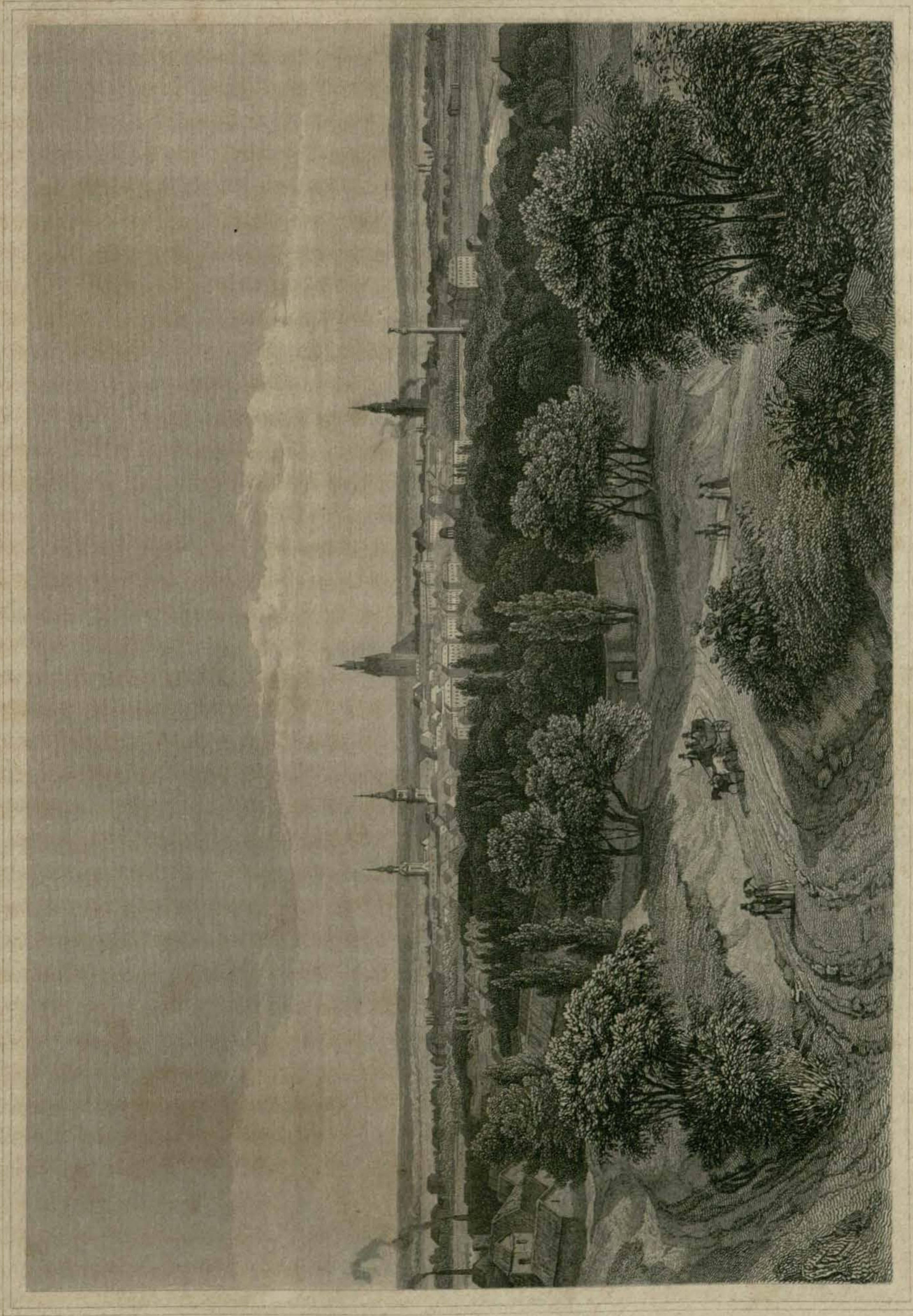
trycznych to jest których prawa strona zupełnie jest taka sama jak lewa, do innych zaś przedmiotów, jak naprzykład krajobrazów, potrzeba koniecznie innego postępowania. Na szczęście środek zaradczy nie tak jest trudny jak by się zdawało. Wiemy bowiem że od niejakiego czasu wprowadzone zostało w użycie u pp. fotografów przenoszenie błonki kolodyonowej ze szkła na którym się otrzymuje negatywa, na powierzchnię niezmiernie delikatnej błonki gutaperkowej, która następnie służy do otrzymania licznych kopii pozytywnych na papierze, płótnie i t. p. Ponieważ taka klisza gutaperkowa niesłychanie jest cieniuchna, nie czyni to żadnej różnicy w dokładności kopii pozytywnych którą stroną błonka gutaperkowa przyłożona jest do czułego fotograficznego papieru lub jak w tym razie, drzewa. Dość zatem położyć tę gutaperkową kliszę na drzewie przyrządzonem sposobem p. Crookes, tą stroną którą kolodyon dotykał szkła, aby otrzymać na drzewie rysunek po-

węgłowe będą niezawodnie trwałymi tak jak farba drukarska, i już tylko idzie o sposób otrzymywania dobrych fotografii węglowych.

Na tej drodze przedstawiło się kilku współzawodników i komissya po odbytych próbach i roztrząśnieniu wszelkich szczegółów każdego systemu, wyznaczyła medal złoty wartości 600 franków p. Poitevin który pierwszy podał myśl użycia węgla i wprowadził ją w wykonanie, tudzież dwa medale srebrne po 400 fr. pp. Garnier i Salmon, tudzież p. Poncey którzy na tej drodze doszli do najpomyślniejszych dotąd rezultatów. Nakoniec pozostałe z wyznaczonych na rok 1858 2000 fr. komissya, przeznaczyła w medalu złotym 600 fr. pp. Davanne i Girard za pełną zasługi, prawdziwie herkulesową czteroletnią ich pracę nad rozmaitemi działaniami fizycznymi i chemicznymi, zachodzącymi w dotychczasowych operacjach fotograficznych i mogącymi wpływać na mniejszą lub większą trwałość obrazów fotograficznych. Studya tych uczonych i sumiennych chemików, stanowią nieoceniony skarb nauki dla fotografów chcących wiedzieć dlaczego co robią i jak mają robić, żeby otrzymać zawsze pomyślne rezultaty. Kommissya najsprawiedliwiej wyznaczyła tę czwartą nagrodę.

W raporcie kommissyi znajdujemy wyliczone wszystkie przedstawione do konkursu rozprawy i wynalazki; nie pominięto nawet tych, które jako nie odpowiadające założeniu usunięte zostały i dziwimy się że nawet między temi nie znaleźliśmy wynalazku tutejszego fotografa p. Sachowicza, o którym czytaliśmy w przeszłym roku w Kuryerze, że odkrył sposób utrwalenia fotografii i odkrycie swoje do konkursu ogłoszonego przez księcia Luynes przesłał. Gdyby tak było, kommissya niewątpliwie nie zamilczałaby o tém.

zytywny odwrócony, który przeto po wrytowaniu odbity na papierze będzie miał położenie takie, jak przedmiot jego w naturze. W przypadku gdyby rytownik potrzebował koniecznie pracować przy świetle słonecznym, można by obawiać się zniknięcia rysunku i w takim razie, sposób p. Crookes byłby zupełnie odpowiednim celowi i należałoby zastąpić go zwykłym sposobem używanym powszechnie przez fotografów do przyrządzenia papieru na kopije pozytywne, to jest roztworów soli kuchennej w wodzie z dodaniem połowy co do wagi białka, a następnie roztworu saletranu srebra; sposób ten wprawdzie wymaga po otrzymaniu obrazu przez wpływ słońca, utrwalenia go zapomocą kąpieli w podsiarkanie sodu, ale to powiększenie trudów operacji, opłaci się pewnością zachowania rysunku na drzewie nie uszkodzonym i nienaruszonym przy najdłuższej nawet robocie drzeworytniczej.



Handl. v. L. Hofmeister

Druck v. J. J. Neumann

Gen. v. G. Osterwald

HANOWER.

HANNOWER.

Stolica królestwa hannowerskiego, miasto Hannover, leży w pięknej, dość płaskiej okolicy nad rzeką Laną (Leine), dzielącą je na dwie niezupełnie równe części. Większa, zbudowana na prawym brzegu rzeki, wraz z kilką cyrkułami na lewym, tworzy Stare miasto; pozostałe części na lewym brzegu noszą nazwę Nowego miasta, albo Nowego miasta kalenberskiego. Pospolicie w starém mieście odróżniają właściwe Stare miasto od Nowego miasta egidyjskiego: to ostatnie jest nierównie piękniej i lepiej zabudowane. Za przedmieścia uważają wieś Linden i Ogrodow-szczyzny, prawie ze wszystkich stron otaczające miasto.

Kroniki milczą o dacie wybudowania Hannoveru; pierwsza o nim wzmianka sięga roku 1163, wszelako przypuszczać należy, że początki jego są nierównie dawniejsze. Pan na Hannoverze, hr. Konrad Lauenrod, odstąpił go w r. 1241 wnukowi Henryka Lwa, Ottonowi Dziecko; a w r. 1481 Hannover wszedł do związku hanzeatyckiego. W r. 1636 książę Jerzy, który jeden z siedmiu synów Wilhelma młodszego był się ożenił, przeniósł swoją rezydencją do Hannoveru, gdy po braciach bezdzietnych spadły nań księstwa Kalenberg i Gettingen. Odtąd miasto było rezydencją panujących do r. 1714, w którym elektor hannowerski wstąpił na tron angielski. W roku 1837 król Ernest August, wstąpiwszy na tron hannowerski, odłączony od korony, znowu obrał Hannover na rezydencją panujących. Obecnie miasto ma 30,000 mieszkańców, zaś z przedmieściami 38,800 przeszło, licząc w to 1600 wojskowych. Od r. 1826 ulice Hannoveru oświecone są gazem.

Z pomników, zdobiących miasto, zasługuje na wzmiankę *Świątynia Leibnitza*, wznosząca się w kształcie rotundy na lekko pochyłóm wzgórzu; wspinała jej kopuła spoczywa na dwunastu granitowych kolumnach porządku jońskiego. Na frontonie czytasz złotemi literami napis, projektowany przez Heinego, *Genio Leibnitii*. W środku rotundy spoczywa na postumencie, wyrobione z marmuru karraryjskiego, olbrzymich rozmiarów popiersie nieśmiertelnego męża, który w Hannoverze mieszkał, pracował

i życia dokonał. Pomnik ten, mający przeszło 40 stóp wysokości, a 32 stopy średnicy, wystawiony został w roku 1790, pod kierunkiem budowniczego Ramberga.

Do najdawniejszych kościołów w Hannoverze należą: *St. Jakuba i Jerzego*, *St. Krzyża*, *Egidiusza* i *St. Jana*. W tym ostatnim kościele, po lewej stronie ołtarza, wmurowany jest w ścianę kamień grobowy z tym prostym napisem: *Ossa Leibnitii*. A jednak przez długi czas nie wiedziano gdzie spoczywają kości wielkiego człowieka.—Wszystkie te świątynie zdają się pochodzić z XII wieku, przynajmniej na początkach wieku XIII czytamy już o nich wzmianki.

Najgodniejszą uwagi z gmachów publicznych jest biblioteka królewska, posiadająca rzadkie i szacowne dzieła, zwłaszcza historyczne i prawne. Założycielem i twórcą tej biblioteki był książę Fryderyk, który odstąpił dla niej trzy sale swojego zamku. Pierwszy bibliotekarz, Tobiasz Fleischer, wkrótce przeniósł się na radcę królewskiego do Kopenhagi, a jego urząd objął Leibnitz, który w roku 1676, powracając z Paryża do Anglii, zatrzymał się w Hannoverze i chętnie przyjął służbę u wspomnionego księcia. We dwa lata później zbiory Marcina Fogeliusza znacznie zubożyły bibliotekę. Elektor Ernest August przeniósł ją z zamku do sąsiedniego gmachu, wyłącznie na bibliotekę obróconego. Leibnitz miał pomieszkanie w bibliotece, aby tém wygodniej i swobodniej mógł rozpatrywać się w jej skarbach i mieć je zawsze pod ręką. Najwięcej jest tam rzadkich rękopisów dotyczących historyi i prawodawstwa hannowerskiego. Wymieniamy ważniejsze egzemplarze: bardzo rzadkie i stare wydanie *Cicero de officiis*, druk na pergaminie u Józefa Fusta w Moguncyi roku 1465; biblia z roku 1494, w narzeczu gminno-niemieckim (plattdeutsch); Nowy Testament po grecku in Academia Complutensi, drukowany 1514 roku; przekład Lutera Nowego Testamentu, drukowany w Wittembergu 1522 roku; Godfreda Arnolda historia herezyi, 1700 roku; brewiarz cesarza Karola V, podarowany przez Henryka VIII króla angielskiego; dzieła chińskie oryginalne; kodeksy arabskie i t. d. Nadto kopie wyjęte

z oryginałów biblioteki wolffenbuettelskiej, przedstawiające życiorysy dwóch obywateli augsburgskich, Matiasa i Konrada Szwarców, ojca i syna, którzy ważniejsze wypadki ze swego życia kazali odmalować obrazowo w kostiumach owoczesnych; rękopisy Leibniza, zbiór jego notat, wyciągów, księga którą trzymał w chwili śmierci i wreszcie krzesło, na którym sławny ten filozof skonał nagle na apopleksyę, dnia 14 listopada 1716 roku. Są także dwa jego portrety z natury, jeden gdy miał lat 40, drugi z późnej starości. Do ciekawości biblioteki hannowerskiej zaliczyć należy szacowny zbiór monet brunszwicko-luneburgskich, które Jerzy II nabył w roku 1744 po opacie z Loccum, Gerardzie Molam. Białym krukiem tego zbioru jest moneta hrabi Ottona z Hoya.

Okolice Hannoveru, jak już wspomnieliśmy, są piękne i malownicze: miasto otoczone jest dokoła rokosznymi ogrodami, które są własnością częścią rodziny królewskiej, częścią miasta, częścią zamożniej-

szych jego mieszkańców. Najpiękniejszy widok na Hannover jest od strony południowo-zachodniej, od tak zwanych gór lipowych (Lindner-Berg), jak go załączona tu rycina przedstawia. Aby można było do syta lubować się piękną panoramą rozwijającą się z tego punktu, wystawiono w ostatnich czasach na wzgórzu pomiędzy młynami dom wyniosły. Każda ze czterech ścian przedstawia inny, równie piękny widok: tu miasto królewskie z wieżycami, starożytnymi domami, w dali ocienione lasem, na przednim planie umajone ogrodami; tam Harz, głową sięgający obłoków, owdzie góry Benter, stanowiące niby mur graniczny między płaszczyzną i krajem górzystym; z czwartej nakoniec strony malownicza wioska Limmer, pyszny letni pałac królewski, otoczony ogrodami, a w oddaleniu sterczą wieżycy kościołów Isernhager i wzgórza pod Liebanau i Nienburgiem.

Mało jest okolic w Niemczech równie piękny i urozmaicony przedstawiających widok.

O POEZYI

W STOSUNKU DO HISTORYI POLITYCZNEJ.

BITWA POD LEPANTO.—POETA HISZPAŃSKI HERRERA.

Pismo „Revue des deux mondes” w poszycie swoim z 1 września 1858 r. umieściło artykuł pióra pana Villemain, pod napisem: O poezyi w stosunku do historii politycznej.

Założeniem tego artykułu jest: że głos ludu, popędy narodowe, które zwykły się streszczać w poetach i które polityka, chcąc poniżyć, nazwała poezyą, są prawdziwą polityką czasu i zawsze się ziszczają w historii.

Autor, dowodząc téj prawdy na tle sprawy wschodniej, z porywającą wymową i w szlachetnych uniesieniach osobistych, wykazuje z jaką szkodą dla cywilizacyi i poniżeniem dla człowieczeństwa Turcy żelaznym jarzmem tłoczą najpiękniejsze krainy chrześcijańskie i przepowiada blizki koniec ich barbarzyńskiego panowania w Europie i Małej Azji, jako wypadek nieuchronny, którego domaga się i głos ludu, i interes cywilizacyi, i godność ludzkości, i sama na-

wet sprawiedliwość. Nic szlachetniejszego nad usiłowania Europy ku wyzwoleniu nieszczęśliwych, od nacisku jarzma tureckiego obumarłych narodów wschodnich. Zwycięstwo szczególniejszej morskiej, jakie chrześcijaństwo odniosło nad dziką potęgą turecką, to najpiękniejsze wspomnienie swego czasu; a cóż dopiero powiedzieć o Grekach, tych co już się wyłamali z pod niewoli tureckiej, i tych co jeszcze mają się wydobyć z pod niej? Ileż to sympatyj a nawet pomocy należy się od Europy ich usiłowaniom, ich odwadze, ich cierpieniom! Jest tam mowa i o wielkości, wspaniałości, bezinteresowności Francyi, i już jakby zaczęła świtać w duszy czytającego świetna przyszłość tego pięknego Wschodu, kiedy natrętna pamięć przyniesie na myśl ostatnią wojnę turecką i rozproszy wszystkie te uroki i jasne złudzenia, wywołane piórem p. Villemain, i z całego z tak unoszącym natchnieniem napisanego artykułu, nie zostaje na nasz

użytek jak tylko podpis autora, pod którym wyobrażamy sobie męża zaszczyconego godnością, czynnego członka Rady państwa, ozdobionego krzyżem legii honorowej, łączącego w jednej i nierozdzielnej osobie swojej obydwie, nawzajem nazwami się poniżające ostateczności, poezją i prozą polityki. Znikło widzenie przyszłości Wschodu, nie przed zwątpieniem, ale przed dotknięciem ręki świętokradzkiej.

Istotnie nam, co żyjemy w przekonaniu, że słowa i czyny jednej i téj samej osoby pochodzą z jednego i tego samego źródła, że to są dwa tylko sposoby objawiania się jednego charakteru, a nie dwa charaktery odrębne; nam, co zwykliśmy po czynie wyglądać słów, tłumaczących ten czyn, a po słowach odpowiedniego czynu, trudno jest pojąć, z kąd p. Villemain, wyszedłszy z posiedzenia Rady państwa, na którym jednomyślnie uchwalono naboru wojska i pożyczkę na zagwarantowanie całości i nietykalności panowania tureckiego w Europie i na przymocowanie jarzma Grekowi, który zdawał się próbować, czy silnie ono zwarte na jego karku, z kąd p. Villemain, zaledwo zaszedłszy z tego posiedzenia do swego gabinetu, nabrał téj żarliwości, z jaką usiłuje się zapalić istną krucyatę nowoczesną, w której znak wolności, cywilizacyi, ludzkości i sprawiedliwości, ma zastąpić stary znak krzyża.

Nie pojmujemy, ale dziwić się nie dziwimy, boć są jeszcze dziwniejsze i trudniejsze do pojęcia rzeczy na świecie, a przecież częstém napotykaniem ich oswajamy się z niemi. Dzięki Bogu, nie dzisiejsi już jesteśmy i przyglądaliśmy się z daleka i z bliska wielu dwoistościom, nietylko pojedynczych osobistości, ale i poważniejszych ciał zbiorowych, i już trochę z niemi jesteśmy oswojeni; że jednak nie przystaje to do naszych umysłów, że potępianie Turków wtenczas, kiedy ślady ich serdecznego uściśnienia na ręce nie zaszły jeszcze jéj naturalnym kolorem, że wynoszenie w Grekach właśnie tych popędów, na przytłumienie których dopióro co wymierzało się działa i wszelkie narzędzia zniszczenia, wydaje się nam żartami, naigrawaniem się z prostoty ducha drugich, i że oburza nas trochę, to zapewne będzie skutkiem niskiego stopnia naszej cywilizacyi i niewygladzonych jeszcze uczuć; ale da Bóg, jak się zrównamy w cywilizacyi z Zachodem, to nietylko że pojmiemy wszystkie te tajemnice natury ludzkiej, lecz sami będziemy mieć kaźden po dwa istnienia, jedno do czynu, a drugie do słowa, i słowo téż nie będzie tak skromne jak teraz, póki się mierzy miarą usposobienia naszego do czynu, ale wspaniałe, lotne, obejmujące cały świat, a na-

dewszystko nie kosztujące nic. Przytaczamy tu pomieniony artykuł p. Villemain w ciekawszych jego ustępach, bez żadnych uwag, bo do żartów w podobnym przedmiocie usposobieni nie jesteśmy, a znów traktować na seryo myśli rzucone na papier w swawoli żartów, jak nam się wydaje, mielibyśmy sobie za ubliżenie.

Nie pozostaje do życzenia, jak tylko ażeby p. Villemain zechciał pogląd swój na sprawę wschodnią w tym samym duchu przeprowadzić jeszcze przez najświeższe wypadki aż po dziś dzień; wszakże od bitwy pod Nawarynem zaszło tyle ciekawych wydarzeń, nawet i bitwa morska, skoro autor podobał sobie wodę, żywioł ruchomy, przyjąć za podstawę do rozbiegania téj kwestyi.

*

W szesnastym wieku, pomimo przewagi erudycyi i sporów religijnych, pomimo naśladownictwa niewolniczego, poezya wróciła do swego odwiecznego i rzeczywistego powołania, była powiernicą ludu, opiewała męstwo i zagrzewała do oswobodzenia. Wielkie bo téż i groziło wtedy niebezpieczeństwo Europie, szarpanej tyłą waśniami wewnętrznymi. Dziwna istotnie, że niema jeszcze trzech wieków, jak Turcy, samowładzcy najpiękniejszych krain Wschodu, panowali swemi flotami na Śroziemném morzu, i uwolnieni od Karola V, zdawali się nie mieć już więcej przeciwników w Europie.

A przecież tak jest; zaledwie jesteśmy w stanie pojąć, co za popłoch i trwogę najmniejsze poruszenie licznych wojsk Solimana i Selima rzucało pomiędzy ludy chrześcijańskie. Państwo tureckie było jeszcze w nawalnym toku swéj wielkości i pod natchnieniem téj okrutnej polityki, która zdawała się być duszą jego potęgi. Następstwo tronu, regularnie zbroczone krwią mordów familijnych, rząd serajowy z karą śmierci za najlżejsze uchybienie, za najdrobniejsze niepowodzenie, skarb zbogacony konfiskatami i łupieżą, hordy janczarów zasilane naborami szlachetniejszej krwi chrześcijańskiej, ujętej i zfanatyzowanej za dzieciństwa, a do tego druga armia posiadaczy ziemi, którzy służbą wojenną płacili za przypadłą im posiadłość i bronili swéj ziemi, jak zwierz dziki broni swego łupu: wszystko to przynajmniej zrównywało oręż ottomański z orężem Europy, zaś przed zamieszkami zaszłemi w państwach chrześcijańskich zdawał on się przeważać.

Duch kunsztów zeszedł już był na Zachodzie, u niego to Turcy brała dopióro narzędzia siły materialnej: artyleryą, sztukę budowania warowni i niektóre

pojęcia dotyczące marynarki, zastosowane przez re-negatów; ale potrzeba ta obcej pomocy, zamiast osłabiać zaufanie Turków, utwierdzała je jeszcze i nabawiała ich dumy, bo rozumieli się być przeznaczeni do zabrania w jassy całego chrześcijaństwa, z jego bogactwy i kunsztami.

Nie zapomniano jeszcze wezbrania tureckich zabórów za Mahometa II i niebezpieczeństwa jakim sultan ten ze Stambułu zagrażał Rzymowi, kiedy go zaskoczyła śmierć.

Długo panujący Soliman II podniósł jeszcze tę potęgę, zdobył Rodus, spustoszył Węgry, upokorzył Austryę i parł tak samo na Europę jak na Wschód. Nawet pod jego mało znanym następcą Selimem, słusznie przezwanym pijakiem, państwo tureckie, niepo-hamowane jeszcze w zapędzie swych podbojów, gotowało się zabrać Wenecyanom wyspę cypryjską.

Wtedy dopiero, w obec wzmagającej się potęgi i dumy tureckiej, pośród wyrachowanej nieczynności Anglii, bojaźliwości Austrii i wyczerpania Polski w wojnie z sąsiadami, nie wspominając już o współnictwie Karola IX, która to nikczemność jego była tylko wstępem do wielkiej zbrodni jego panowania, dopiero wtedy rozbudził się duch chrześcijański i zajaśniała gwiazda Zachodu. Komuż się należy sława tego oporu i zwyciężkiego odwetu, jaki nareszcie wzięło chrześcijaństwo? Wymieńmy nasamprzód pewnego człowieka bardzo niskiego pochodzenia, który z prostego zakonnika wyszedł na papieża. Był to Pius V, kapłan surowy i gorliwy, gwałtownego usposobienia, ale posiadający wielkość duszy i przezorność.

Papież ten zaraz od pierwszego zagrożenia wyspie starał się usilnie o przymierze niektórych państw chrześcijańskich. Głosić wojnę krzyżową w Europie poróżnionej przez wyniosłość panujących i odszczerpienia religijne, było już niepodobna; ale jeżeli papież nie mógł już wciągnąć całej Europy w wojnę świętą, którą Luter nazywał niesprawiedliwą i nie-ludzką, to mógł przynajmniej wziąć w niej udział, a tak użyć w najgodniejszy sposób swojej udzielnosci świeckiej.

Nic, ani nawet samolubna powolność i zimna chytrość monarchy, od którego najwięcej powinienby się był spodziewać pomocy, nie powstrzymało gorliwości wielkodusznego papieża. Filip II, chociaż nieubłagany dla szczątków mahometanizmu, rozrzuconych jeszcze po jego państwie, wahał się istotnie wejść w zapasy z potęgą turecką, a nadewszystko bronić przeciwko niej Wenecyi, której zazdrościł jej bogatego handlu. Wezwany przed innemi do zamierzonego

związku przeciw Solimanowi, wymógł na papieżu upoważnienie pobierania na całej przestrzeni swego państwa części rocznych dochodów z dóbr kościelnych, jak długo będzie trwała wojna; ale ta ponęta stawała się właśnie powodem zwłoki. Skąpy i podstępny monarcha odkładał przygotowania i mnożył przeszkody do jakiegokolwiek wyprawy stanowczej, ażeby dłużej korzystać z otrzymanego przywileju. Może też i w zazdrości serca obawiał się dać synowi Karola V z kobiety nieznaniej, swemu przyrodniemu bratu, bohater-skemu Don Juanowi, tak wielkiej sposobności do nabycia sławy. Tak więc, pomimo przysposobionej ligi i w obec floty sprzymierzonej, równającej się okrętom tureckim co do liczby, w manewrach zaś przewyższającej je, wyspa cypryjska, po upornym obleżeniu i opanowaniu jej dwóch stolic, Nikozyi i Famagusty, została zdobytą bez żadnego usiłowania do zrobienia znaczniejszej dywersyi ze strony chrześcian.

Ohydne to było zwycięstwo i jakby zaszłe umyślenie na podżegnięcie oburzenia w Europie. W Nikozyi, gdzie Turcy weszli na mocy kapitulacyi, cała załoga została wyciętą w pień. W Famaguście znów pasza, którego wycieńczona nędzą i głodem załoga wpuściła także pod pewnymi warunkami na gruzy miasta, kazał pod wpływem dzikiego gniewu wymordować wyższych oficerów weneckich, z bohater-skiego zaś gubernatora kazał żywcem drzeć pasy. Żelazne jarzmo Turków, pogorszone jeszcze zgrajami łupieżców azyatyckich, które pościągało przedłużenie obleżenia, rozpostarło się odtąd po tej nieszczęśliwej wyspie. Zapłakał Pius V i rozniósł po zaburzonej Europie rozgłos swjej boleści. Z niezrównaną żarliwością nastawał na wykonanie zawartego już traktatu, na zebranie floty sprzymierzonej i na wywarcie zemsty, skoro pomoc przychodziła już za późno. Największym dowodem tej żarliwości była jak dotąd niesłychana jeszcze obecność eskadry i armii papieżkiej. Pius V oddał naczelne dowództwo nad temi siłami niejakiemu Colonna, potomkowi stariej rodziny rzymskiej, długo podejrzaniej papieżom; jednakże wszystko zacierało się wtedy przed wielkością potrzeby i niebezpieczeństwa. Przykład ten był wymowniejszy nad wszelkie odezwy; to też wszystkie prawie państwa włoskie połączyły swoje okręty wojenne i wojska z flotą wenecką.

Tak tedy w jesieni roku 1571, w pięć miesięcy po opanowaniu wyspy cypryjskiej, posuwała się na morzu Śródziemnym siła chrześcijańska, złożona z dwustu wysokich galer i mnóstwa innych statków, niosących 50,000 wojska. Bitwa pod Lepanto! niema,

Europa z XVI wieku piękniejszego nad nią wspomnienia.

Było to w niedzielę 7 października 1571, w tej starożytnej zatoce korynckiej, która rozciąga się pomiędzy brzegami Albanii a półwyspem Morei, w pobliżu cieśniny, gdzie została stoczona bitwa pod Akcyum, w której geniusz rzymski odniósł na korzyść jednego władcy zwycięstwo nad zgrają znaków wojennych barbarzyńskiego Wschodu.

Flota otomańska, licząca wyżej dwustu galer o wiosłach poruszanych siłą jeńców chrześcijańskich, stała pod brzegiem. Flota chrześcijańska, mając na czele sześć wielkich okrętów weneckich, których ognia wytrzymać, ani oprzeć się ich wysokim pokładom nikt nie zdołał, podsuwała się pod nieprzyjaciela, ciągnąc wzdłuż brzegów albańskich, od północy na południe.

Tutaj dowodził Don Juan, górujący swą odwagą nad radami niektórych małodusznych generałów Filipa II. Główna jego siła, tak w okrętach jak w żołnierzu, była włoska, a raczej włosko-grecka, bo to jest faktem dziś sprawdzonym że nie licząc dwunastu galer papieżkich, galer sabaudzkich, genueńskich i kilku innych miast, a nawet pojedynczych wielkodusznych obywateli Włoch, Wenecyanie mieli tam 104 galer, a na tej eskadrze mnóstwo Greków, tak wychodźców z Morei, jak nabranych w Kandyi, Korfu i w innych wyspach podlegających jeszcze władzy Wenecyi. Stosownie do zazdrosnej surowości polityki weneckiej, żaden z tych poddanych rzecypopolitej nie miał ani komendy morskiej, ani stopnia wojskowego; jednakowoż walczyli oni mężnie pod tym sztandarem, obryzganym krwią 15 kapitanów weneckich i pierwszego ich admirała.

Don Juan sam urządził szyk bojowy i przebiegał przednią straż i boki floty, stojąc na łodzi z krucyfiksem w ręku, zagrzewając do boju gestami i głosem wszystkich sprzymierzonych, bandery ich pomieszawszy poprzednio, aby z nich zrobić jeden tylko naród. Wróciwszy potem na pokład swego okrętu, gdzie go otaczał wybór szlacheckiej młodzieży Kastylii i wojowników sardyńskich, kiedy ciosy wielkich okrętów liniowych weneckich już były wypadły i szeroki zrobiły wyłom, zaciekł się w natarczywości na okręt admirałski i zabranie tego okrętu oraz zabiciem admirała wiele się przyłożył do zwycięstwa.

Tak to bywało niegdyś w pierwszych bitwach morskich Rzymian z Kartagińczykami; galery obu stron często uderzały o siebie i zahaczały się żelaznymi klamrami: walka morska wtedy stawała się zwartym bojem na lądzie stałym, w którym stare hufce

hiszpańskie, Włosi i Grecy zwyciężyli po pięciogodzinnym zapasach.

Niezmierna była klęska otomańskiego oręza. Wązka cieśnina zdawała się być cała pokryta trupami i dyjącami się gruzami. Sto trzydzieści galer tureckich wpadło w ręce zwycięzcom, wiele innych rozbiło się o brzeg albo spłonęło. Turcy stracili w zabitych i wziętych do niewoli 30,000. 5,000 niewolników chrześcijańskich zostało uwolnionych od kajdan i wiosła, a ich okrzyki radości zdają się brzmieć dotąd w niejednym z wymownych wspomnień nieśmiertelnego Cerwantesa, który, nieznanym wtedy żołnierz, walczył na flocie hiszpańskiej.

Od tej klęski, którą nieprzezorność muzułmańska zwiększyła jeszcze, zdołała za ledwo pod zasłoną nocy umknąć jedna tylko cząstka floty tureckiej, eskadra algierska, której przywoził sam dej, co niezależnie od paszy tureckiego, manewrował śmiało okrętami, nawykłymi do podwodnych skał tych mórz, zarówno rączemi do ucieczki jak do łupieży. Ten sam nie najuległszy wasal Porty przywiózł do Stambułu wiadomość o porażce i przedstawił Solimanowi te kilka jedynych okrętów, wyratowanych od powszechnej zguby. Wielkie było przerażenie barbarzyńskiego rządu sułtana. Arsenale wyczerpane, port wypróżniony z okrętów, wejście do cieśniny niedostatecznie bronione kilką ogromnymi działami żelaznymi, wszystko zdawało się sprzyjać śmiałości napastników.

Ale pora spóźniona, straty sprzymierzonych poniesione w bitwie, a nade wszystko polityka Filipa II, której młody zwycięzca ulegał z powolnością, jak skoro widok nieprzyjaciela nie unosił jego odwagi, wszystko to było powodem do bezczynności. Chrześcijanie nie śmieli korzystać ze swego szczęścia, natrzeć jakby byli powinni, gęstymi razy na państwo otomańskie i przynajmniej odebrać mu jego świeży zabór. Schronieni w przystani Korfu, dzielili pomiędzy siebie zdobycze zwycięstwa: działa, jeńców i nieprzyjacielskie galery, z których dali Hiszpanii 55, Wenecyi 39, a papieżowi 19; ale nic więcej nie przedsięwzięto przeciwko nawpół skruszonemu jarzmu barbarzyńców.

Na zabiegi namiętne papieża, posłom jego nalegającym o dalsze prowadzenie wojny, dał Filip II za całą odpowiedź, że każe swą flotę zimować pod brzegami Włoch i bronić ich; zresztą wyznawał, że co do niego, to mniej się obawiał ówczesnych Turków, niżeli dyssydentów belgijskich. Niedołężny cesarz niemiecki trwał w swjej neutralności, i jakkolwiek wielki okazywał wstręt dla sąsiedztwa Turków,

zasłaniał się jednak rozejmem, jaki na kilka lat zawarł z sułtanem.

Nie taki zapewne ożywał duch wszystkie narody chrześcijańskie w Europie. Radość ich z porażki Turków była wielką, nadewszystko u plemion południowych, gdzie uczucie religijne było wydatniejsze i których bezpieczeństwo szczególnie od trzech wieków było zagrożone wstępniemi zaborami mahometanizmu w Europie.

Włochy odżyły dla sławy wojennej przez tę pamiętną bitwę pod Lepanto. Wspaniałomyślny papież sam zachęcał wtedy do naśladownictwa starożytnego Rzymu, którym Rienzi, dwa wieki temu, tyle zatrwożył stolicę apostolską. Owe honory tryumfów, które starożytni cesarowie znieśli lub je zachowali tylko dla siebie, zostały przywrócone dla wodza eskadry rzymskiej, Antoniego Colonna. Szesnastego grudnia 1571 r., we trzy miesiące po pobiciu Turków, wjeżdżał on do Rzymu, odziany w szaty tryumfalne, bogata zdobycz przed nim, a za nim jeńcy, pomiędzy którymi znajdował się syn siostry Selima. Jechał w pośród szeregów żołnierzy i uniesień radośnych ludu aż do Kapitolu, a ztamtąd udał się do Watykanu po uściśnienie papieżki i aby odebrać powinszowania całego kościoła rzymskiego. Naza jutrz msza pontyfikalna, odprawiona w Kapitolu w kaplicy „Ara coeli,” nadała ostatnie znamię chrześcijańskości temu nowemu tryumfowi, podczas kiedy troskliwość i poważanie dla jeńców, którzy zdobyli świetność tego pochodu, oznaczała cywilizacją zwycięzców.

Do wszystkich honorów którymi papież obsypywał Colonnę, chciał on dołączyć także bogactwa i darował mu 50,000 czerwonych złotych; ale bohater, ze wspaniałomyślnością godną lepszych czasów rzeczypospolitej rzymskiej, nie zachował nic dla siebie z tego hojnego podarunku, lecz kazał go rozdać na posagi dla biednych dziewcząt i na wsparcie dla ubogich.

W Hiszpanii poezya, natchniona uniesieniem wojennym, sławiła tryumf krzyża i domagała się oswobodzenia Wschodu chrześcijańskiego. Uczucia te, ubrane w najpiękniejszy język, przelewały się w rym nie przez usta poetów dworu, Filip II ich nie miał, ale przez usta Herrery z Sewilli, opiewającego religijną radość i dumę narodową swój ojczyzny.

Pierwsza jego oda na cześć Don Juana jest jednakowoż zanadto przesiąknięta erudycją mitologiczną, przepełniona wspomnieniami o Encykladesie, o Marsie i o muzach, pisana w żywy ślad za Pindarem. Nie

pogańskie pieśni Olimpu, ale śpiew o przejściu Czerwonego morza przystał sztuce poety i powinien go być natchnąć. Wnet też go widzimy w tym czysto chrześcijańskim przedmiocie, unoszącego się z prorokiem i naśladowającego jeżeli nie treściwość, to przynajmniej wielkość jego.

„Śpiewajmy chwałę pana, który na rozległym przestworze morza zwyciężył okrutnego Tracjusza. Boże armij! Ty byłeś naszą chwałą. Tyś skruszył potęgę i wyniosłe zuchwalstwo Faraona, dzikiego wojownika; jego najdzielniejsi wodzowie zalegli otchłanie morskie trupami swemi, przepadli jak kamień na samo dno. Znała gniew Twój przyciągnął ich, jak płomień przyciąga i pożera wyschlą słomę. Pełny zaufania z okazałości swych okrętów, dumny tyran, który zaprzął w jarzmo karki naszych braci i używa ich ramienia do niecznej posługi swój potęgi, powalił ich rękoma cedry o wyniosłych szczytach, i drzewo które sterczało najwyżej, przychodzi moknąć w cudzych wodach, gniotąc pniem swoim zabronioną przestrzeń.

„Słabsi zadrżeli, przerażeni tą bezbożną zapamiętałością. On podniósł czoło przeciwko Tobie, Boże i Panie, i z zuchwałym obliczem, rozpostarłszy obydwie ramiona uzbrojone, potrząsnął szaloną głową i rozżarzył w swém sercu zawiść przeciwko obydwom Hesperjom oblanym morzem, za to, że ufając w Tobie, opór mu stawiają, i odziewają się zbroją Twój wiary i Twój miłości.

„W zarozumiałości swój i wzgardzie rzekł: Te krainy nie znają ani mego gniewu, ani świetnych czynów moich przodków. Gdyby albo w szeregach bojaźliwych Węgrów, albo w wojnie dalmackiej, albo w wojnie rodyjskiej, były się poważyły walczyć z nimi, któżby zdołał ich ocalić? Któż był w stanie wybawić Austryę i Niemcy? Zobaczmy, czy Bóg ich potrafi wydrzeć mi je dzisiaj z mojej mściwej ręki?

„Ich Rzym drżący i upokorzony zamienił swe hymny na łzy. Stolica ta i dzieci jej strapione oczekują mego gniewu i śmierci po klęsce. Francya rozchwiała się w niesnaskach, a w Hiszpanii ohydna śmierć czeka każdego, co czci sztandary półksiężycy. Te wojownicze narody zajęte są własną obroną, a gdyby i nie były, to któż śmie mi ubliżyć?

„Potężne narody są mi uległe, chylą głowę pod jarzmem mojem i dla własnego zbawienia podają mi rękę. Daremna ich waleczność, bo ich chylące się ku upadkowi dni już się mrocą, bo ich wojownicy idą na śmierć, ich dziewice zabrane w jassy, a sława ich pod moje przeszła berło. Od Nilu aż do żyznego

Eufratu i zimnego Dunaju, wszystko co słońce oświeca jest moje.

„Panie, który nie zcierpisz aby sławę Twoją przywłaszczył sobie ten, co ceni swe siły według swęj dumy i swoich złości, ten wróg wyniosły, patrz jak w zwycięztwie poniżył Twoje ołtarze; nie pozwalaj mu tak gnębić Twoich, ażeby miał trupami ich drapieżne karmić zwierzęta, rozlewać ich krew na dowód swęj zawiści, i ażeby po spełnieniu takich obelg śmiał rzec: Gdzież jest Bóg tych ludzi? przed kim to on się kryje?”

Piękny obrót jakim ta zwrotka się rozpoczyna nie może ująć uwagi czytelnika—Poeta ciągnie dalej:

„Dla słusznęj chwały twęgo imienia, dla sprawiedliwęj pomsty krzywd Twęgo ludu, przez jęki tylu nieszczęśliwych, wyciągnij Twe ramię i skieruj je przeciwko temu, który oburza się na to że jest człowiekiem. Trzy, cztery razy dopuść ciężkięj kary na Twęgo nieprzyjaciela. niechaj obelga uczyniona Twemu imieniowi stanie się zgubnym występkiem życia jego.

„Dźwignął głowę ten mocarz, który taką nienawiść żywi ku Tobie. Zebrał radę na nasze zniszczenie, a ci co radzili tam, przemyśliali o naszęj zgubie. Chodźmy, rzekli oni, i z krwi ich zróbmy wielkie jezioro na kołyszacém się morzu. Zagładźmy całe to plemię, i dzieląc się ich zdobyczą, nasyćmy oczy nasze widokiem ich zgonu.

„Z Azyi i z cudownęgo Egiptu przyszli Arabowie, Afrykanie o lekkich ruchach i ci dla których Grecya złą była towarzyszką, wojownicy o dumnych barkach, wielkięj sile i w nieskończonęj liczbie. Oni ośmielili się zapowiedzić nam, że dłońmi swemi rozniecą pożar na naszych granicach, że wytepią mieczem młodzieź naszą, że zabiorą nam dzieci i dziewice nasze i skalają sławę i niewinność ich.

„Zajęli zatoki morza, a ziemia zaniemiała z przestraschu i wojownicy nasi stali w milczeniu i wahali się, aż Pan stawił przeciwko wściekłości Saracenów nowego nieprzyjaciela: stanął przed nimi szlachetny młodzian z domu austryackiego, pospołu ze świętnym i wojowniczym Hiszpanem, bo Bóg nie ścierpi, aby w Babilonie w ciągłęj niewoli żyła ulubiona stolica jego Syon.

„Dostojni zmieszali się, silni, potężni zdjęci strachem poddali się, a Ty Boże! tak samo jak hamulec młyna wstrzymuje zapęd rozpasanego wiatru, podałeś tych nędzników hańbie, że pobledli przed jednym człowiekiem i pierzchli tysiącami. Jak kiedy pożar ogarnie lasy i rozniesie swe płomienie po ich gęstych szczytach, tak Ty w gniewie Twoim posła-

łeś Twe pioruny w pogoń za nimi, i okryłeś ich oblicze sromotą.”

Te obrazy Boga bitew, wzięte od proroków, te wyniosłe cedry, pochylone pod ręką jego, następują po sobie w wierszach poety z większą urocznością niżeli nowością. Nadewszystko uderza nas kilka słów o Grecyi, które zbyt jasno wyrażają jak łatwo nieszczęśliwi stają się winnymi w oczach tych, którzy ich opuszczają. Poeta nie wymienił, nie poznał Greków w szeregach zwycięzkich chrześcian, a obwinia ich o obecność w szeregach nieprzyjacielskich i na ławkach okrętów, które nazywa tyryjskimi.

„Babilon, mówi on, i Egipt zatrwożony przestraszy się ognia i wojennęj lancy, ziemia uchyli się pod światłością niebios, a rozpaczając z czołem zasepionem, zdjęci strachem na widok swęgo odosobnienia, nieprzyjaciele Twoi Panie! zapłaczą nad swoją klęską. Ale ty Grecyo! co się powodujesz nadziejami Egiptu i chełpisz się jego zaufaniem, jaka szkoda że jemu służysz, nie bojąc się Boga i nie umiejąc rozeznąć gdzie jest zbawienie.

„To tak, nieszczęsna niewdzięcznico! przyzdobiłaś córki swoje, aby były bezwstydnymi nałożnicami narodu świętokradzkiego, który chciał zbezczęścić twoje plemię. Okiem obłąkanem śledziłaś jego kroki niecne, szłaś w ślady jego ohydnych i zgubnych postępów. Bóg śmiercią twoją nasyci swój gniew, jego straszny miecz zawieszony nad głową twoją. Któż, narodzie bojaźliwy! zdoła wstrzymać rękę jego już podniesioną?”

Po tęp wyrzekaniu przeciwko Grekom, które dowodzi do jakiego stopnia ci nieszczęśliwi byli wtedy zapomniani, nawet od tych za których sprawę umierali, nie pozostaje już poecie, jak tylko rzucić jeszcze raz stare przekleństwo proroka na Tyr i jego zniszczone okręty. Zwracając się do Azyi, zatopionęj w swych występkach, jak powiada, i odtąd powalonęj bez rątku, nie widzi nikogo, komuby miał podziękować za tak wielki tryumf, jak tylko Boga, i woła:

„Ci co widzieli potęgę twoję skruszoną i morze wolne, oswobodzone od lasu okrętów, które niepokoiły jego wody, patrząc na twą haniebną śmierć, powiedzą o twych tułających się rozbitkach: I któż to miał tyle mocy przeciwko strasznej Azyi? Pan nieba, który silnēm swēm ramieniem poparł wiarę monarchy chrześciańskiego i na chwałę swęgo świętego imienia użyczył tego tryumfu Hiszpanii.

„Niech będzie błogosławiona wielkość Twoja, Panie! za to że po zniesieniu tylu cierpień, po tylu pobłądzeniach naszych i tylu karach zsyłanych na nas,

złamałeś nareszcie starą dumę nieprzyjaciela. Niechaj ci Pani! oddają cześć wybrani Twój, niechaj wszystko co otacza niebiosy wyznaje imię Twoje, Boże nasz, podpora nasza! a potępiona głowa buntownika niechaj przepadnie w płomieniach.”

Zwycięstwo to pod Lepanto było płonne, powiedziało kilku historyków.

Liga chrześcijańska podzieliła się; Filip II, przez nawiść ku Wenecyanom i nieufną zazdrość względem Don Juana, nie chciał państwu tureckiemu zadawać nowych ciosów. Wenecya, więcej jeszcze handlowa jak wojownicza, wzdychała do pokoju, żadna pomoc nie przybywała z Niemiec, a cała wytrwałość papieża nie mogła dać Włochom tej jedności, jakie im było potrzeba. Podpisano więc pokój, który zostawił najazdowi tureckiemu wszystkie jego zabory, we dwa lata po bitwie pod Lepanto, kiedy już z warstatów stambulskich wypływała nowa flota o 200 galerach. Tylą zapasami bogactw i czynności rozporządzał wtedy ten naród barbarzyński. To samo dowodzi, jak potrzebnym było zwycięstwo to, nazwane płonnym. Jeżeli klęska Turków mogła być tak prędko powetowaną i marynarka ich stać się znów groźną, na cóżby nie było się odważyć państwo to przeciwko Włochom, gdyby nie liga i zwycięstwo pod Lepanto? Oddajmy tu w wierszach Herrery cześć temu głosowi ludu, temu szlachetnemu instynktowi, który nie omyła nigdy co do prawdziwej polityki czasu, a bywa czasem zapoznany w historii.

We dwa wieki po bitwie pod Lepanto, inne zwycięstwo morskie, już nie konieczne dla bezpieczeństwa Europy, ale niezmiernie głośnie w świecie, dokonało politycznego upadku państwa tureckiego. Tą razą były to okręty angielskie, połączone z rosyjskimi, które zniszczyły flotę otomańską w przystani Czesme, 6 lipca 1770 roku.

Nie wiedzieć czy admirał angielski żałował tego później lub nie, ale cios zadany był straszny i zdawał się już rozpoczynać dzieło odrodzenia państwa greckiego i wyswobodzenia Europy wschodniej. Bitwa ta już nie wynikała ani z potrzeby obrony własnej, ani też była skutkiem gorliwości religijnej mocarstw chrześcijańskich; ale w duchu szlachetnym owych czasów, była ona rzeczą sprawiedliwości i cywilizacji, którą zalecały najszlachetniejsze pobudki. Usposobienie to, z którego filantropia Józefa II i geniusz Katarzyny nie omieszkały korzystać, stawało się coraz wydatniejszym w ostatnich latach monarchii francuskiej XVIII wieku. Jedną tylko wojną Stanów Zje-

dnoczonych sprawiła dywersją, ale zasa da cywilizacji i wymiaru sprawiedliwości, która emancypowała kolonie angielskie, przemawiała jeszcze głośnie na korzyść tych pięknych krain wschodniej Europy i Małej Azji, które z taką szkodą dla ludzkości posiadali ciemni i okrutni ciemiężcy.

Przy takim nastrojeniu opinii w Europie, tyle obojętności na zachowanie państwa tureckiego, a raczej domagającej się upadku jego, samo tylko wybuchnięcie gwałtowne zasad wolności, jedna rewolucja, przez swe nie bezpośrednie ale niepowstrzymane następstwa, wybawiła Turcyę od wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. W r. 1787 Rosya, natchniona geniuszem Katarzyny, będąc już panią Krymu, z silnym postanowieniem nie oddania go więcej, panią morza Czarnego, grożąc już Stambułowi, przygotowywała istotnie wyprawę, do której droga zdawała się już wytknięta, a skutek jej nieuchronny. Nie byłby to skutek wywołany przez pośmiertną żarliwość krucyat, lub usłużność interesowaną niektórych publicystów płatnych przez pewne wielkie mocarstwo, ale leżał on w naturze rzeczy i był wiarą niezachwianą doświadczonego umysłu jednego z najprzenikliwszych podróżników po Wschodzie, filozofa Volney'a. Nic ciekawszego nad książkę jego pod tytułem: *Considérations sur la guerre des Turcs en 1788*, tę samą, którą Napoleon przypomniał Volneyowi, robiąc go senatorem i odzywając się do niego w te słowa: „Panu winien byłem myśl wyprawy do Egiptu.”

Nikt istotnie nie potrafiłby lepiej rozebrać niezmiernych wad mocarstwa azyatyckiego, które wtargnęło do Europy, gdzie już nie panuje więcej pierwszym szaleństwem dzikiego fanatyzmu, ale marnieje w niedbalstwie i zniechęcałości. Nie bez tego żeby Turcy dotąd nie starali się o świecić. Volney wykazuje co było zrobione pod tym względem i odtąd tyle powtarzało się razy: wzywianie oficerów i inżynierów cudzoziemców, reformy ekonomiczne, udoskonalenie taktyki; ale zaraz i dowodzi z głęboką znajomością świata wschodniego daremności tych wszystkich usiłowań, a raczej wszystkich tych pozorów. „Nie, powiada on, daremno się ludzi nadzieją, nic się nie zmieni u Turków, ani duch rządu, ani istniejący skład rzeczy; zawsze sułtan będzie wegetował w swoim pałacu, kobiety i eunuchy będą rozdawali godności, wazyrowie będą sprzedawali gubernatorstwa i posady temu, kto da więcej; paszowie nie przestaną zdzierać poddanych i zubożać prowincyj i t. d., aż jedno ostatnie wstrząśnienie nagle powali w gruzy ten budynek bez wiązań, bez podpór, tracący już równowagę, i je-

den więcej przykład wielkich zwalisk dołoży do tych, które ziemia już widziała.”

„Podczas kiedy inne mocarstwo wzmacniało się, milicya turecka nikiemniała, a sułtan Mahmut osłabiał janczarów, których się obawiał, rozpraszając ich po całym państwie i wytepiając czoło tej groźnej instytucji, którą drugi sułtan Mahmut ogniem i mieczem wygubił do szczytu. A czy zastąpił ją czém? Kampania krymska, zdaje się, nie dała tego żadnych dowodów. Pozostają jeszcze reformy finansowe, przemysłowe, moralne, a nawet polityczne. Nie śmiemy powiedzieć jak surowo została osądzoną nieudolność ducha muzułmańskiego pod względem zaprowadzania ulepszeń i przyswajania sobie cywilizacji europejskiej; błędy tylko jej przybiera do własnych, a ztąd więcej przebiegłości w barbarzyństwie, więcej kombinacji w przedajności. Takie jest stanowczo wypowiedziane zdanie filozofa Volney.

Obok tego przewidzenia przyszłości, któremu wypadki późniejsze nie zadały kłamstwa, trzeba było z ówczesnego stanowiska rozważyć jeszcze następstwo tego domniemanego zaboru, nadwreżenie równowagi europejskiej, trudności podziału, interes handlowy Francji. Volney rozbiera te rozmaite kwestye z wielką dokładnością.

W latach następnych, w pośród wielkich zaburzeń w Europie, zaszła jeszcze raz okoliczność, która zdawała się na niejaki czas utwierdzać Turcyą. Roku 1809 Mołdawia i Wołoszczyzna zostały połączone z rozległym państwem rossyjskim. We dwa lata później Rosya, która pomimo tego nabytku, uznanego przez Francją, prowadziła dalej wojnę z sułtanem, zezwała nagle na pokój i zwraca mu obydwie prowincye, aby zerwać wszystkie swoje siły do obrony przeciw całkiem innemu nieprzyjacielowi, przybyłemu z Zachodu. Wiadomo ile ten pokój z Turcyą i niezwłoczne przybycie jednej armii rossyjskiej więcej, przyczynił się Francuzom do wypadku nieszczęsnej kampanii z roku 1812.

W gruncie te wielkie walki narodów cywilizowanych, te wojny patryotyzmu z ambycją były szczęśliwym rozejmem, folgą dla odetchnienia upadającego państwa otomańskiego. W roku 1827, po bitwie pod Nawarynem, w której Francya miała tak świetny udział, stanowiąc czoło eskadry angielskiej, w r. 1827 wsławionym tą bitwą, nie brakło także takich, którzy to zwycięstwo znajdowali płonnym, niewczesnym a nawet nieszczęsnym. „Untoward” było pamiętne wyrażenie i skarga w parlamencie angielskim, pewnego sławnego męża stanu.

Nie będziemy tutaj poszukiwać ani w natychmiastowych widokach, ani w oględności nadal, co mogło być powodem do tych dziwnych narzekań i potępiania bitwy, którą Anglia stoczyła bardzo chętnie, i tego tryumfu, który podzielała; ale czyż mogło być kiedy zwycięstwo mniej płonne jak to, które powstrzymał wytepianie jednego z plemion chrześcijańskich, przeważało wygranę na stronę najsprawiedliwszego oporu, zrobiło możliwym i przyspieszyło założenie nowego państwa cywilizowanego? Wiele mówiono wtedy, że to zganienie kilku polityków angielskich pochodziło głównie z rywalizacji handlowej na Śródziemnym morzu i z obawy taniości przewozu na małych okrętach greckich. Zaprawdę obawa ta nie miała żadnej podstawy dla tak wielkiego mocarstwa, które tak daleko wszędzie sięga swoim ramieniem i swoim handlem. To też nie pochwalano we Francji tej markotności wyspiarzy, pomimowolnych zwycięzców, czyniących akt skruchy za zniszczone pod Nawarynem okręty tureckie. Duch francuzki, podówczas tak silnie zajmujący się wszystkimi sprawami cywilizacji, powitał z żywym uniesieniem dzielnego admirała Rigny, którego stałość tak dobrze odbijała od późnego żalu jego sprzymierzeńców. Radość z tego wypadku była powszechna we Francji i najulubieńsze talenta w kraju, od Kaźmirza Delavigne do Wiktora Hugo, sławiły go z równą zdolnością i z niemniejszą wziętością u ludu, jak znalazł niegdyś Herrera.

Tą razą jeszcze głos powszechny i to uczucie szlachetne, które myślano poniżyć, nazywając je poezią, były zgodne z historią i miały być przez nią sprawdzone. Ubezpieczona przez zwycięstwo pod Nawarynem wyprawa na Moreę z roku 1828, położyła koniec ciężkiej walce Greków z nieprzyjacielem o tyle liczbą ich przewyższającym i uświęciła nareszcie usamowolnienie Grecji, zasłużone przez tyle cierpień i męstwa. Że przezorność dyplomatyczna za bardzo scieśniła pole tego usamowolnienia, że odjęła Grecji, aby zwrócić Turkom, kawałki nawet ich oswobodzonej już ziemi, niektóre wyspy tak handlowe i skrzętne, dzisiaj zamarłe po powrocie pod dawne jarzmo; mniejsza o to, uznanie Grecji przez Europę było wielkim zawsze dobrodziejstwem, niemniej jak aktem ściślej ludzkości.

I zaprawdę, kiedy w tej Grecji, systematycznie na tak ciasnym ograniczonej obszarze, obchodzono przed kilką miesiącami 25-letnią rocznicę teraźniejszego panowania, pośród radości ludności pracowitej, pojętnej, powiększonej blisko o million dusz, niepodobna było

nie uczuć bitwy pod Nawarynem, nie błogosławić i myśli jej, i dziełu, i skutkom. Należy się to przez wzgląd na postęp kosmopolityczny i przez wzgląd na wymiar sprawiedliwości społecznej, którym polityka zdaje się zajmować. Podobno też i Francya, tak słusznie dumna ze swęj roli bezinteresownej i ze swego wspaniałomyślnego obstawania przy ostatecznym usamowolnieniu Grecyi, zebrała ztąd korzyści których nie szukała, a nawet nie przewidywała z początku. Pięrszą z tych korzyści było zajęcie Algieru, które jej posłużyło do nabycia tak rozległych posiadłości i dało początek państwu, które leży za blisko od swęj metropoli, aby się kiedy mogło odłączyć od niej. Tak zdaje się chcia-

ła Opatrzność. Z tylu wojen, tylu nieśmiertelnych zwycięstw, z tylu zabranych krajów, nie pozostał Francyi jak tylko jeden trwały nabytek, jedno powiększenie i to to, które jej się dostało w następstwie wojny najbardziej ludzkiej i najliberalniejszej jaką kiedykolwiek prowadził naród wielki. Istotnie, nie można wątpić, aby bitwa pod Nawarynem i wyprawa na Moreę nie ułatwiły zaboru Algieryi; one przysposobiły do tego Turków, one nasunęły tę myśl Francuzom, a przejąwszy trwogę ducha muzułmańskiego, rozpoczęły tę wielką rewolucyę, która kiedyś wróci chrześcijaństwu i geniuszowi sztuk najpiękniejsze klimata Europy, jak to przewidywał blisko trzy wieki temu poeta hiszpański Herrera.

CHRZĄSZCZ AFRYKAŃSKI.

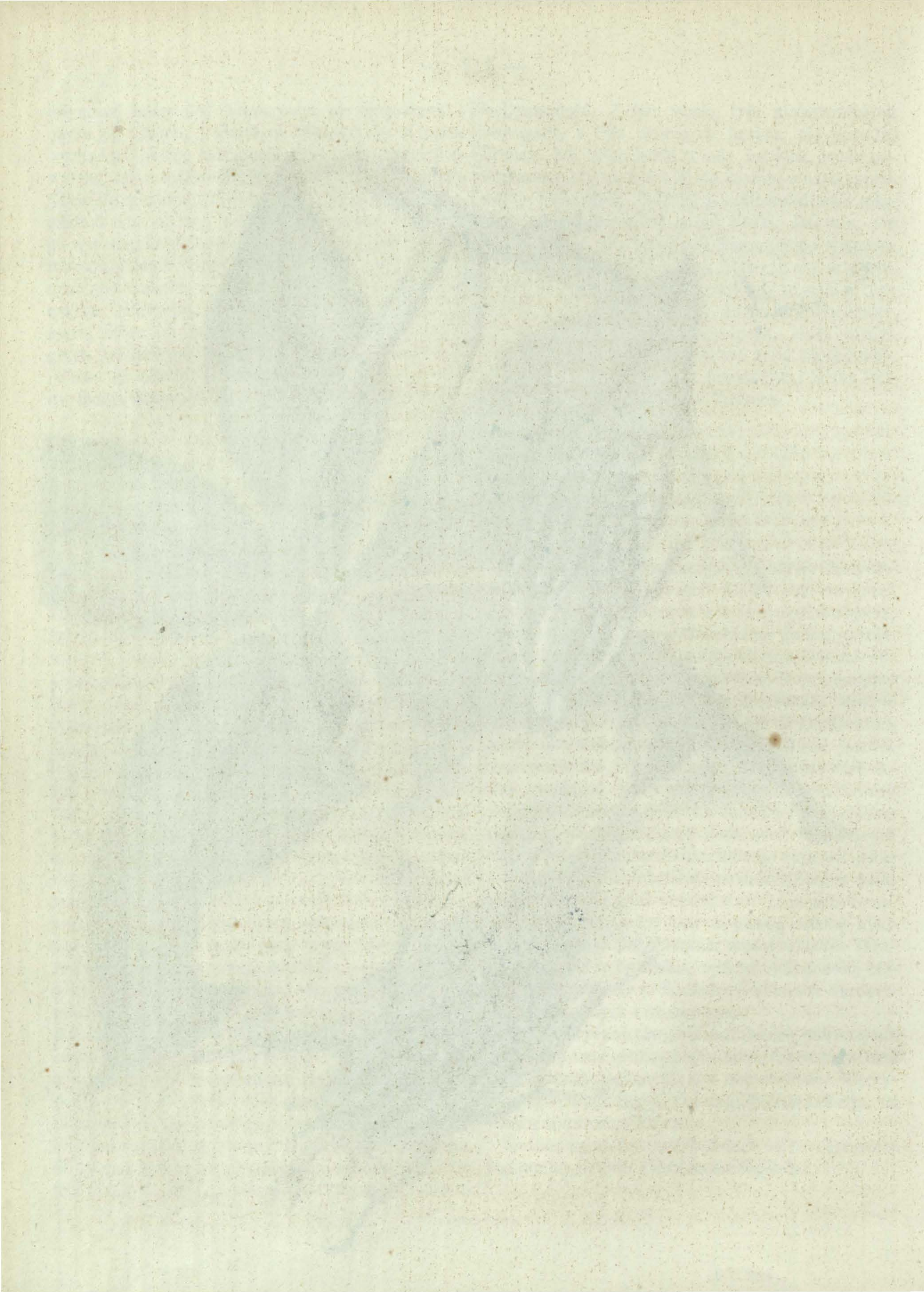
Niema może bardziej kosmopolitycznej rodziny, nawet między owadami, jak chrząszcze, które spotykamy nietylko w całym świecie, ale nadto we wszystkich trzech żywiołach dawnych filozofów, bo w powietrzu, wodzie i ziemi; czwarty musimy chcąc nie chcąc pozostawić niezaludnionym nawet przez te latawce, bo na przekór bajecznym salamandrom czyli ogniożyłom, ogień nie przedstawia gościnnego mieszkania dla żadnej żyjącej istoty. Ale też prócz ognia, jak powiedzieliśmy wyżej, wszędzie znajdujemy obfitość różnorodnych odmian chrząszczów, od olbrzymiego, bo około sześć cali długiego Herkulesa i niewiele ustępującego mu wielkością naszego jelonka, aż do niedojrzanych okiem chrząszczyków, stanowiących siwawy pył na starym krowim sęrze. Kluk przed 80 laty wymienił już przeszło 1000 nowych gatunków; dziś zaś, kiedy liczni naturalisci zwiedzający starą ale tak długo mało przystępną Afrykę i nową Amerykę, a jeszcze nowszą Australię, coraz nowszemi odkryciami wzbogacają nasze wiadomości z zoologii, można już liczyć do 3000 dokładnie opisanych rodzajów i gatunków tej wielkiej rodziny, którą ogólnem nazwaniem chrząszczowych objęto. Między naszymi chrząszczami niejedyn uderza piękną barwą swoich pokryw skrzydłowych i niekiedy całego ciała; ale nie może iść w porównanie z cudownemi, tęczowemi polyskami wspaniałego stroju chrząszcza dyamentowego, który pod mocno powiększającym szkłem przedstawia przepych ognia i kolorów prawdziwych dyamen-

tów, jakiemi głowa jego, grzbiet i pokrywy skrzydłowe są jakby wybrukowane. Ale nie sam chrząszcz dyamentowy słynie z piękności swego przystrojenia; załączona litografia przedstawia inny rodzaj pysznego i wielkiego chrząszcza afrykańskiego, któremu odpowiedniego wielkością i przepychem barw naprózno byśmy w naszej europejskiej familji szukali. Jest to *Chelorrhina polyphemus*, liczący się do familii którą dawni entomologowie obejmowali ogólnem nazwaniem *Goliatides*, i ten gatunek znany już był dość dawno zoologom. Pięrsze jego opisanie znajdujemy w dziele Burmeistra, a opis ten skreślony był z pięknie zachowanych egzemplarzy obojęj płci, znajdujących się w sławnym zbiorze Banka, którego stanowił jedną z największych ozdób. Kiedy po śmierci Banka zbiór ten zapisany został towarzystwu Linneuszowemu, niedługo cieszone się tam tą piękną ozdobą, albowiem ów wspaniały chrząszcz został wkrótce skradziony. Dziś jużby można wyliczyć kilkanaście pięknych egzemplarzy w bogatszych zbiorach europejskich publicznych i amatorskich.

Litografia przedstawia samca i samicę; pięrszy odznacza się szczególnie podobnemi do rogów wyrostkami na głowie, ubarwienie zaś ich obu ozdobne. Ojczyzną tego chrząszcza jest rzeczpospolita Liberya, na wschodnim brzegu Afryki.

Rośliną na której przedstawione są te chrząszcze jest małpie drzewo, (*Adansonia digitata*).





WYSOKIE LUBELSKIE.

Tomasz Święcki wydał starożytną Polskę w dwóch tomach, Tymoteusz Lipiński i Michał Baliński rozszerzyli to dzieło do czterech obszernych tomów, a mimo to jednak wiele jeszcze miejsc pozostało zapomnianych, które niemniej przeto ważną odgrywały rolę w przeszłości, i o których nasi historycy znaleźliby zapewne co powiedzieć, gdyby ogrom pracy nie tamował ich najlepszych chęci. Z przekonania mówimy że obydwaj te dzieła są dopięro materiałem do powstać mającego kiedyś dokładnego opisu dawnej Polski, opisu który dopóty nie stanie u kresu swego założenia, dopóki każdy powiat nie znajdzie swego historyka, i to nie takiego któryby nie znając go pisał o tém co zasłyszał od drugich, lub co zaczerpnął z innych opisów, lecz któryby wzrósł i wychował się w tym powiecie i z kijem w ręku obszedł wszystkie miasta i wioski, obejrzał wszystkie mogiły, kopce i rozwaliny, pogwarzył z ludem o miejscowych legendach, obejrzał ściany świątyń i starych gmachów. Z takich pojedynczych prac utworzy się kiedyś dokładny opis naszego kraju, jeżeli umiejętna ręka zbierze je i wystawi ten granitowy pomnik przeszłości. Strach pomyśleć jak to jeszcze do tego daleko, a każdy dzień zaciera ślady praocjów, a każda chwila przywołuje nowe idee, nowe cele. Pióra i ołówka woła przeszłość, kolei żelaznych, warstatów, fabryk, wrzeszczy terażniejszość; którójże słuchać? Zapewne téj co głośniej krzyczy.

Uwagi te podajemy jako wstęp do opisu który zamierzamy przedstawić naszym czytelnikom. O ile one są słuszne, niech sami osądzą. Nie ubliżamy bynajmniej zasługom uczonych mężów, którzy i tak bardzo wiele zrobili z małemi środkami, bo niepodobieństwem jest aby dwóch, trzech, a choćby i dziesięciu ludzi podolało zakresowi pracy jaki pojmujemy i jaki jest konieczny, jeżeli ma odpowiedzieć celowi. Wysokie Lubelskie nie znalazło miejsca ani u Święckiego, ani u Lipińskiego, a jednakże rzeczy jakie tu przytoczymy nie będą bez interesu, bo mało jest takich zakątków w naszej ziemi, aby nie wiązały się z niemi pamiątki historycznej przeszłości. Teraz do rzeczy.

I.

Wysokie leży o pięć mil od Lublina, o milę od miasteczka ordynacyi zamojskiej Turobina, w którym

niegdyś, choć krótko, ksiądz Staszic był proboszczem, o milę od miasteczka Żółkiewki, przy gościńcu prowadzącym z Lublina przez Szczebrzeszyn do Zamościa.

W Volum. leg. tom I, pag. 728 znaleźliśmy pod rokiem 1382 podpis *Tomislaus de Wysokie*, a pod r. 1436 *Dobieslaus de Wysokie Castel: Lublinensis*. Kto był Tomisław, trudno wiedzieć; Dobiesława z Sienny herbu Dębno znaleźliśmy w liczbie kasztelanów lubelskich. Był on potem wojewodą sandomierskim i z Katarzyny, Dymitra Boży dar podskarbiego koronnego córki, miał dwunastu synów, z których jeden, Jakub, głośny ze sporów z Gruszczyńskim o biskupstwo krakowskie, został nareszcie arcybiskupem gnieźnieńskim. Niesiecki wymienia, że posiadali dobra Bohotnicę, Romanów, Chroślin, Oleśnicę, ale o Wysokiem nie wspomina. Volumina legum mają jednak za sobą większą powagę, i na nich opierając się, uważamy Dobiesława Siennickiego za pierwszego ze znanych dziedziców nowo powstałego miasta, bo wiadomości zaczerpnięte z akt kościoła wysockiego mówią iż Wysokie założone było około r. 1360 przez Łukasza Górkę i przez niego w trzy lata potem, za zezwoleniem króla Kaźmirza Wgo, prawem magdeburgskiem obdarowane. Wiadomości téj, jako nieopartej na żadnym ważnym dowodzie, nie podajemy za rzeczywistą, bo i z kądby przyszło rodzinie Górków osiedlonéj w Poznańskim, zakładać miasteczko w Lubelskiem. Około roku 1414 posiadał Wysokie Stefan Bidziński herbu Janina, mąż wsławiony z dzieł rycerskich. On wystawił kościół i uposażył go nadaniem, o czém przekonywa erekcyja tegoż kościoła.

Rodzina Bidzińskich szeroko była rozrodzona w województwie sandomierskiem, (do którego, jak wiadomo należało późniejsze województwo lubelskie do roku 1471). Paprocki, choć nader oszczędny w pochwałach, oddaje zalety trzem braciom, Jerzemu, Władysławowi i Krzysztofowi, z których ostatni podpisał ustawy zjazdu koprzywnickiego w roku 1587. Jak długo posiadali Bidzińscy Wysokie, nie można znaleźć pewnych dowodów; zdaje się jednak najprawdopodobniej, że do końca pierwszej połowy XVI wieku. Potem dostało się Kaszowskiem, także Janinom, gdyż ten herb najwięcej był upowszechniony w Lu-

belskiem. Sobiescy, Pszonkowie, Kielczewscy, Karscy, Kaszowscy, Chodelscy, Kołaczkowscy, Maciejowscy, Piaseccy, Podlodowscy, Rzeczyccy, Stoińscy, Suchodolscy, Tarnawscy, Zawaccy, Zawieprzyccy, Żerzyńscy, wszystko Janinowie, posiadali w Lubelskiem obszerne włości, dając im lub przybierając od nich nazwy. Ztąd powstały osady: Sobiecka-wola, Kielczew (zmieniona później na Gielczew) Chodel, Piaski, Suchodoły, Tarnawa, Tarnawka, Zawady, Zawieprzyce, Żyrzyn i t. p. Pszonków możnaby uważać za rozkrzewicieli Janinów w Lubelskiem. Jeszcze przed Władysławem Łokietkiem razem z Tarłami należeli do najmożniejszych rodzin, a niechętni Łokietkowi, który ujął rządy silną ręką, popierali najazd Litwinów, za co wieś ich dziedziczna Krzczanów, (dzisiejszy Krzczonów), przyłączona była do starostwa lubelskiego. Później przyszli znów do dawniej przewagi i posiadali dobra Kurów, zamek Łowienica, wieś Kołczkon ¹⁾, wieś Babin i t. p.

Kaszowscy posiadli Wysokie po Janinach Bidzińskich, zapewne sposobem spadku lub działów rodzinnych. Za panowania Zygmunta Augusta około roku 1570 znajdujemy dziedzicem Wysokiego *Piotra Kaszowskiego*, sędziego ziemskiego lubelskiego, sławnego kanclerza rzeczypospolitej babińskiej, który wspólnie ze szwagrem swoim, Stanisławem Pszonką, powziął myśl założenia tej rzeczypospolitej, tyle głośniejszej w owe czasy, a dziś należycie nie ocenionej.

Niedawno w jednym poważnym czasopiśmie, mówiąc o *jawności* czyli *sądzie publicznym*, powiedziano: że takiej jawności nie mieliśmy nigdy. Otóż szanowny autor zapomniał zapewne o rplitej babińskiej, która jest najoczywistszym dowodem sądu publicznego. Począwszy od panowania Kaźmirza Jagiellończyka, obyczaje narodu zaczęły być wolniejsze. Cywilizacja przywiodła za sobą nieoddzielne swe towarzyski, miękkość i zbytki. „Młodzież nic nie robiła, ino włosy sobie czesała i trefła,” powiada Bielski, a samochwalstwo, próżność, duma, zajęły miejsce dawniej surowości zasad i czynów.

„A patrz jeno na postawę, powiada Rej, jeżeli się nie masz czemu i pośmiać i podziwować. A oto on idzie, nawieszawszy dziwnych pstrych chobotów około siebie, na ludzi nie patrzy, tylko sam na się po-

¹⁾ Zamku Łowienicy i wsi Kołczkona niema teraz w Lubelskiem i nie możemy nawet dojść do zbliżonego tych nazw podobieństwa. Sądzymy więc że Niesiecki pomylił się w nazwiskach.

gląda, cień upatruje, spluwa choć mu nie trzeba, rękawice z tej ręki na której sygnet zdejmuję, a w drugiej ją dzierży, kaszle, krzaka, choć mu się nie chce, z kamyka na kamyk stapa, kroku strzeże aby go nie zmylił, a na pacholki się ogląda, jeśli ich niema.

„Albo znów czy może być szkodliwsza rzecz, jako gdy kto nadobnemi, farbowanemi słówki, a oną anielską postawą pokrywa prawdę świętą, a fałsz, onego nieszlachetnika, chce prawdą uczynić. Jeszcze to szkodliwszy niżli on pies, co się idąc do ciebie łasi a majda ogonem, a gdy się nie obaczysz, alić on za nogę cap. Bo wzdry ów co szczeka jeszcze przestrzeżga, że wzdry człek nań sobie kija szuka albo sobie korda poprawi.”

Podobnemi ostremi, z nagą szczerością wypowiedzianymi prawdami, napełniona jest wyborna satyra Mikołaja Reja: *Żywot pocziwego człowieka*; a nie tylko Rej spostrzegał i prostował wady ówczesnego społeczeństwa. Górnicki w *Dworzaninie*, Paprocki w *Gnieździe cnoty* i w *Herbach rycerstwa*, Piasecki w *Rocznikach*, Grochowski i Klonowicz w poezjach z wielką śmiałością, jak mówi przysłowie, bryzgali prawdą w oczy.

Kiedy poeci i historycy dziełami swemi starają się wpływać na poprawę obyczajów, niektórzy światli i przezorni obywatele spostrzegają, że niedość jest jeszcze tych nauk i przestróg drukowanych, że potrzeba sądu opinii publicznej, aby zakorzenione nałogi poprawić.

A nałogi te są ważne i w skutkach szkodliwe. Samochwalstwo, zarozumiałość, wspinanie się na najwyższe w kraju godności, rażą najpowszechniej. Samochwalca wszystkich poniża, a o swoich zasługach tysiączne brednie prawi. Zarozumialec o wszystkiem sądzi i wyrokuje, kandydat do urzędów pnie się w górę, nie przebierając w środkach. Satyra nie może wszystkich wytykać, bo prawda wyraźna ściąga oburzenie, potrzeba więc wymyśleć coś pośredniczącego między satyrą i żartem.

Stanisław Pszonka, dziedzic Babina w Lubelskiem, radząc o tém ze swoim szwagrem, Piotrem Kaszowskim, wpadają na szczęśliwą myśl utworzenia żartobliwej instytucji, któraby naśladowując organizacją rplitej polskiej, w śmieszność obracała wady szkodliwe społeczeństwu. Nazwisko wsi dziedzicznej Pszonki, *Babin*, silnie dopomaga ich zamiarom. Babin, babieniec, babie koło, oznaczają babie zebrania, babie rady, powstaje więc rplita babińska.

I myślałby kto że ci dwaj mężowie, porywający się na rzecz tak śmiałą, są znakomitymi dostojnikami

kraju; bynajmniej, i Pszonka i Kaszowski są tylko sędziami ziemskimi lubelskimi, jedyna ich tarcza i zasłona poparcie opinii publicznej. Pszonka przyjmuje dobrowolnie urząd burgrabiego, to jest rządcy nowo utworzonej rplitój, a Kaszowski kanclerza, i piszą organizacją tej instytucji, i ogłaszają zjazdy do stolicy rplitój, do Babina. Rozgłos o tej nowej, pożytecznej zabawce rozchodzi się po całym kraju, jedni są ciekawi ustaw, inni pierwszych kroków młodej rplitój, i dworzec Pszonki zaledwie może pomieścić uczestników pierwszego zjazdu.

Ustawy tego żartobliwego państwa nie doszły do naszych czasów. Wszystko co wiemy o niem pochodzi z protokółów posiedzeń, które Felicjan Biernacki, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przywiózł ze Szwecji i oddał do biblioteki puławskiej, jak również z Roczników Sarnickiego. Książd arcybiskup gnieźnieński, Ignacy Krasicki, mówiąc o Babinie powiada

Tu Pszonka, dobrej myśli chcąc być sprawcą,
Nowego państwa został prawodawcą,
I tak za sławnym idąc przewodnikiem,
Kto głupstwo zrobił—został urzędnikiem.
Gdyby tych indziej używano względów,
Byłby niezmierny nacisk do urzędów.

Te kilka wierszy bardzo dobrze malują cel zaprowadzonej przez Pszonkę i Kaszowskiego instytucji. Książd Szaniawski, w rozprawie o rplitój babińskiej, czytanej na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 15 stycznia 1818 r. powiada:

„Przy rozdawaniu urzędów postrzegano pilnie wady osób i przesady postępowania, przeciwne przymiotom jakich pewny urząd w kraju rzeczywiście wymaga. Dawano na piśmie patent, przywilej czyli uroczyste na urząd mianowanie, z pieczęcią na laku i wszelkimi formalnościami. Jeżeli kto rozprawiał wiele o rzeczach wyższych i niestosownych dla niego, czyniono go natychmiast arcybiskupem albo jednym z wielkich panów (z senatorów). Gdy który wymówił się zanadto, rzecz niepodobną do uwierzenia powiedział, nazwany był mówcą albo kanclerzem babińskim. Kto przyznawał sobie wiele, chlubił się z odwagi i mężstwa, o rzeczach wojennych nie w swoim czasie i miejscu rozszerzał się nad miarę, mianowano go hetmanem albo rycerzem pasowanym. Mówiący rozwlekle, z zapałem, nie chroniący się słów kłamliwych o sokołach, psach, koniach i innych zwierzętach i różnych gatunkach gospodarstwa, uznani byli na ptaszników, łowczych, koniuszych, lub na wzór wielkorządzców krakowskich za babińskich wielkorząd-

ców. Kto o religii bez powagi stosownej, nieprzyzwoicie przy stole lub zabawie odezwał się z niewczesną gorliwością, tego nazywano kaznodzieją babińskim lub inkwizytorem.”

Z początku naśmiewano się z tej zaimprovizowanej rplitój, ale gdy z pierwszych nominacji poznano rozległy cel tej zabawki, z zapałem się jej chycono. Zasługiwali na to zaufanie mądry prawodawcy nowego państwa; obrady odbywały się z wszelką powagą, a członkowie rządu mieli taką biegłość w rozpoznawaniu wad i śmieszności różnych osób, że każda ich nominacja ogólny poklask zyskiwała. Strzeżono przytém najsilniej, aby obmówcy, nie szanujący cudzej sławy, szydery, potwarcy, oraz ludzie złej opinii, nie mieli przystępu do granic państwa, co także bardzo wiele na powodzenie głównego celu wpłynęło. Jan Kochanowski, Rej, Trzeciecki, Paprocki, Sęp, (Szarzyński) wkrótce stanęli w liczbie urzędników rplitój, i nie upłynęło lat kilka, a mało kto był w duchowieństwie, w senacie i przy dworze królewskim, któryby na jaki urząd mianowanym nie został.

Jeżeli ktoś z nominowanych nie był na posiedzeniu rządu babińskiego, albo uznano że będzie krzywo patrzył na nominację, wysyłano z grona urzędników najdostojniejsze osoby, aby mu publicznie i uroczystie dyplom doręczyły; rad więc lub nie rad, musiał zaszczyt przyjąć, bo choćby i nie przyjął, to tytuł nadany mu przez rplitą zawszeby przy nim pozostał. Rozsądni z chęcią nadane urzędy przyjmowali, a niejedni poczytywali nawet za zaszczyt uczestnictwo w towarzystwie babińskim.

Żałować należy że pierwsze protokoły posiedzeń rplitój zaginęły. Te o których wspominaliśmy iż wyszukane zostały w Szwecji, poczynają się od r. 1601 i doprowadzone są do r. 1677; ale ani wybór osób, ani nominacje nie odznaczają się szczególnym dowcipem. Nieoszacowanej wartości byłyby protokoły od początków założenia rplitój babińskiej do r. 1601, redagowane przez Stanisława Pszonkę i Kaszowskiego. Zakres ich działań nie ograniczał się na województwie, ale obejmował kraj cały, sięgając najwyższych w kraju dostojników. Jan Zamojski, hetman i kanclerz wielki koronny, przewagą rozumu i zdolności od początku swego zawodu publicznego wywierał wielki wpływ na rządy Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, był ich przyjacielem, domownikiem i doradcą, zyskał więc tytuł *totumfac* babiński i bynajmniej się o to nie obraził. Zygmunt August na sejmie lubelskim zapytał się Pszonki, dlaczego sobie do swój rplitój króla nie obiorą. Burgrabia babiński odpowiedział śmiało:

„Niech Bóg nie dopuszcza, abyśmy za życia W. K. M. o innym królu myśleć mieli.” Rozsądny król przyjął tę delikatną nominacją bez najmniejszej urazy, i obracając się potem do Kaszowskiego, rzekł:

— A jakże dawne jest to wasze państwo?

— Dawniejsze, odpowiedział wymowny kanclerz, aniżeli greckie i perskie, bo jeszcze Dawid król izraelski powiedział: „*Każdy człowiek kłamca*” a to jest zasada i istota naszej rplitój ¹⁾.

Rozszerzyliśmy się nadprzedmiotem nie wchodzącym w nasze założenie, a to dla wykazania zasług Kaszowskiego i Pszonki, którzy lekceważąc przykrości jakie ich spotkać mogły, dla dobra powszechnego posunęli się aż do jawnej i w czyn zamienionej satyry. Kiedyś rozpiszemy się jeszcze o samej rplitój babińskiej, godnej głębszych studyów, a teraz wracamy do rzeczy.

Piotr Kaszowski miał żonę Annę Zawadzką Świątopelkównę, a z niej dwóch synów i pięć córek, które rychło i dobrze wydał za mąż. Katarzyna wyszła za Samuela Łaszczę z Obrowca, strażnika koronnego, chorążego podolskiego, męża wielkich zasług wojskowych, który umierając w roku 1649 w Krakowie, tego tylko żałował, że na łóżku nie w bitwie umierał ²⁾, Elżbieta za Józefa Podniesińskiego, Krystyna za Aleksandra Łaganowskiego z Łaganowic herbu Nowina, Katarzyna za Stefana Gostyńskiego her. Jastrzębiec, Anna za Samuela Polanowskiego her. Pobóg, rotmistrza, który dwa razy był w niewoli tatarskiej ³⁾. Syn starszy Waclaw był sędzią ziemskim bełzkim, a młodszy Jan podstolim łukowskim.

Brat Piotra, Łukasz, daleko młodszy od niego, służąc wojskowo długi czas, nie upominał się o rozdział majątku, i dopiero w r. 1597 dwaj bracia podzielili się Wysokiem w ten sposób, że Piotr, jako starszy, wziął połowę miasteczka z zamkiem i wsią Słupeczne, a Łukasz drugą połowę miasteczka i Nowy-dwór ze wsią Dragany. Ten sam Łukasz miał za sobą Katarzynę Drohojowską. Siostry ich wyszły jedna za Stanisława Kaźmirza Bieniewskiego, wojewodę czernihowskiego, a druga za Mikołaja Cetnera, i obydwie posag swój w gotowiźnie od braci otrzymały.

¹⁾ Akta kościoła wysockiego.

²⁾ Potocki Centur. fol. 206. Niesiecki między innymi rzeczami przytacza, że Łaszcz był pierwszym wynalazcą strzyżenia wysoko czupryny.

³⁾ Z tych samych Polanowskich był ów dzielny rycerz, Aleksander Polanowski, stolnik koronny, pułkownik wojsk rplitój, który na elekcyi w roku 1668 za kandydata do tronu był podany.

Syn Piotra, Waclaw, żeniąc się po trzykroć 1^o z Charleuską, 2^o z Rzczycką, 3^o z Gorajską, przeniósł się w Bełzkie, a Wysokie posiadał Jan, ożeniony z Kurcewiczówną. O dzieciach Łukasza nie mamy żadnej wiadomości.

Ród Kaszowskich niedługo posiadał Wysokie, bo około roku 1645 znajdujemy je już w rękach Lubienieckich, a mianowicie w posiadaniu Stanisława Lubienieckiego, arianina, autora 1^o Historii reformacji w Polsce; 2^o Polski umierającej; 3^o Widowiska komet, dzieł niezmierniej teraz rzadkości. Wysokie, będąc własnością jednego z najgorliwszych wyznawców arianizmu, stało się ogniskiem zjazdów i narad, mających na celu odwrócenie grożącej temu wyznaniu klęski. Do tego czasu odnoszą się różne podania miejscowe. Lud utrzymuje, że pod całą górą zamkową znajdują się podziemne lochy, napełnione działami i kulami, że gdy raz zrobił się otwór do tych lochów i spuszczone w nie człowieka na linie, to on widział wyraźnie kilka dział, ale gdy dla nieznośnego powietrza światło nie chciało się palić, musiał wracać; że w chwili ustąpienia arian z Wysokiego, zamek zapadł się, że arianie, opuszczając domy, topili w stawach, sadzawkach w studniach różne bogate sprzęty a nawet i pieniądze w baryłkach, myśląc że gdy wrócą do kraju, to i własność swoją odzyskają. Ten ostatni szczegół potwierdza zdarzenie, którego sami byliśmy świadkami. Gdy w Nowym-dworze przebierano studnię, w błocie wyrzucanym ze środka znalazł robotnik kilka podwójnych dukatów. Na rozgłos o tém zdarzeniu wykradano w nocy błoto do domów, szukano złota i, jak wieść niesie, wiele go znajdowano. Widzieliśmy parę sztuk tych dukatów, pochodziły z początków panowania Jana Kaźmirza. Mieszkając lat kilka w Wysokiem, chcieliśmy koniecznie dokopać się do owych głooszonych podziemi zamkowych, ale usiłowania nasze nie miały poparcia ze strony właściciela tych dóbr; a ciekawyto byłby szczegół, znaleźć te arianskie działa i kule, fakt ten mówiłby wyraźnie, że przecież one przeciwko *komuś* musiały być przygotowywane.

Stanisław Lubieniecki w roku 1663 opuścił kraj z dwiema córkami i osiadł w Hamburgu, starając się usilnie o wyjednanie współczucia i protekcji dla arian polskich. Nie spełniły się jednakże najgorętsze jego życzenia i, jak pisze Niesiecki, w roku 1675 trucizną zgładzony ze świata został.

Od Lubienieckich nabył obydwie połowy Wysokiego Wawrzyniec Widlica Domaszewski her. Nieczuja i zostawił synom swoim, Kaźmirzowi i Jakubowi

Domaszewskim. Kaźmirz, ożeniwszy się z Maryanną Żółkiewską, po zmarłym Eliaszu Żółkiewskim rotmistrzu pozostałą wdowę, wziął po niej w posagu Wólkę-żółkiewską i Poperczyn, i te bratu swemu, chorążemu łukowskiemu, puścił, a całe Wysokie przy sobie zatrzymał. Ten Kaźmirz był starostą łukowskim, posłem na sejm w roku 1678, kommissarzem do uznania pretensyj kurfirsza brandeburskiego, kasztelanem sanockim i kommissarzem do sprawdzenia krzywd od Węgier poniesionych; musiał więc być człowiekiem obrotnym i w sprawach rplitój biegłym. Rzecz dziwna, że wszyscy trzech jego synowie obrali sobie powołanie zakonu. Bernard został jezuitą, brat jego, niewiadomego imienia, karmelitą bosym, a drugi brat reformatem. Nie można przypuścić aby szczególniejszy jakiś wypadek nie wpłynął na to postanowienie trzech braci.

Gdy za czasów Jana III rodzina Jabłonowskich zaczęła rozszerzać się na Rusi, dobra Wysokie nabył od Domaszewskich Stanisław Jabłonowski, kasztelan krakowski i hetman w. k. Rodzina Jabłonowskich, pomimo bardzo daleko sięgającej genealogii ¹⁾, nie miała znaczenia w rplitój. Ojciec Stanisława był tylko miecznikiem w. k., a i synowi z początku nie najpomyślniej się wiodło; dopiero gdy pojął za żonę Maryannę Kazanowską, córkę Aleksandra Kazanowskiego z Potockiej urodzoną ²⁾ przyszłość jego zaczęła się poprawiać. Po Stefanie Czarnieckim otrzymał województwo ruskie, a potem za czyny rycerskie został hetmanem w. k. i w ostatku kasztelanem krakowskim. Umarł r. 1702.

Po ojcu wziął Wysokie Jan Stanisław, także wojewoda ruski, autor *Historji Obrazu Panny Maryi Sokalskiej*, oraz dzieła noszącego tytuł *Skrupul bez skrupułu*. Mając za sobą Joannę de Bethune, siostrzenicę królowej Maryi Kaźmiry, stale przywiązany był do rodziny Sobieskich i to spowodowało że wplątany w intrygę młodych królewiczów przeciw Augustowi II, cztery lata w zamku Königstein w Sa-

¹⁾ Tabulae Jablonovianae, Amstelodami anno 1743.

²⁾ Rodzice Maryanny Kazanowskiej mieszkali w majątku swym Fradze. W czasie niespodziewanego napadu Tatarów, matka schroniła się do zamku w Podkamieniu, zostawiwszy wypadkiem córkę. Ojciec, dowiedziawszy się o tém, ogłosił, że temu odda tę córkę za żonę, kto ją uratuje. Znalazł się taki odważny dworzaniec, który przedarł się do Fragi i dziecko ukryte odniósł rodzicom, ale przyrzeczenie nie zostało spełnione. Jaka piękna treść do dramatu.

ksonii przepędził, gdzie przetłumaczył Telemaka i zebrał wiele przysłów, które w rękopiśmie zostawił. Oprócz wyżej wymienionych napisał i wydał: Traktacik o Opatrzności Bozkiej, Zabawa Chrześcijańska albo Żywot Zbawienny Jezusa Chrystusa, wierszami modlitw 47 na post Wielki i t. p. Umarł roku 1731, zostawiwszy trzech synów, Stanisława, Kajetana i Dymitra, oraz trzy córki.

Jabłonowscy, urodzeni z matki Francuzki, całkiem też w cudzoziemców się przestroili. Wychowali się za granicą, zasługiwali się po obcych dworach i tylko dla honoru domu Stanisław został wojewodą braclawskim, ale za to dostojeństw zagranicznych mieli bez liku. Najprzód Stanisław został księciem Śgo państwa rzymskiego dnia 2 czerwca 1744 roku, a w trzy miesiące potem i brat jego, Jan Kajetan, który oprócz tego był jeszcze grandem hiszpańskim, feldmarszałkiem wojsk cesarskich, kawalerem orderów złotego runa i Śgo Huberta. Stanisław posiadał dobra na Wołyniu i starostwo białocerkiewskie, a Jan Kajetan dziedziczył między innemi Wysokie i podniósł je do godności hrabstwa. Dyplom ten brzmi jak następuje: „Jan Kajetan na księstwach ostrogskim i berezdowskim z Prusów książę Jabłonowski, hrabia na Siemiatyczach, Maryampolu, Jeżopolu, Strzeliskach, Pruskuniewie, Zobotynie, Wilii i Wysokiem, kawaler orderu złotego runa, postanawiam i mieć chcę, aby jak dwie pierwsze majątności tytuł księstwa, tak ośm ostatnich tytuł hrabstwa nosiły.”

Akt ten datowany roku 1755.

Obydwa Jabłonowscy, a szczególnie Jan Kajetan, odznaczali się dumą, próżnością i lekceważeniem drugich, a jak oni przybrani z francuzka nie lubili kraju z którego czerpali bogactwa, tak wzajemnie nie mieli żadnego u współobywateli uważania.

O ile grand hiszpański a polski wojewoda braclawski był nielubiany, o tyle żona jego, Anna z książąt Sapiehów, kobieta światła i z najlepszym sercem, była czczoną powszechnie. Po śmierci męża objęła sama zarząd obszernych jego majątków, a jak rządziła świadczą liczne nadania włościanom, uwalniające ich, od uciążliwych daremszczyzn i polepszające ich los. Czynna, rozsądna, sama we wszystko wglądała, pisała i ogłaszała drukiem instrukcye dla rządzców i ekonomów dóbr swoich, w których najsurowiej przestrzegano, aby włościanom żadnej krzywdy nie czyniono. Ignacy Krasicki, jadąc przez Wysokie, takie dał świadectwo rządowi księżnej:

Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze.

A znów pod Sieniawą, gdzie sama księżna mi-
szkała, tak się wyraża:

Gdzie pani, a nie modna, z zgorzeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianej przyjemnej zabawy,
Podłą się pracą bawi, śmie myśleć o roli
I w pośród swoich chłopów bardziej mieszkać woli,
Niż błyszczyć w wielkim świecie.

Trudno o lepszą i delikatniejszą pochwałę.

Za rządów księżnej Anny uporządkowało się Wyso-
kie. Włościanie poprawili swój byt, wsie zapełniły się
nowymi budowlami, a i stary zamek przybrał inną
postać; bo takie to są skutki dobrych i sprawiedli-
dliwych rządów. Z prawdziwym też żalem dowiedzia-
no się w r. 1803, że księżna darowała dobra Macie-
jowi Jabłonowskiemu, księciu na Niżniowie, Boguszy-
nie i Krzywini, synowi Antoniego Barnaby Jabłonow-
skiego, pułkownika wojsk hussarskich, chociaż gdy
książę Maciej objął dobra, przekonano się że zasady
rządów księżnej Anny nie zmieniły się. Mamy pod
ręką dokument z dnia 1 lipca 1806, z własnoręcznym
podpisem księcia, mocą którego opuścił włościanom
przeszło 3000 dni pańszczyzny, uwolnił ich od uciąż-
liwych daremszczyzn i postanowił że za najem każdy
włościanin nie może być użytym w ciągu roku więcej
nad dni 21.

Kościół, wystawiony w roku 1414 przez Bidzińskie-
go, konsekrowany przez Wojciecha Jastrzębca, bisku-
pa krakowskiego, zgorzał za rządów księżnej Anny,
która zaraz zajęła się wystawieniem nowego, muro-
wanego. Książę Maciej kończył rozpoczętą budowę,
ale że, jak wszyscy Jabłonowscy, był wielkim zwolen-
nikiem cudzoziemszczyzny, więc kościół urządził
w nowym, nieznanym dotąd sposobie. Ołtarz umieścił
na środku kościoła, a za ołtarzem i z obydwóch jego
boków dał siedzenia dla osób znakomitszych; resztę
zaś kościoła zostawił dla gminu. Ukończenie kościo-
ła przypadło w chwili przyłączenia części Galicyi do
księstwa warszawskiego.

Książę Maciej, zacny, sprawiedliwy, gościnny, ale
wychowany z cudzoziemska, z wszelkimi narowami
miękkości, wybrany został prefektem departamentu
lubelskiego, jedynie dla pogodzenia stron niechę-
tnych byłemu rządowi centralnemu, na czele którego
stał młody wówczas i odznaczający się wielkimi
przymiotami rozumu i serca Stanisław ordynat hr.
Zamojski. Głośną była powszechnie owa niefortunna
przygoda, gdy prefekt, witający wchodzące wojska,
spadł z konia, ale za to nikt nie mógł ująć gościnno-

ści jaką odznaczało się Wysokie. O dwie mile od
Wysokiego, w Bychawie, mieszkali hr. Scypionowie.
Sama hrabina, młoda, przystojna, żywa, lubiła zabawy
i chętnie je dzieliła. Książę Maciej, przewodniczący
departamentowi, a przytém zapalony wielbiciel ga-
lanteryi zachodniej, nie był także od tego; ztąd czę-
ste stosunki Bychawy z Wysokiem. Jeżeli jednego
tygodnia był bal w Wysokiem, to z pewnością na dru-
gi tydzień pędzono do Bychawy. Fortuna księcia Ma-
cieja cierpiała na tém, ale nie upadła zupełnie; Scy-
pionowie zrujnowali się do szczeru, tak dalece że je-
den z ówczesnych, znanych z dowcipu obywateli po-
wiedział:

Dwóch Scypionów zasłużyło na sławę,
Jeden zburzył Kartaginę—a drugi Bychawę.

W podeszłym wieku książę Maciej, widząc że for-
tuna coraz bardziej maleje, oddał Wysokie synowi
swemu, Ludwikowi, ambasadorowi austriackiemu przy
jednym z państw niemieckich, a sam przeniósł się na
mieszkanie do Wiednia. Książę Ludwik, zajęty dyplo-
macyą, nie miał czasu myśleć o Wysokiem, i jak tylko
syn jego Karol doszedł do lat, oddał mu dziedzictwo
Wysokiego, którego hipoteka była już dobrze obciążo-
ną. Za czasów w których stary pałac stał próżny,
zapuszczono ogień, i dworzec Domaszewskich, wysta-
wiony jak wieść niesie na miejscu zapadniętego zam-
ku, stał się pastwą płomieni.

Młody książę Karol rządził jeszcze jakiś czas Wy-
sokiem, przy pomocy starego sługi domu Jabłonow-
skich, Gordaszewskiego i plenipotentą Zaniewicza;
ale widząc że nieda sobie rady z wierzycielami, naj-
przód wypuścił Wysokie w dzierżawę kupcowi z Kaź-
mirza, Majerowi Wolfowi Feuerstein, a potem w ro-
ku 1839 sprzedał je Kajetanowi hr. Karnickiemu,
szambelanowi dworu cesarsko-austriackiego. Wi-
dać że napisano było w księdze przeznaczeń, aby
Wysokie dziedziczył dygnitarz austriacki.

Z ostatnich czasów nie mamy nic do powiedzenia
o Wysokiem, bo rządy ostatnich dziedziców, nie mie-
szkających w Wysokiem i pobierających tylko skru-
pulatnie intratę, niczém ważnym nie odznaczyły się;
ale że wspomnieliśmy o starym słudze domu Jabłonow-
skich, Gordaszewskim, więc powiemy jeszcze o nim
słów kilka.

Poznaliśmy go podeszłym już starcem, lecz słysząc
wiele o jego prawdziwie stoickich cnotach, ze czcią
zblizaliśmy się do niego. Od młodości służył książe-
tom Jabłonowskim, i choć na starość otrzymał od
nich łaskawą pensją, dobrowolnie zamieszkał między

staremi dziadami kościelnymi w miejscowym szpitalu i tam umarł. Posiadając nieograniczone zaufanie książąt, nic nie zebrał, nic nie oszczędził, żyjąc z dnia na dzień groszem zapracowanym. Wierzył w przeznaczenie i ściśle się do swój zasady stosował. Kiedy raz okradli go złodzieje i radzono mu aby świeżym śladem wysłał za nimi pogoń, odpowiedział: „Dać im pokój, tak Bóg chciał żeby mnie okradziono.” Ozdobił Wysokie śliczną statua kamienną Bogarodzicy, postawioną przy gościńcu lubelskim. Gdy spostrzegł że kamieniarz na jednym z kamieni wyrył jego nazwisko, zgniewał się niezmiernie i kazał kamień odmienić, mówiąc: „Świat powinien wiedzieć kiedy ten pomnik wystawiony, ale kto go stawiał, to niech tylko Bogu będzie wiadomo.” Wychował dwóch synów, Franciszka i Zygmunta, znanych z dowcipu i nauki. Gdy Ludwik-Filip myślał o obwarowaniu Paryża, Zygmunt, biegły inżynier, podał mu plan obwarowania, za który otrzymał własnoręczne królewskie podziękowanie. Choć w wieku podeszłym oddalony od synów i zostawiony sam sobie, nie narzekał na to, mówiąc zawsze: „Tak Bóg chciał,” i z tym wyrazem religijnej rezygnacji skończył dni swoje. Radzibyśmy aby z postępowania jego wszyscy tak zwani oficjaliści prywatni czerpali przykład, że uczciwością i prawem postępowaniem zjedną sobie szacunek u ludzi i miłość u Boga.

II.

W aktach kościoła w Wysokiem znaleźliśmy księgę in folio w skórę oprawną, w której przeszło od dwóch wieków proboszcze tameczni zapisywali starannie miejscowe i krajowe zdarzenia. Ś. p. ksiądz kanonik Krasuski wielką wagę przywiązywał do téj księgi i tylko u siebie dozwalał ją przeglądać. Wypisujemy więc z niéj jeszcze niektóre szczegóły odnoszące się do Wysokiego.

Wspomnieliśmy wyżej że Wysokie było miastem, i zapewne jedném z większych, skoro rządziło się prawem magdeburgskiem.

W dziale Piotra i Łukasza Kaszowskich, który całkowicie znajduje się w téj księdze, czytamy:

„Ratusz i rząd wszelaki w mieście należeć jednako ma do ich-mość panów, a terażniejszém pisaniem warują, że od środopocia każdy z ich-mość panów, z mieszczany swemi, rajcy na urząd radziecki obierać mają. Także mieszczanie po jednemu z każdéj dzielnice obierać mają wójta z alternatą i przysiężniki podawać mają, którzy jednego roku z jednéj dzielnice, a drugiego roku z drugiéj dzielnice urząd swój od-

prawować mają. Owo zgoła urzędowi przysięgłemu wszyscy mieszczanie gwoli posłuszni być mają, wedle porządku magdeburgskiego, sądy swe i inne powinności swe, tak w uczynieniu sprawiedliwości i innych należących sprawach odprawować mają, a gdzieby więc tak co zatrudnionego było, żeby tego urząd potrafić nie mógł, albo téż który z mieszczan dla uporu był nieposłuszny, tedy naznaczywszy czas, sami panowie albo namiestnicy ich do gromady zjechać mają i tam wedle namowy zobopólnej sądy odprawić, przychylając się do prawa ich magdeburgskiego.”

Mieszczanie nie robili żadnych powinności, lecz tylko opłacali czynsz, jak to okazuje się z tegoż dzieła, w którym powiedziano:

„Mieszczany obydwóch dzielnic z pułanków czynsz płacić mają, a żadnej robocizny.”

Dopiero gdy skutkiem pożaru i klęsk zadanych w czasie wojen ze Szwedami i Kozakami, mieszczanie podupadli, sami prosili dziedziców o zamienienie czynszu na pewną ilość robocizny.

Miasteczko Wysokie, zupełnie podupadłe, w r. 1822 z mocy rozporządzeń rządowych, zamienione zostało na osadę.

W księdze o której wyżej mówiliśmy, w inwentarzu z r. 1663 następująca jest wzmianka:

„Droga od miasta wprost przez górę do Tarnawki wtedy uczyniona, kiedy król jegomość ciągnął z wojskiem pod Zbaraż.”

Podanie zaś miejscowe dodaje, że Jan Kaźmirz stanął w zamku u ówczesnych dziedziców, Lubienieckich, że miał dać wojsku całodniowy odpoczynek, ale w skutek wieści odebranych z pod Zbaraża, przemocowawszy tylko poszedł dalej.

Opowiadano nam także zdarzenie z późniejszych czasów. Księżna wojewodzina braclawska w miejscu rozwalonego ratusza kazała wystawić w miasteczku porządną, murowaną austeryą, która dopiero za rządów księcia Macieja Jabłonowskiego dokończoną była. Gdy wojska pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego dążyły pod Lwów, generał Sokolnicki przybył do Wysokiego, a że nie chciał się przebierać i prezentować w pałacu, stanął w austeryi, w sali obszernéj i nad miarę wysokiéj. W najlepszym humorze zjadł śniadanie z oficerami sztabowemi i zaledwie wyszedł za próg sali, gdy cały sufit z niezmiernym trzaskiem oberwał się. Wieść o tym wypadku i nienajlepszym ztąd usposobieniu generała, gdyż nawet wszystkie jego rzeczy gruzy przysypały, doszła szybko do pałacu, a że księcia Macieja nie było w domu, więc sama księżna przybyła do austeryi,

przepraszając generała za przykrość jakiej doznał i dziękując Bogu że natchnął go myślą opuszczenia sali na kilka minut przed wypadkiem, który mógł najgroźniejsze spowodować skutki.

Kończymy nasz opis Wysokiego wiadomościami statystycznymi, które może później przydać się komuś będą mogły.

Dobra Wysokie składają się z folwarków Wysokie, Słupno, Nowydwór, Zofijówka, Giełczew i Kajetanów, z osady Wysokie i wsiów Dragany, Słupeczno, Maciejów stary, Maciejów nowy i Giełczew. Cztery pierwsze folwarki mają ziemię pszenną wyborną, a dwa ostatnie żytnią dobrą. Lasów mają $\frac{1}{3}$ część rozległości, ale ze starodrzewów wyniszczonych, łąk mało i wcale nieosobliwych. Włościanie z Dragan i Słupeczna oraz z dwóch Maciejów, pracowici, poczciwi, ale niezamożni; z Giełczwi mają się lepiej i są więcej przemyślni. Osadnicy z miasteczka prawie wszyscy biedni. Hr. Karnicki dał za te dobra w roku 1839 złp. 920,000; dziś one są daleko więcej war-

te, ze względu na podwyższoną wartość ziemi. Położenie Wysokiego śliczne, górzyste. Pałac, a raczej jedna z oficyn dawnego pałacu, znajduje się wśród pięknego lasu, poniżej ogród owocowy, a od miasteczka aż do folwarku droga prosta i szeroka obsadzona dwoma rzędami wyniosłych topoli. Nowydwór w niskim położeniu, smutny i ponury; Giełczew, chociaż górzysta, nie odznacza się jednak przyjemnym położeniem.

A teraz wyznajemy wam, czytelnicy, nasze osobiste sympatyje. W Wysokiem upłynęło nam kilka przyjemnych chwil młodości, staraliśmy się więc odplacić mu za to przekazaniem późniejszym czasom jego historii. Szukaliśmy jej po starych księgach, po zakurzonych dokumentach, i co mogliśmy zebrać, to wiernie podajemy, w przekonaniu że spłacamy dług obowiązku i przyczyniamy się choć w małej części do owego opisu starożytnej Polski, o którym na wstępie marzyliśmy.

Antoni Wieniarski.

GENERAL DUFOUR.

Wilhelm Henryk Dufour urodził się 17 września 1787 roku w Konstancyi, dokąd rodzice jego wyemigrowali ze Szwajcaryi. Przeznaczony na prawnika, gdy z rodzicami osiadł w Genewie, rzucił się z wewnętrzznego powołania do zawodu wojskowego. Pierwsze wychowanie młody Dufour odebrał w szkole politechnicznej paryzkiej, gdyż Genewa należała wtedy do cesarstwa francuzkiego. Ukończywszy chlubnie nauki, otrzymał stopień inżyniera-porucznika i rozpoczął swą działalność fachową ulepszeniem fortyfikacji Korfu, której to pracy dokonał, mimo niepokojenia jej przez statki angielskie.

Roku 1814 powrócił do Francyi i w czasie „studni” bronił warowni Ecluse w dolinie Rodanu przeciw generałowi austryackiemu Frimont. Gdy w roku 1815 Genewa została znów powróconą Szwajcaryi, Dufour opuścił służbę francuzką i wstąpił do armii związku helweckiego, jako oficer inżynierii. Ostatnie lat dziesiątki skołały wielce organizacją wojskową Szwajcaryi i myślano o jej podźwignieniu; ka-

pitan Dufour był jednym z najgorliwszych stronników scentralizowania władzy wojskowej, które też, dzięki zabiegłości jego, zostało w czyn wprowadzonym. Mianowany podpułkownikiem, objął kierunek szkoły wojskowej w Thun i został wkrótce duszą tego zakładu.

Około roku 1830 Dufour, w stopniu pułkownika, zajął miejsce zmarłego Finslera, jako generał-kwartermistrz armii związkowej. Na stanowisku tém tak skutecznie przedsięwziął reformy, że postawił Szwajcaryą w możności zgromadzenia w razie wojny 100,000 ludzi, bez potrzeby utrzymywania armii stałej. Prócz tego przykładał się czynnie do wydawania wielkiej karty topograficznej Szwajcaryi, którą pod względem wy-czerpania szczegółów terytorjalnych całego kraju uważać można za wzorową. Znakomitą sławę zjednał sobie już poprzednio jako pisarz wojskowy, wydaniem swój „Taktyki” i dzieła „O fortyfikacji” (1824), za które cesarz Aleksander I ofiarował mu miejsce generał-majora w służbie rosyjskiej, czego jednak Dufour nie przyjął.

Żyjąc jak Cyncynat w ustroniu, zdala od zabiegów stronnicych, otrzymał w roku 1847, podczas zamieszek szwajcarskich znanych pod imieniem wojny Sonderbundu, wezwanie władzy kantonu Bernu, do objęcia naczelnego dowództwa nad wojskiem egzekucyjnym, wystawionym przez kantony radykalne przeciw kantonom konserwatystowskim. Stary wojak napoleoński przewidział od razu czego tu potrzeba. Nie ulegając naciskowi przywódców partyi

podżegniętego duchem stronnicych. W podobny sposób Dufour opanował kanton Zug, i wtedy dopiero, skupiwszy wszystkie swe siły koło Lucerny, 23 listopada uderzył przemocą na armię Sonderbundu, pod generałem Salis Soglio. Walka nie trwała długo, i mimo silnej kanonady, kilkadziesiąt tylko kosztowała ofiar. Wojska Sonderbundu cofnęły się w Alpy, i widząc bezskuteczność dalszego oporu, zakończyły przez kapitulację tę wojnę bratobójczą, któ-



Generał Dufour.

radykalnej, rozkazał przed rozpoczęciem kroków zaczepnych ćwiczyć milicję przez sześć tygodni w robieniu bronią i strzelaniu. Tym tylko sposobem spodziewał się zakończyć wojnę domową szybko i bez wielkiego krwi rozlewu. Skutek też w zupełności przewidywaniom jego odpowiedział. Przez zręczne kombinacje strategiczne otoczył najprzód Fryburg w 25,000 ludzi i zmusił rząd tameczny po małej utarczce do kapitulacji; nieszczęściem jednak nie zdołał zapobiedz nadużyciom ze strony żołdactwa,

ra jednemu tylko Dufour'owi zasłużoną zjednała chwałę.

Roku 1857, w czasie zawikłań o księstwo neftsztelskie, grożących wojną z Prusami, Dufour powtórnie stanął na czele armii związkowej; tym razem jednak dyplomacya rozplątała węzeł nieporozumień. Nakoniec w r. b. 1859 objął poraż trzeci dowództwo wojsk szwajcarskich, i zdaje się że rola jego w rozpoczętej obecnie wojnie nie będzie bezczynną.

Dufour jest patriotą w najszlachetniejszym zna-

czeniu tego wyrazu; nie biorąc udziału w zabiegach stronnictw, umiał pozyskać miłość i szacunek całego narodu. Życie jego prywatne nacechowane jest republikańską prostotą, a powierzchowność nie odznacza się marsowatością właściwą starym żołnierzom, nie nosi bowiem ani wąsów, ani faworytów. Niektórzy

znajdują w nim podobieństwo z Lafayette'm. Nauka i uciechy rodzinne zapełniają dnię jego w ustroniu wiejskiem jakie posiada w Sabaudyi, lub w skromnym choć gustownie urządzonej domku niedaleko Genewy, z którego ostatnie dopiero wypadki na nowo go wywiiodły.

POMNIKI I ZABYTKI NAPOLEOŃSKIE.

Pomiędzy pomnikami z epoki napoleońskiej, których stawianiem lub naprawą zajmuje się dzisiejszy cesarz Francuzów, jedno z pierwszych miejsc należy się świeżo ukończonemu, pięknemu nagrobkowi, jaki Napoleon III postawił swęj matce, królowej Hortensyi, w starym kościele w Rueil. Kościół ten, zasługujący na uwagę dla swojego wspaniałego portyku, oraz nagrobków cesarzowej Józefiny i jej córki Hortensyi, odnowiony został przez kardynała Richelieu, do którego posiadłości zamek Rueil należał. Teraz powtórnie, kosztem listy cywilnej, odnowiono stary ten i zajmujący gmach, staraniem utalentowanych budowniczych Lacroix i Maguin, którzy plany restauracyjne doskonale zastosowali do stylu pierwotnej budowy. Nowy pomnik, poświęcony przez cesarza pamięci matki, jest z białego marmuru i wyobraża tę nieszczęśliwą królowę na klęczkach modlącą się, z pokorą i poddaniem się, które to dwa uczucia najlepiej charakteryzują całe jej życie. Naprzeciw pomnika tego stoi nagrobek cesarzowej Józefiny, dłuta Cartellier'a; widzimy tu piękną cesarzową, klęczącą z książką od nabożeństwa w ręku. Na grobowcu czytamy lakoniczny nadpis, że jej dzieci, Eugeniusz i Hortensya, wystawiły go w roku 1825. Z powodu tych smutnych a wiele znaczących pamiątek, kościół w Rueil stał się główną świątynią nabożeństwa napoleońskiego. Położony w bliskości zamku Malmaison, ulubionem miejscu pobytu Józefiny, gdzie przepędziła ostatnie lata życia w samotnem rozmyślaniu o świetnej przeszłości, kościół ten był często powiernikiem boleści jej serca ciężko zranionego. Obecnie cesarz tu odprawiać każe coroczne nabożeństwo żałobne za dusze cesarzowej Józefiny i królowej Hortensyi. Po raz pierwszy miało ono miejsce 6 października 1857 r. Ponieważ Rueil leży w bliz-

kości Paryża, na nabożeństwo to zebrała się liczna publiczność, zwłaszcza wszyscy starzy słudzy Napoleona I i Józefiny, między którymi była téż żyjąca jeszcze jedna dama honorowa królowej Hortensyi.

Obecnie także cesarz każe stawiać na wyspie Martynice posąg cesarzowej Józefiny.

Przyjąwszy na się posłannictwo zbieracza pamiątek napoleońskich; Ludwik Napoleon założył bardzo zajmujące muzeum napoleońskie w Luwrze. Muzeum to, zwane także salą cesarską, tworzy jeden wydział w otwartęj roku 1855 galeryi luwrskiej czyli sali panujących, mieszczącęj w sobie pamiątki królów francuzkich, od Chilperyka i Dagoberta, aż do Napoleona Igo. I tu widać wyraźną dążność powiązania najściślejszego drogich szczątków Napoleonizmu, z pamiątkami wcześniejszych dynastji francuzkich, aby tym sposobem stawić przed oczy nieprzerwany ciąg prawych monarchów Francyi, od najdawniejszych do najnowszych czasów.

Przełglądając najprzód muzeum panujących i porównywając z sobą przedmioty mieszczące się w tym przepysznym składzie pamiątek historycznych, zda ci się że jesteś na wystawie przemysłowej insygniów królewskich, która z całą tą zbieraniną różnobarwnych a błyszczących rupieci jest jakby dopełnieniem poważnych, marmurowych grobowców królewskich w St. Denis. Tron Dagoberta, na którym musiało być niezwykle twardo siedzieć, żelazna korona Hunalda, dla której ozdoby starczyło kilka gwoździ w pałk zgiętych, stawiają nam przed oczyma owe dobre, praktyczne czasy królewkości, w których przyrzady władzy niewiele kosztowały, a marmur i żelazo dostatecznym były materiałem do podparcia rządu. Pomiędzy osamotnioną, przerażającęj prostoty koroną żelazną Hunalda, a pyszną, bogato oprawną szpadą

i miękkim siedzeniem Ludwika XVI, historyk widzi cały szereg cierpień, wzrastających z przepychem królewskości, a gdy dopełniła się ich miara, spadających na głowę nieszczęśliwego króla. Na boku leżą narzędzia ślusarskie, któremi biedny Ludwik XVI, jako szczerzy przyjaciel prac ludu, zwykł był wyrabiać różne przedmioty z żelaza. Pokazują do dzisiaj w pałacu Fontainebleau pokój królowej Maryi Antoniny, w którym szruby okien są roboty Ludwika XVI. Szruby te, wyrobione ze stali niebieskiej i ślicznie pozłacane, wprowadzają na myśl, że król Ludwik mógłby być bardzo zdolnym i poczciwym rzemieślnikiem, narzędzia bowiem przechowywane w Luwrze nie służyły bynajmniej do zabawki pańskiej, ale do usilnej i gorliwej pracy, i noszą na sobie wyraźne ślady częstego używania. Opoдал od warstatu ślusarskiego leży trzewik pięknej Maryi Antoniny, z materyi jedwabnej, z nosem spiczastym, na wysokim obcasie i niebardzo mały. Pokazuje to, że nadzwyczajna piękność kształtów, którą pospolicie przypisują królowej Maryi Antoninie, nie rozciągała się aż do jej nówek. Jeden ten trzewik, od którego drugi zdaje się jakoby zginął podczas ucieczki lub winnym położeniu tragicznym, budzi w patrzącym uczucia smutne, posępne: przypomina opłakany koniec ślicznej kobiety, dawniejszej jego właścicielki. Skromna ta relikwia jest rozczulającym szczątkiem królestwa francuzkiego, co zstąpiło do grobu na zawsze. Dołączmy do trzewika Maryi Antoniny parasol Ludwika Filipa, pod którym król-mieszczanin umykał podczas mglistej nocy roku 1848 z pałacu Tuilleries, a mieć będziemy ostatnie symbole upadającej władzy królewskiej we Francji.

Na tych pamiątkach kończą się czasy stariej legitymicy, i nagle przeniesieni jesteśmy do napoleońskiej sali cesarskiej, w której Ludwik Napoleon zebrał wszystkie przedmioty z ważniejszych epok życia Napoleona I. Za pierwszym spojrzeniem widzisz przed sobą inną sferę panowania, w której stara legitymicy powołana jest do życia na innych warunkach. Nowa ta legitymicy орежа otacza się świetnymi trofeami wojennymi. Najprzód zwracają oczy pyszne siodła wschodnie, których używał Napoleon podczas wyprawy do Egiptu: błyszczą one od złota, purpury i drogich kamieni. Młody bohater przebiega na nich pustynie egipskie, odnosi świetne zwycięstwa, które do jego skroni przyczepiają na zawsze wieniec sławy niepożytej. Obok tego przepychu wojownika, widzisz liche łoża obozowe, prosty stół do pisania, świadczące że wielki wojownik umiał znosić

niedostatek prostego żołnierza. Dalej widzimy całą tę historyczną garderobę, po której poznajemy znakomitsze epoki życia Napoleona Wielkiego. Obok mundurów pierwszego konsula, wisi pyszna tunika z białego atłasu, złotem haftowana, którą często nosić lubił Napoleon, a obok korony monarchii powszechnej Karola Wielkiego, widzisz tę którą Napoleon włożył na swą głowę, przyjmawszy namaszczenie na imperatora. Płaszcz purpurowy, bogato wyszywany złotem i ozdobiony gwiazdą cesarską, wraz z wielą innymi mundurami dworskimi, należy do świetnych czasów cesarstwa. Kapelusz którego cesarz używał podczas kampanii 1814 r. przenosi myśl ku czasom mniej pomyslnym i jest jakoby przejściem do wiszącego opoдал złowrogiego kapelusza czarnego, który Napoleon nosił przybywszy na wyspę św. Heleny. Kapelusz ten, nieco większy od zwyczajnego, ma jakąś nieszczęśliwą formę, i wraz z innymi częściami toalety wyspy św. Heleny bardzo niekorzystne wrażenie sprawia na umyśle widza. Pospolity, mieszczański kapelusz okrągły, którego cesarz zwykle nosił na wyspie, świadczyć się zdaje, że bohater ten, gasnący w powolnym zapomnieniu, od czasu jak go strącono z olimpijskiej wysokości dziejów, skazany został na prowadzenie pospolitego, mieszczańskiego życia, na odbywanie regularnych przechadzek poobiednich, dla ułatwienia strawności i na stłumienie w swjej piersi wiecznie budzącego się ducha zaborów.

Inna jeszcze strona, bardziej tragiczna, dziejów Napoleona na wyspie św. Heleny, zakończonych śmiercią bohatera, znajduje w muzeum smutną przedstawicielkę. Jest nią chustka Napoleona, którą ocierano śmiertelny pot z twarzy konającego cesarza: widzimy na niej ciemne piętna, pochodzące z ostatnich chwil pasowania się wielkiego imperatora ze śmiercią. Ciemne, nieco brudne krople potu na chustce cesarza, oto ostatni ślad jego ziemskiego istnienia!

Niedaleko od tej chustki śmiertelnej widzimy świeży, młodzieńczy wizerunek, który nagle przenosi nas do pierwszych czasów młodości Napoleona. Widzimy w tej starożytnych rysów głowie, z krótko obstrzyżonym włosiem, pierwotne wielkie zdolności przyszłego bohatera. Linie śmiałe, jakby ulane z brązu, są niejako przedmową do bohaterkiej księgi, co wkrótce ma roztoczyć swe karty majestatyczne, na których spisane są dzieje świata. Jak mało ta genialna natura odrodziła się w synu Napoleona, mamy jakoby wskazówkę w sali cesarskiej, gdzie pomiędzy relikwiami napoleońskimi widzimy zabawki króla rzymskiego i małą czapeczkę dziecinną, którą niegdyś nosił.

Dzisiejszy cesarz Francuzów jedyne pamiątki po Napoleonie II napotkał tylko w garderobie dziecinną. Czyżby już nie było godniejszych śladów istnienia nieszczęśliwego księcia Reichstadt? Należało przynajmniej zachować który z jego liścików miłosnych do tancerki Fanny Elsler! Że muzeum napoleońskie mieści po nim jedynie zabawki i czapeczkę dziecinną, jest to zbyt krwawą ironią z niedojrzałości charakteru nieszczęśliwego młodziana.

Najtrwalszym zresztą ze wszystkich pomników napoleońskich będących w tém muzeum, jest piękny, na pergaminie drukowany egzemplarz Kodeksu Napoleona, w przepysznej oprawie. Chwała prawodawcy walczy o pierwszeństwo ze sławą wojownika, aby uczynić nieśmiertelnym imię Napoleona! Obok leżą księgi matematyczne, często przez Napoleona używane. Egzemplarz poezyj Ossyana, ulubionego poety Napoleona, świadczy o chaotycznych żywiołach tej

natury, w której wysoka poetyczność łączyła się z duchem praktycznym, prawodawczym i matematycznym.

Od niejakiego czasu publiczność tłumnie zwidza muzeum napoleońskie. Spotykamy tu mnóstwo osób z prowincyi, które ze czcią religijną patrzą na te przedmioty historyi napoleońskiej. Pomiedzy wieśniactwem francuzkiem dość pospolita jest opinia, że dziś panujący cesarz Napoleon, jest jeszcze ten sam stary bohater, co na czele swój armii przebiegał zwycięzko całą Europę, a którego śmierć na wyspie św. Heleny stała się mytem ludowym, upoetyzowanym w tajemniczych klechdach. Zapewniają przynajmniej, że ta mistyczna dźwignia miała grać rolę w pozyskaniu siedmiu millionów głosów, które oświadczyły się za wyborem cesarza Napoleona III, gdyż w wielu gminach francuzkich przeważało przesądne przekonanie, iż chodziło o powtórne wyniesienie na tron Francyi starego Napoleona.

BENARES.

Święte miasto Braminów, Benares albo Waranasi, leżące w powiecie tegoż nazwiska, prowincyi Allahabad, zarówno zasługuje na uwagę ze swych starożytności i świętości jaką mu przypisują wyznawcy Bramy, jako i z osobliwszej architektury, bogactwa i niezliczonej liczby mieszkańców. Leży na lewym brzegu Gangesu, ciągnąc się wzdłuż niego na kilka godzin drogi. Właściwe miasto zbudowane jest na wzgórzu 30 stóp wznoszącym się nad rzekę, do której schodzi się po szerokich schodach, ciągnących się między fantastycznymi gmachami najdziwaczniejszej struktury. Bez ładu rozrzucone, olbrzymie budynki, niektóre są tak wysokie i o tak grubych murach, że można je wziąć za fortece; tu i owdzie spotykasz małe pagody, za którymi wznoszą się siedmio-piętrowe kamienice, ozdobione gotyckimi krużgankami, wieżycami, łukami, balkonami, balustradami i kopułami, w smaku różnych epok. Od czasu zawojowania miasta przez Aurengzeba, mahometanie zaprowadzili swoją architekturę lekką i elegancką, i wysmukłe minarety wznoszące się na meczetach, dziwnie odbijają od starożytnych, ciężkiego stylu świątyń bramińskich. Pomimo że w dawnych czasach ogromne sum-

my trwoniono na budowę gmachów publicznych, Benares nie posiada ani jednej tak wspaniałej świątyni, jakie widzimy w innych miastach Indyj, a sławna świątynia Mahadewa, którą corocznie zwidza miliony pielgrzymów indyjskich, przy której książęta i bogatsi mieszkańcy Indyj utrzymują swoich wakil (posłów), aby za nich modlili się i odprawiali ceremonie pielgrzymstwa, bynajmniej nie może nazwać się wspaniałym, imponującym gmachem. Całość wielkiego miasta składa się z niezliczonej ilości drobnych szczegółów, które rozrzucone bez planu, malowniczo przedstawiają widok. Pomiedzy budynkami, pełnymi dziwactw fantazyi, niektóre odznaczają się czystym smakiem, a małe, stare pagody, które dostrzegasz w każdym kierunku, są zadziwiającej piękności.

Pokrywające je bogate płaskorzeźby z kamienia świadczą o niepospolitym talencie artysty który je stawiał, a prawie wszystkie domy miasta zbudowane są w lepszym smaku niżeli w innych miastach indyjskich. Ozdoby, rzeźbione z drzewa i kamienia na fasadach domów, przypominają bardzo Wenecyę, z którą Benares w ogólności ma wiele podobieństwa.

Widok na miasto od strony rzeki jest piękny, ma-



Benares

lowniczy i nie nużący oka. Pomiedzy wieżycami i pałacami widzisz świątynie, seraje i bazary, które ciągną się ku wnętrzu miasta. Tu, przez otwarte wrota podwórza i tarasu, widzisz wewnątrz mieszkania bogacza, tam kręcą się długie klasztorne korytarze, prowadzące do okrytych nieprzedartą zasłoną tajemnic Sinanah; ówdzie sterczą ponure gmachy, niby strażnice grodów średniowiecznych. Brzegi rzeki wyłożone są schodami marmurowemi, po których zstępuje się do świętej kąpieli w Gangesie. Pełno tam jest ludzi w każdej godzinie dnia, a w każdym zakątku brzegu stoją na kotwicy łodzie i statki wszelkich form i gatunków. Żaden opis nie da wyobrażenia o tym widoku wyłącznie miejscowym, jakiego inne okolice Wschodu nie przedstawiają wzoru; jakkolwiek bowiem ma on charakter wschodni, różni się bardzo od wszystkiego co widzieć można w Indyach. Tylko długi szereg obrazów mógłby dać dokładne pojęcie owej mieszaniny piękna i dziwacznej fantastyczności, która cechuje miasto ciągnące się nad Gangesem.

Niewiele Europejczyków odważyło się stale zamieszkać w tém mieście o wązkich ulicach, przepelnionych ludnością. Załoga angielska i urzędnicy cywilni mieszkają w Secrole, pół mili drogi za wrotami miasta, gdzie trzymają straż trzy pułki sipajów, pułk jazdy i bateria artylerji. Zaraz za koszarami droga wiodąca do świętych przybytków braminizmu jest bardzo zajmująca; widać tu szereg pięknych mauzoleów mahometańskich i wysmukłe wieżycy meczetu cesarza Aurengzeba, który nie zdołał wstrząsnąć posad stariej wiary indyjskiej. Wszelako napływ obcej ludności znacznie złagodził drażliwość przesądów indyjskich; dziś na przykład Indyanie obojętnie patrzą, że tuż obok ich miejsc poświęconych stoją angielskie jatki rzeźnicze, chociaż w pierwszych czasach po zajęciu miasta Anglicy nie śmieli zabijać świętych wołów i cieląt, aby nie oburzyć na siebie ludu. Przed wrotami miasta ciągnie się długie przedmieście, zabudowane wałacemi się ruderami w cieniu drzew i krzewów. Tu zwykle zatrzymują się powozy europejskie, bo w mieście używać ich nie wolno; trzeba jeździć albo na słońiach, albo na koniach, a najczęściej chodzić piechotą, bo w wielu miejscach ulice literalnie są zabarykadowane przez tłumy świętych byków, małp, fakirów, żebraków, chorych i t. p.

O świcie Benares jest cichsze niż większa część wielkich miast: wszystkie domy pozamykane, a bramy otoczone łańcuchami; wązkie ulice są czystsze, a powietrze chłodniejsze niżby spodziewać się można było po takiej ciasnocie. Święte byki przechadzają

się po ulicach, małpy skaczą po balustradach, a stada gołębi i papug swobodnie siadają na placach i domach. Powoli ukazują się kapłani idący do swoich świątyń i wierni niosący wodę świętą z Gangesu do różnych pagód. Przed drzwiami świątyń stoją przekupnie, sprzedający długie girlandy z kwiatów białych, różowych i żółtych, któremi pobożni zaścielają posadzkę świątyni. Następnie otwierają kramy i wszczyna się na rynkach wrzawa, około godziny 10 dochodząca do swego szczytu. Wedle zwyczaju zachowywanego w Indostanie, kramarze nie pokazują bogatych towarów któremi miasto jest przepelnione, i tylko w warstatach krawieckich oglądać można kosztowne wyroby krajów ościennych. W kramach moździerzy widzisz różnego gatunku naczynia, częścią do posługi kościelnej służące; na ulicach siedzą wekslarze, a obok nich leżą worki pełne srebrnej i miedzianej monety; dalej cukiernicy, farbiarze i inni przemysłowcy pod gołym niebem prowadzą handel.

Benares do dziś dnia słynie z uczoności, choć nie tak wielkiej jaką być miała do czasów zaboru mahometańskiego; w kolegiach indyjskich bramini kształcą do 4000 uczniów, ale nie są tak biegli w sanskrycie, jakby spodziewać się można było po wielkich zapomagach, któremi rząd angielski wspiera te instytucje. Obserwatorium stoi wprawdzie, ale pozbawione astronomów: jest tylko olbrzymim pomnikiem wielkiego zapału do nauk w czasach dawniejszych. Odkrycia czasów nowszych, które, lubo zwolna, poczynili astronomowie wschodni, nieprzydatnym zrobiły ten gmach, chylący się do upadku, szczególnież odkąd radża Benares przestał wspierać go zasiłkami pieniężnymi.

Benares ma do 600,000 mieszkańców, z których wielu jest bardzo bogatych. Znaczna liczba książąt i panów indyjskich ma własne domy w świętym mieście, które zarazem jest miejscem schronienia detronizowanych królów, uzurpatorów i powstańców, oraz ludzi pobożnych, co resztę życia chcą przepędzić w świętych jego murach. Ubożsi pielgrzymi ze wszystkich stron Indji przybywają tu, aby się obmyć w świętych wodach Gangesu.

Dawniej więcej niż w innych częściach Indji palono tu na stosach wdowy; ale rząd angielski zniósł ten zwyczaj barbarzyński, na co bardzo użalały się damy tutejsze; wychowane bowiem w zbytku i próżniactwie, podwójnie czują ciężar wdowieństwa. Od czasu zakazu palenia wdów, uważają w Indyach za rzecz nieprzyzwoitą, jeżeli wdowa po ósmiu latach

żałoby okazał się w zdrowiu kwitnącym; powinna, wskutek ciągłych postów i umartwień, wyglądać chorowicie i przedwcześnie starzec. Nie godzi się jej zbytkować w strojach, a choćby była z najwyższej kasty, powinna wypełniać roboty niewolnicze, bez względu na to, że dawniej przywykła do posługiwania się mnóstwem domowników.

Handel i rzemiosła kwitną w Benares. Prócz rozległego handlu dyamentów, pereł i drogich kamieni, są w mieście liczne rękodzielnie tkanin srebrnych i złotych, zwanych tu *kinkob*, w które odziewają się w dni uroczyste wszystkie klasy Indostanu, zarówno mahometanie jak Indyanie, i których europejskie bawełniane wyroby fabryczne zastąpić nie mogą. Prześlicznej roboty szale, chustki, makaty i złotogłów wywożą nawet do Anglii, gdzie wyroby te, z powodu osobliwego blasku, wielce są szacowane, chociaż nie mogą iść w porównanie z świetnymi tkaninami które tu wyrabiają na turbany. Prócz tego Benares słynie na Wschodzie z wyrobu cacek z gliny i drzewa, jak Norymberga w Europie. Wyrabiane tu lalki oddają do świątyni, jako wota i posążki bogów. Radża Benares, który wszelką władzę po przodkach utracił, lubo pozostał wierny Anglikom w czasie ostatniej wojny indyjskiej, zachował tylko tytuł księcia i pobiera odpowiednią tej godności pensją. Mieszka w Ramnagur, warownym zamku w bliskości Benares; ma także niedaleko koszar angielskich zbudowany w smaku angielskim pałac, w którym wydaje uczyty dla Europejczyków w czasie wielkich świąt indyjskich. Do ozdoby uczt takich należą tańce bajaderek (*notsz*), wykonywane z wielką doskonałością. Tancerki zaczynają od śpiewu: podnoszą głos do najwyższego tonu, piszcząc jak można najdłużej, o modulacyi zaś głosu nie mają żadnego wyobrażenia. Niewiele lepsze od

śpiewu są narzędzia muzyczne, któremi sobie akompaniują: składają się one z dwóch dziwnego kształtu gitar i tamburyńka, którego dźwięki od czasu do czasu mieszają ze swym piskiem żalnym. Ich tańiec jeszcze jest dziwaczniejszy: nie podnoszą nigdy nóg od ziemi, tylko suwają niemi tu i owdzie, podnoszą w górę ramiona, to odsłaniają, to znowu zasłaniają twarze, suwając się to naprzód, to wtył, to opisując koła. Tańiec taki powtarza się z wieczną jednostajnością, dopóki pierwsze pary tancerek nie ustąpią miejsca innym, które rozpoczynają na nowo też same poruszenia i obroty. Europejczyka prędko znudzi to widowisko, ale Indyanin cierpliwie siedzi od wieczora do świtu i nie może się nasycić widokiem bajaderek, które przez noc całą zmieniają się w tańcu. U bogatszych Indyan notsz taki zwykle kończy się pysznymi fajerwerkami, które sztukmistrze krajowi doprowadzili do największej doskonałości.

Nigdzie tak okazale nie obchodzą uroczystości indyjskich, jak w Benares, zwłaszcza też święto zwane *Duwalli*. Wieczorem zapalają lampy gliniane, napełnione oliwą, i stawiają je jedne przy drugich, na wszystkich występach wszystkich budynków, tak iż domy, pałace, świątynie, wieżycy, zdają się z gwiazd ułożone. Europejczycy zwykli wtedy wozić się w łodziach na rzecę pod miastem, napawając się uroczym widokiem. Linie wszystkich gmachów zdają się być nakreślone ogniem, a całe miasto ma postać stolicy króla płomieni! Indyanie są przekonania, że co się powiedzie w wilię tej uroczystości, cały rok będzie się wiodło; z tego powodu w dniu tym próbują szczęścia gracze, rzemieślnicy pilnie zajmują się robotą, inni uczują i piją, aby przez rok cały dobrze jeść i pić mogli.

PODRÓŻ

ŁADEM Z NOWEGO ORLEANU DO KALIFORNII.

We wszystkich krajach środkowej Europy przyroda ma rozmiary tak ograniczone, że mieszkańcowi ich trudno sobie wystawić niezmierne puszcze, olbrzymie góry i do mórz podobne jeziora nowego świata. Ogromne przestrzenie ziemi nieuprawnnej oczekują tam pracy rąk ludzkich, bezdrożne lasy zamieszkują jedy-

nie bawół i antylopa, majestatyczne jeziora, przy których nasze zdają się być stawkami, zaledwie kiedy niekiedy przepływa łódka rybaka. Ku tym obrazom bez końca niewidzialna siła ciągnie ludność starego społeczeństwa; w tę stronę dążą hartowni synowie pracy, dla zdobycia sobie dostatków i niezawisłości.

W ostatnich czasach, obok pojęty wyrobienia sobie przez pracę niezawisłego stanowiska, stała żądza złota, trawiąca, nienasycona. Nie idzie tu już o byt niezależny, trudem uczciwym zdobyty, gdyż żądza prędkiego wzbogacenia się i skorego użycia zebranych skarbów ogarnęła umysły: Kalifornia i Australia stały się hasłem nowych rycerzy złotego runa.

W końcu roku 1849 mieszkał w Nowym Orleanie młody kupiec, człowiek ukształcony i starannie wychowany, syn zamożnych rodziców, pochodzących z południowej Karoliny. Interesa jego, jak na początkującego, szły dobrze, a pracą i wytrwałością mógł z czasem przyjść do znacznego majątku. Główny prąd emigracji do Kalifornii szedł wtedy na Nowy Orlean i gorączka złota przejeżdżających przezeń wychodźców udzielała się w części i stałym jego mieszkańcom. Charakterystyczną cechą tej nowej wyprawy argonautów, był brak prawie zupełny kobiet, i tym właśnie wychodźstwo do Kalifornii różniło się od innych emigracji, gdzie mąż liczy głównie na pomoc i pociechę towarzyszącej mu żony. Cóż jednak mogły mieć wspólnego czule kobiety i słabe dzieci, z olbrzymim wysileniem i trudami oczekującymi poszukiwaczy drogiego metalu w kopalniach ziemi złotodajnej? Mężczyźni też gotujący się do znoszenia tylu cierpień i ponoszenia takiej pracy, woleli zostawić w domu kobiety, ufając szczęśliwej gwiazdzie, że wkrótce w nagrodę swjej wytrwałości powrócą z bogaceniami i podzielą się z niemi roskoszami zbytku, który daje krwawym potem zdobyty kruszec.

Między udającymi się lub wracającymi z Kalifornii było wielu przyjaciół i znajomych p. Edwardson, młodego kupca o którym wspomnieliśmy. Wszyscy jednogłośnie byli tego zdania, że kupiec przedsiębiorczy, przybywający z małym tylko kapitałem do San Francisco, byle posiadał kredyt i stosunki handlowe, w krótkim bardzo czasie millionów dorobić się może. Umysł młodego człowieka zajęły mocno te ciągle powtarzane rozgłosy. Nie tyle go jednak ujęła strona materyalna, ile poetyczna podróż rzeką Mississippi, następnie przez nieprzejrzaną okiem łąki, stepy, góry i lasy, przez miejsca zupełnie puste lub zamieszkałe tylko przez dzikich. Uśmiechało mu się w perspektywie życie koczujące, pełne przygód; młodzieńca chciwego czynu łądziły marzenia o polowaniu na dziką i niedźwiedzia, o krwawych starciach z przebiegłymi synami lasów.

Urządziwszy więc swoje interesa pieniężne i dobrawszy trzech podobnego swemu usposobienia przyjaciół, p. Edwardson 8 kwietnia siadł na statek pa-

rowy, kursujący między St. Louis i Nowym Orleanem. Miasta te oddalone są od siebie o 175 mil polskich. Statek był przepełniony podróżnikami; niektórzy udawali się do Kalifornii, inni do Stanów zachodnich. Można ich było łatwo od siebie odróżnić, bo ostatni mieli po większej części przy sobie rodziny. W tej porze roku piękny był widok rzeki Mississippi, tego ojca wód, jak go nazywają Amerykanie. Zrzuciwszy niedawno lodowatą pokrowę, rzeka wspaniale toczyła swe nurty, i gdyby nie prąd jej silny, wydałaby się raczej wielkim jeziorem, brzegów jej bowiem miejscami najbystrzejsze oko dostrzedz nie było w stanie. Tu i owdzie w oddali sterczały wierzchołki domów i drzew, a na kępach pasły się trzody bydła i owiec. Łódki krążące nieustannie między owemi domami i kępami, dowodziły że i tu żyje człowiek w stanie społeczeńskim. Był to na małą skalę obraz potopu w pierwszych jego fazach, osobliwie gdy po ulewnym deszczu tęcza objęła w swe ramiona krańce wodnego horyzontu. Na widok cudnej tej przyrody serca podróżnych napełniały się nadzieją i posepność znikła z twarzy wielu, co niedawno porzucili wszystko co mieli najdroższego na świecie.

Niedługo to jednak potrwało. Drugiego dnia podróży zjawiała się na statku cholera; zabrano ją z sobą z Nowego Orleanu, gdzie panowała od dni kilku. Wielkie to zrobiło wrażenie na parostatku, który unosił z sobą zarówno troski jak i nadzieje podróżnych.

Pasażerowie lubili bardzo jednego z kelnerów restauratora, młodego, rzeźwego murzyna. Przy obiedzie zapytano go czy nie obawiał się cholery w czasie postoju w Nowym Orleanie. „Nie,” odpowiedział chłopiec, „wszystko mi jedno, czy dziś, czy jutro umierać.” Nazajutrz przy herbacie nie było Imma. „Im, gdzieżeś chłopcze?” odezwały się różne głosy. Nikt nie odpowiedział. Biedak w nocy umarł na cholere i w ciągu dnia oddano ciało jego na pastwę rybom Mississippi. Nielitościwa śmierć rozerwała węzły kilku młodych małżeństw, płynących z wiarą i nadzieją w przyszłość do nowej swojej ojczyzny. Spodziewali się przepędzić długie lata pracy i miłości wzajemnej, a pasmo tych marzeń tak prędko przeciętym zostało. Pierwszy zakład miłości jednego ubogiego stadła zabrała cholera, a kilkoro dzieci przy piersi zostało sierotami bez schronienia i opieki. Los jednej rodziny mocno zajął towarzystwo pasażerów. Składała się ona z ojca sędziwego i matki, czerstwego i pięknego młodziana i ładnej siedemnastoletniej córki. Przybyli z Anglii na wezwanie drugiego syna, osiadłego w Stanie Illinois, który zdobywszy pracą byt dobry, chciał

się nim podzielić z resztą rodzeństwa. Wycierpieli wiele trudów i niewygód, by zadosyć uczynić życzeniu swego serca i szczęśliwie dostali się do Nowego Orleanu. Teraz syn zachorował na cholere i umarł. Było to okropnym dla nich ciosem; lecz za ledwie biedni ochłonęli nieco po tej stracie, gdy zapadli razem ojciec i matka i po kilkogodzinnej chorobie poszli za synem. Pozostała sama nieszczęśliwa dziewczyna, zdawała się upadać pod ciężarem rozpacz. Odrętwienie i obojętność jej zupełna na wszystko co ją otaczało były wymowniejsze od głośnych krzyków innych nieszczęśliwych, którzy mniej bolesne ponieśli straty. Całe towarzystwo wzięło udział w tej niemiej rozpacz, i na proźby młodej dziewczyny skłoniono kapitana statku do zatrzymania się przy jednej z wyseppek. Odezwał się dzwonek pogrzebny i wszyscy podróżni odprowadzili wraz z osieroconą córką zwłoki rodziców jej na wieczny spoczynek. Pochowano je pod samotnie stojącymi nad urwiskiem kilką olbrzymiemi dębami. Dla córki zrobiono hojną składkę i oddano ją w opiekę zacnej rodzinie, udającej się do niedalekiej od zamieszkania brata jej miejscowości.

Podobne sceny złamały nieco energią naszych podróżnych, gdy po sześciodniowej podróży zdrowo przybyli do St. Louis. W tém mieście wychodźcy zaopatrują się zwykle w odzienie, żywność, broń i inne rzeczy potrzebne do dalekiej drogi przez góry i płaszczyny. Tu dopięro, mając tuż przed sobą daleką podróż przez stępy i zasięgnąwszy bliższych wiadomości o niebezpieczeństwach z którymi była połączoną, podróżni nasi, ze względu na brak doświadczenia własnego, zaczęli myśleć o powiększeniu swego towarzystwa. W hotelach miasta wiele pojedynczych osób czekało na sposobność ruszenia w tę samą drogę w liczniejszym towarzystwie. Z tych wybrano kilku, dających p. Edwardson i jego przyjaciółom największą rękomię. Byli w liczbie wybranych: p. Perks, młody wesoły Irlandczyk, pp. Powell, Browne, Wilhelm Meyers, Niemiec bardzo biegły, jak mówił, w sztuce kucharskiej i Williams doktor medycyny. Pierwotne towarzystwo składali, oprócz p. Edwardson, pp. Joe Powell kupiec z Karoliny południowej, Blackwell, człowiek wykształcony i niezależny z Nowego Yorku, podróżujący dla przyjemności i w chęci wzbogacenia wiedzy, oraz Livingston, który odbył już podróże do Meksyku i Teksas i uczestniczył w niejednej dalekiej wyprawie myśliwskiej. Zgodzono się na uformowanie ogólnego kapitału i każdy z należących do ekspedycyi złożył do kassy wspólnej po 60 funtów sterlingów. Kasse powierzono p. Edward-

son. Po tych wstępnych czynnościach zebrano się dla ułożenia prawideł, którym każdy powinien się być poddać w czasie podróży i dla zrobienia spisu potrzebnych przedmiotów. Zaopatrzono się w mąkę, kawę, herbatę, wędliny, rum i dwie kompletne kuchnie podróżne, kupiono dwie bryki, dwa namioty i znaczną ilość powrozów. Każdy wziął z sobą, oprócz zwykłych nowych sukni, kilka par bótów myśliwskich, odzienie ze skóry bawolój i pled szkocki; ten ostatni miał służyć za płaszcz we dnie, a za kołdrę w nocy. Postarali się przedewszystkiem o broń dobrą, niezbędną dla obrony od napadów dzikich Indyan i do polowania, które miało im dostarczać świeżego mięsa w podróży; każdy więc wziął ze sobą dubeltówkę, nóż myśliwski i parę rewolwerów, oraz dostateczny zapas prochu, ołowiu i pistonów. Przygotowania te zajęły dziesięć dni czasu. Nakoniec 25 kwietnia wyruszyli rzeką Missouri do miasta Independence, odległego od St. Louis 112 mil polskich. W czasie tej drugiej podróży woda, cholera towarzyszyła im ciągle. Bystro niosła ich para wzdłuż malowniczych brzegów tej rzeki; nigdzie się nie zatrzymywali, oprócz w jednej wiosce niemieckiej, sławnej z doskonałego wina. Mieszkańcy jej pochodzą z winodajnych okolic Renu i znajdując klimat i glebę po temu, przenieśli w tę strony rodzinne latorośle, które się wyborne przyjęły. Spodziewano się znakomitego rozwoju tej gałęzi przemysłu rolnego na brzegach Missouri.

Cztérodniowa podróż parowcem miała zakres miasteczko zwane Wayne's City, odkąd do Independence, odległego od rzeki o milę, trzeba się było dostać pieszo, ponieważ w tej nędznej mieścinie nie można było znaleźć mułów do przewiezienia wozów ładownych. Miasto Independence zostało tak nazwane przez Mormonów, którzy tu osiedli po wygnaniu ich z Nauvoo, ażeby wkrótce znowu je opuścić. Przepelnione ono było wychodźcami, i mieszkańcy starali się ile możności ciągnąć z nich zyski. Wiedzieli że bez mułów podróżni ani na krok posunąć się nie będą mogli, a dostarczanie takowych było zupełnie w ich ręku. Postanowili więc skorzystać na tém, i cena tych zwierząt poszła nadzwyczaj w górę. Nasi podróżni, dowiedziawszy się że miano muły na sprzedaż na folwarku o cztery mile od miasta, najęli konie, i pp. Edwardson i Powell udali się za kupnem. Pokazano im stado mułów nawpół dzikich, zupełnie nie ujeżdżonych, które mało zdawały się mieć skłonności do ugięcia karku pod jarzmo. Nie było jednak co robić, więc wybrawszy z nich sztuk dwanaście, zapłacili za każdego po 18 funtów sterlingów.

Mieli próbkę trudności, jakie ich w drodze z tą uprzężą czekały, przypatrując się sposobowi ich chwytania. Używano do tego meksykańskiego lasso czyli stryczka, który jeździec w całym pędzie konia zniecka zarzuca na szyję bydłęcia. Sprowadzone do Independence a następnie do Wayne's City, muły te z niemałą mitręgą wprzęgnięte zostały do wozów naszych podróżnych; trudno było także zniewolić je do ruszenia naprzód po nierównej drodze; obznajmieni nawet z ich narowami poganiacze, których najęto na miejscu, niełatwo z nimi trafiali do ładu.

Irlandczyk, który się był przyłączył do towarzystwa, umarł na cholere, co opóźniło o dni kilka wyjazd naszych wędrowców. Nakoniec 1 maja wyruszyli w drogę. Opisanie pochodu tego małego towarzystwa może dać wyobrażenie o trudnościach z jakimi muszą walczyć tysiące wychodźców dążących tą samą drogą i zyskujących nieraz w nagrodę swych wysień, zamiast bogactwa, kalectwo lub śmierć.

Każdy z naszych podróżnych zaopatrzył się z własnej kieszeni w konia wiierzchowego, by podróż odbyć wygodniej. Wielka między nimi była mieszanka na rass; od kudłatego szkockiego kucyka, do szlachetnego meksykańskiego mustanga, przejście było rażące. Do każdego z wozów zaprzężono po trzy pary mułów. Woźnica siedział na mule po lewej stronie dyszla i uzbrojony ogromnym biczem kierował resztą, trzymając w ręku lejce pierwszej pary, a oprócz tego jadący obok konno trzymali uzdeczki pojedynczych mułów, bo łagodności ich nie bardzo można było zaufać.

Jeźdźcy mieli na sobie bluzy czerwone, przepasane szerokim skórzanym pasem, z którego sterczały pistolety i noże myśliwskie; przez plecy wisiała dubeltówka i ładownica. Skórzane spodnie, bóty za kolana i kapelusze z szerokim rondem dokończały ich ubioru. Niektórzy mieli przy sobie psy kosmate nowozelandzkie, inni brytany i wyżły angielskie. Daliśmy umyślnie opisanie stanu w jakim puścili się w drogę, by go później porównać z tym w którym przybyli do Kalifornii.

Pierwszą noc przepędzili pod namiotem, zrobiwszy zaledwie trzy mile polskie, po dobrej dosyć drodze. Nazajutrz przy zaprzęganiu mułów spostrzeżono że p. Edwardson zapadł na cholere. Bardzo to przerażyło towarzystwo, bo każdy czuł, że on był jego duszą i prawdziwym przywódcą. Rozbito na nowo namioty i po trzech godzinach udało się staraniom Dr. Williams wyprowadzić go z niebezpieczeństwa. Zaledwie wyruszyli na nowo, gdy sam doktor zachorował na

odre, co znów opóźniło pochód kilką dniami. W czasie téj przymusowej zwłoki część podróżnych zajęła się ujeżdżaniem mułów, drudzy zaś robili wycieczki w okolicę i przysparzali zapasów upolowanymi sarnami, dzikimi indykami i cietrzewiami. Tu także przekonali się że Herr Wilhelm Meyers nie posiadał szlachetnej sztuki kucharskiej, którą się chlubił, i przestali liczyć na jego talent.

Wyzdrowienie doktora przeciągnęło się długo, i bacząc na czas potrzebny do odbycia całej podróży przed nastąpieniem pory dżdżystej, zgodzono się niechętnie na pozostawienie go na miejscu. Ruszono dalej, a Dr. Williams powrócił do Independence, by tam oczekiwać zupełnego wyzdrowienia. Towarzystwo obiecało mu odbywać podróż bardzo powoli, ażeby je mógł dopędzić, co rzeczywiście czwartego dnia nastąpiło. Był jeszcze bardzo słaby, lecz postanowił, iść za włożonemi do kassy pieniędzmi, chociażby przyszło umrzeć z wycieńczenia.

Wyprawa zdążała prosto ku rzęce Kansas, w górze której znajduje się faktorya wraz z missyą, gdzie rezyduje urzędnik Stanów Zjednoczonych. Po drodze wyprzedzono kilka partyj innych wychodźców, z którymi wymieniwszy zwykłe grzeczności lub uzyskawszy od nich pomoc, postępowano dalej. Pomoc ta nieraz bardzo im się nadała, bo z krnąbrnymi mułami na nierównych drogach niezawsze łatwa była sprawa. Po kilku dniach uciążliwej podróży dostali się do osady przy rzęce Kansas, zrobiwszy 38 mil polskich.

Od kilku dni przyjaciele nasi uważali brak zaufania i zażyłości w towarzyszach którzy się w St. Louis z nimi połączyli. Nieporozumienie wynikło głównie z powodu, że p. Browne żądał by jemu wyłącznie oddano dowództwo wyprawy i również jak Dr. Williams nie chciał brać na siebie z kolei obowiązków kucharza, które inni, widząc tego nieodzowną potrzebę, pełnili z ochotą. Drobiazgowe starcia więcej jeszcze zachwiały ten związek, w skutek czego uradzono rozłączenie się po przyjacielsku. Podzielono tedy zapasy i muły, i dwa towarzystwa puściły się w dalszą drogę oddzielnie.

Osady Kansas zamieszkują nawpół ucywilizowani Indianie pokolenia Pattawattimi. Mieszkali dawniej w Stanie Illinois, zkąd przeniósł ich w tę strony rząd Stanów Zjednoczonych, odkupiwszy od nich grunta, które posiadali w Illinois i zapewniwszy im corocznie pieniężną zapomogę oraz opiekę rządu w nowej osadzie. Oprócz tego punktualnie według oznaczonej taksy odbierają zapłatę za różne wyroby i skóry upolowanych zwierząt. Indianie ci ubierają

się nawpół po europejsku, mówią niezłe po angielsku i stanowią jakby spojnię między Indyanami pokolenia Pooni i osadami amerykańskimi na rzece Missuri. Wieś zawiera około 500 mieszkańców, z których trzecia część stale w niej nie mieszka, lecz koczuje w lecie w okolicy po cygańsku, na zimę zaś wraca do wsi. Szafasy dosyć porządne formują ulice, mające pretensją do regularności. Dziwna w tej osadzie mieszanina obyczajów dzikich i cywilizowanych. Tu wojownik cery bronzowej stąpa hardo, w spodniach perkalowych, indyjskiej koszuli myśliwskiej ze skóry bawolej i czapce borsuczej; tam skrada się cichym krokiem czarnooka dziewczyna, owinięta w szal różnobarwny, stanowiący całe jej ubranie. Przez franzle zakrywające jej twarzyczkę, dziewczę strzela figlarnie oczkami na blade twarze Europejczyków; lecz biada jej jeśli brunatny wojownik schwyta to spojrzenie, zapomniałby że jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i wywarłby natychmiast zemstę mieszkańca lasów. Gdy kawalkada podróżnych zbliżała się do wsi, wyjechało na jej spotkanie kilkunastu Indyan na różnych koniach, bez siodła, w różnorodnym, dziwnym ubiorze. Krzyczeli: „Rumu, rumu!” Lecz nasi podróżnicy, znając prawo zakazujące sprzedaży mocnych napojów, oświadczyli im, że go nie posiadają, a zatem i sprzedać nie mogą. Prawo to wielce jest zbawiennym, tamuje bowiem zbyt pociąg Indyan do „ognistej wody;” ajenci zaś rządu dostarczają im jej tylko w ilościach umiarkowanych, i to w wyjątkowych okolicznościach.

W tej wiosce odpoczęto dni kilka, dla nabrania sił do dalszych trudów. W domach misjonarzy i urzędników amerykańskich tu osiadłych podróżni pożegnali ostatnie ślady cywilizacji. Indyanie przyjmowali ich gościnnie, przyjacielsko i zdawali się być dumnymi z miana „braci,” które dawali i odbierali od białych. Przed odjazdem po raz ostatni uraczono mułów żytem; nie miały go one kosztować aż za przybyciem do Kalifornii.

Rzekę Kansas przebyto na promie, utrzymywanym przez sędziego i wielce poważnego Indyanina, który za tę usługę kazał sobie zapłacić dwa dukaty. Na środku rzeki jednego z koni wzięła chętka wskoczyć do wody; nie zrobił sobie nic złego i przyplął szczęśliwie do drugiego brzegu, lecz niemało kosztowało trudu schwytać go napowrót.

Droga prowadziła teraz malowniczymi brzegami Kansas; odbywano ją w towarzystwie innych podróżnych, spieszących w tę samą stronę. Z początku przyjemnym było to spotkanie; lecz wkrótce droga

stała się tak przykrą, że wędrowcy, zmuszeni zajmować się wyłącznie przeprawą wozów przez błota i potoki, nie mieli czasu do rozmowy i nawet rozstać się musieli. Gdy opuścili niski brzeg rzeki, jazda po suchym gruncie stała się znośniejszą, a pogoda ciągle im sprzyjała. Postępowali teraz stepem zielonym, częstokroć w ciągu dni kilku nie spotykając żywej duszy, bo drogą tą nikt nie wracał, i tylko kiedy niekiedy mijał ich na rączym koniu Indyanin, pozdrawiając przyłożeniem ręki do ust. Mało tu nawet zdawało się być śladów życia zwierzęcego; rzadko przełatywał nad ich głowami jędor dziki, lub pierzchało w oddaleniu stado rączych antylop. Miejsca te jednak były żyzne i obfitowały w bujną trawę. Nocowali zwykle pod kilkoma samotnie stojącymi drzewami, nad brzegiem rzeczki lub strumyka, a mając podostatkiem paszy dla mułów i koni, byli weseli i bez troski o jutro. Przekroczywszy nieoznaczoną ściśle granicę koczowiska Indyan pokolenia Pattawattimi, weszli w terytorium pokolenia Pooni, które rząd Stanów Zjednoczonych próżno starał się zjednać łagodnością lub związać przymierzem. W ciągłej są wojnie z pokoleniem Pattawattimi z jednej, a Siju z drugiej strony; oba zaś te ostatnie pokolenia zostają z białymi w przyjaznych stosunkach handlowych. Trzeba więc było mieć się odtąd na baczności, bo rabusie ci z wielką zręcznością uprowadzają nocą bydło i konie, a raz zabrane niełatwo od nich odzyskać. Z przeraźliwym krzykiem najeżdżają oni konno, wśród ciemnej nocy, miejsca gdzie przywiązane są bydła, które przestraszone krzykiem zrywają postronki; wtedy Indyanie pędzą w cwał dalej, a spłoszone zwierzęta, czując się wolnymi, dążą instynktownie w stronę zkad daje się słyszeć tentent, aż nakoniec obkoczone i schwywane, stają się zdobyczą rabusiów. Każdej więc nocy nasi podróżni wystawiali wartę, zmieniając się co dwie godziny. Jednego razu p. Edwardson, czuwając z kolei, zauważył szczególniejszą ciszę w atmosferze. Mając to za przepowiednię burzy, obudził swoich towarzyszy, którzy zwinawszy co prędzej namiot, przymocowali wóz do mocnych, wbitych w ziemię pali, a sami pod nim szukali schronienia. Nawałnica rzeczywiście wkrótce wybuchła i była okropną; kilka razy obawiano się że tabor nie oprze się jej natarczywości i zostanie rozerwany. Niekiedy znów zdawało się wędrowcom, że zrykiem piorunów łączą się przeraźliwe głosy ludzkie, bo wiedzieli że Indyanie wybierają takie właśnie noce do swoich napadów.

W godzinę jednak burza ucichła i gwiazdy znów

zabłyły na niebie, lecz kilka mułów nciekło z miejsca gdzie były przywiązane i dopiero nazajutrz po długim szukaniu znaleziono je o milę przeszło od miejsca noclegu.

Podróż coraz stawała się mniej urozmaiconą. Zaczęło brakować paszy dla bydła pociągowych i koni, a droga nadzwyczaj była przykrą. We dwa dni po burzy spotkano się z dość licznym towarzystwem podróżnych i powitawszy się z nimi, rozbito namioty o kilkadziesiąt staj od nich. W nocy każde towarzystwo wystawiło swoją wartę. P. Powell, odbywający ją, usłyszał w sąsiednim obozie wystrzał, połączony z krzykiem „Indyanie!” Na ten odgłos wypalił sam z dubeltówki i zaalarmował tym swoich towarzyszy. Przygotowani od odporu, czekali dość długo napróżno; nakoniec wyprawili dwóch z grona swego na zwiady do sąsiedniego obozowiska. Okazało się że przyczyną całego przestרחu były suknie jednego z podróżnych, które powieszzone na drzewie stojący na straży współsenny sztydwach uważał za podkradającego się Indyanina. Wziął jednak dobrze na cel swego przeciwnika, bo nieszczęśliwy paletot podziurawiony był śrutem jak sito.

Bez innych przygód dosięgli twierdzy Kearney, pierwszego wojennego stanowiska Amerykan w terytorium indyjskim. Trzymają tu do 100 ludzi załogi, po większej części konnej, i taką jest siła moralna rządu Stanów Zjednoczonych, że mała ta liczba wystarcza na utrzymanie spokojności między kilkunastotysięczną ludnością indyjską. Warownia ta leży na odkrytej płaszczynie, niedaleko rzeki Nebraska; dopiero o kilka mil od twierdzy zaczynają się zarośla. Położenie to bardzo jest korzystne, nie pozwala bowiem dzikim a przebiegłym wojownikom stepu zbliżyć się do twierdzy.

Malowniczy był widok okolicy, w czasie przybycia naszych wędrowców. 1500 do 2000 wychodźców dążących do Kalifornii, obozowało pod murami portu. Można tu było napotkać narodowości prawie całego ucywilizowanego świata, a kupcy Stanów sąsiednich, przewidując wielki stek podróżnych, zaimprovizowali jarmark, który im się udał wybornie.

Obozujący pod Kearney uorganizowali oddział konnych ochotników, dla odzyskania uprowadzonego nocy poprzedniej przez Indyan kilkunastu sztuk bydła. P. Edwardson, chciwy przygód, połączył się z nimi; wzięwszy w pomoc dziesięciu dragonów z twierdzy, rozpoczęto natychmiast w stepie poszukiwania. Towarzyszył wyprawie myśliwiec z profesyi, dobrze obeznany z obyczajami i językiem dzikich

plemion. Po całodziennych uciążliwych rozjazdach, napotkano na drugi dzień świeże ślady zabitego wołu i idąc za tropem, zastano rabusiów rozłożonych obozem w gęstych krzakach wierzby. Zbliżono się w kilku do ich stanowiska, z oznakami przyjaźni. Dwaj Indianie, uzbrojeni od stóp do głowy, wyszli na spotkanie przybyłych. Objawiono im cel przyjscia i żądano zwrotu pochwyconego bydła. Odpowiedzieli że nie zabrali bydła i nie mają żadnej wiadomości o dokonanym rabunku. Pokazano im zebrane w bliskości ich obozowiska szczątki zabitych zwierząt; lecz Indianie zaparli się stanowczo wszelkiego udziału w kradzieży. Uważano przytém, że pozostali w krzakach podejmowali broń i gotowali się do odporu. Wtedy wysunął się naprzód wachmistrz dragonów i głosem pionującym zawołał: „Kłamiecie bezczelnie, i jeśli pochwyconego bydła nie oddacie natychmiast, ściągniecie na siebie straszną zemstę waszego dziada” (prezydenta Stanów Zjednoczonych). Widok mundurów amerykańskich jakby piorunem ich raził. Wódz ich oświadczył, że jeśli uzyskają przebaczenie, skradzione bydło będzie zwrócone. Ponieważ w czasie spełnionej grabieży nie było krwi rozlewu, przyrzeczono im bezkarność, pod warunkiem zapłacenia za zabite sztuki, zwrotu reszty i dania trzech wojowników w zakład dotrzymania umowy. Indianie pokornie na to przystali, poczem ochotnicy, w oczekiwaniu rezultatu, rozłożyli się w niejakiéj od nich odległości. Czekali do nocy i następny dzień cały, i zaczęli już powątpiewać o spełnieniu przyrzeczenia, gdy o zmroku wieczornym ukazał się starszy z kilką Indianami, pędząc przed sobą skradzione bydło. Spostrzeżono wkrótce że niedostawało trzech byków; za każdego więc podoficer amerykański żądał po 20 dollarów. Indianie pokazali próżne ręce, na znak że nie mają pieniędzy; lecz to im niewiele pomogło: musieli zapłacić wartość zatraconych sztuk w skórach i futrach. Następnie wachmistrz przemówił do nich, oświadczając w imieniu ich dziada, że na ten raz zyskają przebaczenie; lecz gdyby się coś podobnego powtórnie miało wydarzyć, surowo ukarani będą. Starszyna miał także przemowę, oświadczając że dziad ich bardzo litościwy, że kocha go bardzo, żałuje tego co się zrobiło i przykładnie ukarze młodych ludzi, którzy dopuścili się kradzieży i tém zrobili przykrość białym swym braciom. Stary ten wojownik miał minę niebardzo uczciwą; wyrazy téż jego przyjęto za prostą tylko formę. Bardzo być może, że sam był w téj sprawie złodziejskiej przywódcą. Ochotnicy nasi w tryumfie wrócili do fortecy.

Po czwórnodniowym odpoczynku, towarzysze w dalszą ruszyli drogę i doszedłszy rzeki Nebraska, postępowali wzdłuż jej brzegów. Napotykali tu wiele mogił; na niektórych znajdowały się krzyże z niezgrabnie wyrzniętymi na drzewie napisami, ze zwykłym dodatkiem: „umarł na cholere.” Wiele z tych mogił rozkopały szakale, a szczątki członków i odzieży około nich się walały. Wycie tych zwierząt karmiących się ciałem ludzkim przerywało zwykle ciszą nocną i ścinało krew w żyłach stojącego samotnie na straży.

Jednej nocy obudził ich z głębokiego snu krzyk jakby nieziemskiego stworzenia. Krzyk ten tak był dziwny i przerażający, że najodważniejszego przejmował dreszczem. Niepodobny był wcale do głosu wilka lub ostrego gwizdu wojownika indyjskiego, przebijająca się w nim jakaś nieludzka, śmiertelna rozpacz. W ślad za tym odgłosem wpadł do ich namiotu wychudły jakiś człowiek w łachmanach; rysy jego okropnie były wykrzywione; zdawał się szukać pokarmu obłąkanym wzrokiem, a na pytania nie zwracał żadnej uwagi. Zastawiono przed nim jadło, które z chciwością zwierzęcą pożarł; następnie nasyciwszy się wyskoczył nagle z namiotu i znikł w ciemności nocnej. Dowiedziano się od innych podróżnych, że ten nieszczęśliwy stracił był przez cholere całą swoje rodzeństwo, że odszedłszy od zmysłów nie chciał się z żadnym towarzystwem połączyć i samotnie błąkał się po stepie. Indyjanie, mający w poszanowaniu obłąkanym, nie robili mu nic złego, lecz śmierć okropna głodowa czekała go za nastaniem pory zimnej.

Przeszło pięćdziesiąt mil polskich szli nasi podróżni brzegiem rzeki Nebraski. Przywykli do trudów, sami gotowali sobie strawę i prali bieliznę. Najwięcej przysparzały im pracy częste przeprawy przez rzeki i strumienie, a wytchnienie znajdowali w polowaniu na bawoła, dla którego robili niekiedy stójki kilkodniowe. Później gorzko tej straty czasu żalowali, témbardziej że i konie mocno na tych wyprawach ucierpiały, a zamienić ich na inne nie było sposobności. Paszy było skąpo, bo ci co ich wyprzedzili wyniszczyli wszystko jak szarańcza. Po przejściu wpław Nebraski, muły tak były znużone, że dwa dni odpoczywać musiały. Rzeka ta ma przeszło wiorstę szerokości i chociaż płytka, bardzo jest bystrą, tak iż z największym tylko wysileniem mogli się oprzeć prądowi i ocalić swoje pakunki. Odpoczywali w gaju cedrowym, otoczonym pięknymi wzgórzami, na brzegu czystego strumienia, spadającego z łoskotem ze stromego urwiska. Zabito tu skradającego się do ich

namiotu grzechotnika i upolowano antylope, która im dostarczyła wybornego mięsa na dni kilka. Mimo tak długiego wytchnienia muł jeden na drugi dzień po wyruszeniu w dalszą drogę padł z utrudzenia i w zamian za niego trzeba było wprzezać z kolei wierzchowców. Minąwszy sterczący wysoko wśród płaszczyny kamień, zwany skałą-kominem, weszli na gołą, piaszczystą pustynią, gdzie czasem przez dzień cały nie napotykali zdźbła trawy. Pałace słońce afrykańskie towarzyszyło im stale, wóz po osie zagłębiał się w piasek. Jedyną pociechą pośród tych trudów była nadzieja skorego osiągnięcia twierdzy Laramie, gdzie spodziewano się znaleźć wytchnienie. W przeddzień dojścia do tego miejsca, cierpienia podróżnych były okropne; ludzie i bydła, przybywszy na brzeg rzeki oddzielającej ich od portu, nie mieli sił dostatecznych do przebycia jej dnia tego i przepędzili noc na łąkach nad rzeką. Następnego dopiero poranku przeprawili się przez ten bystry i głęboki strumień razem z inenmi wychodźcami, których równie strudzonych zastali tu na wypoczynku, zasilając się nawzajem mułami, ponieważ zaledwo dziesięciu do wozu zaprzężonych oprzeć się mogło prądowi.

Twierdza Laramie nazywała się poprzednio Fort John i należała do amerykańskiej kompanii, handlującej futrami i skórami nabywanymi od Indyan, lecz będąc punktem środkowym w siedzibach pokolenia Sionx, nabyta została przez rząd Stanów Zjednoczonych. Plemię to jest jednym z najliczniejszych i najpotężniejszych i zostaje z Amerykanami w przyjacielskich stosunkach. Tu schodzą się raz do roku starsi tego i różnych innych pokoleń, zostających na żółdziej amerykańskim, dla rozmowy z białymi swymi „braćmi,” a raczej dla odbioru podarków i pensyj im wyznaczonych i wznowienia zobopólnego przymierza. Warownia zbudowana jest z cegieł suszonych na słońcu, uzbrojona kilką działami małego kalibru i ma dość liczną załogę. Miano tu sposobność poznać wielu okolicznych Indyan i nabrano o nich dobrego wyobrażenia. Byli silnej i pięknej budowy ciała, a rysy ich wyrażały mężkość i hart ducha; niektóre z kobiet nazwać można było pięknymi. Indyjanie ci, różni w tém od innych pokoleń ich rassy, nie nabyli wad cywilizacji przez obcowanie z białymi, a zachowali nietkniętymi wrodzone sobie uczucia godności osobistej i niezawisłości. Prowadzą dość znaczny handel skórami i futrami i w stosunkach swoich okazują wiele zaufania w prawość i przyjaźni białych swych współ-braci. Zauważono tu fakt szczególniejszy a mało znany, że cholera nie tyka ludzi rassy indyjskiej.

Nawet pijacy, których tu nie brakuje, zdają się rzadko ulegać tej zabójczej chorobie.

P. Edwardson miał niespodzianą przyjemność spotkania się tu z dawnym towarzyszem szkolnym, oficerem miejscowej załogi. Dopomógł on im niemało do prędkiego i taniego zaopatrzenia się w rzeczy potrzebne, i w jego towarzystwie spędzili mile dni kilka. Nadaremnie jednak starali się dostać konia dla p. Powell, którego wierzchowiec padł ofiarą ostatniego polowania na bawoły; konie dwóch innych towarzyszy także zaledwo wlokły nogi, a zamienić ich na inne, nie było sposobu. Jeden tylko siwy ogier p. Edwardson wytrwale znosił trudy.

W połowie lipca wyszli ztąd po trzydniowym odpoczynku i skierowali się ku góróm Skalistym. Upały były nieznośne, step wyschły mało dawał pożywienia strudzonym bydłom, a droga stawała się nierówną i krzemienistą. Po dziesięciu dniach takiej podróży, w czasie której stracili jednego z najlepszych mułów, stanęli u koryta wyschłej rzeki; wysokie i urwiste jej brzegi wskazywały, że w porze zimowej była głęboką i bystrą. Rzeka ta oddaloną jest o trzydzieści siedm mil od portu Laramie. Tu po raz pierwszy znaleźli się w konieczności dokopywania się wody, lecz szczęściem natrafili na nią wkrótce. Okolica znowu zamieniła się w piaszczystą pustynią i pozostała taką aż do rzeki Zielonej. Wyszukawszy bród, przeszli ją nie bez trudności i odbyli dniówkę na obfitem w paszę jej wybrzeżu. Wstępowali teraz w siedziby pokolenia zwanego Wężowóm. Liczny ten szczerp indyjski w dobrych zostaje z białymi stosunkach, chociaż nie gardzi także sposobnością korzystnej kradzieży. Trzeba się więc było mieć na baczności i nie zaniedbywać wystawiania wart nocą, co strudzonym dzienną podróżą niemało robiło przykrości.

W czasie odpoczynku nad rzeką Zieloną dwaj z towarzystwa odwiedzili sąsiednie obozowisko indyjskie, liczące do 200 mieszkańców. Szałasy pokryte skórąmi rozrzucone były tu i owdzie; wewnątrz ich było brudne i nieporządne; mężczyźni, kobiety i dzieci leżeli tu pospołem. Służyły one jednak tylko za nocne schronienie, bo we dnie wszyscy członkowie rodziny odbywali zwykłe swe zajęcia pod drzewami na otwartym powietrzu. Wewnątrz i zewnątrz wisiała w festonach suszona zwierzyna. Zakupiono od nich za starą koczulę kilka par cizmów indyjskich, mokassinami zwanych, i zwierzyny ile jej można było udźwignąć. Odwiedzający wykurzyli z sędziwym starszyną wioski lulkę zgody, co dawało im wstęp do wszystkich mie-

szkań. Za małą ilość tytoniu, obiecano im dostarczyć jeszcze zwierzyny świeżej i suszonej na drogę.

W pobliżu odbywał się szczególniejszego rodzaju jarmark. Był to coroczny zjazd handlarzów ze Stanów Zjednoczonych z myśliwymi i Indyanami, dla wymiany zebranych skór i futer na proch, ołów, wódkę, grube sukna i inne niezbędne dla nich przedmioty. Równie handlarze jako i myśliwcy używają mułów do przewozu towarów, co koczowisku ich odrębny nadawało charakter. Wielu białym myśliwcom towarzyszyły z dziećmi ich żony indyjskie. Taki strzelec z rzemiosła oderwany jest zupełnie od cywilizowanego świata i przestaje prawie wyłącznie z Indyanami. Przywiązawszy do siebie jaką młodą Indyanę, żyje z nią jak z żoną, póki się jej podoba dzielić trudy i przyjemności jego koczującego życia. Gdy jej się to sprzykrzy, wraca z dziećmi do swego pokolenia, a on szuka sobie drugiej podobnej towarzyszki. Jednakże rozłączenie takie rzadko miewa miejsce, wyjąwszy gdy myśliwiec opuszcza czasowo stepy, by się udać między ludzi osiadłych. Przypatrując się z zajęciem tym stosom kosztownych futer, oddawanym tu za bezcen w stosunku do późniejszej ich ceny w handlu, tym napół dzikim ludziom, którzy ich dostarczają, tym bojaźliwym, ciemnego lica kobietom i mieszanej krwi dzieciom, trudno wróżyć wiele dobrego z tego zetknięcia się cywilizacyi z barbarzyństwem, chociaż kilku pisarzów z talentem upoetyzowało i otoczyło szczególniejszym urokiem życie amerykańskiego Hawkeye'a. Między innemi wędkami zastawianemi na synów pustyni, znajdowały się tu stoły gry, przy których oddawano się z zapamiętałością hiszpańską grze w karty, zwaną monte; niejeden strzelec tracił tam w kilka godzin owoce znoju i trudów całorocznego polowania. Pijaństwo i rozpusta okazywały się tu w nagięj, poniżającej człowieka postaci; podróżni też radzi miejsca te opuścili.

Z tego przystanku nad rzeką Zieloną niektóre partie wychodźców tu zebranych obrały drogę na Fort Hall, inni poszli na osady Mormonów zwane Deseret. Nasi podróżni wybrali kierunek prostszy, chociaż mniej uczęszczany, w którym szedł sławny w tych stronach z meztwa, wytrwałości i szczęśliwie dopiętego celu odkrywca Kit Carson. Odtąd drogi się dla nich skończyły i musieli się kierować kompasem ku przesmykowi południowemu gór Skalistych, zkad rzeki zaczynają płynąć na zachód, dążąc do oceanu Spokojnego. Kraj żyzny, którym teraz przechodzili, zdawał się przeznaczony na siedzibę licznej i opływającej w dostatki ludności. Przerzynały go we

wszystkich kierunkach spławne strumienie, wpadające do rzeki Nebraska, a tyle niezbędne do krzewienia się przemysłu i handlu.

Na brzegu jednej z tych rzek napływowych, nader głębokiej i bystrzej, przemyślni dwaj Amerykanie ze Stanu New York (Niu Jork) urządzili prom, zbudowany z dwóch związanych z sobą wozów bez kół, i każąc ciągnącym do ziemi obiecanej dobrze płacić za przewóz, pewniejszym od nich sposobem zdobywali złoto. Wybudowali sobie wygodny domek pośród drzew bawełnianych i wierzbiny pokrywających brzegi, i zebrali już znaczny kapitał, z którym wrócić wkrótce zamierzali w strony rodzinne. Przeproważało się tu wielu wychodźców i wędrowcy nasi byli świadkami nader smutnego wypadku. Na promie przewożono ludzi i wozy ładowne, konie zaś i muły musiały rzekę przepływać i uskuteczniały to zwykle z pomyślnym skutkiem. Tą razą jednak piękny jeden muł, czy to ze znużenia, czyli z uporu, zboczył na samym środku rzeki. Właściciel jego skoczył za nim w wodę, lecz zdążył go uchwycić tylko za ogon, a bystrość prądu nie dozwalała mu dosiąść zwierzęcia i skierować go ku lądowi. Wołano na niego by porzucił bydlę, a sam się starał ratować, ale na próżno. Nareszcie poniesiony prądem o staj kilkanaście, puścił ogon zwierzęcia, lecz było już za późno, bo straciwszy siły, do brzegu dopłynąć niemógł, pomocy zaś bez łódki podać mu było niepodobna. Pokazał się jeszcze razy kilka, wołając żałośnie o ratunek, i znikł na zawsze w bałwanach. Znikło wraz z nim zapewne wiele złotych nadziei przyszłości.

Postępowali teraz coraz wyżej i wyżej po nachyłej płaszczyźnie, która doprowadziła ich do przesmyku południowego gór Skalistych. Przypuszczalnie znajdowali się tu na wysokości kilku tysięcy stóp nad powierzchnią morza; było zimno i kolejne odbywanie nocnych straży stało się wielce uciążliwym. Postanowili odpocząć dni kilka. Odtąd rozpoczęły się dopiero prawdziwe trudy podróży, w porównaniu z którymi to czego dotychczas doświadczyli było tylko igraszką. Przebywali to wązkie, otoczone skałami doliny, to strome, kamieniste wzgórza, to trzęsawiska, z których brały początek rzeki i strumienie. Czasami dokopując się wody znajdowali tuż pod powierzchnią ziemi bryły lodu. Trzy tygodnie blakali się w tej zimnej, górzystej okolicy, wyszukując sobie drogę. Niekiedy wypadało im iść brzegiem rzeczek, będących tu blizkiemi swego źródła, i chętnie to czynili, ponieważ znajdowali tam trochę trawy na paszę dla mułów i koni i udawało się im upolować niekie-

dy cokolwiek wodnego ptastwa, mianowicie kaczek. Bydłeta stawały się coraz słabszymi i brakowało im już sił do ciągnięcia ciężkiego wozu z rzeczami. Jeszcze jednego konia stracili tu w skutek wycieńczenia, pozostał im więc jedynie wierzchowiec p. Edwardson, na którym jeździli naprzemian. Pokazało się wkrótce, że w takich okolicznościach trzeba się będzie rozstać z wozem i porzucić na drodze mnóstwo rzeczy, uważanych dotąd za niezbędne. Teraz dopiero przekonali się, jak nierozważnie postąpili puszczając się w drogę z wozem; lepiej nierównie byłoby wziąć tylko sześć lub ośm mułów ładownych. Rzeczy także zabrali z sobą za wiele; dosyć byłoby wziąć namiot, parę kotłów i trochę bielizny, nieco mąki, kawy, cukru i trochę rumu na wypadek słabości; głównie zaś wypadało zaopatrzyć się w amunicję i gotówkę.

Zdjęto tedy z wozu paki i tłomoki, przepakowano wszystko i z bólem serca porzucono na drodze niejedną rzecz, z którą się wiązały dawne wspomnienia lub długoletnie przyzwyczajenie. Trzeba to było uczynić koniecznie, by mułom ile możności ulżyć ciężaru, inaczej te wkrótce padłyby pod brzemieniem juków. Jakże odmienną teraz była postawa podróżnych, od tej w jakiej opuścili Independence. Kilku obdartych ludzi szło obok objuczonych, nędznych mułów; jeden wypoczywał od znużenia, siedząc na grzbiecie wychudłego koniska, ledwie wlokącego nogi. Bótów nie stało i musieli się obywać indyjskimi mokasinami; spali pod gołym niebem, bo namiot trzeba było porzucić na sztuki, by w nie zapakować zapasy prowadzone na mułach.

Na brzegu rzeki Niedźwiedziej spotkali się z dążącymi w tymże kierunku wychodźcami i z przyjemnością przepędzili noc pod ich gościnnym namiotem. Poganiaczy mułów, których teraz nie potrzebowali, pozostawili z temi podróżnemi. Zaczęto z rana układać rzeczy, by się udać w dalszą drogę, gdy do namiotu wszedł poważny Indyanin ogromnego wzrostu. Mierzył przeszło sześć stóp wysokości, członki miał olbrzymich rozmiarów i w dzikim swym ubraniu, w kołpaku z piór na głowie, wydawał się jeszcze wyższym. Zdawał się być dumnym ze swego wzrostu i siły, bo spoglądał na niższych od siebie białych z komicznie pysznym lekceważeniem i pogardą, mierząc ich okiem zuchwałym i dając poznać swą wyższość często powtarzanym „ugh.” To postępowanie dzikiego ściągnęło na siebie uwagę jednego z wychodźców leżącego w kącie namiotu; wstawszy z wolna, zbliżył się do Indyanina, od którego okazał się o głowę prawie dorodniejszym, i z wyrazistym uśmiechem pokle-

pawszy go po głowie i pierzastym kołpaku, jak malca jakiego, wrócił na swe łożo dopalać fajki-pocieszycielki. Indyanin, jakby piorunem rażony, osłupiał z razu, a przyszedłszy do siebie, cichaczem wyniósł się z namiotu. Pokolenie Utach, do którego należał ten gość nieproszony, jest nieliczne, lecz góruje fizycznie nad innemi; charakteru jest łagodnego i żyje z białymi w zgodzie.

Pewnego dnia droga prowadziła podróżnych brzegiem wielkiego jeziora, któremu dostarczały wody gorące siarczane źródła okolicy. Pili z nich wodę, i wzięli jęj z sobą na drogę, jako wielce pomocną przeciwko rozwinięciu się zgnilca czyli skorbutu którego zdawało się im że mają początki, będąc zmuszeni jeść ciągle mięsne i solone potrawy. Znajdowali także w górach źródła zawierające sól kuchenną, której zrobili sobie zapas na drogę, oraz stawy nasycone rodzimym węglanem sody. Tę ostatnią sól zbierają mieszkający w sąsiedztwie; Mormoni używają jęj zamiast drożdży do pieczenia chleba. Tu przytrafiło im się nieszczęście nielada; utracili bowiem ostatniego konia, który napiwszy się u źródła mocno alkalicznego, zdechł tego samego wieczora. W kilka dni padł jeden z mułów z tęg samej przyczyny, przez co zmuszeni byli porzucić więcej jeszcze rzeczy na drodze. Pozostałe trzy wynędznione muły powlokły dalej parę kotłów, trochę odzienia, kawy i cukru oraz zapasy myśliwskie. Psy naszych wędrowców, dla braku porządnego jadła, także, wyginęły pomału; ostatni z nich, pyszny wodolaz p. Edwardson, którego ten wychował i który towarzyszył mu od samego Nowego Orleanu, padł w górach Skalistych.

Ze smutném przeczuciem wędrowcy dosięgnęli tak zwanęj rzeki Słodkiej i szli jęj brzegiem, dopóki kompas nie zmusił ich do obrania innego kierunku. Pły nie ona płaskowzgórzem, lecz w takiej wysokości nad poziomem morza, że powietrze na jęj wybrzeżach przez cały rok prawie bywa mroźne. W niedalekiej od rzeki odległości znajduje się skała ogromna, stojąca pionowo i jakby z ziemi wyrosła, zwana „Niepodległość,” a to z powodu, że po raz piérwszy odkryta została 4 lipca, w dzień ogłoszenia amerykańskiej niepodległości. Gładkie jęj ściany zapisane są nazwiskami przechodniów; i nasi tęg zostawili tu swoje imiona. Przeszedłszy przepaściste, lasem obrosłe wzgórze, spuścili się w skalistą dolinę, poczem wstąpili w jar głęboki, usłany wywróconemi drzewami i kamieniami rozlicznęj wielkości. Droga stała się prawie niepodobną do przebycia. Szczupły zapas mąki zmusił ich do rozdawania jęj w małych cząstkach i ży-

wienia się głównie upolowaną zwierzyną, której gdy niekiedy nie można było dostać, zaczęli doświadczać głodu. Zastali tu kilka partyj podróżnych, których wozy, nie mogąc dalej postępować, musiały być porzucone na miejscu, i winszowali sobie że to już poprzednio uczynili. Gdy wyszli z jaru, ukazała się im piękna, podłużna dolina, zasiana tu i owdzie wrzosami, a pokryta gęstą, krótką trawą. Przejrzysty strumień płynął jęj środkiem, jakby zapraszając do spoczynku zwątlalęch na siłach wędrowców. Odbywşy dniówkę podwójną, postępowali zwolna; po długim niedostatku bydłęta pociągowe znalazły tu paszę obfitą i nabrały nieco sił do dalszęj drogi. Przepędzali nocę w gęstych zaroślach, czujne z obawy napadu Indyan odbywając strażę.

Koczujący w tych stronach należą do pokolenia Kopaczy, noszących to miano z powodu że nie sieją ani polują, a żywią się wyłącznie korzonkami i orzechami znajdującemi się w szyszkach, oraz młodemi odrostkami pewnego gatunku sosny, rosnącej w górach. Smak tych odrostków podobny jest nieco do włoskiego orzecha, lecz trąci mocno żywicą. Znajdują się na najniższym szczeblu oświaty, chodzą, bez względu na ostrość klimatu, zupełnie nago i nie znają żadnych związków społecznych. Lasy okoliczne zamieszkuje ogromny gatunek niedźwiedzia, nie pogardzający mułem lub koniem, co zmuszało do czujniejszego jeszcze w nocy wartowania. Odpoczywając w zarosłém ustroju na brzegu strumyka, gwarzyli przy kotle, w którym gotowało się kilka ubitych z wieczora kaczek, bo polowanie mieli pomyślne: gdy nagle zajęła się płomieniem trawa i tylko z niebezpieczeństwem własnego życia mogli ocalić pasące się w oddaleniu muły. Zaledwie układli się do spoczynku, gdy przybliżył się do nich jakiś człowiek, który na wołanie będącego na straży odpowiedział czystą angielszczyzną i został wpuszczonym do obozowiska. Zjawienie się jego o północy, w miejscu tak dzikiem było niezwykle. Zdawał się być tak przestraszony czy uradowany, że zaledwo mógł mówić. Pokazało się iż należał do towarzystwa wychodźców, które ich dnia tego wyprzedziło, i wysłany był na odszukanie zgubionego wołu o mil kilka. Powiadał że uszedłszy ze dwie mile i blakając się w gąszczach za zgubą, wpadł nagle na obozowisko Indyan-kopaczy, liczące do dwustu głów. Zdjęty przerażeniem uciekł, na szczęście niepostrzeżony. Wiadomość ta bardzo się przydała naszym podróżnym, ponieważ Indyanie, znajdujący się od nich najdalej o pół mili, nie robiliby sobie skrupułów z wymordowaniem ich wszystkich, by zabrać pakunki

a szczególnie muły. Płomień idym palącej się trawy wskazał do nich drogę Amerykaninowi, mógł ją wskazać także i nieproszonym gościom indyjskim. Natychmiast więc, nie zważając na strudzenie, zabrali kotły z niedogotowaną strawą i głodni ruszyli w dal — szły pochód, unikając gęstwiny, bo na otwartym miejscu łatwiej się im było obronić napadu. Pospieszając zrobili bez wypoczynku pięć mil przeszło, poczem czując się nadzwyczaj strudzonemi, wypoczywali dzień cały. Na wzgórzach okolicznych płonęły ognie, znak niechybny że Indianie telegrafowali sobie wiadomość iż „blade twarze” znajdują się w ich kraju. Znajac podstępny i zdrażliwy charakter tych dzikich, biwakowali teraz zawsze w oddaleniu od drzew i zarośli, niepłonną mając nadzieję, że na otwartym miejscu rewolwery ich i dwururki wystarczą na rozpedzenie stokroć liczniejszej od nich chmary. Dognaawszy towarzyszków nowego swego znajomego, zwrócili im kolebę, lecz za swą uczynność niewiele odnieśli podziękę; przykro było tamtym, że wrócił bez zgubionego bydłęcia.

Po kilkodniowej dość znośnej podróży między skalistemi wzgórzami, stanęli obozem na rozległej, jeziorami poprzerywaną płaszczynie u stóp Sierra Nevada. Płaszczyna ta pokryta była wychodźcami, odpoczywającymi tu dla nabrania sił do przejścia tych gór wysokich. Góry nie były tak strome jak się obawiali i w przebywaniu ich niewielkiej doświadczyli trudności; lecz rozrzedzenie powietrza, gdy doszli wysokości 6000 stóp nad powierzchnią morza, było znaczne; mogli postępować tylko zwolna, a z powodu podartego odzienia zimno dało im się dobrze we znaki. Dosięgnawszy wysokości 10,000 stóp, zaledwie mogli oddychać i musieli się zatrzymywać, dla wytchnięcia, co kilkadziesiąt kroków. Śnieg padał tu gęsty, gdy zaś zaczęli się spuszczać z wierzchołka góry, nastąpiła odwilż, a wkrótce i nawałnica z piorunami. Nocą szukali schronienia w jaskiniach, gdzie rozpaliwszy ogień, leżeli z mułami pospołem; cierpliwie te zwierzęta tuliły się jak psy do nóg poddającego je tyłu wysileniom człowieka. Błyskawice i bicie piorunów okropne tym miejscem posępny nadawały życie; stoki gór pokryte były olbrzymiemi sosnami, z pomiędzy których wystawały nagie, niebotyczne, wiecznym pokryte śniegiem skały. Znanym jest faktem, że w lasach iglastych trawa nadzwyczaj bywa rzadką, mało jej więc znajdowali na paszę i probowali karmić muły odrostkami sosen, (które jedzą Indianie i któremi się żywi zamieszkujący te lasy niedźwiedź) co się im wybornie udało. Mimo to wszakże

jeden z mułów padł skutkiem zbytniego wycieńczenia i musiał być pozostawiony na łup goszczącemu tu wilkom i niedźwiedziom. Położenie czterech przyjaciół stawało się coraz krytyczniejszym. Zapasy ich ograniczały się na małej ilości kawy i mąki, którą zaledwie wlokły dwa pozostałe muły. Zwierzyny nie napotykali w bliskości, a zapuszczać się po nią w góry, z powodu zamieszkujących je dzikich plemion i zwierząt drapieżnych, było niebezpiecznie. Schodzili się wprawdzie często z oddziałami podróźnych mających więcej zapasu, lecz nie posiadając środków transportu, niewiele mogli na raz kupować; do tego żądane ceny były ogromne. Na domiar nieszczęścia nie zaopatrzyli się w dostateczną ilość brzęczącej monety, bo nie przewidując tego potrzeby, wzięli z sobą weksle, które tu w pustyni żadnego naturalnie nie miały kursu.

P. Edwardson i jego towarzysze kupowali póki mogli, nareszcie zebrali pomocy, ale nikt nie dawał nic darmo. Silni ci ludzie ulegli nakoniec wysileniu nad miarę, osłabli znacznie na siłach, a jednak musieli spuszczać się z gór podtrzymywać jeszcze znużone bydłęcia, inaczejby te stoczyły się w szumiące pod ich nogami strumienie lub w wąwozy. Raz przez dwa tygodnie nie kosztowali mięsa, żyjąc jedynie kawą i mączną polewką. P. Livingston, dawniej jeden z najsilniejszych, tak osłabł, że niemógł iść pieszo, co wiele przyczyniło trudu wycieńczonym mułom.

Dostanie zwierzyny stało się dla nich warunkiem życia; postanowili więc zatrzymać się w najpiérwszym miejscu, gdzieby znaleźli trawę i wodę zdatną do picia. Natrafiwszy po kilku dniach zmudnej podróży na takowe, rozłożyli ogień, a pp. Edwardson i Powell, jako najsilniejsi, zarzuciwszy na plecy dwururki, poszli szukać zdobyczy. Po całodziennym próżnym chodzeniu po górach, odbiwszy nogi o rozrzucone wszędy luźne odłamy skał, wyszli koło wieczora na zarośla trawą i rzadkim lasem liściastym dolinę, środkiem której płynął strumyk, biorący początek z poblizkiego źródła, i postanowili tu nocować. Napiwszy się u źródła i przypatrując się uważniej piaszczystem brzegom poczynającej się z niego rzeczulki, spostrzegli świeże ślady sarny. Niemało ich to uradowało, bo mieli nadzieję że zwierzę wróci, może jeszcze wieczorem, do miejsca gdzie pić przywykło. Nie rozpalając więc ognia, jak byli sobie zamierzili, ukryli się za drzewami i czekali co szczęście im przyniesie. Oczekiwania ich nie były próżne, bo piękny koziołek zjawił się spragnionym ich oczom. Z bijącym sercem wzięli go na cel i wypalili razem, a biedne

zwierzę, zrobiwszy skok śmiertelny, rozciągnęło się na trawie. Przyskoczyli doń uszczęśliwieni myśliwcy, szybko ściągnęli skórę i roznieciwszy ogień zatknęli na improwizowanym rożnie prawie drgającą jeszcze połędwicę. Długo gawędzili jeszcze przy ogniu, aż nakoniec posileni udali się na spoczynek. Nazajutrz, zabrawszy mięsa ile mogli udźwignąć, wrócili do towarzyszków. Przyjęto ich z radością; nawet osłabiony p. Livingston zdobył się na słabe „niech żyją.” Udali się następnie wszyscy z mułami i całym pakunkiem do kniei, gdzie zastali resztę pozostawionej zwierzyny nietkniętą. Odbyli w tém miejscu dniówkę, by świeżą trawą pokrzepić siły bydłał jucznych i wzmocnić własne sutym ze zwierzyny zaprawionej mąką obiadem. Zdawało im się, że się znajdują nie dalej nad mil trzynaście od najbliższej kopalni złota, wyruszyli zatem wesoło i dobrej myśli. W ciągu trzech dni następnych wyprzedzali lub byli wyprzedzanemi przez mnóstwo wychodźców, po części w nie lepszym od nich znajdujących się stanie. Ci co mieli jeszcze zapasy, nie udzielali ich innym jak za grube pieniądze, i to wkrótce wyczerpało do reszty i tak już szczupły ich zasób gotowizny. Postępować ile możności najprędzej stało się głównem dla nich zadaniem, bo tylko prędkie ukończenie podróży mogło ich ocalić od zguby. Byli prawie boso, w łachmanach, a koszule od miesiąca nie opuszczały ich ciała; do tego, po spotrzebowaniu mąki, żyli wyłącznie kawą i głód zaczął im silnie dokuczać. Udało się im wprawdzie raz jeszcze upolować sarnę; lecz nie mogąc zabrać wiele mięsa, które się psuło z powodu wzrastających upałów, posiłku tego mieli nie na długo. W ostatnich dniach zdarzyło im się być bez wszelkiego posiłku przez trzydzieści sześć godzin.

Jednego nakoniec poranku, wyszedłszy z gęstwiny, spostrzegli namiot, a na nim napis ogromnemi literami „wódka na sprzedaż.” Trudno opisać jaką radością napełnił ich ten objaw niezawodny bliskości kopalni. Weszli do namiotu i pokrzepili upadające siły błogim w téj chwili nektarem, z jedyne go znajdującego się tu nadłamanego kieliszka. Dobrze jednak kazano sobie za ten posiłek zapłacić, bo z ostatniej posiadanej sztuki złota odebrali reszty tylko talara. Wzmocnieni nieco na ciełe i umyśle, lecz zmartwieni zarazem, że pozostali teraz literalnie bez grosza, opuścili gościnne progi szanownego gospodarza pustyni. Dowiedzieli się od niego, że do miasta Sacramento pozostaje tylko dziesięć mil drogi, i dobywając ostatnich sił, pospieszyli dalej. Nocą, mimo

okropnego znużenia, trzeba było czuwać pilnie, bo tu już nietylko od napadu dziczy, lecz i ludzi ucywilizowanych trzeba się było mieć na baczności. Na brzegu niewielkiej rzeczki, obiecującym nieco paszy dla mułów, rozciągnęło się na trawie trzech naszych podróżnych; p. Edwardson stał na straży. Noc była piękna; księżyc w pełni oświecał mdławem światłem niktące w oddaleniu skały i szczyty niebotycznych dębów, sosen i buków, a młody podróżny bujał myślą po stronach rodzinnych, z kąd wkrótce spodziewał się znaleźć wiadomość w San Francisco. Wtém cień jakiś przesunął się koło miejsca gdzie były uwiązane muły. Krzyknąć i wziąć go na cel, było dziełem jednej chwili. Postać spokojnie wysunęła się naprzód i wymierzywszy także karabin, odezwała się z flegmą: „Hola przyjacielu, w tę grę i ja grać potrafię!” Okazało się, że gość ów nocny był kopaczem złota i że nie będąc zadowolony z wydajności gleby w której dotychczas pracował, udawał się na odszukanie lepszej. Takie poszukiwania starają się tu zwykle pokryć głęboką tajemnicą. Przyszły millioner wskazał im najkrótszą drogę do Weaver Town, dodając że wyruszywszy wcześniej, mogą go osiągnąć nazajutrz około południa. Po długiej rozmowie i wzajemnym wypytywaniu odszedł, używszy im nieco tytoniu.

Z nową tedy nadzieją prędkiego końca swych trudów, przed świtem jeszcze wyruszyli w drogę. Kraj którym przechodzili pokrywały wzgórza, zarosłe niską krzewiną; pogoda była prześliczna i w niespokojnem oczekiwaniu zapomnieli że niejedli śniadania, a obiadu wąta bardzo była nadzieja. Dziwiło ich że tak blisko miasta nie spotykali podróżnych dążących w tę samą stronę, ani śladów kół i kopyt bydłych. Nareszcie spostrzegli że w gorączkowem oczekiwaniu końca swych cierpień zbłądzili i tém przysporzyli ich sobie niemało. Nie chcieli się wracać; kierując się więc kompasem, torowali sobie drogę toporem i dosięgli nareszcie osady zwanéj Weaver Town około godziny piątej po południu. Miasteczko to przedstawiało szczególniejszy widok. Namioty, rozrzucone w bezładzie na zarosłej lasem spadzistości głębokiego jaru, gdzieniegdzie przeplatały budy z drzewa nieobciosanego. Nikt sobie nie zadawał pracy budować porządniej; szło tylko o czasowe schronienie od słońca i słońca. Dęby, sosny i buki olbrzymie ocieniały niektóre z tych siedzib rodzącej się cywilizacyi. Miejscami wystawały ponad domami z pośród bujnej, dzikiej roślinności nagie skały, lub wily się głęboko rozkopane doły. Te ostatnie były śla-

dami dawniejszej czynności górników, którzy nie tu nie znajdując, posunęli dalej swoje roboty około wyszukiwania złota.

Zaprzątnięci widokiem miejsca, na które zwrócone były oczy całego cywilizowanego świata, zapomnieli o głodzie i znużeniu. Kopiający złoto byli przy robotach po obu stronach wąwozu, ciągnącego się wężykowato na północ i zachód od miasta. Pracujący wyglądali obdarto; wielu nie miało nawet na sobie koszuli. Pozarastane twarze i długie włosy świadczyły wymownie, że żądza złota ogarnęła ich zupełnie; nie mieli czasu biedacy pamiętać o ohydności, a nawet o zdrowiu własnem. Niektórzy z nich rozbijali skałę oskardami, inni zbierali rozdrobione szczątki, tłukąc je w wielkich młotach, inni jeszcze przesiewali je i przemywali. Podzieleni byli na małe partye, z których każda zdawała się pracować na własny rachunek; niektórzy, ale tych było bardzo mało, pracowali pojedynczo. Bardziej świadomi rzeczy, mianowicie górnicy z professyi, przybyli z Niemiec i Szkocyi, byli bardzo szczęśliwi, bo dobywali od 6 do 7 uncyj na robotnika dziennie, kiedy inni tuż obok dostawali nie więcej od dwóch do trzech uncyj. Postawa i rysy wielu robotników, których ogorzałe ciała pokrywały brudne gałgany, zdradzały ludzi wyższego towarzystwa.

Wkrótce wymagania żołądka wzięły górę nad ciekawością naszych podróżnych; zaczęli się wypytywać gdzieby można jeść dostać. Pokazano im dom większy od innych, stojący osobno. Znaleźli tu wielką salę i kilka innych pokoi urządzonych dla gości; ławki i stoły składały sprzęt cały, a miasto pułapu i dachu, rozciągnięte było łatanie płótno żaglowe. Chałupa służyła za miejsce wieczornych zebrań towarzystwa Weaver Town; tu przegrywano częstokroć summy bajeczne, o których się nie śniło bohaterom zielonego stolika w Hamburgu i Baden-Baden. Na wzmiankę że nie mają gotowych pieniędzy, gospodarz zrobił kwaśną minę; weksłom wystawionym na San Francisco nie dawał wiary. Nie było rady, trzeba było umrzeć z głodu, lub sprzedać jednego z pozostałych jeszcze dwóch mułów. Wybrali ostatecznie, i tu przekonali się o ogromnej różnicy między ceną sprzedaży a kupna. Po długim targu, gospodarz dał za lepszego z mułów czterdzieści dolarów. Prawda że biedne bydło miało nogi rozbite i mocno wychudło; lecz było młode i tydzień wypoczynku, przy dobrej paszy, mógł mu powrócić tuszę i siłę; okazało się też później że tu szczególniej warte było trzy razy więcej.

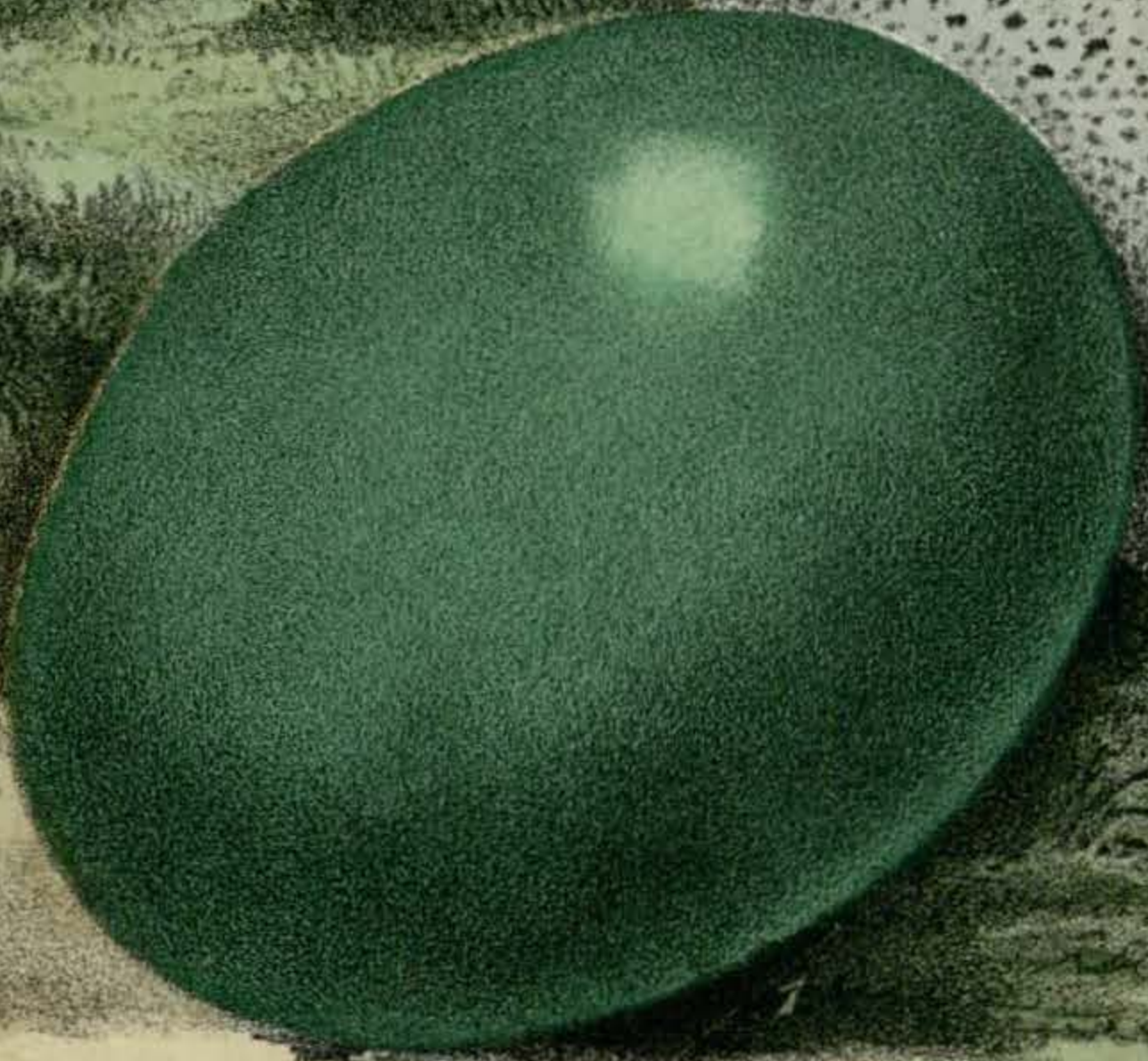
Podano im tedy obiad, złożony z dobrego rostbifu, pszennych bułek i doskonałej kawy, i policzono za to

po pięć dolarów od osoby. Nie mogąc dostać siana, kupili za dwa dolary spleśniałych sucharów dla muła i zostało im całej gotówki dolarów ośmnaście, za które niepodobna było dostać noclegu pod strzechą. Wdzięczni jednak Opatrzności Boskiej za doprowadzenie ich zdrowo do celu, przepędzili noc spokojnie na wzgórzu, w bliskości niegościnnego miasteczka. Nazajutrz, pokrzepieni strawą i spoczynkiem, poszli dalej i o zmroku stanęli w Sacramento. I tu znowu nocowali zamiastem na otwartem polu, nie wchodząc tego wieczora do miasta, na którego gościnność za ośmnaście dolarów liczyć nie mogli.

Następnego dnia dopiero odprawili wjazd tryumfalny do miasta, podobni do niedobitków pułku Falstaff'a.

Miasto Sacramento zbudowane jest dosyć porządnie; domy po większej części drewniane, niektóre kilkopiętrowe, ulice niebrukowane. Główna ulica kipiała ludem; lecz szczególniejsza, w tym ścisku nie widać było prawie kobiet. Na środku ulicy odbywały się licytacje różnych przedmiotów, które rozkupowano po nadzwyczaj wygórowanych cenach w lot prawie. Nastęczyło to im myśl błogą puszczenia na sprzedaż pozostałego muła. Pan Powell, dla zachęty kupujących, przejechał się na nim po rynku, przypominając postawą i całym wystąpieniem Don Kichota. Bez butów, koszuli i czapki, dobrze się wydawał na wychudłym jak szkielet bydłociu. Nie zważając jednak na to, liczba chęć kupna mających była znaczna: jeden przesadzał drugiego i dobilo targu na 105 dolarach; dziesięć procent otrzymał kierujący licytacją.

Zdobywszy trochę niezbędnej na pierwsze potrzeby gotówki, nasi przyjaciele rozdzielili ją sumiennie na równe części, i powiedziawszy sobie serdecznie „do zobaczenia,” rozstali się. Jeden z nich pozostał w Sacramento, gdzie się wkrótce z bogacił; dwaj inni osiedli w San Francisco; czwarty powrócił do domu morzem, przez międzymorze Panama. Pan Edwardson, zastawszy na rzece kilka statków żaglowych naładowanych drzewem i płynących do San Francisco, zabrał się na jednym z nich natychmiast i po trzechdniowej uciążliwej podróży stanął w tém mieście. W zatoce poniżej miasta zastał do dwóch tysięcy okrętów różnych narodów. Towarów były ogromne massy, a jednak ceny niesłychanie wysoko się trzymały. Szczególniejszy widok sprawiały okręty opuszczone przez kupców z San Francisco, wciągnięte w górę rzeki, ile możności blisko brzegu. Połączono je z lądem i między sobą za pomocą pomo-



stów, pobudowano na pokładzie wygodne kantory, a w środku urządzono składy towarów i piwnice na wino. Kipiał na nich ruch nieustanny najróżnorodniejszych narodowości. Nasz podróżnik poszedł najpierw do bankiera, na którego miał weksle, a dostawszy gotówki i oporządziwszy się przyzwoicie, pobiegł na pocztę, gdzie zastał oczekujące go listy. Nowiny z domu były pomyślne; najwięcej uradowała go wiadomość, że jeden z młodszych braci jego, powziąwszy w kilka miesięcy po jego odjeździe zamiar udania się także do Kalifornii, wyprzedził go i już się znajdował w mieście lub jego okolicy. Udał się był przez Meksyk i siadłszy na okręt w San Diego, przybył morzem do San Francisco. Wypytywał się o nie-

go u wszystkich znajomych, ale napróżno; aż nareszcie, po długich poszukiwaniach, spotkał go przypadkiem na ulicy. Odtąd dwaj bracia, aż do przeniesienia się na folwark pod miastem, pozostali razem.

Dodajemy tylko jeszcze, że nasz podróżny, doświadczony tyle przygód i trudów dla dostania się do Kalifornii, niedługo tam pozostał. Wprawdzie interesy jego wzięły dobry obrót i zaledwie w pół roku po swoim tu przybyciu miał już pewność zebrania w krótkim czasie kolosalnego majątku; lecz ciało jego, skutkiem wysilenia w drodze i niezdrowego miejscowego klimatu, mocno ucierpiało. Po jedenastomiesięcznej więc nieobecności, wrócił morzem do Nowego Orleanu.

JAJA PTASIE.

Komuż nie zdarzyło się w przechadzkach po gaju i lesie, albo wśród krzewów ogrodu, znaleźć między gałązkami i liśćmi sztucznie zbudowane gniazdko, a w niem ładne, drobnouchne jajeczka? Ten widok zwykle szczególne sprawia na nas wrażenie; oddalamy się z wolna i z cicha, aby nie zestraszyc ptaszka do którego to gniazdko należy i który chwilowo z niego się oddalił, bo sądząc że już mu w niem niezupełnie będzie bezpiecznie, mógłby je opuścić, zrzekając się swego potomstwa. Ale znaleźć gniazdko niełatwo, bo natura podaje ptakom rozmaite środki zabezpieczenia swego potomstwa i większa ich część tak swoje gniazdko buduje, że je trudno dostrzedz. Sposób budowania gniazdka i rodzaj miejsca w którym ono się znajduje zwykle u różnych ptaków nader jest rozmaity. Niektóre budują je w dziuplach drzew, jak na przykład jaskółki nadbrzeżne, budujące długie, pionowo-walcowate kanały w gliniastym gruncie; większa część leśnych ptaków umieszcza kunsztownie zlepiene gniazdko między gałęzmi drzew, w krzakach, pod korzeniami i w rozpadlinach skał; inne nareszcie składają swe jaja na gołej ziemi lub w piasku. Również rozmaite są w kształcie, barwie i budowie skorupy, jaja rozmaitych ptaków. Widziemy niekiedy że niektóre ptaki stosunkowo zbyt małe jaja w porównaniu swojej wielkości ciała składają, jak na przykład ku-

kułka; inne zaś zadziwiająco duże, jak kulig i siwka. Dalej uważamy że jaja ptaków wgniezdzących się w dziurach drzew lub skał prawie wszystkie są białe, lub przynajmniej jednokolorowe, że nawet niektóre ptaki w rozmaitym wieku życia niejednokrotnie co do barwy niosą jaja.

W zeszycie III roku 1858 daliśmy już obraz kilkunastu gatunków jaj, zaczawszy od olbrzymiego dronta (*Aepyornis maximus*), aż do kolibra właściwego (*Trochelin moschitus*); tam skreśliśmy fizyologiczny przebieg rozwijania się jaja, od pierwszej chwili zalegnięcia, aż do wyjścia na świat młodego pisklęcia, i daliśmy krótkie wyobrażenie o owologii, to jest specjalnej nauce o jajach; obecnie na załącznej tu kolorowanej litografii przedstawiamy kilka różnych między sobą jaj ptaków z rzędu grzebiących.

Fig. 1. przedstawia jaje brazylijskiego Kusaka (*Crypturus brasiliensis*). Ptak ten, w ojczyźnie swojej nazwany ynamku, mieszka wyłącznie w południowej Ameryce i w sposobie życia bardzo podobny jest do europejskiej kuropatwy. Jaje tego ptaka przewyższa pod względem połysku i pięknej barwy wszystkie jakie tylko znamy dotychczas. Przedstawiona tu figura w naturalnej wielkości ma 2 cale i 2 linie długości, a 1 cal i 9 linii w średnicy poprzecznej; kolor ma błękitno-zielony, połysk nadzwyczajny i na całej po-

wierzchni skorupy mnóstwo okrągłych dziurek. *Crypturus brasiliensis* znajduje się obficie w gęstych lasach Brazylii i Surynamie; samica nosi od 9 do 15 jaj i składa je w płytkim, w piasku wygrzebanym wydrążeniu.

Kusak plamisty (*Crypturus maculatus*), którego jaje przedstawione jest na fig. 2, żyje także w Brazylii i Paraguaju, ale mieszka na łąkach otwartych, obfitych w trawę. Często daje on słyszeć swój silny, niemiły krzyk. Jaja, których samica znosi od 6 do 8, są na półtora cala długie, a trochę więcej niż cal w poprzek szerokie, mają barwę czerwono-brunatną i nadzwyczajny połysk, jakby polerowanego metalu.

Zwyczajny indyk, (*Meleagris Gallopavo L.*), pochodzący z północnej Ameryki, sprowadzony został przed kilkaset laty do Europy i dziś liczy się do pospolitych domowych ptaków. W stanie dzikim samica grzebie w ukrytym miejscu między trawą i krzakami wydrążenie i tu składa 10 do 15 jaj. Gdy potrzebuje opuścić chwilowo gniazdo, zakrywa je liśćmi, tak iż trudno je znaleźć wśród trawy. Jaja dzikich indyków niczym się nie różnią od jaj swojskich, są w przecięciu na półtora cala długie, a cal i 9 linii szerokie i mają dość grubą, gładką, widocznymi dziurkami pokrytą skorupę, koloru szaro-żółtawo-białego, z okrągłymi, czerwono-szarymi plamkami. Przedstawiono je na fig. 3.

Jaja pospolitej kuropatwy (*perdrix cinerea*), przedstawione pod n. 4, długie na 1 cal i trzy linii, mają jednostajny kolor szaro-zielony. Samica znosi 10 do 20 jaj, które przez 20 dni wysiada w gniazdku wygrzebanym w ziemi, poczem piskłeta, za ledwie wyszedłszy

ze skorupki, żwawo biegają po polu. Niekiedy zdarza się że dwie kuropatwy jaja swoje w jednym gniazdku składają, tak iż znajdowano już po 40 jaj razem.

Blisko z nią spokrewnioną jest kuropatwa czerwona (*perdrix rubra*). Znajduje się ona obficie w znacznej części Francji, Włoch, Dalmacyi i południowej Anglii i w sposobie życia podobną jest naszej kuropatwie. Znosi 10 do 20 jaj (fig. 5), które w 28 dniach wysiada. Są one bardzo mało większe od jaj kuropatwy i mają czerwono- lub żółtawą barwę, z nieforemnymi, żółto-brunatnymi plamkami.

Przepiórka, ulubiony ptak rolnika, który jako wędrujący w początku maja do krajów środkowej Europy przybywa i pospolicie jest znany z głosu jaki samiec wydaje, znosi około 16 jaj w gniazdku ułożonym z trawy, ukrytym na polu zasianym lub łące. Jaja stosunkowo do wzrostu ptaka są dość duże, dochodzą bowiem do 1 cala długości; skorupka ich żółta pokryta jest gęsto brunatno-oliwkowymi, różnokształtnymi plamkami.

Fig. 7 i 8 przedstawiają jaja alpejskiej pardwy, *Tetrao-Lagopus*, tego górskiego ptaszka, który w lecie ma pstrokate, a w zimie, jakby dla ukrywania się przed licznymi swymi nieprzyjaciołmi, zupełnie śnieżno-białe pierze. W górach południowych okolic Europy, Azji i Ameryki, ptak ten obficie się znajduje. Czy na Alpach szwajcarskich, czy w Islandyi, czas znośnienia jest ten sam. Jaj bywa w gnieździe 6 do 8 na półtora cala długich, rozmaitego odcienia, od białego, żółtego, aż do brunatnego, z licznymi plamkami czarno-brunatnymi, albo ognisto-brunatno-czerwonymi.

KONCERT W SYDNEY.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKA SKRZYPKA WĘGIERSKIEGO, MISZKI [MICHAŁA] HAUZERA).

Pięć tygodni z górą byliśmy w drodze z Tahiti do Sydney. Gęsta mgła unosiła się nad zatoką w dzień naszego przyjazdu, lecz ciepłe promienie wschodzącego słońca rozpędziły ją, i wkrótce ujrzeliśmy Sydney w całej okazałości; zdawało się wyrastać z łona mo-

rza, jak fata morgana. Miasto leży w pysznej zatoce, między dwoma wysokimi przylądkami; największe okręty stoją tu spokojnie na kotwicy. Flagi wszystkich niemal narodów handel morski prowadzących igrały z lekkim, wiejącym od zachodu wiatrem; harde

parowce pruły bałwany we wszystkich kierunkach; na krążących łodziach i łódkach rozlegały się głosy w językach całego świata. Okalające nas brzegi pokrywały rokoszne gaje, z pomiędzy których wyglądały piękne pałacyki i domki wiejskie rozmaitej budowy. Przybiliśmy do brzegu w pośród tłumu ludzi rozmaitego pochodzenia, krzątających się jakby w mrowisku.

Sydney, stolica południowej Walii, jest miejscem środkowym handlu na oceanie Spokojnym. Posiada piękne gmachy publiczne, trzy teatry, kilka banków, dom podrzutek, szpitale, towarzystwa uczone i rolnicze, nawet uniwersytet i obserwatorium astronomiczne. W jak krótkim wszystkim to powstało czasie! Na placu Wiktoryi koncentruje się ruch miasta. Tu najwięcej księgarni, restauracyj, hotelów, cukierni i sklepów, z przepyszniemi wystawami europejskiego zbytku. Jaka tu mieszanina narodowości, języków, zwyczajów i obyczajów! Tu sztywny Anglik prowadzi się pod rękę z przebiegłym, ostrych rysów Amerykaninem; tam ciężki, flegmatyczny Niemiec spiera się z przebiegłym synem Niebieskiego państwa; owdzie krzykliwy, czujący się jakby w domu Irlandczyk, dźwiga towary, pospołem z mieszkańcem wysp moluckich. Każdą jednostkę tego tłumu opanowała mania robienia pieniędzy; cała ta różnorodna ludność wyznaje jedną wiarę, wiarę w złoty cielec.

Przebiegłszy miasto w towarzystwie napotkanych kilku rodaków, poszedłem zwidzieć przedmieście zajmowane wyłącznie przez Chińczyków. Na samym wstępie spotkał mnie ogłuszający krzyk sztukmistrzów, tancerzy, kramarzy, z których każdy starał się wciągnąć nas do swego sklepu lub budy. Współzawodnictwo to niweczyło ich usiłowania, bo gdy spór wyrażał się w bójkę i chwytały się za długie swe warkocze, my uchodziliśmy cali. Chińczycy składają wielką część tutejszej ludności, lecz najczęściej podobno z bogaciwszy się wracają do swego kraju.

Po zachodzie słońca wstąpiliśmy znużeni do jednej z modnych tutejszych restauracyj. Ze wszystkich końców ogromnej sali i przyległych pokojów dolatywały nas śmiechy, krzyki i pukania korków szampa. Dziwne zbiorowisko ludzi uczciwych i hultajów, lekarzy, szulerów i kupców, Amerykanów, Chińczyków i Żydów, otaczało nas; ci ostatni pochodzili po większej części z Niemiec i Rosyi i zdawali się podobać sobie w nowej swój ojczyźnie. Złoto wszędzie ich żywiołem, nic dziwnego więc że im było dobrze w krainie złota. Restauracje i hotele urządzone są na sposób angielski i równie kosztowne jak podobne-

go rodzaju zakłady w San Francisco. Potrzeba dziennie, by żyć przyzwoicie, do półtora złota polskich. Chciwość i zmysłowość obrały, zdaje się, główną kwatery w tém mieście, chociaż uczucie moralne tutejszego towarzystwa znacznie się w ostatnich czasach polepszyło. Gra wywiera ogromny wpływ na społeczeństwo tego portu; przyczyną tego jest po części brak kobiet, a więc życia rodzinnego. Znajduje się tu przeszło pięćset domów gry, w których tysiące przepędzają większą część życia. Rozmaitych używają sposobów, by ściągnąć niedoświadczonych cudzoziemców. W jednym na przykład bywają dwa razy na tydzień sute, bezpłatne obiady, na które każdy posiadający frak czarny, biały krawat i bóty lakierowane ma wstęp wolny. Po stole, gdy hojnie krążący szampan w głowie zaszumi, zapraszają do kart, i nie jeden się dobrze za bezpłatny obiad opłaci.

Ogród botaniczny, wysadzony rzędami sztywné mimozy, jest punktem zbiorowym modnego świata. Na ławkach i krzesłach przed znajdującą się w nim cukiernią siedzą damy, po większej części nie w kwiecie młodości będące; otaczają je tłumy młodzieży. Nie jeden łaknący małżeńskiego szczęścia Sydneyczyk uważa wdychając, jak mało ma do wyboru panien, bo wszystkie prawie są stare i przybyły tu sprzedać ostatki uwiedłych wdzięków; lecz poddaje się swemu losowi, towar ten bowiem bardzo jest poszukiwany, dowóz jego szczupły, a Europa daleko. Na przyległym zielonym placu przyszłe pokolenie sydneyjskiej złotokracyi robi niemniej hałasu jak jego ojcowie, sprzedający i kupujący złoto z krzykiem i wrzaskiem niesłychanym, nawet w miejscu tém do rozrywki i przechadzki przeznaczoném.

W kilka dni po moim przyjeździe, oddałem wizyty wydawcom dzienników. Pierwszy do którego przyszedłem mieszkał w pięknym pałacyku, przy jednej z głównych ulic miasta; na dole była drukarnia. Na tablicy umieszczonej w sieni znajdowało się uwiadomienie dla odwiedzających, że pan redaktor nie może poświęcać drogiego czasu darmo i że bez biletu nikt do niego wpuszczonym nie będzie. Godzina posłuchania kosztowała 20, pół godziny 12, kwadrans 3 złote. Wszedłszy na schody, kupiłem w przedpokoju u służącego w czerwonej liberyi godzinę czasu jego pana, i mocno zaintrygowany, wpuszczony zostałem do jego gabinetu. Redaktor przyjął mnie leniwo, obojętnie. „Pan jesteś artystą i przyjeżdżasz z Europy robić tu pieniądze,” rzekł tonem niebardzo przyjacielskim. Gdy się dowiedział że przybyłem z Ameryki południowej i Kalifornii, twarz jego rozjaśniła

się i głos zmiekczał. Zapytał mnie bez ogródki, wiele ofiarować mogę pieniędzy, by zostać okrzyczanym w jego dzienniku. Zmieszany nieco, powiedziałem mu że w razie powodzenia, nie omieszkam dać mu materyalnych dowodów mojej wdzięczności; nie poprzestał jednak na tém i domagał się naprzód okrągłej sumki, bez czego, mówił, niepodobna mi będzie mieć jakiegokolwiek powodzenia. Odrzekłem mu że się namyślę i opuściłem owego kierownika opinii publicznej. Inni redaktorowie mniej okazali się pochopni do zdzierstwa; oświecili mnie w tém co czynić wypadało. Koszta dla dających tu koncerta są ogromne, lecz i bilety sprzedają się drogo: łoża 300 złp.; krzesło 75 złp.; paradyz 18 złp. W ogóle jednak niewiele sobie powodzenia obiecywałem. Nie czułem pociągu do ludności tutejszej i nie sądziłem żeby mogła ze mną sympatyzować. Ludzi zajętych wyłącznie robieniem pieniędzy, mało interesuje sztuka; więcej ich zajmują łamańce pajaców i walki kogutów.

Anglicy zachowują tu święcie zwyczaje i obyczaje swoje, nie zważając bynajmniej na to, że sam klimat powinienby je modyfikować. Tuziemcy, naśladowający ich w najmniejszych szczegółach, dziwną z siebie robią karykaturę. Popuanie ci zdają mi się najobrzydliwszym plemieniem rodu ludzkiego; są nieskładni, brzydkich rysów, o chudych, długich członkach. Tchórzostwo ich dochodzi do najwyższego stopnia; padają na widok obnażonej szabli lub pistoletu. Kilka tysięcy ich mieszka w Sydney, gdzie przyswoili sobie strój pseudo-europejski.

W dzień naznaczony do koncertu ukradziono mi frak czarny, który dałem był do wyczyszczenia słudze hotelowemu. Na szczęście posiadałem drugi i przywdziawszy go, miałem się udać do sali koncertowej, gdy deszcz ulewny wstrzymał mnie na chwilę. Ustał jednak wkrótce i ubrany starannie, siadłem do powozu. Trzebaż było nieszczęścia, że niezgrabny woźnica wyrócił mnie w drodze; wpadłem jak długi w błoto i cały mój garnitur na nic. „Fraka, fraka! królestwo za frak!” Jakiś krawiec niemiecki zli-

tował się nademną i z prawdziwie niemiecką usłużnością sprzedał mi frak, niekoniecznie czarny, bo jasno-niebieski, z żółtymi, brązowymi guzikami, trochę przyciasny za złp. 300. Był to zawsze frak, i sądząc że tém zadosyć uczynię etykiecie sydneyjskiej, pospieszyłem do teatru Royal-Victoria.

Sala była nawpół pełna gdy przybyłem; wkrótce orkiestra skończyła uwerturę z Hugonotów, kurtynę podjęto i wystąpiłem naprzód. Skłoniwszy się publiczności, brałem smyczek do ręki, gdy zrobił się hałas okropny; wołano zewsząd żebym się oddalił. Zmieszany i zdziwiony takim przyjęciem, oddaliłem się spiesznie. Za kulisami spotkał mnie dyrektor teatru, wyrzucając mi jak śmiałem obrazić najdystyngowańsze towarzystwo antypodów, występując bez rękawiczek i w jasnym fraku. Opowiedziałem mu w kilku wyrazach co się stało z moimi frakami. Tymczasem publiczność wrzeszczała z całej siły: „Dyrektor!” Wyszedł dyrektor i z pokorną miną zakomunikował publiczności przygodę obudwu moich fraków; zaimprovizował przytém krótką moją biografią, dodając że w takich okolicznościach możnaby wybaczyć geniuszowi muzykalnemu brak względów, nawet dla tak znakomitego towarzystwa. Zakończył przemowę zapytaniem, czy panowie i panie pozwolą grać p. Miszce Hauzer, lub nie. „Yes” odezwał się głos z pierwszego rzędu krzesel i „yes, yes!” rozległo się w całej sali.

W nieszczęśliwym usposobieniu wyszedłem na scenę po raz drugi, lecz przyszedłszy do siebie, wykonałem śmiały atak na uszy etykietalnych moich słuchaczy. Zagrałem im fantazyą mego utworu na karnawał wenecki. Rzęsiste oklaski dodały mi otuchy, i gdy skończyłem Rule Britannia z waryacyami Onslow'a, ogłuszające zewsząd rozległo się brawo; damy nawet z krzesel i łóż klaskały, wrzeszcząc piskliwym głosem „very fine!”

Koncert, rozpoczęty wśród tak nieprzyjemnych okoliczności, zakończył się pomyślnie nad wszelkie oczekiwanie. Na następny wszystkie miejsca zostały zamówione i zapłacone.

KONIEC CZĘŚCI PIÉRWSZÉJ.